

CZARNA SERIA
KRYMINAL

**HÅKAN
NESSER**

SPRAWA G



Śledztwa komisarza Van Veeterena

HÅKAN NESSER

SPRAWA G

przełożyła Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2015

Każdy, kto idzie plażą,
wcześniej czy później trafi na drugiego człowieka.

Autor nieznany

1987

Wiedziała, że w nocy posusia się w łóżku, i wiedziała, że ciocia Peggy będzie zła.

Zawsze tak było. Zawsze, kiedy musiała spać u cioci Peggy, a nie u mamy, działo się coś takiego.

Mamusia. Chciała być z Mamusią. Spać we własnym łóżku w swoim pokoju, z lalką Trudi pod kołderką i lalką Bambą pod poduszką. Tak powinno być. Bo kiedy tak właśnie było i zasypiała, mając w nozdrzach przyjemny zapach Mamusi, nigdy się nie zdarzało, żeby rano łóżko było mokre. Prawie nigdy.

Ciocia Peggy w ogóle nie pachniała jak mama. Dlatego nie chciała, żeby ciocia Peggy ją dotykała, na szczęście nigdy tego nie robiła. Ale spała w tym samym pokoju co ona, po drugiej stronie niebieskiej i miejscami czerwonej zasłonki w jakieś smoki czy może węże, a czasami spał tam ktoś jeszcze. Nie lubiła tego.

Trudi i Bamba też nie lubiły. U cioci Peggy Trudi też musiała spać pod poduszką, żeby się nie zamoczyła. Było niewygodnie i twardo, ale przecież nie mogła zostawić lalek w domu, tak jak proponowała Mamusia. Czasami mama miała naprawdę dziwne pomysły.

Mówiła na przykład: jeden tydzień. Zostaniesz u Peggy przez tydzień, bo ja muszę wyjechać i zarobić dużo pieniędzy. Jak wrócę, dostaniesz nową sukienkę i kupię ci tyle lodów i cukierków, ile tylko zdołasz zjeść.

Tydzień to dużo dni. Nie wiedziała ile, ale na pewno więcej niż trzy, i przez cały ten czas będzie musiała spać w tym wstrętnym pokoju, pod którego oknem jeździły ulicą samochody i autobusy, trąbiły, hamowały i piszczały oponami przez całą noc. Będzie siusiać do łóżka, a ciocia Peggy nie przyjdzie do głowy, żeby zmienić prześcieradło, tylko powiesi je na krześle, żeby wyschło w ciągu dnia, a Trudi i Bamba będą takie smutne, takie strasznie smutne, że choćby nie wiadomo jak się starała, i tak nie będzie umiała ich pocieszyć.

Nie chcę być u tej głupiej cioci Peggy, myślała. Dobrze by było, żeby ciocia Peggy umarła. Jeśli poproszę Pana Boga, żeby ją zabrał, i on to zrobi, wtedy mogę obiecać, że już nigdy nie popuszczę przez całą noc ani jednej kropelki, a kiedy nastanie ranek, zamiast cioci Peggy przyjdzie Mamusia, zabierze mnie do domu i już nigdy nie będę musiała tu wracać. Nigdy więcej.

Słyszysz mnie, Panie Boże, spraw, żeby Mamusia wróciła, i zlikwiduj to siusianie

i ciocię Peggy. Niech ona umrze albo wsadź ją do samolotu i odleć z nią do Krainy Tysiąca Wysp.

Złożyła dłonie tak mocno, że aż poczuła ból w palcach, a Trudi i Bamba też modliły się razem z nią z całych swoich sił, więc może, kto wie, może jednak stanie się tak, jak pragnęła.

1

Prywatny detektyw Maarten Verlangen idąc we wtorek, trzeciego czerwca, do pracy, kupił po drodze sześć piw i sześć worków do odkurzacza.

Pierwszy zakup był rutynowy, drugi stanowił coś wyjątkowego. Od czasu, gdy pięć lat temu rozwiodła się z nim Marta, jego ambicje w zakresie sprzątanania nie były zbyt wygórowane, dlatego z nieco obcym mu poczuciem czystego sumienia otworzył pomalowane antykorozyjną farbą metalowe drzwi i objął we władanie swoje biuro.

Co nie było trudne. Lokal mierzył trzy metry na cztery i żadnemu architektowi na świecie nie przyszłoby raczej do głowy umieścić pod jego szkicem napisu „pomieszczenie biurowe”. Znajdował się w jednej z wielu pokrytych sadzą starych czynszówek na końcu Armastenstraat, niemal przy samych torach kolejowych. Pół kondygnacji poniżej wejścia; prawdopodobnie pierwotnie był przeznaczony dla dozorczy jako komórka na różne rupiecie, miejsce, gdzie można było przetrzymywać takie czy inne rzeczy niepotrzebne już lokatorom: stare sedesy, węże prysznicowe, płyty grzewcze i inne zużyte urządzenia.

Teraz jednak mieściło się tu biuro. Co prawda niezbyt stylowe. Ściany od samego początku pokryte były brudnym, ziemistym tynkiem, podłogę pomalowano na granatowo dwadzieścia albo trzydzieści lat temu, a jedyne źródło światła stanowiło skąpe okienko na poziomie chodnika, tkwiące pod samym sufitem. Wyposażenie było proste i funkcjonalne. Biurko z krzesłem. Szara metalowa szafa na dokumenty. Niski regał na książki, bucząca lodówka o pojemności pięćdziesięciu litrów, czajnik oraz wysiedziany fotel dla gości. Na jednej ze ścian wisiał kalendarz z reklamą stacji paliw, na innej – reprodukcja ponurej ryciny Pironesiego. Dwie pozostałe były puste.

Pominąwszy kalendarz, który Verlangen z lunatyczną regularnością wymieniał co roku pod koniec stycznia lub na początku lutego, biuro wyglądało przez ostatnie cztery lata identycznie. Od czasu, kiedy się do niego wprowadził. Nie należy nie doceniać możliwości nadania naszemu życiu stabilności i poczucia bezpieczeństwa przez otoczenie, zwykł myśleć. Nie należy gardzić kurzem, który przez mijające lata zbiera się w naszych kątach.

Zapalił lampę pod sufitem, ponieważ ta na biurku była zepsuta. Powiesił swoją cienką wiatrówkę na haku przymocowanym do wewnętrznej strony drzwi i wstawił piwo do lodówki.

Usiadł za biurkiem, po czym włożył worki do odkurzacza do górnej prawej szuflady. Nie zamierzał korzystać z nich tutaj, w biurze. W żadnym razie. Odkurzacza marki Melfi, który posiadał – jedna z nielicznych rzeczy, jaka po rozwodzie przypadła jemu, być może dlatego, że działał równie źle jak małżeństwo – trzymał w swoim mieszkaniu przy Heerbanerstraat. To tam zamierzał posprzątać. Zastanowił się przez chwilę, czy nie lepiej by było, gdyby jednak położył worki na biurku; nie dało się bowiem wykluczyć, że po zakończeniu dnia pracy pozostaną w szufladzie. Mimo wszystko postanowił zaryzykować. Torebki do odkurzacza nie należą raczej do wyposażenia, jakie spodziewa się zastać klient renomowanego biura detektywistycznego.

„Biuro detektywistyczne Verlangena”. Taki napis widniał na skromnej, ale stylowej tabliczce na drzwiach wejściowych. Wykonał go własnoręcznie. Co prawda kosztowało go to całe przedpołudnie, ale rezultat okazał się całkiem niezły.

Spojrzał na plan dnia. Po południu miał zaznaczone spotkanie z towarzystwem ubezpieczeniowym. Poza tym pusto. Sprawdził, czy nie ma wiadomości nagranych na sekretarce. Wyjął z lodówki jedno piwo, otworzył je i zapalił papierosa.

Zerknął na zegarek. Było dziesięć po dziesiątej.

Jeśli do dwunastej nie zjawi się żaden klient, przekąszę coś szybko w Oldener Maas, a potem wpakuję sobie kulkę w łeb, pomyślał i uśmiechnął się gorzko.

Ta myśl nachodziła go każdego ranka i niewykluczone, że pewnego dnia zamieni ją w czyn. Skończył czterdzieści siedem lat, a ludzi, którzy odczuliby jego brak, mógł policzyć na palcu jednej ręki.

Miała na imię Belle i była jego córką. Prawie osiemnastolatka. Popatrzył przez chwilę na jej roześmianą twarz na zdjęciu stojącym obok telefonu i pociągnął łyk piwa. Zamrugał oczami, aby pozbyć się łez wywołanych goryczą, a następnie beknął.

Jak to się stało, że taka świnka jak ja ma taką córkę, zastanowił się.

To kolejna myśl, która często go nawiedzała. W umyśle Maartena Verlangena w ogóle było dużo powtórzeń. W gruncie rzeczy same stare ponure pytania bez

odpowiedzi. Bywało, że w chwilach trzeźwości fakt ten go przerażał.

Istniało jednak antidotum przeciw takim nagłym lękom. Na szczęście. Wypił następny łyk piwa i głęboko zaciągnął się papierosem. Następnie wstał i uchylił okno. Znowu usiadł.

Minęło trzynaście minut po dziesiątej.

Zadzwoiła tuż przed jedenastą, a pojawiła się pół godziny później.

Dosyć wysoka kobieta w wieku około trzydziestu pięciu lat. O rudawych włosach do ramion. O pociągłej twarzy z wystającymi kośćmi policzkowymi i o ładnych rysach. Szczupła i wysportowana, ale z wyraźnie zaznaczonym biustem. Była ubrana w obcisłe czarne spodnie i bordową bluzkę z bardzo krótkimi rękawami. Miała starannie wydepilowane brwi. Jego zdaniem była ładna.

Szybko omiotła wzrokiem pokój. Na chwilę zatrzymała spojrzenie na rycinie Piranesiego, wreszcie całą swoją uwagę skupiła na mrocznej fizys Verlangena.

– *You mind if we speak English?*

Verlangen oznajmił, że w ciągu trzydziestu minut, jakie upłynęły od ich rozmowy telefonicznej, nie zapomniał tego języka. Nieznacznie wykrzywiwszy usta, kobieta spoczęła na fotelu dla gości. Założyła nogę na nogę i odchrząknęła. Verlangen wyciągnął w jej stronę paczkę papierosów, na co ona odmownie pokręciła głową. Z czerwonej torebki wyjęła własne opakowanie gauloise'ów i przypaliła sobie jednego podłużną złotą zapalniczką.

– Jest pan prywatnym detektywem?

Verlangen skinął głową.

– W dzisiejszych czasach nie ma już takich wielu.

– Kilku jeszcze się znajdzie.

– W tym mieście pięciu.

– Skąd pani to wie?

– Sprawdziłam w książce telefonicznej.

– Chyba nie wszyscy w niej są.

– Doprawdy? W każdym razie pana tam znalazłam.

Verlangen wzruszył ramionami. Zauważył, że kobieta ma niewielki tatuaż wysoko na lewej ręce, tuż poniżej rękawka bluzki. Wyglądał na jaskółkę. Albo na jakiegoś

innego ptaka.

Zwrócił także uwagę, że jest bardzo opalona. Musiała mieć wiele okazji, by wystawiać się na słońce, przemknęło mu przez głowę, mimo że to dopiero początek czerwca. Jej skóra miała przyjemny odcień kawy z mlekiem. Zastanowił się, jakie to mogłoby być uczucie, gdyby tak przesunąć po niej opuszkami palców.

A może to jest po prostu zwykła tanorektyczka?

– W czym mogę pani pomóc? – spytał.

– Chodzi o obserwację.

– O obserwację?

– Jak znał, tak znał. Ale ma pan chyba coś takiego w swoim repertuarze?

– Oczywiście. A co za obiekt miałbym dla pani obserwować?

– Mojego męża.

– Pani męża?

– Tak. Chciałabym, aby poobserwował go pan przez kilka dni.

– Rozumiem.

Przewrócił kilka kartek w kalendarzu i zatrzymał się na nowej stronie, po czym dwa razy nacisnął końcówkę długopisu.

– Pani godność, jeśli mogę prosić?

Nie chciała podać swojego nazwiska przez telefon i nie przedstawiła się, wszedłszy do biura. Teraz też zdawała się wahać. Zaciągnęła się papierosem.

– Barbara Hennan.

Verlangen zanotował.

– Jestem Amerykanką. Moje panięskie nazwisko brzmi Delgado. Jestem żoną Jaana G. Hennana.

Gdy doszedł do pojedynczej dużej litery, nagle się zatrzymał.

Jaan G.? – pomyślał. A niech to diabli. Jaan G. Hennan.

– Mieszkamy w tym kraju zaledwie kilka miesięcy. Ale mój mąż pochodzi z Maardam. Wynajmujemy dom w Linden... trzydzieści kilometrów stąd, zakładam, że pan wie, gdzie to jest?

– Oczywiście.

Czy może być więcej mężczyzn o nazwisku Jaan G. Hennan? Pewnie tak. A jakie

jest prawdopodobieństwo, że to jeden z nich? I jak...?

– Ile wynosi pańskie honorarium?

– To zależy.

– Zależy od czego?

– Od rodzaju zlecenia. Czasu. Kosztów...

– Chcę, żeby obserwował pan mojego męża przez kilka dni. Od rana do wieczora, więc raczej nie będzie miał pan czasu na inne zlecenia.

– Dlaczego zależy pani na jego obserwacji?

– Nie zamierzam wchodzić w szczegóły. Pragnę tylko, aby pan skontrolował, co on robi, i potem mi to zrelacjonował. Zgoda?

Uniosła jedną brew i wydała się jeszcze ładniejsza.

Klasyka, pomyślał. Znowu cholerna klasyka. Nieczęsto się zdarzało, by mógł się poczuć jak Philip Marlowe, w każdym razie nie na trzeźwo. Może więc należało korzystać i ssać ten cukierek najdłużej, jak się da.

– Nie jest to nietypowe zlecenie – rzekł. – Mimo to mam do pani kilka pytań.

– Słucham.

– Na przykład o dystans i dyskrecję?

– Dystans i...?

– Jak dalece szczegółowa ma być moja obserwacja? Jeśli pani mąż wejdzie do restauracji, czy chce pani wiedzieć, co będzie jadł, z kim będzie rozmawiał i o czym...?

Przerwała mu, unosząc lewą rękę około dziesięciu centymetrów nad stołem. Jaskółka poruszyła się zmysłowo.

– Wiem, do czego pan zmierza. Nie, wystarczy mi ogólne informacje. Jeśli uznam jakieś konkretne szczegóły za interesujące, dam panu znać. Czy możemy się tak umówić?

– Naturalnie. To pani określa zasady. A on nie powinien się domyślić, że mam na niego oko?

Kobieta zawahała się.

– Raczej nie.

– Czy mogę wiedzieć, czym zajmuje się pani mąż?

– Prowadzi interesy. Ma firmę importową. Oczywiście niedawno założoną... ale podobne rzeczy robił już w Denver.

– A jakie produkty?

Wzruszyła ramionami.

– Różne. Na przykład części do komputerów. Ale jakie znaczenie ma zawód mojego męża w tym kontekście? Ja chcę jedynie, aby miał pan na niego oko.

Verlangen splótł przed sobą dłonie na biurku i zrobił krótką pauzę.

– Pragnę zauważyć, pani Hennan – odezwał się po chwili, mając nadzieję, że ton, jaki przybrał, brzmi surowo i po męsku – że jeszcze nie przyjąłem pani zlecenia. Chce pani, abym śledził pani męża, a jeśli ja rzeczywiście zgodzę się to robić, muszę wiedzieć, na co się decyduję... Nie mam w zwyczaju kupować kota w worku. Ten, kto tak działa w tej branży, nie dożywa starości.

Klientka zmarszczyła czoło. Zdaje się, że ewentualność odrzucenia przez niego oferty w ogóle nie przyszła jej do głowy.

– Rozumiem – rzekła. – Przepraszam. Zakładam jednak, że ma pan w zwyczaju zachowywać odpowiednią... dyskrecję, czyż nie?

– Oczywiście. W stosownych granicach. Ale bez pewnych konkretnych informacji nie jestem w stanie wykonać swojego zadania w zadowalający sposób. Muszę co nieco wiedzieć o zwyczajach pani męża. Jak wygląda jego dzień pracy. W jakich miejscach się porusza, jakich ludzi spotyka. I tak dalej. A najchętniej poznałbym naturalnie przyczynę... dla której chce go pani śledzić, jestem jednak gotów zrezygnować z tej informacji.

Kobieta obróciła lekko głowę z prawa na lewo i znowu przez kilka sekund zatrzymała spojrzenie na rycinie Pironesiego.

– No cóż, szanuję oczywiście pański kodeks zawodowy. Jeśli chodzi o zwyczaje męża, nie są one jakieś niezwykle. Jak wspomniałam, mieszkamy w domu na przedmieściach Linden. On ma biuro w centrum, spędza w nim sześć, siedem godzin każdego dnia. Czasami jemy razem lunch, jeśli akurat mam na mieście coś do załatwienia. Zwykle na godzinę siódmą przygotowuję kolację, ale bywa, że mąż jada ją wcześniej z jakimś partnerem w interesach... Krąg naszych znajomych jest dosyć ograniczony, przecież mieszkamy tu dopiero od kilku miesięcy. To mniej więcej tyle

w dużym skrócie. Weekendy wyglądają oczywiście inaczej, spędzamy je najczęściej razem, i jeśli o nie chodzi, nie potrzebuję pańskich usług.

Podczas gdy mówiła, Verlangen przez cały czas pilnie notował. Potem podrapał się po karku i podniósł wzrok znad biurka.

– Jakich mają państwo znajomych?

Kobieta wyjęła nowego papierosa.

– Na dobrą sprawę żadnych. Mój mąż spotyka się oczywiście z różnymi ludźmi w pracy, ale jeśli o mnie chodzi, to mam właściwie tylko Trottów, do których mogłabym się w razie czego zwrócić... to nasi najbliżsi sąsiedzi. Mówiąc szczerze, para prawdziwych nudziarzy, ale przynajmniej zaprosiliśmy ich już na kolację. On jest pilotem, ona siedzi w domu. Mają dwójkę nieznośnych dzieci.

– W wieku przekory?

– Tak.

Verlangen zanotował.

– Jakieś zdjęcie? – rzucił. – Potrzebne mi jest zdjęcie pani męża.

Wyjęła białą kopertę z torebki i podała mu ją. Wyciągnął z niej dwie fotografie w formacie 10x15 centymetrów.

Jaan G. Hennan przyglądał mu się z powagą.

O dziesięć lat starszy, ale ten sam Jaan G., bez najmniejszych wątpliwości. Zdjęcia wydawały się niedawno zrobione, chyba jedno po drugim, oba przedstawiały obiekt z profilu. Jedno z prawego, drugie z lewego. Te same świdrujące oczy. Te same napięte usta i mocne szczęki. Te same krótko ostrzyżone ciemne włosy. Włożył zdjęcia z powrotem do koperty.

– *All right* – powiedział. – Podejmę się tego. Pod warunkiem że zgodzimy się co do szczegółów.

– Co do jakich szczegółów?

– Dotyczących terminu, sposobu realizacji i honorarium.

Skinęła głową.

– Jak już wspomniałam, chodzi tylko o kilka dni. W każdym razie nie dłużej niż dwa tygodnie. Gdyby mógł pan zacząć od jutra, byłabym wdzięczna... A co pan ma na myśli, mówiąc o sposobie realizacji?

– Dwadzieścia cztery godziny na dobę czy tylko dwanaście? Stopień dyskrecji i szczegółowości... mówiłem o tym wcześniej.

Zaciągnęła się papierosem i wypuściła cienką i długą smugę dymu. Nagle przemknęło mu przez głowę, że ona tak naprawdę w ogóle nie pali i że kupiła paczkę tych gauloise'ów tylko po to, żeby zrobić wrażenie. Takie czy inne.

– Kiedy będzie poza domem – postanowiła. – To wystarczy. Zacznie go pan obserwować w chwili, gdy rano wyjdzie z domu, i skończy w momencie, kiedy do niego wróci... wcześniej lub później wieczorem.

– I nie chce pani, aby mnie zauważył.

Znowu na krótko zaległa cisza, podczas której doszedł do wniosku, że jeśli o to chodzi, jego klientka nie zdecydowała się jeszcze do końca.

– Tak – powiedziała wreszcie. – Proszę się starać, aby pana nie odkrył. Jeśli zmienię zdanie, poinformuję pana. Ile będę panu dłużna?

Zdawał się zastanawiać, bazgrząc w notesie kilka cyfr.

– Trzysta guldenów dziennie plus koszty.

Chyba nie była zaskoczona.

– I zaliczka za trzy dni. Niewykluczone, że będę musiał wynająć sobie pokój w Linden... W jakiej formie życzy pani sobie raport?

– Po każdym dniu – powiedziała bez wahania. – Chciałabym, żeby każdego dnia zadzwonił pan do mnie jakoś tak przed południem. Wtedy jestem zawsze w domu. Jeśli uznam to za konieczne, będziemy mogli się spotkać, mam jednak nadzieję, że to będzie zbędne.

Verlangen miał już na końcu języka kolejne „dlaczego?”, ale darował sobie.

– No dobrze – powiedział i oparł się wygodnie na krześle. – Czyli wszystko ustalone. Czy mogę jeszcze prosić o pani adres i numer telefonu, żebym mógł zacząć jutro od rana... no i o zaliczkę oczywiście.

Wyjęła ciemnoczerwony portfel i wyciągnęła z niego dwa pięciusetguldenowe banknoty. Oraz wizytówkę.

– Tysiąc – powiedziała. – Na razie tysiąc.

Wziął od niej pieniądze wraz z wizytówką. Kobieta wstała i podała mu rękę ponad biurkiem.

– Dziękuję, panie Verlangen. Jestem bardzo wdzięczna, że podjął się pan tego. To ułatwi... ułatwi mi życie.

Czyżby? – pomyślał, ujmując jej dłoń. Jak to? Gdy przez ułamek sekundy popatrzyła mu prosto w oczy, znowu przemknęła mu przez głowę myśl, jakby to było móc dotknąć jakiejś innej części jej ciała niż tylko mocnej i przyjemnie chłodnej dłoni.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecał.

Ściągnąwszy usta, odwróciła się na pięcie i opuściła biuro.

On stał nadal, słuchając odgłosu kroków oddalających się na schodach. Spodziewał się wręcz, że nagle zapadnie jakaś ciężka kurtyna.

Następnie otworzył lodówkę i wyjął piwo.

2

W chwili gdy wchodził do swojego ciasnego mieszkania przy Heerbanerstraat, uzmysłowił sobie, że worki do odkurzacza leżą nadal w szufladzie biurka w biurze.

Z drugiej strony, w lodówce nie została już ani jedna puszka piwa, tak więc bilans był niejako wyrównany.

Musiał zatem powściągnąć swoje ambicje w kwestii sprzątania, ale jeden dzień w tę czy w tamtą nie odgrywał większej roli. Zapach zastarzałego brudu w niewietrzonym mieszkaniu pomieszany z odorem zgnilizny, pochodzącym prawdopodobnie z osadu pod wanną, uderzył go w nozdrza niczym powitalne pozdrowienie. Nie należy pozbywać się tego, co znajome, i rozrzucać swoich rzeczy na lewo i prawo, pomyślał. Kurz też ma coś w sobie... jak już wspomniano.

Pod otworem na listy w drzwiach leżała cała sterta reklamowych ulotek i dwa rachunki. Podniósł wszystko z podłogi i rzucił na wiklinowy fotel, na którym piętrzyło się więcej podobnej makulatury. Mój dom to moja twierdza, pomyślał, otwierając drzwi na balkon. Odwrócił się znowu ku swojemu bardakowi. Spojrzał na niezasłane łóżko, niepozmywane naczynia i ogólny śmietnik. Wyłączył stereo, które musiało być włączone co najmniej całą dobę. Przypomniawszy sobie, że prawy głośnik jest zepsuty i że powinien coś z tym zrobić.

Wszedł do łazienki. Rzuciwszy okiem na swoje odbicie w brudnym lustrze, stwierdził, że wygląda o dziesięć lat starzej niż rano.

Dlaczego w ogóle zawracam sobie głowę dalszym życiem? – pomyślał, stając pod prysznicem i odkręcając wodę.

I po co dzień w dzień zadaję sobie te same optymistyczne pytania?

Godzinę później wybiła ósma i zdążył się już uporać ze zmywaniem brudnych naczyń z trzech dni. Potem usiadł przed telewizorem i obejrzał dziesięć początkowych minut wiadomości. Zabójstwo policjanta w Groenstadt i spotkanie ministrów w Berlinie w związku z zachwianiem rynku walutowego. Jakiś wściekły łabędź spowodował karambol na autostradzie pod Saaren. Wyłączył i zadzwonił do córki.

Nie było jej w domu, więc – chcąc nie chcąc – musiał zamienić kilka okrągłych zdań z nowym przyjacielem byłej żony. Konwersacja zajęła mu mniej więcej pół minuty, po czym mógł się pochwalić, że ani razu nie zaklął. Przynajmniej tyle.

W lodówce były cztery piwa i jedna butelka wody mineralnej. Zrobił sobie kanapkę z salami, żółtym serem i ogórkiem – ale bez masła, bo zapomniał je kupić – po czym po chwilowej wewnętrznej walce zdecydował się na wodę. Usiadł z powrotem na kanapie w pokoju i wyjął notatnik z zapiskami.

Barbara Hennan. Niebrzydka Amerykanka.

Kiedyś Delgado, ale teraz Hennan.

Ponieważ wyszła za mąż za tego łajdaka Jaana G. Hennana.

Z jakiegoś cholernego powodu.

G, pomyślał. Dlaczego akurat G?

I dlaczego, na litość boską, on, Maarten Baudewijn Verlangen, miał tracić swój ściśle wyliczony czas na coś tak niewiarygodnie pospolitego jak deptanie po piętach Jaanowi G. Hennanowi?

Któremu – mniej lub bardziej własnoręcznie – dopomógł znaleźć się za kratkami jakieś... – szybko policzył w myślach – dokładnie, niemal co do dnia, dwanaście lat temu. Pod koniec maja 1975. Kiedy pracował jeszcze w policji jako przyzwoity funkcjonariusz.

Kiedy miał jeszcze porządną pracę, rodzinę i prawo, by patrzeć na siebie w lustrze i nie odwracać wzroku.

Kiedy jeszcze miał przyszłość.

Zaczął się walić na początku lat osiemdziesiątych. 1981–82.

Kupno domu w Dikken. Kłótnie z Martą. Ich pożycie, z którego zeszło powietrze i przypominało... zużyty kondom.

Łapówki. Nagła szansa dorobienia sobie trochę na boku tylko dzięki temu, że popatrzy przez palce. Może zresztą wcale nie takie trochę. Bez tych dodatkowych dochodów nigdy nie daliby rady spłacić rat z odsetkami za dom; próbował wyjaśnić to potem Marcie, kiedy już wszystko wyszło na jaw i runęło, ale ona tylko bez słowa pokręciła głową i pogardliwie prychnęła.

A tamta pani? – chciała wiedzieć. O ile było to ważne dla ich małżeństwa, że

spędzał z nią noce? Czy byłby tak uprzejmy i zechciał wyjaśnić jej także i to?

Tego nie potrafił.

Pięć lat, podsumował. Minęło pięć lat od tego krachu, a ja wciąż żyję.

Zdarzały się chwile, kiedy już wcale go to nie dziwiło.

Wypił ostatnie krople wody i przyniósł sobie piwo. Przesiadł się na fotel z lampką do czytania i oparł się wygodnie.

Barbara Hennan, pomyślał, przymykając oczy.

Jak to, u diabła, możliwe, żeby taka ładna kobieta związała się z taką kreaturą jak G?

Jest to, owszem, zagadka, ale znowu nie taka nowa. W dziejach świata zdarzało się często, że kobiety zawodziła zdolność oceny mężczyzn. Błądziły między nastroszonymi pawiami i najrozmaitszymi błahostkami. Wyjął obie fotografie i przyjrzał się im przez chwilę z lekkim niesmakiem.

Dlaczego? – zastanawiał się. Dlaczego ona chce go śledzić?

Czy istnieje więcej niż jedna odpowiedź? Więcej niż jedna możliwość?

Nie sądził. To była oczywiście stara i znajoma śpiewka. Niewierny mąż i zazdrosna żona. Która chce mieć dowód jego niewierności. Czarno na białym.

Maarten Verlangen pracował już cztery lata w tym fachu i jeśli miałby podsumować, to mniej więcej dwie trzecie jego zleceń było tego rodzaju.

Jeśli oczywiście nie liczyć usług na rzecz firmy ubezpieczeniowej, ale ta działalność nie mieściła się właściwie w zakresie jego obowiązków jako prywatnego kapusia. To było coś innego; F/B Trustor potrzebował detektywa, który potrafił zweryfikować podejrzane nieprawidłowości za pomocą mało ortodoksyjnych metod, a kto lepiej nadawał się na kogoś takiego niż wyrzucony z pracy policjant? Albo, mówiąc precyzyjnie, taki, który „wolał sam odejść ze służby, niż zostać publicznie powieszony”. *Gentlemen's agreement*. O stałym etacie nie było co marzyć... ale stopniowo zleceń zaczęło przybywać – zwykle z zadowalającym wynikiem dla spółki – i współpraca kwitła. Kiedy czasem Verlangen podliczał swoje skromne przychody, stwierdzał, że połowa pochodzi z pracy na rzecz towarzystwa ubezpieczeniowego, a połowa z pozostałych prywatnych zleceń.

Zapalił papierosa, chyba czterdziestego tego dnia, próbując przywołać w pamięci obraz Amerykanki. Pani Barbary Hennan. Trzydzieści siedem? Trzydzieści osiem? Więcej nie miała. Czyli jest co najmniej dziesięć lat młodsza od swojego męża.

I dziesięć razy od niego atrakcyjniejsza. Nie dziesięć. Dziesięć tysięcy razy. Jak można być niewiernym, mając taką żonę jak Barbara. Niepojęte.

Zaciągnął się kilka razy papierosem i myślał dalej. Czy zatem możliwe, żeby chodziło o zwykły stary motyw? Czy Barbara Hennan, z domu Delgado, przysłała do niego, ponieważ podejrzewała, że jej mąż znalazł sobie inną kobietę? Po zaledwie kilku miesiącach pobytu w nowym kraju?

Czy też tak naprawdę chodzi o coś zupełnie innego? A jeśli tak, to o co?

Najchętniej spytałby ją o to wprost – kilkakrotnie podczas rozmowy miał to już na końcu języka i zwykle w takich sytuacjach nie bawił się w ceregiele – tym razem jednak coś go powstrzymało.

Być może po prostu nie chciał jej urazić. A może istniały też inne powody.

Jakie – tego nie był do końca świadom. Ani wtedy, gdy miał ją naprzeciw siebie po drugiej stronie biurka, ani teraz, kiedy siedział w swojej zapuszczonej norze i próbował opracować jakąś strategię.

Strategię? – pomyślał. Nonsens. Niepotrzebna mi żadna strategia. Pojadę tam jutro z samego rana. Przesiedzę cały dzień w samochodzie przed jego biurem, gapiąc się przed siebie. Napalę się jak smok. A zestarzałem się tak bardzo, że nie ma mowy, żeby mnie rozpoznał.

Prosta robota. Klasyka. Gdyby to był film, gdzieś tak około wpół do piątej dom wyleciałby w powietrze.

Wypił piwo i zastanowił się, czy nie pozwolić sobie na jeszcze jedno przed pójściem do łóżka. W ciągu całego dnia zatankował ich w sumie osiem. Czyli otarł się już o granicę – która wynosiła dziesięć – ale dlaczego nie miałby raz pozwolić sobie na luksus czystego sumienia?

Jeszcze dwa dla przyjemności? Gdzieś tam w głębi duszy odzywał się głos, który nieśmiało szeptał, że dziesięć dozwolonych piw w ciągu dnia to *deal* wymagający chyba przedyskutowania na nowo. Ale co tam, myślał sobie, wszystko jest względne poza śmiercią i wściekłością grubej kobiety. *So what?*

To ostatnie gdzieś wyczytał. Raczej dawno temu, w czasach kiedy jeszcze był w stanie spamiętać rzeczy znajdujące się w książkach.

Beknął i zgasił ostatniego papierosa tego dnia. W ciągu jednej minuty odbębnił wieczorną toaletę i wczuł się do rozgrzebanego łóżka. Poduszka zajeżdżała trochę nieświeżo, chorą i brudną skórą na głowie, starym zmartwieniem czy czymś w tym rodzaju. Przewrócenie jej na drugą stronę nic nie zmieniło.

Nastawił budzik na siódmą i zgasił światło.

Linden? – przemknęło mu jeszcze przez myśl. Jeśli wynajmę sobie pokój w hotelu, to przynajmniej przez parę nocy uniknę spania w cuchnącej pościeli.

Pięć minut później Maarten Baudewijn Verlangen chrapał z otwartymi ustami.

3

Belle zadzwoniła dokładnie w momencie, kiedy wyszedł spod prysznic. Jak zwykle już samo brzmienie jej głosu wystarczyło, by w jego piersi coś zapłonęło. Błędny ognik ojcowskiej dumy.

Ale wiadomość od niej nie dawała powodu do radości. Umówili się wstępnie, że spotkają się w weekend. I spędzą ze sobą cały dzień. Albo i dwa. On nie mógł się już doczekać i cieszył się na to – w ten ponuro powściągliwy sposób, w jaki nadal miał odwagę cieszyć się na pewne rzeczy i wydarzenia – ale oto wyłoniła się propozycja wycieczki łodzią na wyspy. Więc jeśli nie miałyby nic przeciwko temu...?

Nie miał. Jak mógłby bowiem odmówić swojej siedemnastoletniej córce, którą kochał ponad wszystko na świecie, wycieczki łodzią z równolatkami – zamiast kazać jej łaźać bez celu z obrośniętym tłuszczem, przedwcześnie posiwiąłym, mającym skłonność do alkoholu ojcem? Boże broń.

Na pewno? – dopytywała. Nie będzie ci przykro? Może spotkamy się w następnym weekend?

Jasne, zapewnił. Oczywiście, następny weekend w gruncie rzeczy będzie nawet dla niego lepszy. Teraz ma akurat dużo pracy.

Może mu nawet uwierzyła, w końcu nie była jeszcze taka stara.

Przesłała mu całusa przez słuchawkę i rozłączyła się. Przełknął to coś, co ścisnęło mu gardło, i zamrugał powiekami, pod którymi poczuł wilgoć. Zszedł na dół do kiosku i kupił „Allgemejne”. Zjadł śniadanie i przeczytał najświeższe wiadomości. Ty przekłety mięczaku! – pomyślał.

Był przy Aldemarckt w Linden kilka minut po dziewiątej, a kwadrans później znalazł już Kammerweg. Zaparkował naprzeciwko Willi Zefir, opuścił boczną szybę i przygotował się na czekanie.

Linden było w gruncie rzeczy niewielkim miastem. Miało dwadzieścia do trzydziestu tysięcy mieszkańców. Trochę drobnego przemysłu. Jeden znany browar, kościół z początku dwunastego wieku oraz zabudowę powstałą głównie po wojnie, składającą się z domów jednorodzinnych i niedużych bloków mieszkalnych. Leżało

w niedużej odległości od Maardam. Pamiętał, że kiedy był nastolatkiem, spotykał się z dziewczyną z Linden; była chłodna i ładna, a on nigdy nie odważył się jej pocałować. Miała na imię Margarita. Ciekawe, co się z nią stało.

Poza tym nic tu nie było. Płynąca leniwie rzeczka Megel – również ładna i pewnie też dosyć chłodna; o ile sobie przypominał, była dopływem samej Maary – wiała się spokojnie przez miasto i dalej przez równinę na północny zachód. Na południe od niej rozciągało się wzgórze, a na nim leżała ulica Kammerweg. Oddalona dobre cztery kilometry od centrum Linden z ratuszem, komendą policji, rynkiem i wszelkimi innymi cywilizacyjnymi wynalazkami i wygodami. I niedaleko wspomnianego kościoła z dwunastego wieku.

I browaru. Czuł, że zaczyna mu się chcieć pić.

Westchnął. Włożył okulary przeciwsłoneczne, mimo że słońcu nie udało się jeszcze przebić przez szaro-białą zasłonę chmur, i zapalił papierosa. Gapił się na dom, który z trudem dawało się dojrzeć między szeregami drzew i krzewów, zasadzonych wzdłuż ulicy specjalnie po to, aby zatrzymać wzrok ciekawskich. Usiłował ocenić wartość posesji.

Co najmniej milion, doszedł do wniosku. Może nawet półtora. Ale oni przecież tylko go wynajmują, o ile dobrze zrozumiał panią Hennan.

Położenie wydawało się idealne pod wieloma względami. Duża działka i coś w rodzaju lasu albo dzikiego parku po jednej stronie. Co najmniej równie duży teren po drugiej, z domkiem także w połowie zatopionym w zieleni. Domyślił się, że w nim mieszkają Trottowie – rodzina pilota z nieznośnymi dziećmi, ale przysiąc nie mógł.

Po tej stronie ulicy, gdzie zaparkował, nie stały żadne domy; tu znajdowało się tylko strome zbocze opadające ku wyasfaltowanej ścieżce rowerowej, która z kolei biegła wzdłuż rzeczki ku centrum miasta.

Idealne odseparowanie, stwierdził Verlangen z mimowolnym ukłuciem zazdrości. Dom Hennanów, który ledwie mógł dostrzec w głębi, za szpalerem zieleni, był jasnoniebieski – co trudno uznać za najładniejszy kolor fasady budynku, ale w końcu jaka to różnica? Jego własne czterdzieści pięć metrów kryło więcej cholernych odcieni, niż mógł wymyślić sam Kandinsky. Oprócz tego na terenie działki wznosiła się po prawej stronie sterylnie biała wieża do skoków... Naprawdę, o ile dobrze

widział, to była rzeczywiście wieża do skoków.

Czyli musi być też basen. A czemu by nie kort tenisowy i obszerny ogród zimowy na tyłach domu? Zastanowił się przez chwilę, jak trudno byłoby spalić całe to gówno? – najchętniej z G w środku, podczas gdy prywatny detektyw bohatercko ocaliłby z płomieni jego młodą żonę i zręcznie wyniósłby ją z nich na swych ramionach. Był jednak zmuszony przerwać te mrzonki, gdy lśniący niebieski saab wytoczył się powoli spomiędzy czarnych granitowych słupków wyznaczających podjazd do willi. Stały tam jak dwaj zastygli, ale porządnie umundurowani i trochę groźni lokaje, wyrażając niemą wzgardę dla wszelkich niechcianych gości.

Za kierownicą siedział samotny mężczyzna, a Verlangen nie miał najmniejszych wątpliwości, że był to Jaan G. Hennan we własnej osobie – mimo że widział go bardzo niewyraźnie.

No bo któż inny to mógłby być? Należało chyba zakładać, że Barbara Hennan podała mu właściwy adres.

Pozwolił saabowi oddalić się o jakieś pięćdziesiąt metrów, po czym uruchomił swoją wierną starą toyotę i ruszył za nim.

Klasyka, pomyślał nieodmiennie.

Hennan zaparkował w jednej z wąskich uliczek za kościołem i na piechotę przeszedł sto metrów do rynku. Zniknął w bramie trzypiętrowego beżowego kompleksu handlowo-biurowego w tradycyjnym stylu lat pięćdziesiątych. Verlangenowi udało się wcisnąć w wąskie miejsce parkingowe po drugiej stronie uliczki. Wyłączył silnik, zapalił kolejnego papierosa i ponownie opuścił szybę w bocznym oknie.

Skupił uwagę na szeregu pustych i bezbarwnych okien ponad lokalami usługowymi na parterze. Salon obuwniczy. Zakład pogrzebowy. Sklep masarski.

Po niespełna dwóch minutach otworzyło się okno nad zakładem pogrzebowym. Wychylił się z niego Jaan G. Hennan i wylał pół kubka kawy prosto na chodnik. Następnie zamknął okno.

Typowe, pomyślał Verlangen. Kto się chamem urodził, chamem umrze. Nawet nie próbował się rozejrzeć, czy przypadkiem nie trafi komuś na głowę.

Odchylił oparcie fotela do tyłu, aby siedzieć wygodnie. Sięgnął po strony ze

sportem „Allgemejne” i spojrzął na zegarek. Była za kwadrans dziesiąta.

No cóż, pomyślał. Czyli jesteśmy znowu w pracy.

Kiedy przeczytał dwa razy nawet nekrologi i wypalił co najmniej z dziesięć papierosów, zaczął żałować danej sobie obietnicy, że cały dzień spędzi na trzeźwo.

Gdy minęło dwadzieścia po jedenastej, pospiesznie zamienił dzień na przedpołudnie. Na dwa piwa do lunchu – jeśli w ogóle do niego dojdzie – mógł sobie chyba pozwolić po tych ołowianoszarych godzinach spędzonych na czekaniu. Monotonnych jak ćwiczenia medytacyjne w buddyjskim klasztorze. Verlangen miał dobrego przyjaciela, który kilka lat temu zatracił się na takiej drodze. W Tybecie czy Nepalu albo cholera wie gdzie.

Hennana prawie nie było widać. Pokazał się jeszcze raz w oknie i to wszystko. Stał nieruchomo przez kilka sekund, gapiąc się na chmury, jakby nad czymś rozmyślał. Albo jakby właśnie doznał lekkiego udaru mózgu. Potem się odwrócił i zniknął Verlangenowi z pola widzenia.

Obiekt. Obiekt obserwacji. Przyczyna, dla której tu siedział, tkwiąc w swoim wysłużonym japońskim ryżowarze, żeby zarobić trzysta guldenów dziennie na i tak przegwizdane życie. *Carpe diem*. Niech to szlag.

Zaczął ponownie myśleć o Hennanie. Cofnął się do dawnych – dosyć nielicznych – wrażeń, jakie odniósł, obserwując go podczas dochodzenia wstępnego dwanaście lat wcześniej.

Sam proces przebiegł dosyć gładko. Dowody przeciw Jaanowi G. Hennanowi, zwłaszcza gdy udało się skłonić kilku jego kompanów do mówienia, były obezwładniające. Przez kilka dobrych lat handlował marihuaną, heroiną i amfetaminą, zbudował sprawnie funkcjonującą siatkę i prawdopodobnie zdążył zgarnąć niejeden milion. Zwłaszcza że sam nigdy nie popadł w uzależnienie.

Innymi słowy, żadna szczególnie oryginalna historia. Ale to głównie dzięki zapamiętałej bieganinie i gorliwemu śledztwu Verlangena i jego kolegi Müllera G trafił za kratki. I dostał to, na co zasłużył – dwa lata i sześć miesięcy – co sprawiło, że oni dwaj, G i Verlangen, prawdopodobnie już nigdy nie będą wzajemnie świętować swoich urodzin czy innych jubileuszy. Nawet gdyby mieli żyć po pięćset lat.

Pamiętał lodowatą, pełną pogardy twarz Hennana podczas przesłuchania. W G nie

ma żadnej moralności, zauważył kiedyś Müller, i coś chyba w tym było. Jego pewność siebie – i żądza zemsty, pałająca gdzieś głęboko w jego mrocznym, lekko zezującym spojrzeniu, były tak porażające, że trudno było je zlekceważyć.

I te jego komentarze. Jak z jakiegoś zapomnianego filmu klasy B z lat czterdziestych.

Ja jeszcze wrócę. Miejcie się na baczności, wy cholerni kretyni!

Albo: Nie myślcie, że was zapomnę. Uważacie, że wygraliście, ale to jest początek waszego końca. Przekonacie się, wy cholerne sługusy! Zostawcie mnie w spokoju!

Pewność siebie? Tak, trudno było jej zaprzeczyć. Kiedy Verlangen sięgał pamięcią wstecz, nie potrafił – a przynajmniej nie tak na poczekaniu – przypomnieć sobie, by kiedykolwiek w swojej policyjnej karierze natknął się na kogoś równie zaciętego i egocentrycznego. W ciągu długich czternastu lat. Jaan G. Hennan miał w sobie coś niebezpiecznego. Tkwiła w nim tłąca się i powoli dochodząca do wrzenia nienawiść, z której nie dało się tak po prostu otrząsnąć. To była podświadoma mroczna obietnica zemsty i odwetu. Oczywiście pogrożki tego czy innego rodzaju są w jego branży chlebem powszednim, jednak w przypadku Hennana wydawały się wyjątkowo realne i naturalne. Były wręcz nieuchronną formą zła. Gdyby G był chorobą, a nie człowiekiem, uznał Verlangen, to byłby rakiem. To nie ulegało wątpliwości.

Cholernie złośliwym guzem w samym środku płata czołowego mózgu.

Potrząsnąwszy głową, Verlangen wyprostował się na fotelu. Czuł, że zaczynają go boleć plecy, postanowił więc trochę się przejść. Zrobi tylko małą rundkę do rynku i z powrotem, to nie więcej niż pięćdziesiąt metrów, więc nawet nie straci obiektu z pola widzenia.

Jeśli Hennan naprawdę chciałby się go pozbyć, mógł zrobić najprostszą rzecz na świecie: po prostu wymknąć się tylnym wyjściem i zniknąć. Żaden problem.

Ale dlaczego miałby robić coś takiego? Przecież nie wiedział, że jest obserwowany.

Dobry Boże, westchnął Maarten Verlangen, zatrzasnąwszy drzwi samochodu. Daj mi dwa powody, dla których warto być trzeźwym na tym świecie.

O pierwszej Jaan G. Hennan wybrał się na lunch. Verlangen znowu wysiadł z auta

i ruszył za nim przez rynek, a potem jego śladem wszedł do knajpy o nazwie Cava del Popolo. Hennan wybrał stolik przy oknie, Verlangen zaszył się w niszy w głębi lokalu. Mimo pory lunchu w środku nie było dużo ludzi, miał więc swobodny widok na swój obiekt i pełen optymizmu zamówił sobie dwa piwa do dania dnia, którym było spaghetti.

Hennan siedział tak przez czterdzieści minut. Nie wydarzyło się nic poza tym, że przeczytał gazetę, zjadł coś w rodzaju zupy rybnej i wypił buteleczkę białego wina. Verlangen zaś zdążył jeszcze zamówić kawę i koniak, po czym, żywiąc pobożną nadzieję, że uda mu się uciąć poobiednią godzinną czy nawet półtoragodzinną drzemkę, wrócił do samochodu.

I tak zrobił. Obudził się około wpół do trzeciej tylko dlatego, że słońce przebiło się przez zasłonę chmur i świeciło przez brudną samochodową szybę. Zrobiło się gorąco jak w piecu, a pod wpływem spożytego alkoholu głowa zaczynała mu pękać. Upewnił się, że granatowy saab Hennana stoi na swoim miejscu, wysiadł i poszedł do kiosku przy ratuszu kupić sobie jedno piwo i wodę mineralną.

Kiedy wypił i jedno, i drugie, było dziesięć po trzeciej. Słońce zawładnęło na dobre popołudniem i ubranie zaczęło kleić mu się do ciała. Hennan znowu pokazał się na kilka sekund w prostokącie swojego okna z telefonem przyciśniętym do ucha; pojawiła się też strażniczka miejska sprawdzająca opłaty za parking i prawie od razu zniknęła. To wszystko.

Verlangen ściągnął skarpetki ze stóp i wcisnął je do skrytki pod przednią szybą. Życie wydało się trochę przyjemniejsze, ale nie za bardzo. Zapalił dwudziesty piąty papieros tego dnia i zastanowił się, czy ma coś przedsięwziąć.

Po dwudziestym szóstym budynku nadal nie wyleciał w powietrze, nie zrobiło się też chłodniej. Verlangen poszedł do budki telefonicznej przed sklepem masarskim i zadzwonił do swojej zleceniodawczynie. Odebrała w połowie drugiego sygnału.

– Dzień dobry – powiedziała. – Dobrze, że pan dzwoni. Jak się sprawy mają?

– Świetnie – odparł Verlangen. – Idzie jak po maśle. Uznałem, że nie ma co dzwonić do pani pierwszego przedpołudnia. On, to znaczy pani mąż, jest w biurze. Spędził tu cały dzień.

– Wiem – odrzekła Barbara Hennan. – Właśnie rozmawiałam z nim przez telefon.

Będzie w domu za godzinę.

– Skąd pani wie?

– Mąż mi tak powiedział.

Aha, pomyślał Verlangen. To po co, do cholery, chcesz, żebym tu siedział i czekał do usranej śmierci?

– Myślę, że na dzisiaj może pan skończyć – kontynuowała pani Hennan. – Spędzimy cały wieczór razem, wystarczy, jeśli podejmie pan pracę jutro po południu.

– Jutro po południu?

– Tak. Proszę być na miejscu po lunchu i sprawdzić, co on zamierza i jak spędzi popołudnie i wieczór... głównie wieczór... Tak, to dla mnie ogromnie ważne, żeby wtedy nie spuszczał pan z niego oka.

Verlangen zastanowił się przez dwie sekundy.

– Rozumiem – rzucił. – Pani wola jest dla mnie rozkazem. Kolejny raport dostanie pani pojutrze, czy może tak być?

– Doskonale – skwitowała Barbara Hennan i odłożyła słuchawkę.

Jeszcze przez chwilę stał w dusznej budce, ale gdy zauważył, że zbliża się znowu pośpiesznie szary uniform strażniczki miejskiej, pospieszył z powrotem do samochodu.

Życie, gdzie twoje żądło, pomyślał. Włączył silnik i odjechał.

Mimo że miał więcej czasu niż potępione dusze w czyścicu, postanowił nie wracać do domu do Maardam. Perspektywa świeżej pościeli była zbyt nęcąca, toteż za kwadrans piąta wprowadził się do jednoosobowego pokoju w Belvederze, niewyszukanym, ale czystym hotelu przy Lofterstraat za ratuszem.

Między siódmą a ósmą zjadł kolację w hotelowej jadalni o ścianach w kolorze sepii razem z jakimś klubem pływaków z Warszawy. Spożył coś w rodzaju ragoût, co przypomniało mu jego było teściową. Może nie dosłownie ją samą, tylko raczej niedzielne dania, które miała zwyczaj przygotowywać, a o których chętnie by zapominał. Kupił sobie do pokoju dwa ciemne piwa, zdołał pokonać narastającą potrzebę zadzwonienia do córki i w końcu zasnął w samym środku jakiegoś amerykańskiego serialu o policjantach, gdzieś tak między jedenastą a wpół do dwunastej.

Pościel była chłodna i świeżo wymaglowana i jeśli nawet miniony dzień nie

skończył się tak trzeźwo, jak sobie obiecywał, do granicy dziesięciu piw został jeszcze pewien margines.

Spory margines.

Knajpa nazywała się Colombine i po dwóch łykach piwa wyglądała jak wszystkie inne knajpy na świecie.

Wreszcie zapadł wieczór. Stary maasleitnerowski zegar wiszący nad butelkami whisky w barze pokazywał pięć minut po wpół do ósmej – w ten całkowicie bezchmurny czwartek Hennan zasiedział się w swoim biurze aż do siódmej. Z jakiegoś cholernego powodu. Verlangen miał dość już od czwartej.

Ale nawykł do znużenia. Ono było jego wiernym towarzyszem przez ostatnie cztery lata, a czasami wręcz odnosił wrażenie, że to sam czas – i nic innego – najbardziej go uwiera. Niczym stare zatechłe ubranie, które najchętniej jak najszybciej zrzuciłby z siebie. Przespać rausz, obudzić się zupełnie gdzie indziej i wreszcie włożyć na siebie całkiem nowy czas.

Gdzie sekundy i minuty mają jakiś smak.

Ale następnego ranka nigdy nie pojawiał się nowy czas. Tylko wciąż ten sam niewyprany ciuch, który drapał w skórę; dzień po dniu, rok za rokiem identyczny. A nieliczne wieczory, kiedy miał odwagę kłaść się do łóżka na trzeźwo, prowadziły zawsze do tego, że nie mógł zmrużyć oka.

Opróżnił szklankę do dna i rzucił okiem w stronę Hennana. Dzieliły ich co najwyżej dwa stoliki, ale przy jednym z nich siedziało dosyć rozbawione towarzystwo: czterech wąsatych i otyłych mężczyzn w wieku około dwudziestu ośmiu lat, którzy raz po raz wybuchali salwami śmiechu, odchylali się na krzesłach do tyłu i walili pięściami w blat stołu. Sądząc po ich twardym akcencie, musieli pochodzić gdzieś z południa. Prawdopodobnie z Groenstadt. Albo z Balderslacht czy gdzieś z tamtych okolic.

W lokalu było w ogóle dużo gości, toteż skupienie uwagi na obiekcie wymagało sporej koncentracji. Mimo wszystko. Choć z drugiej strony, było wyraźnie widać, że Hennan ma zamiar coś zjeść i trochę tu posiedzieć. Marynarkę powiesił na oparciu krzesła. Przeglądał kartę, popijając jakiegoś przejrzystego drinka, prawdopodobnie dzin z tonikiem, i ani trochę się nie spieszył. Czekał na kogoś? Miejsce naprzeciw

niego przy dwuosobowym stoliku było puste. Może na kobietę, pomyślał Verlangen. Biorąc wszystko pod uwagę, ten wariant wydawał się najbardziej prawdopodobny. Na niego stawał od samego początku.

Wystarczy poczekać i zobaczyć, co czas pokaże. Verlangen postanowił także coś zjeść. Złapał kelnerkę, zamówił jeszcze jedno piwo i poprosił o menu. Wyglądało na to, że przyjdzie mu tu spędzić trochę czasu.

Dwie godziny później Jaan G. Hennan nadal był sam przy stoliku. Verlangen przeszedł blisko niego dwukrotnie, idąc do toalety, i zdążył zauważyć, że obiekt pozwolił sobie na solidny posiłek. Na co najmniej trzy dania i dwa rodzaje wina, a teraz siedział i zaciągał się cienkim czarnym cygarem, patrząc przez okno i w zadumie obracając w palcach kieliszek koniaku. Jeśli Verlangen dobrze widział, obiekt przez cały wieczór nie zamienił ani słowa z nikim poza kelnerką. Raz wybrał się do łazienki, ale co krążyło mu po głowie albo dlaczego tkwił tutaj, zamiast być w domu ze swoją ładną żoną – na te pytania Verlangen nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

W każdym razie nie sprawiał wrażenia, że siedzi i na kogokolwiek czeka. Co prawda spoglądał od czasu do czasu na zegar, ale poza tym nic nie wskazywało na jakieś umówione spotkanie: żadne rozmowy telefoniczne prowadzone w holu, żadne ociąganie się z zamówieniami, żadne przeproszające wyjaśnienia skierowane do kelnerki. Nic z tych rzeczy.

Nie miał też żadnej gazety ani książki, żeby zająć czymś czas. Verlangen też nie wziął nic takiego, on jednak znajdował się tutaj służbowo. Przez ułamek sekundy przebiegła mu przez głowę myśl, by podejść do Hennana i wylać mu za kołnierz piwo. Albo przekupić kogoś innego, żeby to zrobił. W lokalu nie brakowało lekko podchmielonych młodzieńców i na pewno udałoby się namówić któregoś z nich.

Byle tylko coś zaczęło się dziać. Znużenie i martwota znowu ogarnęły Verlangena. Zjadł coś, co podobno miało być cielęciną, ale chyba z najstarszego cielaka na świecie.

Do tego wypił cztery piwa albo pięć, aż w końcu się dostosował i poszedł w ślady Jaana G. Hennana. Zamówił sobie kawę i koniak.

Zapalił nowego papierosa, mimo że poprzedni jeszcze dymił w popielniczce.

Spojrzał na zegar. Za dziesięć dziesiąta.

Szlag by to trafił, pomyślał, i mechanicznie odmówił jakiemuś kolejnemu gościowi, który pytał, czy miejsce naprzeciw niego jest wolne. Wypij wreszcie ten cholerny koniak i zapłać rachunek! I wynieś się stąd w końcu!

Ledwie zdążył sformułować te pobożne życzenia, gdy ujrzał, że Hennan zmierza prosto do jego stolika.

Nie, pieprzo... urwał nagle.

– Czy mogę się przysiąść?

– Proszę.

– Hennan. Jaan G. Hennan.

– Verlangen,

Hennan wysunął krzesło i usiadł.

– Verlangen?

– Tak.

– Ale chyba nie Maarten Verlangen?

– A jednak.

– Tak myślałem.

– O co panu chodzi?

– Mówmy sobie po imieniu.

– Chętnie. Nie jestem jednak pewny, czy...

– Czy co?

– Czy wiem, kim pan jest... kim jesteś.

Hennan oparł swoje cygare o popielniczkę i pochylił się do przodu, kładąc łokcie na blacie.

– Nie udawaj, Maarten. Ja cholernie dobrze wiem, kim ty jesteś, a ty równie dobrze wiesz, kim ja jestem. Dlaczego tu siedzisz?

Verlangen pociągnął łyk koniaku i zastanowił się nerwowo.

– To dosyć osobliwe pytanie.

– Tak uważasz? Ale byłoby miło, gdybyś jednak na nie odpowiedział.

– Dlaczego tutaj siedzę?

– Tak.

– Bo jadłem tu kolację.

– Doprawdy? I to ma być jedyny powód?

Verlangen poczuł nagle, jak wzbiera w nim wściekłość.

– A może to ty byś mi wyjaśnił, o co ci, u diabła, chodzi? Nie mam zielonego pojęcia, kim jesteś i do czego zmierzasz. Jeśli więc nie usłyszę żadnego sensownego wyjaśnienia, to lepiej będzie, żebyś się stąd zmył, zanim zawołam kogoś z personelu!

Hennan siedział w milczeniu, przyglądając mu się spod przymrużonych powiek. Ani śladu uśmiechu. Coś mówiło Verlangeniowi, że tak musi być. Zdał sobie sprawę, że instynktownie zacisnął pięści i cofnął się o kilka centymetrów na krześle.

Żeby móc szybko zerwać się na równe nogi i w razie czego się bronić.

Idiotyzm, pomyślał, wyobraźnia płata mi figle. Przecież, do cholery, nie zacznę się tu bić. To byłby czysty...

– Glina? Dalej jesteś gliną, tak?

Verlangen zawahał się przez ułamek sekundy. Potem pokręcił głową.

– A ty?

– Co ja?

– No ty. Czym ty się zajmujesz? Jak, mówiłeś, się nazywasz?

Hennan nie odpowiedział. Wydał usta w pogardliwym grymasie. Verlangen przestał na niego patrzeć. Oparł się na krześle i skierował wzrok na sufit. Na kilka sekund zaległa cisza.

– Dlaczego nie jesteś już gliną? Wywalili cię?

Verlangen wzruszył ramionami.

– Odszedłem.

– Z własnej woli?

– Powiedzmy. Albo wyjaśnisz mi wreszcie, czego chcesz, albo wracaj do swojego stolika. Nie mam ochoty siedzieć tu dłużej i być...

Zatrzymał się, szukając odpowiedniego słowa.

– No, być co?

– Nagabywanym.

Zacisnął pięści, znowu gotowy do walki.

– Proszę, proszę, jaki wrażliwiec – powiedział Hennan, a na jego twarzy pojawił

się nagle szyderczy uśmiech. – Przecież to ja powinienem być maksymalnie wkurzony, a nie odwrotnie.

Verlangen zapalił papierosa.

– Wkurzony? Niby dlaczego?

– Jaan G. Hennan. Twierdzisz zatem, że nie pamiętasz?

Verlangen pokręcił przecząco głową. Trochę za gwałtownie, bo sala zakołysała się nieco. Niech to szlag, pomyślał. Jestem za bardzo wstawiony.

– Nic a nic.

Hennan oparł podbródek na dłoni i zdawał się zastanawiać.

– Może usiądziemy sobie w barze? I wszystko sobie wyjaśnimy. Ja stawiam.

Verlangen najpierw się zawahał, ale po chwili skinął ostrożnie głową i wstał.

– Masz dziesięć minut – powiedział. – I ani sekundy więcej.

Przy pierwszej whisky Hennan wyjaśnił, jak do tego doszło, że rozpoznał Verlangena i przypomniał sobie jego nazwisko.

Przy drugiej Verlangen przypomniał sobie dochodzenie sprzed dwunastu lat i powiedział, że jakoś wyleciało mu z pamięci. Ale teraz, kiedy Hennan zaczął wszystko odgrzebywać, to...

Przy trzeciej inicjatywę przejął znowu Hennan i opowiedział, jak to jest siedzieć przez dwa lata i sześć miesięcy w więzieniu, mimo że jest się niewinnym.

Niewinnym? – pomyślał Verlangen i znowu poczuł w sobie wściekłość. Przecież ty jesteś bardziej winny niż sam Crippen, ty kutasie!

Ale się opanował. Stwierdził tylko, że szczegóły zatarły mu się już w pamięci, w końcu minęło trochę lat. Jednocześnie zauważył, że zaczyna mieć trudności z wysławianiem się, szybko więc postanowił, że siedząc dalej w barze i w ogóle podczas całego wieczoru, musi trzymać się – niech się dzieje, co chce – jednej zasady: nie pozwoli Hennanowi się domyślić, dlaczego on tutaj jest. Pod żadnym pozorem! Musi być lojalny wobec swojej chlebobawczynie!

Hennan cały czas bajdurzył nie wiadomo o czym, ale czwarta whisky musiała wyraźnie podzielać na ośrodek słuchu Verlangena: przestał odbierać złożone sygnały dźwiękowe, zdobywał się jedynie na bąkanie i pomrukiwanie czegoś w przerwach.

Kiedy pierwszy raz spojrzął na zegar, było za pięć wpół do pierwszej. Także Hennan miał już chyba dość.

– Wystarczy – powiedział. – Pora do domu.

Verlangen zgodził się z nim i zsunął się z barowego stołka.

– Mieszkam niedaleko – oznajmił.

– Muszę zawołać taksówkę – rzekł Hennan.

Barman, piekielnie młody człowiek o kręconych rudych włosach, wtrącił się, wyjaśniając, że za rogiem zawsze czekają samochody. Pięćdziesiąt metrów dalej, w stronę Kleinmarckt, prościej tam dojść, niż dzwonić i zamawiać.

Wyszli razem na ciepłe wieczorne powietrze u progu lata. Verlangen miał trochę kłopotów z zachowaniem równowagi, ale Hennan położył mu rękę na ramieniu i zaczął go prowadzić. Kiedy doszli do żółto-czarnych aut, pożegnał się bez żadnych ceregieli, wgramolił się na tylne siedzenie, pomachał i posłał mu szeroki szyderczy uśmiech przez szybę.

Verlangen uniósł dłoń i patrzył za odjeżdżającym samochodem. Nagle poczuł się potwornie niekomfortowo i nie bardzo umiał zrozumieć dlaczego. Ogólnie rzecz biorąc, Hennan zachowywał się przyjaźnie, a powód, dla którego jego żona chciała mieć na niego oko, wydawał się jeszcze bardziej niejasny niż do tej pory.

Ale Verlangen zbratał się z obiektem. W najgorszy sposób. Siedział z nim, klepał trzy po trzy, bełkotał i wypił pioruńsko dużo whisky... oprócz piwa i koniaku, i tylko Bóg jeden wie, co mu powiedział, a czego nie powiedział.

Wracając do hotelu, parę razy poszedł w złą stronę. W końcu wylądował na cmentarzu, gdzie skorzystał z okazji i odlał się w cieniu jakiejś trupiarni i pojemników na śmieci.

W końcu jakoś trafił do Belvederu, a kiedy dotarł do swojego pokoju, było już piętnaście po pierwszej. Verlangen nie był tego świadomy, ale przy pomocy kilku niezależnych obserwatorów i świadków godzina jego przybycia do hotelu zostanie później ustalona ponad wszelką wątpliwość.

Aspirant policji Wagner ziewnął i zerknął na zegarek. Było pięć po wpół do drugiej.

Potem spojrzął na krzyżówkę. Jeszcze jej nie rozwiązał.

Przynajmniej w większości. Wypełnił tylko osiem kratek. Dwa wyrazy. I nie miał pewności, czy są właściwe.

Żeby zająć sobie czymś czas, zaczął liczyć puste kratki.

Dziewięćdziesiąt cztery. Raczej nie można powiedzieć, żeby posunął się daleko.

Zastanowił się, czy nie powinien jednak położyć się choć na trochę. Przecież nie musi być cały czas na nogach tylko dlatego, że ma dyżur. Wystarczy, że jest na miejscu i w razie czego będzie mógł odebrać telefon. Instrukcje pod tym względem są równie jasne i jednoznaczne jak wszystko inne w komisariacie.

W komisariacie w Linzhuisen. Wagner pracował tutaj już prawie od roku i całkiem mu się podobało. Miał dwadzieścia pięć lat i był w stanie sobie wyobrazić, że pozostanie policjantem do końca życia.

Koledzy z pracy byli mili, zarówno Gaardner, jego przełożony, jak i Willumsen, z którym zwykle grywał w tenisa.

Linhuisen nie był samodzielną jednostką policji, tylko podlegał Linden, gdzie urzędował także szef, komisarz Sachs. W Linden załoga była trochę liczniejsza; składała się z dwóch inspektorów, trzech albo czterech posterunkowych i asystentów.

Nocą dzielono się dyżurami. Ostatecznie nie było sensu, żeby i w Linden, i w Linzhuisen każdej nocy siedział aspirant czy inspektor i podsypiał; w końcu obie miejscowości dzieliło zaledwie dwanaście kilometrów, a jeśli było trzeba podjąć jakąś akcję, to i tak musiano wzywać posiłki. Obudzić kolegów będących w domu pod telefonem albo dzwonić do Maardam.

W przypadku Wagnera taki system pracy oznaczał, że miewał nocny dyżur w komisariacie cztery razy w miesiącu, co wcale mu nie przeszkadzało.

Wręcz przeciwnie. Te samotne nocne godziny miały w sobie coś wyjątkowego i bardzo mu odpowiadały. Lubił siedzieć w pogrążonym w przytłumionym świetle

komisariacie i czuwać nad porządkiem i prawem, podczas gdy cały świat spał zasłużonym snem. Gotów zorganizować akcję, gdy tylko któryś z poszkodowanych obywateli będzie potrzebował jego wsparcia – czyż to nie ta właśnie rola stanowiła jeden z najważniejszych, choć może nie najczęściej wymienianych motywów, spośród tych, które sprawiły, że cztery lata temu postanowił starać się o przyjęcie do szkoły policyjnej?

Czuwać nad życiem i dobytkiem obywateli oraz być najważniejszym gwarantem ich bezpieczeństwa.

Czasami, kiedy tego rodzaju myśli same przychodziły do głowy aspirantowi Wagnerowi, zastanawiał się, czy nie powinien ich spisywać. Może dałoby się je wykorzystać w procesie nauczania i przy rekrutacji. Dlaczego nie?

I właśnie te uczucia powodowały, że nie był skłonny się położyć i zasnąć. Chociaż jeśli nic się nie zdarzy – a prawie nigdy nic się nie działo – nad ranem i tak się podda i przyśnie, dobrze o tym wiedział. Po wpół do trzeciej na próżno się starał – wtedy nie sposób było nie kimnąć, nie pomagały już żadne krzyżówki świata.

Przygryzał koniec ołówka, popijał kawę i usiłował się skupić.

Cztery pionowo, siedem liter, druga a: literacki oprawca z Paryża.

Warto by od czasu do czasu przeczytać jakąś książkę, pomyślał Wagner i westchnął.

Znowu spojrzął na zegarek. Za kwadrans druga.

Wtedy zadzwonił telefon.

Komisarzowi Sachsowi śniło się, że jest delfinem.

Młodym, zgrabnym delfinem pływającym w chłodnych szmaragdowych wodach morza wśród całego stada samiczek. On i one wywijali fikołki, przemykali blisko siebie, wyskakiwali zwinnie ponad lśniąca w słońcu taflę wody i z powrotem zanurzali się w toni. Pocierali się grzbietami i brzuchami w radosnym i pożądlwym tańcu.

Chcę tu zostać na zawsze, pomyślał. Chcę do końca życia być zwinnym delfinem otoczonym lubieżnymi samiczkami.

Dzwonek telefonu niczym ostrze piły przeszył mu kręgosłup i mózg. Chwycił za słuchawkę, nie otwierając oczu.

– Sachs.

– Pan komisarz?

– Hmm...

– Tu Wagner.

– Kto?

– Aspirant Wagner z Linzhuisen. Mam nocny dyżur i właśnie dostałem...

– Która godzina?

– Za siedem druga. Właśnie dostałem informację... Mówiąc precyzyjnie, o pierwszej czterdzieści pięć... o martwej kobiecie.

Sachs otworzył oczy. Zaraz zamknął je znowu.

– Tak?

– To był mężczyzna. To znaczy ten, co dzwonił. Jego żona nie żyje... Hennan, tak się nazywa... Jaan G. Hennan. Mieszkają w Linden, więc pomyślałem sobie...

– Chwilę. Przejdę do innego aparatu.

Sachs wstał z łóżka i poczłapał do swojego pokoju. Sięgnął po słuchawkę telefonu stojącego na biurku.

– Mów dalej.

– Oczywiście zaraz wezwę lekarza i tak dalej, ale pomyślałem sobie, że najpierw uprzedzę pana komisarza.

– W porządku. Ale co się stało? Spróbuj się trochę uspokoić.

Wagner odchrząknął i zaczerpnął głęboko powietrza.

– Ona nazywała się Barbara Hennan. Oboje mieszkali przy Kammerweg, to chyba jest trochę dalej od centrum...

– W Linden, tak?

– Tak.

– Wiem, gdzie to jest.

– Oczywiście. No więc ten mężczyzna, Jaan G. Hennan, zdaje się, wrócił dosyć późno do domu... około wpół do drugiej czy jakoś tak... i znalazł swoją żonę w basenie.

– W basenie?

– Tak.

- Utopioną?
- Nie, przeciwnie.
- Przeciwnie? Co, u diabła, ma pan na myśli?
- Ona leżała... to znaczy leży na dnie, tak powiedział...
- I nie utopiła się?
- Nie. Widocznie w basenie nie ma wody.

Sachs spojrział prosto przed siebie i zahaczył wzrok na oprawionym w ramki zdjęciu dwójki swoich dzieci wiszącym ponad biurkiem. Były bliźniakami, ale poza identycznym kolorem włosów i tymi samymi rodzicami różniły się wszystkim, czym tylko może się różnić dwoje ludzi.

- Nie ma wody?
- On tak twierdzi. Więc ona leży na dnie, według niego musiała tam spaść i się zabić.

Sachs zamyślił się.

- *All right*. Jakie dałeś mu wskazówki?
- Że ma zostać w domu i poczekać, aż przyjedziemy.
- Czy coś wskazuje na popełnienie przestępstwa?
- No... no nie, ale uważałem, że będzie najlepiej, jeśli...
- Jasne. Czy uzyskałeś od niego jeszcze jakieś informacje? Jakie robił wrażenie?
- Był chyba pijany.
- Ach tak. Jak bardzo?
- Nie wiem. Trudno powiedzieć, ale chyba dosyć... tak przypuszczam.

Sachs westchnął.

- Więc to mógł być głupi żart? Ktoś próbuje sobie z nas zakpić. Teoretycznie.
- Teoretycznie tak. Ale raczej nie patrzyłbym na to w ten sposób. Chyba niezależnie od wszystkiego musimy...
- Jasne. Jasne. Mówiłeś, że jaki to adres?
- Kammerweg cztery. Nazwisko Hennan.

Sachsowi udało się znaleźć jakiś długopis, więc zanotował to, co usłyszał.

- Widzimy się na miejscu za dziesięć minut – powiedział. – Jeśli dotrzesz tam pierwszy, poczekaj na mnie i nie wchodź sam. I zawiadom lekarza, z resztą się

wstrzymajmy, dopóki nie sprawdzimy, jak sprawa wygląda. Zrozumiałeś?

– Tak jest – zapewnił Wagner.

– Doskonale. To do roboty! – rzucił Sachs i odłożył słuchawkę.

Wrócił do sypialni. Kiedy włączył nocną lampkę, aby zabrać swoje ubranie, jego żona Irene przewróciła się na drugi bok, mamrocząc coś przez sen. Przyjrzał się jej przez chwilę.

Faktycznie, pomyślał. Chyba trochę przypomina delfina. Przynajmniej z twarzy.

Chwycił ubranie, zgasił lampkę i bezszelestnie wymknął się do kuchni.

Aspirant Wagner nie dotarł jeszcze na miejsce, ale lekarz sądowy Santander już tam był. Kiedy Sachs przedarł się przez niemal kompletnie zarośnięty ogród, ujrzał go pogrążonego w rozmowie z postawnym mężczyzną około pięćdziesiątki, który stał obok leżaków na brzegu basenu.

Widział ich obu bardzo wyraźnie już z daleka, ponieważ cały teren wokół basenu był oblany światłem. Spora liczba reflektorów umieszczonych na drzewach była włączona i kiedy komisarz wyłonił się z ciemności, lekarz lekko drgnął; wyglądał na niemal wystraszonego. Sachs przez chwilę miał wrażenie, że trafił na plan zdjęciowy jakiegoś filmu, i wcale niełatwo mu było pozbyć się tego uczucia, mimo że Santander, rozpoznawszy go, przywitał go szerokim uśmiechem. Zaraz przedstawił go barczystemu mężczyźnie.

– Witam – powiedział gospodarz, wyciągając do niego rękę. – Nazywam się Hennan. Jaan G. Hennan. Tam, na dole, leży moja żona.

Wskazał dłonią, w której między palcem wskazującym a środkowym trzymał cienkie, czarne cygaro. W drugiej ręce miał szklanekę. Sachs podszedł na brzeg basenu i spojrzał w dół.

Na dnie pustego i nadspodziewanie głębokiego zbiornika, kilka metrów od frontowej ściany, leżało na brzuchu kobiece ciało. Denatka miała na sobie jednoczęściowy kostium kąpielowy w czerwonym kolorze, ręce były rozrzucone pod dziwnym kątem, a pod jej głową utworzyła się niewielka kałuża krwi, ostro kontrastująca z białymi kafelkami. Włosy były również czerwonawe, ale o nieco jaśniejszym odcieniu. Sachs ani przez chwilę nie wątpił, że kobieta nie żyje, mimo że dzieliła go od niej odległość piętnastu do dwudziestu metrów.

– Jak można zejść na dół? – spytał.

– Tam są schodki – wskazał Santander. – Obejrzałem ją powierzchownie – wyjaśnił, poprawiając ciężkie okulary w rogowej oprawie. – Wygląda na to, że było tak, jak mówi pan Hennan. Ona musiała tam spać i... zabiła się na miejscu.

Sachs kilkakrotnie przeniósł spojrzenie z lekarza na męża ofiary, który odstawił szklanekę.

– O której pan ją znalazł? – spytał komisarz.

Hennan spojrział na swój złoty zegarek.

– Dobrą godzinę temu – stwierdził. – Wróciłem do domu i nigdzie jej nie było, więc wyszedłem na dwór i... no tak...

Rozłożył ręce w niejednoznacznym geście. Obrócił się i przez chwilę patrzył na ciało na dnie pustego basenu. Sachs zaś próbował nawiązać kontakt wzrokowy z Santanderem, ten jednak sięgnął po swój kuferek lekarski i wyjmował z niego jakieś instrumenty.

– To jest po prostu zbyt straszne – odezwał się znowu Hennan i zaciągnął się dymem z cygara. – Zbyt potworne.

Sachs pokiwał głową, starając się jednocześnie wyrobić sobie o nim zdanie. Mężczyzna był wyraźnie wstawiony, ale jednocześnie starał się zachować kontrolę i dystans, co w zaistniałych okolicznościach wydawało się wręcz absurdalne. Jakby chodziło o chorego psa czy coś w tym rodzaju, a nie o zmarłą żonę. Był ubrany w jasne lniane spodnie i niebieską koszulę z krótkimi rękawami wyrzuconą swobodnie na wierzch. Miał bose stopy. Pewnie zanim zaczął szukać żony, zdjął buty i skarpetki, domyślił się Sachs.

Ładnie opalony i wysportowany. Ciemne, lekko szpakowate, krótko obcięte włosy, które nie wyglądały bynajmniej na przeredzone. Mocna twarz o szerokich ustach i bardzo głębokich oczodołach.

– Jak się pan czuje?

Hennan zdawał się rozważać kilka możliwych odpowiedzi, zanim się odezwał.

– Sam nie wiem – rzekł. – Niestety nie jestem do końca trzeźwy.

Sachs znowu pokiwał głową.

– Ale chyba przeżyłem szok... czy coś w tym rodzaju.

– Reakcja zwykle pojawia się dopiero później – wtrącił lekarz. – Musi upłynąć trochę czasu.

– Oczywiście będę musiał zadać panu wiele pytań – oznajmił komisarz. – Proponuję jednak, abyśmy poczekali na mojego kolegę, który powinien tu być lada chwila.

– Dlaczego musi pan...? – zaczął Hennan, lecz Sachs przerwał mu szybko.

– Choć wygląda to na wypadek, nie możemy rzecz jasna wykluczyć, że mamy do czynienia z czym innym.

– Z czym innym? – powtórzył Hennan, ale odpowiedź chyba nasunęła mu się zaraz sama. – Ma pan na myśli...?

– Właśnie – odparł Sachs. – Nigdy nie wiadomo. O, proszę, mamy już naszego aspiranta!

Aspirant Wagner wyłonił się z ciemności i przywitał wszystkich. Komisarz odnotował, że jego mundur wygląda tak, jakby dziesięć minut wcześniej wyszedł spod igły.

– Zadzwoń do Maardam i poproszę o wsparcie – powiedział Santander. – Może zanim przyjadą, ma pan ochotę zejść na dół i sam rzucić okiem?

Sachs zastanowił się chwilę.

– Nie – zdecydował. – Poczekać. Ale proszę zabrać ze sobą aspiranta Wagnera, ja w tym czasie porozmawiam z panem Hennanem.

Jeśli znajdą się podstawy, by przypuszczać, że mają do czynienia z przestępstwem, wtedy sprawę i tak przejmie policja kryminalna z Maardam, pomyślał. A młode oczy Wagnera są i tak lepsze od moich starych, uznał.

Lekarz wraz z aspirantem ruszyli w stronę drabinki po przeciwległej stronie basenu, Sachs natomiast wskazał ręką na leżaki. Hennan skinął głową nieco nieobecny, po czym obaj usiedli. Komisarz wyjął notes.

– Zadam panu kilka pytań – zaczął. – To rutynowe postępowanie. Taki mamy obowiązek, proszę więc nie brać tego do siebie.

– Rozumiem – odpowiedział Hennan i zapalił cygaro, które właśnie zgasło.

– Pana pełne nazwisko?

– Jaan Genser Hennan.

- A pańskiej żony?
- Barbara Clarissa Hennan.
- Nazwisko panińskie?
- Delgado.
- Wiek?
- Skończyłaby... skończyłaby trzydzieści pięć lat w sierpniu.
- Czyli była nieco młodsza od pana?
- Piętnaście lat. Co to ma wspólnego ze sprawą?

Sachs wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie nic. Mieszkacie tutaj?
- Oczywiście.
- Dzieci?
- Nie mamy.
- Ładne miejsce. Od jak dawna tu mieszkacie?

Hennan zaciągnął się cygarem i zaczął bawić się szklanką, nie podnosząc jej do góry.

– Wynajmujemy ten dom. Moja żona jest... była... Amerykanką. Przez wiele lat mieszkaliśmy w Denver, wiosną sprowadziliśmy się tutaj.

- Pan pochodzi stąd?
- Urodziłem się i wychowałem w Maardam.
- Rozumiem. Czym się pan zajmuje?
- Mam firmę importową.
- Gdzie?
- Tu, w Linden. Na razie tylko niewielkie biuro przy Aldemarckt.
- Co pan sprowadza?

– Różne rzeczy. To, co się opłaca, głównie elektronikę z południowo-wschodniej Azji. Podzespoły do urządzeń muzycznych, minikomputery i temu podobne.

Sachs pokiwał głową, uznając, że jako informacje wstępne to w zupełności wystarczy.

- Proszę opowiedzieć, co się stało dzisiejszej nocy.

Hennan założył nogę na nogę i jakby się zawahał.

– Nie ma wiele do opowiadania – stwierdził. – Jak już mówiłem, przyszedłem do domu i znalazłem ją tam, na dole...

– Czy zanim zadzwonił pan na policję, zszedł pan na dno basenu i sprawdził, czy żona nie żyje?

– Tak, oczywiście. Sprawdziłem nawet puls, chociaż i tak nie miałem nadziei, bo była już całkiem zimna.

– Czy lekarz wspominał panu, jak długo żona może tam leżeć?

– Twierdzi, że kilka godzin.

– Co według pana się zdarzyło?

Hennan ze zdziwieniem uniósł brwi i przez kilka sekund przyglądał się komisarzowi.

– To raczej dosyć oczywiste. Spadła na dno... albo skoczyła.

– Skoczyła? Chce pan przez to powiedzieć, że odebrała sobie życie? Dlaczego pan tak sądzi...?

– Wcale tak nie sądzę! – przerwał mu ze wzburzeniem Hennan. – Niech pan uważa, co pan mówi, człowieku! Moja żona leży tam martwa, a ja nie zamierzam wysłuchiwać bzdur, że zrobiła to specjalnie... to nie wchodzi w rachubę. To jest kompletnie wykluczone, słyszy pan?

– Słyszę – zapewnił Sachs. – Myślę jednak, że to trochę dziwne, że mogłaby...

– W basenie nie ma wody – powiedział z wściekłością Hennan. – Chyba zdążył pan to zauważyć?

Sachs splótł dłonie na swoim prawym kolanie i zrobił krótką przerwę.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Że ona o tym zapomniała.

– O czym zapomniała?

– Że wczoraj spuściłem wodę z basenu.

– Aha.

– Aha? Co to ma znaczyć?

– Spuścił pan wodę z basenu, powiada pan. A dlaczego?

Hennan prychnął i wobec ignorancji komisarza pokręcił głową w melodramatycznym geście.

– Dlatego że od czasu do czasu trzeba to zrobić. Basen wymaga pewnych napraw. Jutro przychodzą fachowcy... właściwie dzisiaj.

Spojrzał na zegarek. Sachs zrobił to samo.

Za dziesięć trzecia nad ranem.

– Czyli opróżnił pan basen z wody. A pańska żona zapomniała, że jest pusty, i wskoczyła do niego. Tak pan to widzi?

– A jak inaczej można to widzieć?

Sachs ponownie odczekał kilka sekund, usiłując ocenić stopień prawdopodobieństwa teorii Hennana.

– Ale równie dobrze mógł ją tam ktoś zepchnąć – powiedział potem. – Na przykład pan.

Twarz Hennana zmieniła kolor.

– Do jasnej cholery, przecież ja od przedpołudnia byłem w Linden – rzucił.

– W swoim biurze?

– Tak. Rano spuszczałem wodę, to zawsze trwa kilka godzin. W pracy byłem zaraz po jedenastej, o ile dobrze pamiętam.

– A żona?

– Wcześniej rano pojechała do Aarlach. Chciała poszukać jakiegoś zestawu porcelany... jesteśmy kolekcjonerami. Miała nadzieję, że natrafi na coś ciekawego w Hendermaag's.

– W Hendermaag's? – powtórzył Sachs, który też miał bzika na punkcie porcelany.

– Tak. Jestem już tym trochę zmęczony, komisarzu. Wracam do domu i znajduję żonę martwą, a kiedy wzywam policję, pan zaczyna mnie przesłuchiwać, jakbym...

– Jakby co?

– Jakbym to ja był podejrzany. Szczerze przyznaję, że nigdy nie miałem specjalnego zaufania do władzy porządkowej, ale to tutaj przechodzi wszelkie...

– Proszę się tak nie gorączkować – przerwał mu Sachs. – Niech pan nie bierze tego do siebie. Przecież mówiłem panu, że to rutynowe postępowanie. Jeszcze tylko kilka pytań i zostawię pana w spokoju. Gdzie pan był dzisiaj wieczorem?

Hennan dał wyraz swojemu niezadowoleniu, przez chwilę milcząc i paląc cygaro.

Komisarz patrzył na niego i cierpliwie czekał.

– Jak już wcześniej wyjaśniłem, po skończonym dniu pracy poszedłem coś zjeść. Tak się umówiliśmy z żoną, ponieważ ona nie wiedziała, o której wróci z Aarlach, ale na pewno nie na tyle wcześnie, by zdążyć coś ugotować.

– Czy kontaktował się pan z nią w ciągu dnia?

– Nie.

– A wieczorem?

Hennan pokręcił przecząco głową.

– Ani razu przez cały dzień?

– Nie. Po południu zadzwoniłem do domu, ale nikt nie odebrał.

– O której to było?

– Chyba między piątą a wpół do szóstej.

– Czyli nie wie pan, kiedy pańska żona wróciła z tej wyprawy do Aarlach?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Hennan, nadal obracając szklankę w dłoni. –

Nie mam bladego pojęcia.

Sachs postanowił zmienić temat.

– Wyjątkowo duży basen – stwierdził.

Gospodarz potaknął od niechcienia głową i bąknął coś pod nosem.

– I głęboki. Ta wieża do skoków też nie jest typowa, prawda?

– To już sprawa tego, kto wybudował to szataństwo – rzucił Hennan.

– Co pan ma na myśli?

– No, właściciela tej budy. Jego żona uprawiała skoki do wody. Więc podarował jej ten przekłety basen... i tę wieżę... w prezencie ślubnym. Moja żona...

– Tak?

– Moja żona też lubiła nurkować. Wie pan, ile wynosi odległość do dna od szczytu wieży?

Sachs pokręcił głową i nagle poczuł ciarki na plecach, gdy spojrzał w górę na oślepiająco białą betonową konstrukcję.

– Czternaście metrów! Dziesięć plus cztery! Czternaście metrów, wyobraża pan sobie? Nic dziwnego, że się zabiła.

Komisarz zamknął notes i się wyprostował.

On ma rację, pomyślał. Nic dziwnego, że się zabiła.

W mroku ogrodu rozległy się kroki, ale zanim wyłoniła się z niego ekipa z Maardam, Sachs zdążył zadać jeszcze jedno pytanie:

– Ale że ona tego nie zauważyła? – rzucił. – Że w basenie nie ma wody?

Hennan zdawał się nie być zdecydowany, czy ma odpowiedzieć, czy nie.

– Musiało być ciemno – rzekł. – To ja włączyłem reflektory, kiedy jej szukałem. Myślę, że też była trochę pijana.

– Dlaczego tak pan uważa?

– Dlatego, że ten wasz doktorek tak twierdzi. No, teraz to już chyba wystarczy.

– No dobrze – zgodził się Sachs. – Dziękuję za współpracę.

Podniósł się z leżaka, aby przywitać się z lekarzem sądowym Meussem, którego znał co prawda od młodości, jednak ani trochę go nie rozumiał. Ale jak się domyślał, nie był jedyny.

– Dobry wieczór – rzucił.

– Dzień dobry – odpowiedział mu Meusse. – Gdzie mamy ciało?

– Żona leży na dnie basenu – wyjaśnił Hennan, który także wstał. – To jakaś inwazja czy co? Ja w każdym razie idę teraz do łóżka.

Meusse przyjrzał mu się przez kilka sekund sponad oprawek okularów z wyraźnym zainteresowaniem.

– Proszę bardzo – powiedział po chwili, przeciągając dłonią po swej лысеj czaszce.

– Miłych snów.

6

Kiedy komisarz Van Veeteren wyszedł z Bismarckiem na ulicę, dochodziło wpół do siódmej rano i słońce nie zdążyło się jeszcze wyłonić zza ciasno stłoczonych brudnobrązowych czynszowych kamienic po drugiej stronie Wimmergraacht.

Zapowiadał się w miarę przyjemny dzień. Mogło być jakieś dwadzieścia stopni, a zważywszy na to, że Maardam to miasto, w którym w trzy poranki na pięć wieje jak cholera, a co drugi dzień pada, na razie nie było większego powodu do narzekań.

Przynajmniej jeśli chodzi o pogodę.

Co najwyżej na wczesną porę. Jego żona Renate obudziła go szturchnięciem łokcia, twierdząc, że Bismarck skomle i chce wyjść. Nie zastanawiając się wiele, wstał, ubrał się, wziął rosłą nowofundlandkę na smycz i pomaszerował. Obudził się chyba dopiero na skrzyżowaniu Wimmerstraat i Boolsweg, kiedy tramwaj ze zgrzytem i piskiem wziął zakręt, przesywając mu na wylot błonę bębenkową.

Ocknął się jak nowo narodzony.

Bismarck ciągnął go z nosem przy asfalcie. Cel był wiadomy. Park Randera. Pięć minut w jedną stronę, dziesięć minut na obwąchiwanie i załatwienie pilnej potrzeby w zaroślach, pięć minut z powrotem. Van Veeteren przemierzał tę trasę regularnie i czasami się zastanawiał, czy jego stara wierna suka naprawdę ma aż tak wielką ochotę na ten obowiązkowy poranny spacer.

Może odbywała go tylko po to, aby wyświadczyć przysługę ludziom, u których mieszka. Bo przecież powinni wyjść co rano na świeże powietrze i trochę się rozruszać – co dziwne, robili to na zmianę – ale Bismarck był do dyspozycji w każdą pogodę.

To przerażająca myśl, jednak kto wie.

Początkowo w ogóle nie wchodziło w rachubę, żeby Van Veeteren miał wziąć na siebie te poranne ćwiczenia. Bismarck był psem jego córki Jess. Dostała go osiem lat temu. Po jedenastu miesiącach nieustępliwych targów.

Wtedy ona miała trzynaście lat. Dziś ma dwadzieścia jeden i wyjechała na rok na studia do Paryża. Na Sorbonie. Mieszka tam w czymś w rodzaju internatu,

w maciupeńkim pokoiczku, nienadającym się do trzymania w nim nowofundlandczyków. Ani żadnych innych zwierząt. Ani tym bardziej francuskiego chłopaka.

Tak więc Bismarck musiał zostać w Maardam.

Właściwie w domu był jeszcze syn Erich. Miał piętnaście lat, ale nie przepadał za wychodzeniem rano z psem. Po wyjeździe starszej siostry do Paryża robił to co prawda od czasu do czasu, tego ranka jednak nie było go w domu.

Bóg jeden wie gdzie on się podziewa, przemknęło nagle przez głowę Van Veeterenowi.

Erich zadzwonił poprzedniego wieczoru około jedenastej; rozmawiał z matką i oznajmił jej, że jest w Löhr i przenocuje u swojego kumpla. Chodzili do jednej klasy – albo do równoległych – a rano miał ich podrzucić do szkoły ojciec kolegi.

Jak nazywa się kolega? – spytał Van Veeteren, kiedy żona odłożyła słuchawkę i zrelacjonowała mu rozmowę.

Nie pamiętała. Jakoś na M, chyba wcześniej o nim nie słyszała, tak przynajmniej jej się wydawało.

Van Veeteren był ciekaw, czy syn zabrał bieliznę na zmianę i szczoteczkę do zębów, ale nie miał ochoty dłużej sprzeczać się z żoną.

Bismarck skręcił do parku, wyniośle ignorując świeżo ufryzowanego pudła, który po pomyślnym załatwieniu swoich spraw wracał już ze swoją panią.

Któregoś dnia będę musiał porozmawiać z Erichem, uznał Van Veeteren, wyciągając z kieszeni paczkę westów. Najwyższa pora.

Zapalił papierosa i zdał sobie sprawę, że ta myśl nawiedza go już od roku. W dosyć regularnych odstępach czasu.

Zjadł śniadanie razem z żoną. Żadne z nich nie powiedziało ani słowa, mimo że spędzili przy stole w kuchni, nad gazetami, dobre pół godziny.

Może przydałoby się porozmawiać kiedyś także z Renate, doszedł do wniosku, zamykając za sobą drzwi wejściowe. Chyba już czas.

Czy też powiedzieli już wszystkie słowa?

Kto to wie. Byli małżeństwem przez piętnaście lat, rozwiedli się, ale przez dwa lata nie zdołali się od siebie wyprowadzić, no i siedem lat temu pobrali się znowu.

Dwadzieścia cztery lata, podsumował. Z grubsza licząc, to połowa mojego życia.

Od dwudziestu czterech lat był też w policji. Jakby jedno z drugim miało jakiś związek. Połówki życia razem stanowiące całość, przemknęło mu przez głowę.

Bzdura. Pół kaczki i pół orła to żaden ptak.

Doszedł do wniosku, że to idiotyczne porównanie, i w czasie dalszej drogi na komendę usiłował przypomnieć sobie, ile razy kochał się z żoną w ciągu ostatniego roku.

Doliczył się trzech.

Przy wielkodusznym podejściu. Bo ten ostatni raz – w kwietniu – właściwie trudno było przyporządkować do kategorii „kochanie się”.

Lecz z drugiej strony nie pasował też do żadnej innej.

Samo życie, stwierdził w duchu, o mały włos nie wdepnąwszy w kałużę rzygowin na chodniku. Mogło być oczywiście jeszcze gorzej, ale czy, do jasnej cholery, nie mogłoby też być lepiej?

Po drodze do swojego pokoju na trzecim piętrze natknął się na inspektora Münstera.

– Sprawa Kaunisów – przypomniał mu. – Jak idzie?

– Na razie zastój – oznajmił Münster. – Żadnego z przesłuchań, o których mówiliśmy, nie da się przeprowadzić wcześniej niż w przyszłym tygodniu.

– Niby dlaczego?

– Bo jeden jest w Japonii, a drugi dziś przed południem ma operację.

– Ale przeżyje?

– Raczej tak. Chodzi o żylaki.

– Rozumiem – powiedział komisarz. – Jeszcze coś?

– Obawiam się, że tak – odparł inspektor. – Odezwie się do komisarza Hiller... jeśli dobrze zrozumiałem, coś wydarzyło się w Linden.

– W Linden?

– Tak. Jakbyśmy nie mieli ważniejszych spraw, chociaż chwilowo akurat...

– Zobaczymy – przerwał mu Van Veeteren. – W razie gdybym cię potrzebował, będziesz u siebie?

– Jestem zavalony papierami – westchnął Münster i ruszył dalej korytarzem.

Van Veeteren, wszedłszy do swojego pokoju, stwierdził, że czuć w nim jak na kawalerskiej stancji. Co prawda nigdy w czymś takim nie mieszkał, ale odwiedził parę podobnych lokali służbowo.

Otworzył szeroko okno i zapalił papierosa. Wciągnął dym głęboko w płuca. Kolejny ranek w moim życiu, pomyślał, dochodząc jednocześnie do wniosku, że najchętniej jeszcze położyłby się na krótko.

Czy istnieje właściwie jakiś przepis, który zabrania posiadać łóżko w swoim pokoju w pracy?

– No więc mamy sprawę w Linden – powiedział Hiller, wlewając wodę do doniczki z żółtymi gerberami. – Chyba powinniśmy tam pojechać i trochę się rozejrzeć.

– A o co chodzi? – spytał Van Veeteren i objął spojrzeniem rośliny komendanta. Było ich chyba ze trzydzieści: na parapecie dużego panoramicznego okna, na biurku, na niewielkim stoliku w rogu i na półkach regału. To zaczyna wyglądać na obsesję, pomyślał, zastanawiając się, czego to mogło być objawem. Uprawianie róż stanowi namiastkę namiętności, wyczytał gdzieś kiedyś, lecz hodowla Hillera w jego gabinecie na czwartym piętrze komendy policji była znacznie bardziej złożonej natury. Van Veeteren miał dość ograniczoną wiedzę botaniczną, potrafił jednak rozpoznać zarówno aspidistrę, jak i hortensje czy jukę.

No i gerbery. Szef policji odstawił konewkę.

– Martwa kobieta. Na dnie basenu.

– Utopiła się?

– Nie. Z całą pewnością się nie utopiła.

– Nie?

– W basenie nie było wody. Czyli trudno się utopić. Wręcz nie sposób.

Krzywy, ledwie zauważalny uśmiezek sugerował, że Hiller właśnie pozwolił sobie na przejaw poczucia humoru. Van Veeteren usiadł na krześle dla gości.

– Morderstwo? Nieumyślne spowodowanie śmierci?

– Raczej nie. Prawdopodobnie po prostu do niego wpadła. Albo skoczyła przez pomyłkę. Jest jednak trochę niejasności i Sachs poprosił nas o pomoc. Nie do końca można na niego liczyć po tym niewielkim wylewie... chyba pamiętasz? On sam

chyba zdaje sobie z tego sprawę, ale został mu już tylko rok do emerytury.

Van Veeteren westchnął. Współpracował z komisarzem Sachsem przy trzech albo czterech sprawach. Nie miał na jego temat wyrobionego zdania – ani na plus, ani na minus – wiedział jednak, że kilka miesięcy wcześniej komisarz doznał lekkiego wylewu krwi do mózgu, co być może teraz nieco ograniczało jego możliwości oceny sytuacji. Przynajmniej tak sugerowano, ale czy rzeczywiście tak było, czy też przyczyna kryła się w braku pewności siebie Sachsa po tym, jak od śmierci dzieliła go cienka na milimetr żyłka – tego nikt do końca nie wiedział.

– Kiedy to się stało? – spytał.

– Dzisiejszej nocy – odpowiedział jego szef, bawiąc się nienagannie zawiązanym węzłem swojego krawata. – Można oczywiście posłać tam kogoś innego, ale jeśli akurat nie jesteś zawałony robotą, proponowałbym, żebyś sam wybrał się do Linden. Ze względu na Sachsa. Pamiętaj jednak, że nie mamy nic podejrzanego. Wystarczy kilka godzin i trochę zdrowego rozsądku.

– Zajmę się tym – postanowił Van Veeteren, wstając z miejsca. – Zrobię sobie przejażdżkę.

– Hmm – bąknął Hiller.

– Jaan G. Hennan! – wykrzyknął Van Veeteren, podczas gdy Münster wyjeżdżał z labiryntu podziemnego garażu komendy. – Po prostu nie wierzę.

– Dlaczego? – zdziwił się inspektor. – Kto to jest ten Hennan?

Van Veeteren nie odpowiedział. Dostał trzystronicowy raport sprawy sporządzony przez kogoś o nazwisku Wagner i uzupełniony krótszą opinią lekarza sądowego Meussego. Trzymał papiery w dłoni, próbując wyrobić sobie obraz sytuacji. Münster, rzuciwszy okiem na swojego zwierzchnika, doszedł do wniosku, że najlepiej zrobi, jeśli odczeka i skupi się na prowadzeniu.

– Hennan... – wymamrotał pod nosem komisarz i zaczął czytać.

Z raportu Wagnera wynikało, że martwa kobieta nazywała się Barbara Hennan i że policja została wezwana na miejsce (Kammerweg 4 w Linden) telefonicznie (zgłoszenie przyjęto o 1.42) przez męża ofiary.

Przez niejakiego Jaana G. Hennana. Policja zjawiła się na miejscu zdarzenia o 2.08; stwierdziła, że kobieta leży na dnie pozbawionego wody basenu i rzeczywiście

nie żyje. Niezwłocznie przesłuchano Hennana. Z jego słów wynikało, że wrócił do domu o 1.15 i nie mógł nigdzie znaleźć swojej żony, zanim nie zobaczył jej w rzeczonym basenie. Zarówno jeden z lokalnych lekarzy, niejaki doktor Santander, jak i lekarz sądowy Meusse z Zakładu Medycyny Sądowej w Maardam zbadali ofiarę, a ich wnioski były całkowicie zgodne: Barbara Hennan poniosła śmierć w wyniku rozległych obrażeń głowy, kręgosłupa, szyi i tułowia i nic nie wskazywało na to, by te wszystkie uszkodzenia powstały w następstwie czego innego niż upadek kobiety do basenu opróżnionego akurat z wody. Bądź też w następstwie skoku. Lub zepchnięcia jej na dno. Nie skończono jeszcze obdukcji, należało więc poczekać na uzupełniające informacje.

Zgon nastąpił prawdopodobnie między godziną 21.00 a 23.00. Hennan twierdzi, że w tym czasie przebywał w restauracji Colombine w Linden, a żonę widział ostatni raz o ósmej rano, gdy wyszła z domu, aby pojechać samochodem do Aarlach. Nie wiadomo, kiedy wróciła z tej wycieczki ani co sprawiło, że wylądowała w basenie. Wszystkie informacje zebrane dotychczas w sprawie pochodzą od wymienionego Jaana G. Hennana.

W krótkiej ekspertyzie Meussego wspomniano jedynie, że złamania i odniesione obrażenia odpowiadają hipotezie, zgodnie z którą ofiara wpadła (bądź skoczyła, bądź została zepchnięta) do basenu, oraz że w jej krwi stwierdzono obecność alkoholu na poziomie 1,74 promila.

– Pijana – wymamrotał komisarz, doczytawszy do końca. – Pijana kobieta idzie i fika kozła do pustego basenu. Możesz mi powiedzieć, dlaczego policja kryminalna z Maardam ma brać się za taką sprawę!

– A co z tym Hennanem? – spróbował jeszcze raz Münster. – Komisarz wspomniał coś, że nie może w to uwierzyć czy coś w tym rodzaju...

Van Veeteren złożył papiery i wsunął je do teczki.

– G – powiedział. – Nazywaliśmy go tylko G.

– G?

– Tak. Chodziłem z nim do szkoły. Do jednej klasy przez sześć lat.

– Jaan G. Hennan. A dlaczego... dlaczego została mu, że tak powiem, tylko jedna litera?

– Dlatego, że było ich dwóch – wyjaśnił Van Veeteren, który pociągnął za rączkę i opuścił oparcie fotela pasażera tak mocno do tyłu, że teraz prawie leżał. – Dwóch o identycznym nazwisku... Jaan Hennan. Więc nauczyciele musieli ich jakoś odróżniać, a że na liście czy w jakimś klasowym dzienniku został zapisany jako Jaan G. Hennan, to najpierw – mniej więcej przez tydzień – mówiliśmy do niego „Jaan G.”, a potem już tylko „G”. Jemu też się to podobało, miał chyba najkrótszą ksywkę w szkole.

– G? – powtórzył jeszcze raz Münster. – To ma... muszę powiedzieć... pewien ciężar.

Komisarz nieznacznie pokiwał głową. Wyjął z kieszeni na piersi wykałaczkę i najpierw przyjrzał się jej dokładnie, a potem wetknął ją sobie między przednie dolne zęby.

– Jaki on był?

– Jak to jaki on był? Co masz na myśli?

– No wtedy, ten G?

– Dlaczego o to pytasz?

– Dlatego, że komisarz jakby coś zasugerował.

Van Veeteren odwrócił głowę i przez chwilę popatrzył przez okno, zanim odpowiedział.

– Posłuchaj, Münster. Niech to na razie zostanie między nami, ale Jaan G. Hennan to chyba najmniej sympatyczny typek, jakiego spotkałem w całym swoim życiu.

– Co takiego? – zdziwił się inspektor.

– To, co słyszałeś.

– Rozumiem. Ale co to może znaczyć w tym kontekście? To chyba nie jest bez znaczenia? Jeżeli on teraz...

– A co tam u ciebie? – przerwał mu Van Veeteren. – Dalej rodzinna sielanka?

Rodzinna? – pomyślał Münster i dodał gazu. Typowe. Powiesz a, ale w żadnym wypadku nie wolno ci powiedzieć b.

– Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą – odpowiedział i ku swojemu ogromnemu zaskoczeniu usłyszał od strony komisarza odgłos przypominający śmiech.

Krótki i niezbyt głęboki, ale zawsze.

– Brawo, inspektorze – odezwał się. – Opowiem trochę więcej o G przy innej okazji, obiecuję. Nie chciałbym jednak pozbawiać cię możliwości wyrobienia sobie własnego niezafałszowanego zdania o nim. Zgadzasz się ze mną?

Münster wzruszył ramionami.

– Zgadzam się – potwierdził. – A to, że z niego jest największy łobuz świata, oczywiście już zapomniałem.

– Oczywiście – rzucił komisarz. – Żadnych uprzedzeń i ocen z góry – to nasze zawodowe credo. Tak czy siak, najpierw musimy pogadać z komendantem Sachsem. I nie zapominaj, kiedy się z nim zobaczymy, że niedawno miał wylew krwi do mózgu.

– Tak jest – odpowiedział Münster. – Swoją drogą interesujące zadanie nas czeka.

– Niewątpliwie – zgodził się Van Veeteren.

W piątek Verlangena obudziły fajerwerki.

Wystrzeliwały w jego głowie i były dosyć monotonne w swojej strukturze. Seria jarzących białością eksplozji bez końca. Chcę umrzeć, pomyślał. Dobry Boże, pozwól mi umrzeć, tu i teraz.

Jego modlitwa nie została wysłuchana. Otworzył więc ostrożnie jedno oko, by spróbować określić współrzędne. Owego tu i teraz.

„Tu” okazało się jakimś obcym pokojem. Prawdopodobnie hotelowym. Leżał na łóżku w zmierzwionej pościeli i niczego nie rozpoznawał. Pokój wyglądał stosunkowo porządnie, a przez okno świeciło wielkie poranne słońce.

„Teraz”, czyli 9.01. Na nocnym stoliku stał zegarek i pikał. Rozpoznał go. To jego budzik podróżny, który kupił sobie w domu towarowym Merckx kilka miesięcy temu. Nie dlatego, żeby często podróżował, ale przecież nigdy nie wiadomo. Cena: 12.50.

Zastanowił się przez chwilę. Pewnie gdzieś z tyłu jest jakiś cholerny guzik, którym można wyłączyć to ustrojstwo. Mały, trudno dostępny pieprzony przycisk... W końcu przyłożył zegarkowi prawym sierpowym, w wyniku czego urządzenie spadło na podłogę i zamilkło. Wysilek sprawił, że eksplozje w głowie stały się jeszcze intensywniejsze.

A niech to diabli, pomyślał. Tylko nie to. Gdzie ja jestem? Jaki dziś dzień?

Trzy godziny później ogarnął się już co nieco.

Powlókł się do łazienki, wymiotował, wysikał się i wypił litr wody.

Łyknął trzy proszki od bólu głowy.

Wgramolił się z powrotem na łóżko i znowu zasnął.

Tym razem obudził go nie dzwonek budzika. W drzwiach stała ciemnoskóra pokojówka i przeproszała, że przeszkadza.

Była młoda i słodka, postanowił więc spróbować wyjaśnić jej swoje położenie.

Nie musisz przeproszać, chciał powiedzieć. Jesteś młoda i świeża jak lilia skropiona rosą... masz tu przed sobą świnię najpodlejszego gatunku. Niech to będzie

dla ciebie nauka.

Ale nie wydusił z siebie nic poza syknięciem. Jego język był sztywny jak kurzy dziób, a powietrze dobywające się z przepalonych płuc, które miało wprawić wysuszone struny w piękny rezonans, okazało się gorącym podmuchem dogasającego pustynnego pożaru.

Zamknij drzwi, to nie będziesz musiała na mnie patrzeć, pomyślał, usiłując zrobić coś ze swoją twarzą. Uśmiechnąć się albo coś takiego. Ale to bolało.

Dziewczyna ponownie przeprosiła. Czy on przypadkiem nie powinien opuścić dzisiaj pokoju? – spytała. Do godziny jedenastej, taki jest przepis. Nie tylko w tym hotelu, ale też w całej sieci, i wzmianka o tym jest zamieszczona w folderze informacyjnym.

A teraz dochodzi już dwunasta.

Wreszcie zrozumiał. Suka, pomyślał, czując, jak wokół głowy znowu zaciska mu się żelazna obręcz. Ty też jesteś szachrajka.

– Dziesięć minut – wycharczał. – Daj mi dziesięć minut.

Pokojówka skinęła głową i zniknęła. Verlangen wciągnął głęboko powietrze. Zagwizdało mu w płucach. Zwłóknął się z łóżka i poczłapał do łazienki.

Zjadł proste śniadanie w kawiarni o nazwie Henry's. Wypił dwie filiżanki czarnej kawy, piwo i wodę Vichy. Mgła w głowie powoli się przeredzała, a kiedy udało mu się wypalić papierosa, zaczął się przekonywać, że przeżyje także ten dzień.

Tylko nie wiadomo po co.

Wraz z błogosławionym powrotem nikotyny do krwiobiegu był również w stanie zrekapitulować poprzedni dzień – a przynajmniej jego wybrane fragmenty – i swoją funkcję w tej zabitej dechami dziurze.

Linden, cholera jasna. Nigdy nie czułem się tak podle jak teraz, pomyślał.

Opuścił lokal po półgodzinie. Gdy zdołał zlokalizować swoją toyotę na hotelowym parkingu, cisnął walizkę na tylne siedzenie i ruszył powoli przez Aldermackt w stronę Landemaarstraat i biura Hennana. Dziś na szczęście było trochę chłodniej, znad południowego zachodu zaczęły nadciągać chmury i jeśli prawidłowo oceniał wszystkie symptomy, jeszcze przed wieczorem powinien spaść deszcz.

Zaparkował na swoim stałym miejscu i spojrzął na nieme prostokąty okien ponad

szeregiem sklepów. Zerknął na zegarek. Za kwadrans druga. Raczej nie można powiedzieć, aby dzisiejszego dnia wykonywał swoje zadanie ze szczególnym poczuciem obowiązku albo ze zbytnim zaangażowaniem.

Przypomniał sobie, że obiecał Barbarze Hennan coś w rodzaju raportu, zastanowił się więc, jak ma go przedstawić.

Co ma, do diabła, powiedzieć?

Że zbratał się z obiektem? Że pił z nim jedną whisky za drugą w tamtej przeklętej knajpie... jak to ona się nazywała? Że znalazł się w łóżku naprany jak... jak nie wiadomo co Bóg wie o której godzinie. O ile Bóg nie zasnął wcześniej.

Raczej nie tego spodziewano się po poważnym prywatnym detektywie, rozumiał to nawet Maarten Verlangen.

Ale wiedział przynajmniej, że się nie zdemaskował. Mimo wszystko zachował przytomność umysłu na tyle, że nie opowiedział Hennanowi, iż jego ukochana żona wynajęła go jako prywatnego szpicla, żeby wyniuchał, co też jej małżonek porabia w czasie, kiedy ona sama nie może mieć go na oku. Chociaż tyle.

Tak więc jeśli o to chodzi, było okej. Tylko co miałby dziś jej powiedzieć?

Że przespał pół dnia i walczy z kacem trzeciego stopnia, który niestety czyni go trochę mało użytecznym? I że nie ma zielonego pojęcia, gdzie obecnie przebywa obiekt?

Czy Barbara Hennan będzie nadal zainteresowana jego usługami po tak oczywistych zaniedbaniach? I gotowa mu zapłacić? Raczej nie.

Co więc ma zrobić?

Samochód! – olśniło go nagle. Niebieski saab Hennana.

Naturalnie. Verlangen zapalił papierosa i pełen optymizmu zaczął krążyć na piechotę po najbliższych ulicach. Jeśli Hennan jest w biurze, jego auto powinno stać gdzieś w sąsiedztwie. To było pewne jak amen w pacierzu i dziwki na Zwille.

Po dobrych kilkunastu minutach znojnego wędrowania wzdłuż i wszerz po centralnej części Linden Verlangen mógł stwierdzić, że samochodu Hennana nie ma nigdzie w okolicy. Nigdzie nie stoi wypucowany do połysku niebieski saab; w ogóle natrafił tylko na dwa saaby, ale żaden nie był ani niebieski, ani tak lśniący.

Innymi słowy, wyglądało na to, że Hennan tego dnia wcale nie przyjechał do pracy. Kiedy Verlangen zastanowił się nad tym bliżej, uznał, że jego wniosek pozostaje w całkowitej zgodzie z nadmierną konsumpcją whisky dzień wcześniej. Toteż kupiwszy sobie kolejną butelkę wody mineralnej w kiosku przy rynku, usiadł na ławce i zaczął się zastanawiać. Nie dysponował numerem telefonu do firmy Hennana, nie wiedział nawet, jak ona się nazywa, tak więc szansa dotarcia do niego tą drogą była ograniczona.

Wypił w dwóch haustach całą wodę mineralną. Odbiło mu się. Posiedział jeszcze przez chwilę, ale kiedy na grzbiecie dłoni poczuł lekkie krople deszczu, uznał to za znak i postanowił skontaktować się ze swoją zleceniodawczynią. Trzeba chwycić byka za rogi, pomyślał.

O ile chce dalej inkasować te łatwo zarobione pieniądze, a przecież wiadomo, że chce.

Również tym razem zadzwonił z budki przed sklepem masarskim. Odczekawszy dziesięć sygnałów, doszedł w końcu do wniosku, że w Willi Zefir nie ma nikogo. Albo przynajmniej nikomu nie chce się podejść do telefonu. Wyszedł z budki i włożył ręce do kieszeni. Minęła już trzecia i wyglądało na to, że nie ma większego sensu, żeby dzisiejszego dnia na obiekt w osobie Jaana G. Hennana marnował więcej energii, niż już to uczynił. Zwłaszcza że akurat w tym momencie dysponował ograniczonymi zasobami cierpliwości i energii.

Z powodu okoliczności.

A także z tej przyczyny, że deszcz zaczął padać coraz mocniej. Nie lał jak z cebra, ale był dosyć intensywny i przenikliwy. Verlangen postanowił zatem coś zjeść i pojechać do domu. Zgodnie z umową zawartą z Barbarą Hennan, miał obserwować Jaana G. jedynie w ciągu tygodnia. A skoro zostało już zaledwie parę godzin do piątkowego wieczoru, po podjęciu ponownej próby kontaktu z Maardam będzie mógł sobie zrobić weekend i wrócić na służbę w poniedziałek rano. Z nowym zapasem energii.

Jak pomyślał, tak zrobił. Zjadł średniej wielkości pizzę w Ristorante Goldoni, wypił duże piwo i poczuł, że powoli wraca w nim życie. Za kwadrans piąta wczółgał się do swojej wysłużonej toyoty, przekręcił kluczyk i ruszył w kierunku Maardam.

Godzinę później spróbował znowu połączyć się z Willą Zefir – nadaremnie – a ponieważ w ten wyklęty przez bogów piątek nic nie chciało się udać, poddał się i tuż po dziewiątej poszedł do łóżka.

Tydzień pracy prywatnego detektywa Maartena Verlangena dobiegł końca.

– Nieszczęśliwy wypadek – stwierdził komisarz Sachs, ostrożnie skubiąc swój cienki wąs. – To oczywiście najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie, ale przecież nigdy nie wiadomo.

– Ma pan całkowitą rację – zgodził się Van Veeteren. – Czy mógłby nam pan z grubsza zrelacjonować sprawę? Oczywiście zamierzamy też porozmawiać z Hennanem, ale zawsze, że tak powiem, lepiej wiedzieć, po jakim gruncie się stąpa, zanim postawi się na nim stopę.

Sachs chrząknął.

– Jasne, jasne. Takie przypadki, kiedy ktoś upada i się zabija, są zawsze najbardziej zawiłe.

– Zawiłe?

– No tak, zawiłe. Bo jeśli założymy, że A i B stoją na balkonie wieżowca – albo dajmy na to nad przepaścią czy jeszcze gdzie indziej – i kilka sekund później B leży martwy pięćdziesiąt metrów niżej, to jak, u diabła, udowodnić, że A go popchnął?

Van Veeteren pokiwał głową.

– Albo że tego nie zrobił?

– Motyw – rzekł Van Veeteren. – Trzeba ustalić, czy istniał jakiś motyw. Jeśli tak, przesłuchuje się delikwenta tak długo, aż się podda. Nie ma innej metody, a w każdym razie żadnej lepszej.

– Ale w tym przypadku – wtrącił Münster – ona była chyba sama w domu?

– O ile nam wiadomo – tak – potwierdził Sachs. – Albo na razie nic nie wskazuje na coś innego. Wygląda na to, że pani Hennan siedziała samotnie w domu i popijała, a potem wpadła na pomysł, żeby popływać... albo odebrać sobie życie, skacząc do pustego basenu.

Van Veeteren wypił swoją kawę i wyciągnął wykałaczkę.

– Raczej mało prawdopodobne – powiedział.

– Ale co? – dopytał Sachs.

– Że odebrała sobie życie. Jak była ubrana?

– W kostium kąpielowy... w czerwony kostium kąpielowy. Myślisz, że...?

– No tak. Po pierwsze, jest to wyjątkowo nieprzyjemny rodzaj śmierci. I nie do końca pewny.

– Nie wiem, czy...

– Istnieje ryzyko, że się przeżyje – sprecyzował Van Veeteren. – Ale wtedy najprawdopodobniej jako kaleka do końca swoich dni. Wózek inwalidzki to najmniejsze zło, jakiego można spodziewać się w takiej sytuacji.

– Rozumiem. Jest to oczywiście jakiś argument.

– Jeśli mimo wszystko przyjmiemy, że jednak zdecydowała się na takie wyjście, to po co, u diabła, wkładałaby kostium kąpielowy?

Na kilka sekund zaległa cisza.

– Bo chciała, żeby to wyglądało na nieszczęśliwy wypadek – wtrącił Münster.

– Niewykluczone – stwierdził Van Veeteren. – Będziemy musieli sprawdzić, czy jest coś, co przemawia za tą hipotezą. Ale jak wspomniałem, w tym momencie bardziej by się nam przydała krótka rekapitulacja zdarzeń i tego, co już wiadomo. Sytuacja małżeńska Hennanów i tego typu rzeczy... jeśli oczywiście zdążyliście już zebrać takie informacje?

Sachs skinął głową i włożył na nos delikatne okulary. Następnie przerzucił kilka kartek w notesie, który leżał przed nim na biurku.

– Nie jest tego wiele – powiedział przepaszająco. – Hennanowie mieszkają w naszym mieście dopiero od kwietnia. Czyli niecałe dwa miesiące. Przyjechali ze Stanów w połowie marca, najpierw na kilka tygodni zatrzymali się w hotelu w Maardam i równocześnie szukali jakiegoś domu do wynajęcia... Te informacje uzyskałem co prawda od samego Hennana, ale nie ma raczej powodu, by w nie wątpić.

– Jak na razie nie – zgodził się Van Veeteren.

– On pochodzi z Maardam, a ostatnie dziesięć lat życia spędził za oceanem. Nowy Jork. Cleveland. Austin. Denver. Ma firmę, która jest zarejestrowana tutaj, w Linden, pod nazwą G. Enterprises. Biuro mieści się przy Landemaarstraat, niedaleko stąd. Czyli jest... człowiekiem interesów; według jego własnych słów, od zawsze

zajmował się czymś takim. Postanowili razem z żoną przenieść się do Europy, ponieważ, jak twierdzi, tutaj jest lepsza koniunktura. Nie umiem tego ocenić, bo nie mam orientacji w tej sferze...

– Całkowicie cię rozumiem – powiedział Van Veeteren. – Dobrze wiemy, jakiemu rodzajowi działalności oddawał się pan Hennan, zanim wyjechał za Atlantyk, ale nie możemy oczywiście wykluczyć, że teraz nie ma nic za uszami. A co z jego żoną? Zdaje się, że poznali się i pobrali w Denver, tak?

– Zgadza się – potwierdził Sachs. – Barbara Clarissa, z domu Delgado. Piętnaście lat młodsza od niego. Nie wiemy nic więcej na jej temat, ale na pewno da się zdobyć dodatkowe informacje... w każdym razie ten dom przy Kammerweg tylko wynajmowali. Jego właściciel nazywa się Tieleberg i mieszka gdzieś w Hiszpanii. Nawiasem mówiąc, to jedna z najdroższych nieruchomości w całym Linden. Osiem czy dziesięć pokoiów i kuchnia, tysiącmetrowa działka i idealna lokalizacja całkiem na uboczu... poza tym basen z wieżą do skoków. Sama Kammerweg to najlepszy kąsek. Musiało mu się dobrze powodzić, temu Hennanowi.

– Hmm – mruknął ponuro Van Veeteren i przełamał wykałaczkę. – A co on sam mówi o tym, co się stało?

– Nieszczęśliwy wypadek. Jest o tym przekonany. Według niego żona nie miała powodu, by odbierać sobie życie. A że ktoś ją niby popchnął... w takim razie kto? Ona prawie nikogo tu nie знаła. I z jakiego powodu? Hennan twierdzi, że mieli doskonałe relacje. On kochał ją, ona kochała jego... byli małżeństwem od ponad dwóch lat, nawet się zastanawiali, czy w przyszłości nie pozwolić sobie na dzieci. W końcu ona miała dopiero trzydzieści cztery lata.

– A co z alkoholem? – spytał Münster. – Dlaczego wobec tego, skoro wszystko układało się tak pięknie, siedziała sama jak palec i popijała?

Sachs zdjął okulary i zaczął pocierać sobie grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym.

– W tym punkcie Hennan trochę się płacze – stwierdził komisarz. – Przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Podobno wypijała parę dżinów z tonikiem i do tego sporo sherry, choć Hennan twierdzi, że żona nie miała w zwyczaju pić aż tyle. Przyznaje, że czasami wychyliła parę kieliszków, również sama, ale nigdy w takiej ilości.

– Jeden i siedemdziesiąt cztery setne promila to całkiem sporo – zauważył Münster.

– Z pewnością – potaknął Sachs. – Hennanowi wypsnęło się w którymś momencie, że kiedy żona była wstawiona, traciła nad sobą kontrolę. Czyli jednak musiało jej się coś takiego zdarzać wcześniej. Powiedział, że wtedy była ciałem bez głowy. A to może znaczyć, że całkiem nieźle trzymała się na nogach, tylko przestawała myśleć.

– Hm – bąknął Münster. – Czyli z tego wynika, że byłąby w stanie wdrapać się na wieżę i skoczyć, nie sprawdzając, czy w basenie jest woda.

– Oczywiście – odezwał się Van Veeteren. – Wszystko idealnie pasuje. Nie zapominajmy tylko, kto jest źródłem tych informacji.

Münster pokiwał głową, a Sachs przewrócił kartkę w notesie.

– Jeśli chodzi o samego Hennana – powrócił do swojego wyводу – wczorajszy wieczór przesiedział w knajpie. Nazywa się Colombine, leży za ratuszem. Twierdzi, że był tam mniej więcej od wpół do ósmej do wpół do pierwszej. Jeszcze nie zdążyliśmy porozmawiać z personelem, ale załatwimy to. Po południu dostanę raport od inspektora Behringa. Być może Hennan ma alibi. Jazda tam i z powrotem na Kammerweg zajęłaby mu co najmniej pół godziny... do czterdziestu minut. Zobaczymy, czego się dowiemy w tej Colombine. Barbara Hennan zmarła podobno między wpół do dziesiątej a wpół do jedenastej, o ile dobrze zrozumiałem?

Rzucił pytające spojrzenie w stronę Van Veeterena.

– Zgadza się – potwierdził. – Dzwoniłem do Meussego. On stawia na dziesiątą... a jak wiadomo, rzadko mu się zdarza pomylić o więcej niż pół godziny w jedną albo w drugą. A jakie wrażenie zrobił na tobie Hennan? Myślisz, że coś ukrywa?

Sachs znowu zamknął notes i splótł ręce na piersi. Odchylił się do tyłu na krześle i zaczął się zastanawiać.

– Diabli wiedzą – powiedział w końcu. – Niby był wstawiony, kiedy z nim rozmawiałem, ale mimo to... jakoś przerażająco pozbierany. Jeśli był w szoku albo coś w tym stylu – przecież właściwie powinien być – to nie dało się tego po nim zauważyć. Chociaż... tak naprawdę nie umiem powiedzieć, jakie odniosłem wrażenie. Jestem wdzięczny, że przyjechaliście i sami spróbujecie wyrobić sobie zdanie. Jak już

mówiłem, raczej skłaniam się ku wersji, że to był nieszczęśliwy wypadek, ale nie dałbym za to głowy.

– Żadnych śladów wskazujących na to, że panią Hennan ktoś odwiedził? Ktoś obcy?

– Nic, na co zwrócilibyśmy uwagę. Jedyne jej własna szklanka i tak dalej. Ale oczywiście nie przetrząsnęliśmy domu z odkurzaczem. Nie było... nie widzieliśmy powodu.

Van Veeteren objął dłońmi podłokietniki swojego krzesła.

– No dobrze – powiedział. – Zobaczymy, do czego uda się nam dojść z inspektorem Münsterem. Jeśli będzie coś pilnego, być może zajrzemy tu jeszcze w drodze powrotnej. Jeśli nie – odezwiemy się telefonicznie.

– Jesteście zawsze mile widziani – zapewnił komisarz Sachs, rozkładając ręce. – Jak to mówią: udanych łowów!

Na kilka sekund przed tym, zanim Van Veeteren stanął twarzą w twarz z Jaanem G. Hennanem, przemknęła mu przez głowę stara reguła Borkmanna.

Nie zdarzyło mu się to pierwszy raz. Komisarz Borkmann był jego mistrzem w pierwszych latach we Frigge, a wtedy jeszcze nie zdawał sobie sprawy, jak wiele z niepozornych, cichych wskazówek tego niezawodnego psa myśliwskiego będzie towarzyszyć mu przez całe zawodowe życie.

A tak właśnie było. Niezależnie od rodzaju śledztwa zawsze ze studni pamięci dawało się zaczerpnąć jakąś radę Borkmanna. Wystarczyło tylko się nie spieszyć. Czasami – jak na przykład teraz – nie musiał nawet specjalnie szukać; Van Veeteren wyraźnie słyszał łagodny głos mentora w swojej głowie przez dwa dziesięciolecia nerwowej i chaotycznej pracy w policji.

Tym razem – w momencie gdy wraz z inspektorem Münsterem zbliżał się do solidnej męskiej postaci na tarasie Willi Zefir – najważniejsza była umiejętność trzymania języka za zębami.

Naucz się milczeć! – powtarzał mu Borkmann. Dla kogoś, kto ma coś na sumieniu, najgorsza jest cisza.

I wyjaśniał: jeśli tylko zdołasz trzymać buzię na kłódkę, to już samym spojrzeniem czy uniesieniem brwi możesz doprowadzić do tego, że morderca czy inny bandyta straci panowanie nad sobą i się sypnie. Po prostu z nerwów. Jeśli uczynisz milczenie swoim sprzymierzeńcem, będziesz miał przewagę w każdym przesłuchaniu!

Zanim gospodarz Willi Zefir mógł ich usłyszeć, Van Veeteren przytrzymał jeszcze Münstera za łokieć.

– Nie mów za dużo – poinstruował go. – Zostaw to mnie.

– Jasne – powiedział Münster. – Zrozumiałem.

Hennan był ubrany w szerokie białe spodnie i coś w rodzaju niebieskiego żeglarskiego swetra. Albo golfa, Münster nie potrafił rozróżnić. Miał zaciętą twarz, na której widać też było lekkie rozdrażnienie. Krótko obcięte ciemne włosy. Niemal

niezauważalne ślady siwizny na skroniach. Uścisk jego dłoni był mocny, jakby chodziło o coś w rodzaju zaznaczenia własnego rewiru.

– VV – powiedział. – Kopę lat.

– G – odrzekł Van Veeteren. – Trochę czasu minęło, zgadza się.

– Münster – przedstawił się Münster. – Inspektor kryminalny.

Usiedli przy stole z grubego szlachetnego drewna. Pewnie teakowego. Na środku stał kubełek z lodem z zanurzonymi kilkoma butelkami piwa.

– Może łyk piwa? – zaproponował Hennan. – Ciepło dzisiaj.

– Chyba będzie padać – powiedział Van Veeteren. – Ale chętnie.

Hennan napełnił trzy szklanki. Każdy z nich pociągnął łyk, po czym na dziesięć sekund zaległa cisza.

– No więc? – odezwał się Hennan.

Van Veeteren wyjął paczkę westów i nie spiesząc się, zapalił papierosa. Münster skrzyżował ramiona na piersi i czekał. Uświadomił sobie nieoczekiwanie, że zdecydowanie łatwiej jest prowadzić skuteczne przesłuchanie, będąc palaczem.

– Smutna historia – zaczął Van Veeteren i wydmuchnął obłok dymu.

– Można tak powiedzieć – zgodził się Hennan.

Minęło kolejnych pięć sekund.

– Ciekawe, jak to się stało – dodał Van Veeteren.

– Co masz na myśli?

Van Veeteren wzruszył ramionami i przyjrzał się przez chwilę Hennanowi, który zachował kamienną twarz.

– A ty nie jesteś ciekaw?

– Jak to?

– Nie zastanawiasz się, jak do tego doszło?

Hennan pociągnął łyk piwa i wyjął cienkie czarne cygaro z etui stojącego na stole. Też chyba z teakowego drewna, stwierdził w duchu Münster. Albo z orzecha włoskiego, bo odcień był trochę inny.

Gospodarz zapalił cygaro i usunął sobie z końca języka okruch tytoniu.

– Nie bardzo rozumiem, co wy w ogóle tutaj robicie – powiedział. – Moja żona zginęła w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Mówiłem o tym przez pół nocy

z jakimiś stukniętymi policjantami, a teraz ma być ciąg dalszy?

Van Veeteren zaciągnął się papierosem, kiwając powoli i z zadumą głową.

– Jak długo siedziałeś? – spytał.

Münster zauważył, że rysy twarzy Hennana nagle się wyostrzyły. Jakby ktoś pociągnął jego uszy do tyłu i sprawił, że skóra na twarzy napięła się i zrobiła cieńsza. Taki rodzaj liftingu, tyle że na boki. W wyobraźni Münstera przemknął obraz wilka.

– Odwał się – rzucił Hennan.

Van Veeteren ziewnął, po czym wyczyścił sobie nos. Następnie z wewnętrznej kieszeni wyjął niewielki żółty notes z długopisem i coś w nim zapisał. Hennan obserwował jego poczynania z narastającą wściekłością.

– Czego, do jasnej cholery, chcecie?! – wybuchnął w końcu. – Jak macie coś do powiedzenia, to wyduście to z siebie! Ale jeśli zamierzacie tu tak siedzieć i odgrywać bezdusznych policyjnych głupków, to beze mnie. Mam parę rzeczy do załatwienia.

– Naprawdę? Co na przykład? – spytał Van Veeteren.

– Słucham?

– Co masz do załatwienia?

– Nic wam... – Hennan zawahał się. – Nic wam do tego.

Podciągnął rękawy swojego żeglarskiego swetra czy golfa, odsłaniając dwa mocne, opalone na brązowo przedramiona. Van Veeteren przechylił się przez stół w jego stronę.

– Czemu jesteś taki nerwowy? – spytał uprzejmie. – Może jest coś, o czym w nocy zapomniałeś powiedzieć policji?

Hennan odwrócił głowę i wypluł kolejny okruch tytoniu w trawę. Założył nogę na nogę i zaczął bębnić palcami o oparcia krzesła. Minęło kilka sekund.

– Ten twój pomocnik jest niemy czy co? – rzucił, wskazując na Münstera.

– Trochę boli mnie gardło – wyjaśnił Münster. – Rozmawiajcie we dwóch, ja w razie czego się wtrączę.

Van Veeteren pokiwał potakująco głową w stronę swojego podwładnego, po czym zwrócił się ponownie ku Hennanowi.

– G – powiedział. – Nigdy nie lubiłem tej litery.

Hennan nie zareagował.

– Naprawdę wierzysz, że twoja żona zginęła w taki sposób, jak dziś w nocy próbowałeś wcisnąć policji?

Spytany mężczyzna zachował kamienną twarz. Ale nie przestał bębnić palcami. Van Veeteren czekał. Münster też.

– Byłbyś tak uprzejmy i mi wyjaśnił, co, do cholery, masz na myśli?

Komisarz pozwolił sobie na lekko szyderczy uśmiech.

– Co mam na myśli? Zastanawiam się, czy była ślepa? Jakie miała IQ?

– No nie, tego już... – próbował zaprotestować Hennan.

– Naprawdę nie uważasz, że ktoś musiał ją popchnąć?

– Dlaczego miałbym tak uważać?

– Bo żaden rozumny człowiek nie skacze do pustego basenu.

– Barbara zrobiła to przez pomyłkę.

– Wiem, wiem, to jest wersja, którą próbujesz nam wmówić.

Przez kilka sekund można było odnieść wrażenie, że Hennan walczy z własnymi myślami. Następnie wstał, odsuwając krzesło tak gwałtownie, że aż przewróciło się na trawnik.

– Dostyc tego – oświadczył. – Nie zamierzam tu dłużej siedzieć i pozwalać się obrażać. Nie powiem już ani słowa bez adwokata.

Van Veeteren zdusił papierosa. Następnie wypił łyk piwa i popatrzył na swojego dawnego kolegę z nieskrywanym zdziwieniem.

– Bez adwokata? A po ci, na litość boską, potrzebny adwokat? Przecież chyba niczego przed nami nie ukrywasz, prawda?

– Nie zamierzam....

Van Veeteren uniósł palec wskazujący w ostrzegającym geście i spojrzał na Münstera.

– Czy pan inspektor sądzi, że pan Hennan coś ukrywa?

Münster zastanowił się chwilę.

– Nie wiem, co by to mogło być – odparł.

– Zjeżdżajcie stąd! – rzucił Hennan. – Zostawcie mnie w spokoju! To była najgorsza...

– Tylko dopiję piwo – powiedział Van Veeteren, sięgając po swoją szklankę. – Nie

jest jakieś wyjątkowe, ale może być. Na zdrowie i do zobaczenia.

– Poszło nie najgorzej – podsumował Van Veeteren, gdy znaleźli się z powrotem w samochodzie. – Mamy pierwszą rundę wygraną.

– Zgadza się – przyznał Münster. – Tylko nie do końca rozumiem, na czym polega cały dowcip.

– Czyżby? – spytał zaskoczony Van Veeteren.

Münster uruchomił silnik.

– Czyli to wszystko to niby sprawka Hennana... czy jak? Nie zapominajmy, że on, zdaje się, ma alibi.

– Pfff! – prychnął Van Veeteren. – Alibi? Na razie jeszcze go nie potwierdziliśmy. Poza tym mógł się wymknąć z restauracji na pół godziny albo na trzy kwadransy... dlatego wstrzymajmy się z mówieniem o alibi, dopóki nie poznamy wersji personelu.

– W porządku – zgodził się Münster. – Poczekajmy.

– Albo mógł mieć pomocnika – kontynuował komisarz. – Wynajął jakiegoś goryla, który pojechał do niego do domu i zrobił swoje.

Inspektor westchnął.

– Komisarz mówi poważnie?

Jego przełożony znowu zmierzył go pełnym zdumienia wzrokiem.

– Posłuchaj, Münster, ja wiem, że śmierć Barbary Hennan wygląda na nieszczęśliwy wypadek i że istnieje mocny powód, aby to tak wyglądało.

– Czyżby? – teraz zdziwił się Münster. – Jaki?

– G cholernie zależy na tym, żeby wszyscy tak myśleli.

Münster milczał.

– Nie przypuszczam, żebyś sądził, że się mylę – dodał Van Veeteren, opuszczając o kilka centymetrów boczną szybę. – No i pada. A nie mówiłem, że dzisiaj będzie deszcz?

– Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby kwestionować oceny komisarza – odpowiedział dyplomatycznie Münster. – Ponieważ jednak nie mamy żadnych faktów, na których moglibyśmy się oprzeć, więc można chyba trochę pospekulować.

– Pospekulować?

– No tak.

Van Veeteren nie odzywał się przez chwilę.

– Chociaż przyznaję, że ten Hennan to chyba twardy orzech do zgryzienia – dodał Münster.

– Nawet twarde orzechy da się zmiażdżyć – odpowiedział Van Veeteren, wpatrując się w złamaną wykałaczkę. – Poczekaj trochę.

– To może być interesujące – stwierdził Münster. – A co z tym jego portretem psychologicznym z dawnych lat, o którym rozmawialiśmy... Jak to było? Najmniej sympatyczny typek...

Van Veeteren machnął niedbale dłonią.

– Odłóżmy to do przyszłego tygodnia – rzucił. – Teraz pomyślmy lepiej o miłym i spokojnym weekendzie. Jak się miewa Synn i mały Bart?

Czasami mam go serdecznie dość, przemknęło przez głowę Münsterowi.

Przez całą sobotę Maarten Verlangen był trzeźwy. Zmienił pościel na świeżą, wyprał trzy pełne pralki brudów i wyniósł śmieci. Po południu przebiegł ponad kilometr w Megsje Bois, a potem zadzwonił do pewnej znajomej.

Nazywała się Carla Besbarwny i tak jak myślał – i miał nadzieję – powiedziała od razu, że może do niej wpaść, jeśli ma ochotę. Musiała jeszcze tylko wyjść z psami, ale po ósmej będzie okej. Podziękował i odłożył słuchawkę. Odetchnął z ulgą. Dobrze, że chociaż ma Carłę.

Znał ją od ponad trzech lat; spotkali się ze sześć razy i zawsze spędzali prawie cały czas w jej obszernym wodnym łóżku. Zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie spotykała się też z paroma innymi facetami, którzy wpadali do niej na tej samej zasadzie co on, było mu jednak wszystko jedno. Kobiet takich jak Carla nie można mieć na własność. Mieszkała na samym końcu Alexanderlaan w dużym czteropokojowym mieszkaniu, w którym trzymała trzy psy, dwa koty i nieokreśloną liczbę małych ptaków, świnek morskich i myszek japońskich, i z medycznego punktu widzenia nie była chyba całkiem normalna.

Ale to też nie miało większego znaczenia. W końcu nie dla duchowego porozumienia chciał odwiedzić ją tego wieczoru. Ani ona nie przyjmowała go dla zjednoczenia dusz.

Tak więc w sobotni wieczór, kwadrans po ósmej, zadzwonił do jej drzwi

i dokładnie szesnaście godzin później opuścił ją pełen sytej harmonii i wyrzutów sumienia. Czyli targany tymi samymi sprzecznymi uczuciami co zawsze.

Dlaczego ty, Carla, nie wyjdiesz za mąż? – pytał ją kilka razy w ciągu nocy. Taka kobieta jak ty?

Prosisz mnie o rękę? – chciała wiedzieć.

Nie, odpowiadał. Nie jestem jeszcze... gotowy, żeby się znowu ożenić.

Czyli masz odpowiedź.

Potem wrócił do swojej samotności i czystej pościeli na Heerbanerstraat. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do córki, ale odłożył to na później. Wolał nie odzywać się do niej za często. Nie chciał, żeby miała poczucie, że spotkanie się czy rozmowa z nim to jej obowiązek. Ważniejsza jest jakość niż ilość, zwykł sobie powtarzać. W gruncie rzeczy dosyć gorzka i mało heroiczna myśl, bo aby w ogóle mogła być mowa o jakości, potrzebna jest też określona miara liczbowa.

Może z wyjątkiem relacji z Carlą Besbarwny.

Odsunął na bok te niezbyt radosne rozważania i postanowił kolejny raz spróbować połączyć się z Willą Zefir. W gruncie rzeczy przydałoby się kilka instrukcji dotyczących dalszego ciągu obserwacji, uznał; poza tym nie zdał jeszcze raportu z piątku.

Jeśli telefon odbierze G, zawsze może odłożyć słuchawkę.

Rzeczywiście odebrał G.

W każdym razie na ile Verlangen był w stanie ocenić. Brzmiał ponuro. Przez sekundę przemknęło mu przez głowę, by udać kogoś innego i powiedzieć, że się pomylił, w końcu uznał to jednak za zbyt ryzykowne.

Przełknął ślinę i odłożył słuchawkę.

Ostatecznie dzień roboczy jest dopiero jutro, doszedł do wniosku. Pamiętaj, abys dzień święty święcił, a dzień powszedni przyniesie ci rozwiązanie.

Wyjął piwo z lodówki i włączył telewizor.

Kiedy w niedzielę wieczór Van Veeteren włączył *Stabat Mater* Pergolesiego, zrobił to, za czym tęsknił przez cały weekend.

Wcześniej nie pozwoliły mu na to rodzinne obowiązki. W sobotni wieczór kolacja z bratem i szwagierką Renate i na dodatek jeszcze w niedzielę śniadanie oraz lunch

z tą samą wątpliwą parą małżeńską, ponieważ mieszkali aż w Chadow i zostali u nich na noc. Potem, w niedzielne popołudnie, poważna rozmowa z Renate o sytuacji Ericha w szkole (i o jego życiu w ogóle; bez głównej osoby zainteresowanej, ponieważ syn włóczył się gdzieś z przyjaciółmi), a później – przez dwie godziny wieczorem – przekłeta zmywarka, którą obiecywał zreperować już od miesiąca. I która, kiedy skończył, była bardziej popsuta niż w chwili, gdy zaczynał.

Co on powiedział Münsterowi? Coś o miłym i spokojnym weekendzie?

Nie miał czasu nawet sprawdzić zadania szachowego w „Allgemeine”.

O wpół do dziesiątej jednak zapadł się wreszcie w fotelu, mając w uszach tylko Pergolesiego. Ciemno w pokoju. Renate w łóżku, Erich też. Nagranie trwało pięćdziesiąt osiem minut, sprawdził to, włączając płytę. Zawierało także kantaty Orfeusza.

Pięknie, pomyślał. Wreszcie chwila prawdziwej jakości życia.

I wreszcie okazja, żeby zastanowić się nad swoim stosunkiem do G.

A co mogłoby być lepszym tłem do tego niż duet ze *Stabat Mater* w wykonaniu Julii Goudy i Anny Faulkner? Westchnął głęboko i cofnął się w czasie o trzydzieści pięć lat. Tam je znajdzie. Najmocniejsze wspomnienie z udziałem G.

Ciemniejsze niż noc.

Półroczce w szkole Mannering przy Poostlenergraacht. Wiek: wczesny okres dojrzewania. Osoby: G, VV i mały żydowski chłopiec o nazwisku Adam Bronstein.

G: wysoki, silny, budzący postrach. Adam Bronstein: zdolny, w okularach, bystry, anemiczny. VV: chwiejny, niemający odwagi sprzeciwić się G, wtrącić się i położyć kres terroryzowaniu przez niego słabszych. Bo nie tylko Adamowi Bronsteinowi dzieje się krzywda, ale on jest jego główną ofiarą.

Do decydującego zdarzenia dochodzi po lekcji gimnastyki. Kiedy nauczyciel (wyjątkowo nielubiany magister Schwaager) się oddala, a większość chłopców już jako tako się umyła, a potem przebrała i opuściła cuchnące potem pomieszczenia (znajdujące się w wolno stojącym starym drewnianym baraku między budynkiem szkoły a kanałem) – G zmusza Adama Bronsteina, aby położył się na dużej szarej macie używanej do ćwiczenia przewrotów i innych podobnych akrobacji. Chudy chłopiec robi, co mu kazano, G zaś zawija go w matę. W ten sposób powstaje duży,

ciasno ściśnięty cylinder o długości i przekroju jednego metra. Zawiązany dookoła niego skórzany pasek sprawia, że zrolowana mata się nie rozwija. Używając swojej imponującej siły i wykorzystując pozostałego na miejscu chłopca (który nazywa się Claus Fendermann i zostanie kiedyś całkiem wybitnym pianistą), G stawia cylinder z Adamem Bronsteinem na podłodze. Głową do dołu. Z rękami przyciśniętymi do tułowia, ze stopami w nędznych niebieskoszarych skarpetkach z rozciągniętym ściągaczem wystającymi nad krawędzią. Chłopiec tkwi jak w żelaznym imadle, podczas gdy do jego głowy wciąż napływa coraz więcej krwi i z każdą chwilą ubywa mu powietrza. I tak go zostawiają. G, Claus Fendermann, VV i jeszcze paru innych. Zbierają swoje manatki i spieszą się do klasy. G wychodzi jako ostatni i zamyka drzwi.

Na następnej lekcji nikt nie ma w sali gimnastyki, w związku z czym Adam Bronstein tkwi w cylindrze przez niemal godzinę. Znajduje go sprzątaczką. Jeszcze żyje, ale jego stan jest krytyczny. Dwa miesiące leży w szpitalu. Już nigdy nie wrócił do szkoły.

W styczniu rozchodzi się wiadomość, że się powiesił.

To niespotykane, żeby trzynastolatek odebrał sobie życie. Przynajmniej w tamtych czasach.

Mógł już lepiej zdechnąć w tej cholernej macie, uważa G. Ta mała żydowska świnią.

Stabat Mater.

Gdy zaczęła się część *Quis est homo...* Van Veeteren zauważył, że jest cały mokry. Siedział w fotelu zlany zimnym potem. Adam Bronstein to zaledwie jedno ze wspomnień o G. Jest ich więcej. Ale na razie może to wystarczy?

Spróbował wrócić myślami do piątkowej konfrontacji.

Co ona właściwie oznaczała?

Dlaczego zdecydował się akurat na taką absurdalnie beznamiętną linię rozmowy w Willi Zefir? Milczenie i zimna stal. Dlaczego? Niewątpliwie nadużył zasadę milczenia Borkmanna.

I dlaczego był tak przekonany o winie Hennana, kiedy potem w samochodzie

rozmawiał z Münsterem? Inspektor zdawał się być sceptyczny, i nie bez racji.

Czy on naprawdę sądzi, że Hennan pozbył się swojej żony? Zabił ją? Tak z ręką na sercu.

Czy nie jest to raczej wyraz nieoczekiwanej zrodzonej potrzeby – i równie niespodziewanej powstałej możliwości, by dać G to, na co zasłużył? Zaprowadzić porządek i wymierzyć mu karę po trzydziestu pięciu latach? Raz na zawsze.

To takie proste?

Tak czy inaczej, trudno jest pominąć ten osobisty motyw zemsty, ale może to dobrze, że sam przed sobą przyznał się do tego, że się nim napawa? Od samego początku. Z nieświadomymi motywami działania trudniej jest sobie poradzić niż z tymi, które wywleka się na powierzchnię. Doskonale to wiedział. Sam Borkmann zwrócił na to uwagę przy jakiejś okazji – choć wtedy chodziło raczej o postępowanie przestępcy, a nie policjanta prowadzącego dochodzenie.

Ale jeśli teraz – przynajmniej teoretycznie – odrzuciłby głęboką niechęć, jaką żywi do Jaana G. Hennana, i na chwilę o niej zapomniał, czy wtedy oceniłby okoliczności śmierci jego żony inaczej?

Czy rzeczywiście istnieją przesłanki, by podejrzewać, że doszło do popełnienia przestępstwa?

A jeżeli tak – czy są jakiegokolwiek obiektywne powody, by skierować te podejrzenia na G?

Van Veeteren przymknął oczy, próbując się odprężyć. Te pytania nie miały sensu. Były przedwcześnie. Spośród stałych elementów klasycznej układanki – motyw–metoda–sposobność – na razie w miarę jasny był tylko element środkowy. Jeżeli Barbara Hennan istotnie została zamordowana, nie było wątpliwości jedynie co do metody zbrodni. Popchnięcie w plecy albo użycie siły niezbędnej, by straciła równowagę i sama spadła z wieży do skoków.

Oczywiście pozostawała kwestia wprowadzenia jej na nią. Tu przemoc byłaby raczej niewskazana. Jeśli już, to podstęp... i to chyba dosyć wyrafinowany.

Albo może uderzenie w głowę, żeby straciła przytomność? Co prawda wciągnięcie jej po stopniach na samą górę byłoby trudne, ale nie niemożliwe. Postanowił zapytać Meussego, czy da się stwierdzić, czy niektóre z obrażeń nie

powstały nieco wcześniej – i w inny sposób niż te, które były następstwem twardego lądowania na dnie basenu.

Mniej więcej tyle da się z grubsza powiedzieć o metodzie, podsumował w duchu Van Veeteren. Przez chwilę miał ochotę pójść do lodówki po piwo, w końcu jednak zrezygnował.

Kolej na sposobność. Spekulacje na ten temat nie wydawały się szczególnie trudne.

Każdy, kto akurat w piątek około dziesiątej wieczorem znajdował się w pobliżu Willi Zefir, miał oczywiście okazję – czysto hipotetycznie, rzecz jasna – dokonać zbrodni wyżej opisaną metodą. Problem polegał na tym, że najbardziej interesująca postać w tym kontekście – Jaan G. Hennan – zdawała się posiadać alibi.

„Zdawała się”. No właśnie. Należało sprawdzić, na ile ono jest mocne. Sachs i jego ludzie chyba mieli już dość czasu, żeby to zweryfikować.

Van Veeteren uznał, że to jest kwestia, której w najbliższych dniach powinien poświęcić najwięcej uwagi.

Jeśli istnieje choćby ułamek szansy, że to G za tym wszystkim stoi, pomyślał komisarz i zacisnął szczęki... że G ma coś wspólnego ze śmiercią swojej żony, to na pewno mu nie daruję. I za Adama Bronsteina, i za wszystkich innych biedaków, których prześladował w ciągu swojego życia.

To po prostu mój obowiązek. Absolutnie nieuchronny obowiązek.

Co ja wyprawiam? – pomyślał przerażony. Siedzę tutaj i zaklinam rzeczywistość, aby nieszczęśliwy wypadek zamienił się w morderstwo. Tylko dlatego... dlatego, by zaspokoić osobistą żądzę zemsty. Gdzie tu obiektywna praca policji? Może wypadałoby spytać o motyw działania?

Dosłuchał Pergolesiego do końca. I *Stabat Mater*, i kantaty Orfeusza. Była za kwadrans pierwsza, gdy wślizgnął się do małżeńskiego łóżka i położył się obok żony. Cicho i delikatnie, żeby jej nie obudzić.

Już jej nie kocham, przemknęło mu nagle przez głowę. Nie kocham jej od dawna, więc po co utrzymujemy te pozory konwencji?

W imię czego?

Idiotyczne pytanie jak na moment przed zaśnięciem. Godzinę później wciąż leżał

z otwartymi oczami.

Kiedy Maarten Verlangen znalazł się w swoim biurze w poniedziałek, 9 czerwca, rano, stwierdził, że nie było go w nim od ostatniej środy. W związku z tym będzie mógł wypełnić sobie czas przejrzeniem „Neuwe Blatt” z minionych pięciu dni. Zgodnie z niepisaną umową wdowa Meredith zawsze wsuwała mu przez drzwi swój egzemplarz, kiedy już przeczytała go od deski do deski i wycięła sobie program telewizyjny. To był wyraz wdzięczności z jej strony za sprawną interwencję Verlangena sprzed półtora roku, kiedy udało mu się wytropić jakiegoś zbrodnicę, który z uporem maniaka wrzucał swoje ekskrementy do jej skrzynki na listy. Okazał się nim młody i swego czasu obiecujący prawnik z branży bankowej, który doznał zaburzenia osobowości, kiedy wjechał rowerem w tramwaj na Keymer Plejn i uderzył w niego głową. Po zdemaskowaniu go Verlangena ogarnęło współczucie dla biednego pomyłonego mężczyzny i przez następne pół roku dosyć regularnie odwiedzał go w szpitalu Majorna.

Mimo wszystko są jeszcze ludzie, którym wiedzie się gorzej niż jemu.

Ułożył gazety na biurku chronologicznie jedna na drugiej. Zapalił papierosa i odsłuchał wiadomości z telefonicznej sekretarki. Żadnego sygnału od Barbary Hennan. W sumie tylko trzy informacje: jedna ze spółki ubezpieczeniowej, jedna od jakiegoś Wallandera, który miał jeszcze zadzwonić, i jedno pomyłkowe połączenie.

Wykręcił numer Willi Zefir.

Brak odpowiedzi.

Przeczytał „Neuwe Blatt” ze środy i spróbował powtórnie.

Brak odpowiedzi.

Zapalił następnego papierosa i przejrzał wydania czwartkowe i piątkowe.

Za trzecim razem się uda, pomyślał.

Nic z tych rzeczy. Sygnały odbijały się głuchym echem jak myśli w jego głowie. Odłożył słuchawkę i zastanowił się, co powinien zrobić. Czy jest w ogóle sens, żeby kontynuował obserwację Hennana?

Czy coś go do tego zobowiązuje?

Absolutnie nie. Pracował nad sprawą przez trzy dni (a przynajmniej był przez trzy kolejne dni na posterunku w Linden), jego honorarium wynosiło trzysta guldenów dziennie, a od pani Hennan dostał tysiąc. Biorąc pod uwagę rachunek za hotel i jeszcze to i owo, można uznać, że otrzymana kwota w miarę pokrywała dotychczas poniesione przez niego koszty.

Może więc będzie najlepiej, jeśli da sobie z tym spokój. Zapomni o eleganckiej Amerykance i jej podejrzanym małżonku i zajmie się czym innym.

Z drugiej strony: jeszcze jeden tysiączek za parę dni siedzenia na tyłku byłby nie do pogardzenia. Zwłaszcza że akurat nie za bardzo miał się czym zająć. Poza starą tak zwaną ambitną pracą, sprowadzającą się do złapania gangu wandalii, którzy od paru miesięcy obsmarowywali domy w mieście graffiti. Stowarzyszenie miejscowych kupców wyznaczyło pięć tysięcy guldenów nagrody dla tego lub tych, którym uda się złapać tych młodzieniaszków. Chociaż Verlangen miał już kilka nazwisk na widelcu, do końca sprawy wciąż jeszcze było daleko.

Westchnął. Otworzył pierwsze piwo tego dnia i zdecydował się na ostatni kompromis w sprawie Hennana: najpierw „Neuwe Blatt” z soboty i niedzieli, a potem kolejna próba dodzwonienia się do Willi Zefir.

Notatka znajdowała się w sobotnim wydaniu na stronie piątej.

„Znaleziono martwą kobietę” – brzmiał nagłówek. Przeczytał krótki tekst z mniej więcej podobnym odczuciem, jakiego często doznawał w toalecie pubu Gerckwinckel, kiedy uświadamiał sobie, że ta spocona, zaczerwieniona i nabrzmiąca twarz w lustrze nad pisuarem należy do niego.

Czy to możliwe? – pomyślał.

Ale kto inny mógłby to być?

Kobieta w wieku 35 lat, napisano.

Z pochodzenia Amerykanka.

Znaleziona martwa na dnie pozbawionego wody basenu.

Na przedmieściach Linden. Okoliczności jeszcze niewyjaśnione, wiele jednak wskazuje na to, że skoczyła z dużej wysokości, sądząc, że w basenie jest woda.

Brak świadków. Nie ma podejrzeń o popełnienie przestępstwa.

Verlangen przeczytał całą notatkę – nie więcej niż szesnaście linijek w jednej

szpalcie – trzy razy, wlewając w siebie piwo i paląc kolejnego papierosa.

Amerykanka?

Ile Amerykanek mogło być w Linden? Raczej niewiele.

I dobrze pamiętał tę wieżę do skoków. Co za wyrafinowanie bezsensowny sposób śmierci.

Co to wszystko, u diabła, ma znaczyć?

W czwartek wieczór? Czyli w ten sam cholerny wieczór, kiedy siedział...

Przez kilka sekund Maarten Verlangen miał poczucie, że jego mózg upodabnia się do słynnego mydła kąpielowego, którego w żaden sposób nie daje się chwycić i na którym nie jest w stanie utrzymać się nawet wesz. Ale po kolejnym łyku piwa zdołał przywrócić w nim jako taki ład, w wyniku czego w jego umyśle wykryły się dwa alternatywne plany działania.

Albo przynajmniej zarysy dwóch różnych planów działania.

Może albo zadzwonić na policję. To byłoby oczywiście najrozsądniejsze.

Albo też udać się jeszcze raz do Linden, żeby sprawdzić, czy da się tam coś wywęszyć.

Po pięciu sekundach symulowanego analizowania wybrał drugie rozwiązanie. Zadzwonić na policję może później. Po co ma się tak wyrywać, skoro nie wie, czy chodzi o tę samą kobietę, przekonywał samego siebie. Najpierw musi się upewnić, że na dnie basenu wylądowała rzeczywiście Barbara Clarissa Hennan.

Jak pomyślał, tak zrobił. Zamknął biuro i pobiegł do samochodu.

– Naprawdę? – powiedział Van Veeteren. – Jest aż tak źle?

Wsłuchiwał się w głos w telefonie, a jego twarz z każdą chwilą coraz bardziej posępniała. Zaciąga się jak niebo podczas nizu, pomyślał inspektor Münster, siedząc naprzeciwko swojego przełożonego i grzebiąc końcem języka w zębie trzonowym, z którego poprzedniego wieczoru wypadła mu plomba. Angielskie toffi, nie pierwszy raz.

– Rozumiem – bąknął Van Veeteren. – Tak, tak, raczej należało się tego spodziewać... nie, no skąd, nie odpuścimy tak łatwo. Odezwę się w sprawie dalszych kroków.

I znowu słuchał przez chwilę. Następnie pożegnał się i odłożył słuchawkę. Oparł

się wygodnie na krześle i mrugnął do Münstera.

– To był Sachs – wyjaśnił. – Rozmawiali z ludźmi z restauracji.

– No i?

– Wygląda na to, że nasz przyjaciel G siedział tam przez cały czas i w ogóle się stamtąd nie ruszał.

– Cholera jasna. Ale może...

– Przez cały wieczór.

– Są tego pewni?

Strefa niżu pogłębiła się jeszcze bardziej.

– Najwyraźniej. Niech to szlag.

Münster wzruszył ramionami.

– No cóż. Wobec tego chyba...

– Chociaż kto wie? Przyszedł tam około wpół do ósmej... Wcześniej zadzwonił i zamówił stolik. Jakby zależało mu na tym, żeby zapewnić sobie alibi. Szczwany lis.

Van Veeteren utkwiał spojrzenie w Münsterze.

– A co potem? – spytał Münster posłusznie.

– Potem? Nie ruszał się z miejsca, jadł, pił, na koniec podobno przeniósł się do baru. Gdzieś za kwadrans pierwsza wziął taksówkę, ludzie z restauracji szukali nawet kierowcy. Niech to szlag!

Münster pokiwał głową.

– Czyli jest raczej czysty. A nie mógł wymknąć się na jakąś godzinę?

– Skąd mam to wiedzieć? Oczywiście nikt nie miał go przez cały wieczór wciąż na oku, ale tyle czasu, żeby pojechać na Kammerweg i z powrotem... chociaż może nie jest to całkiem niemożliwe... W każdym razie rachunek zapłacił gdzieś około wpół do pierwszej...

– Był sam?

– Przy stoliku – tak. Później, w barze, podobno siedział z jakimś facetem i gadał... albo z paroma, niestety koledzy z Linden nie zadali sobie trudu, żeby dowiedzieć się więcej. Chyba będziemy musieli, Münster, podejść do tego od innej strony.

– Na przykład?

Komisarz złamał wykałaczkę i spojrział przez okno.

– Teoretycznie rzecz biorąc... więc teoretycznie rzecz biorąc, mógł zmyć się około wpół do dziesiątej, popędzić jak szalony na Kammerweg i zepchnąć żonę do basenu... i pojawić się z powrotem w Colombine pół godziny albo czterdzieści minut później. Ale gdyby, jak wspomniałem, przyszedł ci lepszy pomysł do głowy, nie miałbym nic przeciwko temu.

Münster siedział chwilę, nic nie mówiąc.

– Tamta sprawa sprzed dziesięciu lat...

– Sprzed dwunastu – skorygował go Van Veeteren. – To było w siedemdziesiątym piątym.

– No więc sprzed dwunastu lat. Czy komisarz był w nią w jakiś sposób zaangażowany?

Van Veeteren pokręcił głową.

– Ani trochę. Przejął ją wydział antynarkotykowy, ja tylko o niej słyszałem. Szkoda, że nie zdołali bardziej go przycisnąć. Podejrzewam, że zasługiwał na więcej niż tylko na dwa i pół roku... Jeśli ktoś nie składa apelacji, to zwykle coś to znaczy.

Münster potrząsnął głową.

– Przepraszam, że pytam. Ale dlaczego komisarz jest taki przekonany, że on jest winien także i tym razem? Mimo wszystko można odnieść wrażenie...

– Nigdy nie mówiłem, że jestem przekonany – przerwał mu z irytacją Van Veeteren. – Lecz nie zamierzam z góry wykluczać tej możliwości, do cholery.

– Jest pewien wariant – powiedział Münster po krótkiej chwili.

– Wariant? – powtórzył za nim komisarz. – Co pan inspektor ma na myśli?

Münster odchrząknął i zawahał się sekundę.

– Proszę posłuchać – zaczął wreszcie. – Ale to wariant czysto hipotetyczny. Hennis opuszcza restaurację, powiedzmy, za piętnaście dziesiąta. Wychodzi i natyka się na żonę gdzieś w centrum Linden. Zabija ją i wkłada do bagażnika swojego samochodu. To zajmuje mu mniej więcej dziesięć minut. Potem idzie z powrotem do knajpy. Kiedy przyjeżdża do domu... około pierwszej w nocy... wyjmuje ją z bagażnika i wrzuca do basenu. Później dzwoni na policję.

Van Veeteren żuł przez chwilę nową wykałaczkę, po czym odpowiedział:

– To jest chyba najbardziej nieprawdopodobna historia, jaką usłyszałem od czasu, kiedy Renate wpadła na pomysł, żeby... no dobra, to nie ma nic wspólnego ze sprawą. Co ci, do cholery, przyszło do głowy?

– Mówiłem, że to trochę naciągane.

– Wiesz, czym G wrócił do domu tamtej nocy?

– Nie, myślałem...

– Taksówką. Pojechał taksówką. Myślisz, że wrzucił ją w worku na zwłoki na tylne siedzenie, a potem przy pomocy taksówkarza zadźwigał do willi?

– Chwila – przerwał mu Münster. – Nie mamy potwierdzenia, że rzeczywiście wziął taksówkę, tak? Wiemy jedynie, że chciał to zrobić.

Van Veeteren przyjrzał mu się krytycznie.

– W porządku – powiedział. – Masz rację. Musimy sprawdzić u Meussego, czy obrażenia mogły powstać wskutek czego innego niż upadek. Trzeba to sprawdzić tak czy inaczej. Jeśli się okaże, że było tak, jak sugerujesz, obiecuję, że przez cały rok będę ci obcinał paznokcie u nóg.

– Super – odparł Münster. – Już nie mogę się doczekać. Ale to komisarz, nie ja, chce koniecznie przygwoździć tego G.

– Absurd – rzucił Van Veeteren. – Prowadzimy tylko czysto teoretyczne rozważania, myślałem, że jesteś na to gotowy. Taka burza mózgów i przetestowanie paru teorii jest konieczne, bez tego daleko się nie zajedzie.

Münster siedział chwilę w milczeniu i zdawał się nad czymś zastanawiać. Następnie wstał.

– Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia, jeśli komisarz pozwoli. Czy mogę powiedzieć, co myślę o śmierci Barbary Hennen?

– Jeśli uważasz, że to konieczne.

– Dziękuję. Według mnie to nieszczęśliwy wypadek. To jasne jak słońce, pan komisarz może spokojnie schować te nożyczki do paznokci.

Van Veeteren prychnął.

– Inspektorze Münster, proszę nie zapominać, że jest pan zatrudniony w kryminalnej nie po to, żeby badać nieszczęśliwe wypadki. Waszym zadaniem jest tropienie i wyjaśnianie zbrodni. A nie patrzeć na nie przez palce.

– Zrozumiałem – oświadczył Münster. – Czy coś jeszcze?

– Ani granie w badminton z swoim bezpośrednim przełożonym. Kiedy masz czas? Jutro po południu?

– Zrozumiałem – powtórzył Münster i wymknął się za drzwi.

Jest coraz lepszy, pomyślał komisarz, kiedy już został sam. Naprawdę.

Ma na kim się wzorować.

Inspektor Münster pracował na policji w Maardam od dziesięciu lat, ale w kryminalnej był dopiero od trzech. Jego przejście zbiegło się w czasie z objęciem przez Van Veeterena funkcji szefa po starym komisarzu Morcie. Van Veeteren coraz częściej zauważał, że w przypadkach, kiedy mógł wybierać osoby do współpracy, niemal zawsze decydował się na Münstera.

Oczywiście nie miał nic do zarzucenia Reinhartowi, deBriesowi, Roothowi, Nielsenowi czy Heinemannowi, ale jedynie z Münsterem mógł rozwijać tę obopólnie owocną relację nauczyciel–uczeń – relację według niego niesłusznie niedocenianą we współczesnych czasach, której pierwowzór zaczerpnął z *Gry szklanych paciorków* Hessego. Z dzieła, które, jak przypuszczał, nigdy nie znajdzie się na jakiegokolwiek liście lektur z zakresu kryminologii.

Ta relacja nie zawsze pozostawała w zgodzie z lekkim dysonansem, jaki od czasu do czasu pojawiał się między nimi dwoma jak między nieidentycznym rodzeństwem.

I jeszcze to na dodatek, pomyślał, patrząc przez okno na miasto znowu skąpane w pełnym słońcu. Spekulacje i ta domorośla psychologia. I brak okazji, aby zastanowić się nad Hessem. Albo nad Münsterem.

Lepiej znaleźć sposób, jak podejść tego cholernego G.

Wiedział, że to też łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Narzucił na siebie marynarkę i szedł do kantyny napić się kawy.

Verlangen przejechał powoli obok Willi Zefir i zatrzymał się pięćdziesiąt metrów dalej. Siedział za kierownicą przez pięć minut, paląc papierosa i zastanawiając się, co ma zrobić. Intuicja mu podpowiadała, że powinien panować nad spontanicznymi odruchami i nie wyciągać żadnych wniosków, dopóki nie uzyska pewności w kwestii zasadniczej.

Czy w czwartkowy wieczór śmierć poniosła Barbara Hennis, czy też chodziło

o zupełnie inną kobietę?

Po drodze z Maardam zastanawiał się nad tym, jak w najprostszy sposób mógłby to ustalić, nie nasunęła mu się jednak żadna prosta metoda.

Mógłby oczywiście zadzwonić do pierwszego lepszego redaktora z gazety, ale raczej trudno się spodziewać, by podano mu nazwisko ofiary.

Mógłby też wpaść do Jaana G. Hennana i spytać go wprost, jednakże ta dosyć bezpretensjonalna alternatywa jakoś go przerażała. Czysto intuicyjnie. Kiedy zastanowił się głębiej, uzmysłowił sobie, że pewna doza lęku była tu jak najbardziej na miejscu. Obiektywnie rzecz biorąc. Jeśli bowiem Barbara Hennan rzeczywiście nie żyje, to prawdopodobnie pies jest pogrzebany zupełnie gdzie indziej. Ta kobieta zaangażowała prywatnego detektywa do śledzenia męża i jeśli nawet w gazetach pisano, że policja raczej wyklucza morderstwo... W końcu Maarten Verlangen nie urodził się wczoraj. Bynajmniej. Wiedział, że Hennan to perfidny typ; był już taki dwanaście lat temu, a jego zachowanie w Colombine nie wskazywało raczej na to, że charakter zmienił mu się na lepsze.

Dlatego gdyby zapukał do drzwi Willi Zefir niczym, powiedzmy, jakiś świadek Jehowy, wykazałby się naiwnością nie do zaakceptowania. To byłaby po prostu czysta głupota.

Jakie zatem miał inne możliwości?

Mógł zadzwonić na policję i coś zmyślić. Może to całkiem sensowne rozwiązanie, o ile uda mu się ułożyć jakąś w miarę wiarygodną bajeczkę. Lecz istniał też sposób, który wydawał się znacznie prostszy i który zdecydował się wypróbować w pierwszej kolejności.

Sąsiedzi.

Sąsiedzi zawsze wiedzą najlepiej, to stara niezawodna prawda. Verlangen wysiadł więc z samochodu i ruszył powoli w kierunku Willi Vigali, jak nazywał się dom rodziny Trottów. Z posiadłością Hennanów graniczyła tylko jedna działka, a ponieważ Barbara Hennan wspominała, że utrzymują kontakty z Trottami, byłoby dziwne, gdyby ich najbliżsi sąsiedzi byli zupełnie nieświadomi wydarzeń z ostatniego czwartku.

Ewentualnych wydarzeń z ostatniego czwartku.

Przebiegł ulicę i minął znowu Willę Zefir, tym razem na piechotę. W tej samej chwili z naprzeciwka nadjechał czarny peugeot i zahamował tuż przed sąsiednim domem. Wysiadł z niego ubrany na ciemno mężczyzna. Gdyby nawet Verlangen nie miał tego doświadczenia, którym się szczycił, i tak rozpoznałby w nim policjanta już z daleka. Nie rozglądając się na boki, mężczyzna zdecydowanym krokiem minął ceglany portal oznaczający wjazd na teren Willi Vigali i natychmiast zniknął wśród bujnej zieleni działki. Verlangen zatrzymał się w pół kroku.

Ajajaj, pomyślał. Może wystarczy tych odwiedzających.

Ale z drugiej strony, skoro funkcjonariusz policji kryminalnej pofatygował się złożyć wizytę sąsiadom Barbary Hennan, to właściwie nie ma już potrzeby, aby on sam zadawał sobie trud i zabiegał o wyjaśnienia. Trudno bowiem o większą jasność.

Wrócił do swojego samochodu. Zakręcił i ruszył z powrotem w kierunku centrum. Kwadrans później zadzwonił na komisariat z automatu na dworcu kolejowym. Odebrała jakaś sekretarka; poprosił o połączenie go z szefem policji.

Poczekał minutę, a potem po drugiej stronie odezwał się komisarz Sachs.

– Dzień dobry, nazywam się Edward Stroop – powiedział uprzejmie Verlangen. – Mam kilka informacji dotyczących Barbary Hennan.

Na trzy sekundy zaległa cisza.

– Rozumiem – odparł komisarz. – Czy jest pan w Linden?

– Tak.

– Czy mógłbym pana prosić o jak najszybsze przybycie na komisariat?

– Oczywiście – rzekł Verlangen i odłożył słuchawkę.

Sprawa była jasna. Jasna jak słońce. Jego zleceniodawczyni, Barbara Clarissa Hennan, wyzionęła ducha na dnie basenu pozbawionego wody. Verlangen wyszedł z dworca, zatrzymał się na schodach, następnie zapalił papierosa i zastanowił się, co ma teraz zrobić.

I o co tu, na litość boską, chodzi.

– *All right, all right* – powiedział Münster. – Oczywiście, że wiem. Wiem, że policja z Linden już tu była i z wami rozmawiała, ale ja jestem z policji kryminalnej w Maardam. Mój przełożony jest wyjątkowo sumienny i bardzo nalega, żebyśmy my też porozmawiali z państwem. Chyba nie ma pani nic przeciwko temu, abyśmy rzetelnie wykonywali nasze obowiązki.

Amelia Trotta zmierzyła go krytycznym wzrokiem. Jej duża płaska twarz wyglądała na zatroskaną, choć nie widać na niej było ani jednej zmarszczki czy choćby jej zapowiedzi. Rozjaśnione włosy sięgały ramion i były nienagannie ułożone; Münsterowi nasunęło się skojarzenie z pewną zapomnianą, ascetyczną gwiazdą kina z lat jego wczesnej młodości. Domyślał się, że pani Trotta takie właśnie chciała wywoływać wrażenie. Przynajmniej kiedyś. Teraz chyba miała już około czterdziestu pięciu lat, była dość potężna, ubrana w błękity i lekko poirytowana.

– I po co to wszystko? – rzuciła. – Ja i tak nie mam nic do powiedzenia.

Zrobiła nieokreślony gest, który mógł oznaczać cokolwiek. Münster skorzystał więc z okazji i minąwszy ją, wszedł do salonu.

– Mój szef, jak wspominałem, jest niestety dosyć uparty – usprawiedliwił się, siadając w fotelu obciągniętym wzorzystym materiałem. – Poza tym znany jest z tego, że nie pozostawia nic przypadkowi.

Kobieta skinęła nieznacznie głową i przysiadła na skraju drugiego fotela. Westchnąwszy, wygładziła fałdki na spódnicy.

– Ale daję panu tylko kilka minut – zgodziła się wreszcie. – Mam dziś sporo do załatwienia.

Münster wyjął z teczki długopis i notes.

– Dziękuję – powiedział. – Postaram się streszczać. A więc Barbara Hennan. Jak dobrze ją pani znała?

– Wcale – odparła Amelia Trotta.

– Wcale?

– No, prawie wcale. Wyjaśniłam to już inspektorom, którzy byli u nas wczoraj.

My mieszkamy tu już od piętnastu lat, a Hennanowie wprowadzili się dopiero w kwietniu. Dwa razy zjedliśmy razem kolację i to wszystko. Jak to bywa między dobrymi sąsiadami.

– Oczywiście – potaknął Münster. – A oni tacy właśnie byli?

– Nie rozumiem.

– Byli dobrymi sąsiadami?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Tak przypuszczam.

– Przypuszcza pani?

– Nie mieliśmy powodu do narzekań. Choć może różniliśmy się trochę stylem.

– No tak – odrzekł obojętnie Münster, obrzuciwszy spojrzeniem obszerny i lśniący czystością salon. Zestaw wypoczynkowy i telewizor. Dwa duże, mdłe obrazy olejne, idealnie dopasowane kolorem do obić mebli i zasłon. Oprócz tego zestaw regałów z solidnej dębiny, na których stało wszystko oprócz książek.

Styl? Jaki styl? – pomyślał Münster. No cóż.

– Co pani sądzi o tym wypadku?

Pani Trotta ponownie poprawiła sobie spódnicę.

– Nic nie sądzę – odpowiedziała. – Co tu można sądzić?

– Nie orientuje się pani, czy pani Hennan była może ostatnio przygnębiona?

– Nie mam pojęcia. Dlaczego pan o to pyta?

– Istnieje możliwość, że ona sama, że tak powiem, doprowadziła do tego nieszczęścia...

– Czyli odebrała sobie życie?

– Nie da się tego wykluczyć. Przyzna pani, że to dosyć osobliwy rodzaj śmierci.

Amelia Trotta zastanowiła się przez kilka sekund nad odpowiedzią.

– Dzisiaj ludzie umierają na różne dziwne sposoby.

Dzisiaj? – pomyślał Münster. Hm, może nawet należałoby się z tym zgodzić. Przypomniał sobie, że nie tak dawno przeczytał gdzieś o prostytutce z Osterdamu uduszonej kondomem.

– Lubiała ją pani? – spytał.

Odpowiedziała kolejnym wzruszeniem ramion.

– Nieszczególnie?

– Już mówiłam, że prawie ich nie znaleźliśmy. Ani jego, ani jej.

– I nie miała pani ochoty nawiązać z nimi kontaktów bliższych, niż wymagają tego tylko dobrosąsiedzkie stosunki?

Zawahała się chwilę.

– Nie – odpowiedziała.

– Pani mąż też nie?

– Też.

Münster odczekał.

– W nich było coś... coś takiego pospolitego.

– Pospolitego? Co to znaczy?

– No chyba pan rozumie.

– Nie za bardzo – odrzekł Münster niewinnie. – Czy mogłaby to pani rozwinąć?

Kobieta westchnęła i usiadła głębiej w fotelu.

– Sama nie wiem – rzekła. – To się po prostu czuje. Ona na przykład miała tatuaż.

– Tatuaż? – powtórzył Münster.

– Tutaj – powiedziała Amelia Trotta, wskazując na swoje lewe ramię okryte rękawem sukienki. – To był jakiś ptak albo coś w tym stylu. Tak czy owak, ładne to nie było.

Münster skinął głową i zapisał coś w notesie.

– Kiedy widziała ją pani ostatni raz?

– W sobotę.

– W sobotę? – zdziwił się Münster. – Przecież wtedy już nie żyła.

– Wiem. Ale musiałam pojechać zidentyfikować jej zwłoki. Zdaje się, że potrzebny był też ktoś spoza rodziny.

– W niektórych sytuacjach tak się postępuje – potwierdził Münster. – Ale mnie chodziło o to, kiedy ostatni raz widziała ją pani za życia, przed wypadkiem?

– Rano tego samego dnia, kiedy zginęła – oznajmiła pani Trotta bez wahania. – Tuż po ósmej. Jechała samochodem do miasta. Powiedziałyśmy sobie dzień dobry. Akurat wyszłam z Rayem.

– Z Rayem?

– To nasz pies. Szpic miniaturowy.

– Rozumiem. I potem już jej pani nie widziała?

– Dopiero na identyfikacji.

– A pan Hennan?

– To znaczy?

– Czy widziała go pani w czwartek?

– Nie. Jak pan pewnie zauważył, nie widzimy nawzajem naszych domów.

– Owszem, zdążyłem zauważyć – odpowiedział Münster. – Oni mieli dwa samochody, tak?

– Naturalnie – odparła pani Trotta, jakby mniejsza liczba aut w jednej rodzinie była nie do pomyślenia w miejscu takim jak Kammerweg. – Saaba i jakiegoś niedużego japończyka. Tym małym jeździła ona.

– Oczywiście. Czy w czwartek wieczorem byli państwo w domu?

– Zostaliśmy zaproszeni na niewielkie przyjęcie do naszych przyjaciół, ale o dziesiątej już wróciliśmy. Dziewczynki muszą się wyspać.

– Niewątpliwie – zgodził się Münster. – Czy po powrocie do domu zauważyła pani coś szczególnego u sąsiadów?

– Nie.

– A może potem, późnym wieczorem?

– Nie. Jak mówiłam, nie widzimy się nawzajem.

– A nie zauważyła pani, czy był ktoś u nich? Czy na przykład paliło się światło?

– Przecież właśnie panu powiedziałam, że się nie widzimy. Więc nie mogę od siebie zobaczyć, czy zapalili, czy zgasili światło.

Jej irytacja znowu się nasiliła. Münster opuścił wzrok na notes i zamilkł na chwilę.

– Jaan G. Hennan – odezwał się znowu. – Czy mogłaby mi pani powiedzieć, co pani o nim sądzi?

– Dlaczego?

– Bo panią o to proszę.

Zdawała się rozważać ten ważki argument, przyglądając się jednocześnie swoim dziesięciu paznokciom, pociągniętym lakierem w dyskretnym beżowym kolorze.

– To człowiek nie w naszym typie.

– To już wiem. Zechciałaby pani może to bliżej sprecyzować?

– Zupełnie nie w naszym typie. Natrętny i... tak, niewzbudzający zaufania. Nie robi sympatycznego wrażenia.

– Bezczelny? – spytał Münster.

– Może nie wprost. Ale nasze dziewczynki go nie lubią. A one zwykle wyczuwają coś takiego. Ma pan dzieci?

– Tak. Czy wie pani coś o przeszłości Hennana?

– Tylko tyle, że przez dziesięć lat mieszkał w Ameryce. Prowadził tam jakieś interesy.

– A jakie były relacje między nim a panią Hennan? Może coś zwróciło pani uwagę...?

Zanim odpowiedziała, zdrapała sobie coś z paznokcia małego palca.

– Ona była taka sama jak on – stwierdziła. – Pasowali do siebie... chociaż on był od niej starszy.

– Ale żadnych kłótni między nimi nie było?

Pokręciła przecząco głową.

– Raczej nie. Chociaż wcale bym się nie zdziwiła. Myśli pan, że on... że on mógł mieć coś wspólnego z jej śmiercią?

Starła się zadać to pytanie identycznym neutralnym i odpychającym tonem, jakim mówiła podczas całej rozmowy, ale w jej głosie dało się zauważyć tłumioną ciekawość.

– Nie wykluczamy takiej możliwości – odpowiedział. – Mój szef w ogóle niechętnie wyklucza jakiejkolwiek możliwości.

– Ach tak? – zareagowała z ożywieniem Amelia Trotta i przez chwilę zapomniała zamknąć usta.

– Ale nic dramatycznego się nie działo, tak? – dopytał Münster. – Żadnych awantur ani nic z tych rzeczy, czego byłaby pani świadkiem przez przypadek?

Nie ulegało wątpliwości, że pani Trotta aż nazbyt chętnie potwierdziłaby jakąś choćby niewielką kłótnię u sąsiadów. Przez chwilę siedziała w milczeniu i szukała gorączkowo w pamięci, w końcu jednak jej szczere serce wzięło górę.

– Nie – oświadczyła. – Naprawdę nic takiego się nie działo. Ale... jak mówiłam, nasze domy dzieli dosyć spora odległość.

Münster pokiwał głową.

– Czy oni pili? – spytał. – To znaczy nadmiernie.

Również w tej kwestii pani Trotta nie mogła dostarczyć żadnych dramatycznych informacji. Westchnęła zatem i spojrzała na zegarek.

– Myślę... – zaczęła, lecz nagle urwała, zaskoczona nagłym olśnieniem. – Nie sądzi pan chyba? – rzuciła. – Nie sądzi pan chyba na serio, że...?

Nie zdołała nadać swojemu pytaniu ostatecznego kształtu, jego duch jednak zawisł nad blatem stołu w tym nieskazitelnie porządnym salonie. Tkwi jak plama keczupu na białym lnianym obrusie, pomyślał Münster, uznając jednocześnie, że pora opuścić to gniazdko.

– Nie mamy na razie żadnych konkretnych teorii – wyjaśnił i wstał z fotela. – Ale sprawdzenie wszelkich możliwości to część rutynowej pracy policji kryminalnej. Niewykluczone, że niedługo będę chciał zamienić kilka słów również z pani mężem. Chyba nie będzie miał nic przeciwko temu?

– Uprzedzę go – odrzekła pani Trotta uprzejmie. – Tyle że on bardzo dużo przebywa poza domem, więc będzie pan musiał umówić się wcześniej. Mąż jest pilotem.

– Wiem – powiedział Münster. – A pani kim jest z zawodu?

– Dermatologiem – wyjaśniła Amelia Trotta, prostując się. – Ale dopóki dziewczynki chodzą do szkoły, nie pracuję. One tego potrzebują.

Raczej wątpię, pomyślał Münster, próbując sobie przypomnieć, czym tak naprawdę zajmuje się dermatolog. Wydawało mu się, że skórą. Lecz równie dobrze mogły to być ryby słodkowodne albo owady.

Postanowił sprawdzić to przy okazji. Następnie podziękował gospodyni za jej życzliwość i opuścił Willę Vigali. Idąc przez ogród, stwierdził, że pani Trotta miała rację – z jej działki jasnoniebieska fasada Willi Zefir była prawie niewidoczna. Jedyne wąski pasek otynkowanej na biało wieży do skoków przeświecał przez szparę w zwartej ścianie zieleni.

Coś mi to przypomina, pomyślał i wszedł do samochodu. Kiedy tak się

zastanowić, okazuje się, że człowiek tak naprawdę niewiele widzi.

Van Veeteren wpatrywał się w złamaną wykałaczkę, którą trzymał w lewej dłoni. W prawej miał słuchawkę telefoniczną i właściwie to na nią wolałby patrzeć. Ponieważ jednak jego głowa, przynajmniej w określonych punktach, była całkowicie normalna, nie było to możliwe.

Jeśli chciał nadal słyszeć głos komisarza Sachsa. A o tym był dogłębnie przekonany.

– Co ty, u diabła, wygadujesz?! – wrzasnął. – Prywatny detektyw?!

– Verlangen. Nazywa się Maarten Verlangen. Podobno kiedyś pracował w policji – wyjaśnił Sachs.

– Guzik mnie to obchodzi, czy pracował, czy nie – rzucił Van Veeteren. – Czyli on twierdzi, że dostał zlecenie, które polegało na obserwowaniu Jaana G. Hennana?

– Dokładnie – potwierdził Sachs. – Zleciła mu to jego żona... ta, która nie żyje. Pracował w środę, czwartek i piątek w ubiegłym tygodniu... Chociaż w piątek tak nie do końca. Cholera wie, co to wszystko znaczy, ale najciekawsze jest to, że w czwartek wieczór ten Verlangen miał Hennana cały czas na oku. W restauracji. Colombine. Naprawdę nie mam pojęcia, jak to interpretować...

– Interpretować! – prychnął Van Veeteren. – Tu nie ma co interpretować. Gdzie on jest?

– Kto?

– No ten szpicel. Gdzie on teraz się podziewa?

– Hmm...

– Co?! – krzyknął Van Veeteren. – Mów głośniej!

– On... poszedł sobie. Ale ja...

– Puściłeś go? Nie wierzę!

– Mam jego nazwisko i numer telefonu. Powiedziałem, że się z nim skontaktujemy.

Van Veeteren połamał wykałaczkę na drobne kawałki i ukłął się przy tym w kciuk.

– Aj – jęknął. – Co jeszcze mówił? Przecież musiał przynajmniej...

– Niespecjalnie dużo – przerwał mu Sachs. – Nie wie, dlaczego miał obserwować Hennana. Większość czasu przesiedział w swoim samochodzie przed jego biurem

i czekał, to znaczy poza czwartkiem wieczór.

– I to zlecenie dała mu Barbara Hennan?

– Tak.

– Dlaczego?

– Przecież powiedziałem, że on nie wie.

– Nie jestem głuchy. A co on, do cholery, o tym myślał?

– Nic.

– Nic?

– Mówi, że...

– Niech to szlag! No dobrze, podaj mi jego numer telefonu, żebyśmy mogli zrobić z tym jakiś porządek.

– Oczywiście, bardzo proszę – odrzekł komisarz Sachs, po czym podyktował numer Maartena Verlangena, zarówno do domu, jak i do biura.

– Dziękuję – powiedział Van Veeteren. – To tyle. Nie mam już dla ciebie czasu.

Zaczął od numeru domowego.

Nikt nie odebrał.

Spróbował zadzwonić do pracy.

Włączyła się automatyczna sekretarka z informacją, że w biurze detektywistycznym Verlangena chwilowo nie ma nikogo, ale że przyjmowane są zlecenia najrozmaitszej natury i rzetelnie wykonywane po przystępnych cenach oraz że można zostawić wiadomość.

Van Veeteren, czekając na odpowiedni sygnał, dokładnie przemyślał swoje słowa.

– Panie Maarten Verlangen – burknął potem do słuchawki. – Jeśli życie ci drogie, postaraj się, dobrze ci radzę, skontaktować z komisarzem Van Veeterenem z kryminalnej w Maardam. Natychmiast!

Powtórzył swój numer przesadnie powoli dwa razy, po czym cisnął słuchawkę.

Siedział przez chwilę w miejscu, klnąc w duchu i oglądając swój skaleczony kciuk, podczas gdy chłodne realia zawarte w rewelacjach komisarza Sachsa niespiesznie, ale nieuchronnie tłumiły jego wściekłość.

Choćby sama informacja, że kobieta, której zwłoki obleczone w kostium kąpielowy spoczywały na dnie tego przekłętą basenu w Linden, wynajęła

prywatnego detektywa zaledwie na kilka dni przed swoją śmiercią.

Prywatnego gliniarza, który miał wywęszyć, co zamierza jej mąż. Ten cholerny Jaan G. Hennan!

Van Veeteren wyciągnął papierosa i go zapalił. Co to wszystko ma, psiakrew, znaczyć? Czy z tego wynika, że ona... musiała coś przeczuwać? Tak czy nie? No, zadzwoń wreszcie, ty zasrany szpiclu!

Obrzucił spojrzeniem milczący telefon. Uzmysłował sobie, że minęło zaledwie kilka minut od chwili, kiedy nagrał wiadomość, i że trudno oczekiwać, by Verlangen zjawił się w swoim biurze z taką wzorową punktualnością. Zaciągnął się głęboko papierosem i zerknął na zegarek.

Wpół do trzeciej. Powinien zbierać się na umówiony mecz badmintona z Münsterem. Zdusił niedopałek, wstał i wyjął z szafy torbę z rakieta.

Miej się na baczności, inspektorze, pomyślał. Dzisiaj nie będzie litości.

Jadąc na dół windą, doszedł do wniosku, że chyba wie, kim jest Maarten Verlangen i dlaczego odszedł z policji.

Po opuszczeniu komisariatu policji w Linden Verlangena ogarnęły trzy mniej lub bardziej sprzeczne uczucia.

Po pierwsze, dobrze było pozbyć się tej beznadziejnej sprawy Hennana. Minął dokładnie tydzień od dnia, kiedy piękna Amerykanka pojawiła się w jego biurze; teraz ona nie żyje i wyjaśnienie, co tak naprawdę się stało, to zadanie policji. A nie Maartena Baudewijna Verlangena.

Po drugie, czuł się wewnętrznie pusty. Jakby w czymś zawiódł; nie do końca wiedział w czym, nie potrafił jednak uwolnić się od tego doznania. Jeśli prywatny detektyw ma jakąś moralną rolę do spełnienia w społeczeństwie, to chyba właśnie taką, że powinien wkraczać i zaprowadzać porządek tam, gdzie zawodzi policja. Przynajmniej on tak usiłował uzasadniać swoją egzystencję za każdym razem, gdy musiał doprowadzić się do pionu.

Teoretycznie. Życie jest, jakie jest, i Maarten Verlangen doskonale wiedział, jak ważne jest odpowiednie skalibrowanie własnych motywów działania, aby móc wytrzymać swoją małość. Pod tym względem nie był ani lepszy, ani gorszy niż tak zwany przeciętny przyzwoity obywatel.

Choć musiał przyznać, że w przypadku Barbary Hennan trochę wypadł z roli. Ta kobieta przyszła do niego z prośbą o pomoc, a on nic nie zrobił. Teraz ona nie żyje, a on zwałił cały problem na barki policji. Niezależnie od wszystkiego nie było to honorowe zachowanie.

Mam to gdzieś, pomyślał.

Trzecie uczucie było trywialnej, powszedniej natury. Chciało mu się pić. Wręcz szatańsko tęsknił za dużym piwem, dlatego zanim ruszył samochodem z powrotem do Maardam, wstąpił do baru U Henry'ego i postarał się o zbilansowanie przynajmniej tej nierównowagi.

Zawsze coś, pomyślał. Po kolei.

Dyrektor Kooperdijk ze spółki ubezpieczeniowej F/B Trustor przypominał małego byka.

Przypominał także – i to niemal do złudzenia – byłego teścia Verlangena. Dlatego detektyw zawsze czuł się niekomfortowo, kiedy próbował sprostać sile jego stalowoniebieskich oczu. Cała postać tego mężczyzny emanowała energią tak intensywną, że wręcz bliską eksplozji. Toteż nic dziwnego, że od czasu do czasu dyrektor musiał dać jej upust w wybuchach agresji i szyderstwach. To swego rodzaju wentyl bezpieczeństwa, oceniał Verlangen. Aby nie doszło do przegrzania. Identycznie było z ojcem Marty, tym wrzącym wulkanem. Po rozwodzie wręcz odczuł ulgę, że wreszcie oszczędzone mu będą konfrontacje – i mało subtelne aluzje dotyczące jego niedoskonałości – związane z obowiązkowymi comiesięcznymi niedzielnymi obiadami w ogromnej willi w Loewingen.

Zawsze coś.

Mimo to spojrzenie jak z pistoletu maszynowego rzucone znad biurka dyrektora Kooperdijka w luksusowym gabinecie przy Keymer Plejn zawsze budziło tamto wspomnienie.

Teraz też. Było w pół do trzeciej po południu; Verlangen spóźnił się piętnaście minut i zrzucił winę na kłopoty z parkowaniem w centrum, ponieważ przyznanie się, że to piwo U Henry’ego stało się przyczyną jego niepunktualności, byłoby złą taktyką.

– Proszę usiąść – powiedział Kooperdijk. – Mamy problem.

Verlangen usiadł na niskim krześle naprzeciwko biurka. Krzesło dyrektora było o co najmniej piętnaście centymetrów wyższe, oczywiście nie przez przypadek.

– Problem? – zdziwił się Verlangen i włożył do ust dwie pastylki do ssania. – Co za problem?

– Mówiąc dokładnie – dwa – skorygował Kooperdijk.

– To znaczy?

– Pierwszy dotyczy pańskich usług.

– Moich usług?

– Tak, pańskich tak zwanych usług na naszą rzecz. Zaczynamy się zastanawiać nad naszymi wspólnymi ustaleniami. W sumie to wszystko pozostawia trochę do życzenia.

– Moim zdaniem raczej powinniście być zadowoleni – powiedział Verlangen.

– Można by o tym dyskutować.

– Nie bardzo rozumiem – przyznał Verlangen. Do rzeczy, ty mała gnido, pomyślał.

– Domyślam się i nie dziwię, że pan może być zadowolony – kontynuował Kooperdijk, splótłszy dłonie przed sobą na blacie biurka. – My jednak niekoniecznie. Nie we wszystkich sprawach.

– Na przykład? – spytał Verlangen.

– Sprawa Westergaade – powiedział Kooperdijk. – Nieszczególnie udana. A sprawa tej kancelarii adwokackiej. Zupełnie do niczego.

Verlangen zamyślił się.

– Trudno oczekiwać, żebym wytropił gdzieś coś, gdzie nie ma nic do wytropienia – rzekł.

– Doprawdy? To niemożliwe? – spytał dyrektor z kamienną twarzą. – O tym też można by dyskutować. Oprócz tego chodzi o pańskie życie prywatne.

– Co takiego? – rzucił Verlangen, usiłując wyprostować się chociaż na tyle, aby na wysokości oczu mieć blat stołu. – Moje prywatne...?

Kooperdijk pochylił się do przodu, opierając łokcie na biurku.

– Pani Donck, jedna z naszych śledczych, widziała pana w Oldener Maas dwa tygodnie temu. Nie przyniosło to panu chluby.

Verlangen milczał.

– Powiedziała, że był pan w sztok pijany. I podobno dobierał się pan do jej koleżanki w barze.

A czy nie po to kobiety przesiadują w barach? – pomyślał Verlangen i opadł do tyłu na oparcie krzesła. Żeby się do nich dobierać?

– To musiała być jakaś pomyłka – oświadczył.

– Z pewnością – zgodził się Kooperdijk. – Pytanie tylko czyja?

Verlangen na sekundę przymknął oczy, zastanawiając się, czy nie powinien wstać i wyjść. Nagle zapragnął znaleźć się na jakiejś greckiej wyspie. Tylko może nie na Krecie, bo miał dość Minotaurów.

– Rozumiem – rzekł. – To się już więcej nie powtórzy.

– Prawdopodobnie – odparł Kooperdijk. – No więc, tak czy owak, nie jesteśmy

pewni, czy nadal będziemy chcieli korzystać z pańskich usług. Czy ma pan coś do dodania w tej kwestii?

– Nie – odpowiedział Verlangen.

– To znaczy jeśli nie zauważymy poprawy pod jakimkolwiek względem. Bo to naturalnie zmieniłoby postać rzeczy.

– Mam nadzieję – odezwał się Verlangen.

– Jak wspomniałem, mamy jeszcze jeden mały problem.

– No właśnie.

– A właściwie duży problem.

– Czyli?

– Gdyby zdołał pan wykazać się w tej sprawie większą skutecznością, z pewnością chociaż częściowo rzuciłoby to inne światło na pańskie położenie.

Verlangen odchrząknął. Ponieważ w gabinecie dyrektora Kooperdijka nie wolno było palić, wsunął sobie do ust kolejne dwie pastylki do ssania.

– Wobec tego słucham – rzucił z optymizmem. – Co to za duży problem?

Dyrektor otworzył czerwoną teczkę i wyjął jakiś papier. Następnie powolnym ruchem włożył na nos okulary do czytania, które nieco złagodziły jego byczą fizjonomię.

– Hmm – bąknął. – Chodzi o ubezpieczenie na życie. Które może okazać się dosyć kosztowne, jeśli nie potasujemy odpowiednio kart.

Verlangen czekał.

– Mówiąc dokładnie: jeden i dwie dziesiąte miliona guldenów.

– Jeden i...?

... dwie dziesiąte, tak. Masa pieniędzy. Cholerna masa. I tu jest pies pogrzebany, cytując sceptycznego mówcę. Prawdopodobnie piekielnie duży pies.

– To znaczy? – spytał Verlangen. – Oczywiście jestem gotów zrobić, co w mojej mocy. O co dokładnie chodzi?

Kooperdijk zdjął okulary.

– Sprawa nie wygląda dobrze – zaczął dyrektor. – Powiedziałbym nawet, że wygląda całkiem źle. Miesiąc temu podpisaliśmy umowę na życie na rzecz pewnej osoby. Pierwsza rata została wpłacona jak należy, a teraz okazuje się, że ta osoba nie

żyje.

– Nie żyje? – spytał Verlangen.

– Nie żyje – potwierdził Kooperdijk i wyczyścił sobie nos w kraciatą chustkę, którą wyciągnął z kieszeni spodni. – Opuściła ziemski padół. Dokończyła żywota. Przeszła do wieczności. Co pan sobie życzy.

– Rozumiem – potaknął Verlangen.

– F/B Trustor nigdy nie bał się ryzyka – stwierdził dyrektor, przenosząc wzrok na rząd dyplomów wiszących na przeciwległej ścianie. – Zawierał umowy, na które inne spółki się nie decydowały. Wysoki czynnik ryzyka – odpowiednie do tego premie. Od niemal trzydziestu lat nasza renoma była niezachwiana...

Jeśli zacznie mi tu teraz opowiadać o psie śpiewaczki operowej, zapalę papierosa i wyjdę, postanowił w duchu Verlangen.

– ...naturalnie nie muszę panu tego wszystkiego mówić. Istnieją jednak pewne granice, ale bywają klienci, którzy jeśli mogą, nie omieszkają wykorzystać naszej wspaniałomyślnej postawy. Historia, którą mam na myśli, należy niewątpliwie do tej kategorii. Nazwisko osoby ubezpieczonej brzmi Barbara Hennan. Pewnie czytał pan o niej w gazetach?

Serce Verlangena zatrzymało się nagle.

– Bar...? – wykrztusił.

– Barbara Hennan, tak. Zmarła w ubiegłym tygodniu. Cała suma ubezpieczenia – jeśli nie zdołamy temu zapobiec – przypadnie jej mężowi, niejakiemu Jaanowi G. Hennanowi. Milion przecinek dwa.

Verlangen połknął pastylki, które jeszcze miał w ustach. Jego serce znowu zaczęło bić.

– Co panu jest? – spytał Kooperdijk.

– Mnie? Nic – odpowiedział Verlangen. – To tylko lekki zawrót głowy.

– Zawrót głowy? Przecież pan siedzi – zdziwił się dyrektor. – Ile pan ma lat?

Verlangen znowu spróbował wyprężyć się na krześle.

– Niedawno złapała mnie grypa – wyjaśnił. – Nic poważnego, nie ma o czym mówić. A więc He... Hennan, powiada pan?

To chyba mi się śni, pomyślał, nie odważył się jednak uszczypnąć w ramię, czując

na sobie czujne bycze spojrzenie Kooperdijka.

– Tak, Hennan. Na kilometr czuć tu szwindlem, pojąłby to każdy osioł. A propos osła, sprawę bada policja, tyle że oni uważają to chyba za nieszczęśliwy wypadek.

– Naprawdę? – spytał Verlangen. – A jakie były warunki? Mam na myśli warunki wypłacenia kwoty polisy.

– Śmierć naturalna. Do niej zaliczają się niestety również wypadki. Jeśli ktoś pomógł jej przenieść się na tamten świat albo jeśli ona zrobiła to sama, wtedy wyjdziemy z tego obronną ręką. Śmiertelne pobicie, morderstwo, samobójstwo – wszystko jedno. Musimy skierować ten wózek w taką stronę.

Skierować wózek w taką stronę? – powtórzył w duchu Verlangen. On chyba zwariował.

– Rozumie pan w czym rzecz? – chciał się upewnić Kooperdijk, mrugając porozumiewawczo do swojego gościa.

Verlangen nie odpowiedział. Zrozumieć zrozumiałem, ty nędzny wymoczek. Ale nie potrafię pojąć.

Cholera, nie potrafię.

– Krotowsky wprowadzi pana w szczegóły sprawy – rzekł Kooperdijk. – Jeśli się pan postara wyświadczyć nam tę drobną przysługę, my z naszej strony zapomnimy o tamtych wszystkich starych historiach. Nie muszę chyba panu mówić, że w tej sytuacji koszty nie są istotne.

Verlangen katapultował się z krzesła na równe nogi i w tym momencie rzeczywiście zakręciło mu się w głowie.

– Mam teraz iść do Krotowsky'ego czy...?

– Natychmiast – potwierdził Kooperdijk.

Inspektor Münster w pojedynku w badmintona przeciwko Van Veeterenowi wygrał wszystkie cztery sety. Jak zwykle. Jedyne na samym początku walka przez chwilę była w miarę wyrównana, ale od stanu 5:5 przeszedł przez 9:6 i 12:8 do zwycięskiego 15:11. Pozostałe sety przypominały zwycięskie wyprawy zdobywcze: 15:6, 15:8 i 15:4.

– To przez to łamanie w krzyżu – podsumował komisarz w drodze pod prysznic. – Ono mnie hamuje, ale w przyszłym tygodniu zrobię z ciebie miazgę.

– Czas pokaże – odpowiedział Münster.

– Poza tym mam ciągle w głowie tę historię Hennana – ciągnął dalej Van Veeteren. – Po prostu nie mogę jej rozgryźć. Gdybym był bystrym inspektorem, skorzystałbym z okazji i pokazał, na co mnie stać.

– Wiadomość odebrana – rzekł Münster.

Już w samochodzie, gdy jechali do hali sportowej, został poinformowany o nowych okolicznościach w sprawie. O tym monstrum, prywatnym szpiclu, jak był łaskaw nazwać go komisarz. Wspomniał także, że wie, kim jest Maarten Verlangen – jednym z funkcjonariuszy policji, którzy ogólnie rzecz biorąc, nie potrafią odróżnić zła od dobra, a potem odchodzą ze służby z podkulonym ogonem, mając przed sobą niepewną przyszłość. Tak to mniej więcej wyglądało w jego przypadku. Jakies pięć czy sześć lat temu. Jeśli pamięć komisarza nie myli.

Münsterowi nie pozostało nic innego, jak się z nim zgodzić. To rzeczywiście dziwna historia. Zaczął zastanawiać się nad tym, kiedy wyrzucił Van Veeterena przy parku Randerera i w sznurze samochodów ruszył dalej w stronę swojego domu na przedmieściu.

Jeżeli Barbara Hennan faktycznie wynajęła prywatnego detektywa, żeby pilnować swojego męża, to coś musiało być na rzeczy. Tylko co? – zadał sobie pytanie Münster. No właśnie. Może czuła, że na coś się zanosi. Chyba tak, no bo co innego? Może się bała, że mąż knuje przeciwko niej. Tak czy siak, Verlangen powinien mieć jakieś informacje na ten temat.

Komisarz wciąż o tym myślał. A Münster zdążył się już nauczyć, że przeczuć Van Veeterena i intuicyjnych hipotez nie należy lekceważyć. Trzy lata temu – kiedy dopiero co przeszedł do kryminalnej – nie potrafił nie irytować się na różne cudaczne pomysły komisarza, z czasem jednak jego sceptycyzm przerodził się w szacunek.

Szacunek i mimowolny podziw.

Że on prawie nigdy się nie myli. W dochodzeniu za dochodzeniem Van Veeterenowi wciąż udawało się – z wręcz lunatyczną pewnością – pójść właściwym tropem. Zawsze wybierał właściwą osobę do ponownego przesłuchania albo zalecał bardziej szczegółowe sprawdzenie, co pan X albo pani Y czy panna Z robili w środowy wieczór tydzień wcześniej. I to wszystko w chaosie informacji

i dezinformacji, jakie gromadziły się w każdej sprawie w mgnieniu oka.

To się nazywa intuicja. Nie można było zaprzeczyć, że Van Veeteren ma tę kontrowersyjną, lecz niezwykle cenioną właściwość. I to bardzo rozwiniętą.

I trzeba też przyznać, rozmyślał dalej Münster, skręcając z głównej drogi i lądując między autobusem a samochodem wiozącym ryby, że w tej sprawie także mógł mieć nosa.

Jeśli on uważa, że to podejrzany G kryje się za śmiercią swojej żony, to prawdopodobnie tak było. W taki czy inny sposób.

Pytanie tylko jak? Jak do tego doprowadził? Wymknął się z knajpy na tak długo, na ile było trzeba? Czy to realne pod względem czasowym? Czy miał pomocnika?

Ostatni wariant wydawał się bardziej prawdopodobny. Płatny morderca? Ale to raczej nietypowe rozwiązanie, bardzo nietypowe poza strukturami tak zwanej przestępczości zorganizowanej, a do nich małżeństwo Hennanów chyba nie należało? Czy może jednak?

I jak do tego doprowadzić, żeby przyprzeć go do muru?

Pytań nie brakuje, stwierdził inspektor, parkując samochód przed swoim segmentem.

Jest ich sporo i chyba jeszcze za wcześnie, żeby na którekolwiek znaleźć odpowiedź, uznał. A przynajmniej dopóki się nie dowiedzą, co więcej ma do powiedzenia prywatny detektyw i były gliniarz Verlangen. I co znajdą w informacjach o Hennanie, które komisarz ściąga z USA.

Stara, dobra reguła mówi, że niemądrze jest spekulować za wcześnie. Lepiej poświęcić czas żonie i dzieciom.

To była rzeczywiście mądra reguła, zwłaszcza jeśli żona ma na imię Synn i jest najbardziej atrakcyjną kobietą na ziemi. A syn, który nazywa się Bart, zaraz ze śmiechem wybiegnie mu naprzeciw, on zaś podrzuci go tak wysoko, że radosnym krzykiem nie będzie końca.

Boże drogi, pomyślał Münster. Jestem, do cholery, najszczęśliwszym gliniarzem w całym mieście. Jak to możliwe, że czasami o tym zapominam?

Kilka minut po północy, gdy już przestali się kochać, opowiedział całą historię Synn i spytał, co ona o tym sądzi. Leżąc z głową opartą na jego ramieniu, z twarzą tuż

przy jego uchu, zastanowiła się chwilę.

– Nigdy w życiu nie rzuciłabym się z wieży do skoków w ciemności – szepnęła. –
Przenigdy.

– Dokładnie tak samo pomyślałem – powiedział. – Śpijmy już.

W środę rano komisarz Van Veeteren pokłócił się z żoną. Nie do końca wiadomo, o co poszło. Chyba oboje mówili o dwóch różnych rzeczach. Tak czy owak, ostatnie słowo miała Renate, nawet uderzyła dłonią w stół i oświadczyła, że nic dziwnego, iż Erich jest taki, jaki jest, skoro ma takiego ojca.

Van Veeteren chciał już odpowiedzieć, że wartościowe geny i wspaniałe cechy matki powinny chyba skompensować wszelkie braki, a przynajmniej w pewnym stopniu, lecz ona wtedy już wyszła z kuchni. Siedząc potem nad zadaniem szachowym w „Allgemejne”, zastanowił się po raz kolejny, dlaczego nie przetną tego wrzodu raz na zawsze i się nie rozstaną – oraz jaki wpływ miałby taki krok na ich nieudanego syna.

Doszedł do wniosku, że chyba już gorzej być nie może. Człowiek wie, co ma, ale nigdy nie wiadomo, co go spotka.

Mała scysja przy śniadaniu miała jednak pewną dobrą stronę, uznał Van Veeteren, znalazłszy się w promieniach słońca na Wimmerstraat. Wyparła na chwilę z jego świadomości sprawę G, co bardzo mu się przydało. Nie był bowiem przyzwyczajony, aby sprawy, które prowadzi, bez przerwy się w nim kotłowały, a w przypadku Hennana na razie nie trwało nawet żadne dochodzenie. Ta sprawa, jeśli w ogóle można tu mówić o sprawie, znajdowała się nadal na biurku komisarza Sachsa w Linden. Policja kryminalna w Maardam została do niej włączona w funkcji niejako konsultacyjnej i na razie jej nie przejęła.

Jeszcze nie? – powtórzył w myślach i zatrzymał się na kładce dla pieszych nad Wimmergraacht, aby zapalić papierosa. Jak to? Jeśli to tylko kwestia czasu, to nie ma powodu, żeby zwlekać.

A już na pewno nie ma powodu, żebym leżał po nocach i łamał sobie nad nią głowę.

Niech to szlag!

Poprzedniego wieczoru udało mu się w końcu złapać prywatnego detektywa. Ale wczoraj Van Veeteren zadowolił się jedynie potwierdzeniem informacji usłyszanych

od komisarza Sachsa i umówił się z Verlangeniem na spotkanie u siebie na komendzie.

Dzisiaj rano. Dokładnie za pół godziny, stwierdził, gdy przechodząc obok kościoła Keymer, rzucił okiem na ogromną bladożółtą tarczę zegara.

To powinno co nieco wyjaśnić. Van Veeteren liczył na to, że Verlangen dostarczy mu przynajmniej tyle mięsa, że będzie mógł zdecydować, czy przejmie to śledztwo, czy nie. Czy w ogóle się opłaci wszcząć wstępne dochodzenie z przeklętym G w roli głównej i w końcu ruszyć energicznie do przodu.

Chociaż cała ta sprawa jest dziwna. Wyjątkowo dziwna. Zarówno sam sposób, w jaki Barbara Hennan pożegnała się z życiem, jak i podejrzana rola owego prywatnego tropiciela. Zastanawiał się też, jak on podchodziłby do tej sytuacji i jak by się zachowywał, gdyby chodziło o kogoś innego, a nie o G.

Doszedł do wniosku, że pewnie mniej by się angażował i dzięki temu oszczędziłby sobie irytacji. Ale ów osobisty aspekt nie oznacza chyba, że padł ofiarą wątpliwych uprzedzeń i stracił jasność widzenia? Znajomość ludzi stanowi oczywiście korzystny czynnik w pracy śledczej. Pod warunkiem że umie się właściwie ją wykorzystać, utrzymać ją, by tak rzec, na odpowiedni dystans.

Postanowił, że postara się pamiętać o tym niezbędnym dystansie. Zatrzymał się na chwilę przed księgarnią Kooners i spojrzawszy spod przymrużonych powiek na bezchmurne niebo, ściągnął marynarkę. Słońce grzało coraz mocniej, a Keymer Plejn zaczęły zapełniać tłumy turystów. Stojąc chwilę, obserwował kolorowy plac. Nieodłączny południowoamerykański zespół muzyczny rozstawiał swoje instrumenty przed Kellner's, mimo że dochodziło dopiero wpół do dziesiątej, dwie dwunastolatki biegły przez rynek z lodami w ręku, a przy stolikach ulicznych kawiarenek siedziały już siwowłose damy i brzuchaci panowie i pili swoje śniadanie.

Lato, pomyślał. Wygląda na to, że w tym roku też będzie. Do diabła!

Choć prywatny detektyw Verlangen spóźnił się dziesięć minut, nie zdążył ogolić się tego ranka. Prawdopodobnie poprzedniego dnia też nie, stwierdził Van Veeteren, patrząc na niego i pytając, czy napije się kawy.

Oczywiście. Komisarz domyślił się, że jego gość zdążył tylko wypić piwo na śniadanie, zamówił więc przez pannę Katz z recepcji także kilka kanapek z szynką.

– Dziękuję – powiedział Verlangen. – Obudziłem się trochę późno. Czasami

człowiek po prostu nie może zmrużyć oka.

Komisarz zauważył, że detektyw wygląda na dosyć zapuszczonego. Miał na sobie spraną bawełnianą koszulę z krótkimi rękawami, przy której brakowało jednego guzika. Wytarte czarne dżinsy i schodzone sandały. Worki pod oczami i tłuste kruczoczarne włosy, którym już dawno przydałoby się przycięcie albo wręcz usunięcie do gołej skóry.

Życie Maartena Verlangena w ciągu pięciu lat, jakie minęły od jego odejścia ze służby, ewidentnie nie było sielanką. Co prawda Van Veeteren nie spodziewał się niczego takiego, mimo wszystko ogarnęło go jednak lekkie współczucie dla tego zmarnowanego faceta, który teraz niespokojnie rozglądał się dookoła i wyraźnie chciał zapalić.

– Mogę zakurzyć?

– Proszę – powiedział Van Veeteren. – Za chwilę będzie kawa i kanapki.

Verlangen zaciągnął się głęboko papierosem.

– Nie mogłem dziś w ogóle spać – wyjaśnił. – To cholernie pokręcona historia ta sprawa pani Hennan.

– Dlaczego nie odezwałeś się do nas wcześniej? – spytał Van Veeteren. – Minął już prawie tydzień.

– Przepraszam – powiedział. – Ale zorientowałem się, co się stało, dopiero w ostatni poniedziałek... czyli przedwczoraj. Nie myśl tylko, że próbuję się wam odpłacić za to, co stało się pięć lat temu. Nic z tych rzeczy. To była moja wina i wyciągnąłem z tego odpowiednią lekcję.

– Znam tamtą historię – oznajmił komisarz. – Czasami człowiek ląduje w sytuacji, z którą nie potrafi sobie poradzić. Ty poniosłeś konsekwencje i jeśli o mnie chodzi, to nie mam z tym problemu.

Verlangen popatrzył na niego przez kilka sekund lekko błyszczącymi oczami.

– Dzięki – powtórzył. – No cóż, jest, jak jest. Jeśli chodzi o tego Hennana, możesz mi wierzyć, że stoimy po tej samej stronie. To wyjątkowo nieprzyjemny drań i nic by mnie bardziej nie ucieszyło, niż gdyby udało się go znowu przymknąć.

Van Veeteren pokiwał głową.

– O ile jestem dobrze poinformowany, ostatnio to chyba ty go przymknąłeś?

– Zgadza się – potwierdził Verlangen. – Ja z kolegą. Dostał dwa i pół roku, a zasłużył na co najmniej dwa razy tyle.

– Też tak myślę. Ale czasami trzeba być wdzięcznym za to, co się ma.

– Tego też się nauczyłem – przyznał Verlangen i pozwolił sobie na krzywy uśmiech. – Przez ostatnie lata. To co, podsumujemy teraz przebieg wydarzeń? Mam też wspaniałą nowinę, ale może ją zostawimy na koniec.

– Jakąś nową informację? – dopytał Van Veeteren. – Dotyczącą Hennana?

– Prawdziwą bombę – dodał Verlangen. – Niewykluczone, że będziesz potrzebować wsparcia. Ale od początku...

Komisarz uruchomił magnetofon, lecz niemal natychmiast go wyłączył, ponieważ rozległo się pukanie do drzwi i do środka weszła panna Katz z kawą i tacą z kanapkami. Verlangen odczekał, aż opuści pokój, ugryzł dwa kęsy, popił je łykiem kawy i zaczął.

Zajęło im to pół godziny – dodatkowe pytania komisarza, doprecyzowania i powtórzenia, zwłaszcza gdy Verlangen dotarł do czwartkowego wieczoru w Colombine. Kiedy już Van Veeteren zdawał się być usatysfakcjonowany, przyszła pora na zapowiedzianą bombę.

– F/B Trustor – znana jest panu komisarzowi ta firma?

– Spółka ubezpieczeniowa.

– Zgadza się. Trochę z nimi współpracuję... a właściwie współpracowałem. Wczoraj po południu zostałem wezwany do dyrektora. Właściwie z dwóch powodów. Po pierwsze, chcieli mi dać kopniaka, bo nie są zadowoleni z efektów mojej pracy, a po drugie, dali mi jednocześnie szansę zrehabilitowania się... można tak powiedzieć. Domyślasz się, o co może chodzić?

Komisarz pokręcił głową. Skąd, u diabła, miałby to wiedzieć?

– O Jaana G. Hennana.

– O Hennana?

– Tak jest. Tego samego. Sprawa ma się tak, że miesiąc temu G zawarł polisę ubezpieczeniową na życie na rzecz swojej żony. Jeśli się okaże, że umarła śmiercią naturalną, on skasuje milion dwieście tysięcy.

– Co takiego? – rzucił Van Veeteren.

– Milion dwieście tysięcy guldenów. I co ty na to?

Van Veeteren wpatrywał się w Verlangena.

– Milion...

– ...dwieście tysięcy. To po prostu w głowie się nie mieści. Trudno o lepszy motyw, żeby pozbyć się małżonki. Jaan G. Hennan miał istotny powód, żeby pozbyć się jej naturalną drogą.

Van Veeteren uzmysłowił sobie, że siedzi z rozdziawionymi ustami. Zamknął je zatem i powoli pokręcił głową.

– To jest przecież... – odezwał się wreszcie. – I ty wczoraj wieczorem nie pisałeś mi o tym ani słówkiem przez telefon? Dlaczego, do jasnej cholery...?

– Przecież sam powiedziałaś, że lepiej będzie porozmawiać w cztery oczy. Poza tym potrzebowałem trochę czasu, żeby się zastanowić.

– Po co? Zastanowić się nad czym?

Przez chwilę Verlangen sprawiał wrażenie nieco zakłopotanego.

– Nad swoją rolą oczywiście. W stosunku do Trustora. No bo jeśli usadzę Hennana sam osobiście, na jakiś czas będę miał zapewnione utrzymanie... jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Ale potem doszedłem do wniosku, że moglibyśmy działać wspólnie, ręka w rękę.

– A niech to szlag – wyrwało się komisarzowi. – Mówisz jak bystry amerykański detektyw z lat czterdziestych.

– Taki zawód – powiedział Verlangen. – Wybacz. W każdym razie teraz wiesz już tyle, ile ja wiem. Miło, że mogłem znowu wpaść tu do was.

– Domyślam się – odrzekł Van Veeteren. – Podejrzewam, że to nie jest ostatni raz.

– Też tak sędzę. Faktem jest, że dosyć mi zależy, żeby usadzić tego bydlaka. Muszę przyznać... tak całkiem szczerze, że ta kreatura mnie przeraża.

Mnie też, przyznał w duchu Van Veeteren.

Po rozmowie z Maartenem Verlangeniem komisarz zjechał do podziemi komendy i przez godzinę siedział w saunie. Prawdopodobnie również w tym przypadku chodziło o pewien wariant reguły Borkmanna.

Jeżeli czujesz, że myśli i wola działania rozsadzają ci głowę, wyłącz się na chwilę i wycisz, poinstruował go dwadzieścia lat temu Borkmann. Niezwykle rzadko się

zdarza, aby pośpiech szedł w parze z rozsądkiem i jasnością umysłu. Gdy zatem siedział spokojnie na drewnianej ławce i dumał, mimo wszystko niewiele mu się rozjaśniło. Może jedynie doszedł do wniosku, że wspomniana reguła w wyjątkowo dużej mierze odnosi się do tego właśnie przypadku.

Pośpiech to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebował, uznał, kiedy zaczął porządnie się pocić. Jeśli G – w taki czy inny sposób – pozbawił żonę życia, zrobił to, aby dobrać się do pieniędzy z ubezpieczenia – milion dwieście tysięcy guldenów! Swoją drogą komisarz chętnie przyjrzałby się bliżej zwojom mózgowym i rozsądkowi szanownych państwa z F/B Trustor.

Nie ulegało wątpliwości, że dopóki będzie trwało policyjne śledztwo, nie wysupląją ani jednego guldena. To było jasne jak słońce. Jaan G. Hennan nic też nie zyska, jeśli spróbuje uciec albo się gdzieś ukryć. Towarzystwa ubezpieczeniowe nie są raczej znane z tego, żeby z własnej woli szukały swoich klientów i dopraszały się o to, żeby wypłacić im pieniądze.

Van Veeteren polał wodą rozgrzane kamienie, wywołując obłok pary gorącej na granicy wytrzymałości.

Jedynie, co G mógł zrobić w tej sytuacji, to czekać. Czekać, aż młyny sprawiedliwości we właściwym im powolnym tempie dokonają swego. Innymi słowy, policja i prokuratura muszą zadbać o to, aby otwarto dochodzenie wstępne, a resztę zostawić czasowi. A G będzie się wtedy pocił i łamał sobie głowę. Dwa miesiące to standardowy termin przewidziany przepisami, lecz jeśli tylko zajdzie taka potrzeba, prokurator na pewno da się przekonać do wydłużenia go o miesiąc albo o kilka.

To znaczy, gdyby nic nie znaleziono, trzeba się jednak, do jasnej cholery, odpowiednio postarać i mimo wszystko coś znaleźć. Przeciw tak wyjątkowo niesympatycznemu typowi na pewno znajdzie się wystarczająco dużo mocnych dowodów! Przeciwno mordercy Jaanowi G. Hennanowi!

W tym celu należało zmobilizować wszelkie dostępne zasoby.

Wylał kolejną chochlę wody na kamienie i nagle przed jego wewnętrznym okiem ukazał się obraz jakiegoś zwierzęcia. Coś w rodzaju mentalnej – czy raczej psychofizycznej? – hybrydy smoka i sfinksa, na ile był w stanie rozpoznać. Zło tryskało jej niczym rozżarzona lawa z oczu i pyska, a on sam, nieustraszony

i nieprzekupny komisarz Van Veeteren, niczym... niczym szlachetny rycerz światła i dobra spiął swojego białego rumaka ostrogami, wysunął do przodu długie ramię sprawiedliwości jak lancę albo błyszczący miecz...

Zaczęło mu migotać przed oczami, więc na uginających się nogach wytoczył się z sauny. Boże drogi! – pomyślał. Po jakie лихо jeszcze dodatkowo przegrzewać mózg?

Przed spotkaniem z szefem policji Hillerem ustalił z Münsterem kierunki działania. Nie było to szczególnie skomplikowane; inspektor, notując, doszedł na koniec do wniosku, że ich najbliższe prace powinny przebiegać w sześciu różnych kierunkach. Przynajmniej na początku.

Przede wszystkim trzeba gruntownie przeczesać Willę Zefir. Z technikami, ludźmi od zabezpieczania śladów i z całym ich arsenałem. Wprawdzie G miał całe lata świetlne na to, by pousuwać co trzeba, mimo to nie wolno niczego pozostawić przypadkowi...

Po drugie, należy ustalić najdokładniej, jak się da, co Barbara Hennan robiła po kolei w tamten tragiczny piątek. Czy rzeczywiście pojechała do Aarlach? Jeśli tak, jak spędziła tam czas? Kiedy wróciła do Linden? Dlaczego wypijała tyle alkoholu? I tak dalej. Znaków zapytania było co niemiara, a jeśli uda się wyjaśnić chociaż kilka, to i tak będzie dobrze.

Po trzecie, niezbędne są informacje o przeszłości pary w USA. Na razie będą musieli zadowolić się materiałem, który już został zamówiony i który prawdopodobnie przyjdzie jeszcze dzisiaj albo jutro. Na jego podstawie będzie można zdecydować, czy warto iść dalej tym tropem.

Po czwarte, trzeba przyjrzeć się bliżej kręgowi znajomych Jaana G. Hennana. Czym się zajmował po swoim powrocie do kraju? Jakie nawiązał kontakty? Czy są jeszcze jacyś jego przyjaciele i znajomi z lat siedemdziesiątych... i czy małżeństwo Hennanów faktycznie nie spotykało się z nikim poza sąsiadami, z którymi w gruncie rzeczy nie mieli wiele wspólnego?

Po piąte, warto by było – na co szczególnie nalegał Münster – podtrzymać kontakt z prywatnym detektywem Verlangem. Może w rozmowie z komisarzem zapomniał o jakimś szczególe? Może mógłby okazać się pomocny także pod innym względem?

Jak sam zauważył, i on, i oni znajdują się w tej sprawie w najwyższym stopniu po tej samej stronie; Verlangen miał osobisty interes w tym, aby przygwoździć Hennana, i byłoby marnotrawstwem, gdyby nie wykorzystali tej okoliczności. W taki czy inny sposób. Nawet jeśli chodziło o tak podupadłego prywatnego detektywa, z jakim mieli do czynienia.

Komisarz przez kilka sekund zastanowił się nad argumentacją Münstera w tym punkcie. Potem bąknął coś pod nosem i wyraził zgodę. W końcu co nam szkodzi, powiedział.

Po szóste – i ostatnie – jest niezwykle ważne, aby zadać decydujący cios w samo serce. Z maksymalną precyzją.

Przesłuchanie Jaana G. Hennana. Tu nie wolno było popełnić żadnego błędu. Już podczas wcześniej przeprowadzonej rozmowy Van Veeteren wyczuł przyszłą próbę sił, a G nie był oczywiście na tyle naiwny, żeby nie wiedzieć, co go czeka. Musiał być tego świadomy, co do tego komisarz nie miał wątpliwości.

Żadnych białych rękawiczek. Żadnych idiotycznych względów i bawienia się w ciuciubabkę. Van Veeteren wiedział, że Jaan G. Hennan jest winny, a Hennan wiedział, że on wie.

Trudno o bardziej jednoznaczną sytuację.

Albo o trudniejszą.

Ponieważ nie było specjalnej presji czasu, Münster i Van Veeteren zgodzili się co do tego, żeby pierwszą ważną konfrontację przesunąć jeszcze o kilka dni. Lepiej, żeby technicy zbadali wszystko dokładnie. Lepiej, żeby G czekał i łamał sobie głowę. Komisarz zdecydował się wstępnie na piątek wieczór, zostały więc jeszcze dwie doby. Jeśli istnieje możliwość wyboru, zawsze korzystniej jest wkroczyć o najmniej spodziewanej porze dnia.

Tak naprawdę największą ochotę miałby na to, żeby przyjechać po G czarnym radiowozem w samym środku nocy – niekiedy nie potrafił się powstrzymać i próbował wyobrazić sobie, co by robił, gdyby był komisarzem w latach trzydziestych w Związku Sowieckim – nigdy jednak nie powiedział tego na głos, chociażby ze względu na czyste serce inspektora Münstera.

– To by było tyle – stwierdził i sięgnął po notatki. – Chyba pora na małą wizytę

u naszego króla kwiatów. Wybierzesz się ze mną?

Münster uśmiechnął się i szybko podziękował.

– Raczej nie będzie większego problemu z otrzymaniem wsparcia? – spytał.

– Nie wyobrażam sobie nic takiego – odpowiedział komisarz. – W końcu to paskudna historia... stawiam piwo, jeśli go przygwoździmy.

Robi się poważnie, pomyślał Münster. Śmiertelnie poważnie.

Opisawszy w zarysie szefowi policji sytuację i uzyskawszy od niego zapewnienie, że komisarz ma do dyspozycji wszelkie dostępne środki, Van Veeteren wrócił do siebie z kubkiem kawy i paczką papierosów.

Pierwsze, co przyszło mu do głowy, gdy zdjął buty i położył nogi na biurku, to kwestia spółki ubezpieczeniowej Trustor, którą razem z Münsterem zapomnieli uwzględnić na ich liście planowanych działań. Żeby od razu nadrobić to zaniedbanie, sięgnął po słuchawkę telefonu i poprosił o połączenie go bezpośrednio z dyrektorem Kooperdijkiem.

Usłyszał, że pan dyrektor jest na spotkaniu, ale oddzwoni najszybciej jak to możliwe. Za mniej więcej dziesięć minut.

Van Veeteren wypalił dwa papierosy, wypił kawę i cierpliwie czekał. Po dwudziestu minutach rzeczywiście miał dyrektora na linii.

Komisarz opowiedział o swojej rozmowie z Verlangem i odpowiednio dobierając słów, spytał, czy dozwolone jest zawieranie takich skrajnie ryzykanckich umów ubezpieczeniowych.

Oczywiście, oświadczył wyniośle Kooperdijk. Wszystko jest kwestią wkładów i wkalkulowanego ryzyka. To transakcja między firmą a klientem, dwoma wolnymi aktorami na wolnym rynku.

Van Veeteren spytał o dokładne warunki polisy Barbary Hennan i bardzo szybko doszedł do wniosku, że sprawy rzeczywiście mają się tak, jak przedstawił mu Verlangen. Cała kwota – jeden przecinek dwa miliona guldenów – przypada uposażonemu, czyli Jaanowi G. Hennanowi, w momencie gdy F/B Trustor otrzyma czarno na białym potwierdzenie, że przyczyna śmierci osoby ubezpieczonej nie mieści się w kategoriach: śmiertelne pobicie, morderstwo, samobójstwo.

Czy takie warunki to standard? – spytał komisarz.

Zdarzają się i takie, wyjaśnił Kooperdijk. Możliwe jest zawarcie w polisie wszelkich dowolnych warunków. To tylko i wyłącznie kwestia umowy między towarzystwem ubezpieczeniowym a klientem. W zasadzie możliwe jest także

zawarcie umowy ubezpieczeniowej, która obowiązuje jedynie w przypadku morderstwa i śmiertelnego pobicia. Choć oczywiście taki wariant jest niezwykle nietypowy, jak sam przyznał, niemal czysto teoretyczny. Nigdy dotąd nie zetknął się z taką klauzulą, a pracuje w branży już ponad trzydzieści lat.

Trzydzieści jeden i pół, precyzyjnie mówiąc.

Van Veeteren zapowiedział, że z pewnością jeszcze do niego zadzwoni, po czym się rozłączył.

Muszę sprawdzić, jaką ja mam polisę, stwierdził potem. Jeśli w Trustorze, to zmieniam ją już jutro.

Następnie spojrzął na zegarek i zorientował się, że nie zdąży zjeść lunchu przed spotkaniem o drugiej.

Musiała mu wystarczyć kanapka, która została na biurku po wizycie Verlangena. Przyniósł więc sobie jeszcze jedną kawę i uznał, że i tak lepsze to niż nic.

Na spotkaniu stawili się wszyscy oprócz dwóch osób. Inspektor Nielsen był w Sellsbach w związku z jakimś podpaleniem, a inspektor deBries miał wolne.

Pozostali zebrali się w salce konferencyjnej. Intendent Heinemann. Inspektorzy Reinhart i Rooth oraz całkiem świeży asystent Jung. No i oczywiście Münster. Sześciu wykwalifikowanych funkcjonariuszy policji kryminalnej, włącznie z samym Van Veeterenem. Nie najgorzej, ale trzeba jeszcze sprawdzić, ilu szeregowych policjantów będzie im potrzeba; spodziewał się, że w ciągu najbliższych dni przyda się ich całkiem sporo, później prawdopodobnie wystarczy już mniej. Intendent le Houde, który kierował grupą techników, został już poinformowany i wprowadzony w sprawę. Przeszukanie domu Hennana w Linden miało zacząć się następnego dnia rano.

Van Veeteren odchrząknął i przywitał obecnych. Poprosił wszystkich, aby nastawili uszu i przez dziesięć minut słuchali uważnie obiema półkulami mózgu. Potem miała być kawa i przydzielenie obowiązków.

Czy na wstępie są jakieś pytania?

Nie było.

Przedstawił chronologiczny przebieg wydarzeń. Nie w kolejności, w jakiej do

niego docierały informacje, tylko począwszy od przyjazdu Hennanów do Linden, włącznie z wizytą Verlangena na komendzie dzisiejszego ranka.

Kiedy skończył, Reinhart stwierdził, że już dawno nie słyszał czegoś równie potwornego. Rooth powiedział, że jest to najoczywistsza sprawa, z jaką się zetknął od co najmniej równie dawna, a nieśmiały Heinemann wyraził pogląd, że to dosyć osobliwa historia.

– A co zrobimy, jeśli ten Hennan wszystkiemu zaprzeczy? – spytał asystent Jung.

– To pewne, że zaprzeczy – oznajmił komisarz. – Niezależnie od tego, ile poszlak znajdziemy i ile z nich będzie wskazywać na niego, on nigdy się nie przyzna. Wszystko wydaje się jasne jak słońce, jak określił to Rooth, tylko problem polega na tym, czy to wystarczy do wszczęcia procesu.

– To oczywiste – wtrącił Rooth. – Ale czy po rundzie pytań nie powinna przypadać przerwa na kawę?

Van Veeteren podniósł słuchawkę i poprosił pannę Katz.

Dyskusja, kawa i podział obowiązków zajęły godzinę. W ciągu jej trwania komisarz zauważył ku swemu zaskoczeniu, że z każdą minutą jego koncentracja jest coraz słabsza. Pytania o wycieczkę Barbary Hennan do Aarlach, o działalność biznesową Hennana, o krąg znajomych obojga i jak do niego dotrzeć – to wszystko stopniowo w dziwny sposób umykało jego uwadze. Mgła obojętności niespiesznie, ale skutecznie opadała na jego świadomość i wydawała się nie do powstrzymania.

Za dużo kawy i nikotyny, uznał. Jutro zjem pomarańczę.

Na szczęście Münster i Reinhart czuwali nad tym, żeby żadne szczegóły nie zostały przeoczone. Obciążenie pracą w całym wydziale było i tak dosyć spore, zwłaszcza

Rooth i Jung pracowali przez ostatnie dni bardzo intensywnie nad napadem rabunkowym w Löhr, no i oczywiście zawsze były jakieś priorytety takiego lub innego rodzaju. Na przykład Reinhart miał tyle niewykorzystanych dni urlopu, że starczyłoby ich na dwie podróże dookoła świata, jak twierdził.

– Samolotem? – spytał Rooth.

– Rowerem – oznajmił Reinhart.

Uwagę komisarza najbardziej rozpraszało, a jednocześnie najmocniej zajmowało

jego zmęczone myśli czekające go przesłuchanie Hennana. Po zakończeniu spotkania wrócił więc do swojego pokoju, żeby przeanalizować przesłanki tej ważnej rozmowy.

Jeśli jakiś aspekt pracy funkcjonariusza policji kryminalnej był mu znany lepiej niż wszystkim pozostałym, to chyba właśnie technika przesłuchań. Taka była też powszechna opinia jego kolegów; wiedział o tym i jedynie fałszywa skromność mogłaby go skłonić do zaprzeczenia temu faktowi.

Umiał jak mało kto podejść ludzi, którzy mieli to i owo na sumieniu. Potrafił – jak ktoś powiedział: w jedenastu przypadkach na dziesięć – zaledwie po paru wstępnych pytaniach i odpowiedziach, po kilku spłoszonych spojrzeniach lub zbyt jaskrawej pewności siebie rozstrzygnąć, czy ma przed sobą osobę winną, czy niewinną. To był talent, umiejętność, która nigdy go nie zawodziła i pozwalała zaoszczędzić setek godzin poświęconych na dochodzenie.

Jeśli bowiem miało się odpowiedź na pytanie „kto?”, wówczas wszelkie inne zabiegi ulegały radykalnej redukcji. Wszystko przeradzało się w zupełnie inną grę. Najczęściej w starcie jednego człowieka z drugim. Twarzą w twarz ponad chwiejącym się stołem z blatem ze sklejki. „Wiemy, że to ty. Popatrz mi w oczy. Widzisz, że wiem. Jesteśmy tego samego zdania, widzę, że ty wiesz, że ja wiem. Przyznasz się zaraz czy zamierzasz odbyć jeszcze parę takich rundek? W porządku, mnie czasu nie brakuje... Nie, tu nie wolno palić. Jeszcze dwie godziny, okej? Potem zamknę cię w celi na noc i przyjdę jutro rano... Nie, kawa niestety się skończyła”.

Namysł i pauzy. Jest w tym pewne piękno. Rodzaj ponurej estetyki przypominającej walkę byków albo nadaremna walkę okrzykniętego zwierzęcia o przetrwanie. Nie starał się dociękać, dlaczego to lubił.

A teraz dotyczyło to G.

Znowu zastanowił się nad czymś takim jak antypatia i dystans. W jaki sposób te dwa czynniki mogą wpłynąć na przebieg przesłuchań – bo co do tego, że będzie ich więcej, nie miał wątpliwości ani przez sekundę – faktem było, że czuje wielką niechęć i odrazę wobec podejrzanego. To, że mówiąc wprost, traktuje go jak wroga.

Trudno powiedzieć. Istnieje wymiar prywatny i wymiar zawodowy. I jeśli one oba nakładają się na siebie, być może oznacza to w gruncie rzeczy dodatkową siłę? Przecież bokserowi czy uczestnikowi pojedynku musi być mimo wszystko łatwiej

pokonać przeciwnika wtedy, gdy go szczerze nienawidzi. Czy też wcale tak nie jest?

To było opaczne i dezorientujące porównanie, postanowił więc nie iść dalej tym tropem. Lepiej spróbować bardziej trzymać się w ryzach. Skupić się na konkretnych pytaniach.

Czy Jaan G. Hennan jest rzeczywiście winny śmierci swojej żony? Czy istnieją jakieś wątpliwości?

Beyond reasonable doubt, jak mówiła gwiazda przewodnia.

Wyjął kartkę i długopis i zapisał swoje stare hasła:

Motyw.

Metoda.

Sposobność.

Punkt pierwszy to oczywista szkoła podstawowa. Motywów było co niemiara. Co najmniej milion dwieście tysięcy. Jeśli chodzi o metodę, odpowiedź była równie prosta: pchnięcie w plecy i upadek czternaście metrów niżej na betonową posadzkę wyłożoną białymi kafelkami – albo najpierw cios w głowę, a potem zsunięcie ofiary na dno.

Ze sposobnością było gorzej. Ponieważ zgodnie z dostępnym doświadczeniem jedna osoba nie może przebywać jednocześnie w dwóch miejscach, dlatego też Jaan G. Hennan nie mógł sam dokonać tego czynu, jeśli siedział w restauracji Colombine w centrum Linden w chwili, gdy to się stało.

A oskarżycielowi należało przedłożyć wyjaśnienia – przekonujące wyjaśnienia – w odniesieniu do wszystkich trzech punktów. Nie tylko do jednego. I nie tylko do dwóch.

Ergo? – pomyślał komisarz Van Veeteren, nie mogąc się zdecydować: papieros czy wykałaczka.

Czy to znaczy, że wątpię w jego winę?

Wybrał wykałaczkę i zaczął ją żuć.

Ani trochę. Jest winny jak Kain.

Ergo?

Zastanowił się pięć sekund.

Ergo: istnieją dwie możliwości.

Jedna: G w którymś momencie opuścił Colombine rzeczonoego wieczoru. Mimo wszystko. Mimo czujnych, lecz pewnie lekko pijanych oczu Verlangena.

Druga: miał pomocnika.

Chyba już dziesiąty raz w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin dochodzi do tych samych wniosków.

Świetnie, pomyślał. Analiza posuwa się do przodu milowymi krokami.

Gdy zobaczył, że jest już wpół do piątej, postanowił skończyć pracę na dzisiaj. Ponieważ była środa, czekała go jeszcze partia szachów z Mahlerem w Stowarzyszeniu.

Gdy jechał windą na dół, przemknęło mu przez głowę pytanie, czy G gra może w szachy.

Miejmy nadzieję, że nie, pomyślał, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego właściwie ma taką nadzieję.

Rozegrali trzy partie. Wygrana, przegrana, remis. Zamiast remisu też mogłaby być wygrana po jego stronie, gdyby pod koniec nie spartaczył ruchu pionkiem. Było już wpół do dwunastej, kiedy wyszedł z budynku Stowarzyszenia na Styckargränd i stwierdził, że nadal jest prawie tak ciepło jak za dnia.

To nie był wieczór wart spędzenia w wątpliwym małżeńskim łożu, uznał, idąc w stronę domu wzdłuż Alexanderlaan i Wimmergraacht. Wykluczone. To co zrobić? Jakie jest inne wyjście?

Podjął decyzję, kiedy minął swój samochód zaparkowany dwadzieścia metrów od bezpiecznych drzwi własnego domu; poszukał w kieszeni kurtki kluczyków i je znalazł.

Dlaczego nie? – stwierdził, otwierając drzwi auta. Jedna godzina mniej albo więcej – jaka to różnica?

Gdy dwadzieścia pięć minut później zaparkował na Kammerweg, Willa Zefir wydała mu się cicha i niedostępna jak przechowalnia zwłok. Wyłączył silnik i utkwiał wzrok w ciemnej zieleni za wysokim na metr ceglanym murem. Nie paliła się ani jedna lampa. Czy G jest w domu? Prawdopodobnie nie, bo gdyby był, gdzieś na pewno coś by się świeciło. W środku lub na zewnątrz. Krzewy i iglaki nie były aż tak bujne i gęste, żeby wszystko przesłaniały. Przedarłby się choćby niewielki promień.

Może po prostu leży w łóżku i śpi. Było już po północy, a przecież nie da się wykluczyć, że G ma też jakieś dobre nawyki. Nawet jeśli wydawało się to nieprawdopodobne. Van Veeteren opuścił szybę w oknie, mimo to nadal nie mógł dostrzec jakichkolwiek konturów – ani wieży, ani samego domu.

Wprost idealne miejsce, żeby się pozbyć własnej żony, stwierdził w duchu.

Wysiadł z samochodu i zapalił papierosa. Przez chwilę przemknęła mu przez głowę myśl, żeby przejść przez ogrodzenie i wejrzeć głębiej w jądro ciemności, dał sobie jednak spokój. Melodramatyczne nocne wyprawy nie należały do jego repertuaru, a spotkanie oko w oko z mordercą nie mogło służyć żadnym rozsądnym celom. Ruszył zatem powoli ulicą w kierunku Willi Vigali. Stwierdził, że wygląda na równie wymarłą; uliczna latarnia rzucała brudnożółty snop światła do ogrodu i to wszystko. Cisnął niedopałek na chodnik i zdeptał go butem. Czym ja się zajmuję? – zadał sobie pytanie. Co za moce próbuję tu uruchomić?

Pokręcił głową i wrócił do samochodu. Nagle poczuł, że jest głodny.

Jak ja, u diabła, mogę w tym wszystkim myśleć o jedzeniu? Chyba musi być coś nie w porządku z moimi sokami żołądkowymi.

Nie chcąc jednak całkowicie ignorować sygnałów dawanych mu przez własny organizm, pojechał z powrotem do centrum Linden, gdzie znalazł jeszcze otwarty bar z hamburgerami. Pokonawszy wewnętrzny opór, wszedł do środka i zamówił coś, co nazywało się Dubbel Hawaiiiburger Special. Zjadł połowę, siedząc na ławce na rynku, a resztę rzucił gołębiom. Dwie kobiety o równie oczywistym co wątpliwym wyglądzie zataczały kółka wokół niego, żadna jednak nie podjęła poważnej próby, by złożyć mu propozycję. Z nagłym poczuciem wstydu przypomniał sobie swoją jedyną wizytę u pewnej dziwki; miał wtedy dziewiętnaście lat i razem z kumplem odwiedził przybytek rozkoszy w Hamburgu. W pokoiku wypełnionym zapachem słodkich perfum i smażonej ryby przeżył najkoszmarniejsze dwadzieścia minut w swoim życiu. Kolega natomiast nabrał apetytu na więcej i ich przyjaźń skończyła się równie szybko, jak z umywalki wypływa woda po wyciągnięciu korka.

Kiedy znalazł się z powrotem w swoim solidnie zdezelowanym fordzie, było już dziesięć po pierwszej. Podczas jazdy do Maardam zmęczenie toczyło równą walkę z nękającymi go mdłościami.

Hawaiiburger, pomyślał. Nigdy więcej.

– Nazywam się Rooth. Jestem inspektorem policji kryminalnej – przedstawił się Rooth. – To ja dzwoniłem.

Kobieta w drzwiach zamrugała powiekami. Była blada, chuda i na oko inspektor dałby jej co najmniej z pięćdziesiąt lat, gdyby nie wiedział, w jakim naprawdę jest wieku. Jej włosy były identycznego koloru jak ser topiony, który co rano jadał na śniadanie, i zwisały jak dwie sprane, smutne firanki po obu stronach twarzy. Była ubrana w dżinsy i w za duży szary sweter. Rooth uzmysłowił sobie, że się do niej uśmiecha.

– Tak? – odezwała się.

– Czy mogę wejść?

Kobieta nadal nie ruszała się z miejsca. Coś drgnęło w jej szerokich ustach, mimo to spomiędzy nich nie wydobyło się ani jedno słowo. Rooth chrząknął trochę zakłopotany.

– Tak jak mówiłem, chodzi tylko o krótką rozmowę – wyjaśnił. – Nie ma się pani czego obawiać.

– Sama nie wiem...

– Jeśli uzna pani, że coś pani przeszkadza, wystarczy mi powiedzieć. Ale bardzo by nam pani pomogła, gdyby pozwoliła mi pani zadać kilka pytań.

Przygryzła wargi.

– Czyli pan jest policjantem?

Rooth wyjął portfel i wręczył jej swoją legitymację. Dał jej czas, aby mogła się dokładnie przyjrzeć, obracając ją w tę i w tę w palcach.

– Inspektor policji kryminalnej? – spytała. – Co to znaczy?

Wziął od niej legitymację i włożył z powrotem portfel do wewnętrznej kieszeni.

– Wejdźmy na chwilę do środka, to pani wyjaśnię.

Kobieta przyjrzała mu się znowu uważnie z wyrazem bezradności w oczach. Następnie cofnęła się do przedpokoju i pozwoliła Roothowi wejść.

– Nie rozumiem, o co właściwie chodzi. Już od dawna nie mam z nim żadnego

kontakty. Poza tym nie czuję się dzisiaj najlepiej.

Rooth skinąwszy głową, skręcił do kuchni po prawej stronie.

– Tutaj?

– Nie wiem, czy...

Weszła za nim, po czym oboje usiedli po dwóch stronach niedużego stołu nakrytego ceratą w niebiesko-białą kratę. Kobieta odsunęła na bok jakieś czasopismo i opróżniony do połowy kubek z herbatą ozdobiony serduszkami.

– Pani Elizabeth Hennan, tak? – spytał Rooth. – To pani, prawda?

– Tak – odpowiedziała z ociąganiem, jakby to była tajemnica, która nie powinna ujrzeć światła dziennego.

– I ma pani brata, który nazywa się Jaan Hennan? Jaan G. Hennan?

Skinęła głową w milczeniu.

– Widzę, że moje pytania nie są dla pani miłe. Ale obiecuję, że w żaden sposób nie wykorzystam informacji, które mi pani poda.

Czego, u diabła, ona się tak boi? – zastanowił się.

– Nie mam z nim kontaktu i nic nie wiem o jego życiu.

Rooth przybrał pełną wyrozumiałości minę i odczekał kilka sekund.

– O ile się orientuję, pani jest jego jedyną krewną?

– Tak.

Kobieta opuściła wzrok na blat stołu. Rooth przez chwilę kręcił młynka kciukami.

– Co on zrobił?

– Nie czytała pani gazet?

– Ma pan... ma pan na myśli tę historię z jego żoną? Bo to była jego żona, tak?

– Barbara Hennan, zgadza się – potwierdził Rooth. – Zginęła w ostatnim tygodniu. I właśnie dlatego potrzebujemy teraz trochę informacji o pani bracie.

– Ale dlaczego? Ja nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

– Panno Hennan – powiedział Rooth z powagą, nieco nachylając się ku niej ponad stołem. – Pójdzie nam szybciej, jeśli nie będzie pani zadawać tylu pytań. Policję obowiązują pewne rutynowe działania; jeśli na przykład prowadzimy konkretne dochodzenie, musimy zebrać jak najwięcej informacji w danej sprawie. I nie zawsze wiadomo jest od początku, co jest ważne, a co nieistotne... Mam nadzieję, że to jest

dla pani zrozumiałe?

Elizabeth Hennan zadumała się nad jego słowami przez chwilę, na zmianę splatając i rozplatając dłonie.

– Co chce pan wiedzieć? – spytała w końcu.

– Właściwie dwie rzeczy – odpowiedział Rooth uprzejmie. – Po pierwsze, ogólnie o waszej wspólnej przeszłości, że tak to określe. Jakie relacje były między wami w okresie dzieciństwa... A po drugie, jakie kontakty miała z nim pani po jego powrocie z Ameryki.

– Czy mogę najpierw odpowiedzieć na drugie pytanie?

– Oczywiście.

– Nie miałam żadnych kontaktów z bratem od chwili, kiedy wrócił. Żadnych. Dowiedziałam się, że przypuszczalnie mieszka w Linden, dopiero trzy tygodnie temu, kiedy zadzwoniła do mnie... jedna z przyjaciółek i powiedziała mi o tym.

– Jedna z przyjaciółek?

– Tak.

– Jak się nazywa?

Elizabeth Hennan zawahała się.

– Doris Sellneck. Ona była jego żoną dwadzieścia pięć lat temu. Ich małżeństwo trwało zaledwie kilka miesięcy.

Rooth zanotował.

– Czy ma pani jej adres i numer telefonu?

– Wolałabym, żeby zostawił ją pan w spokoju.

– W porządku – powiedział Rooth wspaniałomyślnie. – Uszanujemy pani prośbę.

To żaden kłopot znaleźć kogoś o takim nazwisku w mieście wielkości Linden, pomyślał.

– Pani brat ani razu nie odezwał się do pani po swoim przyjeździe tutaj?

– Oczywiście, że nie.

Rooth zastanowił się przez chwilę.

– Mam czworo rodzeństwa – powiedział. – Nie wszyscy za mną przepadają, mimo to co najmniej kilka razy w roku dzwonią do mnie. Wszyscy co do jednego. W relacji między panią a pani bratem musiało być coś niedobrego.

Elizabeth Hennan nie odpowiedziała.

– Czy w czasie jego pobytu w Stanach też nie mieliście ze sobą kontaktu?

Kobieta pokręciła głową.

– Dlaczego?

Znowu splotła dłonie i przyjrzała się im uważnie. Tuż pod kuchennym oknem zatrzymał się autobus, wyglądało na to, że ma tam przystanek; z jego wnętrza wypadła chmara dzieci w wieku szkolnym. Ich radosne okrzyki i śmiech zdążyły się już oddalić, gdy mu odpowiedziała:

– Jaan i ja nie rozmawiamy ze sobą od dwudziestu sześciu lat.

– Dwudziestu sześciu?! – wykrzyknął Rooth. – Dlaczego, na litość...

– Od dnia, kiedy skończyłam osiemnaście lat.

– Ach tak, rozumiem – rzekł. – Musi mi teraz pani opowiedzieć, dlaczego tak się stało.

– Wyprowadziłam się wtedy z domu.

– Naprawdę?

– Moja matka umarła, kiedy miałam cztery lata. Zostałam sama tylko z bratem i ojcem, ale nie chcę o tym mówić, niech mi pan da już spokój, nie jestem w formie...

Jej głos nagle się zmienił. Rooth zauważył, że coś w niej jest bliskie pęknięcia, starał się więc zachowywać jak przyjazny kurator społeczny albo ktoś w rodzaju spowiednika. Nie przychodziło mu to łatwo, jednak nie miało to większego znaczenia, ponieważ Elizabeth Hennan wciąż nie odrywała wzroku od swoich dłoni.

– ...Mój brat był starszy ode mnie o sześć lat. Ojciec był chory, ale zrozumiałam to dopiero, kiedy dorosłam i trafiłam do domu opieki. Obaj zabawiali się na zmianę, od kiedy skończyłam dziesięć lat. Co wieczór, przez pięć lat, każdego wieczoru, słyszy pan? To chciał pan wiedzieć? Bardzo proszę, teraz już pan wie. Ernst Hennan i jego syn przez całe długie pięć lat każdego cholernego wieczoru posuwali małą Elizabeth! Czy nadal się pan dziwi, dlaczego nie wysyłam bratu kartek z życzeniami na Nowy Rok? Nadal nie może pan zrozumieć, że nie zapraszam jego i jego pieprzonych bab na kolację? Niech mnie pan zostawi w spokoju, nie mam nic więcej do powiedzenia!

Zamilkła. Jej twarz pałała. Rooth przełknął nerwowo. Minęło kilka sekund.

– Dziękuję – odezwał się. – Dziękuję, że mi pani powiedziała... i przepraszam, że musiałem być taki natarczywy. Czy mogę... czy mogę coś dla pani zrobić?

Dlaczego o to pytam? – pomyślał oszołomiony. Czy mogę coś dla niej zrobić. To chyba ostatnia rzecz, jaka byłaby możliwa.

Odgarnęła sobie włosy z twarzy, spojrzała na niego przez chwilę i pokręciła głową. Rooth wstał, ona zaś nie zamierzała odprowadzić go do drzwi.

– Wobec tego do widzenia. I dziękuję, że mogłem z panią porozmawiać.

– Do widzenia.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, poczuł na twarzy promienie słońca. Nie uważał, aby na to zasługiwał.

W czwartek Maarten Verlangen miał urodziny. Czterdzieste siódme. Przypomniała mu o tej ogromnej, choć nieokragłej liczbie jego córka Belle już o wpół do ósmej rano, budząc go swoim telefonem. Zaśpiewała mu coś, złożyła życzenia i powiedziała, że spieszy się do szkoły. Dodała, że jeszcze nie zdążyła kupić mu prezentu, ale przecież spotykają się w najbliższą sobotę, więc może wytrzyma do tego czasu?

Obiecał, że wytrzyma, i zasnął z powrotem.

Następna osoba z życzeniami zgłosiła się dopiero o wpół do czwartej po południu. Verlangen już od trzech godzin znajdował się wtedy w swoim biurze przy Armastenstraat; wypił dwa piwa, wypalił co najmniej z dziesięć papierosów i tak intensywnie medytował, co ma dalej zrobić z tą cholerną sprawą Barbary Hennan, że aż dymiło mu z czaszki.

Możliwości prywatnego detektywa są mimo wszystko dosyć ograniczone – a nie miał specjalnej ochoty dzwonić na komendę do komisarza Van Veeterena, żeby przedyskutować z nim sprawę albo zaoferować mu swoje usługi. To mogłoby się wydać w pewien sposób aroganckie – gdyby jednak propozycja rozmowy wyszła od tej drugiej strony, naturalnie zmieniłoby to postać rzeczy.

Ale nie zanosilo się na nic takiego. W to ciepłe czerwcowe popołudnie w ogóle nikt nie zgłosił się do biura detektywistycznego Maartena Verlangena. Dopiero potem zadzwonił Bertram Grouwer i – jak nadmieniono wcześniej – złożył mu życzenia z okazji urodzin.

Verlangen prawdopodobnie się nie mylił, przypuszczając, że tylko jednej osobie na świecie byłoby smutno, gdyby on zniknął z powierzchni ziemi (była nią jego córka Belle), ale nie miał też wątpliwości, że Bertram Grouwer mimo wszystko przyszedłby na jego pogrzeb. Ludzie, którzy pamiętali o urodzinach, zwykle pojawiali się też na cmentarzu, tak przynajmniej wydawało się Verlangenowi. Choć w przypadku Grouwera ta reguła mogłaby jednak się nie sprawdzić. Bo on też w tym samym dniu miał urodziny. I kończył na dodatek tyle samo lat.

Pomijając tę zbieżność – a także fakt, że przez sześć lat chodzili do jednej klasy – poza tym nie mieli ze sobą wiele wspólnego.

Może jedynie to, że obaj byli rozwiedzeni i nigdy nie ślubowali trzeźwości.

I właśnie dlatego Grouwer zadzwonił. Jego też rano obudziły przez telefon dzieci (dwóch chłopców, dwanaście albo czternaście lat), co uważał za mało fajne. Spytał, co Verlangen na to, żeby we dwóch zrobili wieczorem rundkę po okolicznych barach i nad piwem poużalali się wspólnie nad życiem i nad tym, że jest takie krótkie.

Grouwer pracował jako freelancer dla „Neuwe Blatt” i lubił wyrażać się oryginalnie. Verlangen zastanowił się przez kilka sekund, po czym oznajmił, że według niego to cholernie dobry pomysł.

Zaczęli u Krausa. Zjedli tam drogą, ale w dobrej cenie (jak to określił Grouwer) zupę rybną, wypili dwie butelki rieslinga oraz koniak do kawy. Do cholery (powiedział Grouwer), ostatecznie człowiek tylko raz do roku ma urodziny i czasami ma prawo sam trochę się porozpieszczać.

Potem poszli do Adenaar's, gdzie pozwolili sobie na kilka piw, a później zaczęli roztrząsać istotę kobiecości. W ciągu ostatniego pół roku Grouwer spotkał długonogą, apetyczną piękność, okazało się jednak, że ma skomplikowany charakter. Piękna jak grzech, cudowna w łóżku, ale tak nerwowa, że nie dało się z nią wytrzymać. Nie akceptowała, że on dwa razy w tygodniu chodzi na piłkę nożną ani że do porannej kawy pali cygaro.

Kiedy wychodzili z Adenaar's, Verlangen czuł się porządnie wstawiony i najchętniej wróciłby już do domu, lecz Grouwer uparł się, żeby skończyli wieczór w klubie jazzowym Vox przy Ruyders Allé. Po krótkiej wewnętrznej walce Verlangen poddał się i obaj skierowali swoje kroki w tamtą stronę. Przed lokalem stała niewielka

kolejka, musieli więc spędzić około dwudziestu minut w delikatnej mżawce, czekając, aż zostaną wpuszczeni do środka. Dzięki temu przynajmniej Verlangen znacznie wytrzeźwiał, toteż kiedy już znaleźli wewnątrz wolny kąt, zafundowali sobie po jednej porządnej whisky. Niezbędnej, aby pozbyć się wilgoci z organizmu. Czterech kolorowych muzyków grało na scenie, w lokalu było tłoczno i ciemno od dymu, ale Verlangen niemal od razu zauważył Jaana G. Hennana przy stoliku parę metrów dalej. Obok niego siedziało kilku innych mężczyzn i kilka kobiet, lecz nie byli chyba razem. Stołów było niewiele, więc klienci zajmowali każde wolne miejsce.

– A niech to szlag – powiedział Verlangen i zapalił papierosa.

– Co takiego? – spytał Grouwer.

– A niech to szlag – powtórzył Verlangen. – Tam, z tyłu, siedzi morderca.

– Co ty, u diabła, wygadujesz? – zdziwił się Grouwer, oglądając się za siebie.

Verlangen zorientował się szybko, że jego słowa zabrzmiały idiotycznie, czasami jednak człowiekowi po prostu trudno się było powstrzymać.

– Żartowałem – powiedział. – Twoje zdrowie.

Grouwer nie tknął swojego kieliszka.

– Prędzej mi kaktus na dłoni wyrośnie, nim uwierzę, że żartowałeś – odparł. – Kogo miałeś na myśli?

Verlangen pociągnął łyk whisky. Ale ze mnie idiota, pomyślał. Widzę, że nie da za wygraną, dopóki mu nie powiem. Przecież go znam.

– Muszę iść się odlać – rzucił. – Przepraszam cię na chwilę.

Grouwer skinął głową.

– A ja przez ten czas spróbuję zgadnąć, kogo miałeś na myśli. Jeśli trafię, stawiasz piwo. Jeżeli nie – ja stawiam.

Verlangen podniósł się z krzesła i poczuł, że znowu kręci mu się w głowie. Rzucił okiem w stronę Hennana, który sobie siedział, palił i wydawał się całkiem pochłonięty zespołem Take the A-train, właśnie występującym na scenie.

– A niech cię wszyscy diabli – bąknął pod nosem i zaczął przepychać się w stronę toalety.

Kiedy wrócił, Grouwer siedział jak kot, który capnął kanarka.

– To ten gość w koszuli w kratę – powiedział, mrugając konspiracyjnie.

– Który? – spytał Verlangen i rozejrzył się dookoła.

Grouwer wskazał głową.

– Po przekątnej za mną. Przy samej scenie. Obok tej gorącej blondyny ubranej na czerwono.

Verlangen zerknął we wskazanym kierunku i przyjrzał się obiektowi. Niski, chudy mężczyzna około pięćdziesiątki o starannie przystrzyżonych czarnych włosach i z niewielkim wąsem.

– Pudło – rzucił. – Stawiasz mi piwo.

– Niech to szlag – odparł Grouwer, chwytając jednocześnie za rękę kelnerkę, która przechodziła obok. Zamówił dwa lagery i miseczkę orzeszków ziemnych.

– Ale tak czy inaczej, musisz mi opowiedzieć, kogo miałeś na myśli – oznajmił po chwili. – Bo jak też pójdę się odlać, to chcę wiedzieć, czy stoję i sikam obok mordercy, czy nie. Chyba tyle mogę od ciebie oczekiwać.

Verlangen westchnął. Rozwagał za i przeciw, podczas gdy Grouwer przyglądał mu się niecierpliwie, opróżniając swój kieliszek whisky do dna.

Ach, co mi tam – uznał wreszcie. Jakie to w końcu ma znaczenie?

Było kilka minut po wpół do drugiej, kiedy po uczczeniu swoich urodzin Maarten Verlangen padł na łóżko we własnym mieszkaniu przy Heerbanstraat. Jeśli chodzi o granicę dziesięciu piw, przekroczył ją dzisiaj zdecydowanie, czuł to całym sobą, mimo to już po półgodzinie obudził się trzeźwy jak nowo narodzone dziecko.

A niech to diabli! – pomyślał i zaczął grzebać w szufladzie w poszukiwaniu notesu z telefonami. Jak mogłem wcześniej na to nie wpaść?

Po kilku minutach znalazł numer, o który mu chodziło, lecz kiedy go wybrał i odczekał co najmniej dwadzieścia sygnałów, zrozumiał, że to nic nie da.

Niektórzy ludzie wstają i odbierają, jeśli ktoś dzwoni o drugiej w nocy, inni nie.

Dopiero w piątek faks na komendzie policji w Maardam wypłynął zamówiony raport ze Stanów. Był on za to nieoczekiwanie długi: sześć gęsto zapisanych stron przygotowanych przez niejakiego „Chief Lieutenant Horniman” z Denver Police District. Van Veeteren dostał dokument do ręki tuż po dziesiątej i natychmiast zamknął się u siebie, żeby go przeczytać i wyciągnąć wnioski.

Nie wiedział, czego się spodziewał, ale z całą pewnością, w żadnym razie, nie tak zadziwiającej zawartości – uznał, dobrnąwszy do połowy pierwszej strony. Wykluczone.

Raport zaczynał się od informacji na temat Barbary Clarissy Hennan, z domu Delgado. Pochodziła z małej dziury w Iowa o nazwie Clarenceburg, nie liczącej w sumie więcej niż tysiąc dusz. Była najmłodsza z ośmiorga rodzeństwa, rodzina była głęboko religijna i należała do jakiejś podejrzanej wspólnoty wyznaniowej, o której Van Veeteren nigdy nie słyszał. The Sons and Daughters of the Second Holy Grail. Barbara porzuciła jednak i wiarę, i rodzinę i w kilka tygodni po swoich szesnastych urodzinach uciekła z kierowcą tira. Wszystko wskazywało na to, że w ciągu następnych dziesięciu lat przenosiła się z miasta do miasta i ze stanu do stanu, a na początku lat siedemdziesiątych przepadła w jakiejś kolejnej podejrzanej sekcji i na kilka lat wszelki ślad po niej zaginął. Prawdopodobnie była w Kalifornii, uważał Horniman. Potem, przypuszczalnie około 1980 roku, wylądowała w Denver, Colorado, gdzie przez parę lat pracowała w salonie piękności, zanim spotkała Jaana G. Hennana.

Pobrali się jesienią 1984 roku i mieszkali pod Denver do wiosny 1987 roku, kiedy to wyemigrowali do Europy. Oprócz paru mandatów za szybką jazdę i umorzonego postępowania w sprawie o posiadanie marihuany konto Barbary Hennan było czyste.

Jej męża w gruncie rzeczy również, ale zarówno wprost, jak i między wierszami Van Veeteren mógł wyczytać, że Chief Lieutenant Horniman mimo wszystko żywił poważne wątpliwości co do uczciwości Hennana.

Jaana G. Hennan przyjechał do Nowego Jorku jesienią 1979 roku z trzymiesięczną

wizą pobytową. Pozwolenie na pracę udało mu się zdobyć już zimą tego samego roku; pracował tu i tam przez krótkie okresy i prowadził kilka projektów biznesowych zarówno w Nowym Jorku i New Jersey, jak i w Cleveland i Chicago. W 1982 roku ożenił się z niejaką Philomeną McNaught i przeniósł się do Denver. Latem tego samego roku jego żona przepadła podczas podróży samochodem w Bethesda Park w Górach Skalistych; istniało podejrzenie, że z jej zniknięciem ma coś wspólnego Hennan, brakowało jednak na to dowodów, toteż nigdy nie wniesiono przeciw niemu oskarżenia. W czerwcu 1984 roku uznano Philomenę McNaught za zmarłą, w związku z czym Hennan otrzymał czterysta tysięcy dolarów z polisy ubezpieczeniowej po swojej żonie. Zarówno policja z Denver (po sformułowaniach zawartych w raporcie Van Veeteren domyślał się, że Chief Lieutenant był osobiście zaangażowany w tę sprawę, i to chyba bardzo intensywnie), jak również śledczy towarzystwa ubezpieczeniowego dokładali wszelkich starań, aby wyjaśnić okoliczności tajemniczego zniknięcia żony Hennana, nigdy jednak nie zdołali zebrać wystarczająco dużo obciążającego materiału, by móc postawić go przed sądem. Ślub Jaana G. Hennanem i Barbary Delgado został zawarty miesiąc po wypłaceniu sumy ubezpieczenia, a mniej więcej rok później Hennan zlikwidował swoją firmę G. Enterprises, która zajmowała się głównie importem owoców w puszkach z południowo-wschodniej Azji. Para mieszkała w Denver aż do wyjazdu do Europy, który nastąpił w marcu bieżącego roku.

Van Veeteren dwukrotnie przeczytał raport.

Potem stanął przy otwartym oknie i zapalił papierosa.

Nieprawdopodobne, pomyślał. Całkowicie nieprawdopodobne.

A teraz ten bydlak próbuje jeszcze raz to samo.

Po lunchu w raport Hornimana zagłębili się także Reinhart i Münster, a następnie wszyscy zebrali się na naradę w pokoju komisarza.

– W każdym razie jedno jest pewne – powiedział Reinhart, nabijając sobie fajkę tytoniem. – Nigdy w swojej karierze nie zetknąłem się z czymś bardziej podejrzanym. Jeśli to nie Hennan jest winny, jestem gotów ucałować ziemię, na której stoi i po której stąpa pan komisarz. Zresztą pan inspektor także.

Münster przypomniał sobie obietnicę Van Veeterena o obcinaniu paznokci,

postanowił jednak nie wchodzić w dalsze zakłady.

– To jest tak oczywiste, że aż szczęka opada – powiedział za to. – Jak to możliwe, że on się nie boi?

Komisarz usiadł na swoim krześle za biurkiem.

– I na tym właśnie polega problem – westchnął. – Hennan wyraźnie niczego się nie boi, bo cholernik dobrze wie, że udowodnienie mu winy spoczywa na nas.

Reinhart pokiwał głową.

– W gruncie rzeczy można uśmiercić dowolną liczbę kobiet – powiedział – byle umieć zrobić to właściwie. Jak się nazywał ten angielski król? Henryk który to...?

– Ósmy – uzupełnił Van Veeteren.

– No tak, ósmy. Chociaż, o ile pamiętam, jemu nie chodziło o pieniądze z ubezpieczenia. On chciał tylko męskiego potomka, wyraźnie nie znał praw genetyki.

– I nie musiał przejmować się prawem, przepisami i policją kryminalną – wtrącił Münster. – To były trochę inne czasy.

– To pan inspektor uważa, że nasz przyjaciel G przejmuje się prawem? – spytał kpiąco Van Veeteren. – Dla mnie to coś nowego.

– Nie przejmuje się, ale je zna – odparł Münster.

Reinhart zapalił swoją fajkę.

– Tak czy siak, nie musimy robić listy podejrzanych. To już coś – stwierdził. – I co dalej? Przymkniemy tego gagatka? To chyba niezbędne minimum.

Komisarz z ponurą miną szukał w kieszeni na piersi wykałaczki.

– Nie jestem tego taki pewny – powiedział. – G wie, rzecz jasna, że wcześniej czy później zostanie zatrzymany, i jest przygotowany na cały ten cyrk. Ostatecznie już raz przez to przeszedł w tamtym kraju mlekiem i miodem płynącym. Czyli powtórka z rozrywki. Musimy nawiązać kontakt z tym Hornimanem, bo może jednak jest coś, co byłoby jakimś punktem wyjścia...

– Pobożne życzenie – wtrącił Reinhart. – Ale oczywiście mogę do niego przekręcić, jeśli chcesz.

– Zrób to – powiedział Van Veeteren. – Paradoks polega na tym, że raport niewiele zmienia naszą sytuację. Uświadomiliśmy sobie jeszcze wyraźniej, co to za typ z tego Hennana, i dziewięćdziesięciu dziewięciu sędziów na stu nie miałyby

wątpliwości co do jego winy. Ale to nic nam nie daje. Na sali sądowej liczą się dowody, a nie wiara i przekonanie, o czym panowie niewątpliwie wiedzą, a to oznacza, że musimy owe dowody sfabrykować.

– *Beyond a reasonable doubt* – bąknął Reinhart, po czym wydmuchnął obłok dymu. – Po prostu klasyka, czy może się mylę?

– Mam gdzieś, czy się mylisz, czy nie – odparł komisarz. – Niezależnie od wszystkiego musimy pokazać, jak on do tego doprowadził, że jego żona wylądowała na dnie basenu. O ile oceniam prawidłowo, jedna możliwość jest bardziej prawdopodobna od pozostałych. Mam rację?

– Pomocnik – powiedział Münster.

– Nie inaczej. Trzeba znaleźć tego łobuza, który go wyręczył... albo trzeba podważyć alibi z restauracji. Ten Verlangen odgrywa w tym wszystkim trochę mętną rolę, mówiąc ogólnie...

– A może dałoby się go zmusić, żeby trzymał buzię na kłódkę? – zaproponował Reinhart.

– Nie jest to niemożliwe – przytaknął Van Veeteren. – Choć trochę nieetyczne. Bo ostatecznie on jest ważny dla tego alibi... ale z drugiej strony, to dziwne, żeby ofiara w taki sposób zapewniała alibi sprawcy...

– ...i żeby Verlangen oprócz tego sam miał interes w aresztowaniu Hennana – dodał Münster. – Tak, zgadzam się, że to dziwne.

– Bogowie bawią się nami – powiedział Van Veeteren, wyrzucając przez okno ogryzioną wykałaczkę. – Chociaż myślę, że raczej trudno nam będzie udowodnić, że Hennan opuścił Colombine na godzinę – wszystko jedno czy z pomocą Verlangena, czy bez. Pamiętajcie: musimy udowodnić, że on to zrobił, a nie że miał taką możliwość. Poza tym w restauracji widział go nie tylko nasz prywatny tropiciel.

Na chwilę zaległa cisza.

– Wcale nie tak dużo niewiadomych w tym równaniu; niby mamy wszystkie karty w rękę, a mimo to... – powiedział Reinhart w zadumie.

– Do jasnej cholery – przerwał mu z irytacją komisarz. – Mamy w rękę tylko jedną kartę. Dużego, szyderczo uśmiechniętego dzokera, który nazywa się Jaan G. Hennan i który bawi się z nami w kotka i myszkę.

– Zgadza się – przytaknął Reinhart. – Na to wygląda. Kiedy chcesz zacząć go przesłuchiwać?

Komisarz spojrział na niego z niesmakiem.

– Niedługo.

– Mam nadzieję – odrzekł Reinhart. – Nie lekceważ swojego talentu. Może pęknie i do wszystkiego się przyzna.

– Wierzysz w to? – spytał Van Veeteren.

– Nie, ale co nam szkodzi trochę go poobserwować, nawet jeśli nie wsadzimy go od razu za kratki?

Van Veeteren podniósł się z krzesła, aby dać do zrozumienia, że czas narady dobiegł końca.

– Już to zleciłem – powiedział. – Od wczoraj rano ma swojego anioła stróża.

– Tak? – zdziwił się Münster. – A kogo?

– Pilnuje go posterunkowy Kowalski.

– Kowalski! – wybuchnął Reinhart. – Dlaczego, u diabła, akurat Kowalski? On tak samo nie rzuca się w oczy jak... jak suka labradora z cieczką.

– Właśnie dlatego – wyjaśnił Van Veeteren.

Reinhart zastanowił się przez chwilę.

– Rozumiem – powiedział.

Lekarz sądowy Meusse przeciągnął dłonią po swojej łysej czaszce i poprawił sobie okulary.

– Jesteś gotowy? – spytał Van Veeteren.

– Na tyle, na ile to możliwe.

– No i?

– Hm. O ile cię dobrze zrozumiałem, chciałeś wiedzieć przede wszystkim jedną rzecz?

– Zgadza się. No to dawaj.

– Nie da się orzec niczego ze stuprocentową pewnością, ale nie da się też niczego wykluczyć – oświadczył Meusse. – Obrażenia po takim upadku są dosyć rozległe.

– Czy wobec tego mogła zostać przedtem ogłuszona?

– Jak powiedziałem, nie mogę tego wykluczyć. I to wszystko. Tak czy owak,

najpierw uderzyła głową.

– Czy byłoby trudno zepchnąć ją w taki sposób, aby rezultat był właśnie taki?

– Nie, ani trochę. Zwłaszcza jeśli była nieprzytomna.

– Rozumiem – powiedział Van Veeteren. – Coś jeszcze?

– Co chcesz wiedzieć? Zawartość żołądka? Zawartość alkoholu we krwi?

– To wszystko już znam.

– Jeszcze jedno – rzucił Meusse i zaczął przewracać kartki w teczce, która leżała przed nim na stole. – Ona urodziła dziecko.

– Dziecko? – powtórzył Van Veeteren.

– Tak – potwierdził Meusse. – Prawdopodobnie tylko jedno. Pomyślałem sobie, że może warto ci o tym powiedzieć.

– Rozumiem. To wszystko?

Meusse wzruszył ramionami.

– Nie, skąd. Całą ekspertyzę masz w teczce. Proszę. Nie, nie musisz dziękować.

Powinienem zaprosić go kiedyś na piwo, postanowił komisarz i wyszedł.

Dziecko? – przypomniał sobie, wróciwszy do swojego pokoju. Czy w raporcie Hornimana była wzmianka o jakimś dziecku?

Przeczytał go po raz trzeci i stwierdził, że o niczym takim nie ma w nim mowy.

A przecież chyba powinna być jakaś informacja na ten temat. Nie zdążył jednak dojść do żadnego wniosku w tej kwestii, zobaczył bowiem, że minęła już czwarta i najwyższa pora iść do salki konferencyjnej na odprawę.

Na odprawę po dwóch dniach znojnej pracy w sprawie Hennana.

W sprawie G.

Nie podobało mu się to określenie, wiedział jednak, że on też będzie go używać. Podczas pracy nad nią i w przyszłości.

Sprawa G.

– Gdybyśmy mieli postępować zgodnie z obowiązującymi procedurami – zaczął Van Veeteren – powinniśmy najpierw uwzględnić ekspertyzy techników. Tyle że na razie nic od nich nie mamy. Właśnie rozmawiałem z le Houdem – ich raport dostaniemy w poniedziałek albo we wtorek. Wywrócili Willę Zefir do góry nogami, pracowali w niej przez półtorej doby, ponieważ jednak nie wiedzieli, czego tak naprawdę szukają, nie sądzę, żebyśmy od tej strony mogli spodziewać się jakiegoś przełomu.

– Krwawy odcisk palca na wieży do skoków byłby nie do pogardzenia, no nie? – rzucił Rooth. – I to kogoś, kogo mamy w swoim rejestrze.

– Le Houde na pewno już by o czymś takim wspomniał – powiedział Van Veeteren. – Kto chce zacząć? Heinemann?

Heinemann zmienił okulary i spojrzał w swoje notatki, które od początku świata i z niezłomną konsekwencją prowadził w zeszytach w fioletowych obszarpanych okładkach. Zgodnie z teorią Reinharta, większość z nich dostał w nagrodę za pilność i postępy w nauce kiedyś w latach szkolnych, i właściwie nic nie przeczyło tej hipotezie.

– No więc... – zaczął Heinemann. – Może zatem na początek ta wyprawa do Aarlach?

– Czemu nie – powiedział komisarz.

– No więc. Pozostaje poza wszelką wątpliwością, że pani Hennan opuściła samochodem swój dom w Linden około ósmej w czwartek rano. Zatankowała na Exxon przy wyjeździe na autostradę; pamiętają ją tam, kupiła sobie kawę, kanapkę z serem i...

– Dalej – ponaglił go komisarz.

– Oczywiście. Pozostaje również poza wszelką wątpliwością, że odwiedziła salon Hendermaag's przez Keyserstraat w Aarlach mniej więcej między dwunastą a dwunastą czterdzieści pięć. Obejrzała trochę zastawy stołowej z porcelany i zamówiła dwa komplety talerzy... akurat nie mieli ich w sklepie... z kolekcji

noszącej nazwę Osobowsky, królewska miętowa zieleń... sześć talerzy głębokich i sześć płaskich. Zapłaciła zaliczkę w wysokości stu guldenów, resztę miała uregulować przy odbiorze. No cóż, jak wiadomo, nigdy to nie nastąpi...

– A potem? – zniecierpliwiał się Reinhart.

– Potem wyszła ze sklepu.

– Doprawdy? – rzucił Reinhart.

– Nie wiem, dokąd później poszła.

– Ile czasu zajmuje droga do Aarlach? – spytał Münster. – Trzy godziny?

– Maksymalnie – odpowiedział Reinhart. – Czyli mogła być z powrotem około czwartej, tak? Ale co to nam daje?

– Nie udało się nam ustalić, o której wróciła? – spytał Münster. – Mogła jeszcze załatwić inne rzeczy.

– Niewątpliwie – powiedział komisarz. – Na przykład kupić parę butelek sherry. To wszystko, Heinemann?

– A czy w drodze powrotnej nie zatrzymała się też przypadkiem na stacji? – wtrącił Rooth.

– Niestety nie – odparł Heinemann.

– To wszystko? – powtórzył Van Veeteren.

– Tak – bąknął Heinemann, przewracając kartki w swoim kajecie. – Przyjrzałem się też trochę tej jego firmie, tak jak się umawialiśmy... G. Enterprises, tutaj korzystał z tej samej nazwy co w USA, widocznie nie ma przeszkód, żeby tak robić. Jak na razie firma nie wykazała żadnej specjalnej aktywności... oprócz tego, że została zarejestrowana na początku maja, a jej właściciel wynajął niewielkie biuro przy Landemaarstraat w Linden... Tak, poza tym nic się w niej nie działo.

– Co? – rzucił Rooth.

– Chcesz przez to powiedzieć, że ta firma w ogóle niczym się nie zajmowała? – spytał Reinhart.

– To nie jest zakazane – wyjaśnił spokojnie Heinemann. – Przyjęte jest, że firmy zwykle prowadzą działalność jakiegoś rodzaju, ale w tym przypadku tak nie było.

– Czy nie trzeba podać profilu działalności i tak dalej? – spytał Münster. – Przynajmniej dla urzędu skarbowego?

– Owszem, Hennan podał: „działalność handlowa”, ale to niewiele mówi. Oczywiście jeszcze przyjrzę się temu bliżej.

– Naturalnie – potaknął komisarz z głębokim westchnięciem. – I to na razie byłoby wszystko?

– Tak. Na razie.

– Świetnie – powiedział Reinhart.

– Niewątpliwie – mruknął komisarz. – No dobrze. Kontynuujmy. Może teraz Rooth i Jung?

Rooth nieco powściągliwie zrelacjonował swoją wizytę u Elizabeth Hennan, a podsumowując, stwierdził, że chyba nikt bardziej niż ten bydlak Jaan G. Hennan nie zasługuje na to, żeby gnić w więzieniu do końca życia.

– Jeśli ktoś zaczyna od gwałcenia przez pięć lat swojej małej siostry, to jego dalsza droga jest już wytyczona – skomentował Reinhart z obrzydzeniem. – Jeżeli nie uda nam się przygwoździć tej kanalii, jestem gotów załatwić to na własną rękę.

– Powoli, powoli – upomniał go Van Veeteren. – Nawiasem mówiąc, mam lepsze powody niż inspektor, ale przypominam, że również w tej sprawie musimy przestrzegać zasad.

Reinhart spojrział zdziwiony na komisarza.

– Nie bardzo rozumiem – powiedział. – Co to znaczy, że masz lepsze powody niż ja?

– Porozmawiamy o tym innym razem – odparł Van Veeteren. – Niezależnie od wszystkiego byłoby dobrze, gdyby udało się nam uziemić go za pomocą środków, które mamy do dyspozycji, a nie jakichś innych. Czy się rozumiemy?

– Tak jest – odrzekł Reinhart. – To była tylko taka przenośnia.

– Kontynuuj, Rooth – zwrócił się do niego Van Veeteren. – Domyślam się, że poza tą siostrą Hennan nie ma żadnych innych krewnych, tak?

– Zgadza się – potwierdził Rooth. – Ojciec umarł w zakładzie psychiatrycznym piętnaście lat temu. Matka, jak wspominałem, jeszcze wcześniej. Sprawdziliśmy listę nazwisk, które przewijały się, kiedy Hennan pierwszy raz trafił za kratki, czyli w siedemdziesiątym piątym. Udało się nam dotrzeć do paru jego starych znajomych, żaden z nich jednak nie ma pojęcia, że on wrócił... tak przynajmniej twierdzą.

Spotkaliśmy się do tej pory z dwoma, ale ani Jung, ani ja nie widzimy powodu, żeby wątpić w to, co mówią. Wydają się...

– Chwila – przerwał mu Reinhart. – Przecież on właśnie w tym środowisku mógł szukać dla siebie pomocnika. Jakiegoś starego kompana z czasów, kiedy handlował narkotykami. Musimy być tu bardzo ostrożni i bardzo dokładni, mam nadzieję, że zdajecie sobie z tego sprawę?

– Jasne, że zdajemy – odpowiedział z irytacją Rooth. – Nasi dwaj chłopcy nazywają się Siegler i deWylde. Siegler siedzi w Kaarhuijs za napad na bank. Nie był na przepustce w poprzedni czwartek. DeWylde przebywał w Karpaczu, co potwierdziliśmy.

– No dobrze – rzucił Reinhart.

– Ile jeszcze macie nazwisk do sprawdzenia? – spytał Münster.

– Na razie sześć, siedem – poinformował Jung. – Oprócz tych dwóch. Ale to na pewno jeszcze nie koniec.

– Mam nadzieję – odezwał się komisarz. – Pewnie zwróciliście też uwagę, że Hennanowie nie mieli specjalnie wielu znajomych.

– No właśnie – wtrącił Rooth. – Nie trafiliśmy jeszcze na nikogo, kto powiedziałby monsieur Hennanowi chociażby „dzień dobry”. W każdym razie nie w ciągu ostatnich piętnastu lat.

– Nie zapominajmy o sąsiadach – spokojnie zwrócił uwagę Heinemann. – O państwie Trotta. Zdaje się, że raz byli u nich na prośzonej kolacji. Więc musieli o czymś mówić... Może tam dałoby się znaleźć jakąś wskazówkę?

– Słusznie – zgodził się komisarz. – Trzeba jeszcze raz się do nich wybrać.

– Już ich uprzedziłem – wyjaśnił Münster. – Na razie rozmawiałem tylko z żoną. A co z biurem Hennana? Przecież tam wszędzie są jacyś ludzie.

Jung odchrząknął.

– Znalazł je przez ogłoszenie. Cały budynek należy do właściciela zakładu pogrzebowego mieszczącego się na parterze. Facet nazywa się Mordenbeck, niezbyt rozgarnięty gość. Podobno on i Hennan zamienili ze sobą zaledwie parę zdań.

– A dom? – spytał Reinhart. – Ten przy Kammerweg... jak go znaleźli?

– Przez agenta – odpowiedział Münster, który już zbadał ten wątek. –

Tielebergowie, do których należy nieruchomości, mieszkają w Almeirze w Hiszpanii i nie musieli nawet przyjeżdżać, żeby podpisać papiery. Nawiasem mówiąc, Hennanowie wynajęli go tylko na pół roku... To wszystko wygląda na jakiś teatr.

– Teatr, zgadza się – potaknął komisarz z ponurą miną. – Żeby zrobić swoje i zainkasować milion dwieście tysięcy guldenów. Nie muszę oczywiście dodawać, że oba samochody – i saab, i mazda – były wynajęte.

– Cholera jasna – wtrącił Reinhart. – Nie wierzę.

– A jednak – potwierdził Van Veeteren z jeszcze bardziej posępną twarzą. – Niestety to prawda. I to, że Barbara Hennan została zamordowana. I że my jako policja kryminalna prowadzimy śledztwo w tej sprawie. Chcecie usłyszeć jeszcze więcej prawd?

– Dzięki, wystarczy – obruszył się Rooth. – To naprawdę podnosi na duchu.

Komisarz obrzucił go długim spojrzeniem, po czym zgasił papierosa, który zaczął już parzyć mu palce.

– W porządku – rzekł. – Münster, opowiadaj o Colombine!

Münster wyprostował się na krześle.

– Bardzo chętnie. Oczywiście to nie jest jeszcze na sto procent pewne, ale jak wynika z wypowiedzi personelu restauracji, Hennan ma alibi na krytyczną noc. Barbara Hennan poniosła śmierć między wpół do dziesiątej a wpół do jedenastej, a jeden z kelnerów jest przekonany, że Hennan zapłacił swój rachunek za kwadrans dziesiąta... albo pięć minut w tę lub w tamtą. Facet z baru też nie ma wątpliwości, że podawał mu whisky jakoś tak tuż przed wpół do jedenastej. Bo wtedy kończył swoją zmianę. Więc mamy lukę maksymalnie czterdziestu pięciu minut, ale przypuszczam, że znajdą się inni, którzy pomogą ją wypełnić. Na przykład nasz przyjaciel Verlangen.

Po chwili ciszy, jaka zaległa, komisarz wstał z krzesła i podszedł do okna.

– Czy panowie zdają sobie sprawę, co to znaczy? – spytał zmęczonym głosem.

– On tego nie zrobił – powiedział Reinhart. – Jaan G. Reinhart nie zabił swojej żony.

– Dokładnie – potwierdził komisarz. – No, czyli jednak do czegoś doszliśmy. Jakieś komentarze?

– Może zrobimy przerwę na kawę? – zaproponował nieśmiało Rooth.

Druga połowa spotkania również minęła pod znakiem niekorzystnych informacji.

Van Veeteren streścił raport Hornimana, a osoby jeszcze z nim niezaznajomione (Rooth, Jung i Heinemann) ogólnie rzecz biorąc, zareagowały podobnie jak te wcześniej zaznajomione (Van Veeteren, Reinhart i Münster). Komisarz poinformował także, czego dowiedział się od lekarza sądowego Meussego, co skłoniło zebranych przynajmniej do zbudowania teorii dotyczącej nieodnotowanego nigdzie dziecka.

– Pewnie urodziła je, kiedy była w tej cholernej sekcie – stwierdził Rooth. – Przypuszczalnie dziecko przyszło na świat martwe, bo przecież ci nawiedzeni ludzie żyją korzonkami i konikami polnymi, więc są niedożywieni.

Hipoteza Rootha nie wywołała owacji na stojąco, ale nie została też odrzucona.

Münster poinformował, że jak wynika z ponownego kontaktu ze spółką ubezpieczeniową F/B Trustor, pani Hennan nie była obecna przy zawarciu polisy, co nie jest sprzeczne z obowiązującymi przepisami. Na koniec komisarz odczytał dwustronicowy raport posterunkowego Kowalskiego – zawierający czterdzieści dwa błędy ortograficzne, których nie było słychać podczas czytania na głos – dotyczący podejrzanego Jaana G. Hennana i jego poczynąń w okresie od czwartku rano do południa w piątek ubiegłego tygodnia. Nie zauważono żadnych przestępczych – ani w ogóle żadnych podejrzanych – zachowań, mimo czujnej i intensywnej obserwacji, może z wyjątkiem tego, że rzeczony Hennan podczas wizyty w klubie jazzowym Vox w czwartek wieczór zaproponował swojemu „opiekunowi” tak zwaną podwójną whisky w barze. Aby nie wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń, „opiekun” przyjął zaproszenie i przez dziewięćdziesiąt sekund nawet wymienił z obiektem kilka zdań na ogólne i obojętne tematy.

Po odczytaniu raportu Kowalskiego komisarz uznał naradę za zamkniętą.

– Po prostu nie sposób w to uwierzyć – powiedział Münster, kiedy pół godziny później usiadł razem z komisarzem w Adenaar’s przy tradycyjnym piątkowym piwie.

– Nie sposób – przyznał Van Veeteren. – Bóg mi świadkiem – nie sposób.

Zarówno w jego głosie, jak i na twarzy pojawił się cień rezygnacji, do czego inspektor nie był przyzwyczajony. Wręcz jakiś rodzaj wycofania, nieprzypominający normalnej, maskowanej koncentracji, którą Münster nauczył się świetnie rozpoznawać w ciągu minionych lat. Zastanowił się szybko, co może się za tym kryć.

Między G a Van Veeterenem istniała jakaś czysto osobista więź, to dało się już zauważyć, lecz na ile wynikała ona z czegoś poważniejszego niż tylko z faktu, że obaj byli kolegami szkolnymi trzydzieści czy czterdzieści lat temu, tego Münster nie wiedział. Po chwili wahania zdecydował się spytać wprost, co się dzieje, na co komisarz przyznał, że nie jest w najlepszej formie.

– Mort wspominał kiedyś o czymś takim – dodał, upiwszy trochę piwa. – Nie poznałeś Morta?

– Spotkałem go kilka razy przelotnie – powiedział Münster. – Ale nigdy z nim nie rozmawiałem.

– W ostatnich latach zrobił się bardzo zmęczony. Zmienił się bardzo szybko, jakby przeszedł przez jakąś ścianę. Po prostu nagle. Kiedyś opowiedział mi o tym... ale w bardzo zawoalowany sposób, właściwie może wcale nie chciał na ten temat mówić. To praca go ostatecznie wykończyła.

– A co konkretnie? – spytał Münster.

Van Veeteren zapalił papierosa i spojrzął przez okno. Dopiero po chwili odpowiedział:

– Przypuszczalnie historia podobna do tej. Albo kilka takich historii. Dochodzenia, w których niby prawda leżała jak na dłoni, a on mimo wszystko nie mógł ich zakończyć sukcesem. I był zmuszony puścić sprawcę wolno.

– Coś takiego zdarza się każdemu – zauważył Münster. – Trzeba tylko znaleźć sposób, żeby się z tym jakoś uporać.

– Oczywiście – powiedział komisarz. – Ale czasami człowiek nie znajduje takiego sposobu. Myślę, że w przypadku Morta chodziło też o coś osobistego. Zdaje się, że w sprawę był uwikłany ktoś z jego rodziny czy coś takiego. Jak mówiłem, Mort nie zdradził mi szczegółów.

Münster zamyślił się na chwilę.

– W Stanach używa się określenia *blue cops*. Zna je komisarz?

Van Veeteren skinął nieznacznie głową, ale nie odpowiedział.

– To policjanci z syndromem wypalenia – wyjaśnił Münster. – W statystykach dotyczących samobójstw stanowią potężny odsetek, po prostu przerażający... akurat czytałem o tym kilka tygodni temu.

Van Veeteren pociągnął łyk piwa.

– Znam to zjawisko. Trzeba by chyba mieć duszę ze stali, ale niestety to też raczej niewiele by dało. Jak człowiek nie ma w sobie pewnego rodzaju mroku, to traci zdolność widzenia... Zdaje się, że Churchill pisał coś o tym. Powiedział, że w osobliwy sposób rozumiał Hitlera. Trzeba empatii, żeby umieć wejrzeć w zakamarki nawet najciemniejszej psychiki, nie zapominaj o tym, Münster.

Inspektor zamilkł na chwilę, znowu pogrążony w myślach.

– A G ma właśnie taką mroczną duszę?

Van Veeteren uniósł jedną brew, wyraźnie zdziwiony pytaniem.

– Niewątpliwie. Jeśli ją w ogóle ma.

– W takim razie musimy...?

Münster urwał i wybuchnął śmiechem, komisarz jednak nadal miał poważną minę.

– Czyli to prawda... – kontynuował inspektor ostrożnie – ...że także ta sprawa ma całkiem osobisty aspekt? Jak w przypadku Morta. Komisarz miał do czynienia z Jaanem G. Hennanem już wcześniej, prawda?

Van Veeteren wyraźnie nie chciał podejmować tego wątku. Münster uznał, że chyba posunął się za daleko. Wypił łyk piwa i usiadł wygodnie. Spojrzawszy dyskretnie na zegarek, stwierdził, że niedługo powinien zbierać się do domu.

A właściwie powinien zrobić to już dawno. Obiecał Synn, że dzisiaj wróci przed szóstą, bo spodziewali się gości... co prawda miała przyjść tylko jej siostra z mężem, ale zawsze. Czy nie powinien też po drodze zrobić jakichś zakupów...?

– Prawda – komisarz wyrwał go z zadumy. – To oczywiście stara historia, ale była kiedyś pewna kobieta... a właściwie raczej dziewczyna.

– Dziewczyna? – dopytał Münster.

– Tak, dziewczyna. Miała dziewiętnaście, dwadzieścia lat...

– Naprawdę? – powiedział Münster z nagłym zaciekawieniem, i to tak przemożnym, że nie potrafił go ukryć.

– Owszem. Ale może wrócimy do tego innym razem.

Nie sądzę, przebiegło Münsterowi przez głowę. Uznał, że nie ma sensu dalej go przyciskać. Dopił więc swoje piwo i zaczął zbierać się do wyjścia.

– A kiedy komisarz ma zamiar przesłuchać Hennana? – spytał jeszcze.

Van Veeteren zgasił w popielniczce papierosa i też opróżnił szklanę do końca.

– Dziś wieczorem – powiedział. – Zamierzam wysłać kogoś po niego późnym wieczorem.

– Wieczorem?

– Tak. Jeśli jesteś zainteresowany, proszę bardzo – będziesz mógł obejrzeć sobie ten spektakl przez lustro weneckie. O jedenastej. Ma być też Reinhart, nigdy nie za dużo dodatkowych par uszu i oczu.

Münster zastanowił się szybko i podjął decyzję.

– Przyjadę – oznajmił. – O jedenastej, tak?

– Może nawet o wpół do dwunastej – rzekł Van Veeteren, wstając zza stołu. – Pomyślałem sobie, że noc to właściwa sceneria dla tego rodzaju ćwiczeń. Ale oczywiście tylko pod warunkiem, że masz czas.

– Jakoś to zorganizuję – obiecał inspektor Münster i ruszył za komisarzem do wyjścia.

W ciasnym pomieszczeniu po drugiej stronie weneckiego lustra tuż przed rozpoczęciem przesłuchania Jaana G. Hennana znalazł się poza Reinhartem i Münsterem także inspektor Rooth. Jego tak zwana dziewczyna zadzwoniła i oznajmiła, że jest chora, a to, co miało za chwilę się tutaj rozegrać, zapowiadało się równie atrakcyjnie, jak jakiś kiepski serial kryminalny w telewizji.

Około wpół do jedenastej wieczorem policjanci Kowalski i Klempje pojechali do Willi Zefir. Hennan z lekko drwiącym uśmiechem bez najmniejszego oporu dał się przywieźć na komendę, a potem miał wątpliwą przyjemność spędzenia czterdziestu pięciu minut na twardym krześle w zimnej sali przesłuchań, zanim przez jedne z dwojga drzwi wszedł do środka Van Veeteren i usiadł naprzeciw niego.

– Nareszcie – powiedział Hennan, ale bez śladu irytacji w głosie.

Van Veeteren nie zareagował, tylko przez chwilę dłużył coś przy magnetofonie, a potem zapalił papierosa. Następnie odczytał Hennanowi przysługujące mu prawa i spytał, czy chce mieć adwokata. Hennan oparł się wygodnie na krześle, uśmiechnął się szeroko i oznajmił dobitnie, że potrzebuje adwokata w takim samym stopniu jak wrzodu na dupie. Komisarz skinął głową i włączył magnetofon. Podał godzinę, miejsce i sprawę, po czym poprosił Jaana G., aby powiedział swoje pełne nazwisko, miejsce i datę urodzin, co tamten uczynił, wciąż z uśmiechem na twarzy.

– A więc tak – powiedział komisarz, wieszając swoją marynarkę na oparciu krzesła. – Siedzisz tutaj, ponieważ jesteś podejrzany o zamordowanie własnej żony, Barbary Clarissy Hennan. Nie jesteś jeszcze zatrzymany, ale to kwestia czasu.

– O zamordowanie? – powtórzył Hennan. – Zatrzymany?

– Dobrze rozumiałeś – powiedział Van Veeteren. – Chcesz się zaraz przyznać czy mamy to ciągnąć nie wiadomo jak długo?

– Głupie pieprzenie – rzucił Hennan.

– Nie rozumiałem odpowiedzi – rzekł komisarz.

– Głupie pieprzenie – powtórzył tamten.

– Teraz rozumiałem. Czy mam to zinterpretować w ten sposób, że dziwi cię fakt,

iż jesteś podejrzany?

Hennan oparł brodę na prawej ręce i zastanowił się przez kilka sekund.

– I tak, i nie – stwierdził. – Powszechna niekompetencja policji jest mi dobrze znana i od dawna mnie nie dziwi, ale tym razem przeszliście już samych siebie.

– Może to rozwiniiesz – powiedział komisarz.

– O nie. Sam sobie rozwijaj. Ja wolałbym wrócić do domu i położyć się do łóżka.

– Przygotowaliśmy trochę inny scenariusz – oznajmił komisarz. – Jak długo byłeś żonaty z Philomeną McNaught?

Hennan odpowiedział, wcale niezaskoczony pytaniem.

– Prawie rok.

– Zmarła podczas podróży samochodem w Bethesda Park, zgadza się?

– Nic o tym nie wiem. Zniknęła, a potem została uznana za zmarłą.

– A gdybym ci teraz powiedział, że znaleziono jej ciało, zdziwiłbyś się?

Hennan zawahał się chwilę. Potem uśmiechnął się znowu.

– Nie – odrzekł. – Wcześniej czy później musiało się znaleźć. Jak do tego doszło?

– Co masz na myśli?

– Pytam oczywiście, gdzie na nie natrafiono. I w jakich okolicznościach. Ponieważ najprawdopodobniej padła ofiarą jakiegoś dużego dzikiego zwierza, muszę przyznać, że jestem trochę zaskoczony, słysząc o jej zwłokach w jednym kawałku. Rany boskie, nie uważasz, że za długo w tym tkwię, żeby od razu nie poznać, kiedy gliniarz łże, a kiedy mówi prawdę?

Van Veeteren siedział przez chwilę w milczeniu, wpatrzony w jakiś punkt na ścianie tuż nad głową Hennana. Miał kamienną twarz.

– Naprawdę jesteś taki naiwny – odezwał się potem – tak potwornie naiwny, że wydaje ci się, że możesz dwa razy odegrać tę samą historię? Wiemy, że odebrałeś życie dwóm kobietom, i dlatego następne ćwierćwiecze swojego życia spędzisz w więzieniu. Radzę ci szybko załatwić sobie adwokata, bo chyba nie do końca rozumiesz, w jakim znalazłeś się położeniu.

– Głupie gadanie – powiedział Hennan. – Nie potrzebuję żadnego adwokata. Za to muszę się odlać.

– Pięć minut – zgodził się Van Veeteren i wyłączył magnetofon.

– Ale w jednej sprawie muszę cię rozczarować już teraz – oświadczył komisarz po powrocie Hennana do sali.

– Naprawdę? Jakie to smutne.

– Jeśli nawet nie wylądujesz za kratkami, to i tak nie dostaniesz ani jednego guldena z polisy.

– Tak mówisz? – odpowiedział Hennan, wykrzywiając drwiąco usta. – Nie ma rady, chcę czy nie, muszę wysłuchiwać tych twoich wymysłów, skoro siedzimy tu razem. Proszę bardzo, mów dalej, zamieniam się w słuch.

– Dziękuję. Udowodnimy, że to nie był nieszczęśliwy wypadek – mówię teraz o zabójstwie twojej drugiej żony – w związku z czym nie zostanie spełniony warunek zawarty w umowie ubezpieczeniowej.

Hennan wzruszył ramionami.

– Macie, rzecz jasna, prawo próbować szukać dowodów, na co się wam żywnie podoba. Nie zamierzam wam w tym przeszkadzać. Ale zdziwiłbym się, gdyby wam się to udało.

– Ona była nieprzytomna, zanim została zepchnięta do basenu – powiedział Van Veeteren, zapalając kolejnego papierosa. – Jak widzę, zdecydowałeś się cały czas grać idiotę. Muszę przyznać, że spodziewałem się skuteczniejszego oporu.

– Oporu? – powtórzył Hennan z teatralnym zdziwieniem. – O czym pan komisarz bajdurzy?

– Nudzisz mnie – rzekł Van Veeteren i ziewnął. – Przez pięć lat molestowałeś swoją młodszą siostrę, zgadza się?

– Co takiego?

– Pytam cię, czy molestowałeś swoją siostrę, Elizabeth Hennan, przez pięć lat? Czy może dłużej? Dlaczego przestałeś? Uważasz, że piętnastolatki są za stare?

Minęło kilka sekund, zanim Hennan zapanował z powrotem nad wyrazem swojej twarzy. Potem na jego ustach ponownie pojawił się uśmiech, ale już mniej bezczelny.

– Może jednak rzeczywiście załatwię sobie adwokata – rzucił. – Bo widzę, że chyba całkiem ci odbiło.

– Będziesz mógł na to odpowiedzieć już podczas procesu – oznajmił komisarz. –

Czy kiedykolwiek mieliście ze sobą zwyczajne relacje... jak między normalnym rodzeństwem?

Hennan milczał.

– Mógłbyś podać mi nazwiska paru swoich znajomych? – spytał Van Veeteren.

– Niby po co?

– Bo może ci się na przykład przydać parę głosów przemawiających na twoją korzyść. No więc – podasz mi kilka osób, które mogłyby poświadczyć twój dobry charakter?

– Nie. Sam sobie poszukaj.

– Może Maarten Verlangen? – zaproponował komisarz.

– Verlangen? Kto to, u diabła, jest... a, już wiem, ten był gliniarz? A co ja mógłbym mieć z nim wspólnego?

– Spotkałeś go w tamten wieczór, kiedy umarła twoja żona.

Hennan zastanowił się.

– Prawda. Wypiliśmy parę drinków. Smutna postać. Zszedł na psy.

– Skąd ty właściwie go znasz?

Hennan wybuchnął śmiechem.

– Przecież dobrze wiesz. Parę lat temu mieliśmy ze sobą pewne porachunki. Verlangen wsadził mnie za kratki, choć ja byłem niewinny, i trochę przesiedziałem w ciupie przez niego. Ale było, minęło. Nie jestem pamiętliwy.

– Wiesz, czym on się teraz zajmuje?

– Nie mam pojęcia – przyznał Hennan. – Przydałoby się zapalić.

– Proszę. – Van Veeteren podsunął mu paczkę papierosów. – Verlangen jest prywatnym detektywem.

Hennan wyglądał na zdziwionego.

– Prywatnym detektywem? Nie pisał o tym ani słówkiem. Domyślam się, że rynek pracy dla wyrzuconych gliniarzy nie jest zbyt bogaty.

Van Veeteren odczekał kilka sekund.

– Ale pewnie się orientujesz, że twoja żona też go znała?

– Moja żona? Znała kogo?

– Verlangena.

Hennanowi prawie udało się ukryć zaskoczenie dzięki papierosowi, którego zapalił.

– Gadanie – rzucił. – Niby po co Barbara miała znać kogoś takiego jak Verlangen?

– Gdyby była wśród żywych, toby ci wyjaśniła. Ale on pewnie wszystko opowie w czasie procesu.

Przez moment, dosłownie przez ułamek sekundy, Van Veeteren odniósł wrażenie, że Hennanowi spadła maska z twarzy. Może to tylko złudzenie, w każdym razie w ciągu niesłychanie krótkiego przeblysku wydało mu się, że zdołał zajrzeć do jego wnętrza. I gdyby do tej pory żywił jakiegokolwiek wątpliwości w kwestii winy, owo obnażone spojrzenie by mu wystarczyło. Jaan G. Henna miał na swoim sumieniu Barbarę Clarissę Delgado, podobnie jak Philomenę McNaught. Przez głowę przemknęło mu pytanie, jak przełożyć na słowa to totalne zdemaskowanie się, tę totalną winę odbitą w parze oczu – żeby na przykład przekonać sędziów – ale jedynym, co widział przed sobą, była głęboka przepaść dzieląca wgląd i czyn. Nie po raz pierwszy doznawał czegoś takiego.

Chrząknięcie Hennana kazało mu wrócić do rzeczywistości.

– Czy teraz policji wolno jest podczas przesłuchania wymyślać kłamstwa, jakie jej się tylko żywnie podoba? – spytał Jaan G.

Van Veeteren prychnął.

– G – powiedział. – Siedzieć tutaj i zajmować się mordercą to jedno. Ale siedzieć tutaj i zajmować się beznadziejnie naiwnym mordercą to po prostu potwornie nudne. Pół godziny przerwy.

Henna pokręcił głową i zamierzał wstać.

– Nie, nie – powstrzymał go komisarz. – Ty tutaj zostajesz. Jeśli chcesz się rozprostować, masz podłogę.

– Muszę niechętnie przyznać, że jestem pod wrażeniem – powiedział podczas przerwy Reinhart. – Ale uważam, że nie powinniśmy raczej chwalić się zbyt szeroko naszymi metodami.

– Co myślicie o jego reakcji na Verlangena? – spytał komisarz. – Zauważyłem jakby niepewność. Tyle że zdałem sobie z niej sprawę dopiero później.

– Niepewność? – spytał Münster. – Co za niepewność?

Komisarz pokręcił głową i włożył sobie wykałaczkę do ust.

– On chyba udawał zaskoczonego. Ale jakby tylko w połowie... i nie wiem, która połowa była prawdziwa.

– Jeśli chodzi o Verlangena – westchnął Rooth – to tak naprawdę nie mamy pojęcia, co on w tej knajpie rzeczywiście powiedział, a czego nie powiedział. Przypuszczalnie był nieźle naprany i Hennan mógł z niego wyciągnąć, co tylko chciał.

– Słusznie – przyznał komisarz. – Wciąż nie mamy odpowiedzi na to pytanie. Poza tym dlaczego, do jasnej cholery, ona wybrała się do prywatnego detektywa? To jest dużo ważniejsze. Tylko dlatego, że po prostu czuła się niepewnie? Nie sądzę. Trzeba by to ustalić.

– Ale skoro nawet Verlangen nie zna odpowiedzi na to pytanie, to jak my mamy się dowiedzieć? – zauważył Rooth. – Jedyna osoba, która to wie, jak wiadomo, nie żyje.

– Jestem tego świadomy – rzekł Van Veeteren.

– Jaki jest scenariusz na drugą rundę? – spytał Reinhart.

– Zmiana kierunku wiatru o sto osiemdziesiąt stopni – zapowiedział komisarz. – Zawołajcie mnie za piętnaście minut. Pójdę teraz na chwilę do siebie, rozprostować nogi na biurku. I miejcie oko, jak on się tam zachowuje.

Münster spojrział na zegarek. Było pięć minut po wpół do pierwszej.

– Chciałbym, żebyś się teraz skoncentrował – powiedział Van Veeteren. – Po to dostałeś filiżankę kawy.

– Jestem wzruszony – rzucił Hennan.

Przez całą przerwę w przesłuchaniu siedział oparty na krześle, z rękami założonymi na piersi i z zamkniętymi oczami. Uśmiech zniknął mu z twarzy, ale ogólnie wyglądał na opanowanego.

– Najpierw parę szczegółów do protokołu. Dwanaście lat temu zostałeś skazany za przestępstwo narkotykowe i spędziłeś dwa i pół roku w więzieniu. Zgadza się?

– Już mówiłem...

– Odpowiedz: tak albo nie.

– Tak – odparł Hennan ze wzruszeniem ramion.

– Niecałe dziesięć lat temu wyemigrowałeś do USA?

– Tak.

– Zaraz po wyjściu z więzienia?

– Mniej więcej.

– W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim ożeniłeś się z niejaką Philomeną McNaught?

– Tak.

– Która rok później zniknęła, a ty zainkasowałeś czterysta tysięcy dolarów z polisy ubezpieczeniowej. Zgadza się?

– Zgadza – potwierdził Hennan.

– Czy twoja ówczesna żona wiedziała, że zawarłeś na nią umowę ubezpieczeniową na tak wysoką kwotę?

– Oczywiście.

– W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym ożeniłeś się z Barbarą Delgado?

– Tak.

– W tym roku przyjechaliście do Europy i ty wkrótce potem zawarłeś na nią umowę ubezpieczeniową na milion dwieście tysięcy guldenów. Zgadza się?

– Tak.

– Czy ona o tym wiedziała?

– Naturalnie.

– Ale nie była przy tym?

– Była akurat zajęta czym innym.

– Czym?

– Nie pamiętam.

– Ja to wszystko zapisuję. Miesiąc po wpłaceniu przez ciebie pierwszej składki ubezpieczeniowej znajdujesz swoją żonę martwą na dnie basenu przy domu, który wynajmujecie w Linden przy Kammerweg?

– No tak. Co to ma zna...?

– Żadnych pytań. Jak już powiedziałem, będziemy w stanie udowodnić, że twoja żona nie zmarła śmiercią naturalną. I suma ubezpieczenia w tej sytuacji nie będzie

należna. Masz teraz do wyboru dwie drogi.

– A to ciekawe – wtrącił Hennan. – To znaczy?

– Podczas procesu będziesz musiał podjąć taką samą decyzję, więc masz okazję to w tej chwili przećwiczyć.

Hennan milczał, ale jego lewa brew lekko drgała.

– Albo zdecydujesz się współpracować z nami, żeby znaleźć sprawcę – dziewięćdziesięciu dziewięciu żonatych mężczyzn na sto tak by zrobiło – oznajmił komisarz – albo wybierzesz utrudnianie śledztwa. A taki krok można będzie zinterpretować tylko na jeden sposób: ty sam kryjesz się za śmiercią swojej żony. Jeden na stu, jak wspomniałem. Rozumiesz?

– Ha, ha – powiedział Hennan sucho.

– Którą linię wybierasz?

– Nigdy w życiu nie zdecydowałbym się utrudniać pracy policji – oświadczył Hennan słodkim tonem. – Nie wiem, jak komisarz mógł sobie w ogóle coś takiego wyobrazić.

– Świetnie. Wobec tego podaj mi nazwiska waszych najbliższych znajomych.

– My nie mamy żadnych znajomych.

– A kto był z wizytą w Willi Zefir, kiedy się tam wprowadziliście?

– Trottowie. I nikt więcej.

– Nikt więcej?

– Nie przypominam sobie nikogo innego.

– Kłamiesz – powiedział Van Veeteren.

– Może jakiś kurier czy dostawca – poprawił się Hennan. – Faceci z firmy przeprowadzkowej, pewnie uda mi się jeszcze znaleźć jej nazwę... sprzątaczką...

– Z którymi ze swoich tak zwanych przyjaciół z wcześniejszych lat kontaktowałeś się po powrocie?

– Z żadnymi.

– Zastanów się.

Hennan uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

– Drogi chłopcze – zwrócił się do niego komisarz. – Obawiam się, że sędziowie przysięgli nie rozumieją, którą linię wybrałeś. Ale jedno rozumieją na pewno, co do

tego możesz być przekonany.

– Co takiego?

– Że to ty sam tamtego wieczoru pomogłeś żonie znaleźć się na dnie basenu.

– Obawiam się, że w tym rozumowaniu jest jeden błąd.

– Doprawdy? Jaki?

– O ile mi wiadomo, mam alibi.

– Słucham?! – Van Veeteren wykrzyknął zaskoczony. – Ty uważasz, że masz alibi?! Kto ci naopowiadał takich bzdur?!

Hennan zawahał się sekundę.

– Mam alibi, ponieważ tak się składa, że byłem w restauracji Colom...

– Dość! – przerwał mu komisarz. – To nie ma już żadnego znaczenia. Coś mi się wydaje, że zapomniałeś, że my wiemy, jak dokonano tego zabójstwa.

– Że co? Co to za idiotyczny... nie, mam już dość tego głupiego gadania.

– To jak? Ty opowiesz czy ja mam to zrobić? – spytał komisarz.

– Niby co mam opowiedzieć?

– Jak to było.

Hennan spojrzał na niego złowrogim wzrokiem. Następnie znowu skrzyżował ręce na piersi i przymknął oczy.

– Bądź tak miły i zgaś światło, jak wyjdiesz – powiedział. – Nie mam nic więcej do dodania.

Van Veeteren siedział jeszcze przez chwilę. Następnie wyłączył magnetofon, wyjął kasetę i wstał. Obrzucił Hennana spojrzeniem, po czym wyszedł z salki, nie gasząc światła.

– Czterdzieści osiem godzin – oznajmił pozostałym, gdy zamknął za sobą drzwi. – Mamy czterdzieści osiem godzin. Zaprowadźcie go do celi. Ja prześpię się u siebie, a jutro z samego rana zacznę z nim od nowa.

– Niedługo się podda – stwierdził Reinhart. – Niezła pułapka to na końcu.

Komisarz popatrzył na niego spod przymrużonych powiek.

– Cieszę się, że jesteś optymistą – powiedział. – Dobranoc, panowie.

Obudził go telefon. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje, ale kiedy poczuł ból w dole kręgosłupa, przypomniał sobie, że spał na kanapie w swoim pokoju na komendzie.

Zerknął na zegarek. Za piętnaście ósma. Nie bez wysiłku dowlókł się do biurka i odebrał. Dzwonił Reinhart.

– Czytujesz „Neuwe Blatt”? – spytał.

– Nie – odpowiedział Van Veeteren. – A ty?

– Bardzo rzadko. Ale dzisiaj zrobiłem wyjątek. Akurat biegłem koło kiosku.

– Biegłeś?

– W soboty rano uprawiam jogging. Uważam, że ty także powinienes.

– Biegać?

– Może też – odpowiedział Reinhart. – Miałem na myśli, żebyś przeczytał dzisiejszą „Neuwe Blatt”. Piszą o Hennanie.

– Co ty opowiadasz? Jak to piszą o...?

– Całą stronę. Podpisał się pod tym jakiś Grouwer. Sporo informacji, zdaje się, że ktoś zrobił przeciek.

– Przeciek? – powtórzył komisarz, próbując rozprostować plecy. – O czym ty gadasz, do jasnej cholery? Zacząłeś pracować dla służb czy co?

– Postaraj się o tego szmatławca i sam przeczytaj – rzucił na koniec Reinhart. – Zostajesz na komendzie?

– Chyba tak – powiedział Van Veeteren.

– Wpadnę za jakąś godzinę. Tylko jeszcze wezmę prysznic. Będziemy mogli zastanowić się razem.

Następnie się rozłączył. Komisarz stał dalej ze słuchawką w ręce i patrzył nieruchomo przed siebie. Potem wybrał numer dyżurnego z recepcji i poprosił go, żeby przyniósł mu na górę sobotnie wydanie „Neuwe Blatt”.

Później zrobił to samo co Reinhart. Poszedł pod prysznic.

Reinhart nie kłamał, Van Veeteren stwierdził to już po pierwszym spojrzeniu. Na

samej górze na pierwszej stronie widniał duży tytuł tłustą czcionką:

„Morderstwo z zimną krwią w Linden?”

Przynajmniej ze znakiem zapytania, pomyślał komisarz pozytywnie nastawiony. Chociaż tyle. Ale już w leadzie wymieniono nazwiska zarówno Barbary Hennan, jak i Jaana G. Hennana. Van Veeteren otworzył na stronie piątej, która w całości była poświęcona temu tematowi.

„Nieszczęśliwy wypadek na Kammerweg w Linden, o którym pisaliśmy w ubiegłym tygodniu, może okazać się wyrafinowanym morderstwem”, przeczytał pod dużym zdjęciem Willi Zefir z tajemniczą wieżą do skoków prześwitującą między drzewami. Gazeta wysłała na miejsce fotografa, który strzelił fotki z drugiej strony ulicy, jak stwierdził Van Veeteren.

Reinhart miał rację. Tekst był cholernie sugestywny i pełen rewelacji.

Makabryczną scenę basenową przedstawiono z najdrobniejszymi szczegółami, po czym dużo miejsca poświęcono wątkowi ubezpieczenia. Jaan G. Hennan, pisano, bez najmniejszych skrępowań zawarł umowę ubezpieczeniową na swoją młodą żonę na sumę przyprawiającą o zawrót głowy, a zaledwie kilka tygodni później znaleziono ją martwą w ich wspólnym domu. Dyrektor Kooperdijk z F/B Trustor wyrażał poważne wątpliwości co do uczciwości Hennana, a autor tekstu miał nadzieję, że policja zdoła jak najszybciej postawić go przed obliczem sądu. Jego zdaniem nie ulega najmniejszej wątpliwości, że dopuszczono się oszustwa i przestępstwa jeszcze cięższego kalibru.

W końcowej części artykułu przedstawiono przestępczą przeszłość Hennana i wspomniano o jego pobycie w USA, gdzie niemal przez dziesięć lat prowadził niejasne interesy. Podsumowując, autor podkreślił, jak ważne jest to, aby policja kryminalna z Maardam, która zajmuje się sprawą, przestała chować głowę w piasek i rzetelnie informowała społeczeństwo.

Czy policja ma coś do ukrycia? – pytano retorycznie. Dlaczego nikogo nie zatrzymano? Kiedy wreszcie odbędzie się pierwsza konferencja prasowa? Przecież na wolności pozostaje morderca.

Nie powiedziano wprost, że morderca nazywa się Jaan G. Hennan, ale nawet umiejący czytać siedmiolatek potrafiłby to wychwycić między wierszami.

Van Veeteren wypił podczas lektury dwa kubki kawy. Próbował także zjeść kanapkę z serem i krążkami papryki oraz mizernym liściem sałaty, lecz nie dał rady.

No proszę, pomyślał. Czyli pismaki dobierają się nam do gardła. I zaraz się zacznie taki sam cyrk jak zawsze.

Jakby na potwierdzenie jego hipotezy w tej samej chwili zadzwonił telefon. W słuchawce odezwał się lekko rozdrażniony redaktor Aronsen z „Telegraaf”, który chciał wiedzieć, dlaczego, u diabła, i co, do jasnej cholery? Van Veeteren wyjaśnił, że właśnie za moment zaczyna ważne przesłuchanie, i odesłał petenta do komunikatu prasowego, który zostanie opublikowany przed godziną dwunastą.

– Zgarnęliście go? – spytał Aronsen.

– Oczywiście – odparł obojętnie komisarz. – Siedzi u nas w piwnicy.

Następnie zakończył rozmowę i zadzwonił na centralę. Wydał polecenie, aby przez najbliższe godziny nie łączono nikogo z mediów, po czym poszedł do łazienki umyć zęby.

Kiedy wrócił, pojawił się Reinhart.

– Ładna historia, co? – powiedział, wykrzywiając twarz.

– Bardzo ładna – potwierdził komisarz. – Obiecałem informację prasową do dwunastej. Czujesz się na tyle w formie, żeby ją sklecić?

– Nic nie sprawi mi większej przyjemności – zapewnił Reinhart. – Wystarczy mi siedem minut i kubek czarnej kawy. Skąd, u diabła, tamten gość wziął te wszystkie informacje?

Komisarz pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Ile osób u nas wie?

Reinhart zaczął liczyć.

– Chyba sześć. Plus ten czy ów na wpuł poinformowany posterunkowy czy asystent. Ale jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, żeby ktoś z nas...

– A niech to szlag! – przerwał mu Van Veeteren. – Verlangen oczywiście! To ten szpicel chodzi i chlapie jęzorem. Możesz do niego zadzwonić i spytać, jak już się uporasz z tym komunikatem?

– Zaraz to zrobię – obiecał Reinhart. – Chyba masz rację. Wcale bym się nie dziwił, gdyby to rzeczywiście był on. Uważam... uważam, że to trochę zmienia

sytuację.

– To znaczy?

– Skoro morderca jest na wolności, a ludzie wiedzą, jak on się nazywa, to pewnie zaraz podniosą się głosy, że powinniśmy coś z tym zrobić.

– Tak pan inspektor uważa? – westchnął Van Veeteren. – To przypuszczalnie słuszna ocena. Wobec tego dobrze będzie szybko zadzwonić do prokuratora... zanim on odezwie się do nas... to zwykle robi dobre wrażenie.

– Myślisz, że w prokuraturze czytają „Neuwe Blatt”? – spytał Reinhart.

– Może niektórzy od nich też uprawiają jogging?

Reinhart roześmiał się oschle.

– No dobrze. To dzwoń. A kiedy zamierzasz odbyć następne starcie z panem mordercą?

Van Veeteren wykonał kilka ostrożnych skłonów.

– Bóle?

– Sofa.

– Sam jesteś sobie winien. No więc?

– Jeszcze nie wiem – powiedział Van Veeteren. – Właściwie zamierzałem zacząć zaraz, ale chyba przesunę to o kilka godzin. Chcesz być przy tym?

– To znaczy przy stole czy za szybą?

– Przy stole. Mogłoby być ciekawie, gdyby tak wziąć go w krzyżowy ogień pytań – stwierdził Van Veeteren.

– Bez dwóch zdań – zgodził się Reinhart. – Możesz na mnie liczyć.

Następnie wyszedł, a komisarz wybrał numer do prokuratury.

Po napisaniu i rozesłaniu informacji prasowej – ubogiego w treść tekstu składającego się z pięćdziesięciu pięciu słów, który w gruncie rzeczy zawierał co najwyżej jedną trzecią informacji upublicznionych już w gazecie oraz zapowiadał konferencję prasową w najbliższy poniedziałek – Reinhart zadzwonił do „Neuwe Blatt”, gdzie dostał numer domowy Bertrama Grouwera.

Grouwer brzmiał tak, jakby jeszcze nie do końca otworzył oczy, był jednak wystarczająco przytomny, by nie zdradzić swojego informatora. Reinhart spytał, czy

przypadkiem nie nazywa się Maarten Verlangen, i wtedy Grouwer odłożył słuchawkę.

A to obszczymur, pomyślał Reinhart, który miał dosyć krytyczny stosunek do czwartej władzy. Kiepski z ciebie aktor.

Verlangen nie brzmiał bynajmniej bardziej rześko od Grouwera, a przynajmniej do momentu, kiedy zrozumiał, o co chodzi.

Nie, dzisiaj nie czytał jeszcze żadnej gazety. Ale owszem, pamięta, że siedział i rozmawiał ze swoim dobrym znajomym Grouwerem w czwartek wieczór. Spotkali się w mieście i świętowali – można by powiedzieć – swoje wspólne urodziny, no i wychylili parę kieliszków z tej okazji.

– Jak szybko możesz tu być? – spytał Reinhart. – W dziesięć minut? Musimy z tobą porozmawiać.

Nie wiedział, czy rzeczywiście jest im to potrzebne, lecz nie zamierzał pozwolić na to, żeby ten kłapiący dziobem nieudacznik wylegiwał się, cholera jasna, w łóżku nie wiadomo jak długo w taką piękną sobotę jak dzisiaj.

Verlangen obiecał ze skruchą w głosie, że natychmiast się ruszy i będzie na komendzie w ciągu godziny.

No, pomyślał Reinhart. Odłożył słuchawkę i zapalił fajkę. Jak tylko znajdzie Heinemanna, to on już zajmie się tobą przez cały boży dzień!

Prokurator nazywał się Silwerstein. Van Veeteren miał z nim wcześniej kilkakrotnie do czynienia i wiedział, że nie lubi, kiedy w wolną sobotę zawraca mu się głowę sprawami służbowymi. Wolał grać w golfa. Czemu zresztą dał wyraz, ledwie wszedł w drzwi. Komisarz oznajmił, że nigdy nie oddawał się temu rodzajowi aktywności, ale również – jeśli to tylko możliwe – stara się unikać pracy w weekendy.

Nic jednak nie da się tutaj poradzić, więc Van Veeteren obiecał, że będzie się streszczał. Następnie zaserwował prokuratorowi filiżankę kawy i w ciągu dziesięciu minut zreferował sprawę. Na koniec zapytał swojego gościa, czy zalicza się może do rzeszy wiernych czytelników „Neuwe Blatt”.

Oczywiście, że nie, oznajmił zdecydowanie Silwerstein. Skąd, u licha, takie pytanie?

Van Veeteren podał mu gazetę. Prokurator czytał, unosząc coraz wyżej brwi i otwierając coraz szerzej usta.

– Rozumiem – powiedział, kiedy skończył. – Opinia publiczna i powszechne poczucie sprawiedliwości domaga się i tak dalej... Dlaczego wygadaliście to wszystko prasie?

– Te informacje nie pochodzą od nas – wyjaśnił komisarz.

Prokurator zdjął z nosa okulary.

– Wobec tego od kogo?

Van Veeteren złamał wykałaczkę i spojrzał przez okno. Silberstein westchnął głęboko i zrezygnował z dochodzenia tej kwestii.

– No dobrze. A co z dowodami? Są mocne?

– Trudno powiedzieć – odrzekł komisarz. – Na razie nieszczególnie. Ale do tej pory przesłuchaliśmy go porządnie dopiero jeden raz.

– Nie przyznaje się?

– Tak. I pewnie się nie przyzna.

– Na pewno?

– Mogę się założyć o partię golfa.

Silberstein milczał.

– Nie sądzę też, żeby możliwe były jakiegokolwiek kompromisy czy pójście na układy. To nie ten typ.

– Ale wydaje się raczej oczywiste, że to on. Czy może nie?

– Co do tego nie ma wątpliwości – potwierdził Van Veeteren. – Naturalnie wolałbym pracować dalej w ciszy i spokoju, jednak po tym artykule w gazecie...

– Rozumiem – przerwał mu prokurator. – Teraz macie go u siebie, tak?

– Od wczoraj wieczorem.

– Więc czego potrzebujesz? Mam wydać natychmiastowy nakaz aresztowania?

– A ty jak uważasz? – Van Veeteren odbił piłeczkę, składając gazetę.

Silberstein zastanowił się chwilę, po czym spojrzał na zegarek.

– Nie chciałbym zbyt wcześnie wkraczać – powiedział prokurator. – Ale przecież pewnie go nie wypuścicie?

– Jego nazwisko zostało wymienione w gazecie. Na pewno podniósłby się raban, gdyby znalazł się na wolności.

– No tak. – Prokurator podrapał się po grzbiecie nosa. – Muszę się temu bliżej

przyjrzeć. Jeśli dostaniecie jeszcze dodatkowe czterdzieści osiem godzin, we wtorek wieczorem zobaczymy, co da się zrobić... do tej pory chyba zbierzecie dosyć materiału, żeby wystarczyło?

– Zrobimy wszystko, co się da – obiecał komisarz.

Po głębszym zastanowieniu się Reinhart uznał mimo wszystko, że najlepiej będzie, jeśli jednak sam porozmawia z Maartenem Verlangem. Pomijając już niewątpliwy aspekt inkwizycji, było kilka punktów, które chciał dokładniej z nim omówić. A Heinemann na pewno znajdzie sobie jakieś zajęcie na wolną sobotę.

Verlangen wszedł do pokoju Reinharta jak skruszony grzesznik. Wyglądał na bardzo zmarnowanego i roztaczał wokół siebie odór przetrawionego alkoholu.

– Przykro mi – zaczął. – Nie miałem zamiaru...

– Przykro ci? – powtórzył Reinhart. – Zepsułeś nam robotę w niewyobrażalny sposób. Jeśli Jaan G. Hennan się z tego wywinie, to powinien podziękować ci na kolanach.

– Co takiego? – rzucił Verlangen.

– Jeżeli Hennan się wywinie, powinien...

– Tak, tak, słyszałem. Ale to przecież niemożliwe, ja tylko opowiedziałem, jak to było, a...

– Siadaj – polecił mu Reinhart. – Zajeżdża od ciebie alkoholem.

Verlangen zajął wskazane miejsce.

– Jakoś tak wczoraj wyszło...

– Wczoraj też? I co? Skorzystałeś z okazji, żeby podać na talerzu całą tę historię innemu pismakowi?

Verlangen pokręcił głową i utkwiał spojrzenie w podłogę.

Biedaczysko, pomyślał nieoczekiwanie Reinhart. To przecież wrak człowieka.

– No, weź się w garść – zwrócił się do niego. – Chcę z tobą pogadać o paru rzeczach niezależnie od tych gazetowych bredni. Masz kaca? Napijesz się kawy?

– Już piłem – wyjaśnił Verlangen. – Jest mi naprawdę przykro, ale o czym ty chcesz ze mną rozmawiać? Nie mam za dużo czasu, bo niedługo widzę się z córką.

– Zobaczymy, jak szybko nam pójdzie – rzekł Reinhart.

– Dzięki – odpowiedział Verlangen.

– Barbara Hennan. To o niej chcę z tobą porozmawiać.

– Dlaczego?

– Dlatego że musimy spróbować ustalić, po co w ogóle cię zatrudniła. Przecież musiała mieć jakiś powód, a jedyny, jaki przychodzi mi do głowy... widocznie czuła, że na coś się zanosi... musiała podejrzewać męża, że w jakiś sposób na nią czyha. Co o tym myślisz?

Verlangen zmarszczyło czoło.

– Nie wiem – powiedział. – Ja też oczywiście próbowałem rozumować w taki sam sposób; ona sama ani słowem się nie zająknęła, o co właściwie chodzi... i dlaczego mam go obserwować.

– To już wiemy – rzekł Reinhart. – Ale jeżeli będziemy trzymać się teorii, że ona czegoś się bała, a ty, wiedząc teraz, co się stało, spojrzysz na nowo na tę sprawę... to uważasz, że to ma sens? Czy ona wywoływała takie wrażenie?

Verlangen wygrzebał z kieszeni pogniecioną paczkę papierosów.

– To znaczy, że się bała? Nie, nie powiedziałbym tego. Choć z drugiej strony przez cały czas starała się utrzymać taki oficjalny fason. Jakby się kontrolowała. Uważałem... tak, uważałem raczej, że ona jest niepojęta.

– Niepojęta?

– Tak.

– Dostałeś od niej zlecenie, więc chyba musiałeś się trochę nad tym wszystkim zastanawiać?

Verlangen zapalił papierosa.

– Nie, właściwie to nie za bardzo. Założyłem chyba, że to ta sama historia co zawsze. Niewierność małżeńska.

– Czyli że masz sprawdzić, czy Hennan nie spotyka się z inną kobietą?

– Tak. Chociaż...

– No?

– ...choć w jej zachowaniu nic na to nie wskazywało... to był tylko mój domysł, bo prawie zawsze chodzi o coś takiego.

– Rozumiem – powiedział Reinhart. – I co? Hennan nie spotkał się z żadną inną kobietą w tym czasie, kiedy go obserwowałeś?

– Nie, z żadną.

– A jak długo trwała ta twoja obserwacja?

Verlangen wzruszył lekceważąco ramionami.

– Zaledwie dwa dni. W środę i czwartek. To było potwornie nudne... poza czwartkowym wieczorem oczywiście.

– Co on robił?

– Robił? Przychodził do swojego biura przy Landemaarstraat... siedział tam, wychodził na lunch, wracał i jechał z powrotem do domu.

– I to wszystko?

– Tak.

– Spotkał się z kimś?

– Nie zauważyłem. Może ktoś odwiedził go w biurze, ale nie sędzę.

– A lunch?

– Właściwie był tylko jeden. W środę... jadł sam.

– Super – powiedział z irytacją Reinhart. – A w tamtej restauracji w czwartek wieczorem było tak samo?

– Tak samo – potwierdził Verlangen. – O ile wiem, gadał tylko ze mną.

– O ile ci wiadomo?

– Rozmawiał tylko ze mną – poprawił się Verlangen.

Reinhart westchnął głęboko.

– Niech to diabli wezmą – rzucił. – Masz jakiś pomysł? Nie przyszło ci nic do głowy od czasu, kiedy rozmawialiśmy ostatnio?

Verlangen zaciągnął się papierosem i zamyślił.

– To on to zrobił – powiedział w końcu. – Jestem pewien, że to Hennan ma ją na sumieniu, tylko nie wiem, jak do tego doprowadził. Musiał chyba mieć pomocnika, to jedyna możliwość... nie widzę innego rozwiązania.

Reinhart obrócił się na swoim krześle o ćwierć obrotu i utkwiał wzrok w suficie. Zastanowił się chwilę, po czym powrócił do poprzedniej pozycji.

– Tak – odezwał się. – My też nie. Jeśli powiesz nam, gdzie znaleźć tego pomocnika, to darujemy ci tę historię z gazetą.

Verlangen spojrział na zegar.

– Coś jeszcze? – spytał ostrożnie.

– Na razie to wszystko – odpowiedział Reinhart. – Mówiłeś, że masz się spotkać z córką, tak?

– Zgadza się.

– Ile ona ma lat?

– Siedemnaście.

– Mogę ci dać pewną radę?

– Tak, jasne.

– Idź do domu i najpierw doprowadź się trochę do porządku. Żadna siedemnastolatka nie chciałaby być widziana z facetem, który wygląda, jakby spędził noc na ławce w parku.

Verlangen obiecał, że posłucha jego rady, po czym zniknął za drzwiami. Reinhart, kręcąc głową, od razu otworzył okno.

Dziesięć sekund później zadzwonił komisarz.

– Jesteś gotowy? – spytał. – Chyba pora zająć się znowu Hennanem.

– Jestem gotowy – potwierdził Reinhart. – Będę za minutę.

Kiedy wrócił do domu, była piąta po południu. Nie zastał w nim nikogo poza Bismarckiem.

Ale on przynajmniej ucieszył się na jego widok. Na stole w kuchni leżała kartka od Renate, która informowała go, że wybrała się do Chadowa odwiedzić swoją matkę z okazji urodzin. Nie wykluczała, że być może zostanie u niej do niedzieli; jeżeli chciałby się upewnić, może zawsze do niej zadzwonić.

Jeśli chodzi o Ericha, był gdzieś nad morzem z przyjaciółmi. Wymusiła na nim obietnicę, że wróci do domu przed północą, ale czy jej dotrzyma, tego nie wiedziała. Nie zaszkodziłoby, gdyby jego ojciec był na miejscu i pomógł trochę pod tym względem.

Van Veeteren przedarł kartkę na cztery części i wyrzucił je do kosza na śmieci. Poczł, jak wzbiera w nim irytacja, i nagle szczerze zatęsknił za tym, żeby móc wsiąść do samochodu i tak po prostu ruszyć przed siebie, i na dobre zostawić to wszystko. Pracę, dom, żonę, syna – całe to wyniszczające, wciskające się wszędzie życie, którego czasami nie dało się porównać z niczym innym, tylko z rodzajem chronicznej swędzącej wysypki. To było prymitywne i dziecinne, wiedział o tym, co wcale nie czyniło sprawy łatwiejszą.

Zupełnie jakby to był stan naturalny, pomyślał. To ponure, mętne grzęzawisko, z którego człowiek nieustannie próbuje się wydostać i oprzeć się mu za pomocą wszelkich będących do dyspozycji środków. Każdego ranka, każdego dnia aż po kres czasu. Ale wystarczyło tylko na trochę stracić czujność i znowu się tam lądowało, i szamotało od nowa. Od początku.

Wypił piwo, wziął prysznic i przebrał się w świeże ubranie. Trochę mu to pomogło. Wyszedł na spacer z Bismarckiem do parku Randera. Pogoda była znośna; było pochmurno, ale bezwietrznie; na pewno powyżej dwudziestu stopni. Potem postanowił, że zje coś na mieście.

I w żadnym wypadku nie zadzwoni do swojej żony.

Pomyślał jeszcze także, że głupotą jest dalsze oszukiwanie samego siebie.

I naiwnością wmawianie sobie, że to ona jest problemem w tym dramacie.

To nie Renate. To on sam.

Wrócił do domu około dziewiątej i również tym razem przywitał go tylko pies. Odbyli znowu wspólny spacer po parku, już w lekkim deszczu; później Van Veeteren poprosił Bismarcka, aby zajął się sobą, dzięki czemu on mógłby w spokoju oddać się ludzkim myślom. Bismarck skinął łbem, ziewnął i zajął swoje ulubione miejsce na fotelu w dawnym pokoju Jess.

Van Veeteren przeczytał „Allgemejne” i przez pół godziny słuchał Sibeliusa, ale po *Valse triste* go wyłączył. Sprawdził, że w telewizji nie ma żadnego filmu, który by mu odpowiadał, więc sięgnął po swoją teczkę i wziął sobie z lodówki piwo.

Wyjął kasetę, włożył ją do odtwarzacza i usiadł wygodnie. Zgasił światło. Nalał piwa do szklanki, po czym wcisnął klawisz.

No i dobrze, pomyślał. Skoro jest się masochistą, to nic nie da się na to poradzić, a przecież wcześniej czy później i tak musiałbym to zrobić.

Po standardowych informacjach dotyczących czasu, miejsca, sprawy i uczestników przesłuchania nastąpiła właściwa rozmowa. Od jej zakończenia na komendzie minęło nie więcej niż sześć godzin, tymczasem Van Veeteren od razu zauważył, że miejsce – inne otoczenie, zgaszone światło w pokoju, wygodny fotel, późna godzina i samotność – zmieniło odbiór. Przesunęło perspektywę w sposób, który nie do końca potrafił określić.

A być może chodziło jedynie o prosty fakt, że niekiedy słyszy się lepiej, jeśli się nie widzi.

Zamknął oczy i zaczął przysłuchiwać się własnemu głosowi.

VV: Witam na kolejnej rozmowie, panie Hennan.

G: Dzień dobry.

VV: Na wstępie chciałem powiedzieć, że ani ja, ani inspektor Reinhart nie siedzimy tu dlatego, że nie mamy nic lepszego do roboty. Jeśli nie masz nic do powiedzenia albo nie chcesz odpowiadać na nasze pytania, to skończmy może od razu.

G: Oczywiście jestem do panów dyspozycji. Im szybciej uda nam się ustalić, że moja żona zmarła w wyniku nieszczęśliwego wypadku, tym lepiej.

R: Dlaczego tak łatwo wyklucza pan ewentualność, że za jej śmiercią mogły kryć się także inne siły? Przesłuchałem taśmę z pierwszej rozmowy i muszę przyznać, że trudno mi jest znaleźć logikę w pana postawie.

G: Nie wątpię. Przepraszam, jak się pan nazywa?

R: Reinhart.

G: A więc, panie posterunkowy Reinhart, szukacie tego, czego chcecie szukać, i widzicie to, co chcecie widzieć. Ta logika jest tak wyraźna, że nawet wy powinniście być w stanie ją dostrzec.

R: Nonsens.

G: Moja żona zmarła w wyniku nieszczęśliwego wypadku.

VV: Słyszę, co mówisz. Ale już wyjaśniłem, że mamy wystarczająco dużo danych wskazujących na coś innego. Jeśli w ogóle nie dopuszczasz takiej możliwości, że ktoś odebrał jej życie, możemy to zinterpretować wyłącznie w jeden sposób: ty sam maczałeś w tym palce. Myślałem, że miałeś dość czasu, żeby się nad tym zastanowić i właściwie ocenić swoją sytuację.

G: Obawiam się, że zawiodę was pod tym względem. Obawiam się też, że chyba mnie nie doceniacie.

R: A nie przyszło jeszcze panu do głowy, że zachowuje się pan dosyć dziwnie?

G: A czy nie przyszło panu... albo wam... do głowy, że traktujecie mnie trochę dziwnie? Mówiąc łagodnie.

R: To znaczy?

G: Chętnie wyjaśnię. Właśnie straciłem żonę w traumatycznych okolicznościach. Raczej trudno powiedzieć, żebyście do tej pory okazali stosowny respekt.

R: Nie? Przepraszam, że to panu powiem, ale sądząc po pana zachowaniu, wyjątkowo dobrze radzi pan sobie z żałobą i stratą.

G: Co pan może o tym wiedzieć? Poza tym dlaczego miałbym otwierać serce przed swoimi oprawcami?

R: Oprawcami? Boże drogi...

VV: A więc oplakujesz swoją żonę?

G: Oczywiście.

VV: Bardziej niż poprzednią?

G: Nie mam miarki, żeby to porównać.

R: Czyli jedna czy dwie martwe żony to żadna różnica?

G: Nie zamierzam komentować tego rodzaju insynuacji.

R: Domyślam się.

VV: Twoja firma była tylko przykrywką, tak?

G: Przykrywką? Niby dla czego?

VV: Jaki rodzaj działalności prowadzisz?

G: Działalność biznesową rzecz jasna.

R: Jakiego rodzaju?

G: Import i dystrybucja.

VV: Czego?

G: Próbuję siłą i badam różne rynki... nie sądzę, żebyście zrozumieli tego rodzaju zawilosci biznesowe. Tak czy inaczej, to nie ma żadnego znaczenia. Kiedy zamierzacie mnie stąd wypuścić?

R: Wypuścić? Dlaczego, u diabła, mielibyśmy to zrobić?

G: Nie myślcie, że nie znam swoich praw! Już wam mówiłem, że chyba mnie nie doceniacie. To może się dla was przykro skończyć.

VV: Na jak długo została wynajęta Willa Zefir?

G: Na sześć miesięcy. Jeśli umowa nie zostanie wypowiedziana, automatycznie ulega przedłużeniu na kolejne pół roku.

VV: Już ją wypowiedziałeś?

G: A dlaczego miałbym to zrobić?

R: Na przykład dlatego, że pana żona nie żyje.

G: Nie zajmowałem się tym jeszcze.

VV: Biorąc pod uwagę fakt, że kilkadziesiąt lat spędzisz za kratkami, może jednak warto byłoby się tym zająć.

G: Pieprzenie.

R: Zamierza pan dalej prowadzić swoją tak zwaną firmę?

G: Tego akurat nie muszę z wami omawiać. Ale rozważam wzięcie adwokata, jeśli w końcu nie pójdziecie po rozum do głowy... albo przynajmniej nie

zaczniecie trzymać się przepisów.

VV: O której godzinie twoja żona wróciła z Aarlach w dniu popełnienia morderstwa?

G: Morderstwa?

VV: Mniejsza o słowa. No więc o której była w domu?

G: Nie wiem.

R: Nie zadzwonił pan do domu i nie sprawdził, czy jest już z powrotem?

G: Już wyjaśniłem, że to zrobiłem.

VV: No więc o której?

G: Dzwoniłem kilka razy. Nie odpowiadała.

VV: O której zadzwoniłeś po raz ostatni?

G: Około wpół do siódmej.

VV: Dlaczego twoim zdaniem zwróciła się do prywatnego detektywa?

G: Nie mam pojęcia. I w to nie wierzę.

VV: Miałeś czas, żeby się nad tym zastanowić. Chyba przyszły ci jakieś wnioski do głowy?

G: Już powiedziałem, że w to nie wierzę.

R: Wcześniej nic takiego nie robiła?

G: Oczywiście, że nie.

VV: O czym rozmawialiście z Verlangenem tamtego wieczoru?

G: O niczym ważnym.

R: To znaczy? O piłce nożnej? O gatunkach whisky? O kobietach?

G: Powiedzmy.

VV: Rozpoznałeś go?

G: Gęb niektórych gliniarzy nigdy się nie zapomina.

R: Czy w USA zajmował się pan też handlem narkotykami?

G: Nigdy nie zajmowałem się handlem narkotykami.

VV: Czy twoja żona miała jakichś wrogów?

G: Wrogów? Dlaczego miałyby mieć wrogów? Ona tu prawie nikogo nie znała.

R: Nie mieliście żadnych znajomych?

G: Nie zależało nam na znajomych.

VV: Dlaczego?

G: To nasza sprawa. Nie macie jeszcze tego dość? Bo ja mam.

R: My też. Osły mają dla nas ograniczoną wartość rozrywkową.

VV: Claus Doorp, mógłbyś nam o nim coś powiedzieć?

G: Claus Doorp? Dlaczego miałbym opowiadać o Clausie Doorpie?

VV: Dlatego że to jest twój dawny dobry znajomy, zgadza się?

G: Nie powiedziałbym.

VV: On pewnie też nie. Ale obaj byliście wplątani w tamtą historię z narkotykami dwanaście lat temu. Zgadza się?

G: No i co z tego?

VV: Miałeś z nim jakiś kontakt po powrocie do kraju?

G: Nie.

R: A Christian Müller? Ernst Melnik? Andreas van der Heugen?

G: Brawo! Jakie pilne gliny! Nie, nie widziałem żadnego z nich od dwunastu lat.

VV: Kiedy wróciłeś do domu i znalazłeś żonę na dnie basenu, co potem zrobiłeś? Opowiedz dokładnie.

G: Mówiłem już kilka razy. Jeżeli naprawdę chcecie posłuchać tego jeszcze raz, to puśćcie sobie taśmę.

R: Tak czy owak, będzie pan musiał opowiedzieć to jeszcze raz przed sądem podczas procesu.

G: Tym bardziej nie chce mi się robić tego teraz. Poza tym nie będzie żadnego procesu, wiecie to równie dobrze, jak ja.

R: A założymy się?

G: O co?

R: Może o milion dwieście tysięcy guldenów? To całkiem ładna okrągła sumka.

G: Pan posterunkowy raczy sobie żartować.

R: Oczywiście. Nie zamierzam się z panem zakładać. Nie zadaję się z byle kim.

G: I jestem za to bardzo wdzięczny. Czy mogę wam coś powiedzieć? Że tak powiem, jak facet facetom.

VV: Proszę.

G: Jesteście kiepskimi aktorami, trudno stwierdzić, który z was jest gorszy. Dobrze wiecie, że to, co próbujecie tu zbudować przeciwko mnie, na sali sądowej wzbudziłoby jedynie śmiech. Ja to wiem, ale wy też. To jest żałosny domek z kart, wystarczy kichnięcie całkiem przeciętnego adwokata, a od razu się rozpadnie. Dlaczego nie chcecie przyznać, że sytuacja tak wygląda? Oszczędzilibyśmy sobie tych groteskowych piruetów.

R: Jakie to uczucie gwałcić własną nieletnią siostrę? Czy potem można czuć się dobrze?

Na taśmie nastąpiła długa chwila ciszy. Słyszał tylko, jak Jaan G. zapala papierosa, a Reinhart nerwowo stuka długopisem w blat stołu. Van Veeteren wyłączył magnetofon.

Nie chcę już tego dalej słuchać, stwierdził. Niech Reinhart odsłucha resztę i sprawdzi, czy coś z tego wyniknie.

Co wyniknie? – od razu zadał sobie pytanie. Na czym właściwie trzeba by się skupić?

Na mimowolnym przejęzyczeniu?

Na czymś, co niechący wypsnęło się G? Na informacji, która mogłaby poprowadzić ich dalej albo przynajmniej wskazać kierunek, w jakim powinni się zwrócić?

Nie sądził, żeby coś takiego tam było. Nie wierzył w to, musiał to przyznać sam przed sobą. I szczerze mówiąc, zgadzał się z G pod jednym względem. Te przesłuchania – rozmowy – są bezsensowne.

W obliczu istniejących okoliczności.

Oni wiedzieli, że G kryje się za śmiercią swojej żony.

A G wiedział, że oni wiedzą.

Na dodatek wcale by mu jakoś szczególnie nie zaszkodziło, gdyby niechący chlapanął, że on to zrobił, pomyślał Van Veeteren. Zaszkoziłaby mu jedna jedyna rzecz: gdyby oni doszli, jak to się stało.

Albo może kto to zrobił. Gdyby G wypsnęło się nazwisko pomocnika, którego – biorąc wszystko pod uwagę – musiał mieć.

A liczyć na coś takiego wydawało się wprost idiotyzmem.

Zapalił światło i wyjął kasetę z odtwarzacza. Przez chwilę szperał wśród płyt i wreszcie zdecydował się na drugi koncert fortepianowy Bartóka. Wiedział, że musi jeszcze raz przemyśleć także historię Christy, najwyższa pora, a trudno o lepszy akompaniament do tego niż muzyka Bartóka.

A więc był nie tylko Adam Bronstein, ale także Christa Koogel.

Christa Koogel, która otworzyła w nim przestrzeń, o której istnieniu wcześniej nie miał pojęcia. Przestrzeń miłości. Miejsce i stan, w którym możliwa była miłość do kobiety i otrzymywanie od niej miłości. Z dala od... jak on to nazwał? ... od grzęzawiska istnienia.

On miał lat dwadzieścia jeden, ona – dziewiętnaście. Przez cztery miesiące – całe lato i jeszcze trochę – trwał w zaczarowanym obłoku intensywnego doznawania życia. Nie potrafił znaleźć na to innych słów niż te wzniosłe określenia. Życie, każdy przedmiot, każda czynność, każde spojrzenie i każdy dotyk oraz każde codzienne zajęcie przepełnione były wtedy głęboką i magiczną treścią.

Niezmiennie. Sama świadomość, że ona jest blisko niego, w tym samym mieście i w tym samym życiu, świadomość, że czasami można wyciągnąć rękę i dotknąć jej ramienia, włosów czy pleców i zobaczyć w zamian jej potwierdzające spojrzenie – już to dawało mu nieopisane poczucie lekkości i nietykalności. I wagi.

Dwadzieścia jeden i dziewiętnaście.

Całować ją, czuć jej gotowość i jej nagą skórę, ostrożnie gładzić wierzchem dłoni jej wyciągnięte ramię, wędrować coraz dalej, przez piersi i lekko zaokrąglony brzuch... Wciąż jeszcze – po niemal trzydziestu latach, to wprost nieprawdopodobne! – był w stanie przywołać w sobie fizyczne doznanie tamtego ruchu i tamtego dotyku. Jego lewa dłoń, jej prawe ramię.

Czerwony pokój miłości. Lekkość i ciężar. Jedno całe lato. A potem pojawiło się jej wahanie i poznał coś innego. Czarną dziurę nieobecności. Powrót na start.

Nigdy ze sobą nie skończyli. To nie było konieczne.

Postanowili jedynie, że nie będą spotykać się tak często. Ona musiała zastanowić

się nad swoimi uczuciami. Tydzień później zobaczył ją w kawiarni; ona go nie widziała. Jej oczy były zajęte czym innym. Siedziała przy stoliku z młodym mężczyzną, z innym młodym mężczyzną. Pili wino, a ich głowy prawie się dotykały. Rozmawiali i śmiali się. On trzymał swoją dłoń na jej dłoni. Oboje palili; kiedy była z nim w czerwonej przestrzeni miłości, nigdy nie paliła. I nie piła wina. Tym nowym mężczyzną był G.

Nigdy ze sobą nie skończyli. To nie było konieczne.

I pozwoliła mu poznać coś jeszcze.

Kobietą słabość. Tę niepojętą. Że ładna, utalentowana i kochana młoda kobieta może stracić głowę dla takiego łajdaka, który nie był godzien nawet tego, żeby całować ziemię, po której ona stąpa.

I drzwi do pokoju miłości się zatrzasnęły. Wiele lat później spotkał ją przypadkiem i zupełnie nieoczekiwanie odważył się spytać, dlaczego w ogóle mu je otworzyła. Drzwi miłości. A może otwierała je każdemu? Tak po prostu?

Rozmawiali dosyć długo. Płakała i mówiła, że żałuje. G potraktował ją bardzo źle, zostawił ją w ciąży. Po aborcji przestała wierzyć w istnienie pokoju miłości. Powiedziała – a on jej wierzył – że chciałaby, aby oni nadal byli ze sobą i by nigdy nie spotkała G.

Za późno. Renate była w siódmym miesiącu i wszystko się zmieniło.

Tak mniej więcej to wyglądało. Nic nadzwyczajnego. W gruncie rzeczy zupełnie zwykły życiowy melodramat. Doświadczenie, jakie każdy nosi w swoim plecaku, i może właśnie to było w tym wszystkim najsmutniejsze.

Spojrzał na zegarek. Kwadrans po dwunastej. Erich nie zadzwonił, Renate też nie. Bartók się skończył, ale nie chciało mu się wstać z fotela, żeby włączyć coś innego. Wysączył piwo do końca, starając się wyprzeć Christę Koogel ze świadomości.

Albo umieścić ją tam, gdzie było jej miejsce. Alternatywne ścieżki życia, które leżą martwe. Zamknięty pokój.

Pozostał G.

Pozostał Jaan G. Hennan.

Makabryczne uosobienie najrozmaitszych diabelskich sztuczek i starych grzechów. Zło samo w sobie. Człowiek bez okoliczności łagodzących.

Nienawidzę go, pomyślał nagle. Jeśli jest ktoś, kogo nienawidzę na tym świecie, to jest nim G. Mógłbym go spalić, tak jak pali się karaluchy. Naprawdę.

Siedział tak jeszcze pół godziny. Potem podjął pewną decyzję i poszedł do łóżka.

Szef policji Hiller był zdenerwowany.

Dało się to zauważyć po wielu drobnych oznakach, które Münster bez trudu dostrzegał. Co dziesiąte słowo zwilżał sobie usta końcem języka, nieustannie pstrykał długopisem, pocił się, mimo że temperatura w pokoju była całkiem normalna, i kręcił się na krześle, jakby miał mrówki między pośladkami.

Straszny z niego pajac, pomyślał Münster.

Nie pierwszy raz tak pomyślał. Albo przynajmniej podobnie. Hiller rozłożył przed sobą na ogromnym biurku cały stos gazet. Po artykule *Zabójstwo w basenie*, zamieszczonym w sobotnim „*Neuwe Blatt*”, posypał się deszcz kolejnych. Zarówno „*Allgemejne*”, jak i „*Poost*” oraz „*Telegraaf*” krzyczały w niedzielę tłustymi nagłówkami, a dzisiaj – w poniedziałkowy poranek – Grouwer znowu sięgnął po batutę i domagał się, aby policja wreszcie postarała się sprostać nałożonym na nią obowiązkom – podstawowym obowiązkom! – których spełnienia opinia publiczna i płatnicy podatków – no właśnie, płatnicy podatków! – mają prawo od niej oczekiwać. Powszechne poczucie sprawiedliwości nie znieś już kolejnych zaniedbań. Ludzie tacy jak Jaan G. Hennen nie mogą tak po prostu chodzić po ulicy!

– Celny strzał! – stwierdził Hiller, wycierając sobie czoło papierową chusteczką. – Trafił w samo sedno, ten cholerny pismak! Musimy zrobić z tym porządek. Sprawa jest przecież jasna jak słońce. Facet pozbył się żony, żeby zgarnąć pieniądze z ubezpieczenia.

– W chwili jej śmierci on siedział w knajpie – wtrącił spokojnie Van Veeteren.

– On ma alibi – podkreślił Reinhart.

– To nie ma znaczenia – zaprotestował szef policji i machnął ręką nad gazetami. – Spójrzcie na to! Skoro nie potrafimy wyjaśnić tej sprawy, to znaczy, że jesteśmy niekompetentnymi patałachami. Przecież ten gość, do jasnej cholery, już raz zrobił dokładnie to samo!

– Zgadza się – zauważył Van Veeteren. – I wtedy też udało mu się wywinąć. Czyli nie jesteśmy osamotnieni w tej hańbie.

– Hańbie! – prychnął Hiller. – Tu nie chodzi o hańbę! Hennan powinien zostać aresztowany i skazany za to, co zrobił, i to waszym obowiązkiem jest znalezienie dowodów, żeby stało się to możliwe. Dziś rano rozmawiałem z prokuratorem.

– Ja zrobiłem to już w sobotę – powiedział Van Veeteren. – Jest wprowadzony w sprawę.

– Musimy za wszelką cenę postawić tego drania przed sądem – oświadczył Hiller, postukując długopisem o blat biurka. – Za wszelką cenę. Udało mi się przekonać prokuratora, że to jest konieczne... nawet jeśli dotychczasowe dowody nie są za mocne.

– On zgodził się na to już w sobotę – sprostował Van Veeteren. – Nie sądzę, żebyśmy musieli teraz bić pianę na ten temat przez całe przedpołudnie, sytuacja wbrew pozorom jest całkiem jasna. Trzeba...

– Hennan musiał mieć jakiegoś pomocnika! – szybko przerwał mu szef policji. – Przyjrzałem się bliżej okolicznościom sprawy i doszedłem do wniosku, że to może być jedyne rozwiązanie.

– Doprawdy? – rzucił Reinhart.

– Kogoś w rodzaju płatnego mordercy. Prokurator też tak uważa. Wasze zadanie to znaleźć go albo tak przycisnąć Hennana, żeby się zdradził. Zmobilizujemy wszystkie siły i środki, jakie mamy do dyspozycji, żadna możliwość nie może zostać niewykorzystana. Trzeba wziąć pod lupę jego wszystkich znajomych, prześwietlić ich na drugą stronę! W końcu, do cholery, on ma jakąś przeszłość.

– Dobrze to wiemy – powiedział Reinhart. – Nie jesteśmy idiotami. Ale w sytuacji, jaką mamy obecnie... Czy prokurator rzeczywiście jest gotowy zacząć z tym skąpym materiałem, jakim dysponujemy?

Szef policji z poważną miną skinął głową i znowu zwilżył sobie wargi.

– Tak. Dzisiaj po południu złożymy wniosek o areszt śledczy. Z odpowiednim wyprzedzeniem przed konferencją prasową. Wystąpimy na niej ja i komisarz, ta sama strategia co zawsze. Otwartość i powściągliwość. Nie chcemy mieć mediów przeciwko nam w tej sprawie. Wszyscy znajdujemy się po tej samej stronie, chyba nie muszę tego mówić?

– Bynajmniej – westchnął Van Veeteren, spoglądając na swój zegarek na ręce. –

Czy jeszcze coś? Czyli konferencja prasowa o trzeciej?

– O piętnastej zero zero – potwierdził Hiller. – Jeśli nie macie więcej pytań, to by było na tyle.

– No tak – powiedział Reinhart, zapalając fajkę. – To by było na tyle, by zacytować znanego mówcę.

Siedział na jednym z dwóch krzeseł dla gości w pokoju Van Veeterena. Drugie zajął Münster, komisarz zaś stał tyłem do kolegów i patrzył przez otwarte okno na miasto. Niebo było niespokojne; rano nadciągnął z południowego zachodu niż i trochę zgasił lato, ale może taka pogoda bardziej pasowała do panujących nastrojów.

– Tak – odezwał się komisarz. – I trzeba przyznać, że tym razem podsumował sytuację wyjątkowo trafnie. Drepczemy w miejscu i jeśli nie posuniemy się dalej, prokurator będzie mógł tylko powiedzieć, że to niestety nie wystarczy...

– A co ustalił le Houde? – spytał Münster.

– Niewiele. A właściwie nic, mówiąc dokładnie. Na wieży nie znalazł niczego poza kilkoma odciskami palców obojga Hennanów. A zwłaszcza jej, co nieszczęśliwie podnosi nasze akcje. W środku domu podobnie... tu i ówdzie jakiś inny ślad, ale to jest normalne. Bo przecież mieli na przykład sprzątaczkę, Heinemann już z nią rozmawiał, przychodziła raz w tygodniu. Wtedy nigdy nie było nikogo w domu... ale w sumie sprzątała tylko trzy razy, bo wynajęli ją na początku maja.

– I nie znaleźli żadnych śladów świadczących o tym, że ktoś inny był tam tamtego wieczoru?

– Żadnych.

– Szkoda – stwierdził Reinhart, po czym wypuścił z ust obłok dymu. – Choć właściwie należało się tego spodziewać.

– Czasami rozsądnie jest trochę zmniejszyć swoje oczekiwania.

– Czy ktoś rozmawiał już z Denver? – spytał Münster.

Reinhart westchnął.

– Tak. Skontaktowałem się z podporucznikiem Hornimanem wczoraj wieczorem. Nawiasem mówiąc, właśnie wrócił z pogrzebu swojej matki, więc nie był zbyt rozmowny. W sprawie Hennana i Philomeny MacNaught ma teorię, pod którą mogę

się podpisać obiema rękami. Hennen zabił ją w czasie tej podróży po bezdrożach parku narodowego... udusił ją, zastrzelił albo odrąbał jej głowę siekierą, wszystko jedno jak... potem zakopał ją metr pod ziemią... albo jeden jard, cytując dokładnie źródło... i zgłosił, że zniknęła. Ten cholerny park ma powierzchnię mniej więcej Irlandii, więc próba znalezienia jej tam byłaby niezłą operacją.

Van Veeteren porzucił swój punkt obserwacji meteorologicznych przy oknie i zajął miejsce za biurkiem.

– Ale to wiemy już od dawna – powiedział.

– Co? – spytał Münster.

– Gdyby zabójcy umieli jak należy pozbywać się ciał, to aż tylu nie wpadałoby nam w ręce. Możemy być tylko wdzięczni, że ludzie nie przyswoili sobie tej prostej reguły. Czyli Horniman niewiele nam pomógł?

– Nic a nic – podsumował Reinhart. – Ale jest tak samo przekonany jak my, że to drań pierwszej wody.

– Drań? – bąknął pod nosem komisarz i mrugnął do Reinharta. – Już nie odróżniasz drania od mordercy?

– Można bez problemu być jednym i drugim – odpowiedział Reinhart. – A jak poszło Roothowi i Jungowi w polowaniu na pomagiera? To jest ten element, który może przynieść nam przełom.

– Na razie nic z tych rzeczy – poinformował Van Veeteren i znowu zapatrzył się w szarość za oknem. – Niestety. Mają ze dwadzieścia nazwisk. Kiedy ich wszystkich przepytają, wtedy ja porozmawiam z tymi, którzy wydają się interesujący. Zażądałem od Rootha co najmniej pięciu... nawet jeśli ani jeden z nich nie będzie naprawdę interesujący.

– Musimy znaleźć tego, który coś wie – powiedział Münster. – Nie pierwszy raz szukamy według takiego klucza.

– To prawda – przyznał Van Veeteren. – Tylko tutaj problem polega na tym, że ten, kto coś wie, jest jednocześnie zabójcą. Co może oznaczać, że będzie wolał trzymać buzię na kłódkę.

– Też nie pierwszy raz – zauważył Münster.

Reinhart pokiwał głową, patrząc bezradnie.

– A sprawa jest tak cholernie prosta, że można po prostu zwariować – burknął. – Ten cholernik wynajmuje goryla, który wykonuje za niego robotę, płaci mu okrągłą sumkę, a my nie mamy jak się do niego dobrać. Do żadnego z nich. Swoją drogą, czy kwalifikacja tego czynu nie ulega zmianie? Czy w takiej sytuacji możemy nadal mówić o morderstwie... jeśli on sam nie dokonał tego czynu własnoręcznie?

– Oczywiście – powiedział Van Veeteren. – To podżeganie do morderstwa, istnieje kilka wariantów do wyboru. A za to grozi co najmniej od ośmiu do dziesięciu lat. Tyle że zapominasz o paru szczegółach.

– Wiem – przyznał Reinhart.

– Po pierwsze – ciągnął dalej komisarz – musimy najpierw być w stanie udowodnić, że Barbara Hennan nie umarła w wyniku nieszczęśliwego wypadku, jak twierdzi G. Po drugie, musimy mieć dowody na to, że Hennan rzeczywiście wynajął mordercę. A mówiąc szczerze, w żadnym z tych punktów nie zaszliśmy szczególnie daleko.

– Wiem – powtórzył Reinhart. – Nie urodziłem się wczoraj. Cholera jasna... ale z drugiej strony zaczyna mi się nawet podobać, że nasz niezależny detektyw wygadał się po pijaku.

– A to niby dlaczego? – zdziwił się Reinhart?

– Dlatego że czulibyśmy się jeszcze gorzej, gdybyśmy na tym etapie dochodzenia musieli wypuścić Hennana na wolność. Teraz przynajmniej będzie miał proces.

– To prawda – zgodził się Van Veeteren. – Jestem gotów przyznać ci rację. Choć oczywiście istnieje ryzyko, że sędzia zdejmie sprawę z wokandy, jeśli uzna, że proces nic nie wniesie. Nawet jeśli prokurator będzie skłonny zacząć ten cyrk. Nie wiem, kto będzie sędzią w tej sprawie, ale nie brakuje takich, którzy przejmują się głosem opinii publicznej mniej więcej tak samo jak drapieżny niedźwiedź mrówką.

– Co za poezja – wtrącił Reinhart. – Masz na myśli Harta?

– Owszem – potwierdził Van Veeteren. – Przynajmniej mamy teraz parę tygodni, żeby grzebać dalej. Każda inicjatywa jest mile widziana... a wszyscy, którzy czują wewnętrzną potrzebę, żeby spotkać się oko w oko z G, mogą to oczywiście zrobić. Tylko uprzedźcie mnie o tym wcześniej.

– Nie wiem, czy mam na to ochotę – powiedział Reinhart.

– Ochota w tym przypadku nie ma nic do rzeczy – podsumował komisarz.

Konferencja prasowa przebiegła bez większych niespodzianek.

Decyzja o areszcie śledczym dla Hennana była oczywiście kąskiem, który dziennikarska brać natychmiast łyknęła z wdzięcznością, co dla Van Veeterena stanowiło tylko potwierdzenie, że mentalność zgodna z formułą „lepiej skazać niż uwolnić” jest wciąż charakterystyczna dla świata mediów w odniesieniu do początkowego stadium każdego dochodzenia. Najpierw chodziło o namierzenie morderstwa, spektakularnej zbrodni, i to już się stało. Potem zaczynał się wyścig, którego celem było wskazanie zabójcy; o tym będą mówić pierwsze strony i tytuły jutrzejszych porannych wydań. W trzecim akcie chętnie robiono woltę (o ile było to możliwe, a komisarz nie miał wątpliwości, że w tym przypadku istnieją ku temu spore podstawy) – i próbowano jakby wziąć stronę oskarżonego. Czy on rzeczywiście jest winny? Czy policja nie aresztowała niewłaściwej osoby? Czy zanosi się na skazanie niewinnego? Jak to właściwie jest z wiarygodnością wymiaru sprawiedliwości?

A gdy w końcu oskarżony zostanie skazany: czy da się napisać o nim interesujący materiał? Przedstawić jego dzieciństwo, młodość i wszelkie możliwe okoliczności łagodzące?

Obecna szopka będzie bez dwóch zdań odbywała się według identycznego scenariusza, a Van Veeteren w miarę upływu lat nauczył się akceptować te reguły gry. Gdyby był dziennikarzem, a nie pracował w policji kryminalnej, prawdopodobnie też postępowałby według nich – przynajmniej jeśli byłoby to konieczne – podobnie jak podporządkowywał się swoim zasadom, które tworzyły ramy dla działań policji kryminalnej. Od czasu do czasu, w jednej sprawie czy drugiej, korciło go, by się z nich wyłamać, lecz dotychczas – po niemal dwudziestu pięciu latach w branży – nie dopuścił się żadnych naruszeń. W każdym razie żadnych poważnych.

Po wymianie ciosów z ludźmi mediów, która trwała niecałe pół godziny, poszedł do swojego pokoju i popadł w zadumę nad całą tą sytuacją. I nad tym, czy przyjdzie kiedyś taki dzień, że rzeczywiście będzie mógł wziąć prawo w swoje ręce. Czy kiedykolwiek okoliczności to uzasadnią. I pod względem moralnym, i egzystencjalnym.

Również w prywatnej sferze swoich rozważań starał się nie tracić z oczu tego, co

najważniejsze. Starał się unikać włączenia G do gry – tak by pytanie brzmiało, co należy zrobić, a nie, co on miałby ochotę zrobić. Stosując słowa Reinharta.

Oczywiście nie było to takie proste, jak by mogło się wydawać. Gdy więc zdał sobie sprawę, że najchętniej zawinąłby Jaana G. Hennana w tamtą cuchnącą matę z sali gimnastycznej, która złamała delikatną duszę Adama Bronsteina, wyrwał się z zadumy.

Przypomniał sobie podjętą poprzedniego dnia decyzję, żeby przeprowadzić poważną rozmowę z Renate, i opuścił komendę.

Ich rozmowa też przebiegła bez większych niespodzianek.

Kiedy oboje stwierdzili zgodnie, że bardzo się od siebie oddalili, nagle znowu potrafili ze sobą rozmawiać. On jednak w skrytości ducha zaczął się zastanawiać, czy właśnie ów nieco nostalgiczny wzajemny szacunek nie jest najjaskrawszą oznaką tego, że losy ich małżeństwa są raz na zawsze przypieczętowane. Skoro nie potrafią dać wyrazu swoim emocjom w solidnej kłótni, czy istnieje jeszcze jakakolwiek podstawa, na której dałoby się coś zbudować. Niezależnie od tego, czego pragnął przez połowę swojego życia, na pewno nie zależało mu na tym letnim, przygębającym dystansie, jaki istniał teraz między nimi.

Być może Renate uważała podobnie, ale oboje nigdy nie mówili o tym aspekcie ich rzekomego wspólnego życia. Doszli za to do swego rodzaju porozumienia, zgodnie z którym – jeśli on interpretował je właściwie – spróbują jeszcze przez pół roku i potem zobaczą, jak sprawy się będą miały.

Postanowili także wziąć wspólną i większą odpowiedzialność za Ericha, który niewątpliwie potrzebował maksymalnie dużego rodzicielskiego wsparcia. Byli co do tego tak wzruszająco ze sobą zgodni, że gdyby ich stojący na skraju przepaści syn był w domu w ten deszczowy poniedziałkowy wieczór, z pewnością natychmiast doszłoby do poważnej rozmowy w trzy pary oczu.

Lecz oczywiście go nie było. A kiedy około wpół do dwunastej Van Veeteren usłyszał, jak Erich ostrożnie otwiera drzwi, a potem przemyka cicho do swojego pokoju, Renate już spała, więc on też dał sobie spokój.

Tak cholernie mało wiem o jego życiu, przemknęło mu przez głowę.

O czym on myśli? Jakie ma plany, marzenia i fantazje?

Dlaczego nie wiem więcej o własnym synu?

Po czym z gorzkim poczuciem, że coś zaniedbał, zasnął.

Zaczęło się prawdziwe lato.

Niezależnie od tego, czy wynikało to z motywacji prywatnych, czy czysto zawodowych – nie do końca potrafił to rozstrzygnąć – w ciągu kolejnych trzech tygodni nie przeprowadził już żadnego przesłuchania G.

Reinhart i Münster kilka razy zabawili się w złego i dobrego policjanta, przy czym Reinhart wcielał się w rolę tego nieżyczliwego, Münster natomiast grał bardziej ludzkiego. Ta gra była stara jak świat i dziecinnie łatwa do przejrzania, mimo to nierzadko dawała dobre efekty. Przynajmniej do pewnego stopnia. Kiedy po agresji i wrogości człowiek spotyka się z przychylnością i zrozumieniem, trudno mu nie zmięknąć i nie ulżyć własnemu sercu. Niezależnie od tego, czy jest świadomy, czy nie, że to jest tylko teatr.

W tym przypadku jednak ta reguła się nie sprawdzała. Po kilku całkiem długich i daremnych posiedzeniach Reinhart i Münster doszli zgodnie do wniosku, że Jaan G. Hennan uważa ich wizyty za przyjemną – niemal rozrywkową – odmianę w monotonnym czekaniu na proces, w związku z czym postanowili zaprzestać swojej aktywności. Jeśli nie dawało się nic uzyskać przez przesłuchiwanie, może samotność i odosobnienie trochę go skruszą.

Komisarz tymczasem skupił się na spotkaniach z ludźmi wytypowanymi przez Rootha i Junga do ponownej rozmowy. Zażądał przecież od nich nazwisk co najmniej pięciu osób, które mogłyby ewentualnie dysponować jakimiś informacjami o poczynaniach Hennana po jego powrocie ze Stanów, i obaj posłusznie wykonali polecenie. Przedłożyli mu listę składającą się z pięciu nazwisk. Nie z sześciu czy siedmiu; doszedł do wniosku, że gdyby zażądał co najmniej trzech nazwisk, dostałby właśnie tyle i ani jednego więcej.

Kosztowało go to kilka dni roboczych, a po zakończeniu rozmów stwierdził, że szkoda było na to czasu i atłasu, zgodnie zresztą z przewidywaniami inspektora Rootha. Ani jeden z piątki – podobnie jak z pozostałych dwudziestu dwóch przepytanych – nie miał ostatnio żadnego kontaktu z Hennanem. W każdym razie

żaden z nich się do tego nie przyznał. Gdy więc na dzień przed rozpoczęciem procesu w sądzie w Linden komisarz próbował podsumować rezultaty miesięcznych wysiłków mających na celu wyjaśnienie okoliczności śmierci Barbary Hennan, doszedł tylko do harmonijnej i nieprzyjemnie okrągłej cyfry zero.

Nie mieli nic. Nie wiedzieli więcej niż na początku czerwca. Żaden domysł nie rozwinął się w niezachwianą wiedzę; nic nie wyłoniło się z niespodziewanego kąta – jak to czasami się zdarzało jako swego rodzaju nagroda za ciężką harówkę na ślepo.

Mówiąc krótko, sprawy nie potoczyły się utartym torem, i prawdopodobnie właśnie ta gorzka prawda kołatała się mu gdzieś z tyłu głowy, kiedy postanowił podjąć ostatnią próbę z odtwórcą głównej roli. Gdy we wczesny poniedziałkowy rano po raz kolejny zajął miejsce naprzeciwko niego w zimnej sali przesłuchań, miał poczucie, jakby zasiadał do beznadziejnie nudnej partii szachów, w której zostało już tak mało figur, a sytuacja była tak klarowna, że przed nieuchronnym remisem pozostało jedynie wykonać do niczego nieprowadzący ruch.

I prawdopodobnie właśnie z tego powodu zdecydował się trochę zmienić rutynowe postępowanie.

– Adwokata?

Hennan pokręcił głową.

– Nie trzeba. Po co ta komedia?

– W porządku. Wobec tego proponuję rozmowę *off the record*.

– *Off the record* – powtórzył Hennan. – A to dlaczego?

– Bo to może być interesujące – powiedział Van Veeteren. – Bez taśmy i bez świadków.

– Nie rozumiem, co by to mogło dać.

– Nieważne. Usiądziemy w innym miejscu.

– No dobra. Ale tylko dla urozmaicenia. Bo o ile wiem, tutaj to nawet w kiblach jest podsłuch.

– Masz moje słowo – powiedział Van Veeteren.

– Twoje słowo? – Hennan roześmiał się krótko i wstał z krzesła. – Okej! No to *off the record*, jeśli twoim zdaniem stanowi to jakąkolwiek różnicę.

Komisarz wybrał jedną z tak zwanych salek konferencyjnych na pierwszym

piętrze. Spytał, czy Hennan nie napiłby się piwa, po czym zadzwonił do kantyny i poprosił o przyniesienie na górę dwóch butelek.

– A może zaczniemy od wykrywacza kłamstw – zaproponował Hennan, przełknąwszy pierwszy łyk. – To też mogłoby być interesujące.

– Nie widzę powodu – odrzekł Van Veeteren. – Przecież wiem, że kłamiesz.

– Zdążyłem zauważyć, że sobie to wmówiłeś. Ale za tydzień będę wolnym człowiekiem.

– Coś mi się zdaje, że masz kłopoty z poczuciem czasu – odparował komisarz. – Według mojej oceny będziesz musiał poczekać co najmniej piętnaście lat. A nie tydzień.

Hennan uśmiechnął się.

– Zobaczymy – powiedział. – Moja adwokatka mówi, że rzadko albo wręcz nigdy nie widziała prokuratura z tak gołym tyłkiem.

– Tak mówi? – odrzekł Van Veeteren. – No dobrze. Proponuję, żebyśmy sobie dali spokój z tymi frazesami i porozmawiali poważnie.

– Poważnie? – powtórzył Hennan. – *Off the record?*

Komisarz skinął głową i zapalił papierosa.

– No właśnie. Myślę, że tego potrzebujesz, a dam ci słowo, że to, co tutaj powiesz, nie zostanie wykorzystane. Już ci mówiłem.

Hennan przyjrzał mu się przez chwilę jakby z wyrazem zainteresowania w twarzy.

– Dlaczego twoim zdaniem miałbym tego potrzebować? – spytał.

– Zwyczajna psychologia – wyjaśnił Van Veeteren, podwijając sobie rękawy koszuli.

– Psychologia? – rzekł Hennan. – To mi raczej wygląda na desperację...

– Bzdura. Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Ty patrzysz na to jak na swego rodzaju pojedynek... między sobą a nami. Jesteś opętany myślą o zwycięstwie. Ale jakbyś rzeczywiście był niewinny, nie byłoby w ogóle o czym mówić, gdybyś faktycznie został uniewinniony. Tak czy nie?

Hennan nie odpowiedział. Pociągnął łyk piwa.

– Milion dwieście tysięcy guldenów oczywiście na wiele wystarczy, jednak twój triumf leżałby w tym, że udałoby ci się wywinąć, mimo że w istocie jesteś winny. Więc to byłby już jeden punkt, dosyć ważny punkt, jeśliby jeden z nas... na przykład

ja... wiedział, jak jest naprawdę. Nadażasz? Tu chodzi o estetykę. To trochę kwestia estetyki.

Hennan oparł się wygodnie i wykrzywił usta.

– Jasne, że nadażam – powiedział. – Ale jeśli jest tak, jak mówisz, wynika z tego, że ty już teraz jesteś przekonany, że to ja stoję za śmiercią mojej żony. To nie wystarczy? Jeżeli ja zadowolę się pieniędzmi, ty możesz zadowolić się tym, że wiesz?

– Nie do końca – odparł Van Veeteren. – Jestem bardzo skrupulatną osobą, a w tej sprawie jest sporo znaków zapytania. Brakuje mi obrazu całości.

– Ach tak? – rzucił Hennan. – Pan komisarz chce znać szczegóły. Jak tego dokonałem? Jak mogłem siedzieć w knajpie i jednocześnie odebrać jej życie? Myślałeś kiedyś o hipnozie?

Komisarz skinął głową.

– Oczywiście. Ale twoje oddziaływanie hipnotyczne może być raczej równe oddziaływaniu osła.

– Dzięki – rzekł Hennan. – Masz rację, przyznaję, że to nie odbyło się w ten sposób.

– No dobrze. To przynajmniej w czymś się zgadzamy. Więc jak to się odbyło?

– Chcesz, żebym to zdradził?

– Tak.

Hennan odwrócił głowę i na chwilę wpatrzył się w ścianę, komisarz zaś przez sekundę – albo raczej przez ułamek sekundy – miał wrażenie, że G zaraz się przyzna.

Powie, jak naprawdę odebrał życie swojej żonie, Barbarze Clarissie Hennan, z domu Delgado – przedstawi sposób tak genialny i wyrafinowany, że żaden komisarz policji kryminalnej na świecie nie byłby w stanie sobie tego wyobrazić.

Ale potem ten ułamek sekundy zamknął się niczym muszla i już nie dało się stwierdzić, czy to było tylko złudzenie, czy też nie. Hennan wyprostował plecy i głęboko westchnął. Następnie przeniósł spojrzenie z powrotem na komisarza i popatrzył na niego z lekką drwiną.

– Zdaje się, że jest piękna pogoda.

– Mogłoby być gorzej.

– Dzięki za piwo. Może w przyszłym tygodniu będę się mógł zrewanżować. Znam

przyjemne miejsce w Linden.

Tak, nienawidzę tego drania, pomyślał komisarz. Naprawdę go nienawidzę.

W nocy śniło mu się, że kocha się z Christą Koogel.

Byli małżeństwem, mieli czwórkę dzieci i mieszkali w dużym domu gdzieś nad morzem. Chyba w Behrensee, o ile mógł rozpoznać, na południe od pirsu. Skąd taki sen, nie miał pojęcia, ale tak czy owak był faktem. Nie był to jakiś gorący, nagły i pełen namiętności poryw, tylko spokojne, zwyczajne kochanie się z kobietą, która towarzyszyła mu w życiu przez długie lata, a kiedy się obudził, zdał sobie sprawę, że odbył podróż jedną z potencjalnych życiowych dróg. Ku celowi, który nigdy się nie ziścił, w kierunku, który być może obrałoby jego życie, gdyby nie zdarzyło się nic innego.

Gdyby nie dokonał innego wyboru. Albo w ogóle z niego zrezygnował.

Spojrzał na zegar. Było dopiero wpół do szóstej. Zauważył, że jest złany potem. Nie wiedział, czy od tego iluzorycznego aktu miłosnego, czy to po prostu zimny pot porannego lęku. Sen tkwił w nim niczym nóż smutku.

Wiedział, że już nie zaśnie, więc wstał po cichu – aby nie obudzić swojej rzeczywistej towarzyszki życia – i poszedł pod prysznic. Stał długo w kabinie, mając nadzieję, że gorąca woda spłucze także część wewnętrznego osadu, wątpił jednak, by było to możliwe. Kiedy usiadł przy stole z „Allgemejne” i zaczął jeść śniadanie, zegar pokazywał za dwadzieścia siódmą. Proces w Linden miał się zacząć o dziesiątej. Czekał go długi dzień.

Jeden z wielu.

W sali rozpraw sądu w Linden starczało miejsc – poza prawdziwymi aktorami procesu – także dla pięćdziesięciu widzów, włącznie z przedstawicielami fachu dziennikarskiego, a gdy zamknięto drzwi, aby mogły zacząć się wstępne przesłuchania, liczba zainteresowanych, którzy nie dostali się do środka, była mniej więcej trzy razy większa od liczby tych, którzy znajdowali się w sali.

W związku z rozgłosem, jaki wzbudziła sprawa Amerykanki, zastanawiano się, czy nie przenieść procesu do Maardam, sędzia Hart jednak stanowczo odrzucił ten pomysł. W końcu to nie jest jakiś tam mecz piłki nożnej, dał do zrozumienia, a wymiar sprawiedliwości nie może być zależny od tak trywialnych czynników jak liczba publiczności czy obecność mediów. W żadnym razie.

Komisarz porównywał Harta do leniwej żaby o intelekcie i wykształceniu pół tuzina laureatów nagrody Nobla, a gdy Münster obserwował jego potężną postać wysoko na podium, uznał, że to trafna charakterystyka. Sędzia sprawiał wrażenie, jakby tego ranka wstał z najwyższą niechęcią i jeśli nawet nie spał w swojej todze, z pewnością nie była prasowana od co najmniej pół roku. Zaczął od tego, że najpierw głośno i znacząco chrząknął oraz trzy razy zmienił okulary. Następnie uderzył drewnianym młotkiem w tom kodeksu, wzniesając kurz, ogłosił rozprawę za rozpoczętą i oddał głos prokuratorowi.

Prokurator Silberstein podniósł się z miejsca i zaczął mówić. Jego przemowa trwała czterdzieści pięć minut, a jądro długiego wywodu sprowadzało się do tego, że Jaan G. Hennan z premedytacją i wyrachowaniem zamordował albo zlecił zamordowanie swojej żony Barbary Clarissy Hennan, z domu Delgado, poprzez zepchnięcie jej w czwartek piątego czerwca do pozbawionego wody basenu należącego do wynajmowanej przez małżonków Willi Zefir, przy Kammerweg 4 w Linden. Zamierzano udowodnić, że Hennan jest winien tego okrutnego czynu, mimo że – co deklarowano otwarcie i bez owijania w bawełnę już na wstępnym etapie postępowania – argumentacja nie będzie oparta przede wszystkim na tak zwanych technicznych środkach dowodowych, ponieważ tego rodzaju środki – w dosłownym

znaczeniu – w sprawie takiej jak ta nie mogły być znalezione. Po prostu.

Prokurator zamierzał oprzeć postępowanie dowodowe na poszlakach, ale na ważkich poszlakach, które przemawiają jednoznacznym językiem i których waga i znaczenie rozwieją wątpliwości każdego – a zwłaszcza każdego z pięciu szacownych sędziów przysięgłych – co do kwestii, kto wspomniany mord uknuł, zaplanował i wykonał. Ponadto zamierzano odsłonić – z więcej niż pożądaną wyrazistością – oczywisty motyw przestępczego czynu i zestawić go w porażający sposób z tym, co nie tak dawno przytrafiło się poprzedniej żonie oskarżonego w Stanach Zjednoczonych. Po raz drugi w ciągu ostatnich czterech lat żona oskarżonego zmarła w tajemniczych okolicznościach (w tym miejscu paru pedantów językowych wśród publiczności zareagowało ostrożnym chichotem) i również po raz drugi Jaan G. Hennen zamierzał zainkasować wysoką – niezwykle wysoką! – sumę z ubezpieczenia. Milion dwieście tysięcy guldenów!

Oskarżyciel nie miał najmniejszych wątpliwości, że wszyscy obecni w sali po zaprezentowaniu i ujawnieniu całego materiału będą do głębi przekonani, że Jaan G. Hennen jest winny śmierci nie jednej żony, ale dwóch. A obowiązkiem wszystkich zaangażowanych w sprawę jest doprowadzenie do tego, aby oskarżony otrzymał długoletnią i sprawiedliwą karę więzienia.

Przez dłuższą część tej wstępnej tyrady oskarżyciela Münster nie odrywał wzroku od sędziów przysięgłych – trzech kobiet i dwóch mężczyzn (taki podział mógł okazać się, choć raczej marginalnie, jak uważał komisarz, niekorzystny dla Hennana, jako że kobiety, mając na uwadze swoją płć, tradycyjnie są mniej skłonne niż mężczyźni darować mordercy własnej żony) – i próbował odczytać z ich powściągliwej mimiki oraz dyskretnych reakcji, jakie mają nastawienie na starcie.

Oczywiście wyrobienie sobie jednoznacznego obrazu było niemożliwe. Kiedy Silwerstein zakończył swoje bogate w słowa wprowadzenie, jeden z dwóch mężczyzn z ławy przysięgłych – posiwiaty facet około sześćdziesiątki, który nieco przypominał Münsterowi aktora Jeana Gabina – wyciągnął chustkę do nosa w kratkę i wyczyścił sobie nos z przytłumionym, ale mimo wszystko dosyć donośnym trąbieniem. Jeśliby chcieć jakoś zinterpretować ten znak, pomyślał Münster, trudno by go uznać za dobry omen.

Co się zaś tyczy głównej postaci, Jaana G. Hennana, podczas niemal całej przemowy oskarżyciela siedział z opuszczoną głową i dłońmi grzecznie złożonymi przed sobą na stole. Był ubrany w stonowany szary garnitur z czarną żałobną tasiemką w klapie marynarki. Do tego biała koszula i czarny krawat. Od razu dało się zauważyć, że dołożył starań, aby wyglądać na przybitego śmiercią żony.

Po oskarżycielu przyszła kolej na obronę.

Adwokatem Hennana była kobieta, co z kolei być może nieco wzmacniało jego pozycję. Skoro kobieta jest gotowa bronić rzekomego zabójcę własnej żony, u wszystkich normalnie myślących kobiet (jak komisarz stwierdził z ciężkim westchnieniem) odzywał się cichy biologiczny głos, szepczący, że może jednak wcale nie mają do czynienia z mordercą.

Mecenas Van Molde nie szczędziła w swojej mowie prochu. W ciągu półgodziny skupiła się na próbie wykazania, że tak zwany akt oskarżenia jest nędznie skleconym domkiem z kart, który nie ma żadnych podstaw. Opisała swojego klienta, oskarżonego Jaana G. Hennana, jako prawego i uczciwego mężczyznę, który poniósł nieopisaną stratę – i to po raz drugi! – i który zamiast siedzieć na ławie oskarżonych i być zmuszonym bronić własnego honoru, powinien w imię ludzkiej przyzwoitości natychmiast wyjść na wolność, aby mógł oddać się żałobie. Mężczyzna ten został w dramatyczny sposób osamotniony i należy uznać za niesłychany skandal fakt, iż – mimo braku choćby śladu dowodu! – postawiono go przed sądem. W tych okolicznościach istnieje jedyna możliwość, aby przywrócić zaufanie do wymiaru sprawiedliwości i niezawisłego sądu. Należy w trybie natychmiastowym umorzyć postępowanie i wypuścić oskarżonego.

Münster również po tej przemowie nie zdołał zauważyć żadnych jednoznacznych reakcji u sędziów przysięgłych, a sędzia Hart nie zamknął procesu. Kolejny raz zmienił okulary, ziewnął i oznajmił, że pora zjeść lunch. W związku z tym ogłosił przerwę do godziny drugiej.

W czasie popołudniowego posiedzenia komisarze Sachs i Van Veeteren spędzili mniej więcej po pół godziny za pulpitem dla świadków. Sachs szczegółowo zrelacjonował czynności wykonane przez niego i aspiranta Wagnera w nocy, gdy znaleziono zwłoki Barbary Hennan, Van Veeteren zaś przedstawił pozostałe

okoliczności sprawy. Powiedział o wątpliwej roli prywatnego detektywa Verlangena, o przeszłości Hennana, o historii Philomeny McNaught, a także o wątku ubezpieczenia. Münster widział, że komisarz nie czuł się zbyt dobrze ani gdy prokurator zadawał mu naiwnie brzmiące pytania, ani gdy obrońcy, używając aroganckiego tonu, usiłowała przedstawić sposób działania policji w tej sprawie jako dyletantyzm w czystej postaci.

– Dlaczego, na litość boską, nie umorzył pan postępowania, kiedy nie udało się wam znaleźć choćby najmniejszego dowodu technicznego? – spytała w którymś momencie.

– Dlatego, że my, w policji kryminalnej, uważamy za nasz obowiązek karanie morderców – odpowiedział Van Veeteren. – W odróżnieniu od pani, pani Van Molde. Pani chce wypuszczać ich na wolność.

Potem przyszła kolej na Meussego. Jemu znalezienie się na miejscu świadka podobało się – jeśli to w ogóle możliwe – chyba jeszcze mniej niż komisarzowi, choć z drugiej strony Münster nie przypominał sobie, aby ten introwertyczny lekarz sądowy był kiedykolwiek z czegoś zadowolony. W żadnych okolicznościach. Tak czy owak, jednoznacznie przedstawił ten niejednoznaczny przypadek z własnej perspektywy. Nie istniało nic, co by potwierdzało, że Barbara Hennan została zepchnięta z wieży do skoków, ale nie istniały też dowody wskazujące na to, że została pozbawiona życia wcześniej. Z drugiej strony nie znaleziono niczego, co przeczyłoby zarówno pierwszej, jak i drugiej hipotezie. Obrażenia głowy, szyi, karku i kręgosłupa są rozległe, wyjaśnił Meusse, a lekkie pchnięcie w plecy rzadko pozostawia jakieś ślady. Mogło tak być również i w tym przypadku.

Prokurator i obrońcy nie mieli szczególnie wielu pytań do lekarza medycyny sądowej, ponieważ oboje otrzymali od niego niejako *carte blanche* dla swoich tez, toteż Meusse mógł opuścić stanowisko świadka już po niecałych piętnastu minutach. Mimo że dochodziło dopiero wpół do czwartej, sędzia Hart uznał posiedzenie za zakończone. Życzył wszystkim miłego wieczoru, upomniał sędziów przysięgłych, aby nie rozmawiali o sprawie między sobą ani z osobami postronnymi, i wyraził nadzieję, że wszyscy zainteresowani stawią się nazajutrz o godzinie dziesiątej w tym samym miejscu.

– Można by chyba spodziewać się czegoś więcej po prokuratorze – powiedział Münster w drodze powrotnej do Maardam.

– Silberstein to osioł – stwierdził Reinhart, siedzący na tylnym siedzeniu.

– Możliwe – przyznał komisarz. – Ale to nie nasza sprawa. W każdym razie te dzisiejsze pyskówki jeszcze o niczym nie decydują.

– Oby – odezwał się znowu Reinhart. – Myślisz, że wszystko jest w ręku Hennana? Moim zdaniem temu draniowi nawet udało się dzisiaj wyglądać na załamane. Jakby siedział na pogrzebie... albo przynajmniej w poczekalni u dentysty...

Van Veeteren westchnął.

– A czego innego się spodziewałeś? Gdyby nie był kuty na cztery nogi, już dawno tkwiłby za kratkami.

Reinhart zastanowił się przez chwilę.

– Czego się spodziewałem? – powtórzył za komisarzem. – Zaraz ci powiem. Spodziewałem się, że znajdziemy tego cholernego pomagiera... tego, który rzeczywiście odebrał życie Barbarze Hennan. W końcu już od miesiąca wężymy w tej sprawie. Co wy na to?

Ani komisarz, ani Münster nie mieli nic do powiedzenia.

– Mamy jeszcze Kooperdijka i Verlangena – przypomniał Münster po chwili.

– Jasne – bąknął komisarz. – Świadców oskarżenia. Miejmy tylko nadzieję, że w ostateczności oni dwaj nie wystąpią jako świadkowie oskarżonego.

– Obrona nie wezwała żadnego świadka? – spytał Münster.

– Nie – odpowiedział Van Veeteren. – Ani jednego. Oby Silberstein potrafił przynajmniej to wykorzystać. Skoro nie udało się znaleźć nikogo, kto by wystąpił na korzyść Hennana, to już mówi samo za siebie.

– Przecież nie trzeba koniecznie mieć własnego świadka, nie istnieje taki obowiązek. Jeśli więc oskarżony nie ma nikogo, kto by świadczył na jego rzecz, głupotą byłoby ściągać byle kogo.

– Właśnie o tym mówię – odparł Van Veeteren. – A niech to szlag! Jedź do Adenaar's! Chyba macie czas na piwko?

Münster spojrzał na zegarek.

– Okej, na jedno małe – zgodził się. – Na szczęście skończyło się w miarę wcześnie. Przynajmniej tyle.

– Jeśli wielkie rzeczy się walą, trzeba się cieszyć z drobiazgów – dodał Reinhart.
– Pół godzinki w Adennar's dobrze nam zrobi. Lepiej pogadać o byle czym, niż wciąż przeżuwać to gówno.

Dom leżał w Westerkade, niemal całkiem za kanałem Loom, i kiedy Verlangen go zobaczył, nie mógł zrozumieć, dlaczego miejscowe władze nie kazały go już dawno zburzyć.

Nie pojmował także, jak to możliwe, by w czymś takim mogli mieszkać ludzie. Okopcony i byle jak wykończony ceglany budynek był trzypiętrowy, ale nie miał więcej niż dwanaście do piętnastu metrów szerokości, a po jego jednej stronie znajdowało się złomowisko, po drugiej zaś coś w rodzaju magazynu z zardzewiałej falistej blachy. Kiedy wszedł przez zniszczoną drewnianą bramę, poczuł mimo wszystko lekką satysfakcję, że są jednak ludzie, którzy żyją w gorszych warunkach niż on.

W sieni było ciemno jak w grobie, musiał więc zapalić zapałkę, żeby znaleźć drzwi prowadzące na klatkę schodową. Na żadnych drzwiach, które mijał, nie zauważył tabliczek z nazwiskami lokatorów, ale Kuternoga powiedział mu, że to na samej górze, więc uznał, że po prostu musi iść dalej. Nie potrafił uwierzyć, że w tych norach mieszkają ludzie, wołał jednak nie wywoływać wilka z lasu. Przez wybite szyby na klatce schodowej wpadało brudne światło zmroku, a nad tym wszystkim unosił się odór uryny i rozkładu. Tu i ówdzie od ścian i sufitu poodpadał tynk, a coś, co musiało być chyba dużym szczurem, śmignęło do dziury w ścianie.

Na ostatnim piętrze znajdowało się troje drzwi, ale tylko jedno z nich nie były zabite solidnymi deskami. Po dłuższej chwili wahania zmobilizował się i walnął pięścią właśnie w te trzecie.

Nikt się nie ruszył, więc zastukał jeszcze raz.

Znowu minęło trochę czasu i wreszcie gdzieś z głębi dało się słyszeć szuranie. Jakby ktoś ciągnął pianino albo trumnę po podłodze. Ten sam ktoś kaszlnął i jakby wypłuł flegmę, a potem szcęknięła łańcuch i drzwi uchyliły się na dziesięć centymetrów.

– Kekkonen? – spytał Verlangen.

Kekkonen wcale nie nazywał się Kekkonen, ale tak bardzo przypominał dawnego

prezydenta jednego z północnych krajów europejskich, że nikt nie zwracał się do niego inaczej.

– Verlangen?

– Tak.

Gospodarz odpiął łańcuch i otworzył drzwi. Kot w szare cętki czmychnął na zewnątrz, a on wśliznął się do środka. Kekkonen zamknął za nim drzwi. Verlangen rozejrzał się dookoła. Mieszkanie składało się z jednego pomieszczenia, w którym było jedno okno, burcząca lodówka i materac na podłodze. Możliwe, że też toaleta, przynajmniej wskazywał na to zapach.

– A niech to, witaj – powiedział Kekkonen. – Czego chcesz?

– Mieszkasz tutaj? – spytał Verlangen.

– Przypadkowo tak – odparł Kekkonen. – Masz papierosa?

Verlangen podał mu jednego i przyglądał się, jak mężczyzna zapala go drżącymi dłońmi. Strasznie się postarzał od czasu, kiedy ostatnio się widzieli. Wyglądał jak mały zapadnięty w sobie staruszek, mimo że nie miał więcej niż czterdzieści pięć lat, a całkowicie łysa głowa, która kiedyś przynajmniej błyszczała, teraz przypominała raczej trupa czaszkę. Zastanowił się, od jakich narkotyków Kekkonen mógł być uzależniony i ile lat życia mu zostało. Albo miesięcy.

– Czego chcesz? – powtórzył i opadł na materac między koce, pomięte gazety i coś, co kiedyś musiało być śpiworem. Verlangen wolał mimo wszystko stać.

– Myślałem, że Kuternoga ci wyjaśnił. Hennan. Jaan G. Hennan.

– Nie znam nikogo takiego – powiedział Kekkonen.

– Nie pieprz. Mówiłeś Duijkertowi i Kuternodze, że go spotkałeś. Szukam cię od tygodnia.

– Nie znam żadnego Hennana – upierał się Kekkonen.

Verlangen wyciągnął z kieszeni pięćdziesięcioguldenowy banknot i podetknął go mężczyźnie pod sam nos.

– Pomogłeś nam capnąć go ostatnim razem i w podziękowaniu za pomoc cię wypuściliśmy. Zapomniałeś?

Widział, że pamięć Kekkonena nie sięga w przeszłość nie wiadomo jak daleko, ale pięćdziesiąt guldenów to zawsze pięćdziesiąt guldenów.

Kekkonen wyprostował się na materacu, oparł się o ścianę i zaciągnął parę razy papierosem.

– Sto – rzucił.

– Pięćdziesiąt – powiedział Verlangen. – To śmierdząca sprawa. Spotkałeś się z Hennanem z jakiegoś konkretnego powodu. Z jakiego?

Kekkonen chwycił banknot i wetknął go pod materac.

– Nie spotkałem się – wymamrotał. – Widziałem go.

– No dobra, widziałeś go. No to mów, przecież nie będę tu stał nad tobą i cię przesłuchiwał.

– Nie jestem pewny.

– Nie jesteś pewny?

– Tak. Czy to był on.

– Czy to był Hennan?

– Tak... było trochę niewyraźnie. To mógł być też ktoś inny.

– Nie mówiłeś nic o tym Kuternodze.

– Mam w dupie Kuternogę.

– Domyślam się. No, ale wyduś wreszcie z siebie, o co wtedy chodziło.

– Nie jesteś już gliniarzem?

– Przecież wiesz, że nie.

– Gratulacje – powiedział Kekkonen z drwiącym uśmiechem. – Ekstra, kiedy ludzie pną się w górę. Masz jeszcze fajkę?

– Przecież, do cholery, jeszcze tej nie wypaliłeś – rzucił z irytacją Verlangen, wskazując na prawą dłoń mężczyzny.

– Faktycznie – rzekł ze zdziwieniem Kekkonen i znowu zaciągnął się głęboko. Następnie wrzucił niedopałek do pustej butelki i dostał nowego papierosa.

Do ciężkiej cholery, pomyślał Verlangen. Długo nie wytrzymam w tym smrodzie.

– No, wyduś wreszcie z siebie – upomniał go. – Widziałeś Jaana G. Hennana? Jak mi wszystko szybko powiesz, to dam ci spokój.

Kekkonen znowu zaczął kaszleć. Potem przez kilka sekund siedział całkiem nieruchomo z na wpół otwartymi ustami i pustym wzrokiem. Verlangen domyślił się, że to jest pewnie metoda mobilizacji sił mentalnych.

– Tak, widziałem go – powiedział wreszcie. – Jeżeli to był on.

– No i?

– W parku, w tym pieprzonym parku... jak to on się nazywa... park Wollera czy jakoś tak?

– Wollerima?

– Tak, Wollerima. Jakiś czas temu spałem tam przez kilka nocy... Jak jest ładna pogoda, to czasami sobie w nim drzemię.

– Wyobrazam sobie – powiedział Verlangen. – Widziałeś w parku Hennana z kimś innym, tak?

– Zgadza się – potwierdził Kekkonen. – Spotkał się tam z tym typem, który przez kilka dni był w mieście.

– Z kim? – dopytał Verlangen.

Kekkonen wzruszył ramionami.

– Kiedy?

– Cholera wie. Jakiś miesiąc temu czy jakoś tak. Wielki gość z końskim ogonem... taki killer... pewnie lepiej takiemu nie wchodzić w drogę... chyba Anglik... albo Irlandczyk czy ktoś taki...

– Nazwisko – rzucił Verlangen.

– Nie mam pojęcia – powiedział Kekkonen. – Chyba mówili do niego Liston czy jakoś tak...

– Liston?

– Tak, jest bokserem... albo był...

– Rozumiem. Kolorowy?

– Boże broń! – zaprotestował Kekkonen. – Ale był naprawdę silny jak tur.

– Okej. No i co oni robili, ten Liston i Hennan, wtedy w parku?

Kekkonen zmarszczył brwi i ponownie się skoncentrował.

– Siedzieli na ławce – rzekł. – Siedzieli i gadali... dosyć długo... Leżałem w krzakach prawie zaraz za nimi. Pamiętam, że musieli nawijać sporo czasu, bo zachciało mi się siku, ale bałem się... To było rano. Piękny ranek, szczebiotanie ptaków i takie tam, i to jest piękne, kiedy człowiek tak...

– Słyszałeś, o czym rozmawiali?

Kekkonen pokręcił głową.

– Ni cholery – powiedział. – Po prostu tam leżałem i czekałem. Niewiele brakowało, a narobiłbym w spodnie, ale jakoś wytrzymałem. Pod koniec on dostał taką pioruńsko dużą kopertę.

– Kto dostał kopertę?

– No Liston rzecz jasna, ten zwalisty gość... on dostał kopertę od tego, który być może był Hennanem, a potem sobie poszli.

– I co było później?

– Później mogłem wreszcie iść się odlać.

Verlangen zamyślił się.

– To wszystko? – spytał po chwili.

Kekkonen prychnął.

– No tak, a niby co jeszcze? Mówiłem przecież, że to nic takiego... teraz przynajmniej dowiedziałeś się wszystkiego. Na pewno nie jesteś już gliną?

– Nie jestem gliną – potwierdził Verlangen. – A tego Listona widziałeś jeszcze potem w mieście?

Kekkonen zastanowił się.

– Nie – oznajmił. – Chyba nie. Wcześniej widziałem go też tylko jeden raz... chyba w Kooper's.

– Nie z Hennanem?

– Nie, nie z Hennanem. Ale ty jesteś ciekawski.

– No dobra. Nie będę ci dłużej przeszkadzał. Pewnie masz dużo spraw na głowie, no nie?

– Gówno ci do tego – odpowiedział Kekkonen. – Według mnie to było więcej warte niż tylko marną pięćdziesiątkę.

– Pocałuj mnie w dupę – rzucił Verlangen i trzasnął drzwiami.

No i co? – pomyślał, gdy szedł w mżawce przez Westerkade. I co, u diabła, mam z tym teraz zrobić?

Spojrzał na zegarek. Było wpół do ósmej. Za niecałe dwadzieścia cztery godziny ma zeznawać jako świadek w sądzie w Linden.

Liston?

Jeśli tylko Kekkonen nie wymyślił tego wszystkiego w swoim przeżartym narkotykami mózgu, znaczyło to, że na początku czerwca w mieście przebywał ktoś o imieniu Liston. Albo przynajmniej tak nazywany.

I pewnego ranka dostał kopertę od Jaana G. Hennana w parku Wollerima. Od mężczyzny, którym mógł być Hennan.

I to wszystko.

Idąc wzdłuż kanału, usiłował wyobrazić sobie Kekkonena w sądzie za pulpitem dla świadków. Nie byłby to miły widok – o ile w ogóle dałoby się go tam zaciągnąć. Prawdopodobnie nie, uznał. Kekkonen potrafił dosłownie rozpuścić się w powietrzu, jeśli mu tylko na tym zależało. To chyba jedyny talent, jaki zdołał jeszcze zachować.

A gdyby nawet udało się w jakiś sposób do tego doprowadzić, to co on by powiedział? Na ile Verlangen go zna, przypuszczalnie nie puściłby pary z ust albo twierdziłby, że nic nie pamięta. Tak było dwanaście lat temu i dzisiaj pewnie nic by się nie zmieniło.

Albo powiedziałałby, że dostał od Verlangena pięćdziesiątkę, która miała mu otworzyć usta, no i na oczekaniu wymyślił taką historyjkę.

Psiakrew, zaklął Maarten Verlangen, idąc w stronę domu w coraz gęstszym deszczu. To nie ma sensu.

Żadnego sensu.

Gdy wreszcie dotarł do Kleinmarckt, był przemoczony do suchej nitki. Po chwili wahania skręcił do Café Kloisterdoom i zamówił sobie piwo oraz jenevera.

Nie, to tylko mogłoby zaszkodzić, gdyby wciągnął w sprawę tego łysego idiotę, postanowił. Niech się wszystko toczy swoim torem.

Silwerstein zaczął w najprostszy sposób.

– Czy zabił pan swoją żonę, Barbarę Hennan, w czwartek, piątego czerwca, wieczorem?

– Nie.

– Czy zlecił pan komuś zamordowanie jej?

– Nie.

Głos Hennana był zdecydowany i wyraźny. Van Veeteren zauważył, że w oczekiwaniu na oba „nie” wręcz wstrzymał oddech, a wraz z nim cała sala sądu. Wyczuwało się takie samo powstrzymywane napięcie jak przed „tak” panny młodej i pana młodego podczas ślubu. W tym momencie przemknęła mu przez głowę myśl, że nasza podstawowa potrzeba dramatyzmu jest w gruncie rzeczy prosta i czysta.

Tak albo nie. Języczek u wagi.

– Czy zabił pan swoją byłą żonę, Philomenę McNaught, podczas podróży po Bethseda Park w USA w czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku?

Obrończyni zerwała się na równe nogi.

– Sprzeciw. Mój klient nie jest oskarżony o nic, co stało się cztery lata temu.

Sędzia Hart zmienił okulary i obrzucił ją spojrzeniem, w którym było coś na kształt niemal naukowego zainteresowania. Jak biolog, który natrafił na osobliwy żywy organizm i próbuje określić, co to za gatunek.

– Pani mecenas z pewnością zdaje sobie sprawę, że garść informacji dotyczących przeszłości oskarżonego nam nie zaszkodzi – wymamrotał, kierując na nią zauszuki swoich okularów, jakby to była jakaś broń. – Bardzo proszę usiąść! Panie Hennan, będzie pan uprzejmy odpowiedzieć na pytanie prokuratora.

Hennan skinął głową na znak zgody.

– Nie – powiedział. – Nie zabiłem Philomeny. To była nasza podróż poślubna. Kochałem ją.

Tani chwyt. Mimo to punkt po jego stronie, pomyślał gorzko Van Veeteren.

– Kim pan jest z zawodu? – kontynuował Silwerstein.

- Jestem biznesmenem.
- Biznesmenem?
- Tak.
- A jakiego rodzaju interesy pan prowadzi?

Hennan pochylił się do przodu i położył dłonie na barierce. Van Veeteren zauważył na jego palcu obrączkę, której nie miał podczas przesłuchań na komendzie.

– Jak panu zapewne wiadomo, moja żona i ja dopiero niedawno przyjechalśmy z USA... W Denver miałem firmę importową i tym samym zamierzałem zajmować się tutaj, w Linden.

– Firmę importową? – dopytał Silwerstein. – A co pan importował?

– Jak już próbowałem wcześniej wyjaśnić, nie zdążyłem jej jeszcze na dobre rozkręcić. W Denver sprowadzałem głównie konserwy z Azji Południowo-Wschodniej... z owocami i warzywami. Ale częściowo także wyroby techniczne. Aby wystartować, trzeba zdobyć wiele pozwoleń i mieć dobrą znajomość rynku.

Silwerstein do tej pory stał wciąż w jednym miejscu, trzy metry przed oskarżonym; teraz zrobił dwa kroki w bok i zwrócił się do sędziów przysięgłych.

– Czyli można powiedzieć, że pańska tak zwana firma dotychczas nie rozwinęła żadnej działalności?

– Nie, oczywiście, że...

– Można zatem powiedzieć, że stanowiła jedynie kamuflaż dla pana rzeczywistych zamiarów, jakie pan miał, ponownie osiedlając się w kraju?

– Obawiam się, że nie rozumiem, co pan ma na myśli.

– Doprawdy? Sądzę, że doskonale pan rozumie. Czy to nie jest tak, panie Hennan, że jedynym prawdziwym celem pana przeprowadzki z Denver i z USA było powtórzenie tego samego, co zrobił pan z Philomeną Mc Naught? Usunięcie z drogi pańskiej żony i podjęcie niebotycznej kwoty ubezpieczenia. Jednego mi...

– Sprzeciw! – zaprotestowała adwokat. – Prokurator bezkarnie rzuca bezpodstawne oskarżenia. Jestem zmuszona...

– Dziękuję – przerwał jej sędzia Hart. – Wystarczy. Proszę oskarżenie o pohamowanie się nieco.

Silwerstein skinął głową z rezygnacją.

– Czy to prawda, że zawarł pan umowę ubezpieczenia na pańską żonę z towarzystwem ubezpieczeniowym F/B Trustor?

– Tak.

– Czy mógłby pan powiedzieć sądowi na jaką kwotę?

Hennan odchrząknął.

– Jeden przecinek dwie dziesiąte miliona.

– Jeden przecinek dwie dziesiąte miliona guldenów?

– Tak.

– Czy nie uważa pan, że jest to niezwykle wysoka kwota?

– Nie.

Silwerstein ponownie zwrócił się ku przysięgłym.

– Gdybyśmy przeprowadzili ankietę na tej sali – powiedział, rozkładając ręce w teatralnym geście – jak państwo sądzą, ile osób posiada polisę ubezpieczeniową na taką kwotę? Ja na przykład mam na sto pięćdziesiąt tysięcy i jak powiedział mi wczoraj mój ubezpieczyciel, jest to stosunkowo znaczna suma. Dlatego pozwolę sobie, panie Hennan, powtórzyć swoje pytanie jeszcze raz: czy uważa pan, że jeden milion dwieście tysięcy guldenów to wyjątkowo wysoka suma ubezpieczenia?

– Nie wiem – odpowiedział Hennan. – Nie uważam, żeby w USA taki poziom był wyjątkowo wysoki. A w końcu to tam mieszkałem przez ostatnie dziesięć lat.

Oskarżony próbował zrobić zadowoloną minę. Przeszedł kilka razy tam i z powrotem po sali, po czym ponownie zatrzymał się przed Hennanem.

– No właśnie – powiedział. – Zrobił pan to samo, co zrobił pan w Ameryce. Czy może nam pan powiedzieć, jak dużą kwotę zainkasował pan po śmierci swojej poprzedniej żony, Philomeny Mc Naught?

– Sprzeciw – wtrąciła znowu Van Molde. – To nie ma nic wspólnego z...

– Uchylam – oznajmił Hart, nie racząc nawet spojrzeć na przedstawicielkę obrony. – Proszę odpowiedzieć na pytanie, panie Hennan.

– Czteryście tysięcy – poinformował oskarżony.

– Guldenów? – dopytał prokurator.

– Dolarów – wyjaśnił Hennan.

– Czteryście tysięcy dolarów – powtórzył Silwerstein, podkreślając każdą sylabę.

Przyłożył palec wskazujący do czubka brody i zdawał się liczyć w myślach. – W guldenach to jest mniej więcej dwa razy tyle, tak? Osiemset tysięcy. Nie mylę się?

– Z grubsza biorąc – potwierdził Hennan. – Nie wiem, jaki jest teraz kurs wymiany.

– Nie wie pan? Jeśli więc podsumujemy, stwierdzimy, że w ciągu czterech lat stracił pan dwie żony w niewyjaśnionych okolicznościach i że zamierzał pan zainkasować łącznie dwa miliony guldenów z ubezpieczenia. Czy nawet panu nie wydaje się to trochę... osobliwe?

Hennan patrzył na swoją obrączkę i nic nie mówił. Prokurator zrobił krótką pauzę.

– Czy wie pan, że pańska żona czuła się przez pana zagrożona?

G uniósł wzrok i popatrzył na przysięgłych. Po kolei na każdego.

– Nie czuła się zagrożona. To czyste brednie.

– Jestem zmuszona ponownie zaprotestować – odezwała się adwokat. – Jeśli oskarżenie nie odstąpi od rzucania bezpodstawnych pomówień, ta rozprawa przestanie być rozprawą.

– Hmmm – warknął sędzia Hart. Zmienił okulary i wbił wzrok w Van Molde. – Teraz niech pani się uspokoi, pani mecenas! Jeśli chce pani zgłosić sprzeciw, to niech pani zgłosi! Tylko niech pani daruje sobie to kokietowanie!

Adwokat usiadła z powrotem. Hart zaś zwrócił się do Silwersteina.

– Proszę wyjaśnić, co pan ma na myśli, mówiąc „zagrożona”?

Prokurator pozwolił sobie na unizony ukłon.

– A zatem nic pan o tym nie wiedział? – spytał.

– O czym? – odparł Hennan.

– Że pana żona czuła się niespokojna i obawiała się, że coś się stanie.

– Nie była niespokojna i nie czuła się zagrożona. Już powiedziałem.

– Wobec tego jak pan wyjaśni, że wynajęła prywatnego detektywa, żeby pana obserwował?

– Nie mam pojęcia – oświadczył Hennan, rozkładając ręce.

– Ale wie pan, że tak było?

– Wiem, ponieważ policja tak twierdzi. Wcześniej nic mi o tym nie było wiadomo... i nie do końca w to wierzę.

– Nie wierzy pan, że pańska żona zleciła detektywowi obserwowanie pana?

– Tak. Nie ma... nie było żadnego powodu ku temu.

– A jednak – zaproponował Silwerstein. – Muszę powiedzieć, że jestem wręcz przeciwnego zdania. Gdyby poszła do lepszego detektywa – czy wręcz na policję – być może nadal by żyła.

– Sprzeciw! – wykrzyknęła adwokat, tym razem z wyraźną wściekłością w głosie.

– Podtrzymuję – powiedział Hart. – Proszę przysięgłych o wymazanie z pamięci ostatniego twierdzenia prokuratora.

Silwerstein odbył kolejną krótką przechadzkę, po czym zatrzymał się obok oskarżonego, opierając się łokciem o barierkę.

– Czy mógłby nam pan powiedzieć, co pan robił w czwartek, piątego czerwca, rano? – spytał.

– Miałem parę rzeczy do zrobienia w domu – rzekł Hennan. – Pojechałem do biura dopiero przed dwunastą.

– Chodzi mi głównie o prace przy basenie. Na czym polegały?

– Basen wymagał oczyszczenia.

– Proszę nam wyjaśnić, co pan konkretnie zrobił.

– Opróżniłem go z wody. Przecież pan wie.

– Wypuścił pan całą wodę?

– Tak.

– Po co?

– To są rzeczy niezbędne. Chodziło o oczyszczenie, a poza tym o uszczelnienie kilku pęknięć.

– Czy pana żona o tym wiedziała?

– Oczywiście.

– Czy była w domu, kiedy wykonywano te prace?

– Nie, pojechała do Aarlach wcześniej rano.

– Rozumiem. A więc przed południem wypuścił pan wodę z basenu, a potem pojechał pan do tak zwanego biura, wieczorem zaś, kiedy żona wróciła z Aarlach, skoczyła i się zabiła. Tak według pana mamy patrzeć na tę sprawę, zgadza się? Skoczyła z dziesięciu metrów – głową w dół – do basenu, który – o czym wiedziała –

był pusty!

– Nie potrafię tego inaczej wyjaśnić – powiedział Hennan. – Kiedy wróciłem do domu, ona leżała na dnie. Co innego pana zdaniem mogłem pomyśleć?

– Jest mi wszystko jedno, co pan pomyślał – rzekł prokurator. – Wiem natomiast, co według pana my powinniśmy myśleć. Jednak my myślimy inaczej, panie Hennan. Czy pan nie widzi, że to wszystko jest niedorzeczne?

– Nie mam innego wytłumaczenia – powtórzył G.

– Ale ja mam – oświadczył Silwerstein. – Wyjaśnienie, któremu – jestem o tym przekonany – da wiarę każdy obecny na tej sali. Pańska żona nie zginęła w następstwie nieszczęśliwego wypadku. Zginęła, ponieważ najpierw ktoś ją ogłuszył, a potem zepchnął z najwyższego podestu wieży do skoków. Ktoś, kogo pan wynajął do wykonania tego zadania. Płatny morderca. Czy to nie jest bardziej sensowne wyjaśnienie niż to wątpliwe...

– Protestuję – przerwała mu wzburzona adwokat. – Czy oskarżenie ma jakiegokolwiek dowody na poparcie tego potwornego twierdzenia? Płatny morderca! Proszę o dowody!

Wśród publiczności podniósł się gwar i Hart uderzył młotkiem w stół.

– Spokój! – krzyknął. – Uchylam sprzeciw, ale oskarżenie ma obowiązek uzasadnić swoją hipotezę.

– Uzasadnia ją zdrowy rozsądek – oznajmił z przekorą Silwerstein po sztucznej pauzie. – Zdrowy rozsądek! A jeśli to za mało, to jeszcze milion dwieście tysięcy guldenów! Jeżeli i to nie wystarcza: Philomena McNaught i czterysta tysięcy dolarów! Na razie nie mam więcej pytań do oskarżonego.

Następnie skłonił się znowu i usiadł za swoim stołem.

Mecenas Van Molde podniosła się z krzesła.

– Gdzie znajdował się pan piątego czerwca wieczorem, panie Hennan?

– W restauracji Colombine, tutaj, w Linden.

– Mniej więcej w jakich godzinach?

– Przyszedłem tam zaraz po ósmej i zostałem do wpół do pierwszej.

– Czy w ciągu wieczora opuścił pan restaurację z jakiegoś powodu?

– Nie.

– Dziękuję. – Teraz zwróciła się do sędziego: – Mam tutaj potwierdzone podpisami zeznania pracowników restauracji, poświadczające, że Jaan G. Hennan przebywał w restauracji przez cały krytyczny wieczór. Nie wzywałam ich jako świadków, ponieważ dziś po południu będziemy mieli okazję wysłuchać innych świadków, którzy potwierdzą to samo. Według lekarza medycyny sądowej Meussego, który wystąpił tu wczoraj, Barbara Hennan zmarła między dwudziestą pierwszą trzydzieści a dwudziestą drugą trzydzieści. W tym przedziale czasowym, a także podczas całego krytycznego wieczoru oskarżony znajdował się w restauracji Colombine. Nie mógł zatem – powtarzam: nie mógł – zabić swojej żony. Czy wynajął pan kogoś, aby zabił pana żonę, panie Hennan?

– Oczywiście, że nie.

– Oczywiście, że nie. Czy kochał pan swoją żonę, panie Hennan?

– Tak. Bardzo się kochaliśmy.

– Dziękuję. Czy uważa pan, że każdy w tym kraju ma prawo zawrzeć ubezpieczenie na życie osoby, którą kocha?

– Mam taką nadzieję.

– Ja też mam taką nadzieję. Dziękuję. Nie mam więcej pytań do oskarżonego.

Zanim Hennan opuścił miejsce dla świadka, zawahał się przez chwilę, jakby chciał jeszcze coś dodać. Przesunął wzrokiem po trzech rzędach publiczności i kiedy dotarł do Van Veeterena w drugiej ławce, na moment zatrzymał na nim spojrzenie i jakby w zamyśleniu lekko skinął głową, co z całą pewnością pozostało niezauważone przez większość zgromadzonych w sali. Następnie podniósł się i zajął swoje miejsce obok adwokata.

A to szubrawiec, pomyślał Van Veeteren, powstrzymawszy się w ostatniej chwili, by nie pójść za impulsem i nie wstać. Nie wstać i nie wyjść z sali. Dlaczego nie potrafię zapanować nawet nad czymś takim? – zadał sobie pytanie. Co się dzieje, że jestem gotów rzucić się do ataku jedynie dlatego, że on przez sekundę na mnie popatrzył? Nie powinienem był tu dzisiaj przyjeżdżać.

Splótł dłonie i przymknął oczy. Sędzia Hart znów zmienił okulary i wezwał na świadka dyrektora Kooperdijka.

Przesłuchanie postawnego dyrektora towarzystwa ubezpieczeniowego nie

przyniosło żadnych niespodzianek. Odpowiedzi Kooperdijka były rzeczowe i przewidywalne po najdrobniejsze detale, a Van Veeteren, przysłuchując się mu, zastanawiał się – z pewnością jak większość z obecnych – czy nie powinien przenieść się do F/B Trustor. Skoro bowiem ta spółka jest gotowa zawierać tak wspaniałomyślne umowy jak ta z Hennanem – i ewentualnie wypłacić daną kwotę (oczywiście, że spółka jest wypłacalna, zapewnił Kooperdijk, i to na tyle, że starczyłoby środków na dziesięć takich przypadków) – to znaczy, że są tam pieniądze, które da się zarobić w taki czy inny sposób.

Kooperdijk opuścił miejsce dla świadka po niespełna dwudziestu minutach. Była wtedy za kwadrans dwunasta i sędzia Hart postanowił ogłosić przerwę na lunch do wpół do drugiej. Upomniawszy wszystkich, aby punktualnie stawili się z powrotem, uderzył młotkiem w tom kodeksu.

Van Veeteren wybrał się na lunch do Colombine. Liczba lokali w Linden nie była bynajmniej nieograniczona, a tu przynajmniej nie mieli w jadłospisie Hawaiiurgera Special.

Zjadł filec cielęcy i wypił dwa kieliszki drogiego, ale wartego swojej ceny wina rioja, zastanawiając się jednocześnie, czy nie siedzi przypadkiem przy tym samym stoliku co Hennan w czwartkowy wieczór i czy rzeczywiście ma ochotę przysłuchiwać się popołudniowemu posiedzeniu w sądzie.

Bardzo szybko stwierdził, że nie ma, i to wcale, jednak swego rodzaju ponure poczucie obowiązku kazało mu zająć z powrotem miejsce w sali rozpraw, gdy przyszła na to pora.

Until the bitter end, pomyślał gorzko. Boże spraw, żeby ten beznadziejny Verlangen mimo wszystko w końcu coś wskórał!

Ale jako następnego świadka prokurator wezwał nie Maartena Verlangena, tylko Doris Sellneck.

– Czy może nam pani powiedzieć, panno Sellneck, co panią łączy z oskarżonym Jaanem G. Hennanem?

Doris Sellneck, zanim odpowiedziała, zrobiła kilka dziwnych, jakby konwulsyjnych ruchów głową. Na ile Van Veeteren potrafił ocenić, mogła mieć około pięćdziesięciu lat; była wysoką, wychudzoną kobietą o wyraźnie introwertycznej naturze. Sprawiała wrażenie osoby jakby nie do końca obecnej. Gdy tylko usłyszał jej nazwisko, przypomniał sobie, kim jest.

I od razu też wiedział, dlaczego nie zadał sobie trudu, żeby ją przesłuchać.

– Naprawdę nie rozumiem, dlaczego zostałam tu wezwana – zaczęła. – Jaan G. Henna to zamknięty rozdział w moim życiu. To było ponad dwadzieścia lat temu.

– No właśnie – pospiesznie wtrąciła obrończyni. – Stawiam wniosek, aby panna Sellneck natychmiast opuściła miejsce dla świadka.

– Dziękuję – powiedziała Doris Sellneck.

– Wniosek odrzucony – oznajmił Hart.

– Droga panno Sellneck – zaczęła Silwerstein. – Przecież już rozmawialiśmy na ten temat. Co prawda minęło sporo lat od czasu, kiedy była pani żoną oskarżonego, ale my próbujemy uzyskać kompletny obraz osoby. Zrozumieć jej charakter i tak dalej. Jeśli więc...

– On nie ma żadnego charakteru – przerwała mu Doris Sellneck z nieoczekiwaną gorliwością. – To jest człowiek bez kręgosłupa.

– Sprzeciw – zaprotestowała Van Molde.

– Proszę świadka, aby starannie dobierał słowa – odezwał się Hart.

– Co? – spytała Doris Sellneck.

Van Veeteren zamknął oczy. Oskarżyciel odchrząknął.

– Tak więc była pani żoną Hennana przez dosyć krótki okres. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym, czy tak?

– Tak – potwierdziła panna Sellneck. – Pobraliśmy się w maju, a rozstaliśmy w październiku.

– Czy może nam pani trochę opowiedzieć o waszym małżeństwie – poprosił Silwerstein. – I o Hennanie.

– On nie traktował mnie dobrze – oznajmiła Doris Sellneck, rzucając głową. – To ja zażądałam rozwodu. On miał inną na boku.

– Inną kobietę?

– Tak. Miała na imię Friedel.

– Naprawdę? A pod jakim względem poza tym nie traktował pani dobrze?

– Oszukiwał mnie i wyłudził ode mnie pieniądze.

– Jestem zmuszona zaprotestować! – wybuchła znowu Van Molde. – Uważam, że to zupełnie niedorzeczne sprowadzać świadka, który nie widział mojego klienta od dwudziestu pięciu lat. Bo jak rozumiem, nie miała pani kontaktu ze swoim byłym mężem od rozwodu, zgadza się, panno Sellneck?

– Nawet we śnie nie przyszedłby mi taki pomysł do głowy, żeby się z nim spotykać – odrzekła zapytana.

Hart uderzył młotkiem w stół i z dezaprobatą zmierzył wzrokiem adwokata.

– Pani będzie mogła zadawać swoje pytania, jak skończy pan prokurator – poinstruował ją dobitnie. – Czy mogłaby pani zgodzić się ze mną chociaż w tym drobnym szczególe?

– Naturalnie – odpowiedziała Van Molde i usiadła.

Silwerstein pospiesznie wytarł sobie czoło chustką.

– Pani własny mąż wyłudził od pani pieniądze?

Doris Sellneck skinęła potwierdzająco głową.

– I to większą sumę. Musiałam zapłacić mu za mieszkanie, które kupiliśmy za moje pieniądze. Trzynaście tysięcy guldenów.

– Rozumiem. Jak długo pani go znała przed wyjściem za niego za mąż?

– Pół roku. Oświadczył mi się i się zgodziłam. Byłam łatwowierna, a on ożenił się ze mną tylko dla moich pieniędzy. Od samego początku chodziło mu o fikcyjne małżeństwo.

– Co pani ma na myśli?

– Przez cały czas miał tę drugą kobietę... tę Friedel. Ze mną nigdy nie chciał iść do łóżka. Nie byłam wystarczająco dobra. Nędzna kreatura!

Wśród publiczności znowu powstało poruszenie, ale wystarczyło, że Hart uniósł drewniany młotek, by zaległa cisza.

– Wspominała pani, że panią bił? – kontynuował Silwerstein.

– Sprzeciw! – wykrzyknęła adwokat, zrywając się z miejsca. – Świadek jest skrajnie stronnicza. To zawiedziona kobieta próbująca zemścić się po upływie ćwierćwiecza. To oburzające! Po dwudziestu pięciu latach nawet zabójstwo ulega przedawnieniu. Pani Sellneck należy do innej epoki!

– Dziękuję za pani opinię – powiedział Hart. – Proszę usiąść, pani Van Molde. Jestem przekonany, że przysięgli potrafią sami dokonać odpowiedniej oceny psychologicznej. Panno Sellneck, pani będzie uprzejma odpowiedzieć na pytanie.

– Jakie pytanie? – zdziwiła się kobieta.

– Czy Jaan G. Hennan panią bił? – wyjaśnił prokurator.

– Zgadza się – potwierdziła ochoczo Doris Sellneck. – Któregoś razu uderzył mnie w twarz. To było po tym, jak zażądałam rozwodu. Nie wolno traktować własnej żony w ten sposób.

Adwokat uniosła rękę.

– Czy mój klient może na to odpowiedzieć? W celu sprostowania?

Van Veeteren zauważył, że Hart był chyba coraz bardziej ubawiony. Skinął głową ku Van Molde na znak zgody, na co Hennan podniósł się z krzesła.

– To prawda, że raz uderzyłem moją ówczesną żonę – przyznał. – Wbiła mi się zębami w ramię, więc musiałem drugą ręką wymierzyć jej policzek, żeby się od niej uwolnić.

Usiadł z powrotem. Doris Sellneck pogroziła mu zaciśniętą pięścią ze swojego miejsca dla świadków, na co spora część widowni zareagowała ostro. Ale nie komisarz Van Veeteren.

Reinhart ma rację, doszedł do wniosku. Silwerstein to prawdziwy osioł. Dobrze przynajmniej, że nie ściągnął do sądu jeszcze siostry Hennana.

Sędzia Hart poczekał, aż pomruki na sali się uspokoją, następnie dał znak prokuratorowi, aby kontynuował. On zaś, woląc nie podejmować dalszego ryzyka, zwrócił się bezpośrednio do przysięgłych.

– Sądzę, że uzyskaliśmy bardzo dobry wgląd w charakter oskarżonego –

stwierdził. – Już dwadzieścia lat temu mężczyzna ten wykorzystywał kobiety dla finansowych korzyści i robi to do tej pory. Doris Sellneck zdołała ocalić życie, w przeciwieństwie do Philomeny McNaught i Barbary Delgado. Dziękuję, panno Sellneck, nie mam więcej pytań.

Ale miała je przedstawicielka obrony, Van Molde. I to całkiem sporo.

– Kim pani jest z zawodu, panno Sellneck?

– Jestem na zwolnieniu lekarskim.

– Na zwolnieniu?

– Mówiąc dokładnie, na rencie chorobowej.

– Gdzie pani mieszka?

– Mieszkam w domu opieki Lilje.

– Rozumiem. To jest dom dla osób z różnymi zaburzeniami psychicznymi, zgadza się?

– To jest dom opieki, tak.

– Jak długo już tam pani mieszka?

Doris Sellneck ostatni raz rzuciła głową.

– Od osiemnastu lat – powiedziała. – Teraz, w sierpniu, minie osiemnaście.

– Dobrze się tam pani czuje?

– Tak, dziękuję. Czuję się wyśmienicie – oznajmiła z zadowoleniem pytana. – To ładne i przytulne miejsce zaraz przy Seegergraacht. W czwartki i niedziele mamy też kino.

Po tej wypowiedzi pozwolono jej opuścić miejsce dla świadków.

Verlangen był świeżo ogolony i miał na sobie białą koszulę.

W odpowiedzi na wstępne pytania prokuratora wyjaśnił, że pracuje jako prywatny detektyw i posiada własne biuro, ma czterdzieści siedem lat, a wcześniej służył w policji.

Silwerstein spytał, czy miał jakiś kontakt z oskarżonym przed obecną sprawą, na co Verlangen dosyć wyczerpująco opowiedział o swoim wkładzie sprzed dwunastu lat, gdy Hennan został skazany za przestępstwo narkotykowe. Van Veeteren zwrócił uwagę, że mecenas Van Molde kilkakrotnie podczas tego przesłuchania sprawiała

wrażenie, jakby chciała zgłosić sprzeciw, pozostała jednak na swoim miejscu, być może dlatego, że Hennan położył jej rękę na ramieniu.

– I miesiąc temu znowu pojawił się w pana życiu? – spytał prokurator.

Verlangen zdał kolejną precyzyjną relację, jak doszło do tego, że skontaktowała się z nim Barbara Hennan, oraz o swoich obserwacjach w Linden.

– Czy uważa się pan za doświadczonego detektywa? – spytał Silberstein, kiedy świadek skończył.

– Jestem w branży od pięciu lat – poinformował Verlangen. – Poza tym moja wcześniejsza praca w policji była jakby po tej samej linii... więc można chyba powiedzieć, że nie brakuje mi doświadczenia.

– Czy wcześniej wykonywał pan już takie zlecenia? Mam na myśli obserwowanie kogoś.

– Wiele razy.

– O co zwykle chodzi?

– Jeśli żona chce, żebym śledził męża, to zazwyczaj chodzi o niewierność małżeńską. O ustalenie, czy mąż spotyka się z inną kobietą.

– To najczęstszy motyw?

– Niewątpliwie.

– A jak było w przypadku Barbary Hennan?

– Ona nie podała żadnego motywu.

– Czy to normalne?

– Zdarza się. Choć kobiety zwykle wyjaśniają powód.

– Czy odniósł pan wrażenie, że pani Hennan miała podobne podejrzania?

– Sprzeciw – zaproponowała adwokat. – To jest nakłanianie świadka do spekulacji.

– Uchylam – powiedział Hart. – Ale proszę przysięgłych, aby pamiętali, że to jest indywidualna ocena świadka.

– Nie odniosłem żadnego jednoznacznego wrażenia – wyjaśnił Verlangen po krótkiej pauzie. – Wydało mi się jednak, że w tym przypadku chodziło o coś innego.

– Co to mogło być?

– Nie wiem. Chciała ustalić, co on robi. Codziennie miałem zdawać jej sprawozdanie.

– I zdawał pan?

– Tak.

– Ale pańska praca dosyć szybko się skończyła.

– Tak. Po dwóch dniach znaleziono moją klientkę martwą.

– Dwa dni po otrzymaniu przez pana od Barbary Hennan zlecenia polegającego na śledzeniu jej męża pańska zleceniodawczyni została znaleziona martwa na terenie posesji na dnie basenu opróżnionego z wody. Czy to się zgadza?

– Tak.

Prokurator Silwerstein skinął głową w zadumie, po czym zwrócił się do sędziów przysięgłych.

– Ponieważ moja koleżanka tak bardzo upodobała sobie zgłaszanie sprzeciwu, nie zamierzam prosić świadka o wyciąganie jakichkolwiek wniosków, pozwolę sobie zatem na zadanie otwartego pytania: Jakie logiczne wnioski nasuwają się wręcz same z faktu przedstawionego przez detektywa Verlangena? Panie i panowie, możliwy jest tylko jeden wniosek. Barbara Hennan domyślała się, że jej mąż, oskarżony, coś planuje. Obawiała się o własne bezpieczeństwo i zatrudniła prywatnego detektywa, aby uzyskać pomoc. Okazało się jednak, że nie był on w stanie wesprzeć jej w sposób, na jaki liczyła, i dwa dni później na wszystko było już za późno. Czy ktokolwiek z tu obecnych żywi jeszcze wątpliwości, kto ponosi winę za jej śmierć? Ja w każdym razie ich nie mam. To Jaan G. Hennan!

– Sprzeciw – powiedziała Van Molde zmęczonym głosem.

– Podtrzymuję – odezwał się Hart. – Mowa końcowa, panie prokuratorze, przewidziana jest na jutro, a nie na dzisiaj. Czy ma pan jeszcze pytania do pana Verlangena?

– Nie, dziękuję – odrzekł Silwerstein i usiadł na swoim miejscu. – Nie mam więcej pytań.

Pani Van Molde podeszła do Verlangena jak kot skradający się do rannego ptaka.

– Dlaczego odszedł pan z policji, panie Verlangen? – zaczęła.

– Zależało mi na innego rodzaju pracy.

– Na innego rodzaju pracy? – powtórzyła za nim.

– Tak.

– Czyli porzuca pan pracę w policji i zostaje pan prywatnym detektywem. I pan to nazywa innym rodzajem pracy?

– Jestem niezależny – odpowiedział Verlangen, kręcąc się na krześle.

Ciekawe, pomyślał Van Veeteren. Raczej niemożliwe, żeby ona coś wiedziała. Czyżby intuicja naprowadziła ją na ten czuły punkt?

– Protestuję – odezwał się Silberstein. – Co pani adwokat usiłuje zasugerować?

– Nic – odparła szybko Van Molde, aby uprzedzić Harta. – Kontynuujmy. Czy w czasie – w tym krótkim czasie – kiedy prowadził pan tak zwaną obserwację mojego klienta, zauważył pan, aby zachowywał się w jakikolwiek podejrzany sposób?

– Nie.

– Wykonywał jakieś czynności, które wydały się panu podejrzane?

– Nie, on robił...

– Wystarczy, jeśli odpowie pan krótko „tak” lub „nie”. Oszczędzimy sobie czasu. Czy spotykał się z jakimiś osobami, które mógł pan potem wymienić w raporcie dla zleceniodawczyni?

– Nie.

– Czy zaobserwował pan u niego jakiegokolwiek zachowania, które świadczyłyby o przestępczych zamiarach?

– Nie.

– Czy podczas prowadzonej przez pana obserwacji powstał w panu choć cień podejrzenia, że pańska klientka może znajdować się w niebezpieczeństwie?

– Nie, mogłem...

– Tak czy nie?

– Nie.

– Czy zauważył pan, aby Hennan choć raz kontaktował się czy rozmawiał z kimś innym niż personel restauracji i temu podobne osoby?

– Nie.

– A wieczorem, gdy zginęła jego żona, miał go pan cały czas na oku w restauracji Colombine?

– Tak.

– Dziękuję.

Odwróciwszy się w stronę ławy przysięgłych i publiczności, zrobiła lekko zdziwioną minę.

– Jak, na litość boską, opierając się na zeznaniach detektywa Verlangena, pan prokurator mógł wyciągnąć wniosek, że Jaan G. Hennan ma coś wspólnego ze śmiercią swojej żony? To wprost niepojęte, proszę pań i panów, całkowicie niepojęte. W gruncie rzeczy świadek zapewnia mojemu klientowi alibi, i to całkowicie bezsporne alibi. Muszę powiedzieć, że nie pojmuję, do czego zmierza oskarżenie.

Sędzia Hart pochylił się wyraźnie do przodu, na co adwokat zmieniła temat.

– Czy to prawda, że zna pan dyrektora Kooperdijka ze spółki ubezpieczeniowej Trustor?

Verlangen zawahał się chwilę, następnie odpowiedział:

– Tak.

– Jaki to rodzaj znajomości?

– Wykonuję dla tej firmy pewne zlecenia.

– Ach tak? Czyli pracuje pan także dla F/B Trustor, spółki, z którą mój klient zawarł polisę ubezpieczeniową?

– Trochę.

– Jako detektyw do spraw ubezpieczeń?

– Można tak powiedzieć.

– Dziękuję. Czy pana zadanie polega między innymi na demaskowaniu tak zwanych oszustw ubezpieczeniowych?

– Między innymi.

Adwokat zrobiła sztuczną pauzę, według oceny Van Veeterena trwającą co najmniej pięć sekund, aby ta ostatnia informacja zapadła głęboko w pamięć członków ławy przysięgłych.

– Można by zatem twierdzić – podjęła znowu – że jest pan niejako ze względów zawodowych zainteresowany tym, aby mój klient został pociągnięty do odpowiedzialności za śmierć swojej żony? Bo jeśli tak by się stało, wówczas spółka nie musiałaby wypłacać...

– Oczywiście, że nie jestem...

– Tak czy nie, panie Verlangen?

– Nie, nie mam z tym nic wspólnego.

Adwokat znowu przerwała na chwilę i popatrzyła na Verlangena z lekko uniesionymi brwiami.

– Panie Verlangen – odezwała się potem. – Rozmawiałam z dyrektorem Kooperdijkiem, który nakreślił mi obraz sytuacji. Czy to nie jest tak, że F/B Trustor nie jest zadowolony z wyników pańskiej pracy na jego rzecz i że w związku z tym to, czy firma będzie musiała wypłacić kwotę ubezpieczenia panu Hennanowi, ma dla pana istotne znaczenie? Czy nie jest tak, że poza czysto zawodowym ma pan także osobisty interes w tym, aby do tego nie doszło?

– Nie mogę naprawdę...

– Czy chciałby pan, abyśmy ponownie wezwali dyrektora Kooperdijka, aby potwierdził te informacje?

Verlangen nie odpowiedział. Potarł sobie kilka razy knykциями prawej dłoni brodę i policzek, sprawiając wrażenie lekko zdezorientowanego – jakby zaskoczyło go to, że ma świeżo ogoloną twarz. Powiódł niespokojnie wzrokiem od adwokat, przez przysięgłych, po publiczność. Minęło kolejnych pięć sekund.

– Stwierdzam, że świadek zdecydował się nie udzielić odpowiedzi na moje pytanie – oznajmiła Van Molde. – W tej sytuacji nie widzę sensu w dalszym przesłuchaniu. Nie mam pytań.

Usiadła na swoim miejscu. Sędzia Hart poprosił Verlangena, aby opuścił stanowisko świadka. Następnie poupychał wszystkie swoje okulary po różnych kieszeniach, spojrzął z bliskiej odległości na zegarek na ręce i oświadczył, że zamyka dzisiejsze posiedzenie.

Kiedy Van Veeteren wyjeżdżał z Linden, zaczął padać deszcz. Ulewny, gwałtowny deszcz, na który zbierało się przez całe duszne popołudnie. Zjechał na pobocze i zatrzymał samochód. Przez chwilę grzebał w skrytce wśród kaset magnetofonowych i w końcu znalazł *Requiem* Faurégo. Włożył ją do odtwarzacza i włączył. Następnie zastanowił się chwilę i wybrał dłuższą drogę. Dwadzieścia minut jazdy to za krótki czas, potrzebował co najmniej godziny. Przekreślił kluczyk, skreślił na rondzie w prawo i ruszył na południe w kierunku Linzhuisen i Weill zamiast prosto.

To niemożliwe, pomyślał. To po prostu niemożliwe. Znosi się na to, że G się wywinie, a ja nic nie mogę na to poradzić. Niezależnie od tego, jak będą wyglądały jutrzejsze mowy końcowe, sędziowie uznają go za niewinnego. Wiedziałem to od początku.

W pewnej mierze dziwił się, że nie jest zaskoczony. Albo skrajnie wzburzony. Przecież pierwszy raz mu się zdarza, że zostawia mordercę na wolności.

Ale taki dzień musiał kiedyś nastąpić, był tego świadomy. Komisarz Mort opowiadał mu, jakie to uczucie, kiedy człowiek przegrywa swoją pierwszą sprawę. Borkmann też. W przypadku Van Veeterena musiało minąć ponad dwadzieścia lat do tego momentu; to swego rodzaju rekord, lecz akurat teraz niewiele go to obchodziło. Miał czas, aby się do tego przygotować, i to sporo czasu; całe postępowanie przygotowawcze toczyło się od samego początku jak po grudzie, a po drodze nie wydarzyło się nic dobrego.

Nie pojawiły się żadne nowe okoliczności, żadne przesłuchanie nie otworzyło nowej perspektywy ani nie zmieniło znanych już przesłanek. Ten przeklęty G mógł siedzieć wygodnie rozparty na swoim krześle i jedynie czekać na nieuniknione rozwiązanie: na wyjście na wolność i na milion dwieście tysięcy guldenów.

Tak było i nie miało żadnego znaczenia to, że zarówno przysięgli, jak i sędzia oraz wszyscy pozostali zaangażowani w proces są przekonani o winie G równie mocno jak sam komisarz.

Nic to nie dało. Tak to bywa ze sprawiedliwością, gdy jej młyny mielą zgodnie z literą prawa i przyjętą praktyką.

Po prostu klasyka, używając jednego z określeń Reinharta. Wszystkie dane były wiadome od początku: historia z ubezpieczeniem, alibi, prywatny detektyw, przeszłość Hennana – nie pojawiły się żadne nowe fakty, mimo żmudnej i konsekwentnej pracy policji, wykonywanej skrupulatnie i również zgodnie z regułami sztuki. W niczym nie pomogłoby nawet to, gdyby setki tysięcy ludzi było przekonanych, że G wynajął mordercę, który odebrał życie jego żonie, pomyślał z rezygnacją komisarz. On i tak wyszedłby z tego cało.

Ponieważ nie udało się znaleźć samego sprawcy.

I ponieważ nie udało się dowieść, że Barbara Hennan nie zginęła w wyniku

nieszczęśliwego wypadku. Bynajmniej.

Innymi słowy zatem, zmarnowany czas. Przynajmniej tyle dało się łatwo ustalić. Van Veeteren zadawał sobie pytanie, czy w ogóle doszłoby do procesu, gdyby ten cholerny Verlangen się nie wygadał i nie postawił na nogi całej prasy.

Może tak, a może nie. Ale tak jak powiedział Reinhart – mimo wszystko lepiej, że nie musieli wypuścić G na wolność tak po prostu, bez procesu. Bo na pewno czuliby się z tym gorzej.

Na wysokości Linzhuisen deszcz zaczął słabnąć. Komisarz odbił na Korrim i Weill; jechał wąską i mało uczęszczaną drogą prowadzącą przez płaski krajobraz; już dawno nie korzystał z tej trasy. Nie przestawał zastanawiać się nad przebiegiem rozprawy w sądzie w Linden – czy tak naprawdę spodziewał się czego innego niż tego ponurego i niekiedy nieco absurdalnego przedstawienia, w którym uczestniczył i którego był świadkiem przez dwa dni.

Chyba nie – doszedł do wniosku po analizie swoich niewypowiedzianych nadziei. Wszystko potoczyło się tak, jak się miało potoczyć. Jeśli sędziowie przysięgli jutro albo pojutrze podjęliby nieoczekiwane rozstrzygnięcie i uznali G za winnego, on wcale nie czułby zadowolenia, doskonale o tym wiedział. Tego rodzaju orzeczenie nie przetrwałoby apelacji i sprawiłoby jedynie, że wszystko niepotrzebnie ciągnęłoby się w nieskończoność.

Ale to nie absurdy i mechanizmy wymiaru sprawiedliwości go męczyły, tylko coś zupełnie innego. I nie własne niepowodzenie po dwudziestu latach rzekomych sukcesów ani jego osobisty stosunek do G – chodziło o coś trzeciego.

Coś trzeciego? – zadał sobie w duchu pytanie. Trzecia niewiadoma w równaniu? Może powinien być zostać matematykiem... Nagle zakręciło mu się w głowie, a słowa kluczowe, które usiłował wyłowić z chaosu myśli, wydały się abstrakcyjne... albo zupełnie nieuchwytnie. Czego on tak naprawdę, do jasnej cholery, szukał?

Co próbował przeświecić, czego jeszcze nie przeświecił?

Wyłączył Faurégo i skręcił na parking przed cmentarzem w miejscowości Korrim. Wsiadł z samochodu i zapalił papierosa. Deszcz całkiem już przestał padać i przez chmury przebijało słońce.

Pomocnik? – pomyślał. Morderca?

Dwa znane składniki równania: Jaan G. Hennan i Barbara Hennan. I trzeci, ten nieznanany.

Czy on w ogóle istnieje?

Potoczył spojrzeniem po zatopionym w zieleni wiejskim cmentarzu. Jakiś starszy mężczyzna w niebieskim kombinezonie chodził wśród grobów pod mokrymi wiązami i lipami i grabił alejki. Było spokojnie i cicho. Przez ułamek sekundy Van Veeteren zapragnął znaleźć się na miejscu tego nieznanego dozorca. Zaciągnął się ze dwa, trzy razy papierosem, przyglądając się jednocześnie jego niespiesznej pracy.

Nie rozumiem, pomyślał. Nie rozumiem już nawet pytań, które od dosyć dawna sobie stawiam.

Po czym wsiadł do samochodu i ruszył w drogę powrotną do Maardam.

Nie chciało mu się jechać w czwartek do Linden, żeby wysłuchać mów końcowych, i kiedy późnym popołudniem Münster wszedł do jego pokoju, żeby oznajmić mu wyrok sądu, on siedział z Heinemannem zagłębiony już w całkiem innej sprawie.

– No i drań się wywinął – oznajmił Münster.

– Hennan? – dopytał Heinemann.

– Tak, Hennan.

– To było do przewidzenia – stwierdził Van Veeteren.

– To prawda – potwierdził Münster.

Heinemann wyczyścił sobie głośno nos.

– Wiesz, jak długo się naradzali? – zaciekawiał się komisarz.

Inspektor usiadł na parapecie okna.

– Zdaje się, że niecałe pół godziny. Wszystko przebiegło tak, jak mówił komisarz. Mimo wszystko uważam, że to skandal, że on jest wolny. Silberstein nie chciał w ogóle się wypowiadać na temat rewizji wyroku.

Van Veeteren zamknął segregator, w którym czegoś szukał.

– Gdyby został skazany, skandal byłby jeszcze większy – powiedział. – Naprawdę. A do rewizji potrzebne są nowe fakty.

– No tak – zgodził się Münster z rezygnacją. – Wyobrażam sobie. W gruncie rzeczy tu całkiem brakowało mięsa. Powinniśmy byli skoncentrować się na sprawcy, bez niego przygwożdżenie Hennana było właściwie niemożliwe. Zwłaszcza że brakowało dowodów zbrodni.

Van Veeteren siedział w milczeniu.

– Zastanawiam się, jak się wynajmuje mordercę – ciągnął dalej inspektor. – Chyba przez pośrednika. Bo raczej nie da się znaleźć zawodowego zabójcy przez ogłoszenie w gazecie?

– Mam nadzieję, że nie – wtrącił komisarz. – Ale nie jest wcale powiedziane, że mimo wszystko nie mieliśmy do czynienia z pośrednikiem. Przecież nie musiał się

nam zdradzić tylko dlatego, że przychodzimy i zadajemy parę pytań.

– To prawda – potwierdził Münster.

Van Veeteren skrzyżował ręce na piersi i oparł się wygodnie na krześle. Przez chwilę popatrzył przez okno, a potem znowu zaczął mówić:

– Musimy odłożyć tę sprawę, Münster, na półkę. Im szybciej zaakceptujemy ten fakt, tym lepiej. Może za rok... albo pięć czy dziesięć... wyłoni się coś, co da nam nowy punkt zaczepienia. Już nic nie zdziałamy. I tak zmarnowaliśmy wystarczająco dużo czasu na tego G. Idź teraz do siebie i zajmij się pożyteczniejszymi rzeczami.

– W porządku – powiedział Münster. – Rzeczywiście mam co robić.

Wstał, skinął głową Heinemannowi i wyszedł.

Na chwilę w pokoju zaległa cisza. Komisarz zauważył, że Heinemann nad czymś się zastanawia. W końcu się odezwał:

– Jeśli chodzi o tego G – zaczął, czyszcząc sobie gruntownie okulary krawatem – no więc jeśli chodzi o G, nigdy nie miałem poczucia, że to jest tego rodzaju typ.

– Jakiego rodzaju typ?

– No taki, co to wynajmuje kogoś, żeby wykonał za niego robotę. Nie wiem dlaczego, ale przez cały czas...

Komisarz patrzył na niego uważnie i czekał na dalszy ciąg, który jednak nie nastąpił. No cóż, pomyślał, otwierając z powrotem segregator. Heinemann zawsze był znany z tego, że buja w obłokach.

– To co, pracujemy dalej? – rzucił.

– Co? – ocknął się Heinemann. – Tak, oczywiście.

Verlangen nie był trzeźwy, kiedy w czwartek wieczorem zadzwonił do niego Krotowsky, ale nawet gdyby był, to i tak niczego by to nie zmieniło. Możliwe, że jedynie rozmowa przebiegłaby nieco inaczej.

– Dyrektor Kooperdijk poprosił mnie, żebym do pana zadzwonił – oznajmił Krotowsky na wstępie.

– Mam to gdzieś – odpowiedział Verlangen.

– Domyśla się pan, o co chodzi?

– Nie mam bladego pojęcia.

– Jak się pan czuje? Sprawia pan wrażenie trochę...

– No, jakie? Jakie?

– Nieważne – uznał Krotowsky. – No więc dyrektor poprosił mnie, żebym zadzwonił i pana poinformował, że rezygnujemy ze współpracy z panem.

– Ze współpracy? – powtórzył za nim Verlangen. – Z jakiej znowu współpracy? Chyba miał na myśli pracę niewolnika! Musiałeś się przesłyszeć, ty cholerny piesku na dwóch łapkach!

– Tylko spokojnie, do cholery! – odezwał się Krotowsky. – Nie ma powodu się tak obruszać. W końcu sytuacja była całkiem jasna, kiedy...

– Wiesz, co możesz zrobić, ty pieprzony przydupasie? – ciągnął dalej Verlangen, jeszcze bardziej rozdrażniony. – Możesz sobie wziąć tego twojego tłustego dyrektora i wsadzić go sobie, do cholery, w ten swój mopsi tyłek. Myślisz, że nie mam ważniejszych rzeczy do roboty, niż wysłuchiwać twojego debilnego bełkotu?

– No nie, tego już... – zaczął Krotowsky. – Jak tylko cię następnym razem spotkam, to możesz być pe....

– *Piss off!* – krzyknął Verlangen i cisnął słuchawkę.

No, przynajmniej tym wygarnąłem, pomyślał i beknął ubawiony. Wyciągnął rękę po puszkę piwa stojącą na stole, zastanawiając się, gdzie mógł się podziać pilot do telewizora.

Dziennikarz twierdził, że nazywa się Hoegstraa i pracuje dla „Poost”.

– Dlaczego dzwoni pan do mnie do domu? – spytał Van Veeteren.

– Próbowałem na komendę, ale powiedziano mi, że już pan wyszedł.

– O co chodzi?

– Chodzi o Jaana G. Hennana, który został dzisiaj uznany za niewinnego. A mówi się, że pan do tej pory rozwiązywał każdą sprawę...

Mężczyzna zrobił pauzę, lecz Van Veeteren milczał nadal.

– ...dlatego bylibyśmy zainteresowani komentarzem pana komisarza.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Ale skoro pan dotychczas rzeczywiście...

– Czy pan nie rozumie, co się do pana mówi? Przed chwilą oznajmiłem panu, że nie mam nic do powiedzenia.

Na trzy sekundy zaległa cisza.

– Aha – odezwał się dziennikarz. – Wobec tego dziękuję.

– Proszę – rzekł komisarz.

Rozmowa z Erichem trwała pół godziny.

A przynajmniej minęło trzydzieści minut od chwili, kiedy syn wszedł do jego pokoju, do momentu, gdy go opuścił. Erich siedział na łóżku, on zaś oparł się o brzeg biurka. To, co zostało powiedziane, dałoby się zawrzeć na serwetce albo w sonecie, pomyślał, gdyby ktoś miał ochotę to spisać. Ale najważniejsze, że powstało między nimi coś na kształt porozumienia.

Przynajmniej tak mu się wydawało. A jakby na potwierdzenie tej nowej i nieoczekiwanej relacji całkiem pod koniec rozmowy Erich przejął inicjatywę.

– Właściwie to jest tylko jeden problem – powiedział.

– Jaki? – odrzekł ojciec.

– Nie podoba mi się na tym świecie – oznajmił syn. – Co człowiek ma robić, jak tak naprawdę nie chce mu się żyć?

W pierwszej chwili nie zrozumiał, co Erich powiedział, ale potem słowa zbiły się w zaciśniętą pięść z lodu, która opadała w nim coraz niżej i wreszcie zatrzymała się gdzieś tuż pod sercem.

„Jak tak naprawdę nie chce mu się żyć?”.

To jego własny syn.

Minęła nieskończoność małych, mikroskopijnych jednostek czasu, podczas gdy lód na zmianę to twardniał, to trochę się topił, podczas gdy obaj, zarówno ojciec, jak i syn, zdawali się tkwić zamknięci w czymś w rodzaju indywidualnej samotności. Z powrotem na start. Albo na poziom zero.

Nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Żadnych słów.

A mówiąc dokładnie, przyszedł mu do głowy z tuzin rzeczy, które ewentualnie mógłby powiedzieć, lecz one wszystkie obciążone były letnią przemądrzałością, więc zrezygnował z nich. Siedzieli zatem, nic nie mówiąc, jak gdyby z szacunku wobec słów Ericha i wobec ciszy. Minęło pięć minut, może dziesięć. Potem nieporadnie wziął syna w ramiona i się wyprostował.

Zatrzymał się jeszcze w drzwiach.

– Pamiętaj, że cię kocham – powiedział potem. – Gdybym wierzył, że istnieje

jakiś bóg, modliłbym się do niego za ciebie.

– Wiem – odpowiedział Erich. – Dzięki.

Wiedział, że nie zaśnie, więc o północy wybrał się na spacer z Bismarckiem do parku. Włóczył się po parku Randera tak długo, że każdą cholerną ławkę i każdy cholerny kosz na śmieci minął co najmniej trzy razy.

Dlaczego nie chce się żyć, kiedy ma się szesnaście lat? – zachodził w głowę.

Próbował sobie przypomnieć, czy będąc w wieku Ericha, uważał życie za coś absolutnie oczywistego i niezbędnego, nie zdołał jednak ustalić, jak to wtedy z nim było.

Pomyślał, że ludzie chętnie sobie wmawiają, że dzieciom życie wydaje się łatwiejsze niż dorosłym. To jest niejako warunek wstępny bycia rodzicem, choć to oczywiście zupełnie fałszywe wyobrażenie i kłamstwo życiowe.

A skoro już był przy fałszywych wyobrażeniach, przypomniały mu się – całkiem nie w porę – te pozbawione oparcia i trochę domorosłe rozważania o trzecim składniku równania, które nie tak dawno go zajmowały, a także intuicyjna wypowiedź Heinemanna na temat G.

Że on nie należy do ludzi, którzy posługują się pomocnikami.

I że nie musiało być trzeciego składnika.

Muszę to odłożyć na półkę, uznał komisarz. Przynajmniej na jakiś czas. Inaczej zwariuję.

Zapalił papierosa, postawił kołnierz płaszcza, żeby osłonić się przed deszczem, i ruszył z powrotem do domu.

Mamusia wyjechała.

Mówią, że daleko. Ciocia Peggy tak mówi, i jednooki Adam, który przyjechał po nią i po jej rzeczy.

Może do innego kraju. Nie wiedzieli dokładnie, ale ona nie mogła mieszkać dłużej u Peggy. Minęło już dużo czasu. Dni i noce, i dni. Dużo więcej niż tydzień, o którym mówiła Mamusia. Może dwa tygodnie, a może więcej. Przez cały czas było lato. Spała u cioci Peggy wiele, wiele nocy, ale teraz przyjechał Adam, żeby ją zabrać.

Miała iść do domu, mówili.

Dom.

Ale nie ten, gdzie jest Mamusia. Tylko jakiś inny. Nie wiedziała, jakie różne rodzaje domów istnieją. Adam miał dużą, zieloną miękką torbę, do której spakowali jej rzeczy i jej ubrania. Ciocia Peggy przynajmniej wszystko wyprała, nic nie śmierdziało siusiami. Adam miał na sobie podkoszulek, taki z dziurami, przez które widać było, że jest całkiem owłosiony na brzuchu i na torsie. I też trochę na plecach, to było obrzydliwe.

Mówili, że Mamusia na pewno któregoś dnia wróci. Wróci i zabierze ją z tamtego domu, ale jeszcze nie teraz. Teraz była gdzieś daleko, miała dużo do zrobienia i nie miała czasu, żeby tu przyjechać i się nią zajmować.

Będzie jej tam dobrze. Będzie bawić się z innymi dziećmi, będzie miała swoje łóżko i szafkę na własne rzeczy. Całkiem blisko domu jest nawet niedużo jezioro, w którym można się kąpać, i pomost do skakania do wody. Przecież jeszcze jest lato.

Pojadą samochodem Adama. Będą jechać kilka godzin i dotrą na miejsce pod wieczór. Kolację zje już w domu i pozna swoje nowe koleżanki.

Ciocia Peggy uniosła ją do góry i przytuliła – z tym swoim niemiłym zapachem i swoimi dużymi cyckami. Adam poprawił sobie czarną klapkę na oku i powiedział, żeby się, do diabła, pospieszyły, bo najwyższy czas ruszać.

I spakowały wreszcie te cholerne lalki do torby.

Odsunęła zamek błyskawiczny i włożyła do środka Trudi, ale Bambę trzymała w ręku. Bamba to nie jest lalka, którą można tak wetknąć byle gdzie, tego nie rozumieli ani Adam, ani Peggy. Adam wziął torbę i poszli.

Nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy smucić. To było dziwne uczucie. Minie dużo

dni, zanim Mamusia przyjedzie z powrotem, tyle zrozumiała. Tygodnie i tygodnie. Ale już nigdy nie będzie spała u tej głupiej Peggy.

Nigdy więcej.

2002

Kwiecień – maj

Śniło mu się, że siedzi w antykwariacie i śpi.

Oczywiście na zapleczu, w fotelu z uszami, z książką rozłożoną na kolanach, z kubkiem kawy w specjalnym uchwycie przy podłokietniku, przy akompaniamencie deszczu bębniącego od ulicy o blachę okiennego parapetu.

Kwiecień, chyba najokropniejszy ze wszystkich miesięcy. Późne popołudnie; jeśli tylko nie było klientów, między piątą a szóstą rzadko udawało mu się nie zasnąć. Tym razem także, ale w końcu dlaczego miałby sobie nie pozwolić na piętnastominutową czy półgodzinną drzemkę, nie widział przeciwwskazań, zwłaszcza na tym etapie życia...

Zadźwięczał dzwonek przy drzwiach i go obudził.

Siedział na zapleczu antykwariatu z książką o Hiszpanii Nootebooma rozłożoną na kolanach. Pusty kubek po kawie tkwił w uchwycie przy podłokietniku, a deszcz bębnił o blaszany para...

Co jest, u diabła? – pomyślał. Czy to jawa, czy sen?

Czy właśnie się obudziłem, czy dopiero zasnąłem?

Potrząsnął głową. Poczuł, jak przeszywa go dreszcz. Co to oznacza, kiedy świat snu zlewa się z rzeczywistością? Czy nie jest to skrajna oznaka kompletnego upadku, czy też może czego innego? Czegoś całkowicie innego?

Słyszał, jak w sklepie ktoś zamknął za sobą drzwi. Szelest zdejmowanej przeciwdeszczowej kurtki. Lekkie chrząknięcie. Uznał, że to jednak nie sen.

– Halo? Jest tu kto?

Dźwignął się z fotela i potwierdził, że istnieje.

Kobieta miała jasne włosy i wyglądała na jakieś trzydzieści lat. Wystarczył mu jeden rzut oka, aby się zorientować, że nie przyszła tu z powodu książek, tylko sprowadziło ją zupełnie coś innego. Czekał, aż wytrze sobie mokre okulary rękawem szaroniebieskiego swetra.

– Van Veeteren? Szukam kogoś, kto nazywa się Van Veeteren.

– A co chodzi?

– Czy to pan? – Uśmiechnęła się niepewnie.

– Niewykluczone. Proszę może najpierw powiedzieć, o co chodzi, to się przekonamy. Zechce pani usiąść?

Już później – trzy, cztery i pięć miesięcy potem – mówił sobie, że miał wtedy przecucie. Że kiedy tam stała i szukała miejsca, gdzie mogłaby odłożyć swoją ociekającą wodą kurtkę, on doznał jakby olśnienia, co będzie. I że się – po raz ostatni? – w to rzuci.

Tak, to musiał być ostatni raz.

Ale to już było potem, widziane z perspektywy – rozumiemy życie do tyłu, lecz musimy przeżyć je do przodu; znał swojego Kierkegaarda – kiedy natomiast wziął od niej czerwoną kurtkę i rzucił ją na oparcie krzesła stojącego za masywnym biurkiem Hoegermassa zastawionym katalogami i stosami nowych, jeszcze nieposortowanych książek, kasetką na pieniądze, popielniczką i starym, wypłowiałym popiersiem Rilkego... wtedy, mówiąc szczerze, nie czuł bynajmniej, że podniesie się kurtyna i odsłoni się zagadka przyszłości. Co najwyżej odczuł muśnięcie ciekawości. Rodzaj niewyraźnego oczekiwania, nic ponadto.

Pewne rzeczy widzi się jednak dopiero później. Co niewątpliwie jest dobre. Wskazał kobiecie ręką kuchenną niszę, gdzie usiadła na jednym z wiklinowych krzeseł, on zaś zajął miejsce naprzeciw niej.

– To inspektor Münster przysłał mnie tutaj.

– Inspektor Münster?

– Tak.

– A...?

– Z wydziału kryminalnego policji. Rozmawiałam z nim wczoraj przez telefon. Zasugerował, że powinnam skontaktować się z panem... o ile to pan jest komisarzem Van Veeterenem?

Wykonał palcem wskazującym ruch, który można było odczytać jako zaprzeczenie.

– I tak, i nie.

– I tak, i nie?

– I tak, i nie, ale przede wszystkim nie. Kiedyś, w zamierzchłych czasach,

rzeczywiście byłem komisarzem. Dzisiaj jestem jedynie Van Veeterenem, wybawcą w potrzebie i sprzedawcą starych książek. Że też inspektor Münster nie może się tego nauczyć. Ale chyba pora, aby zdradziła pani, z jaką sprawą pani przychodzi, panno... czy też pani?

– Pani.

– Oczywiście. Bo dlaczego taka ładna kobieta jak pani miałaby żyć w pojedynkę?

Uśmiechnęła się nieznacznie, a on zauważył, że jego słowa musiały bardziej odpowiadać rzeczywistości, niż się spodziewał. Nie była powalająco piękna, lecz miała czyste rysy, a jej oczy lśniły ciepłym i szczerym blaskiem.

– Nazywam się Belle Vargas.

Przemknęło mu przez głowę, że powinien notować, nie widział jednak nigdzie pod ręką ani długopisu, ani kartki.

– Przychodzę do pana, bo niepokoję się o swojego ojca. On... nie wiem na pewno, ale wydaje mi się, że chyba zniknął.

– Zniknął?

– Tak. Właśnie dlatego poszłam wczoraj na policję... żeby zgłosić jego zaginięcie. A kiedy wróciłam do domu, zadzwonił ten inspektor...

– Münster?

– Inspektor Münster, tak. I zasugerował, żebym poszła do pana porozmawiać. Twierdził, że to pana zainteresuje.

Van Veeteren odchrząknął.

– Obawiam się, że nie bardzo rozumiem, co...

– Przepraszam. Moje panięńskie nazwisko brzmi Verlangen. Mój ojciec nazywa się Maarten Verlangen.

Uświadomienie sobie kontekstu zajęło mu dwie, może trzy sekundy. Ale gdy już do niego dotarł, Van Veeteren poczuł się jak powalony ciosem. Jakby... jakby ktoś ostrzem noża przejechał po dnie garnka albo pociągnął paznokciem po tablicy. Spojrzał na zegar. Do zamknięcia zostało jeszcze pół godziny. Belle Vargas skubała niespokojnie swoją torbę przewieszoną przez ramię. Widać było, że czeka, co on powie: czy ją odprawi, czy nie.

– Myślę... – zaczął. – Myślę, że dobrze nam zrobi filiżanka kawy.

Chyba jednak nie śpię? – przemknęło mu przez głowę.

– Od tamtej pory minęło piętnaście lat, mam nadzieję, że zdaje pani sobie z tego sprawę?

– Wiem. Już inspektor Münster zwrócił mi na to uwagę, ale ja dobrze o tym wiem i wcale nie trzeba mi tego przypominać. W ciągu ostatnich lat z moim ojcem źle się działo. Może lepiej będzie, jak powiem panu od razu – nie chcę twierdzić, że to wszystko zaczęło się od tamtej historii, ona jednak w jakiś sposób była decydująca... ona go złamała.

Zawahała się chwilę i zamieszała w swoim kubku z kawą.

– Belle? – powiedział Van Veeteren. – Pani ma na imię Belle? Rzeczywiście sobie przypominam, że mówił o swojej córce. Ile lat miała pani wtedy?

Nigdy nie powinno się pytać kobiety o jej wiek, pomyślał, lecz on chce tylko wiedzieć, ile miała lat jakiś czas temu, więc to zupełnie co innego.

– Szesnaście, siedemnaście – wyjaśniła. – Ojciec prowadził wtedy własne biuro detektywistyczne, ale po tamtej historii z G już nigdy nie udało mu się nabrać wiatru w żagle. Biuro wciąż istniało, owszem, zamknął je dopiero kilka lat temu, jednak prawie nigdy nie dostał już żadnego zlecenia...

– Rozumiem – odezwał się Van Veeteren i wyjął swoją maszynkę do zwijania papierosów. – Byłoby dobrze, gdyby mi pani opowiedziała, co tak naprawdę się wydarzyło. To znaczy teraz.

– Przepraszam – rzekła Belle Vargas, czerwieniąc się lekko. – Nie wiem, co się mogło stać... nie wiem nic poza tym, że zniknął. Normalnie kontaktujemy się ze sobą raz w tygodniu... co najmniej... a teraz minął już prawie miesiąc.

– Gdzie on mieszka?

– Przy Heerbanerstraat. W tym samym zatęchłym mieszkanku od rozvodu... od ponad dwudziestu lat. Mój ojciec raczej nie miał wesołego życia.

– Może uzmysłowił to sobie i zaczął gdzieś od nowa.

Roześmiała się.

– Ojciec? Nie, widzę, że pan go w ogóle nie zna. Poza tym nigdy by się nigdzie nie ruszył, nie mówiąc mi o tym. On jest...

Szukała odpowiedniego słowa.

– ...on jest dosyć samotny. Jestem chyba jedyną osobą, która coś dla niego znaczy. Ja i moje dzieci, mam chłopca i dziewczynkę...

– Rozumiem – powtórzył Van Veeteren. – Przyznaję, że już wtedy odniosłem wrażenie, że jest samotnym wilkiem... już wtedy. Piętnaście lat temu. Czyli mówi pani, że przypadł?

Skinęła głową i nerwowo przełknęła.

– Tak. O ile wiem, nie ma go w domu od trzeciego albo czwartego. Byłam u niego na Heerbanerstraat przedwczoraj i znalazłam w przedpokoju stos kopert i reklam, naturalnie głównie reklam. Chyba... chyba musiało się coś stać.

Jej głos lekko drżał i Van Veeteren stwierdził, że ta młoda kobieta jest bardziej zaniepokojona, niż do tej pory to okazywała.

– Czym ostatnio się zajmował?

Powinien był powiedzieć, nad czym pracował, ale było już za późno.

– Przez ostatnie lata był bezrobotny... pomijając jedną czy drugą przypadkową robótkę. No i chyba muszę powiedzieć od razu, że ojciec pije więcej niż powinien. Przypuszczam, że podobnie było już wtedy, kiedy pan go poznał. Pod tym względem raczej nic się nie zmieniło.

Van Veeteren pokiwał głową.

– Możliwe – powiedział. – Współczuję pani. Domyślam się, że to musi być dla pani trudne. Ale nie bardzo rozumiem, dlaczego przysłała pani z tym do mnie. A właściwie dlaczego inspektor Münster panią do mnie skierował. Przypuszczam, że rozesłano ogłoszenie o zaginięciu.

– Tak. I sprawdzono szpitale i inne takie... jestem przygotowana na to, że mógł zginąć w jakimś wypadku po pijanemu, ale nigdzie nie ma żadnych niezidentyfikowanych zwłok, które by odpowiadały... poza tym jest jeszcze parę innych rzeczy.

– Parę innych rzeczy? – spytał Van Veeteren. – To znaczy?

Sięgnęła do swojej torby, którą odstawiła wreszcie na podłogę, i wyjęła z niej kopertę. Otworzyła ją i wyciągnęła ze środka kartkę.

– To leżało na stole w kuchni.

Van Veeteren wziął ją od niej i przyjrzał się bliżej. Zwykła kartka A4 w linie,

najwyraźniej wyrwana z kołnotatnika. W dwóch oddzielnych linijkach napisano:

14:42

i

G. Mamy drania.

I to wszystko. Nieudolne pismo. Niebieski długopis, który tu i ówdzie zostawił nieduże ciemne plamy. G było trochę większe i mocniejsze niż pozostałe litery. Bez wątplenia agresywne. Cyfry podkreślone kreską. Na samym dole po prawej stronie widniał słaby jasnożółty ślad w kształcie niewyraźnego kółka, prawdopodobnie pozostawionego przez szklanekę z piwem.

Oddał jej papier i popatrzył na nią.

– No i?

Kobieta zawahała się.

– To oczywiście... niezbyt dużo, ale musi pan wiedzieć, że on był po prostu opętany tamtą historią z Hennanem. A przynajmniej co jakiś czas nie umiał się od niej uwolnić. Jakby tamta sprawa – i tylko ona – stanowiła jedyną przyczynę jego własnego niepowodzenia. Nie wyobraża pan sobie nawet, ile godzin przesiedziałam u niego, wysłuchując tej opowieści... Przez to wszystko stracił pracę w towarzystwie ubezpieczeniowym, nie wiem, czy pan się orientuje... Jeśli rzeczywiście tak jest, jak się mówi, że niektórzy ludzie potrzebują czegoś, na co mogliby zrzucić za wszystko winę, to w przypadku mojego ojca takim kozłem ofiarnym jest Jaan G. Hennan. Mam nadzieję, że rozumie pan, co mam na myśli?

– Chyba tak – odpowiedział Van Veeteren. – Życie nie zawsze układa się tak, jak byśmy sobie tego życzyli. Ale wspomniała pani, że jest kilka innych rzeczy. Czyli nie tylko ta kartka?

Potaknęła ruchem głowy.

– Tak. Z samej tej bazgraniny niewiele wynika. Był też jeszcze telefon.

– Telefon?

– Ojciec zadzwonił do nas i rozmawiał z moim synem Torbenem. Próbowaliśmy wyliczyć, kiedy dokładnie to mogło być. Prawdopodobnie na początku ubiegłego tygodnia, dziesięć, jedenaście dni temu. Wie pan, jak to jest z dziećmi... Torben ma dziesięć lat. Przypomniało mu się dopiero teraz, kiedy któregoś dnia siedzieliśmy

i rozmawialiśmy o dziadku i o tym, że go szukają...

I co pani syn powiedział?

– Ojciec zadzwonił i Torben odebrał. Był sam w domu, dlatego myślę, że to musiało być któregoś dnia w tygodniu, kiedy wrócił ze szkoły, a ja i mąż jeszcze byliśmy w pracy... prawdopodobnie w poniedziałek albo we wtorek.

– I co chciał pani ojciec?

Zanim odpowiedziała, zamilkła na chwilę. Świadomie dłużej zatrzymała na nim spojrzenie, jakby się chciała upewnić co do szczerości jego zainteresowania. Czy on rzeczywiście jej wierzy.

– Poprosił Torbena, żeby przekazał nam wiadomość – wyjaśniła. – Na nieszczęście syn o tym zapomniał. Ojciec podobno powiedział: „Chodzi o Jaana G. Hennana. Teraz już wiem, jak to było. Dziś wieczorem wszystko udowodnię”. Powtórzył to dwa razy i upomniął Torbena, żeby przekazał nam dokładnie, co usłyszał.

Van Veeteren zmarszczył czoło.

– Hm – mruknął. – A pani synowi wyleciało to z głowy?

– Niestety. Tyle rzeczy się dzieje. Ale przypomniał sobie słowo w słowo, kiedy zaczęliśmy o tym rozmawiać... Tak to bywa z dziesięciolatkami.

Van Veeteren zamyślił się na chwilę.

– „Teraz już wiem, jak to było. Dziś wieczorem wszystko udowodnię”. Czyli to są jego słowa, tak?

– Tak, i że chodzi o Hennana.

– Brzmi trochę... jak by to powiedzieć? Melodramatycznie?

– Wiem. Czasami taki bywa.

– Dziesięć, dwanaście dni temu?

– W każdym razie nie więcej niż dwa tygodnie.

– A pani wyliczyła, że nie ma go w domu... jak długo pani mówiła?

– Od czterech tygodni, na ile jestem w stanie ocenić.

– I nie potrafi pani powiedzieć, skąd dzwonił?

– Nie.

– Czy ojciec ma komórkę?

– Nie.

– Nie napomknął nic o tym, że chce zawiadomić policję czy coś w tym rodzaju?

– Nie, najwyraźniej nie. Jestem pewna, że Torben by zapamiętał, gdyby coś takiego od niego usłyszał.

Van Veeteren skręcił sobie papierosa w maszynie, po czym siedział, nic nie mówiąc, przez kilka chwil.

– A jak brzmiał jego głos, kiedy zadzwonił? Czy pani syn coś zauważył? To znaczy, czy...

– Domyślam się, o co panu chodzi. Oczywiście spytałam o to Torbena. Twierdzi, że dziadek był trzeźwy. Ponieważ syn kilkakrotnie widział mojego ojca w innym stanie, więc się orientuje. Powiedział tylko, że dziadek wydawał się dosyć... ożywiony... przejęty... jakby się spieszył. To była bardzo krótka rozmowa.

– I nie powiedział, że jeszcze raz zadzwoni?

– Nie. Nie wiem, co pan o tym sądzi, ale przynajmniej pana o tym poinformowałam. Ten inspektor namówił mnie do tego.

– Doskonale pani zrobiła – zapewnił ją Van Veeteren. – Dziękuję, że przyszła pani z tym do mnie. Inspektor Münster podjął właściwą decyzję.

Jeszcze raz sięgnął po kartkę i przyjrzał jej się w milczeniu.

– Te cyfry – powiedział w końcu. – 14.42... to wygląda jak godzina odjazdu. Pociągu albo autobusu?

Kobieta skinęła głową.

– Prawdopodobnie. Inspektor Münster też tak uważał... Może on rzeczywiście gdzieś wyjechał. Tylko że minęło już tyle czasu!

– I nie wspomniał, skąd dzwoni? Bo raczej nie mógł być u siebie w domu?

– On może być wszędzie. Torben jest pewien, że dziadek nie wspomniał ani słowem, gdzie się znajduje.

– A pani telefon nie ma przypadkiem... jak to się nazywa?

– Pamięci numerów? Niestety nie.

Van Veeteren odchylił się do tyłu i zamyślił. Belle Vargas dopiła swoją kawę i zdawała się zastanawiać, czy jest jeszcze coś, co mogłaby dodać, czy też powinna podziękować i wyjść. On zaś, mając mętlik w głowie, obserwował ją kątem oka.

– A niech to szlag – mruknął wreszcie pod nosem. – Po piętnastu latach. Choć z drugiej strony... z drugiej strony to może zupełnie nic nie znaczyć. Mówi pani, że on ma obsesję na tym punkcie?

– Przynajmniej co jakiś czas. Wyobrażam sobie, że mógł się bardzo zaangażować, jeśli tylko rzeczywiście zwiertzył jakiś trop. Nie jestem pewna, czy pan rozumie, jak...

– Doskonale rozumiem – przerwał jej Van Veeteren. Odchrząknawszy, poprawił się na krześle. – Pani mnie chyba nie docenia. Wietrzenie tropów to moja specjalność. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym kierowałem dochodzeniem w sprawie Barbary Hennan i spotkałem pani ojca wielokrotnie. Skontaktuję się z inspektorem Münsterem i zobaczymy, co da się zrobić. Czy wcześniej nigdy się nie zdarzyło, żeby pani ojciec zniknął na tak długo?

– Nigdy – odpowiedziała z naciskiem Belle Vargas. – Jestem pewna, że coś musiało się stać, i jestem panu niesłychanie wdzięczna, że chce mi pan pomóc. Mój ojciec jest... całkiem nieznaczącym człowiekiem...

– Nieznaczącym? – powtórzył za nią Van Veeteren. – Owszem, nie każdemu dane jest stać w światłach reflektorów. Ale proszę nie obiecywać sobie zbyt wiele. Miejmy nadzieję, że wszystko w naturalny sposób się wyjaśni i pani ojciec odnajdzie się cały i zdrowy.

Pokiwała głową. Następnie wstała, podała mu rękę i opuściła antykwariat. Przez okno widział, jak nasunęła na czoło kaptur, osłaniając się przed deszczem, i pospieszyła w kierunku Kellnerplejn.

Gdy zniknęła za samochodem meblowym przed Gestener's, uszczypnął się w ramię. Zabolało.

Naturalne wyjaśnienie? – pomyślał pięć sekund później. Maarten Verlangen cały i zdrowy?

Musiał przyznać, że nie wierzy ani w jedno, ani w drugie, a kiedy zamknął drzwi na klucz, przeszył go nagły dreszcz. Usiadł z powrotem na jednym z foteli do czytania.

G? Jeszcze raz?

Ostatnia runda?

W jego głowie z braku myśli krążyły tylko słowa, wiedział o tym i czuł, że chętnie by je powstrzymał. Były zbyt ciężkie jak na to delikatne przeczucie, które nagle w nim powstało. Niedające spokoju wrażenie, że jego jedyny w trzydziestoletniej policyjnej karierze niewyjaśniony przypadek może mimo wszystko mieć jeszcze niezaśpiewaną zwrotkę – wrażenie, które zniknie, jeśli on zacznie mieć nadzieję, deliberować i składać słowa.

Ostrożnie! – upomniał samego siebie. Nie rób sobie żadnych iluzji, antykwariuszu!

Podniósł się i opuścił żaluzje w drzwiach. Wrócił na zaplecze na swój fotel. Wyjął butelkę portwajnu oraz szklankę zza Schillera i Klopstocka, następnie nalał sobie do pełna. Usiadł wygodnie i zapalił papierosa, który skręcił podczas rozmowy z Bellą Vargas – po czym jak na zamówienie na siatkówce jego wewnętrznego oka wyłonił się znany obraz sali gimnastycznej.

Zastygła w czasie scena z Adamem Bronsteinem w cuchnącej macie, a potem jeszcze jedna, kilka minut później. Piekielna chwila.

Gdy... wyszli już stamtąd na zewnątrz. Gdy G zamknął drzwi do sali gimnastycznej i zarządził odwrót, i gdy jego nagle olśniło, jak mógłby uratować Adamowi życie. Zatrzymał się na boisku, udając, że rozwiązało mu się sznurowadło i musi je zawiązać. Przykucnął wśród czerwonych i żółtych jesiennych liści obok stojaka na rowery i zaczął manipulować przy bucie – a wszystko przebiegało, jak się spodziewał: G nie przystanął, żeby na niego poczekać, rzucił tylko przelotnie okiem i poszedł z pozostałymi w stronę wejścia do szkoły.

A jego nagle opuściła odwaga. Zamiast odczekać, aż G i reszta znikną w ciemnym wejściu, i ruszyć z powrotem do sali gimnastycznej – zamiast tego oczywistego kroku, podnosi się i biegnie za tamtymi.

W końcu to nie on zawiązał Adama Bronsteina w matę.

Nie on ponosi za to odpowiedzialność.

To nie on jest...

Otworzył oczy i obraz zniknął.

Czy to dlatego go nienawidzę? – pomyślał. Dlatego że zachwiał mną i uczynił mnie współwinnym? Współwinnym po raz pierwszy? Pięćdziesiąt lat temu?

Spojrzał na zegar. Był kwadrans po szóstej... nagle przypomniał sobie, że spodziewają się dzisiaj gości: dwoje dzieci Ulrike i jego własnej wnuczki Andrei z jej mamą. Ulrike zamierzała zrobić paellę i na pewno potrzebuje jego pomocy.

Poczuł, że tęskni za nią. I za tym, żeby stanąć razem z nią w kuchni i wspólnie pichcić, popijając chianti i czując zapach chleba rosnącego w piecu. Bardzo tęskni.

Boże drogi, pomyślał. Mam sześćdziesiąt pięć lat i jestem zakochany jak nastolatek.

Zerwał się z fotela i opuścił antykwariat.

Późnym wieczorem zadzwonił do Münstera. Nie rozmawiał z nim – ani z żadnym innym z dawnych kolegów – od kilku miesięcy, i czuł się teraz niemal jak intruz. Dziwne, ale prawdziwe.

Okazało się, że Münster nie wie nic więcej o Verlangenie poza tym, co usłyszał od Belle Vargas. Poprzedniego dnia ogłoszono jego zaginięcie i wszczęto oficjalne poszukiwania, lecz do tej pory – po upływie doby – nie napłynęły jeszcze żadne informacje. Umówili się, że spotkają się za kilka dni i przedyskutują sprawę. Jeśli w tym czasie zdarzy się coś ważnego, Münster obiecał natychmiast poinformować o tym *komisarza*.

Münster nie wypowiedział tego słowa, ale Van Veeteren czuł wyraźnie, że miał je na końcu języka.

Komisarz.

Gdybym został, jesienią przeszedłbym na emeryturę, przemknęło mu przez głowę. A może tak czy inaczej czeka mnie jeszcze jedna rozgrywka z G? Może główny reżyser właśnie tak to sobie zaplanował?

Czy to możliwe? Główny reżyser?

Pokręcił głową, próbując przełknąć tę myśl razem z łykiem chianti.

Ale się nie dała. Tkwiła uparcie.

Minęło pół roku od czasu, kiedy ostatnio widział się z Münsterem – oraz dziesięć miesięcy od ich wspólnego meczu w badmintona – i było to nieoczekiwane pamiętne spotkanie.

Inspektor jeszcze tego samego ranka leżał w łóżku złożony grypą (poprzedniego wieczoru miał 38,3 gorączki) i był blady jak trup. Van Veeteren bez problemu wygrał pierwszy set 15:10, a w drugim, przy stanie 10:3, Münster poddał się, gdy przeganiany z jednego końca boiska w drugi przez niemającego litości rywala wyglądał jak zraniona łania.

– Jeśli o mnie chodzi, jestem w całkiem niezłej formie – oznajmił skromnie Van Veeteren, wspierając pokonanego w drodze do szatni. – Ale może nie muszę wcale tego mówić?

Münster dyszał ciężko i nic nie odpowiedział. Van Veeteren przez chwilę szukał jakichś słów pocieszenia, lecz nie znalazłszy odpowiednich, zrezygnował. Wzięli prysznic, przebrali się i usiedli w kafeterii, żeby napić się piwa względnie wody i porozmawiać o Maartenie Verlangenie.

– I co ty o tym myślisz? – spytał Van Veeteren. – Według ciebie coś się za tym kryje?

Minęły trzy dni od wizyty Belle Vargas w antykwariacie, a Verlangena jak nie było, tak nie było. Münster wypił pół litra lodowato zimnej wody i wyglądał na dosyć niezdecydowanego.

– O ile dobrze zrozumiałem, trudno cokolwiek powiedzieć – rzekł. – Przeprowadziliśmy dodatkowe dochodzenie w sprawie Hennana, tak jak *komi...* tak jak nas prosiłeś... a mówiąc dokładnie, próbowaliśmy przeprowadzić dodatkowe dochodzenie.

– No i?

– I guzik, nic to nie dało, mimo że Kraus omal nie pozdzierał sobie palców do krwi, waląc w klawisze komputera. Hennan nie należy do ludzi, którzy mieliby własną stronę internetową.

– Akurat z tym mogę się zgodzić – potwierdził Van Veeteren.

– Zdaje się, że wyjechał z kraju w kilka miesięcy po rozprawie, czyli jeszcze w osiemdziesiątym siódmym. Oczywiście dopiero wtedy, jak dostał pieniądze z ubezpieczenia i... od tamtego czasu wszelki ślad po nim zaginął. Buenos Aires, może Kalkuta albo Oslo? Może być w dowolnym miejscu kuli ziemskiej, zgaduj-zgadula.

– Hmm – mruknął Van Veeteren. – I pewnie zdążył mieć kilka kolejnych żon... minęło przecież piętnaście lat. Domyślam się, że sprawa Verlangena wygląda równie beznadziejnie?

Münster dolał sobie wody do szklanki i westchnął ciężko.

– Owszem. Chociaż on na pewno nie jest w Kalkucie. Krause sprawdził tę godzinę odjazdu pociągu czy co to było...

– Tak, to musiała być godzina odjazdu pociągu – potwierdził Van Veeteren. – Albo autobusu, choć moim zdaniem to mniej prawdopodobne. Samoloty startują albo o równych godzinach albo planowane są w zaokrągleniu do pięciu minut. Przynajmniej z Sechshafen... to znaczy według rozkładu, a to nie zawsze jest to samo. Nieważne. Przyjmijmy, że to był pociąg.

– Jeśli o mnie chodzi, proszę bardzo – zgodził się Münster. – Tyle że nie ma takiego pociągu, który odchodziłby o 14:42 z Maardam. Żaden też nie przyjeżdża o tej godzinie... według rozkładu.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął z niej kopertę.

– Ale skoro już mamy do dyspozycji komputery...

Podał kopertę Van Veeterenowi.

– Co to jest?

– Zestawienie – wyjaśnił Münster. – Tak jak chciałeś, skupiliśmy się na ruchu pociągów. Na jednej kartce masz wszystkie stacje w kraju, z których za osiemnaście trzecia odchodzi jakiś pociąg, a na drugiej dworce, na które o tej godzinie coś przyjeżdża.

Van Veeteren rozłożył kartki i wpatrzył się uważnie w kolumny z nazwami miejscowości.

– To przecież... – zaczął. – I co ja mam z tym zrobić?

Münster rozłożył ręce.

– Nie wiem. Krause mówi, że to zajęło mu tylko minutę. Na razie udało nam się tyle.

– Dopij tę swoją idiotyczną wodę i wynośmy się stąd – powiedział Van Veeteren.

Kilka dni później, we wtorkowy poranek na początku maja – i po tym, jak przez trzy noce z rzędu walczył ze snami, w których w taki czy inny sposób pojawiał się G – miał już dość. Zadzwoił do Belle Vargas i poprosił o spotkanie. Nie widział innego wyjścia.

Okazało się, że pracuje jako fizjoterapeutka w prywatnym gabinecie zaledwie kilka ulic od Zaułka Kupńskiego i że między dwunastą a pierwszą ma przerwę na lunch. Ponieważ pogoda była ładna, Van Veeteren zaproponował na miejsce spotkania uliczną kawiarenkę na Keymer Plejn, ona zaś uznała to za dobry pomysł.

W jej głosie było chyba oczekiwanie, przynajmniej odniósł takie wrażenie, kiedy odłożył słuchawkę. Miał nadzieję, że nie spodziewała się od niego żadnych nowych wiadomości dotyczących jej ojca.

Liczył raczej na to, że to ona z czymś przyjdzie.

Tak się jednak nie stało. Po Maartenie Verlangenie nie było śladu już od ponad miesiąca – albo o połowę krócej, jeśli uznać za ostatni znak życia jego rozmowę telefoniczną z wnukiem Torbenem.

Nie ma więc podstaw do optymizmu, pomyślał Van Veeteren, ale przynajmniej pogoda jest przyjemna. Łagodny wietrzyk i co najmniej dwadzieścia stopni ciepła. Znaleźli wolny stolik zaraz pod pomnikiem Alexandra, a kiedy usiedli i złożyli zamówienie, stwierdził, że córka Verlangena się poddała.

Po prostu. Belle Vargas uznała, że jej ojciec nie żyje. I przyjęcie tego do wiadomości dało jej swego rodzaju siłę; to oczywiście paradoksalne, lecz on dobrze znał takie zjawisko z podobnych sytuacji, jakie miał okazję obserwować w ciągu lat pracy.

Bo łatwiej jest dźwigać smutek niż niepewność.

Przynajmniej na dłuższą metę. Nie ma reguł, jak radzić sobie z niepewnością. Żadnej metody, jak się z nią obchodzić, pomyślał. Co innego śmierć – ona obudowana jest rytuałami.

– Wiem, że on nie żyje – przyznała głośno, jakby na potwierdzenie jego niewypowiedzianych przeczuć.

– Chyba rzeczywiście najlepiej będzie przyjąć takie założenie.

Spojrzała na niego z wyrazem lekkiego zdziwienia. Zrozumiał, że chyba spodziewała się po nim czegoś wręcz przeciwnego.

– Chcę... to znaczy moim zdaniem to ważne, żeby go znaleźć.

– Oczywiście.

– Rozmawialiśmy o tym niedawno z mężem... gdzieś przeczytał, że ceremonia pogrzebowa to najstarszy przejaw... swego rodzaju cywilizacji. To, że opiekujemy się naszymi zmarłymi i tak dalej.

– Niewątpliwie – zgodził się Van Veeteren. – Poza tym to jeden jedyny raz w życiu, kiedy forma i treść całkowicie się zgadzają. Oczywiście, że to ważne.

Zorientował się, że chyba nie do końca zrozumiała, co miał na myśli, mimo to nie zamierzał rozwijać swojej refleksji.

– Mam niewielką prośbę – powiedział natomiast.

– Prośbę?

– Pod warunkiem że nadal pani chce, abym zajął się tą sprawą. Tylko proszę nie oczekiwać za wiele, bo jestem stary i trochę wyszedłem z formy... pięć lat w zakurzonej antykwariacie raczej nie wyostrza węchu, musi mieć pani tego świadomość.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

– Sądzę, że nadal dysponuje pan wieloma duchowymi możliwościami. W czym miałabym panu pomóc?

– Chciałbym zajrzeć do jego mieszkania.

Skinęła głową.

– Policja już w nim była.

– Wiem. Nie wyobrażam sobie oczywiście, że natrafię na coś, co oni przegapili, ale to mimo wszystko nie zaszkodzi.

Zawahała się chwilę.

– To nie jest... przyjemny widok.

– Nie ma znaczenia. Ale ma pani klucz, prawda?

– Tak, jasne. Oczywiście może pan tam pójść i się rozejrzeć, jeśli chce pan zadać sobie ten trud. Chyba nawet mam ten klucz przy sobie.

Pogrzebawszy w swojej torbie, wyjęła po chwili skórzane etui z wiązką kluczy i odpięła jeden z nich.

– Mam nadzieję, że nie chce pan, abym panu towarzyszyła?

– Chyba że mi pani nie ufa i woli pani iść ze mną.

– Ależ skąd, oczywiście, że panu ufam. Kiedy... zamierza się pan tam wybrać?

Zastanowił się przez chwilę.

– Dziś wieczorem. Jeśli dziś wieczorem mógłbym rozejrzeć się tam trochę, byłoby to...

– ...wobec tego przyjdę po klucz jutro po południu do antykwariatu – wtrąciła. –

Bardzo panu dziękuję, że poświęca pan swój czas. Chciałabym się panu jakoś odwdzięczyć. Gdybym mogła...

– Co też pani opowiada – przerwał jej. – Nie ma się za co odwdzięczać. Ta sprawa Hennana ciągnie się za mną od piętnastu lat. Jeśli istnieje choćby minimalna szansa, aby rzucić na nią światło, to mogę się z tego powodu tylko cieszyć.

Przyjrzała mu się z nagłym zainteresowaniem.

– Rozumiem. Czy chce pan przez to powiedzieć, że ona pana też prześladowała? Nie tylko mojego ojca?

Prześladowała? – powtórzył w duchu. To chyba za mocne określenie.

– W każdym razie nie udało mi się całkiem o niej zapomnieć – przyznał.

Ledwie wszedł do mieszkania przy Heerbanerstraat i zamknął za sobą drzwi, gotów był podpisać się pod opinią Belle

Vargas.

Dom Maartena Verlangena nie stanowił miłego widoku.

Przedpokój miał dwa metry kwadratowe powierzchni, a na jego wyposażenie składało się kilka codziennych gazet rozpostartych na podłodze i mahoniowa komódka na trzech nogach z pękniętym lustrem. Leżąca zaraz na prawo kuchnia była urządzona klasycznie prosto: znajdowały się w niej stół z laminatowym blatem bez obrusa, dwa drewniane taborety i około dwustu pustych butelek. Te ostatnie stały gdzie popadnie – w małych skrzynkach na podłodze, na stole, w zlewku, na

rozklekotanej i podejrzanie głośno buczącej lodówce. Postanowił, że nie otworzy jej za żadne skarby świata.

Sypialnia znajdowała się po lewej. Żaluzje były wprawdzie opuszczone, ale brudne światło zmierzchu przesączało się do środka, ponieważ kilka lamelek było popsutych. W mroku dało się zauważyć niezasłane łóżko i nocną szafkę, martwą roślinę w doniczce na kwietniku na jednej nodze i stos nieposkładanych ubrań, pod którym ukrywał się prawdopodobnie jakiś mebel do siedzenia.

Pokój dzienny był nawet jako tako urządzony. Stały w nim krzywy regał na książki z szybą, stół, kanapa obita sztruksem i fotel. Poza tym telewizor i wieża stereo, oba sprzęty tak zakurzone, że wyglądały, jakby były pokryte pleśnią. I nowoczesne biurko z jasnego drewna z krzesłem na kółkach. Na dwóch ścianach wisały postrzępione na brzegach reprodukcje Van Gogha. Trzecią zakrywał gigantyczny olejny obraz w mglistej zieleni, a czwartą wypełniało szare okno i chorobliwie blade drzwi prowadzące na miniaturowy balkon z widokiem na kilkukondygnacyjny parking. Gazety, czasopisma i ulotki reklamowe leżały porozrzucone naokoło, jedynie na biurku dało się zauważyć nieśmiałe oznaki porządku w tym chaosie. Przy odrobinie dobrej woli. Stał na nim telefon, szary metalowy stelaż z szufladkami na rachunki i inne ważne dokumenty usianej kolcami drogi życia, leżał też otwarty kołonoatnik (ten sam, zakładał Van Veeteren, z którego Verlangen wyrwał kartkę z godziną odjazdu pociągu i zapiskiem o G). Kilka nabazgranych cyfr totolotka świadczyło o tym, że nawet Maarten Verlangen nie tracił nadziei na przyszłość.

Wszystko razem jednak rzeczywiście nie stanowiło miłego widoku.

Dla zmysłu węchu też nie było to przyjemne doznanie. Odór był dosyć wyraźnie wyczuwalny. Słodko-kwaśny zapach starych resztek jedzenia, starych niepranych ubrań, starej brudnej podłogi i starego faceta. Wszędzie. I zarośnięta pleśnią łazienka, do której tylko zajrzał i od razu stwierdził, że nie działa oświetlenie.

Stanął w pokoju dziennym i walczył sam ze sobą.

Szlag by to trafił, pomyślał. Powinienem, ale nie chcę. Czego ja tu właściwie szukam?

Czy naprawdę sądził, że zdobędzie się na to, żeby grzebać w tym odrażającym

chlewie?

Jeśli dwaj policjanci z kryminalnej poświęcili sześć godzin i nie znaleźli nic, co można by uznać za jakąś wskazówkę, to ile godzin potrzebował na wpół stetryczały antykwariusz, żeby na coś natrafić?

Pokręcił głową w reakcji na tak zadane pytanie. Zapalił papierosa i zrobił jeszcze jedną rundkę po mieszkaniu.

Potem poddał się i pojechał do domu.

Byłem kiedyś komisarzem policji kryminalnej, pomyślał. Kiedyś.

Wieczorem poszedł z Ulrike do kina. Obejrzał razem z nią dwa filmy z *Dekalogu* Kieślowskiego i potem cały czas się zastanawiał, jak to, u diabła, możliwe, żeby stworzyć coś tak stuprocentowo prawdziwego przy tak minimalnych środkach. Czysty cud! – oświadczył Ulrike, kiedy wracali spacerem do domu wzdłuż Langgraacht, i ona się z nim zgodziła. Gdybyśmy umieli patrzeć na życie przez oko kamery Kieślowskiego, stwierdziła, może pewnego pięknego dnia nawet byśmy co nieco zrozumieli.

Później, już po północy, gdy ta cudowna kobieta zasnęła, poczuł, że obrazy tamtej przynębiającej dzielnicy Warszawy wciąż w nim są i że w jakiś osobliwy sposób zaczynają zlewać się z popołudniowymi obrazami z mieszkania Verlangena.

Leżał w łóżku i próbował zasnąć, mając wciąż ten przedziwny kolaż na siatkówce wewnętrznego oka, szybko jednak zrozumiał, że to niewykonalne. Wstał cicho i w salonie włączył CD z muzyką Preisnera. Zapalił lampę w rogu przy kanapie i wyjął zestawienie, które w ubiegłym tygodniu dostał od Münstera.

Wszystkie dworce, z których o 14:42 odjeżdżają pociągi w jakimkolwiek kierunku.

I wszystkie stacje, na które o tej samej godzinie przybywają pociągi z różnych stron.

Siedział przez chwilę, trzymając w każdej ręce po jednej liście. Następnie odłożył na bok listę z odjazdami. Jeśli przyjąć, pomyślał, jeśli odważyć się i przyjąć, że Verlangen wybrał się gdzieś z Maardam, z którego o 14:42 nie odjeżdża żaden pociąg, ta godzina musi oznaczać czas przyjazdu.

Ale dlaczego zawracać sobie głowę i zapisywać, kiedy jakiś pociąg przyjeżdża na

miejsce – chyba że ktoś miał po niego wyjść? A może chodziło o połączenie?

Dwadzieścia sześć. Jest dwadzieścia sześć miejscowości w kraju, do których pociąg przyjeżdża o 14:42. Siedemnaście z nich kursuje każdego dnia tygodnia. Cztery wyłącznie w dni powszednie. Trzy w niedziele i święta, a dwa jedynie w soboty.

W każdym razie według komputera inspektora Krausego.

Wyciągnął się na kanapie. Czy Maarten Verlangen pojechał w któreś z tych miejsc? Siedział przy swoim zapaskudzonym kuchennym stole albo przy biurku i zapisał te cyfry, a wcześniej zadzwonił do informacji na Dworcu Centralnym w Maardam?

Nie można było tego wykluczyć. Bynajmniej. Ziewnął. Zaczęło mu być zimno, więc nakrył się kocem.

I w końcu: czy to w tamtej miejscowości – jednej z dwudziestu sześciu – spotkało go ostateczne przeznaczenie, tego moralnie zepsutego detektywa?

Ostateczne przeznaczenie? – pomyślał Van Veeteren. Moralnie zepsuty! Co to za określenia wydostają się z bulgotem z bagna moich ociężałych myśli? Co ja sobie wyobrażam? Pora z tym skończyć... najwyższa pora.

Zgasił lampę i zasnął.

I dokładnie w tej klarownej chwili między jawą a snem ujrzał, jak to mogło się potoczyć.

To było jasne jak słońce. Jakby dodać jeden do jednego.

– Co? – rzucił inspektor Krause. – Nie bardzo rozumiem.

– No dobrze, wobec tego powtórzę – powiedział Van Veeteren. – Chyba jeszcze pamiętasz, że w ubiegłym tygodniu przycisnąłeś guzik w swoim cudownym komputerze i wydrukowałeś sporą liczbę nazw miejscowości, biorąc za podstawę określoną godzinę w rozkładzie jazdy pociągów... 14.42? To musiało być chyba w środę albo w czwartek, o ile...

– Oczywiście – przerwał mu Krause lekko urażony. – Nie o to pytałem. Gdyby pan *komisarz*...

– Oj, daj spokój – teraz z kolei przerwał mu *komisarz*. – Nie mam z tym tytułem nic wspólnego już od pięciu lat, to chyba dość czasu, żeby pan inspektor zdążył sobie to przyswoić.

– Przepraszam – powiedział Krause. – Nie chciałem pana dotknąć. Ale co z tym telefonem?

– Wiesz, że jakieś trzy tygodnie temu Verlangen zadzwonił i rozmawiał ze swoim wnukiem?

– Tak, słyszałem o tym...

– No więc chciałbym się dowiedzieć, skąd on dzwonił.

– Aha. A jak...?

– W dzisiejszych czasach to chyba żadna filozofia.

– Ale jeśli on dzwonił ze swojej komórki, nie da się...

– Z komórki?

– No tak.

– Nie wszyscy ludzie mają telefony komórkowe, w przeciwieństwie do tego, co poniektórzy myślą. Na przykład Maarten Verlangen nie miał.

– Ach tak. Chodziło mi tylko o to, że...

– Co oznacza, że musiał dzwonić z telefonu stacjonarnego. Może z automatu na kartę albo na monety, czyli w tej sytuacji dla bystrego inspektora policji kryminalnej nie powinno być raczej problemu z ustaleniem takiego szczegółu.

– Dziękuję – odezwał się Krause. – Rozumiem.

– To dobrze. Chodzi o połączenie z domem rodziny Vargas przy Palitzerstraat. Ich numer to 213 32 35. Między dwunastym a osiemnastym kwietnia mniej więcej. Zależałoby mi potem na porównaniu...

– ...na porównaniu z listą odjazdów i przyjazdów pociągów – dopowiedział Krause. – Teraz już rozumiem i bardzo przepraszam, że sami od razu na to nie wpadliśmy. Zaraz się tym zajmę. Gdzie mogę złapać pana *komi*... gdzie mam zadzwonić, kiedy będę gotowy?

– Do antykwariatu Krantzego – rzucił Van Veeteren. – Tam siedzę i czekam. Masz numer, tak?

Krause potwierdził, że ma, i spytał, czy może zrobić coś jeszcze.

Nie, przynajmniej na razie, zapewnił Van Veeteren i się rozłączył. Oparł się wygodnie w fotelu i sięgnął znowu po Nootebooma.

Jeden do jednego.

Czy nie mogli zrobić tego na własną rękę? – zadał sobie pytanie, czekając na telefon. Dlaczego przeoczyli taką prostą rzecz jak zestawienie jednego z drugim?

Rozmowy telefonicznej z nieznanego miejsca i podróży pociągiem w nieznanym miejscu.

To jedyne dwie wskazówki, jakie mają, a mimo wszystko nie potrafili ich ze sobą połączyć. To naprawdę żałosne!

Choć może z drugiej strony to wcale nie takie dziwne. Zniknięcie Verlangena z całą pewnością nie znajdowało się wysoko na liście priorytetowych zadań policji w Maardam. O ile w ogóle znajdowało się na jakiegokolwiek liście. Kolejne zgłoszenie wśród setek innych. Może wręcz należało zaliczyć to na plus, że Münster zauważył związek ze sprawą G?

Ewentualny związek. Nagle ogarnął go spory sceptycyzm i poczuł się nieswojo, że był taki obcesowy dla Krausego. Jak duża właściwie jest szansa, że te dwie nici gdzieś się przetną? I czy to rzeczywiście możliwe, żeby ustalić, skąd Verlangen dzwonił tamtego dnia w kwietniu? A jeśli w tym czasie, który on podał, było kilkanaście połączeń z miejscowości znajdujących się na liście? Na przykład z Saaren czy z Malborka... Przecież ktoś mu chyba mówił, że mąż Belle Vargas ma starych,

schorowanych rodziców, którzy mieszkają gdzieś na północy i dzwonią do niego każdego dnia, i opowiadają o tym i owym oraz informują, jak funkcjonują ich żołądki.

Jestem zarozumiałym osłem, stwierdził gorzko, po czym poszedł włączyć wodę na kawę. Powinni cieszyć się na komendzie, że w porę zrezygnowałem.

– Dwie – powiedział Krause. – Są dwie możliwości.

– Okej – odrzekł Van Veeteren. – Jestem ci wdzięczny, że się tym zająłeś.

– Słucham? – spytał Krause.

– Powiedziałem, że jestem wdzię... a zresztą wszystko jedno. No, mów!

– No więc tak – zaczął Krause i odchrząknął. – Razem z panią Vargas sprawdziłem wszystkie połączenia przychodzące na jej numer między dwunastym a osiemnastym kwietnia... zgodnie z danymi, jakie dostałem od spółki telefonicznej. Według niej dwa są najbardziej prawdopodobne. A mówiąc dokładnie, właściwie jako jedyne wchodzi w rachubę. Być może jedno da się jeszcze wykluczyć, jak porozmawiamy z jej mężem, do tej pory nie było takiej okazji.

– Rozumiem – odezwał się Van Veeteren. – To o jakie dwie miejscowości chodzi?

– Karpatz i Kaalbringen – wymienił Krause. – Czternastego albo szesnastego. Przypominam sobie... wiem, że Kaalbringen jest na liście pociągów.

– Ale Karpatzu na niej nie ma.

– Nie – potwierdził Krause. – Tak więc...

– Tak więc można powiedzieć, że jest tylko jedna możliwość.

– Hmm – mruknął Krause. – Jeśli mamy połączyć oba te elementy – to tak.

Wiedziałem, pomyślał Van Veeteren. A niech to szlag! Jakimś cudem, dzięki krótkiemu zwarciu w komórkach nerwowych mojego wyjąłowionego mózgu – wiedziałem.

– Halo?

– Tak?

– Czy pan *komisarz* jeszcze tam jest? Ojej, przepraszam...

– Nie szkodzi. Jestem, jestem. A więc Kaalbringen... Nie powinniśmy robić sobie zbyt dużych nadziei, jeśli jednak uważamy, że warto jest podjąć wysiłek i spróbować odnaleźć Maartena Verlangena, przynajmniej jest to jakaś mała wskazówka. Mam rację?

– Niewątpliwie – zgodził się Krause. – Muszę przyznać, że ja...

– Oczywiście ty masz swoje priorytety, całkowicie to rozumiem. W każdym razie dziękuję za starania, może nadarzy się okazja, że będę mógł się zrewanżować.

Krause wydukał coś niezrozumiałego. Van Veeteren podziękował mu jeszcze raz i odłożył słuchawkę.

On jest za młody, pomyślał. Nie było go wtedy przy sprawie Hennana ani w Kaalbringen.

Ale co innego inspektor Münster!

On miał do czynienia i z jednym, i z drugim.

Usiadł na krześle.

Jedno i drugie? Linden i Kaalbringen? Van Veeteren pokręcił głową. Co za niezwykle zbieg okoliczności...

Oczywiście Jaan G. Hennan i zabójca z siekierą z małego nadmorskiego miasta na północy nie mieli ze sobą nic wspólnego, to jedynie w jego prywatnej wersji dziejów zdarzenia obierały tę samą drogę.

Kaalbringen i sprawa G.

A jednak to dziwne. Wzorce i prawidłowości? – przemknęło mu przez głowę. Niech to szlag. Skręcił papierosa i go zapalił. Zastanawiał się, czy ma zadzwonić do Münstera od razu, czy też zostawić sobie trochę czasu do namysłu i rozważenia praktycznych punktów widzenia. Zdecydował się na ten drugi wariant – bo do jakichkolwiek wniosków czy planów by doszedł, pośpiech w tej sprawie nie był konieczny. To jedyna pewna rzecz. Verlangen zniknął co najmniej trzy tygodnie temu i jeśli nawet jego los i jego przygody kryją się we mgle niejasnych okoliczności, chyba można mimo wszystko podpisać się pod pesymistyczną opinią jego córki.

Istnieje niewielka szansa, by nadal był przy życiu.

Van Veeteren westchnął.

Zadał sobie pytanie, na jakiej podstawie mógł wyciągnąć taki wniosek, lecz nie znalazł na nie odpowiedzi. Wyszedł z kuchennej niszy i sięgnął po butelkę portwajnu.

Szef policji Hiller przesadzał właśnie dwie miniaturowe akacje, gdy Münster wszedł do jego gabinetu na czwartym piętrze. Oczywiście inspektor nie byłby w stanie sam rozpoznać, że są to akacje (co najwyżej, że to odmiana miniaturowa, bo

nie przypominała tej normalnej), ale Hiller udzielił mu wyjaśnienia, zanim Münster zdążył usiąść.

Zupełnie jakby chodziło o wzajemną prezentację, przemknęło mu przez głowę. Akacja, miniaturka – Münster, inspektor policji kryminalnej! Miło mi. Szef rozłożył na biurku gazety i pracował w samej koszuli z krótkimi rękawami i krawatem przerzuconym na plecy. Napełniał ziemią z dużego plastikowego worka gliniane doniczki i kciukami ostrożnie ją ugniatał, aby rośliny stały stabilnie.

– Ta historia z Verlangeniem – powiedział, nie przerywając pracy ani nie podnosząc wzroku znad biurka.

– Tak?

– Słyszałem o niej przez przypadek. Nie możemy ulegać jakimś dzikim fantazjom.

– Co szef ma na myśli? – spytał Münster.

– Dokładnie to, co mówię – odrzekł Hiller. – Verlangen to stary cwaniak, który przepadł, i tyle. Dawno temu pracował u nas i miał coś wspólnego z pewną starą sprawą, która dzisiaj należy już do historii. Do historii, Münster!

– Do historii – powtórzył za nim inspektor.

– Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent wpadł po pijanemu do któregoś kanału, przecież podobno miał spore problemy z alkoholem. I pewnie kiedyś wypłynie, nie ma jednak sensu, żebyśmy teraz tracili na to energię... zdaje się, że roboty nam nie brakuje. Jest przecież ta diabelna sprawa w Bossingen, no i ci przekłęci bracia Holt, poza tym...

– Tak, szefie, wiem, co mamy robić – wtrącił Münster. – I nie sądzę, by Reinhart zamierzał oddelegowywać ludzi do szukania Verlangena. Ale przedstawię mu pański punkt widzenia, jak go tylko spotkam. Obiecuję.

– Doskonale – podsumował Hiller. – Oczywiście. A nawiasem mówiąc, gdzie on jest?

– Kto? Reinhart?

– Tak. Czy to nie o nim mówiliśmy?

– Naturalnie. Chyba siedzi na dole i przesłuchuje rasistów w dwadzieścia dwa. Tych, którzy podpalili szkołę.

– Rasistów? No tak. Rozumiem. To wszystko, co chciałem powiedzieć. Może pan wrócić do swoich obowiązków.

– Dziękuję – rzucił Münster.

Ile on właściwie może mieć lat? – pomyślał, kiedy znalazł się za drzwiami i usłyszał, jak Hiller mówi coś przymilnie do swoich akacji. Czy przypadkiem już niedługo nie powinien iść na emeryturę?

Kiedy w sobotni wieczór Van Veeteren podszedł do stałego stolika w Stowarzyszeniu, Mahler rozstawił już pionki i siedział, bazgrząc coś w czarnym notesie.

– Nowe wiersze? – spytał.

– Nowe to za wiele powiedziane – odpowiedział Mahler. – Wiersze to też za wiele powiedziane. To raczej współczesna abstrakcja na temat czarnej dziury. Nierymowana.

– Brzmi ciekawie – odparł Van Veeteren.

– Wiem. I chyba tak je właśnie nazwę. Co o tym myślisz?

– Współczesna abstrakcja na temat czarnej dziury?

– Tak.

– Przypomina bardziej deklarację zawartości niż tytuł książki.

Mahler podrapał się w zadumie po brodzie.

– No może. Ale najpierw muszę i tak wypełnić ją jakąś treścią, zanim przyjdzie pora na tytuły. Swoją drogą to będzie mój dwunasty tomik i chyba na nim poprzestanę.

– Dwunasty? Gratuluję! Tuzin w ciągu... ile ci to zajęło?

– Czterdzieści lat od debiutu. Wyliczyłem, że rozkładając to w czasie, na każdy dzień przypadały co najmniej dwa słowa.

– Dwa słowa na dzień? – powtórzył za nim Van Veeteren. – Czyli to nie było zbyt obciążające?

– Akurat! – zaprotestował Mahler. – To jest najbardziej znojna robota na świecie. Zapominasz, że te szatańskie słówka kryją się wśród dwudziestu pięciu tysięcy innych. I przy każdym kolejnym musisz zaczynać poszukiwania od nowa.

Van Veeteren dał znak kelnerowi, że chce dwa piwa, i zamyślił się przez chwilę.

– Przepraszam – powiedział w końcu. – Masz oczywiście rację, chyba trochę przesadziłem. Partyjkę?

– Zaczynasz białymi – oznajmił Mahler i zapalił papierosa.

– Brak koncentracji. Przegapiłeś gońca na g6? Czy mi się zdaje, czy nad czymś dumasz?

Van Veeteren zaczął od nowa ustawiać pionki na szachownicy.

– W pewnym sensie tak – odpowiedział. – Nagle odżyła pewna stara historia. Przynajmniej wiele na to wskazuje.

Mahler wypił swoje piwo i wytarł sobie brodę.

– Nie ma nic przyjemniejszego, niż móc wreszcie odpłacić komuś pięknym za nadobne. Znam tę historię?

Van Veeteren podniósł czarnego skoczka i przez chwilę trzymał go w dłoni, zastanawiając się.

– Chyba tak – rzekł. – To sprawa G.

– Sprawa G! – wykrzyknął Mahler. – Jedyna plama na twoim honorze, no, dziękuję! A co nowego się wydarzyło?

W głosie starego poety dały się słyszeć zuchwała wesołość i zuchwała ciekawość, stwierdził w duchu Van Veeteren. Ale może to wcale nie jest powód do obrażania się. Ani do niepokoju. Jeśli istnieje ktoś – oczywiście poza Ulrike – komu mógł się zwierzyć ze swoich obaw i wahań, to taką osobą jest na pewno Mahler. Van Veeteren przekonał się o tym niejednokrotnie w ciągu minionych lat. Wiedział, że wszystko, co mu powie, wpada jak w studnię. W niezwykłą studnię, w której słowa i wyznania opadają na samo dno i są przechowywane w hermetycznie zamkniętym milczeniu.

I z której po jakimś czasie wydostają się z powrotem dwa słowa albo trzy – bardzo starannie dobrane.

Zapalił kolejnego papierosa i zaczął opowiadać.

– Zupa z nieznanymi składnikami – podsumował Mahler dwadzieścia minut później. – A policja nie zamierza nic z tym zrobić?

– Nic poza tym, co przewidują procedury. Zdaje się, że nie brakuje im roboty...

choćby ta cholerna afera z nazistami. Muszę powiedzieć, że trochę ich rozumiem. Nić w sprawie Verlangena jest cieńsza niż cienka.

Mahler siedział przez chwilę w milczeniu.

– Nie byłbym co do tego taki przekonany – odezwał się wreszcie. – O ile jestem w stanie to ocenić, moim zdaniem musi coś w tym być. Nie pytaj mnie, co dokładnie, ale uważam, że dziwne by było, gdyby zniknięcie Verlangena nie miało nic wspólnego z G. Tak czy nie? Biorąc pod uwagę tę kartkę zostawioną na stole w kuchni i rozmowę przez telefon.

– Wiem – bąknął Van Veeteren. – Przecież nie jestem jeszcze stetryczalym starcem. A przynajmniej nie całkiem.

– Ja też – przyznał Mahler z ponurą miną. – Pod sufitem wszystko wciąż pracuje jak należy, a ciało niewinne jak u trzynastolatka. Chyba łatwiej byłoby żyć, gdyby było inaczej. Co zamierzasz zrobić?

Van Veeteren zaciągnął się w zadumie papierosem.

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

Mahler popatrzył na niego krytycznym wzrokiem przez dym.

– Kłamiesz. Zdajesz sobie z tego sprawę? – dodał.

Van Veeteren obrócił szachownicę, tak aby białe pionki znalazły się po stronie Mahlera.

– No dobrze, kłamię. Zamierzam, rzecz jasna, wybrać się do Kaalbringen. W najbliższych dniach. Bardzo proszę, pana ruch, panie poeto.

– Tak myślałem – odpowiedział Mahler, poprawiając sobie okulary. – Ale teraz już się zamknij, nie pozwalasz mi się skupić.

Ulrike miała wątpliwości.

– Mogę zrozumieć, że się angażujesz – powiedziała. – Jasne, że to rozumiem. Ale nie potrafię pojąć, co chcesz uzyskać, jadąc tam.

Właśnie zjedli szybką wersję boeuf bourguignon, napili się barolo rocznik 97, a on opowiedział jej o obu sprawach.

I o G, i o zabójcy z siekierą z Kaalbringen. Część znała już z wcześniejszych opowieści, ale o jego spięciach z G w latach szkolnych i w młodości nie wiedziała.

Do teraz. Dobrze było móc o tym opowiedzieć, zauważył. Zdał sobie też sprawę, że po raz pierwszy w życiu opowiada komukolwiek o Adamie Bronsteinie.

To niezbyt rozsądne, pomyślał. Dlaczego człowiek nosi w sobie przez całe życie takie bolesne zadry i pozwala im się otorbić? Dlaczego o tym nie mówi? Przecież od tamtej pory minęło, do jasnej cholery, ponad pięćdziesiąt lat!

Zastanowił się nad określeniem „człowiek”. Czy zastępowało „ja”, czy „mężczyznę”? Jedno oczywiście nie wykluczało drugiego, ale może istnieje swego rodzaju przewaga? Ulrike bowiem – jako kobieta i istota myśląca, jak twierdziła – nie potrafiła zrozumieć sensu tak podstępnego wyparcia i spytała go, czy nie ma przypadkiem jeszcze więcej takich trupów w szafie swojej duszy.

– Cały cmentarz – zapewnił ją. – Wyjazd do Kaalbringen to sposób na rozprawienie się z nimi. A przynajmniej z jednym z nich.

Czego ona bynajmniej nie kupiła łatwo.

– Myślę, że twój powód jest znacznie bardziej banalny – oświadczyła, uśmiechając się nieoczekiwanie.

– Czyżby?

– Chcesz znowu zobaczyć Bausena. To tu jest pies pogrzebany.

– Nigdy bym przecież...

– Kilka wieczorów pograć w szachy, popijając wino. No, przyznaj się, ty prymitywny fałszerzu motywów, bo chyba nie wyobrażasz sobie, że znajdziesz tam na północy Verlangena?

– Na to pytanie wolę nie udzielać odpowiedzi – odparł Van Veeteren.

Siedząc w samochodzie i jadąc przez oświetlony słońcem płaski krajobraz, zastanawiał się nad jej argumentami i zastrzeżeniami. Stwierdził, że sam nie potrafiłby lepiej ich sformułować.

Czy naprawdę sobie wmawiał, że uda mu się coś tam wskórać?

Uważał, że możliwe jest ustalenie, co przytrafiło się temu zapijaczonemu dawnemu prywatnemu detektywowi? A wcześniej skorumpowanemu policjantowi? Czy na serio wierzył, że Verlangen rzeczywiście znajdował się w Kaalbringen?

Czy ta podróż nie była raczej rodzajem... symbolicznego działania? Mało treściwym gestem?

Kaalbringen. Senne, nieduże nadmorskie miasto, w którym dziesięć, nie, dziewięć lat temu spędził półtora miesiąca późnym latem razem z Münsterem, kiedy prowadzili śledztwo w najdziwniejszej sprawie, z jaką zetknął się w ciągu wszystkich lat pracy jako komisarz policji kryminalnej.

Czy istnieje zatem realna możliwość, że Verlangen udał się właśnie tam?

Czy też było tak, jak przypuszczała Ulrike – on chciał po prostu spotkać się znowu z Bausenem? Posiedzieć w jego dziko zarosniętym ogrodzie nad szachownicą przy starym, dobrze przechowywanym winie, poteoretyzować o tym i owym oraz wskrzesić nastrój i poczucie specyficznej przynależności, których nie potrafił sprecyzować ani ubrać w słowa?

Które jednak mimo to istniały. I to w najwyższym stopniu. Ostatecznie nie wszystko trzeba od razu ubierać w słowa, tak czy nie?

Spojrzał na falujące pola i nagle zauważył, że bębni palcami o kierownicę. Niepokój czy oczekiwanie? Trudno powiedzieć. I trudno, jak zawsze, odkryć przyczyny i indywidualne motywy działania. Jednak zbieżność była uderzająca, temu nie mógł zaprzeczyć. To, że sprawa G wyłoniła się po piętnastu latach w taki sposób i zawiodła go akurat do Kaalbringen. Przypadek, który wydawał się tak nieprawdopodobny, że człowiek czuł się wręcz zmuszony, by przyjrzeć mu się bliżej. A przynajmniej spróbować.

Znak? Ważny punkt we wzorze?

A może coś w rodzaju pokutnej pielgrzymki? – przemknęło mu nagle przez

głowę. Za to, że nie uratował tego żydowskiego chłopca pięćdziesiąt lat temu? Że pozwolił Jaanowi G. Hennanowi wykpić się zarówno wtedy, jak i później.

Że nie podtrzymał kontaktu z komisarzem Bausenem, choć powinien był... i może też za Ericha?

Teraz nagle uchyliły się drzwi, dając mu możliwość uporządkować jedno i drugie, i trzecie. Czy też nie wolno mu patrzeć na to w ten sposób?

Bullshit, pomyślał. Co Erich może mieć z tym wspólnego?

Było tak jak zawsze. Daremne usiłowanie statysty, by zrozumieć sztukę reżyserii, o której nie ma się najmniejszego pojęcia. Pięć sekund na scenie, a już roisz sobie, że czujesz tchnienie wieczności!

Zaczął grzebać między płytami i zdecydował się na Schnittkego. Ostre smyczki i ostre rytmy, które może trochę wyostrzą myśli.

G. Chodzi wyłącznie o sprawę G i o nic innego, postanowił. Nie o żadne mętne prywatne motywy, o żadne peryfrazy, tylko o starą sprawę, która prześladowuje go przez piętnaście lat.

Kto zabił Barbarę Clarisę Hennan?

Albo raczej: jak Jaan G. Hennan doprowadził do jej zabicia?

Przypominał sobie, że w czasie trwania dochodzenia w 1987 roku ktoś użył słowa „klasyka”. Prawdopodobnie Münster albo Reinhart. Albo może sam Verlangen? Trudno było nie zgodzić się z tym określeniem. Bo sprawa tej martwej Amerykanki w basenie opróżnionym z wody była tak podręcznikowo prosta, że wręcz oczywista. Żadnych zaciemniających okoliczności. Żadnych mylących wątków, które prowadziłyby w różne strony. Żadnych zagmatwanych motywów ani niejednoznacznych wypowiedzi świadków.

Jedynie martwa kobieta i milion dwieście tysięcy guldenów. I G.

No i Verlangen.

Tak, Verlangen zaburzył tę klasyczną konstrukcję. Van Veeteren musiał to przyznać. Rola tego zapuszczonego prywatnego detektywa była przedziwna już wtedy, a dzisiaj chyba jeszcze bardziej.

Jeśli przyjąć założenie, że on rzeczywiście znowu odegrał jakąś rolę. Czy to rozsądne, by tak myśleć?

Czy możliwe, że natrafił na jakiś trop G? W jaki sposób? I co się potem stało? Najbardziej prawdopodobna wersja jest taka, że natknął się na coś całkiem przypadkiem – zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę stan, w jakim się znajdował.

I jego słowa powiedziane do wnuczka przez telefon.

„Teraz już wiem, jak to było!”.

Czy to prawda? I jak to możliwe? Jak, u diabła, ten zrujnowany eks-detektyw doprowadził do tego, że znalazł odpowiedź na zagadkę, nad którą on męczył się od ponad piętnastu lat?

Nierealne, pomyślał Van Veeteren i dodał gazu. Zupełnie nierealne.

Ale jednocześnie równie trudno było dostrzec inne rozwiązanie.

Zatrzymał się na wysokości Ulming i zjadł lunch w przydrożnym barze. Zadzwoił do Bausena i uprzedził, że będzie mniej więcej za dwie godziny. Głos Bausena brzmiał tak dziarsko jak chyba nigdy dotąd. Aż trudno było uwierzyć, że przekroczył już siedemdziesiątkę. Może paradoksalnie posłużyły mu lata spędzone w więzieniu. Podczas wczorajszej rozmowy telefonicznej dał coś takiego do zrozumienia i może nie było w tym nic dziwnego.

Na przykład w kontekście pojęcia „pokuta”.

W ciągu przedpołudnia z północnego zachodu nadciągnęło pasmo chmur. Po pięciu minutach jazdy od przystanku na lunch Van Veeteren znalazł się w strefie opadów. Krajobraz, rozległe falujące równiny, stracił i kontury, i kolory. Zamienił Schnittkego na Preisnera i znowu odnalazł klimat filmów Kieślowskiego.

„Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a miłości bym nie miał, stałbym się jak miedź brzęcząca albo cymbał brząca”.

To prawda. W ciągu ostatnich pięciu lat zrozumiał, że te słowa są piekielnie prawdziwe, te precudowne słowa z *Pierwszego Listu do Koryntian*.

Zajęło mu to prawie całe życie, ale w końcu zrozumiał.

Lepiej późno niż wcale. Wziął do ust dwie miętowe pastylki, aby pozbyć się nieprzyjemnego posmaku trawionego jedzenia, i zaczął myśleć o Erichu, swoim nieżyjącym synu.

I zauważył, że prawie nie czuje już bólu.

Kiedy w Kaalbringen zaparkował przed domem Bausena, deszcz przestał padać.

Stwierdził, że budynek wygląda identycznie, jak go pamiętał.

Praktycznie był zupełnie zarośnięty. Otoczony roślinnością nie do przebycia. I wtedy, i teraz z ulicy nie dało się dojrzeć niczego; krzewy, drzewa, pnącza i wysoka trawa stopiły się w jedną nieprzeniknioną żywą ścianę. Wynikało z tego, że Bausen nie wynajął nikomu domu na czas swojej siedmioletniej nieobecności i dlatego cała działka zarosła chyba jeszcze bardziej niż kiedyś. Właściwie co w tym złego?

Przeszedłszy przez furtkę, znalazł szczątkowy prześwit w zieleni, schylił się i zanurzył w dżungli.

Bausen siedział w wiklinowym fotelu pod daszkiem na werandzie i czytał książkę. Również tutaj wszystko wyglądało jak dawniej. Ratanowy stół z dwoma krzesłami. Puste skrzynki po piwie i stosy czasopism oraz różnego rodzaju rupiecie pod ścianami. I teraz, i wtedy. Zepsuty rower, półtora wiosła i coś, co Van Veeteren uznał w pierwszej chwili za zwiniętą matę do ćwiczeń jogi. Szachownica i polakierowane na czerwono pudełko z pionkami stały na samej górze regału pełnego kolorowych puszek i rozmaitych narzędzi.

Bausen zauważył go i na jego widok od razu szeroko się uśmiechnął.

– Popatrz, popatrz – powiedział. – Młodszy i przystojniejszy niż kiedykolwiek.

– Wyjąłeś mi to z ust – odparł Van Veeteren. – Starzejesz się w odwrotną stronę czy jak to z tobą jest?

Rzeczywiście nie brakowało powodu do takich pochlebstw. Bausen nie wyglądał na swoje siedemdziesiąt lat z ogonkiem, tylko raczej jak okaz zdrowia – był niski i sprężysty, miał jeszcze całkiem sporo siwych cienkich włosów, a jego oczy osadzone w kanciastej twarzy wydawały się skradzione czternastolatkowi.

Podniósł się i wyciągnął rękę do Van Veeterena.

– Joga – oznajmił. – To połowa tajemnicy. Zacząłem ćwiczyć w więzieniu i nie widziałem powodu, aby przestać. Czterdzieści pięć minut w ciągu dnia i jestem bardziej giętki niż we wczesnej młodości.

Van Veeteren skinął głową.

– A druga połowa?

Bausen roześmiał się.

– A jak myślisz? Kobieta oczywiście... żaden stały związek, ale spotykamy się od

czasu do czasu. To nadaje życiu sens. Mój Boże, jak się ma tyle lat co ja, to chyba najwyższa pora, żeby w końcu zrozumieć to i owo. Miło cię widzieć. Kopę lat.

– Dziewięć – powiedział Van Veeteren. – No proszę, i znowu tu jestem.

– W pościgu za kolejnym mordercą... Mogę ci przynajmniej obiecać, że tym razem nie chodzi o tego samego co ostatnio. Co powiesz na piwo i kanapkę? Myślę, że coś solidniejszego zjemy sobie pod wieczór.

– Piwo i kanapka to dokładnie to, na co liczyłem – rzekł Van Veeteren. – Możemy chyba zostać na dworze?

– Jasne, że tak – przytaknął Bausen. – Tak, pamiętam, że lubiłeś tu siedzieć. Wobec tego siadaj i napawaj się otoczeniem, a ja zaraz wszystko przyniosę.

Van Veeteren zapadł się w wiklinowym fotelu i z błogością westchnął głęboko.

Ta dżungla, pomyślał. Ten przedziwny Bausen.

Bausen uważnie przyglądał się obu fotografiom.

– Czyli to o tych panów chodzi? Tak na pierwszy rzut oka mogę powiedzieć, że nie rozpoznaję żadnego z nich. Ale nie mam już takiego wielkiego rozeznania, co się dzieje w mieście. Z naturalnych powodów.

– Z naturalnych powodów – powtórzył Van Veeteren. – No tak, wyobrażam sobie. Poza tym obawiam się, że zdjęcia nie są najświeższej daty... że tak powiem. Hennan jest dzisiaj o piętnaście lat starszy, a córka Verlangena też nie znalazła lepszej fotografii ojca. To pochodzi z Wigilii sprzed czterech lat.

– Wygląda tu na trochę zużytego – zauważył Bausen.

– I to raczej się nie zmieniło. O ile on jeszcze w ogóle żyje.

– Wątpisz w to?

Van Veeteren wzruszył ramionami.

– Po prostu nie widzę żadnego sensownego powodu, dlaczego miałby tak długo się nie odzywać. Ostatni znak życia z jego strony to tamten telefon sprzed trzech tygodni.

Bausen zmarszczył czoło.

– Rozumiem. I twoja hipoteza brzmi, że gdzieś natknął się na Jaana G. Hennana, tak?

– Hipoteza to może za dużo powiedziane – poprawił go Van Veeteren.

– Hm. A co w ciągu tych piętnastu lat działo się z Hennanem? Wiesz coś na ten temat?

– Tego nie wiem ja ani nikt inny. Podobno zniknął z kraju jakoś jesienią w osiemdziesiątym siódmym, potem nie ma już o nim żadnych informacji. To znaczy poza tą drobną wzmianką Verlangena... która wskazywałaby na to, że wrócił.

Bausen przyjrzał się obu fotografiom jeszcze przez chwilę. Van Veeteren tymczasem pociągnął łyk ciemnego piwa i oparł się wygodnie w trzeszczącym wiklinowym fotelu.

– Oczywiście to jest tylko taki mój luźny pomysł – powiedział. – Gdyby w grę nie wchodziło Kaalbringen, prawdopodobnie dałbym sobie z tym spokój.

– Tak mówisz? – odparł Bausen z nutą lekkiej ironii w głosie. – No ale skoro już tu jesteś, to kto wie? Jeśli wesprzemy twój pomysł paroma butelkami niezłego wina i paroma niezłymi partiami szachów, to może się okaże, że było warto? Tak czy inaczej.

– Właśnie tak sobie pomyślałem – przyznał Van Veeteren. – Czy twoja piwniczka nadal istnieje?

– Naturalnie. A większość gatunków bardzo zyskała na niezamierzonym siedmioletnim leżakowaniu, zapewniam cię.

– Doskonale. A masz jeszcze kontakt z miejscową policją? Nie zaszkodziłoby, gdybyśmy mimo wszystko mogli liczyć na niewielką pomoc z ich strony.

– Kontakt mam niespecjalny – przyznał Bausen. – Za twoich czasów byli Kropke i Moerk, pewnie ich pamiętasz.

– Jasne – potwierdził Van Veeteren. – Wciąż tu pracują?

– Inspektor Moerk jest nadal, Kropke kilka lat temu przeszedł do Groenstadt. Mamy nowego komendanta, nazywa się deKlerk, podobno jest niezły, ale nie znam go bliżej...

– Z naturalnych powodów? – spytał Van Veeteren.

– Z naturalnych powodów – potaknął Bausen. – Przyszedł pół roku po mnie, były wtedy jakieś opóźnienia. Mówiąc krótko, nie sądzę, by rzucali nam kłody pod nogi, jeśli podjęlibyśmy ostrożną próbę. W końcu to poniekąd robota policyjna, a nie sądzę, żeby o tej porze roku mieli orkę. Sezon turystyczny jeszcze się nie zaczął. Jeśli

Verlangen był w mieście, musiał przecież gdzieś mieszkać. Myślę, że przynajmniej ten szczegół da się stosunkowo łatwo ustalić.

– Mam nadzieję. Inspektor Moerk...?

– Tak?

– O ile pamiętam, to była dosyć bystra kobieta. Przypuszczam, że z upływem czasu to się nie zmieniło na gorsze... jeśli pozwolisz, że tak powiem.

– Ależ bardzo proszę – rzucił Bausen i zamyślił się na chwilę. – Na pewno jest nadal osobą godną zaufania. A nasze prywatne rachunki z dawnych lat są już wyrównane. Natomiast jeśli chodzi o tego G... Czy dobrze rozumiem, że masz do niego trochę szczególny stosunek?

Van Veeteren odpowiedział dopiero po kilku sekundach namysłu:

– Szczególny stosunek? Hm, to dosyć ostrożne określenie. Mówiąc szczerze... tak, mówiąc szczerze, ten drań prześladowa mnie od czasów, kiedy chodziłem jeszcze w krótkich spodenkach. Jeśli jest jeden jedyny człowiek, którego widok na szubienicy by mnie ucieszył, to właśnie on. Wtedy mógłbym się już zestarzeć z godnością i w spokoju.

Bausen wykrzywił lekko usta.

– Od kilku lat nie jesteś już na służbie, zgadza się?

– Nie jestem. Na stare lata zostałem księgarzem, jak ci wspominałem. Maczałem palce jeszcze w kilku śledztwach, ale jedynie sprawa G postawiła mnie znowu do pionu.

– Co ty powiesz? – Bausen oparł się wygodnie w fotelu i przyglądał się swojemu gościowi z zainteresowaniem. – Czyli to nie do końca prawda, że machnąłbyś na nią ręką, gdyby nie to, że trop prowadzi akurat do Kaalbringen?

Van Veeteren zastanowił się znowu.

– Chyba nie – przyznał. – W zasadzie gdybym gdziekolwiek coś zwietrzył – wszystko jedno, w której stronie świata – nie potrafiłbym się oprzeć. To jest tak piekielna historia, że trudno człowiekowi zasnąć, zanim nie zajrzy pod każdy kamień.

– Tak bywa – wtrącił Bausen. – Od niektórych rzeczy nie sposób się uwolnić.

– Wiem, że dobrze to znasz – dodał Van Veeteren.

Napili się, po czym przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Wobec tego – podjął znowu Bausen – jutro rano złożymy wizytę na komendzie. A teraz proponuję jedną partyjkę przed kolacją. Ponieważ jesteś gościem, możesz zacząć białymi.

– Dzięki – rzekł Van Veeteren. – Czy dobrze pamiętam, że obrona Nimzowitscha to był twój słaby punkt?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł Bausen. – Nie rób sobie specjalnych nadziei. Ja nie mam już żadnych słabych punktów.

Po głębszym zastanowieniu się – i w porannym świetle niemal bezchmurnego nieba – Bausen nie miał większej ochoty na odwiedzenie komendy policji w Kaalbringen przy Kleinmarckt. Jego noga nie postąpiła tam od dziewięciu lat i kiedy powiedział Van Veeterenowi o swoich wątpliwościach, ten mu poradził, by ograniczył swój wkład do kontaktu telefonicznego i przekazania tą drogą informacji, że *komisarz* chciałby złożyć wizytę w celu omówienia pewnych okoliczności.

Jak się okazało, szef miejscowej policji deKlerk był akurat w tę sobotę zajęty gdzie indziej, ale inspektor Moerk zamierzała być na miejscu do godziny trzeciej, jak sama powiedziała, wyrażając jednocześnie ogromną radość, że będzie mogła ponownie spotkać Van Veeterena po tylu latach.

Przynajmniej w takich właśnie słowach Bausen zrelacjonował swoją rozmowę, kiedy odłożył słuchawkę i oznajmił, że nie ma żadnych przeszkód.

– Jest dziesiąta – stwierdził po chwili. – Może umówmy się na małą przekąskę o pierwszej w Niebieskiej Barce? Pamiętasz, gdzie to jest?

– Pamiętam każdy zaułek i każdą latarnię w tej zapomnianej przez Boga dziurze – zapewnił przyjaźnie Van Veeteren. – Czyli widzimy się o pierwszej.

Beate Moerk wprawdzie wyglądała tak, jakby przybyło jej około dziewięciu miesięcy w ciągu dziewięciu lat, ale mimo to uznał, że przekroczyła już pewną granicę. Nie robiła tajemnicy, co kryje się za tym łagodnym procesem uszlachetnienia.

– Ustabilizowałam się – wyjaśniła, kiedy już naląka kawy i postawiła na stole talerz z drożdżówkami z luksusowej cukierni Sylvii, wciąż znajdującej się tuż obok komendy. – Wyszłam za mąż i mam dwoje dzieci. Żyje się tylko raz, więc pomyślałam: czemu nie.

– Bardzo słusznie – zgodził się Van Veeteren. – Pozdrów swojego męża i pogratuluj mu ode mnie. Jestem przekonany, że może uważać się za szczęściarza.

– Proszę dać spokój – powiedziała inspektor Moerk, a na jej policzkach pokazały

się twarzowe rumieńce. – Zdaje się, że *komisarz* ma jakąś sprawę?

– Księgarz – skorygował Van Veeteren. – Pracuję teraz w antykwariacie. Proponuję, żebyśmy mówili sobie na ty.

– To ty odszedłeś z policji? – spytała zdziwiona. – Bausen nic mi o tym nie wspomniał.

– Pięć i pół roku temu. Ale mam coś jeszcze do załatwienia... chodzi o sprawę, która – można powiedzieć – prześladowała mnie przez lata.

Nagle spojrzała na niego z z troskaniem.

– Bausen coś mi napomknął. Jeśli tylko będziemy w stanie pomóc, zrobimy wszystko, co w naszej mocy... i tak dalej.

Van Veeteren skinął głową i przeciągnął dłonią po policzku i brodzie. Odnotował, że się nie ogolił.

– Byłbym wdzięczny – powiedział. – Naszkicuję ci z grubsza sprawę, być może uda się wam ustalić kilka ważnych dla mnie szczegółów. A ja będę wiedział, czy jestem na właściwym tropie, czy nie. Przede wszystkim chodzi o osobę o nazwisku Maarten Verlangen...

To już trzeci raz w ciągu zaledwie paru dni przedstawiał sprawę G – najpierw Ulrike, potem Bausenowi, a teraz Beate Moerk – i stopniowo odnosił wrażenie, że w każdej kolejnej sytuacji, w której był zmuszony ją relacjonować, opisywane zdarzenia jakby coraz bardziej się oddalały.

Może to wcale nie takie dziwne. Bo przecież to w końcu o osobę Jaana G. Hennana rozbił się plan napisania pamiętników, czyli w tej starej historii musi tkwić coś ukrytego, zamkniętego. Coś, co się broni przed wszelkimi formami opisu i relacji. A przynajmniej torpeduje jego własne nieśmiałe próby podejmowane w tym kierunku.

Może to rodzaj terapii, która pewnego dnia mnie uleczy? – pomyślał zaskoczony. Ale, do jasnej cholery, dlaczego właściwie nie potrafię odciąć całego tego gówna i uwolnić się od niego raz na zawsze?

Beate Moerk wydawała się bardzo zainteresowana wszystkimi szczegółami. Zadawała pytania i dociekała. Notowała i jeśli czegoś nie rozumiała, prosiła o doprecyzowanie – toteż cała procedura zajęła trzy filiżanki kawy, tyle samo

drożdżówek i prawie całą godzinę.

Jeśli chodzi natomiast o wsparcie miejscowej policji, poszło znacznie szybciej.

Choćby dlatego, że niezbyt wiele zadań było do przydzielenia.

Nic poza próbą znalezienia Verlangena.

Albo przynajmniej czegoś, co wskazywałoby na to, że w ogóle przebywał w mieście. Mniej więcej trzy tygodnie temu. Około piętnastego kwietnia. Beate Moerk obiecała, że natychmiast się tym zajmie. Przy odrobinie szczęścia sprawdzenie wszystkich hoteli i pensjonatów nie powinno potrwać dłużej niż kilka godzin. Umówili się, że niezależnie od wyniku ustaleń zadzwoni pod wieczór do domu Bausena.

Co się natomiast tyczy Jaana G. Hennana, nie dało się naturalnie zrobić nic więcej, jak tylko wszcząć podobne – tyle że nieco dyskretniejsze – poszukiwania. Jeżeli rzeczywiście znajdował się w Kaalbringen i występował pod własnym nazwiskiem, znalezienie go nie powinno być trudne. Jeśli zaś z takiego czy innego powodu wolał przyjąć inną tożsamość, wówczas sprawa wyglądałaby inaczej.

Ponadto należało także wziąć pod uwagę, że G – niezależnie od tego, gdzie przebywa – jest wolnym człowiekiem mającym takie same prawa obywatelskie jak każdy inny.

Van Veeteren poinformował, że chciałby ruszyć z powrotem do Maardam w niedzielę wieczorem – o ile do tego czasu nie zdarzy się nic sensacyjnego – spytał więc, czy inspektor Moerk nie dałaby się zaprosić na późny lunch albo wczesną kolację przed jego wyjazdem z Kaalbringen.

Ewentualnie w towarzystwie Bausena. Na przykład jutro?

Odniósł wrażenie, że chwilę się zawahała, zanim wstępnie przyjęła zaproszenie.

Coś takiego nie było raczej przyjęte; obiecała, że da ostateczną odpowiedź wieczorem, kiedy zadzwoni.

Miał do zabicia co najmniej godzinę przed umówionym spotkaniem z Bausenem, postanowił zatem wybrać się na spacer do portu i mariny. Przeciął Targ Rybny i idąc dalej, przypominał sobie kolejne lokalne nazwy, w miarę jak wyłaniały się poszczególne miejsca i obiekty: Zaulek Katedralny, Esplanade, See Warf – hotel, w którym mieszkał przez dobry miesiąc – Hoistraat i Minders steeg.

Dziwnie się czuł, przechadzając się tu znowu. Od sprawy zabójstwa przez odrąbanie głowy siekierą minęło już prawie dziesięć lat; nagle ten dystans gwałtownie się zmniejszył – jak to zawsze bywa, gdy ponowna wizyta w określonym miejscu daje dodatkową pożywkę wspomnieniom. Łodzie kołyszące się na wodzie w marinie mogły być dokładnie tymi samymi co wtedy, podobnie budka z lodami i dziewczyny, które stały dookoła niej, a kiedy szedł przez miejski lasek wyjeżdżoną ścieżką rowerową uczęszczaną też przez pieszych, wydawało mu się, że zaraz bez kłopotu odnajdzie to miejsce, gdzie jeden z zabitych padł wtedy ofiarą ostro wyszlifowanej klingi mordercy.

Tak się jednak nie stało. Wyszedł z lasku w dzielnicy willowej Rikken, nie znalazłszy miejsca zbrodni. Uświadomił sobie, że widocznie również ponowne spotkanie i rozpoznanie musi być obarczone należną dozą iluzji i złudzeń. Całkiem logiczne.

Próbując znaleźć najkrótszą drogę do restauracji Niebieska Barka, zastanawiał się, czy rozpoznałby G, gdyby natknął się na niego oko w oko.

To nie jest wcale takie pewne, uznał. A zwłaszcza gdyby było to przelotne spotkanie w tłumie ludzi.

Jeżeli więc G – wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu – rozważał dalej Van Veeteren, rzeczywiście znajduje się w Kaalbringen i chce pozostać incognito, to ma ogromną szansę, że mu się to uda.

W ciągu piętnastu lat każda komórka organizmu zdążyła dwukrotnie ulec procesowi wymiany, o ile dobrze pamiętał z gimnazjalnych lekcji biologii w zamierzchłych czasach. Człowiek ulega po prostu przedawnieniu.

Gdy kilka minut po pierwszej dotarł do Niebieskiej Barki w nieco ponurym nastroju, Bausen siedział przy stole pod oknem z rozległym widokiem.

W gruncie rzeczy Ulrike miała rację, pomyślał Van Veeteren. To nie prowadzi do niczego.

Ale mimo wszystko miło jest spotkać starego odrąbywacza głów. Nie da się zaprzeczyć.

Beate Moerk zaczęła działać, gdy tylko Van Veeteren opuścił komendę policji w Kaalbringen. Jak wynikało z książki telefonicznej, jeśli ktoś chciał zatrzymać się na

jedną lub na kilka nocy w tym małym nadmorskim mieście, miał dwadzieścia osiem hoteli i pensjonatów do wyboru, tyle że ona wiedziała, że co najwyżej połowa z nich jest otwarta przez cały rok. Nie orientowała się, jak wygląda sytuacja w zazwyczaj dosyć deszczowym i nieprzyjaznym dla gości kwietniu, postanowiła jednak, że nie pozostawi niczego przypadkowi i sprawdzi każdy lokal według kolejności alfabetycznej.

Po pięciu rozmowach zmieniła taktykę. Zdecydowała się skorzystać z faksu zamiast z telefonu i już po półgodzinie wysłała informacje do wszystkich w mieście hoteli i pensjonatów niepograżonych nadal w śnie zimowym. Jednak bez zdjęcia poszukiwanego. Verlangen bowiem w wersji ksero wyglądał jeszcze gorzej niż w rzeczywistości – jak nieudany test Rorschacha albo coś w tym rodzaju – a ponieważ zdaniem Van Veeterena nie miał powodu, by występować pod fałszywym nazwiskiem, uznała, że brak zdjęcia nie odgrywa większej roli.

Tak więc: czy w księdze gości odnotowano gdzieś nazwisko Maartena Verlangena?

W kwietniu bieżącego roku – albo w ogóle kiedykolwiek?

Odpowiedzi należy przesłać do inspektora Moerk do komendy miejscowej policji. Najlepiej do godziny siedemnastej. I negatywne, i pozytywne.

Sprawa rutynowa, ale pilna.

Gdy kilka minut po trzeciej opuściła swój pokój, otrzymała jedenaście odpowiedzi z dziewiętnastu oczekiwanych.

Wszystkie negatywne.

Van Veeteren miał na swoim koncie jedną wygraną i jeden remis w partii z minionego wieczoru, lecz w sobotnie popołudnie Bausen zmienił stan na 2:2. Postanowili, że rozstrzygający piąty pojedynek przesuną na późne godziny wieczorne, a wcześniej przygotowali wspólnie (ale pod niekwestionowanym przywództwem Bausena) danie jednogarnkowe z okonia czerwonego, morszczuka, małży, oliwek, czosnku, obranych ze skórki pomidorów i pietruszki, po czym zjedli je razem do ryżu szafranowego z dodatkiem cienkich pasków zrumienionego bekonu.

Van Veeteren zgodził się ochoczo z Bausenem, że czegoś równie pysznego długo by szukać. Zwłaszcza gdy daniu, tak jak w tym przypadku, towarzyszyło białe

mersault, najwyśmienitsze z rocznika 73 w piwniczce Bausena.

Czarna kawa, calvados i cygaro Monte Canario jako zwieńczenie oraz – nieco później – kilka prostych, ale przekonujących ćwiczeń jogi według Iyengara przeznaczonych w szczególności dla osób o zastałych kręgach lędźwiowych i zbyt krótkich mięśniach tylnej części ud. Czyli mówiąc krótko: dla mężczyzn powyżej piętnastego roku życia.

Oczywiście nie bezpośrednio po jedzeniu, Boże broń. Takie pomysły są dobre tylko w teorii.

Gdy je skończyli, zadzwoniła inspektor Moerk ze sprawozdaniem. Bausen przekazał słuchawkę Van Veeterenowi, który na wół leżąc na kanapie, dowiedział się, że na dziewiętnaście hoteli i pensjonatów odezwało się siedemnaście z informacją, że w ciągu ostatniego roku nie goszczono u nich nikogo o nazwisku Maarten Verlangen ani nikogo, kto odpowiadałby opisowi. Ani w kwietniu, ani w żadnym innym miesiącu.

Pozostały dwa, które nie odpowiedziały – prawdopodobnie jeszcze nie były czynne przed sezonem, ale Beate Moerk obiecała sprawdzić to następnego dnia. W którym zamierzała też zjeść kolację z oboma byłymi komisarzami około szóstej.

Gdzie? – spytała.

Van Veeteren naradził się szybko ze swoim gospodarzem, po czym zaproponował Fisherman's Friend.

Inspektor Moerk oznajmiła, że wybór jej odpowiada, po czym pożegnała się, życząc obu panom miłego dalszego wieczoru. A czym go właściwie wypełniają? Pewnie winem, papierosami i szachami?

Ćwiczeniami jogi, naprawdę?

Życzyła im więc pięknych snów i szybkiego powrotu do świetnej formy, po czym odłożyła słuchawkę. Van Veeteren odniósł wrażenie, że się uśmiechnęła.

Piąta partia szachów skończyła się szybkim remisem, a ponieważ dochodziło dopiero wół do dwunastej – a butelka Conde de Valdemar rocznik 91 była opróżniona dopiero do połowy – postanowili podjąć ostatnią próbę rozstrzygnięcia meczu na czyjąś korzyść.

I w końcu, już po drugiej w nocy, Bausen zdmuchnął ostatnią świecę z ciężkim westchnieniem. Kolejny remis. Ostateczny rezultat: 3:3.

– Tak bywa – skonstatował Van Veeteren, kiedy leżał już w łóżku dla gości, a Bausen stanął w drzwiach, żeby powiedzieć mu dobranoc. – Jesteśmy po prostu niewyciężeni.

– Też tak uważam – potwierdził Bausen. – I jeśli ten spryciarz G jest w mieście, z nim też damy sobie radę.

– Możemy się o to jedynie modlić – rzekł Van Veeteren. – Jeżeli inspektor Moerk jutro znajdzie Verlangena, to mogę się założyć, o co tylko chcesz, że ta stara historia wzbogaciła się o nowy rozdział.

Tak się jednak nie stało.

– Niestety – powiedziała, kiedy usiedli przy stoliku na oszklonym tarasie Fisherman's Friend. – Nie wydaje się, aby ten Verlangen był w ogóle w mieście. W każdym razie nie nocował w żadnym z hoteli ani pensjonatów.

– A na ile dokładnie to sprawdziliście? – spytał Bausen.

– Najdokładniej jak to możliwe – zapewniła Beate Moerk.

– Choć oczywiście nie na sto procent. Bo oprócz hoteli i pensjonatów są też na przykład schroniska turystyczne i trochę kwater prywatnych, ale czynnych tylko w letnich miesiącach. Poza tym jeśli przebywał tu kilka dni, mógł przecież mieszkać u kogoś znajomego, prawda?

– Wykluczyć się nie da – stwierdził Van Veeteren. – Jednak to mało prawdopodobne. Po pierwsze, on nie ma żadnych znajomych, jak mówi jego córka... a przynajmniej poza Maardam. Po drugie, dobry znajomy czy przyjaciel zgłosiłby raczej, że jego gość gdzieś zniknął. Tak czy inaczej, jestem tego świadom, że to wszystko jest bardzo słabe. Bo przecież mógł tu być jedynie przejazdem.

– Zdaje się, że kiedy rozmawiał z wnukiem, dzwonił z dworca kolejowego? – spytała Beate Moerk.

– Niestety tak – potwierdził Van Veeteren. – Co może wskazywać na to, że gdzieś się wybierał albo wracał do Maardam. Obawiam się jednak, że spekulowanie na ten temat nic nam nie da.

– Ale to mimo wszystko nie wyklucza, że był tutaj przez parę dni – wtrącił

Bausen z optymizmem. – A to jest najważniejsze... o ile dobrze rozumiem?

Van Veeteren potaknął. Najważniejsze? – powtórzył w duchu i zapatrzył się na szare morze, które rozpościerało się wyczekująco w świetle wczesnego zmroku sto metrów poniżej. Co on ma na myśli?

Gdy podszedł do nich kelner z kartą dań, na chwilę przerwali rozmowę. Ostrożnie przewracając sztywne kartki, Van Veeteren przypomniał sobie, że to nie jest pierwsza lepsza restauracja. Leżała przyklejona wysoko do skały kilka kilometrów na wschód od Kaalbringen, gdzie brzeg wyraźnie wznosił się wyżej i zwłaszcza tutaj, na tarasie, żywioł powietrza dominował nad wszystkim. Mewy i rybitwy szybowały dookoła w ciepłym wietrze, a jemu przypomniało się – albo tak mu się tylko wydawało – że dokładnie przy tym samym stole siedział z Bausenem dziewięć lat temu. Nie jedli przypadkiem turbota? A do niego było pewnie sauternes...

Przed antykwariatem. Przed Ulrike. Przed śmiercią Ericha.

Od tamtej pory nie minęło jeszcze dziesięć lat, pomyślał. A mimo to moje życie zmieniło się niewiarygodnie. Nigdy bym wtedy nie przypuszczał.

Bausen odchrząknął i Van Veeteren powrócił do rzeczywistości.

– No cóż – powiedział. – Verlangen prawdopodobnie tutaj był, przynajmniej przez kilka godzin, boję się jednak, że nic więcej nie uda się nam ustalić. Podsumowując zatem, mogę uznać swoją wyprawę tutaj za podróż dla przyjemności.

– Sprzeciw – rzucił Bausen. – Dlaczego ograniczać się do albo–albo, jeśli możliwe jest zarówno–jak i. Zakładam, że facet jest nadal poszukiwany i że wy, na policji, będziecie mieć wciąż oczy i uszy otwarte?

W jego słowach zdawała się kryć lekka ironia, dlatego Beate Moerk uśmiechnęła się nieznacznie, dając do zrozumienia, że ją pojęła.

– Oczy całego zespołu będą szeroko otwarte – zapewniła. – Jeśli natrafimy na najdrobniejszy ślad Verlangena... albo G. Hennana... natychmiast się zgłosimy. Obiecuję. Do wydziału kryminalnego w Maardam czy...?

– Niezupełnie – rzekł Van Veeteren, wyjmując swoją wizytówkę. – Myślę, że na początek wystarczy telefon do antykwariatu Krantzego. Jak to się mówi: dyskrecja przede wszystkim.

– Rozumiem – odpowiedziała Beate Noerk, biorąc od niego wizytówkę. – Jeśli

mam być szczerą, trochę już zgłodniałam. Czy nasza umowa nie obejmowała przypadkiem również czegoś na ząb?

– Słuszna uwaga – stwierdził Bausen. – Wszystko ma swój czas. Teraz pora na jedzenie.

W drodze powrotnej do domu słuchał Pergolesiego i zastanawiał się nad swoimi pamiętnikami.

Albo raczej dlaczego przestał je pisać.

W gruncie rzeczy, kiedy głębiej się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że to wcale nie sprawa G – jak próbował sobie wmawiać i w ten sposób się rozgrzeszać – spowodowała, że przedsięwzięcie utknęło w miejscu. Oczywiście, że nie. Te dwie rzeczy jedynie zbiegły się w czasie, a on potrzebował usprawiedliwienia.

W rzeczywistości opuściła go sama potrzeba dokumentowania wszystkiego. Potrzeba wypowiedzenia się i ujęcia w słowa trzydziestu lat pracy jako policjant... poczucie, że powinien się wytłumaczyć.

To było jak zdjęcia z niewydarzonych wakacji, swego rodzaju wsteczny autentyzm – kiedy nie udaje się uchwycić dnia ani terażniejszości i dlatego dokumentacja ma zastąpić prawdziwe przeżycie.

Na dobre i na złe, rzecz jasna. Na szczęście zawsze można przekuć najgorsze niepowodzenia w cudowną poezję! – jak zwierzył mu się kiedyś Mahler. A w jego pomyśle z dziennikami tkwiła prawdopodobnie pewna paralela do tego... ale cóż, ten mroczny instynkt, by ujrzeć własne czyny ujęte w słowa i uwiecznione drukiem, go opuścił. Oczywiście również tutaj swoją rolę odegrała Ulrike. Jak we wszystkim.

Znowu przypomniały mu się słowa z *Pierwszego Listu do Koryntian* i zadał sobie pytanie, jak wyglądałoby teraz jego życie, gdyby nie pojawiła się w nim ona. *Gdyby* i *gdyby nie* – również nad tym nie było sensu spekulować, szukanie dróg przez to grzęzawisko alternatyw jest męczące. Życie jest, jakie jest. A jeśli miałby powiedzieć, co teraz czuje, to prawdopodobnie przyznałby, że wdzięczność. Mimo wszystko.

Lata łaski?

Porzucił te fikcje i usiłował poświęcić kilka myśli tak zwanym realiom – Maartenowi Verlangenowi i Jaanowi G. Hennanowi.

Co on wie?

Nic, mówiąc całkiem szczerze.

A co sądzi?

Albo jakie ma podstawy, by cokolwiek uważać? Może lepiej posługiwać się odpowiednio ostrą brzytwą?

Zastanowił się przez chwilę, zmieniając jednocześnie Pergolesiego na Brucknera.

Coś się stało.

Jak to się mówi: bez dwóch zdań.

Verlangen trafił na jakiś trop. Za bardzo zbliżył się do ognia i się sparzył.

Nie sparzył się. Tylko spalił.

Został zabity.

Przez G?

Tak myślał, odkąd córka Verlangena pojawiła się w antykwariacie i opowiedziała całą historię. Ale czy rzeczywiście ma mocne podstawy, by tak sądzić?

Jakiegolwiek podstawy?

Czy ziemskie szczątki Maartena Verlangena leżą zagrzebane w ziemi gdzieś w okolicy Kaalbringen (albo ciśnięte do morza), podczas gdy osławiony były komisarz policji kryminalnej Van Veeteren siedzi w swoim ciepłym autku i opuszcza pole bitwy? Czy to naprawdę tak wygląda? W oczach wszechwidzącego i wszechwiedzącego, i lekko ironicznego Boga?

Mocne podstawy? Bzdura.

Nigdy się tego nie dowiem, pomyślał nagle. Nigdy się nie dowiem, jak zamordowano Barbarę Clarisę Hennan ani co się stało z Maartenem Verlangenem piętnaście lat później.

Ani ja, ani nikt inny.

To potwornie wkurzające, ale tak będzie.

W tym miejscu były komisarz policji kryminalnej Van Veeteren nie do końca miał rację, będzie jednak musiało upłynąć niemal całe lato, by się tego dowiedział, a wtedy on już dawno zapomni, że kiedykolwiek porzucił nadzieję.

Sierpień – wrzesień

Ciało znaleziono w sobotę 24 sierpnia. Natrafiła na nie zbierająca grzyby kobieta o nazwisku Jadwiga Tiller.

Był piękny dzień późnego lata. Siedemdziesięcioletnia pani Tiller wraz ze swoim mężem Adrianem już od rana przemierzała pasmo mieszanego lasu między miejscowościami Hildesheim i Wilgersse, kilka kilometrów na północ od Kaalbringen. Zaparkowali samochód w tym samym miejscu co zawsze, obok chaty drwali, na jednej z wielu żwirowych dróg wijących się przez las i schodzących w dół ku morzu, po czym w ciągu kilku godzin nazbierali niemal dwa kosze pięknych grzybów, a potem pani Tiller, zaprowadzona swym wyjątkowym węchem (Grzyby znajduje się węchem! – zwykła powtarzać swoim przyjaciółkom Verze Felder i Grecie Lauderwegs. Więc będę zbierać prawdziwki, nawet jak oślepnę!) – tak więc zaprowadzona wyjątkowym węchem, doszła do niewielkiej niecki porośniętej młodymi bukami i przez parę chwil kręciła się w kółko wśród starych liści i opadłej z pni zeszłorocznej kory, nie znajdując nic jadalnego, gdy nagle odkryła, że na ziemi leży człowiek.

A raczej zwłoki. W stanie dosyć zaawansowanego rozkładu. Zdaje się, że nie zostało wiele więcej niż resztki ubrania i szkielet, a oszołomionej pani Jadwidze Tiller przez sekundę przebiegło przez myśl pytanie, czy to ten zapach przyciągnął ją w to miejsce. Potem gwałtownie zakręciło jej się w głowie i musiała usiąść na przewróconym pniu, żeby się pozbierać.

Zajęło jej to kilka sekund. Następnie przyłożyła obie dłonie w formie trąbki do ust i zawołała: Koliwoo! Koliwoo!

To był ustalony między małżonkami sygnał, używany przez nich przy zbieraniu grzybów od trzydziestu lat albo dłużej, i rzeczywiście niemal natychmiast gdzieś całkiem blisko usłyszała w odpowiedzi „Koliwoo!” Adriana.

– Koliwoo! Koliwoo! – krzyknęła znowu. – Chodź tutaj! Znalazłam zwłoki!

Trzasnęło w zaroślach i obok niej wyłonił się Adrian Tiller. Powiódł wzrokiem za drżącym palcem Jadwigi i ujrzał to samo co ona. Poczuli nawet, chociaż był starym

wojskowym i widział niejedno, lekki zawrót głowy oraz potrzebę, by spocząć. Usiadł obok swej żony, zdjął z głowy kraciatą czapkę i otarł sobie czoło rękawem koszuli.

– Musimy zadzwonić na policję – stwierdził. – Jest piętnasta trzydzieści pięć.

– Przecież wiem, że musimy – odpowiedziała ona. – A po jakie licho mówisz mi teraz, która jest godzina?

– Dlatego że w każdym policyjnym dochodzeniu bardzo ważna jest dokładna godzina – wyjaśnił Adrian Tiller.

Gdy inspektor Beate Moerk wieczorem tego samego dnia, siedząc w swoim pokoju na komendzie, próbowała podsumować, co po pierwszych gorączkowych godzinach wiadomo im o ofierze, nie była tego samego zdania co pan Tiller co do znaczenia czasu dokonania odkrycia.

Zwłoki były trochę za stare.

Ale tak czy inaczej, chodziło o mężczyznę. Przepuszczalnie między sześćdziesiątką a siedemdziesiątką. Miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, w momencie zejścia ubrany w dżinsy, zniszczone tenisówki, zwykłą bawełnianą koszulę i niebieską dżinsową kurtkę. Oczywiście wszystkie części garderoby dosyć sfatygowane. Według bardzo wstępnej oceny medycznej nie żył od czterech do sześciu miesięcy, a jako przyczynę zgonu z prawdopodobieństwem granicznym z pewnością można było uznać strzał w głowę. Otwór po wejściu kuli widniał w lewej skroni, po wyjściu – w prawej. Broń raczej sporego kalibru, być może berenger albo pinchmann; strzał oddano z odległości co najwyżej kilku centymetrów. Nie znaleziono ani kuli, ani łuski.

I żadnych dokumentów tożsamości ani rzeczy osobistych. Oprócz opakowania gumy do żucia marki Dentre Frucht z dwoma nieprzeżutymi jeszcze listkami w prawej przedniej kieszeni. Zdjęcie odcisków palców niemożliwe ze względu na stan zwłok, ale profil uzębienia jak najbardziej do ustalenia przez zakład medycyny sądowej w Maardam – dokąd zabrano zwłoki w celu przeprowadzenia wszelkich możliwych badań i ekspertyz.

Na miejscu znalezienia denata ani w pobliżu nie natrafiono na nic interesującego. Nie stwierdzono też żadnych śladów ewentualnej walki czy szarpaniny. W miarę dobrze dostępna i przejezdna droga biegła zaledwie trzydzieści metrów od rzeczonyj

niecki, co mogło skłaniać do przypuszczenia, że ciało zostało przywiezione do lasu samochodem. Jeszcze żywe lub już martwe.

Nie zauważono właściwie niczego, co w stu procentach wykluczałoby ewentualne samobójstwo, na miejscu nie znaleziono jednak żadnej broni, a zwłoki były przykryte tak grubą warstwą liści i gałęzi, że należało przypuszczać, iż ktoś usiłował ukryć je przed oczami świata.

Innymi słowy – morderstwo. Inspektor Moerk wiedziała, że mają do czynienia z morderstwem. Oględnie, ale zdecydowanie poinformowała o tym przez telefon komendanta deKlerka, który w tę sobotę na nieszczęście przebywał akurat w sprawach rodzinnych w Aarlach, ale teraz, kilka minut po dziewiątej wieczorem, siedział – na co bardzo liczyła – w swoim samochodzie i jechał z powrotem (akurat w przeciwnym kierunku niż zwłoki, z którymi w jakimś nieznanym punkcie nieuchronnie się minie, jak uświadomiła sobie Beate Moerk z osobliwym wewnętrznym uśmiechem), aby pojawić się w komendzie przed wpół do pierwszej.

Tak przynajmniej obiecał, w końcu nie codziennie mają w Kaalbringen do czynienia ze śledztwem w sprawie morderstwa, a skoro jest się komendantem policji, to ma się swoje obowiązki.

Beate Moerk wypijała ostatnie krople herbaty i włożyła swoje notatki do żółtej teczki. Oparła się wygodnie na krześle przy biurku i spojrzała przez otwarte okno w ciemność ciepłego sierpniowego wieczoru.

Morderstwo? – spytała w duchu, a potem domyśliła się, kim jest ofiara.

Oczywiście powinno jej to wcześniej przyjść do głowy, ale całe popołudnie i wieczór były wyjątkowo stresujące. Posterunkowy Bang zadzwonił do niej z komendy parę minut po czwartej, po czym zmobilizowano wszystkie dostępne siły. Sprawa, przynajmniej na razie, leżała na biurku lokalnej policji. Ale technicy i zespół lekarzy sądowych pochodził z Oostwerdningen.

Gorączkowe godziny i w rezultacie zero czasu na zastanowienie się.

Przesłuchania małżeństwa grzybiarzy, którzy znaleźli ciało. Wyczerpujące rozmowy z obducentem Meegerwijkiem i inspektorem Struenleem, szefem zespołu techników zabezpieczających ślady. Wymijające odpowiedzi udzielone kilku dziennikarzom, którzy w niewiadomy sposób (Bang?) dowiedzieli się o znalezisku...

telefony w różne miejsca... faksy... i wreszcie dopiero teraz – o dziewiątej wieczorem – mogła usiąść i przez chwilę pomyśleć.

I to wystarczyło. Nagle wiedziała, kim był ten ktoś, kto pod Hildeshjem dostał kulkę w głowę... no dobrze, „wiedziała” to może za dużo powiedziane, lecz gdyby jej ktoś zaproponował zakład, nie zawahałaby się postawić całkiem sporą sumę.

To ten prywatny detektyw, jak to on, u diabła, się nazywał?

Znalezienie jego nazwiska wśród wielu innych zapisanych i zarchiwizowanych w rejestrach komendy w Kaalbringen zajęło jej chwilę, w końcu jednak je odkryła.

Verlangen.

Maarten Baudewijn Verlangen, mówiąc dokładnie, a w tej sytuacji precyzja była jak najbardziej wskazana.

Zaginiony był prywatny detektyw, którego na początku maja szukał tutaj słynny były komisarz.

Którego wtedy nie udało się im wytropić. Ponieważ nie było żadnych śladów. Po prostu.

Beate Moerk kiwnęła zdecydowanie głową. Sięgnęła po telefon i zadzwoniła do domu, do Franka. Kiedy usłyszała jego głos, poczuła przez chwilę nagły płomień tęsknoty.

Powiedziała mu o tym, ale on oznajmił, że nie musi się spieszyć. Dzieci już śpią, on stoi przy sztalugach i maluje, i jest gotów czekać na nią z butelką czerwonego wina i z otwartymi ramionami do północy, a nawet dłużej, jeśli będzie trzeba. No a co z tymi zwłokami? – spytał.

Wyjaśniła, że chyba wie, kto to jest, dodała też, że musi zostać, żeby zadzwonić w kilka miejsc, a także zdać raport deKlerkowi, kiedy już łaskawie się pojawi. Lecz jak tylko się z tym upora, natychmiast wróci do domu i zgasi światło w pracowni.

Roześmiał się i zapewnił ją, że będzie mile widziana.

Przez kilka minut siedziała zadumana, po czym znowu sięgnęła po słuchawkę. Wcale nie łatwo było podjąć tę decyzję, w końcu jednak odrzuciła wszelkie uprzedzenia i wybrała numer Bausena.

Ponieważ nie przypuszczała, aby antykwariat w Maardam mógł być otwarty o godzinie wpół do dziesiątej w sobotni wieczór.

A także z tego powodu, że Van Veeteren nie dał jej swojego domowego numeru.

Z kolei Bausen zadzwonił pół godziny później do Van Veeterena, który przełknąwszy te skąpe i wstępne informacje, był jeszcze mocniej przekonany niż inspektor Moerk, że rzeczywiście chodzi o Maartena Verlangena.

Oczywiście na razie nie istniały żadne racjonalne argumenty potwierdzające to przypuszczenie – lecz zaledwie parę dni temu przyśnił mu się Jaan G. Hennan (w osobliwej roli bezwzględного sędziego z przyprawionymi rogami w jakimś trybunale wojennym), poza tym rozwiązał w zalecanych trzech ruchach zadanie szachowe z „Allgemejne” w czasie krótszym niż trzy minuty, co było bliskie rekordu.

Innymi słowy, coś wisiało w powietrzu, a po telefonie Bausena już wiedział co.

Upłynęło dosyć wody w rzece – by odwołać się do innego żywiołu – i przyszedł czas, by napisać kolejny rozdział w cyklu powieściowym o G.

Ale to już będzie do cholery ostatni, pomyślał, kiedy odłożył słuchawkę i wrócił na kanapę do Ulrike i do fińskiego filmu na kanale 4. Muszę jak najszybciej rozprawić się z tym raz na zawsze.

Wprawdzie wszystko ma swój czas, jednak są chyba pewne granice?

– Kto to był? – spytała Ulrike, która przesunęła Stravinsky’ego na bok i wpuściła go pod koc.

– Bausen – odpowiedział Van Veeteren. – Chyba znaleźli Verlangena.

Ulrike wzięła pilota do ręki i wyłączyła dźwięk w telewizorze.

– Tego prywatnego detektywa?

– Tak.

– Nie żyje?

– Tak. Prawdopodobnie od kwietnia. Tak jak myślałem.

– Jak?

– Co?

– Jak umarł?

– Ktoś strzelił mu w głowę.

– Co ty do...?

– Nie przesłyszałaś się.

– Boże drogi. Czyli tam, w Kaalbringen?

- W pobliżu. Chociaż rzecz jasna jeszcze go nie zidentyfikowali.
- Ale uważają, że to on?
- Najwyraźniej. Jutro będą wiedzieć na pewno.

Ulrike pokiwała głową. Przysunęła kota z powrotem i zaczęła mechanicznie drapać go pod brodą, patrząc jednocześnie na nieme obrazy na ekranie. Minęło pół minuty.

– Co zamierzasz...?

– Zobaczymy – odpowiedział Van Veeteren. – Tak czy siak, to sprawa policji.

– Bez wątpienia.

– Na pogoń za cieniami każdy może sobie pozwolić – stwierdził po chwili – jednak konkretne morderstwo to już nie jest sprawa dla antykwariusza.

– Oczywiście, że nie – przyznała mu rację Ulrike Fremdli. – Czy ja już gdzieś tego nie słyszałam?

Komendant policji deKlerk skubał w zamyśleniu płatek prawego ucha, zerkając jednocześnie na inspektor Moerk.

– A więc pani zdaniem to tak sprawa wygląda – rzekł. – Muszę przyznać, że jestem sceptyczny.

Beate Moerk wzruszyła ramionami. Była przyzwyczajona do sceptycyzmu swojego szefa. Z lekką przesadą można by nawet uznać go za jego najbardziej charakterystyczną cechę.

Wątpliwości. Pracuje z nim już od dobrych sześciu lat i wie, że on nigdy nie kupuje kota w worku. Nigdy nie przyjmuje niczego za pewnik. Jeśli ktoś na przykład przyszedłby na komendę i powiedział deKlerkowi, że na rynku stoi nieprawidłowo zaparkowany czerwony samochód, on, nie mrugnawszy powieką, mógłby spytać, czy nie chodzi jednak o auto niebieskie. Albo wręcz o traktor.

Początkowo dosyć ją to irytowało, mimo wszystko z czasem deKlerk zyskał nawet jej szacunek. Jako policjant i chyba jako człowiek, toteż w końcu nauczyła się nie zwracać na to uwagi. Poza tym przy różnych okazjach rozmawiali o wartości „zdrowego sceptycyzmu jako metody” – jak to on zwykł nazywać – i czasami musiała mu przyznać rację. Ale tylko czasami. Na szczęście jednak komendant nie doprowadzał tej swojej podejrzliwości do absurdu. Miał żonę i trójkę dzieci i co do tego nie istniały najmniejsze wątpliwości.

– To tylko hipoteza robocza – oznajmiła, zbierając swoje papiery. – Nic ponadto.

– Przecież nawet nie wiemy, czy chodzi rzeczywiście o Verlangena.

– To prawda.

– Od zabójstwa w Linden minęło piętnaście lat. O ile to było zabójstwo.

– Wiem.

– Czy ten stary komisarz nie jest przypadkiem trochę opętany tamtą historią?

– Opętany? – zdziwiła się Beate Moerk. – Nie, nie sędzę. Ale ma nosa, którego mógłby mu pozazdrościć niejeden pies myśliwski.

– Nosa? – spytał deKlerk. – No cóż.

Beate Moerk, westchnąwszy, spojrzała na zegarek. Było dwadzieścia po drugiej.

– No cóż – powtórzył komendant i dla równowagi zaczął skubać płatek drugiego ucha. – Gdybyśmy rzeczywiście znaleźli Jaana G. Hennana w naszym mieście, wtedy rzecz jasna sprawa znalazłaby się w innym świetle. Tak czy owak, musimy poczekać na identyfikację zwłok.

– Jestem raczej przekonana, że to Verlangen – podsumowała inspektor Moerk, wrzucając niedbale na wpuł posortowane papiery do teczki. – Mówi mi to moja kobieca intuicja.

– A mówi coś jeszcze?

– Owszem. Podpowiada mi na przykład, że najważniejsze dla nas będzie znalezienie świadka. Świadka, który widział go w mieście w okolicy kwietnia. Zdjęcie w gazetach, apel do mieszkańców, żeby się zgłaszali, może także...

– Hola, hola – przerwał jej deKlerk. – Nie tak szybko. Zrobimy to wszystko, jeśli będziemy wiedzieli, że to on. A to ma się wyjaśnić jutro, tak?

– Jeśli to Verlangen, będziemy wiedzieli jutro – potwierdziła. – Jeżeli nie – trzeba będzie poczekać.

– Masz rację – przyznał komendant deKlerk. – Ale na dziś zamykamy interes, przecież zaraz, do cholery, będzie północ.

– W końcu chodzi o morderstwo – zwróciła uwagę Beate Moerk.

DeKlerk uniósł jedną brew, ona zaś uświadomiła sobie, że się przed nim zdradziła. Komendant chyba zauważył, że ta sprawa wręcz się jej podoba.

To chore, pomyślała. Ale od ostatniego razu minęło dziewięć lat, więc raczej nie ma się co dziwić.

Po drodze do domu zaczęła sobie przypominać, co tak naprawdę wydarzyło się dziewięć lat temu, i poczuła, że ciarki przeszły jej po plecach.

Inspektor policji kryminalnej Münster większą część niedzieli poświęcił swoim dzieciom.

Rano podrzucił córkę Marieke do wiejskiego gospodarstwa pod Loewingen, w którym były cztery konie i mieszkały dwie jej przyjaciółki. A przed południem zawiózł syna Barta na miejsce zbiórki przed stadionem Richtera, skąd miał jechać autobusem na mecz piłki nożnej w Linzhuisen.

A teraz, po południu, położył się na małżeńskim łóżku i zaczął dokazywać z Edwiną, mającą rok i trzy miesiące.

Synn, jego żona, miała dziś wolne i znajdowała się nie wiadomo gdzie. Prawdopodobnie gdzieś nad morzem z jedną albo z kilkoma ze swoich przyjaciółek; był ładny letni dzień z dosyć silnym wiatrem i niebieskim niebem, a kiedy widzieli się w przelocie między odtransportowaniem jednego i drugiego dziecka, Münster zauważył kątem oka ręcznik kąpielowy i kosz piknikowy. Oboje jednak się umówili, że nie wolno mu pytać.

Edwina zasnęła około trzeciej, a inspektor kwadrans później.

Dzwonek telefonu nie obudził Edwiny, ale inspektora przeciwnie.

Van Veeteren.

Komisarz.

W niedzielne popołudnie? Münster poczuł się natychmiast rozbudzony; chyba od co najmniej pół roku nie był tak czujny.

– Jasne – powiedział. – Mam chwilę.

– Doskonale – odparł Van Veeteren. – Naprawdę przykro mi, że zakłócam rodzinną sielankę i niedzielny odpoczynek...

– Daj spokój z tymi uprzejmościami – przerwał mu Münster. – O co chodzi?

W miarę upływu lat zrobiłem się odważniejszy, pomyślał. Znacznie odważniejszy.

– Verlangen – rzucił Van Veeteren. – Maarten Verlangen. Chyba go pamiętasz?

– Pamiętam – potwierdził Münster i wyszedł do przedpokoju, żeby nie obudzić Edwiny.

– Nie żyje. Wreszcie go znaleźli. W Kaalbringen. Jak się okazuje, nie ma jednak dymu bez ognia. Wtedy, na wiosnę...

Münster szybko przypomniał sobie okoliczności związane z jego zniknięciem.

– Rozumiem – powiedział. – I co, został... naprawdę?

– Zamordowany, tak. Strzałem w głowę z bliskiej odległości. Ciało znaleziono wczoraj w lesie, dzisiaj znany będzie wynik identyfikacji. Rozmawiałem już i z jego córką, i z policją w Kaalbringen. Pamiętasz Beate Moerk?

– Oczywiście – rzucił Münster, czując jednocześnie, że na dźwięk jej nazwiska jego twarz oblała fala gorąca. – Czy to znaczy, że jest jakiś związek...?

– Należy przypuszczać, że tak – odpowiedział Van Veeteren. – Tak czy owak, oni tam będą potrzebować pomocy, a biorąc pod uwagę związek z dawnymi wydarzeniami... mówiąc krótko, byłoby dobrze, gdybyśmy to my zajęli się to sprawą.

My? – pomyślał Münster, usiłując dokonać błyskawicznej analizy zawartości treściowej tego drobnego zaimka.

– Mam na myśli, rzecz jasna, kryminalną z Maardam – doprecyzował Van Veeteren.

Czy na pewno? – przemknęło Münsterowi przez głowę.

– Oczywiście mogę to omówić z Hillerem, jeśli chcesz – oznajmił ochoczo. – Ale nigdy nie wiadomo, jak on...

– Już z nim rozmawiałem – wszedł mu w słowo Van Veeteren. – Nie widzi żadnych przeszkód.

– Już rozmawiałeś z...?

– Tak.

– Wobec tego...

– No właśnie. Byłoby głupio, gdyby sprawa trafiła w niewłaściwe ręce.

– W niewłaściwe ręce? Co *komi*... co masz na myśli?

– No, w ręce kogoś, kto nie ma orientacji. Zarówno w sprawie G, jak i Kaalbringen. Chyba rozumiesz?

Münster rozumiał, lecz przez kilka sekund nie był w stanie odpowiedzieć.

– A więc o to ci chodzi – rzekł wreszcie. – Może masz rację. W każdym razie spytam Hillera, jak on się na to zapatruje. W końcu tutaj też mam co robić, jeśli jednak okaże się to możliwe, wtedy...

Van Veeteren chrząknął do słuchawki i Münster przerwał.

– No cóż, właściwie to nie musisz się już fatygować. Skoro miałem go na linii... więc... Wyjeżdżasz jutro z samego rana i zabierasz ze sobą Rootha... Cieszę się, że się zgodziłeś.

Po czym się rozłączył. Münster stał w miejscu i przez dobrą chwilę wpatrywał się w telefon. Co to było? Czy Van Veeteren nie zaczął rozmowy od pytania, czy nie przeszkadza? Dziwne.

Albo raczej typowe.

Sprawdził, czy Edwina śpi nadal jak suseł, po czym poszedł do kuchni i zrobił sobie kawy.

Beate Moerk było zimno.

Nic dziwnego. Siedziała naga jak ją Pan Bóg stworzył na wysokim niewygodnym stołku, a w pracowni mogłoby być z powodzeniem o kilka stopni cieplej.

– Już wystarczy – powiedziała. – Bolać mnie wszystkie mięśnie i jeszcze dwa, które nie istnieją.

– Spokojnie, skarbie – odrzekł Franek. – Jeszcze tylko minutka. Nie zapominaj, że poświęcasz się dla potomności. Nie ruszaj się, proszę!

– Mam w nosie potomność. Umówiliśmy się na pół godziny, a minęły już co najmniej trzy kwadranse.

Patrzył na nią znad krawędzi płótna. Jedno oko miał zamknięte, a drugie lekko przymrużone.

– Zaleta modeli pozujących do aktu polega na tym, że nie mogą mieć na sobie nic, a więc także zegarka na ręce – stwierdził. – Ale w porządku, na razie skończymy. Chodź tutaj i spójrz na to чудо. A niech mnie! Linia twoich bioder mogłaby skusić greckiego boga z Olimpu!

– Trele-morele – rzuciła Beate, wkładając płaszcz kąpielowy. – Każda pliszka swój ogonek chwali.

Obeszła sztalugę, wcisnęła się pod jego ramię i spojrzała na niedokończone malowidło. Musiała przyznać, że obraz zaczynał wyglądać całkiem nieźle; poza tym podobało jej się, że tak mówi o jej biodrach.

– Musisz wiedzieć, że to straszna męka. Nigdy nie mogłam zrozumieć roli cierpienia w sztuce – aż do tej chwili, kiedy zgodziłam się pozować.

– No właśnie – powiedział. – To musi kosztować trochę wysiłku, na tym polega cały dowcip. Wtedy mięśnie i ścięgna pracują i stają się widoczne. Nimf bez wyrazu jest już cała masa.

– Ale nie brakuje też głosów, że w gruncie rzeczy za dużo jest nagich kobiecych ciał w dziełach sztuki.

– To zupełne nieporozumienie – zaoponował. – To mniej więcej tak, jakby ktoś powiedział, że powinno się przestać stosować metafory w literaturze... a może jednak

byłoby to możliwe?

Sprawiał wrażenie poważnie zamyślonego, jak zawsze, kiedy pochłonęła go jakaś przelotna myśl. Zmarszczywszy czoło, przygryzał koniec pędzla. To dlatego go kocham, pomyślała nieoczekiwanie... dlatego że on do wszystkiego, do każdej najprostszej rzeczy, podchodzi z najgłębszą powagą.

Dlatego że wszystkim jest tak szczerze zainteresowany, oprócz samego siebie.

Mocniej zacisnęła pasek płaszczka kąpielowego. Przeceniam go, uznała. Ale mam to gdzieś. Lepiej mieć pewien margines, kiedy pojawi się przesyt.

Chociaż ta chwila w ich przypadku zdawała się leżeć jeszcze w bardzo, bardzo odległej przyszłości. Beate Moerk poznała Franka Laptera dziewięć lat temu, na przyjęciu zorganizowanym w dwa miesiące po owianej legendą sprawie z siekierą, i zaszła w ciążę za drugim razem, kiedy poszli ze sobą do łóżka. No i dobrze, stwierdził Franek, gdy mu o tym powiedziała. Mogło nam się przytrafić coś gorszego.

Pobrali się, kupili stary dom przy Limmingerweg na obrzeżach Groonfelt, na świat przyszło ich pierwsze dziecko i zdecydowali się na następne za rok albo za półtora. Mniej więcej na tak długo przerwała pracę jako inspektor policji w oddziale w Kaalbringen; ten i ów uważał, że dobra matka powinna zostać trochę dłużej przy własnych pociechach, ale Franek miał swoją pracownię na poddaszu i nie potrafił sobie wyobrazić, by koło niego nie kręcili się Leon czy Myra. Przynajmniej przez kilka godzin w ciągu dnia. Więc dlaczego nie?

A teraz znowu jest morderstwo na tapecie.

Kocham mojego męża i moje dzieci, pomyślała. Ale kocham ich jeszcze bardziej, jeśli mogę oddać się swoim perwersyjnym skłonnościom.

– Czy ty nie masz przypadkiem obsesji na punkcie tych zwłok? – spytał, myjąc pędzle w zlewie. – Chodzi o tamtego starego prywatnego detektywa z Maardam?

Beate Moerk wciągnęła na nogi grube wełniane skarpety, wyprostowała się i skinęła głową.

– O Verlangena, tak – potwierdziła. – To on.

– I teraz ty i deKlerk macie rozwikłać tę sprawę, tak?

– Wątpisz w moje umiejętności?

Zastanowił się chwilę.

– Nie w twoje. Chyba wystarczy jeden geniusz, żeby rozwiązać to równanie. Inni powinni być tylko pod ręką, żeby zrobić kawę i nie wchodzić w drogę.

– Równanie? – powtórzyła Beate Moerk ze śmiechem. – Przez całą szkołę miałam z matmy co najwyżej trójkę. Tu nie chodzi o żadne równanie, tylko o prawdziwą orkę, jak w siódmej klasie. Nawiasem mówiąc, chyba dostaniemy wsparcie z zewnątrz.

– Z zewnątrz? To zanosi się na aż tak poważnie?

Wiedziała, że Franek, który potrafi przejąć się na serio ranną muchą, miewa czasami trudności z oceną wagi większych problemów. Może to nieuchronne w przypadku człowieka takiego jak on. Dla równowagi. Dla dobra sztuki.

Perspektywa z zewnątrz, jak to się mówi.

Bzdura, pomyślała. Przeceniam też świat jego myśli. Ale to chyba normalne, kiedy się kogoś kocha?

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że morderstwo to nie jest poważna rzecz?

Franek skończył czyszczenie pędzli. Wytarł ręce o swoją flanelową koszulę w kratę i podszedł do niej z szeroko rozłożonymi ramionami. Kiedy ją uścisnął, usłyszała, jak zgrzytnęło jej w żebrach.

– Ależ oczywiście – powiedział. – Czy nie mógłbym jeszcze rzucić krótko okiem na twoje pośladki? Coś mi się zdaje, że niezbyt dokładnie uchwyciłem pewną linię.

– Wrrr – warknęła i ugryzła go w ramię. – W każdym razie cieszę się, że modelk do aktów nie sprowadzasz już z zewnątrz.

Kochali się dosyć długo i było tak samo pięknie jak zawsze, kiedy jednak on niechętnie przeturlał się wreszcie na swoją połowę łóżka i zasnął, ona leżała jeszcze co najmniej z godzinę z otwartymi oczami.

W czym nie było oczywiście nic zaskakującego. Nieznajome i dobrze znane nazwiska krążyły po jej głowie jak mantry: Barbara Hennan – Jaan G. Hennan – Maarten Verlangen – komisarz Van Veeteren...

I Münster! Nie widziała inspektora Münstera od dziewięciu lat. Nawet nie rozmawiali ze sobą przez telefon, jakby była między nimi jakaś niepisana umowa. Mimo to pamiętała – tak dobrze, jakby to było dosłownie wczoraj – że niewiele brakowało, a doszłoby między nimi do romansu. Że wylądowaliby razem w łóżku.

W samym środku dochodzenia w sprawie mordu siekierą! Może perwersyjność tej zbrodni nie pozostała całkiem bez wpływu na to, co się między nimi działo?

A jutro miał się znowu pojawić w Kaalbringen.

Jakie to szczęście, że się ustabilizowałam. Bogu niech będą dzięki.

Wiadomości o zwłokach znalezionych w grzybnym lesie poświęcono – oprócz dosyć długiego artykułu na pierwszej stronie pod dużym tytułem – jeszcze trzy czwarte strony w poniedziałkowym wydaniu „de Journaal”, najważniejszym dzienniku dla Kaalbringen i okolic.

Znalazła się w nim też stara fotografia Verlangena, ta sama, którą posługiwano się podczas sprawdzania hoteli na początku maja, zamieszczono także apel miejscowej policji do wszystkich świadomych swej odpowiedzialności obywateli, by zgłosili się, jeśli wydaje im się, że wiosną lub na początku lata spotkali mężczyznę widocznego na zdjęciu.

Bądź też – oczywiście – są w posiadaniu jakichkolwiek innych informacji, które mogłyby pomóc w śledztwie. Przez ostatnie lata ich spokojnej nadmorskiej miejscowości oszczędzone były okrutne zbrodnie, stwierdzono dalej w artykule, jednak teraz znowu dotarły i tutaj. W obecnych globalnych czasach nigdzie nie można czuć się bezpiecznie, nawet w Kaalbringen, twierdził autor Hermann Schalke, który niecałe dziesięć lat temu też śledził dziennikarskim okiem słynne morderstwo z siekierą i bez trudności potrafił je sobie przypomnieć. Bez najmniejszych trudności. Nasz piękny świat jest pełen zła, a życie zatruwają jego poplecznicy i pozbawieni sumienia zdrajcy, zakończył filozoficznie swój mroczny epos.

Już przed południem w ten ciepły sierpniowy poniedziałek w komendzie stawilo się trzech informatorów; komendant deKlerk po bratersku dzielił się odpowiedzialnością z inspektorem Moerk i z aspirantem Stillerem. Ten ostatni miał zaledwie dwadzieścia cztery lata i po świeżo zdanym egzaminie końcowym w szkole policyjnej był od połowy lutego nowicjuszem zarówno w roli gliny, jak i w roli mieszkańca miasta.

Wszyscy trzej informatorzy zostali dosyć szybko odprawieni jako nieinteresujący. Dwaj twierdzili, że rzekomo widzieli poszukiwanego jeszcze w czerwcu, podczas gdy on, jak udowodniono, w tym czasie już od co najmniej miesiąca nie żył, trzeci zaś był młodym, ale wyraźnie zamroczonym umysłowo mężczyzną o nazwisku Dan

Wonkers. Mimo wczesnej pory był ewidentnie pijany i gotów podzielić się swoimi cennymi wskazówkami jedynie pod warunkiem, że otrzyma w zamian jakąś pieniężną gratyfikację.

Ponieważ się jej nie doczekał, wyszedł oburzony, obrzucając wyzwiskami nikczemne ścierwa i policyjnych faszystów – które to slogany wyssał najprawdopodobniej z mlekiem matki od swojego ojca. Ów bowiem, niejaki Holger Wonkers, był wbrew wszelkim prognozom wciąż aktywnym skrajnym radykałem przesiąkniętym czerwonym winem i bynajmniej postacią nie anonimową w mieście. Wręcz przeciwnie.

Tuż po przerwie obiadowej – zegar wskazywał kwadrans po pierwszej i mniej więcej również o tej godzinie inspektorzy Münster i Rooth dotarli z Maardam – zgłosił się jednak świadek zupełnie innego kalibru.

Była to kobieta. Nazywała się Katrine Zilpen. Ponieważ inspektor Beate Moerk trochę знаła przynajmniej jednego z dwóch przyjezdnych kolegów, a aspirant Stiller nie wrócił jeszcze z lunchu, przyjął ją w swoim gabinecie sam komendant we własnej osobie.

– Proszę usiąść – zaczął. – Tak więc przysłała pani w związku z naszym drobnym ogłoszeniem? Zgadza się, pani Zilpen?

– Zgadza się jak najbardziej – odpowiedziała Katrine Zilpen, zajmując miejsce naprzeciwko niego. – Czy my się już gdzieś nie spotkaliśmy?

– Nie sędzę – oznajmił deKlerk.

Była postawną kobietą około czterdziestki; on też miał wrażenie, że skądś ją zna – stopniowo zaczynał mniej lub bardziej rozpoznawać każdego mieszkańca miasta. W ciągu ośmiu lat nie da się może zobaczyć i zapamiętać dwudziestu dwóch tysięcy twarzy, ale mimo wszystko dosyć wiele z nich.

Jednak twarz Katrine Zilpen nie należała bynajmniej do powszednich. Z całą pewnością nie. Miała bujne miedziane włosy, zebrane na czubku głowy cienkim żółtym szalem w coś w rodzaju pióropusza. Wyrziste rysy i zielone oczy, których odcień skojarzył mu się od razu z oceanarium w Oudenburgu, gdzie w młodości pracował przez kilka letnich miesięcy jako przewodnik.

Gdyby była nieco mniej wulgarna, mogłaby być nawet ładna.

Wydeła lekko usta (domyślał się, że pewnie pociągnęła je świeżo pomadką, tuż zanim weszła w szklane drzwi komendy i że w jej przypadku to całkiem normalne), po czym spytała, czy może zapalić. Z jednej z szuflad wyjął popielniczkę i postawił ją na biurku po jej stronie. Następnie przysunął swoje krzesło bliżej otwartego okna i poprosił, aby powiedziała, z czym przyszła.

– Jeśli chodzi o te zwłoki – zaczęła, gdy już zapaliła sobie papierosa. – wydaje mi się, że ja go widziałam. Jeszcze za życia.

– Doskonale – odezwał się deKlerk. – Gdzie i kiedy?

– U Geraldine. Jakoś tak w kwietniu, nie pamiętam dokładnej daty, ale to na pewno było w weekend.

– U Geraldine? – powtórzył komendant. – Czyli na tym kempingu?

– To niezupełnie jest kemping. To miejsce nazywa się Geraldines Caravan Club. Tam są tylko stałe przyczepy kempingowe, żadnych przyjezdnych.

– Pod Wilgersee, tak?

– Nie aż tak daleko. Tylko kilometr od Fiesherman's Friend. To takie pole z dziesięcioma, dwunastoma przyczepami, od czasu do czasu jeździmy tam z mężem na weekend. Żeby trochę się wyrwać z miasta. Robimy tak już od paru lat.

– W kwietniu? – spytał deKlerk.

– W tych przyczepach jest ogrzewanie. A przynajmniej w większości. Ona sama mieszka w takiej jednej przez cały rok.

– Kto?

– Geraldine Szczok. Właścicielka.

DeKlerk poprosił, aby kobieta przeliterowała mu to nazwisko, i zapisał je w notesie.

– I tam właśnie spotkała pani mężczyznę, o którym zbieramy informacje?

– Tak mi się wydaje.

– Wydaje się pani?

– Nie mam stuprocentowej pewności. Nie jestem przecież stuknięta.

– Rozumiem.

– Naprawdę? To dobrze. Kiedy dzisiaj rano zobaczyłam to zdjęcie w gazecie, od

razu pomyślałam o tamtym gościu. Ale jak nie chcecie, żeby wam pomóc, to mam to w nosie.

– Spokojnie, pani Zilpen. Niech pani nie będzie taka drażliwa. Może napije się pani kawy?

– Nie, dziękuję. Zostało mi jeszcze tylko piętnaście minut przerwy obiadowej. Tak czy siak, uważam, że to był on. Ja i mąż rozmawialiśmy z nim trochę. Mieszkał w jednej z pozostałych przyczep, większość stała wtedy pusta, bo to jeszcze nie był sezon.

– Czyli rozmawiała z nim pani? Świetnie. O czym?

– O niczym specjalnym. Takie tam zwykłe banały... o pogodzie... jak mu się podoba w przyczepie i tak dalej. My z mężem zatrzymaliśmy się tylko na dwie noce. A on mieszkał tam już od kilku dni.

– I po waszym wyjeździe jeszcze został?

– Tak. W niedzielę po południu się spakowaliśmy i wróciliśmy do domu. On siedział przed swoją przyczepą... pożegnaliśmy się i życzyliśmy mu powodzenia. Zwyczajnie.

– Czy powiedział, jak się nazywa?

– Może podał tylko imię, ale nie pamiętam.

– A pamięta pani, jak był ubrany?

Katrine Zilpen zaciągnęła się głęboko papierosem i zamyśliła się.

– Niezupełnie. Ale na pewno w nic szczególnego. Chyba w dżinsy i sweter, a na nogach miał tenisówki.

– Czy mówił, dlaczego mieszka na kempingu?

– Zdaje się, że wspomniał Horstowi, że ma jakąś robotę w mieście.

– Horstowi?

– To mój mąż.

– Aha. Jakąś robotę?

– Tak mi coś kołacze po głowie, że Horst coś takiego powiedział... ale jeśli panu zależy, to najlepiej niech pan z nim porozmawia. Albo z Geraldine... ona powinna wiedzieć o nim trochę więcej.

– Oczywiście. Skontaktujemy się z nią... i na pewno z pani mężem także. A kiedy

to było? Czy jest pani w stanie powiedzieć, o który weekend kwietnia chodzi... Może byłoby łatwiej, gdyby zajrzała pani do swojego kalendarza?

Katrine Zilpen wzruszyła ramionami i zgasiła papierosa.

– Możliwe. No dobrze, mogę zajrzeć... jeśli to konieczne.

Komendant deKlerk odchrząknął.

– To jest niezwykle ważne, pani Zilpen. I jesteśmy pani ogromnie wdzięczni, że przysłała pani do nas z tymi informacjami. Czy zostawiła pani swój adres i numer telefonu na recepcji, żebyśmy się mogli z panią skontaktować?

– Oczywiście – odpowiedziała, rzucając wymowne spojrzenie na swój zegarek na ręce.

– Chwileczkę. Czy dziś wieczorem będą państwo w domu?

Zastanowiła się.

– Ja będę. Mąż pracuje na nocną zmianę i wychodzi z domu około szóstej.

– Czy wobec tego moglibyśmy przyjść do państwa wcześniej i zadać mu kilka pytań?

Kiwnęła głową i podniosła się z krzesła.

– Chyba tak. Niech pan przedtem zadzwoni.

– Naturalnie.

DeKlerk także wstał i wyciągnął rękę ponad biurkiem. Wydało mu się, że pani Zilpen zawahała się chwilę, zanim podała mu swoją.

No cóż, pomyślał, kiedy już opuściła jego gabinet. Ja też się w niej nie zakochałem.

Van Veeteren i inspektor Ewa Moreno umówili się z Belle Vargas w Darms Café przy Alexanderplejn w poniedziałek po południu. To Belle zaproponowała, aby spotkali się w mieście, a kiedy usiedli już przy stoliku w relatywnie odosobnionym i zacisznym miejscu, wyjaśniła dlaczego.

– Musiałam wyjść z domu. W pracy wzięłam kilka dni wolnego... Ludzie chyba uważaliby, że to nieprzyzwoicie, gdybym normalnie pracowała po tym, jak się okazało, że mój ojciec został zamordowany. Ale ja po prostu nie wiem, co ze sobą zrobić. Ci, którzy się orientują, co się stało, nie mają odwagi dzwonić i przeszkadzać, mąż jest w pracy, dzieci w szkole i przedszkolu... czym, u diabła, mam się zająć?

Mam siedzieć i płakać? Planować pogrzeb w zakładzie pogrzebowym? Przecież nawet do tego nie mogę się na razie zabrać, tak?

– Proszę jeszcze kilka dni z tym zaczekać – powiedziała Ewa Moreno. – Jak pani się domyśla, w takiej sytuacji często zdarzają się opóźnienia. Doskonale rozumiem, że to musi być dla pani trudne.

– Oko cyklonu – powiedział Van Veeteren, przyglądając się Belle Vargas z wyrazem troski. – Znalazła się pani w oku cyklonu, a to nie należy do szczególnie przyjemnych przeżyć. Jak się pani właściwie czuje?

Belle Vargas westchnęła głęboko i pokręciła głową.

– Sama nie wiem – odrzekła. – Przez cały czas zakładałam, że on nie żyje. A pewność, jak wiadomo, jest zawsze lepsza od niepewności... Wolałabym jednak, żeby miał inny koniec. Ta jego śmierć jest... jest po prostu straszna.

Niechący stuknęła filiżanką o spodeczek i przełknęła kilka łez.

– Zamordowany? – dodała jeszcze. – Boże drogi, mój biedny samotny tata został zamordowany! Podejrzewaliście coś takiego?

Van Veeteren wymienił spojrzenia z Moreno.

– Nie – odpowiedział. – Ale jeśli mamy być szczerzy, nie jesteśmy też całkiem zaskoczeni. Wie pani równie dobrze jak my, że miał swoje powody, aby wybrać się do Kaalbringen. Chodzi o tę dawną historię, o której rozmawialiśmy wiosną. Sądzę więc...

Urwał, nagle niepewny, co powinien powiedzieć. Belle Vargas wyczyściła sobie nos i wypła łyk kawy.

– Przepraszam. Myślałam, że się nie rozkleję, a jednak nie wytrzymałam. Tak, rozumiem, że być może sam wystawił się na jakieś niebezpieczeństwo... mimo to trudno mi się z tym pogodzić. To znaczy, że on już od kwietnia leżał martwy w tamtym lesie, tak?

– Prawdopodobnie – przyznał Van Veeteren. – Ale gdy z człowieka raz ujdzie życie, potem już nie cierpi. Cierpimy tylko my, którzy nadal żyjemy.

Przyjrzała mu się przez chwilę ze zdziwieniem.

– Możliwe – powiedziała. – Ja w każdym razie cierpię.

– Czy zgadza się pani, żebyśmy zadali pani kilka pytań? – zmieniła ostrożnie

temat Moreno. – Pani ojciec został zamordowany, a my chcemy ująć tego, kto to zrobił.

– Wiem – odparła Belle Vargas, sięgając po kolejną chusteczkę higieniczną do torebki. – Pewnie chcecie dopaść wreszcie tego Hennana... bo to chyba on stoi za wszystkim, tak?

– Nie da się tego wykluczyć – przyznał Van Veeteren.

– Jestem do dyspozycji. Co chcecie wiedzieć? – spytała Belle Vargas.

– Najpierw chcielibyśmy się skupić na okresie przed zniknięciem pani ojca z Maardam.

– Przed jego zniknięciem?

– Tak, czyli na końcu marca do mniej więcej piątego, szóstego kwietnia. Jakkolwiek by na to patrzeć, w tamtych dniach musiało zdarzyć się coś, dzięki czemu pani ojciec natrafił na trop Jaana G. Hennana... i dowiedział się czegoś, co dotyczyło wydarzeń z osiemdziesiątego siódmego. Na razie wiemy bardzo mało, praktycznie nie mamy nic. Jedynie tamtą rozmowę telefoniczną z pani synem i zapiski na kartce zostawionej na stole w kuchni. Może były jeszcze jakieś inne ślady?

– Ślady? – powtórzyła za nim młoda kobieta i zamyśliła się na chwilę. – Sama nie wiem...

– Mógł gdzieś coś zanotować albo na przykład rozmawiać z jakimś znajomym – uzupełniła Moreno.

Belle Vargas spojrzała na nią błyszczącymi oczami, po czym odrzekła:

– On raczej nie miał żadnych znajomych. Mój ojciec był przerażająco samotnym człowiekiem. Dlaczego policja nie zainteresowała się takimi rzeczami wtedy, w kwietniu?

– Dlatego że... – zaczęła Moreno, ale gdy uzmysłowiła sobie, co zamierzała powiedzieć, szybko ugryzła się w język.

– Dlatego że znaczenie mojego ojca nieporównywalnie wzrosło, kiedy został zamordowany – stwierdziła Belle Vargas. – Rozumiem, nie musi mi pani wyjaśniać.

Na kilka sekund zaległa cisza.

– W czym właściwie mogę wam pomóc? – spytała po chwili z wyraźną irytacją w głosie.

Van Veeteren odchrząknął zdecydowanie.

– No cóż – odezwał się. – Niewykluczone, że w pani słowach jest trochę racji, i może się wydawać, że się pani naprzykrzamy, ale proszę mi wierzyć – nie mamy innego wyboru. Czy jego mieszkanie jest nadal w takim stanie, jak było?

Potaknęła ruchem głowy i przygryzła wargę.

– Proszę mi wybaczyć, jestem trochę... jak już wspomniałam. Tak, płaciliśmy czynsz regularnie co miesiąc, chociaż ja przez cały ten czas nie byłam tam ani razu. Jeśli chcecie tam iść, mam klucz przy sobie... i tym razem.

– To dobrze – odpowiedział Van Veeteren. – Wobec tego nie ma na co czekać. Może warto popytać sąsiadów. Może mimo wszystko ktoś z nim utrzymywał kontakt.

Belle Vargas podała Van Veeterenowi ten sam klucz, którym posłużył się cztery miesiące wcześniej.

– Przepraszam, że tak wybuchłam – rzekła. – Po prostu nie panuję nad emocjami. To przecież oczywiste, że chcę, abyście znaleźli mordercę mojego ojca.

– Doskonale panią rozumiemy – odparł Van Veeteren. – I zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Proponuję, żeby jutro wróciła pani do pracy. Niech pani nie zawraca sobie głowy tym, co sobie ludzie pomyślą. Dobrze pani radzę.

Belle Vargas uśmiechnęła się przelotnie.

– Zastanowię się – obiecała.

– Odezwiemy się do pani z dalszymi pytaniami – wtrąciła Moreno.

– Wiem – powiedziała Belle Vargas.

– To była piekielnie niewesoła uwaga – stwierdził Van Veeteren po wyjściu z kawiarni. – Ta o jego znaczeniu przed śmiercią i po niej.

– Owszem – zgodziła się Moreno. – Delikatnie mówiąc.

– I całkiem trafiona, bo jeżeli – czysto hipotetycznie oczywiście –rozwikłamy tę przekłętą sprawę G dzięki zabójstwu Maartena Verlangena, to muszę przyznać, że mimo woli poczułbym satysfakcję...

Moreno szła przez chwilę w milczeniu.

– Wiem, co chcesz przez to powiedzieć – odezwała się wreszcie. – Ale jest, jak jest. Verlangen został zamordowany i gdyby ta jego śmierć miała nas do niczego nie doprowadzić, to byłoby najgorsze z możliwych rozwiązań... Nie możemy

rozpatrywać tego wyłącznie w kategoriach moralnych.

– Zgoda – potaknął Van Veeteren. – Jesteś, kobieto, mądra jak sowa. Czy nawiasem mówiąc, zauważyłaś, że w kawiarni zachowywałem się tak, jakbym wciąż pracował na policji? Nawet wziąłem od niej klucz.

– Coś takiego przebiegło mi przez głowę – przyznała Moreno.

– To jest diabelsko ładna pani inspektor – powiedział Rooth.

– Nie wiesz, czy wyszła za mąż?

– Nie mam pojęcia – rzekł Münster.

– Nie masz pojęcia? A czy jej przypadkiem tu nie było, kiedy pracowałeś tutaj ostatnio?

– Od tamtej pory minęło dziewięć lat – zwrócił uwagę nie bez irytacji Münster. – O ile pamiętam, wtedy nie miała męża.

– To dobrze – rzekł Rooth. – Czyli raczej już dojrzała, żeby się ustatkować.

Münster spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Ty jesteś niemożliwy, Rooth. Po prostu niemożliwy. Może jednak skupilibyśmy się na tym, po co tu przyjechaliśmy, a nie na twoim wątpliwym życiu uczuciowym?

– Jeśli o mnie chodzi, bardzo proszę – rzucił Rooth. – Przynajmniej tym razem. A po co właściwie tu jesteście?

Münster musiał przyznać, że to pytanie było w pewnym sensie uzasadnione.

– Domyślam się, że po to co zawsze – odpowiedział, przytrzymując jednocześnie drzwi windy przed kolegą. – Mamy rozwiązać zagadkę pewnego morderstwa... nieproszeni przestąpić progi Bóg wie ilu domów, grzebać w życiu prywatnym Bóg wie ilu ludzi, znaleźć sprawcę i za pomocą wszelkich stojących do dyspozycji środków doprowadzić do tego, żeby się przyznał. A dlaczego pytasz?

Rooth wyszedł z hotelowego foyer na dwór i zmrużył oczy od promieni popołudniowego słońca.

– Przynajmniej mamy ładną pogodę – powiedział. – Coś mi się zdaje, że tym razem może chodzić o coś więcej. Nie tylko o pukanie do drzwi i grzebanie w czyimś życiu. Swoją drogą poznałbyś tego Hennana, gdybyś się teraz na niego natknął?

Münster zawahał się nieco.

– Chyba tak – powiedział. – A przynajmniej gdybym spędził z nim chwilę. Ale

w gruncie rzeczy trudno powiedzieć.

– To pewnie dlatego zostałeś wytypowany – stwierdził Rooth. – Bo piętnaście lat temu maczałeś w tym palce.

– Prawdopodobnie – zgodził się Münster. – Gdzie, u diabła, zostawiliśmy samochód?

– Tam. – Rooth wskazał ręką. – Ale ciekawe, dlaczego wydelegowali także mnie... Ja pracowałem przy tamtej sprawie bardzo krótko, a właściwie prawie wcale.

– Jesteś moim niewolnikiem, nie rozumiesz tego? – wyjaśnił mu Münster. – Ja nakreślam strategię, ty odwalasz czarną robotę.

Rooth wepchnął sobie do ust pół tabliczki czekolady i zaczął powoli przeżuwać. Szli na ukos przez rynek.

– Nie sądzę – powiedział, gdy przełknął już wystarczająco dużo czekolady, by móc znowu mówić. – Ta sprawa wymaga raczej utalentowanego teoretyka z pewną intuicją. Jak się pogubisz, powiedz, nie musisz się wstydzić.

– Boże drogi – westchnął Münster, otwierając drzwi samochodu. – Nie zapomniałeś przynajmniej adresu?

– Oczywiście, że nie – zapewnił Rooth i wyjął z kieszonki na piersi kartkę. – Horst Zilpen, Donners Allé 15. Ty prowadzisz, ja patrzę w mapę.

Po drodze do Geraldines Caravan Club Beate Moerk opowiedziała aspirantowi Stillerowi, co wie o jego właścicielce. Lepiej, żeby był uprzedzony, pomyślała. W końcu jest prawie nowy w mieście i łatwo mógłby popełnić jakąś gafę.

Geraldine Szczok, albo Van der Hahn, jak nazywała się w stanie panińskim, należała do tak zwanego pokolenia beatników. Za młodu zaczytywała się w Kerouacu i pod koniec lat pięćdziesiątych uciekła od swoich dobrze sytuowanych rodziców (buty i galanteria skórzana) do Kalifornii. Zniknęła na parę lat, a w 1962 wróciła do Kaalbringen z synkiem, który, jak twierdziła, został spłodzony pewnej gorącej nocy w Salinas ni mniej, ni więcej, tylko z samym Eddiem Cochranem. Nie odniosła jednak za oceanem sukcesu w swoich procesach o spadek po zmarłym soliście rockowym i kiedy w pewien deszczowy lutowy dzień pojawiła się u swoich rodziców i stanęła w ich fabrykanckiej willi przy Walmaarstraat, trzymając Eddiego juniora za rękę, oświadczyła, że jest zmęczona całym tym głównem i że zamierza osiąść po wieczny czasy w Kaalbringen oraz napisać powieść.

Ponieważ drugie dziecko Hahnów, czyli o dwa lata młodszy brat Geraldine – Maximilian (tak, tak, naprawdę tak mieli na imię: Geraldine i Maximilian, zapewniła Moerk, prawdopodobnie miało to jakiś związek z ambicjami rodziców) – tak więc ponieważ ów brat podczas jej nieobecności zmarł na wrodzoną białaczkę, oboje (a przynajmniej matka) przyjęli marnotrawną córkę oraz wnuka z otwartymi ramionami. Geraldine zamieszkała w skrzydle willi i zaczęła pisać swoją książkę, a gdy starsi państwo odeszli (jedno po drugim w odstępstwie zaledwie ośmiu miesięcy) po dwudziestu latach, ona nadal nad nią pracowała.

Skończywszy pięćdziesiąt lat, Geraldine odkryła, że nie ma już pieniędzy, sprzedała więc rodzinny dom, wyszła za mąż za pełnego fantazji hydraulika o nazwisku Andrej Szczok i otworzyła kemping na zboczu, parę kilometrów na wschód od Kaalbringen. Andrej zniknął w romantycznych okolicznościach z pewną Cyganką kilka lat później, Geraldine zaś, chcąc uporać się z tym ciosem losu, kupiła niezwykle bogato wyposażony kamper i osiadła na dobre na polu kempingowym.

O ile Beate Moerk się orientowała, nastąpiło to jakoś na początku lat dziewięćdziesiątych.

– Wydaje się dosyć nietypową kobietą – zauważył Stiller. – A co z książką?

– Jeszcze nie jest gotowa – powiedziała Beate Moerk. – W każdym razie musimy być dosyć ostrożni. Ludzie mówią, że Geraldine bywa humorzasta.

– Wyobrażam sobie – rzekł Stiller i wydawał się trochę niespokojny.

Sława Geraldine okazała się niebezpieczna.

Była wysoką i postawną kobietą, ukrytą pod niewiadomą ilością warstw jakichś barwnych tkanin, ubraną w zdrowotne sandały i małą czapkę z daszkiem i dodatkowo wyposażoną w złotego koloru dwudziestocentymetrową lufkę do papierosów. O ile Moerk była dobrze poinformowana, Geraldine musiała mieć już z sześćdziesiąt pięć lat i raczej trudno było sobie ją wyobrazić w jakimś domu opieki czy innej instytucji tego rodzaju za lat dziesięć czy dwadzieścia. Oj, bardzo trudno.

Ale kemping wyglądał na dość zadbane. Około dziesięciu przyczep kempingowych z różnych materiałów i o różnym wyglądzie stało rozrzuconych po lekko nachylnym terenie graniczącym z kawałkiem mieszanego lasu, który ciągnął się aż po brzeg morza i plażę. Większość przyczep wydawała się zamieszkała, ludzie w dresach grali w siatkówkę i badmintona, stali i zmywali naczynia przy akompaniamencie muzyki z tranzystorowych radioodbiorników albo siedzieli i cieszyli się słońcem, czytając gazetę, popijając piwo i kawę. Kilka psów biegało naokoło, a parę pięcio- i sześciolatków próbowało rozebrać jakiś rower. Na skraju lasu ciemnoskóry mężczyzna ćwiczył tai-chi. Po prostu sielankowy obrazek, pomyślała Beate Moerk.

Kamper właścicielki był w kolorach niebieskim i kanarkowożółtym, dwa razy większy od największego z pozostałych, wyposażony w anteny telewizyjną i satelitarną oraz w szyld z napisem „Recepcja” w odblaskowej zieleni.

Przed tym arcydziełem siedziała na fotelu Geraldine Szczok we własnej osobie – ze szklanką piwa na stoliku obok i dziesięciokilogramowym kotem na kolanach.

– Witajcie! – powiedziała, nie wstając ani nie wykonując żadnych innych ruchów zużywających energię. – Domyślam się, że to wy jesteście z żandarmerii. Siadajcie!

Wyjęła z ust lufkę i wskazała nią na dwa znacznie skromniejsze meble do

siedzenia. Moerk i Stiller zajęli wskazane miejsca.

– Zgadza się – potwierdziła Beate Moerk. – Bardzo tu miło u pani.

– Miło? – powtórzyła Geraldine Szczok. – Przybyliście do Republiki Wolności, powinniście być tego świadomi.

– Interesujące – odezwał się aspirant Stiller, rozglądając się dookoła.

– Jak wspominałam, potrzebujemy kilku informacji – powiedziała inspektor Moerk. – Chodzi o morderstwo, pewnie czytała pani w dzisiejszej gazecie?

– Nie czytam gazet – oznajmiła Geraldine Szczok, wkładając następnego papierosa do lufki. – Ale słucham was.

Beate Moerk wyjęła zdjęcie Verlangena.

– Ten mężczyzna podobno mieszkał tutaj na kempingu przez pewien czas w kwietniu. Pamięta go pani?

Geraldine popatrzyła na fotografię przez dwie sekundy.

– Jasne, że go pamiętam – powiedziała. – Ale to dosyć kiepskie zdjęcie.

– Niestety innego nie mamy – wyjaśniła Beate Moerk. – Mogłaby nam pani trochę o nim opowiedzieć?

– Jak to opowiedzieć? – obruszyła się pani Szczok. – Co chcecie o nim usłyszeć? Mieszkał tu dobry tydzień, a potem zniknął. Podejrzany typ.

– Został zamordowany – poinformowała Beate Moerk. – Dlatego tu jesteśmy.

– Tyle zdążyłam zrozumieć.

– Bardzo by nam to pomogło, gdybyśmy mogli się dowiedzieć, czym się zajmował, kiedy tu mieszkał – wtrącił aspirant Stiller. – Czy pani z nim rozmawiała i tak...?

Geraldine Szczok popatrzyła na niego z głęboką zmarszczką między podkreślonymi ciemną kredką brwiami. Jakby się zdumiała, że on potrafi mówić.

– Nie był szczególnie rozmowny – odezwała się w końcu. – A ja zostawiam ludzi w spokoju, jeżeli chcą mieć spokój.

– Ale ma pani zapisane przynajmniej jego nazwisko? – spytała inspektor Moerk. – Datę, kiedy się tu zjawił i podobne rzeczy?

– Oczywiście. To wszystko jest w książce.

– W książce?

– Leży w środku.

Wskazała kciukiem przez ramię.

– Jeżeli chcecie do niej zajrzeć, to może niech pan posterunkowy pójdzie i ją przyniesie? Jest na półce nad lodówką... taka czarna.

Stiller skinąwszy głową, wstał i zniknął w kamperze. Geraldine Szczok zapaliła papierosa i poprawiła sobie czapkę. Po dziesięciu sekundach aspirant wrócił z grubym, czarnym notesem w formacie A4.

– *Vamos a ver* – powiedziała Geraldine Szczok i przepędziła kota, po czym wzięła książkę do ręki. Przez chwilę przewracała kartki tam i z powrotem. Stiller usiadł znowu na swoim miejscu, Moerk zaś wyjęła notes i czekała.

– Jest! Henry Sommers, tak. Przyjechał dziewiątego kwietnia, zniknął mniej więcej dziesięć dni później. Zapłacił za tydzień, ale skoro nie żyje, to nie ma o co kruszyć kopii...

– Sommers? – spytał Stiller. – Czyli nie używał swojego prawdziwego nazwiska.

– W Republice Wolności każdy może używać nazwiska, jakie mu się tylko podoba – oświadczyła Geraldine Szczok i pociągnęła łyk piwa. – Może też macie ochotę się napić?

Moerk i Stiller pokręcili odmownie głowami.

– Nie, dziękujemy – odpowiedziała pani inspektor. – A w której przyczepie mieszkał?

– W tej, co się spaliła.

– Spaliła się? – powtórzył Stiller.

– Tak, spaliła.

– Co pani ma na myśli? – spytała Beate Moerk.

– To, że ta cholerna przyczepa poszła z dymem.

Stiller popatrzył na Moerk. Moerk popatrzyła na Stillera. Następnie odchrząknęła.

– Mówi pani, że przyczepa, w której mieszkał Maarten Verlangen... albo Henry Sommers... że ta przyczepa się spaliła?

– Dokładnie. Pani posterunkowa zrozumiała to idealnie. Gratuluje.

– Kiedy to się stało? – spytał Stiller.

Geraldine Szczok wzruszyła ramionami.

– Kilka dni po tym, jak zniknął. Chyba około dwudziestego kwietnia.

– Dlaczego?

– Dlaczego się spaliła?

– Tak.

– A cholera wie. Pewnie coś było nie w porządku z elektrycznością. Albo z gazem. Albo ktoś podłożył ogień.

– Zgłosiła to pani?

Pokręciła przecząco głową.

– Nie, nie zgłosiłam.

– Dlaczego?

– Nie chciało mi się. Nie chcę, żeby przyjeżdżali mi tu strażacy i węszyli po kątach.

– A co z ubezpieczeniem? – chciał wiedzieć Stiller.

– Ta przyczepa nie była ubezpieczona. Była najgorsza z całego kempingu. Wybrałam ją, bo najmniej kosztowała. W gruncie rzeczy nawet dobrze, że się jej pozbyłam.

– Jak pani zauważyła pożar? – spytała Beate Meork.

– Obudziłam się oczywiście – wyjaśniła z irytacją Geraldine Szczok. – W środku nocy, paliło się tak, że aż huczało. Cała przyczepa stała w płomieniach, zerwałam się z łóżka i popędziłam z gaśnicą... niewiele to pomogło, a na kempingu nie było ani jednego gościa. Ale potem zaczął padać deszcz i do rana było po wszystkim.

– Czy coś... coś z niej zostało? – spytał Stiller.

– Nic a nic. Czarna plama na ziemi i kupa rżęchów, które zmieściły się na dwóch taczkach. Humboldt pomógł mi wszystko uprzątnąć.

– Kto to jest Humboldt?

– Sąsiad. Chłop z gospodarstwa niedaleko. Od czasu do czasu mi pomaga.

Znowu wskazała kciukiem w jakimś kierunku.

– Dupa blada – powiedziała Beate Moerk.

– Słucham?

– Powiedziałam: dupa blada. Przepraszam, ale my, policjanci, też jesteśmy tylko ludźmi.

– Nigdy bym nie pomyślała – odparła Geraldine Szczok, po czym przechyliła

głowę do tyłu i wypła resztkę piwa. Kiedy skończyła, otarła sobie usta wierzchem dłoni i się uśmiechnęła.

Albo przynajmniej wyglądała na zadowoloną. Choć nie wiadomo z jakiego powodu.

– Mieliliśmy nadzieję, że znajdziemy coś, co może tutaj zostawił – odezwała się znowu Beate Moerk. – Tymczasem pani mówi, że wszystko poszło z dymem. Pewnie jego rzeczy były w przyczepie, jak się spaliła? Tak?

– O ile mi wiadomo – tak. Nie wchodziłam do środka. Myślałam, że on jeszcze wróci. Bo nie było go w końcu tylko kilka dni. A potem nie grzebaliśmy w popiele, ani ja, ani Humboldt.

Beate Moerk westchnęła i przewróciła kartkę w notesie.

– Dużo pani z nim rozmawiała, kiedy tu mieszkał?

– Nie, prawie wcale.

– Nie mówił pani, dlaczego się tu zatrzymał?

– Mówił. Dlatego że u mnie jest tanio. Widział moją reklamę na dworcu w mieście.

– Rozumiem. A po co właściwie przyjechał do Kaalbringen? Nie wspominał o tym?

– Nie. A ja nie wtykam nosa w nie swoje sprawy.

– Tak, wiemy. Coś chyba jednak musiał powiedzieć... albo choćby zasugerować.

– Powiedział tylko, że potrzebuje dachu nad głową na jeden tydzień. A po tygodniu – że jeszcze na kilka dni. Ustaliliśmy, że zapłaci, jak będzie wyjeżdżał.

– I nie domyśla się pani, dlaczego tutaj był?

– Nie.

– Ktoś go odwiedzał?

– Nie zauważyłam.

– Wspominał, skąd jest?

– Nie.

– I podał się za Henry'ego Sommersa?

– Tak. Tak jest w książce.

Postukała knykциями w czarną okładkę.

– A jak spędzał tu czas? Czy w ciągu dnia był na kempingu, czy przebywał gdzie indziej?

Zastanowiła się chwilę.

– Różnie. Ale chyba dosyć często go nie było.

– W tamtym czasie nie miała pani wielu gości?

– Ani żywego ducha. Załedwie parę przyczep zajętych w weekendy. W kwietniu to normalne... ale teraz jest komplet, jak widzicie.

Wykonała zamaszysty gest w kierunku pola kempingowego.

– Rzeczywiście – powiedziała Beate Moerk. – A ci inni goście, ci, którzy przebywali tutaj w tym samym czasie, kiedy mieszkał tu Henry Sommers... ich też ma pani zapisanych w swojej książce?

– Naturalnie. Nie było ich wielu, jak mówiłam.... poza tym to trochę delikatna sprawa.

– Delikatna?

– No tak. A ja nie jestem taka pedantyczna, jeśli chodzi o nazwiska. Goście sami się wpisują.

– Ale dlaczego według pani to delikatna sprawa?

– No bo są tacy, którzy przyjeżdżają tu z żonami, ale i tacy, którzy wolą inne towarzystwo.

– Rozumiem – powiedziała Beate Moerk. – Obawiam się jednak, że musimy poprosić panią o te nazwiska. Oczywiście zachowamy dyskrecję. Czy możemy rzucić okiem na pozostałości?

– Jakie pozostałości?

– Na miejsce, gdzie stała spalona przyczepa.

Geraldine Szczok odchyliła się do tyłu i roześmiała krótko.

– Jasne, że możecie. Tam, w rogu, jest szara plama.

Wskazała ręką w kierunku pary grającej w badminton. Potem przechyliła się na lewo i wyciągnęła z wiadra stojącego pod kamperem kolejną butelkę piwa. Widać było wyraźnie, że ta wizyta mimo wszystko sprawia jej pewną przyjemność. Rozmowa ze stróżami prawa i porządku spoza granic Republiki Wolności. Beate Moerk westchnęła i wstała z miejsca.

– Pójdę tam i rzucę okiem.

Niech Stiller radzi sobie przez pięć minut sam, pomyślała.

Kiedy kwadrans później opuścili Geraldines Caravan Club, inspektor Moerk wydawała się zrezygnowana.

– Wiele się nie dowiedzieliśmy – powiedziała.

– No nie – potwierdził Stiller. – A jak wyglądało to miejsce, na którym stała przyczepa?

– Szarobrązowa plama w trawie – stwierdziła ponuro Beate Moerk. – I to wszystko. To mogło być podpalenie, ale teraz w żaden sposób już tego nie ustalimy. Udało ci się jeszcze coś z niej wyciągnąć w cztery oczy?

– Nazwiska dwóch osób, które mieszkały tu w tym samym czasie co Verlangen – poinformował Stiller, poklepując się dłonią po piersi, gdzie w wewnętrznej kieszeni trzymał swój notes. – Kobiety i mężczyźni, ale nie małżeństwa, choć żadne z nich nie było stanu wolnego. Bywali tu już wcześniej, właścicielka ich zna. Poza tym nic szczególnego... rozmawialiśmy głównie o jej książce.

– Co takiego?

– O jej powieści, tej, którą zaczęła pisać czterdzieści lat temu.

– No wiem... i co miała do powiedzenia na ten temat?

Stiller chrząknął nieco zakłopotany.

– Mówi, że niedługo ją skończy. Spytała mnie, czybym jej nie przeczytał, zanim wyśle ją do wydawnictwa... Podobno ma mieć dwa tysiące sto stron.

– Jezu drogi! Dwa tysiące...

– ...sto, tak. Zgodziłem się, może to było zbyt pochopne z mojej strony, ale nie chciałem jej urazić.

– No to gratuluję – rzuciła Beate Moerk. – Przynajmniej teraz wiesz, co będziesz robił wieczorami przez najbliższy rok.

Stiller pokiwał głową.

– To dla mnie nie kłopot. I tak dużo czytam, a ona może jednak zapomni.

Beate Moerk popatrzyła na niego kątem oka, kiedy wycofywał samochód z parkingu, i pomyślała, że on ma chyba więcej strun w swojej lirze, niż sądziła. Aspirant Stiller.

– Co robisz? – rzuciła Ulrike Fremdli.

– Słucham? – spytał Van Veeteren, zdejmując słuchawki z uszu. – Leżę i słucham Pendereckiego.

– Aha.

Van Veeteren usiadł i zrobił jej miejsce obok siebie na kanapie. Ulrike dołączyła do niego.

– Co to miało znaczyć?

– Co?

– No, to „aha”. Jakoś dziwnie je powiedziałaś.

– Czyli jak?

– Jak Archimedes w wannie. Jakbyś nagle coś zrozumiała.

– Jest cała masa rzeczy, które zaczynam rozumieć, powinieneś to chyba zauważyć.

Ziewnęła i przetarła sobie oczy zaciśniętymi dłońmi, walcząc z sennością.

– Owszem, zauważam. Po prostu nie mogę zasnąć. I tyle.

– Hm.

– Hm?

– Chyba nie jesteś aż taki naiwny, że nie pojmujesz, skąd się to bierze. I chyba nie sądzisz, że ja jestem taka naiwna i nic nie rozumiem.

Van Veeteren zastanowił się.

– To ty tak uważasz.

– Owszem, tak uważam. Co zamierzasz zrobić?

– Nie wiem. Masz jakieś dobre propozycje?

– Jest tylko jedno rozwiązanie. I nie wmawiaj sobie nic innego.

– Naprawdę tak uważasz?

– Przecież wiesz. Nie udawaj.

– Ja nigdy nie udaję. No dobrze, kilka dni, jeśli tak nalegasz.

– Ja nie nalegam.

– Aha. Wobec tego muszę sam podjąć decyzję.

Ulrike wybuchła śmiechem i chwyciła go za gardło.

– Ale najpierw może jeszcze się z tym prześpijmy – dodał Van Veeteren i uwolnił

się z uścisku. – Jeśli mam być szczery, to mam złe przeczucia.

Ulrike spoważniała.

– Ja też – przyznała i nagle, przez ułamek sekundy, wyglądała na tak śmiertelnie poważną, że aż zamarło mu serce.

Jakby o tej późnej godzinie śmierć złożyła im krótką wizytę, lecz w końcu się rozmyśliła i postanowiła zostawić ich jeszcze na jakiś czas w spokoju.

Ohyda, pomyślał. Kto to jest, kto w ten sposób uchyla przed nami rąbka kurtyny?

Inspektor Münster nie mógł pozbyć się poczucia déjà vu, kiedy we wtorkowe przedpołudnie usiadł wraz z Roothem w bladożółtej salce konferencyjnej komendy w Kaalbringen.

Początkowo nie potrafił zrozumieć, dlaczego przeszłość wydawała się tak natrętnie obecna. Owszem, miasto, budynek i malowniczy rynek za oknami były identyczne jak przed dziewięcioma laty, ale aktorzy w większości się zmienili. Ani Rooth, ani aspirant Stiller, ani też nowy komendant policji nie uczestniczyli w tamtej sprawie. Tylko on i inspektor Moerk.

Beate Moerk. A więc to o nią chodziło. Oczywiście. Teraz jest matką dwójki dzieci i pewnie dobiega czterdziestki, jak szybko obliczył. Mimo to dostrzegł w jej twarzy i w oczach to samo, co wtedy tak go pociągało... cokolwiek to mogło być. Zauważył, że Beate również dzisiaj unika jego wzroku, co było z pewnością w tej wstępnej fazie rozsądnym środkiem profilaktycznym. Rooth wspomniał, że diabelnie z niej ładna pani inspektor, i chociaż w sferze uczuć stanowi on dosyć smutny okaz, to chyba jednak ma oczy w głowie?

A słońce paliło przez południowe okno dokładnie tak samo mocno jak dziewięć lat temu. Kiedy zastanowił się głębiej, doszedł do wniosku, że to nie tylko Beate Moerk i znajome otoczenie trochę zachwiało jego poczuciem czasu. Przecież sprawa G jest na tapecie jeszcze dłużej – od piętnastu lat! – w gruncie rzeczy nic zatem dziwnego, że nie do końca potrafi odnaleźć się w teraźniejszości.

A katalizatorem wszystkiego był Maarten Verlangen. Ogniwem łączącym jedno i drugie. Nędzne szczątki prywatnego detektywa przeleżały, gnijąc w lesie, przez kilka miesięcy. I wreszcie je odkryto, a oni zostali tu wezwani, aby ustalić, kto je tam umieścił.

Przynajmniej takie było założenie. Wersja oficjalna. To, co z tego wyniknie później, to już zupełnie inna sprawa. Efekt synergiczny – to byłoby pewnie najodpowiedniejsze określenie. Kiedyś mówiło się: kręgi na wodzie.

Niezależnie jednak od tego, jak by chciano to nazwać, pomyślał Münster, tak czy

inaczej wezwano dwóch funkcjonariuszy policji kryminalnej w Maardam, aby ustalili, jak dobiegła kresu bezprzykładnie smutna i żałosna egzystencja Maartena Verlangena – o ile w tej zupie nie było innych składników poza tymi, które pływały na powierzchni.

W ten ciepły wtorek u schyłku lata brakowało na komendzie zarówno Van Veeterena, jak i inspektora Kropkego. A batutę trzymał w ręku nie komisarz Bausen, tylko niejaki komendant deKlerk. Münster nie zdążył jeszcze wyrobić sobie o nim zdania, zakładał jednak, że jest zręcznym policjantem. W każdym razie nic nie wskazywało na to, aby było inaczej. Właśnie powiesił marynarkę na oparciu krzesła, trochę niepewnie powiódł wzrokiem po zebranych i splótł razem dłonie.

– No cóż, serdecznie wszystkim witam – powiedział. – Wobec tego zaczynajmy. Jeśli Bóg zechce, za godzinę dostaniemy kawę.

– *In sh'a Allah* – odezwał się Rooth. – Cieszę się, że znalazłem się w tak cywilizowanej okolicy.

Pamiętaj, Rooth, że sam odpowiadasz za swoje durnoty, pomyślał Münster i też zdjął marynarkę.

– Może dla porządku przedstawię na wstępie małe podsumowanie – zaproponował deKlerk, otwierając kartonową teczkę. – Koledzy z Maardam są bardziej wprowadzeni w tło sprawy niż wszyscy pozostali, więc w razie czego proszę mnie skorygować, jeśli się w czymś pomylę.

Rooth skinął głową, Münster zaś wyjął swój notes.

– Tak więc – kontynuował deKlerk – u jej podstaw – przynajmniej taka jest nasza teza robocza – leży historia z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego, czyli zabójstwo Barbary Clarissy Hennan w Linden. Zakładamy, że było to zabójstwo, mimo że nigdy tego do końca nie dowiedziono. Mąż ofiary, Jaan G. Hennan, został o nie oskarżony, sąd go jednak uniewinnił z braku dowodów. Następnie zainkasował pokaźną kwotę z polisy ubezpieczeniowej i podobno jeszcze w tym samym roku opuścił kraj. Na marginesie tej sprawy pojawia się też postać prywatnego detektywa Maartena Verlangena; jego dokładna rola jest pod wieloma względami niejasna, wiadomo wszakże, że został zatrudniony przez panią Hennan na kilka dni przed jej śmiercią w celu prowadzenia obserwacji męża. Wypowiedź Verlangena jako świadka

podczas procesu dodatkowo wzmocniła alibi Hennana. Zdaniem policji i prokuratora Hennan posłużył się dla zamordowania swojej żony pomocnikiem, nigdy jednak nie znaleziono niczego, co by potwierdzało tę tezę, w związku z czym Hennan znalazł się na wolności... Czy są jakieś komentarze do tej części?

– Żadnych – odpowiedział Rooth. – Proszę kontynuować.

– Dziękuję. Piętnaście lat później, a mówiąc dokładnie, wiosną tego roku, córka Verlangena zgłasza na policji w Maardam, że jej ojciec przepadł gdzieś bez śladu, a kilka pozostawionych przez niego zapisków daje podstawy, by przypuszczać, że mniej więcej w połowie kwietnia przebywał przez pewien czas prawdopodobnie tutaj, w Kaalbringen. Jak się zdaje, powodem jego wyjazdu mogło być to, że wpadł na jakiś ślad Jaana G. Hennana. Verlangen uważał – o czym świadczy jego rozmowa telefoniczna z wnukiem oraz pozostawiona notatka – że natrafił na poszlaki, które łączą Hennana z zabójstwem jego żony. Na czym owe poszlaki... czy wręcz dowody... się opierały, na razie nie mamy bladego pojęcia. Komisarz Van Veeteren, który kierował śledztwem w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym, przyjechał na początku maja tu, do Kaalbringen, żeby szukać Verlangena... albo przynajmniej śladów po nim. Nawiązał wówczas kontakt z inspektorem Moerk, którą znał z dawnych lat, i...

Wymienił spojrzenie z Beate Moerk, ponieważ ona jednak nie wydawała się skłonna podjąć wątku, kontynuował sam.

– ...sprawdziliśmy wszystkie hotele i pensjonaty w mieście i nigdzie na nic nie natrafiliśmy. Dzisiaj wiemy, że wynikało to z tego, że obdzwaniając te miejsca, nie uwzględniliśmy pola kempingowego w pobliżu Fisherman's Friend – Geraldines Caravan Club. W tym miejscu możemy powrócić do teraźniejszości... Trzy dni temu, w sobotę, w lesie niedaleko Wilgersee, znaleziono zwłoki Maartena Verlangena. Nie ma wątpliwości, że został zamordowany... strzelono mu w głowę z wielkokalibrowej broni... Pewne jest również, że leżał w tamtym miejscu mniej więcej od połowy kwietnia. Czy macie coś do dodania, zanim przejdziemy do wczorajszych rozmów i tego, co one przyniosły?

– Co możemy mieć do dodania... – bąknął Rooth. – Ten facet coś wyraźnie wyniuchał, tylko nie potrafię sobie wyobrazić, co by to miało być.

– Ale to mogło być też czyste urojenie z jego strony, nie zapominajmy o tym – wtrącił Münster.

– Nikt nie zabija z powodu urojenia – zauważył Rooth.

– Można mieć pecha – odparł Münster. – Zgadzam się jednak, że wersja z tropem Hennana jest dosyć prawdopodobna.

– Minęło dosyć dużo czasu – zwróciła uwagę Beate Moerk.

– To znaczy od wiosny. Jeśli Hennis rzeczywiście przebywał wtedy w mieście, miał wystarczająco dużo czasu, żeby zniknąć i znaleźć się gdzieś daleko.

– Niewątpliwie – przyznał Münster. – Dzisiaj może być na przykład w Brazylii. Z nową tożsamością i z nowym wyglądem. Możemy jedynie mieć nadzieję, że liczył na to... iż wystarczy tylko usunąć z drogi Verlangena.

– Wobec tego czy mamy przynajmniej założyć, że był tutaj, w mieście, w kwietniu? – spytał deKlerk.

– Założyć to trochę za dużo powiedziane – rzekł Rooth. – Ale przyjmijmy taki wariant. Nie wydaje wam się trochę naciągane, że Verlangen mógłby pomylić się co do osoby i mimo wszystko został przez niego zamordowany... Ja uważam to za mało prawdopodobne.

– Zgadzam się – wtrącił deKlerk. – Raczej możemy wykluczyć taki wariant.

– Jeśli on tutaj mieszka, to na pewno zmienił nazwisko – zwróciła uwagę Beate Moerk. – Nie ma żadnego Hennana w książce telefonicznej ani w rejestrze podatników. A czy gdybyście go spotkali, potrafilibyście go rozpoznać?

Münster rozważał już tę kwestię z Roothem i uznał, że nie ma stuprocentowej pewności. Zwłaszcza jeśli Hennis z premedytacją postarał się o zmianę swojego wyglądu.

– Jego zdjęcia z osiemdziesiątego siódmego widzieliście wszyscy – dodał. – Jeśli tylko zwyczajnie się postarzał i nie stosował żadnych specjalnych zabiegów, to raczej każdy z nas byłby w stanie go zidentyfikować.

– Ale równie dobrze może dzisiaj nosić kabaretki i perukę – wtrącił Rooth. – Znalezienie go to nie będzie łatwa sprawa.

– Przepraszam – odezwał się ostrożnie aspirant Stiller, prostując się na krześle. – Zakładamy, że Verlangen go znalazł, tak? Czyli uważasz, że Hennis zaczął chodzić

w tych kabaretkach dopiero teraz, od lata?

Rooth podrapał się po karku i nic nie powiedział. Komendant pokiwał głową.

– Słuszna uwaga, Stiller – zwrócił się do swojego podwładnego. – Verlangen rzeczywiście musiał go rozpoznać. I to właśnie przez niego prowadzi droga do Hennana. Tak czy nie? Im więcej uda nam się dowiedzieć, co Verlangen robił w kwietniu w mieście, tym większe mamy szanse, że ruszymy z miejsca.

– Zgadza się – powiedział Münster. – Ale pamiętajcie o jednym. Pod żadnym pozorem nie może wyciec do mediów informacja o związku znalezionych zwłok ze sprawą G. Jeśli Hennan jest tutaj, to znaczy osiadł w Kaalbringen... oczywiście natychmiast się zabezpieczy, jeżeli zobaczy choćby jedną linijkę na swój temat w gazetach. Miejmy nadzieję, że nie wie, iż Verlangen zostawił jakiekolwiek ślady... to jest w ogóle podstawa, żebyśmy mogli posunąć się dalej.

– Czy wszyscy zrozumieli? – spytał deKlerk, potoczywszy spojrzeniem po zebranych dookoła stołu. – Całkowite milczenie, jeśli chodzi o Hennana!

Stiller i Moerk skinęli głowami z aprobatą, Rooth ziewnął, ale gdy tylko znowu zamknął szczęki, uniósł kciuk na znak całkowitej zgody.

– No cóż – podjął znowu deKlerk. – Zasadnicze pytanie oczywiście brzmi: co, u diabła, odkrył Verlangen. Twierdził, że znalazł rozstrzygający dowód w tamtej starej historii morderstwa... Ale jak słusznie zauważył Stiller: skoro udało się to zużytemu prywatnemu detektywowi, to tym bardziej powinno na to być stać pięciu utalentowanych funkcjonariuszy policji! Wobec tego zaczynamy. Może na początek Geraldines Caravan Club?

Za pomocą swoich notatek i przy wsparciu aspiranta Stillera Beate Moerk zrelacjonowała rozmowę z Geraldine Szczok w ciągu dwudziestu minut. Nie pominęła żadnych szczegółów – z wyjątkiem ewentualnego zaangażowania aspiranta w roli recenzenta powieści – a podana przez nią informacja o spalonej przyczepie sprawiła, że inspektor Rooth nagle wpadł w furję.

– No to jesteśmy w domu! – krzyknął wzburzony. – Jasna cholera! Ten mały niby-przypadek wszystko wyjaśnia! To ta gnida G stoi za tym wszystkim i jest w mieście. Nie ma co tu siedzieć, trzeba iść i go złapać!

– Tylko spokojnie, inspektorze Gorąca Głowo – upomniał go Münster. – Chociaż

muszę przyznać, że w zasadzie się z tobą zgadzam... Z jednej strony bowiem wszelkie ewentualne ślady poszły z dymem, ale z drugiej, chyba nie ma już wątpliwości. Mamy do czynienia znowu z Jaanem G. Hennanem.

Po tej konkluzji wokół stołu zaległa na chwilę cisza. Następnie komendant ponownie przekazał głos Münsterowi.

– A Horst Zilpen? – spytał. – Czy powiedział coś więcej, niż wiemy od jego żony?

– Nie sądzę – odrzekł inspektor. – Rzeczywiście zamienił z Verlangenem kilka słów w cztery oczy, ale nic istotnego z nich nie wynikało. Na swoje bezpośrednie pytanie, gdzie Verlangen mieszka na stałe, nie uzyskał odpowiedzi... Według Zilpena to był straszny dziwak.

– Jego w ogóle nie interesowało, dlaczego Verlangen mieszka na tym kempingu – uzupełnił Rooth. – To niezbyt rozgarnięty gość ten Zilpen. Ma złamany nos, wygląda na byłego boksera.

– A co to ma do rzeczy? – spytała zdziwiona Beate Moerk.

– Nic, moja piękna – odparł Rooth. – Mój umysł pracuje na tak wysokich obrotach tylko od czasu do czasu i wtedy nie mogę się powstrzymać przed tego rodzaju drobnymi obserwacjami. Nic na to nie poradzę.

– Rozumiem – odpowiedziała Beate Moerk.

– On tak już ma – potwierdził Münster, wzruszając ramionami.

– A tak na marginesie: czy nie powinno być już kawy? – spytał Rooth.

DeKlerk spojrzała na zegar, po czym skinął głową. Aspirant Stiller opuścił salę i po półminucie wrócił z tacą z kawą i drożdżówkami.

– Czestujcie się – zaprosił wszystkich komendant. – To z luksusowej cukierni Sylvie za rogiem. Tym, którzy już tu kiedyś byli, nie muszę chyba tego mówić.

Podczas przerwy na kawę deKlerk puścił jeszcze raz zdjęcia Hennana z 1987 roku dookoła stołu.

– Irytujące jest to – odezwała się Beate Moerk – że gdybyśmy opublikowali te zdjęcia, być może natychmiast byśmy go znaleźli. Ja co prawda go nie rozpoznaję, ale to wcale nie znaczy, że on tutaj nie mieszka. Kaalbringen nie jest w sumie takim całkiem małym miastem. Czterdzieści pięć tysięcy dusz albo coś około tego...

– Duża wioska – skomentował Rooth.

– Czyli jest nas troje, którzy go nie rozpoznają – powiedział komendant. – Co prawda Stiller dopiero niedawno się tu sprowadził... Uważam, że masz rację. Nie ma powodu, żebyśmy nie popytali wśród naszych znajomych, przyjaciół i bliskich... trochę nieoficjalnie. Przecież nie musimy im mówić, o co dokładnie chodzi. Tylko spytać, czy rozpoznają mężczyznę ze zdjęcia.

Powiódł wzrokiem od Münstera do Rootha, czekając na ich aprobatę. Münster skinął głową.

– Moim zdaniem to na pewno nie zaszkodzi. Byle nie robić z tego wielkiej sensacji.

– W porządku – odpowiedziała Beate Moerk.

Komendant przewracał przez chwilę w swoich papierach. Nikt nie palił się do zabrania głosu.

– Najważniejsze jest pytanie, na czym w ogóle powinniśmy się teraz skupić – odezwał się w końcu Rooth. – Jeśli o mnie chodzi, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby przez najbliższe tygodnie zawrzeć nieco bardziej zażyłą znajomość z Sylvie, ale wy być może powinniście mieć jeszcze coś oprócz tego do roboty.

– Jest jeszcze jeden nieprzyjemny aspekt – rzekł Münster, ignorując wypowiedź Rootha. – Co mamy zrobić i jak postąpić, żeby powiązać Hennana z tym morderstwem, jeśli już rzeczywiście go znajdziemy. Nie udało nam się to poprzednim razem i dzisiaj też wcale nie wydaje się prostsze.

DeKlerk rozejrzał się po sali.

– To prawda – przyznał. – Los nam raczej nie sprzyja. Będzie trudno.

– G to taki ptaszek, którego nigdy nie uda się przyskrzynić, mam takie poczucie od piętnastu lat – oznajmił Rooth.

– Możesz wyrazić się jaśniej? – spytała Beate Moerk.

– Bardzo chętnie. Jakoś tak się składa, że prawo w ogóle go nie dotyczy. Zanim zdarzyła się ta historia w Linden, już w Stanach pozbył się swojej pierwszej żony. Jeśli nie przyskrzynimy go teraz z powodu Verlangena, to będzie miał na swoim koncie hat-tricka. Co najmniej. Trzy morderstwa i wolny jak ptak, psiamać!

– Muszę powiedzieć, że wyjątkowo masz rację – przyznał Münster z ponurą miną.

Zaległa cisza, podczas gdy deKlerk dalej grzebał w swoich papierach.

– A żadnych nowych wiadomości z Maardam? – spytała Beate Moerk, próbując zmienić ton rozmowy na nieco bardziej optymistyczny. – Ktoś miał porozmawiać z córką i sprawdzić jego mieszkanie?

– Na razie nie mamy żadnych informacji – powiedział komendant, rozciągając sobie płatek ucha o połowę. – Na pewno się odezwą, kiedy będą gotowi. Coś jeszcze?

Popatrzył po wszystkich zebranych.

– Może jedno – nieśmiało odezwał się aspirant Stiller. – Mamy tę parę z kempingu, z którą może warto byłoby porozmawiać. Pewnie to też nic nie da, ale skoro już...

– Oczywiście – zgodził się deKlerk i wyjął swoje notatki. – Willumsen i Holt, nazwiska brzmią mi znajomo... No dobrze, Moerk i Stiller zajmą się nimi po południu. Nie możemy nic pozostawić przypadkowi. Czekamy też na raporty z zakładu medycyny sądowej i z laboratorium, ale trudno raczej się spodziewać, żeby znaleźli coś ciekawego. Cztery miesiące leżenia w lesie pozostawia ślady... a właściwie je zaciera. Oczywiście nie ma co wyrokować z góry, muszę jednak powiedzieć, że raczej wątpię, żeby...

Wywód komendanta przerwała panna Miller, która otworzyła drzwi i wsunęła do środka głowę z białymi lokami.

– Przepraszam, ale mam wiadomość do przekazania od byłego komendanta – oznajmiła z tłumionym ożywieniem.

– Co takiego? – rzucił Rooth.

– Od Bausena? – spytała Beate Moerk.

– Tak.

– A czego on chce? – chciał wiedzieć deKlerk. Wydawał się lekko zakłopotany.

Panna Miller wsunęła resztę swojego tułowia przez drzwi i sztucznie odkaslnęła w dłoń.

– Prosił, żebym powtórzyła, że dziś wieczorem będzie znowu miał lokatora. I że w razie czego można się do niego zgłosić.

– Lokatora? – spytała Beate Moerk.

– Naprawdę tak powiedział? – upewniał się deKlerk.

– Dokładnie tak – potwierdziła panna Miller. – Lokatora. Na wszelki wypadek nawet sobie zapisałam.

– A niech to szlag – odezwał się Rooth i sięgnął po ostatnią połówkę drożdżówki.
– Zastrzelili jakiegoś premiera czy co?

– Dziękuję, panno Miller – rzekł deKlerk. – Czyli tym razem nie możemy przynajmniej narzekać na braki kadrowe.

– To prawda – przyznał inspektor Münster i mimo woli spojrzął na Beate Moerk.
– Tego problemu wyraźnie nie mamy. Tylko czym, na litość boską, mamy się wszyscy zajmować?

– Dobre pytanie – powiedział Rooth. – Może jednak uda nam się coś znaleźć.

Van Veeteren szedł spacerem wzdłuż plaży.

Gonię za cieniami z przeszłości, pomyślał.

Albo przynajmniej za jednym. Dlaczego to takie ważne, żeby dojść z tym do ładu? – zastanawiał się. Dlaczego te znaki zapytania domagają się koniecznie rozwiązania, a skazy na duszy dopominają się, żeby je wyczyścić i usunąć?

Wyczyścić czy usunąć? To jest oczywiście różnica.

Diabli wiedzą, stwierdził i zapalił papierosa. Czasami niektóre rzeczy wgryzają się tak mocno zupełnie bez powodu. Tak jest skonstruowany nasz mózg.

Słońce było jeszcze nisko. Bardzo wcześnie otworzył dziś oczy. Nie chciał jednak obudzić Bausena, więc wypił tylko filiżankę kawy w kuchni i poszedł nad morze. Dotarł do plaży kilka minut przed wpół do ósmej, kupił w kiosku butelkę wody mineralnej i ruszył na wschód. Godzinę w jedną stronę, godzinę z powrotem, postanowił. Ruch jest motorem myśli.

Plaża wyglądała tak samo, jak ją pamiętał. Albo tak jak pamiętał tyle innych plaż, którymi wędrował w swoim życiu. Woda, niebo, piasek... szarobiały pas trzydziestometrowej szerokości biegnący ku wysuniętemu w morze cypłowi poniżej punktu Orfmanna. Tak się to chyba nazywało? Powyżej restauracja Fisherman's Friend wisiała dramatycznie na skraju skalnej ściany, ale cały ciągnący się dalej klif zacierał się w porannej mgle... Był tylko zarysem, podobnie jak najbliższa zatoka po drugiej stronie, bliżej Wilgersee. Ptaki krążyły nad brzegiem, chwilami zapuszczając się w głąb lądu, cienka zasłona chmur zakrywała słońce, ale światło było mimo to intensywne. Van Veeteren wyjął z kieszeni na piersi okulary przeciwsłoneczne i włożył je na nos. Zapowiadał się ciepły dzień. Kolejny.

To jest moja ostatnia sprawa, przemknęło mu nagle przez głowę. Moja nieodwołalnie ostatnia sprawa.

W działalności, która zdominowała moje życie. W pościgu za mordercami.

Niezależnie od rezultatu. Niezależnie od tego, czy na podstawie mglistych śladów pozostawionych przez Verlangena uda im się złapać G, czy nie.

Niezależnie od tego, czy w ogóle zdołają coś zdziałać. To była, tak czy inaczej, jego ostatnia sprawa.

Wreszcie, można by powiedzieć. W taki poranek jak ten świadomość tego dawała niemal poczucie wyzwolenia. Spojrzał w dal na wodę. Lekko marszczące się fale i prawie żadnego wiatru. Pamiętał, że ostatnim razem morze mu nie odpowiadało. Szedł tą samą drogą i próbował interpretować znaki: wiatr z niewłaściwego kierunku i fale pozbawione życia. Siły natury odzwierciedlające nieudane poszukiwania mordercy i podobne eskapady. I wątpliwości. Jego wieczne wątpliwości.

Również teraz było w nim wahanie. Niepewność co do tego, czy słusznie zrobił, przyjeżdżając tu jeszcze raz. Decyzja była łatwa do podjęcia, miała jednak więcej wspólnego z emocjami niż z rozsądkiem. Jeśli taki podział w ogóle jest teraz możliwy.

To znaczy łatwo przyszło mu ją podjąć w Maardam. Bo kiedy już dotarł tutaj cały i zdrowy, poczuł, że jest to z jego strony swego rodzaju uzurpacja, która zaczęła mu przeszkadzać. Przecież na miejscu są już zarówno Münster, jak i Rooth, żeby wyjaśnić morderstwo Verlangena, a kwalifikacje Beate Moerk też zna nie od dziś.

Więc czego on tu właściwie szuka? Czy nie powinien przynajmniej poczekać, żeby natrafili na jakiś ślad G? Nie ma nic takiego, co w tej chwili on mógłby zrobić lepiej niż już włączeni w dochodzenie koledzy. Pora spojrzeć prawdzie w oczy.

Nie skontaktował się z nimi wczoraj – poprosił tylko Bausena o przekazanie im informacji, że jest na miejscu – i wiedział, że także dzisiaj nie przekroczy progu komendy. Chyba że wyraźnie go o to poproszą.

Przez tego cholernego Hennana nie mógł porządnie spać!

A jeśli oni rzeczywiście go znajdą? – pomyślał nieoczekiwanie. Jeżeli rzeczywiście stanę oko w oko z Jaanem G. Hennanem? Co wtedy? Co przemawia za tym, że tym razem odniosę zwycięstwo?

Niewiele, stwierdził. Naprawdę niewiele.

Przystanął i zdjął z nóg buty i skarpetki. Jest identycznie jak piętnaście lat temu. Zupełnie tak samo... Jeżeli znajdą G w Kaalbringen, będzie to równoznaczne z tym, że to on ponosi winę za śmierć Verlangena. Zdaję sobie z tego sprawę. Wiem, że będę

patrzył w oczy mordercy, świadom, że muszę puścić go wolno. Po raz drugi. To straszne, ale sporo przemawia za takim właśnie scenariuszem, czyż nie?

Kopnął do wody leżącą na piasku skórkę pomarańczy. Niech to szlag, powinienem wziąć sprawę we własne ręce.

Ta myśl przyszła właściwie sama. Odpędził ją. Nie tym razem, postanowił. Już nie. Te ukryte drzwi moralności, które oznaczają, że obchodzi się prawo, aby zapanowała sprawiedliwość, raz już otworzył... jeden jedyny raz, a potem zrozumiał, że to jest rozwiązanie, którym można się posłużyć tylko raz w życiu. Jeśli w ogóle.

Wtedy niewinna ofiara nazywała się Verhaven. Teraz jedna z ofiar nazywa się Verlangen. Bardzo podobnie. Ale to oczywiście tylko przypadek. Nic, co należałoby uznać za znak czy wskazówkę.

Doszedł do starego bunkra z drugiej wojny światowej. W połowie ukryty w piasku, a w połowie zjedzony przez ząb czasu, leżał poniżej klifu i patrzył na odwieczne morze. Van Veeteren zatrzymał się. Otworzył butelkę i wypił kilka sporych łyków wody mineralnej. Spojrzawszy na zegarek, postanowił pójść jeszcze trochę dalej. Ile razy przemierzałem takie plaże jak ta? – pomyślał. Jeśli by dodać je wszystkie razem, jak długi byłby to odcinek?

A ile godzin krążyłem, mając głowę nabitą myślami o mordercy? Ciekawe, czy to nie pozostawia śladów?

Kolejne pytanie nasunęło się zupełnie bez ostrzeżenia.

Ile zostało mi lat życia?

Sześćdziesiąt pięć plus ile?

W jakiejś książce – albo w jakiejś partyturze – ta odpowiedź jest gdzieś naturalnie zapisana. Za sto lat ktoś być może napisze jego biografię (z którą on sam nigdy nie dał sobie rady) i stwierdzi, że kiedy *komisarz* wybrał się tamtej jesieni do Kaalbringen, aby podjąć daremną próbę rozwiązania sprawy G, nie zostało mu więcej niż dwa lata życia.

Albo dwa miesiące?

Bzdura, pomyślał po chwili. Za dzień, za godzinę... i tak dalej. Zaczął iść przed siebie i postanowił, że wyjaśni tę kwestię na własną rękę.

Będę szedł jeszcze przez pół godziny, postanowił. Ile osób spotkam po drodze,

tyle lat będę jeszcze żył.

Fair deal.

A kiedy po trzydziestu minutach zatrzymał się znowu, tym razem na wysokości kościoła w Wilgersee – ponad bukowym lasem widać było w głębi łądu czubek spiczastej wieży – nie spotkał ani jednego człowieka.

Ani jednego.

– Chyba coś mam – powiedział aspirant Stiller. – W każdym razie to całkiem możliwe.

– Naprawdę? – spytała Beate Moerk.

– Ten Willumsen mieszkał w przyczepie obok. Zdaje się, że rozmawiał z Verlangeniem kilka razy.

– A o czym?

– Właściwie o niczym specjalnym, ale Verlangen spytał go raz o zakład fotograficzny.

– O zakład fotograficzny?

– Tak.

– Verlangen?

– Tak. Miał aparat, zużył cały film i chciał go chyba wywołać.

– To Verlangen robił zdjęcia?

– Tak.

– A co fotografował?

Stiller wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Tego Willumsenowi nie powiedział. Chciał tylko wiedzieć, gdzie w Kaalbringen jest zakład fotograficzny... To mogło mieć coś wspólnego z G, więc pomyślałem sobie, czy nie powinniśmy...

– Oczywiście – przerwała mu Beate Moerk. – Jeśli Verlangen robił zdjęcia, to raczej wiadomo jakie. No i co ten Willumsen mu poradził? Pomógł mu jakoś?

Stiller kiwnął głową.

– Jasne. Odesłał go do FotoBlix przy Hoistraat albo do nowego salonu w centrum handlowym. Nie wiem, jak on się nazywa, bo Willumsen też nie pamiętał nazwy...

– Nieważne – powiedziała Beate Moerk. – Overmaar's czy jakoś tak. I co?

Verlangen miał zamiar iść do jednego z nich i wywołać tam swoje zdjęcia?

– Chyba tak – potwierdził Stiller. – Tak przynajmniej mówi Willumsen. Myślę, że tak czy owak warto to sprawdzić.

– Niewątpliwie. Może ktoś go tam rozpozna. Szkoda, że dzisiaj wywoływanie zdjęć odbywa się automatycznie... Gdyby udało się nam ustalić, co Verlangen pstrykał, to byłoby coś.

– Na pewno – zgodził się Stiller. – Załatwimy to od razu czy...?

– Natychmiast – zdecydowała Beate Moerk.

– Jednej rzeczy nie mogę zrozumieć – powiedział inspektor Rooth.

– Naprawdę? – odparł Münster.

– Tej sprawy z dowodem. Że Verlangen znalazł podobno jakiś dowód przeciwko G. Niby jak?

– Mów dalej – poprosił Münster.

– Możliwe, że całkiem przypadkiem wpadł gdzieś na G, zobaczył go. Czysty zbieg okoliczności. Mogę też zaakceptować, że postanowił go śledzić... mieć go na oku i deptać mu po piętach. Ale jak to możliwe, że natrafił na coś, co wiąże się z zabójstwem sprzed piętnastu lat? Tego nie pojmuję.

Münster zastanowił się przez kilka sekund.

– Ja też nie – przyznał.

– Myślisz, że Verlangen z nim gadał? – kontynuował

Rooth. – Jeśli założymy, że tak, to Hennan mógł chlapnąć to czy tamto... co wystarczyło Verlangenowi, żeby coś zrozumieć. Tak mogło być. Tylko dlaczego Hennan miałby się nagle zdradzić przed kimś takim jak Verlangen, skoro udało mu się wykpić przed policją i przed sądem? To jest dla mnie zupełnie niepojęte.

– Wiem – powiedział Münster. – Ja też o tym myślałem. G został przecież uznany za niewinnego. Więc nie było właściwie powodu, żeby się nim interesować tylko dlatego, że ktoś go przez przypadek zobaczył.

– Verlangen miał wyraźnie obsesję na jego punkcie – powiedział Rooth.

– To na pewno. Ale masz rację, jeśli chodzi o pierwsze pytanie: jak to możliwe, żeby Verlangen natknął się na coś, co nazwał dowodem? To strasznie dziwne.

– A może tylko tak mu się wydawało? To znaczy, że ma coś w rękach. To była

taka jego idée fixe albo coś w tym rodzaju.

– Wobec tego dlaczego został zastrzelony? Jeśli to nie było nic poważnego?

– No właśnie – zgodził się Rooth. – To nie mogło być tylko urojenie. Jakoś tego wszystkiego nie rozumiem.

– Dojdziemy do tego, nie martw się – powiedział z optymizmem Münster. – To jest Gerckstraat. Jaki to miał być numer?

Rooth sprawdził w notesie.

– Trzynaście – poinformował. – A co o tym myślisz?

– To na pewno zapowiada się na przełom – powiedział Münster. – Gość ma osiemdziesiąt dziewięć lat, kataraktę, twierdzi jednak, że widział Verlangena w tajemniczych okolicznościach. Nie ulega wątpliwości, że trzeba to sprawdzić.

– No tak – westchnął Rooth. – Ale potem idziemy coś zjeść.

Po wizycie w zakładzie fotograficznym, który chyba nie miał żadnej nazwy – w każdym razie nie wisiał nad nim żaden szyld – Moerk i Stiller usiedli napić się kawy w neofunkcjonalistycznej kawiarni Kroek w centrum handlowym Pasaż.

– I co o tym sądzisz? – spytał Stiller.

– Sama nie wiem – odparła Moerk. – Skoro go nie pamiętają, to nie ma znaczenia, czy on tutaj był, czy nie. Miejmy nadzieję, że poszedł do FotoBlixu – bo jest mniejszy i nie taki bezosobowy.

– Nie ma pewności, czy w ogóle zostawił jakiś film do wywołania – zwrócił uwagę Stiller. – Mógł na przykład zostać zastrzelony, zanim to zrobił.

– Niewykluczone – powiedziała Moerk i westchnęła. – A aparat spalił się w przyczepie. Ale musisz wiedzieć, że w policyjnej robocie tak już jest. Jeśli nawet zaledwie jeden z tysiąca tropów ma jakąś wartość, i tak musisz sprawdzić te pozostałe dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć.

– Tak, już zdążyłem to zauważyć – przyznał Stiller, ona zaś odniosła wrażenie, że przez moment się zaczerwienił. – Może jednak ten właściwy nie zawsze jest na samym końcu?

– Tak też się zdarza – rzekła Beate Moerk. – Ale w naszym przypadku nic nie przemawia za tym, że w tysiącu losów chociaż jeden nie jest pusty.

– Taka robota – powiedział Stiller z ostrożnym uśmiechem.

– Najgorsza na świecie – rzekła Moerk, po czym dopiła kawę. – Ruszamy dalej?

– Jasne.

– Co robisz? – spytał Van Veeteren.

– To jest virasana – odpowiedział Bausen z wysiłkiem w głosie. – Rozciąga cały kręgosłup, diabelnie skuteczne ćwiczenie... Daj mi jeszcze pięć minut. Zaraz skończę.

Van Veeteren zostawił go na podłodze i wyszedł na taras. Po niedługim czasie Bausen dołączył do niego z dwoma piwami.

– Znowu ładna pogoda – stwierdził, patrząc spod przymrużonych powiek na drzewa. – Wczesnie wstajesz.

– W głowie mi się kotłuje – wyjaśnił Van Veeteren.

– Chodzi o tę historię?

Van Veeteren skinął głową i zaczął nalewać sobie piwa.

– Rozumiem. Poza tym pewnie trochę trudno ci siedzieć beczynnienie... co?

– No, jest to wkurzające – przyznał Van Veeteren. – Można by pomyśleć, że z wiekiem człowiek robi się bardziej cierpliwy, jednak wyraźnie tak nie jest.

Bausen sięgnął po swoją szklankę i uśmiechnął się znacząco.

– Bez pomocy się nie da – powiedział.

– Jakiej na przykład?

– Przecież dobrze wiesz. Jak spędziłeś poranek?

Van Veeteren opróżnił swoją szklankę do połowy.

– Chodziłem po plaży. Poszedłem do Wilgersee i z powrotem.

– To też jest jakiś sposób – rzekł Bausen. – Inny to joga... Pomaga, że tak powiem, zawiesić duszę we właściwym miejscu ciała. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, mogę pokazać ci wieczorem parę ćwiczeń.

Van Veeteren kiwnął głową na znak aprobaty. Na chwilę zapadła cisza.

– Tak, tak – odezwał się potem Bausen. – Szczerze mówiąc, nie mam na dzisiaj żadnych szczególnych planów. Może rozegramy partyjkę, czekając, aż się odezwą?

– Chętnie – zgodził się Van Veeteren. – Myślisz, że to zrobią?

– Naturalnie – powiedział Bausen z naciskiem, wyjmując szachownicę. – Dajmy im czas, żeby zrobili najgorszą robotę, a jak ugrzęzną, wtedy się włączymy. Czekaleś

przez piętnaście lat, to możesz chyba wytrzymać jeszcze kilka dni?

– No tak – odparł Van Veeteren i zaczął rozstawiać pionki. – Ale pozostaje jeszcze kwestia wina.

– Kwestia wina?

– Tak. Mam poczucie, że to ja powinienem leżeć z przestrzeloną czaszką w tamtym lesie, a nie ten Bogu ducha winny Verlangen.

Bausen przyjrzał mu się w zamyśleniu.

– Rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć – odezwał się po chwili. – Proponuję jednak na razie nie zajmować się tym aspektem. Proszę, twój ruch... może dla odmiany otwarcie skandynawskie?

– Skandynawskie? – powtórzył Van Veeteren. – Dlaczego nie?

– Z powodu urlopu zamknięte – powiedział Stiller. – Typowe.

Beate Moerk patrzyła na ogłoszenie wywieszone w oknie wystawowym.

– Otwierają w poniedziałek – przeczytała. – Rzeczywiście to typowe.

– Co robimy?

– O ile pamiętam, właściciel nazywa się Baagermaas albo jakoś tak. Przecież nie musi być w Burkina Faso tylko dlatego, że ma urlop.

– W Burkina Faso? – powtórzył Stiller.

– Albo na Majorce czy Malediwach – kontynuowała Beate Moerk. – Poszukamy jego numeru telefonu i spróbujemy się z nim skontaktować.

– Okej – zgodził się Stiller i zadzwonił ze swojej komórki na recepcję komendy.

Minutę później dostali potrzebne dane od panny Miller, która sprostowała też, że nazwisko brzmi Maagerbaas, a nie odwrotnie. Stiller wstukał otrzymany numer i po półtora sygnału usłyszał męski głos w słuchawce.

– Halo.

– Czy Erwin Maagerbaas?

– Tak.

– Tu policja. Czy będzie pan w domu za kwadrans?

– Słucham? Heee... tak, jestem w domu. Ale o co chodzi...?

– Rutynowa sprawa. Pana adres to Oostwerdingen Allé 32?

– Tak... oczywiście.

– Dziękuję, wobec tego zaraz się widzimy – oznajmił Stiller i zakończył rozmowę.

Zaczyna dorastać do swojej funkcji, pomyślała Beate Moerk, otwierając drzwi samochodu.

Nie wyglądało na to, by Erwin Maagerbaas spędził swoje wakacje na Majorce czy w Burkina Faso. Raczej w jakiejś jamie w lesie. Gdy wpuścił ich do swojego mieszkania przy Oostwerdingen Allé, miał bladą twarz i w ogóle sprawiał wrażenie anemicznego. Na samym wstępie kichnął trzy razy i wyjaśnił, że od kilku

dni jest chory.

Ale już czuje się trochę lepiej, więc może da radę odpowiedzieć na kilka pytań. A o co dokładnie chodzi?

Beate Moerk wyjęła zdjęcie Verlangena i podała je gospodarzowi.

– Czy poznaje pan tego mężczyznę? – spytała. – Mamy powody przypuszczać, że był w pańskim zakładzie.

Maagerbaas włożył na nos okulary w rogowej oprawie i uważnie przyjrzał się fotografii.

– Hm – mruknął. – Możliwe... wydaje mi się, że go widziałem, ale nie jestem pewny.

– To dla nas bardzo ważne – dodał Stiller.

– Rozumiem. Do zakładu przychodzi dosyć dużo klientów. A kiedy by to miało być? Od połowy sierpnia mam zamknięte.

– Wiemy – powiedziała Moerk. – Ten klient mógł być u pana już dość dawno temu. W kwietniu.

– W kwietniu? – wykrzyknął Maagerbaas i zaczął kaszleć. – Jak ja mam pamiętać kogoś, kto był u mnie pół roku temu? Na pewno nie należy do moich stałych klientów, to mogę potwierdzić. A jaką mógł mieć sprawę?

– Prawdopodobnie zostawił film do wywołania – wyjaśnił Stiller. – I potem po niego przyszedł...

– Dlaczego go szukacie?

Moerk wymieniła spojrzenie z kolegą.

– Nie czyta pan gazet? – spytała. – W ostatni poniedziałek było w prasie ogłoszenie, że jest poszukiwany.

– W „De Journaal”?

– Tak, też.

– Przez kilka tygodni mnie nie było. Wróciłem dopiero wczoraj.

– Rozumiem – odparła Beate Moerk. – Czyli nie jest pan w stanie nam powiedzieć, czy ten mężczyzna był u pana w zakładzie, czy nie?

Maagerbaas wzruszył ramionami i ponownie kichnął.

– Nie jestem.

Stiller odchrząknął.

– Przepraszam. A jeśli on rzeczywiście zostawił w kwietniu u pana jakiś film do wywołania, czy dałoby się to jakoś sprawdzić?

Maagerbaas zdjął okulary z nosa, chuchnął na nie kilka razy i schował do brązowego futerału.

– Tak – potwierdził. – Powinien być zarejestrowany w komputerze, tyle że...

– Świetnie – rzuciła Beate Moerk. – Czy mógłby pan pojechać z nami do zakładu, żeby to sprawdzić?

– Teraz? – spytał Maagerbaas z wyraźnym niezadowoleniem.

– Natychmiast – oświadczył Stiller. – Chodzi o morderstwo, panie Baagermaas. Nie wspomnieliśmy panu o tym?

– Maagerbaas – poprawiła go Moerk.

Dziesięć minut później stanęli znowu przed zakładem FotoBlix przy Hoistraat i po chwili znaleźli się w środku. Erwin Maagerbaas włączył komputer i zaproponował obojgu, żeby usiedli.

– Ma już trochę lat – wyjaśnił. – Uruchomienie go zajmuje dłuższą chwilę. Więc jak on się nazywał?

Beate Moerk uzmysłowiła sobie, że nie uwzględniła tego problemu.

– Sprawdźmy: Verlangen – powiedziała.

Maagerbaas odczekał jeszcze parę sekund, po czym wstukał nazwisko.

– Nie ma – poinformował. – Niestety.

– Wobec tego Sommers. Proszę spróbować: Henry Sommers.

Maagerbaas spojrział na nich ze zdziwioną miną, lecz po chwili zrobił, o co go prosili.

Jedna szansa na tysiąc, pomyślała ponuro Beate Moerk, podczas gdy właściciel zakładu przyciskał po kolei klawisze. Co najwyżej.

– Istotnie – powiedział Maagerbaas i odkaszlnął. – Mam tutaj Sommersa. Piętnastego kwietnia. To możliwe?

Beate Moerk weszła szybko za ladę i spojrzała na ekran.

– Jak najbardziej możliwe – oznajmiła. – A co to znaczy? Że był tutaj i zostawił film do wywołania, tak?

– Tak – potwierdził Maagerbaas, przyglądając się jeszcze informacjom. – Zostawił, ale zdaje się, że chyba nie...

– Że co?

– Hm. Nie przyszedł odebrać zdjęć.

– Nie odebrał...?

Minęły trzy sekundy, zanim zrozumiała, co to oznacza. Albo mogło oznaczać. Stiller był o ułamek sekundy szybszy, bo to on wykrzyknął pierwszy:

– Co pan mówi?! Że nie odebrał zdjęć?! Czyli one muszą...

– ...tu wciąż być? – dokończyła Beate Moerk.

Maagerbaas wyczyścił głośno nos.

– Prawdopodobnie tak. Mam zwyczaj przechowywać zdjęcia przez rok, bo zdarza się, że klienci o nich zapominają... Wtedy dzwonię i oczywiście im przypominam... ja sam albo mój asystent. Ale widocznie w tym przypadku nic to nie pomogło. Poza tym ten klient chyba nie zostawił numeru telefonu.

– Gdzie? – rzucił Stiller. – Gdzie ma pan te zdjęcia?

– Gdzie? – powtórzył za nim Erwin Maagerbaas. – Przypuszczam, że pewnie leżą na zapleczu. W specjalnej szafie na nieodebrane odbitki. Chcecie może...?

– Jasne, że chcemy – szybko potaknęła Beate Moerk. – Boże drogi.

– Boże drogi – zareagował w ten sam sposób komendant deKlerk dobrą godzinę później. – Dwadzieścia cztery zdjęcia zrobione przez samą ofiarę zabójstwa to może oznaczać przełom. No bo jak inaczej to określić?

Fotografie leżały rozrzucone na stole w salce konferencyjnej, a zebrani wokół niego przyglądali się im przez ładnych parę chwil. Każdy po kolei. Inspektorzy Münster i Rooth. Komendant. A także Moerk i Stiller, którzy je przywieźli przed pół godziny. Przekazywano sobie po kolei każde zdjęcie z ręki do ręki. W sumie dwadzieścia cztery. Wszyscy studiowali je wnikliwie. Nikt nie wykrzyknął „Och!” ani nie użył słowa „przełom”, zanim nie padło ono z ust komendanta.

Problemem był motyw zdjęć.

Wszystkie przedstawiały dom.

Ten sam dom.

Na każdej pieprzonej fotografii, cytując inspektora Rootha.

Całkiem spora willa. Ujęta z różnych perspektyw, a dokładnie mówiąc: z czterech – dwóch od przodu, dwóch od tyłu. Dziewiętnaście zdjęć przedstawiało tył domu, kawałek trawnika, dwa sękate drzewa owocowe, prawdopodobnie jabłonie, trochę krzewów, chyba berberysu, duży taras ze stołem i czterema zielonymi krzesłami. Fasada była wyłożona czerwonobrazowymi ceglami, dach w ciemnym kolorze. Münster stwierdził, że budynek pochodzi z lat pięćdziesiątych albo sześćdziesiątych, na co nikt nie zaprotestował. Na części zdjęć znajdowały się dwie postacie, mężczyzna i kobieta – mężczyzna na jedenastu, kobieta na ośmiu, a na sześciu byli widoczni razem. Na każdym tak samo ubrani, należało więc przypuszczać, że fotografie wykonano jednego dnia. W krótkim czasie, może w ciągu godziny, sądząc po świetle i cieniach.

Co się zaś tyczy aparatu, deKlerk sądził, że był to prawdopodobnie całkiem prosty sprzęt. Odległość między dwiema pozycjami, z których sfotografowano dom od tyłu, była przez cały czas identyczna, z grubsza około dwudziestu pięciu metrów; nie użyto zoomu, dlatego wyraz twarzy oraz rysy mężczyzny i kobiety były trudne do odczytania.

Na ile dało się ocenić, mężczyzna wydawał się trochę starszy od kobiety. Miał siwe włosy i krótko przyciętą brodę tego samego koloru, na oko wyglądał na sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat. Był ubrany w ciemne spodnie i jasnoniebieską koszulę z podwiniętymi rękawami. Kobieta na wszystkich zdjęciach była w dżinsach i czarnym swetrze z długimi rękawami, włosy miała zebrane w koński ogon. Na większości fotografii oboje znajdowali się na zewnątrz, na tarasie – siedzieli albo stali. Świeciło słońce, na stole dawało się rozpoznać filiżanki do kawy, termos, kilka gazet i książek. Na trzech zdjęciach kobieta trzymała między palcami papierosa. Mężczyzna na dwóch miał okulary na nosie.

I to wszystko.

– Ten dureń napstrykał fotek jakiejś chałupie – rzucił

Rooth. – Dwadzieścia cztery! Fantastyczna robota jak na detektywa, muszę mu oddać honor. Gdyby był wśród żywych, trzeba by go natychmiast z powrotem przyjąć do policji.

– Przyznaję, że to rzeczywiście trochę dziwne – powiedział deKlerk.

– I jesteście pewni, że go nie rozpoznajecie? – spytał Münster. – Mam na myśli dom.

DeKlerk pokręcił głową.

Moerk i Stiller również.

– Niestety – odezwała się Moerk. – Wygląda dosyć bogato... ale nie jest powiedziane, że leży w Kaalbringen.

– Jak to nie leży w Kaalbringen! – zaprotestował Rooth.

– Przecież Verlangen nie jechałby do Kaalbringen, żeby pstrykać fotki jakiegoś domu, który jest w Hamburgu! Albo w Sewastopolu!

– Jasne, jasne – uspokajał go komendant i w zamyśleniu pociągnął się za nos. – Rooth ma chyba rację. A co powiecie o tym gościu na zdjęciach? Czy to może być Hennan?

Münster rzucił okiem na Rootha, zanim odpowiedział.

– Niewykluczone. Czemu nie? Oczywiście to równie dobrze może być kto inny, ale jeśli całe to fotografowanie miało czemuś służyć i w ogóle cała reszta... to jestem gotów się zgodzić, że to rzeczywiście jest Jaan G. Hennan. Kim jest ta kobieta – nie mam pojęcia, ale dlaczego by nie przyjąć, że to jego nowa żona?

– Ojoj – wtrąciła Beate Moerk. – Odważne wnioski, moim zdaniem. Ale okej, pomijając margines błędu, do czego nas to zaprowadzi? Jeśli Hennan rzeczywiście osiedlił się tu gdzieś w Kaalbringen, to przecież ma do tego pełne prawo?

– Jeśli jednak strzelił Verlangenowi kulkę w łeb, to już zmienia postać rzeczy – rzekł Rooth, wyjmując z kieszeni marynarki coś, co wyglądało na zjedzoną do połowy tabliczkę czekolady. – Wtedy przez co najmniej dziesięć najbliższych lat nie będzie mógł sam wybrać sobie adresu. Jednego nie rozumiem... Tak czy siak te zdjęcia na pewno nie mogą stanowić dowodu, o którym bredził Verlangen. Chyba że mu się całkiem pomieszało w głowie.

– Tego też nie da się wykluczyć – westchnął Münster. – Powoli zaczynam podejrzewać, że tak właśnie było.

– Verlangen został zamordowany, ponieważ coś wiedział – zwrócił uwagę deKlerk.

– Albo dlatego, że ktoś uważał, że on coś wie – skorygował Stiller.

Beate Moerk podniosła się z krzesła i stanęła przy oknie. Skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała na Kleinmarckt.

– To my tak myślimy – powiedziała w zadumie. – Tak to sobie wyobrażamy, bo chcemy, żeby nasze teorie się zgadzały. Ale przecież nie można wykluczyć, że zastrzelił go jakiś inny wariat... ktoś, kto nie ma nic a nic wspólnego z Jaanem G. Hennanem. To naprawdę jest całkiem możliwe.

Rooth zgniótł papier po czekoladzie w kulkę, zamierzył się i nie trafił do kosza na śmieci, chybiając o półtora metra.

– To jest plan B – powiedział. – Być może masz absolutną rację, my jednak działamy jeszcze nadal według planu A. Tak czy nie?

Komendant deKlerk zastanowił się przez chwilę. Pokiwawszy głową, zaczął zbierać zdjęcia ze stołu. Stiller podniósł papierową kulkę z podłogi i spytał Rootha, czy chce spróbować jeszcze raz. Rooth pokręcił głową.

– No więc – odezwał się – ja też mam spore wątpliwości co do tego, czy to nas do czegokolwiek zawiedzie, ale tak czy inaczej, musimy doprowadzić sprawę do końca... tak mi się wydaje.

– To co mamy teraz zrobić? – spytał aspirant Stiller. – Tak konkretnie?

– Jakies propozycje? – rzucił deKlerk, wiodąc spojrzeniem po kolegach dookoła stołu.

– Może być chyba tylko jedna – powiedziała Beate Moerk. – Zidentyfikować dom. To podstawowa rzecz.

– Jak? – odezwał się deKlerk. – Każdy z nas ma wsiąść do samochodu i krążyć po okolicy tak długo, dopóki na niego nie natrafimy?

Na chwilę zaległa cisza, w której każdy z nich zdawał się rozważać ten wariant.

– No cóż – odpowiedziała Moerk. – Pewnie wcześniej czy później przyniosłoby to jakiś rezultat, ale mam wrażenie, że znajdziemy go szybciej inną metodą.

– Jaką? – spytał Stiller.

– Są chyba w mieście ludzie, którzy lepiej znają się na miejscowych domach niż my, tak czy nie?

– Prawdopodobnie – wymamrotał komendant. – Uważam jednak, że musimy unikać wciągania do sprawy osób postronnych. Zdecydowaliśmy się na taką linię

i tego się trzymajmy. Ma pani na myśli kogoś konkretnie, kto mógłby nam być pomocny?

– Bardzo przepraszam – powiedziała Beate Moerk. – Tak, jest ktoś taki. Ma ponad siedemdziesiąt lat i spędził w Kaalbringen całe swoje życie. Zna tu każdą furtkę.

– Kto to jest? – spytał zaciekawiony aspirant Stiller.

– Bausen – odrzekła Beate Moerk, otwierając jednocześnie okno. – Nasz były komendant. Myślę, że pora wpuścić trochę świeżego powietrza i przerwać mu partię szachów.

Było w pól do siódmej wieczorem, kiedy Bausen i Van Veeteren wsiedli do starego citroena byłego komendanta i ruszyli szukać domu. Stwierdzili, że chociaż przed chwilą trochę padało, niebo zaczyna znowu się rozjaśniać i jeśli tylko od południowego zachodu nie nadciągną kolejne podstępne chmury, powinni mieć kilka godzin dziennego światła do dyspozycji.

Albo właściwie światła zmierzchu. Bausen nie widział sensu w pracy po ciemku.

– A nie mówiłem? – powiedział, nie kryjąc triumfu, po odłożeniu słuchawki po rozmowie z deKlerkiem. – Nie doszliśmy jeszcze nawet do trzydziestego ruchu!

Van Veeteren powstrzymał się od komentarza. Potem natomiast zdziwił się trochę zachowaniem Bausena, który podczas rozmowy z prowadzącym śledztwo oświadczył, że jest prawie przekonany, iż rozpoznaje dom ze zdjęć, ale wolałby się upewnić i sprawdzić ewentualne warianty – później zaś, kiedy zostali już tylko we dwóch, powiedział, że mówiąc szczerze, nigdy nie widział tej budy.

– Dlaczego skłamałeś? – spytał Van Veeteren.

– Od razu skłamałeś – obruszył się Bausen. – Pomyślałem sobie, że trochę ruchu nam nie zaszkodzi. A przecież wcześniej czy później gdzieś się natkniemy na tę stodołę.

– O ile znajduje się w tej dziurze.

– Nie bądź taki drobiazgowy – odparł Bausen.

Za pomocą zacisku przymocował dwa powiększone zdjęcia na tablicy rozdzielczej i przekręcił kluczyk. Van Veeteren trzymał jeszcze w ręku odbitkę przedstawiającą jedno z ujęć domu od tyłu. Widoczny także na niej mężczyzna miał w miarę wyraźną twarz. Van Veeteren studiował jej rysy na ziarnistej fotografii już od godziny, gdy tylko ją dostał, wciąż jednak nie mógł się zdecydować, czy przedstawia Jaana G. Hennana, czy nie.

Może tak, a może nie.

Jeśli jednak spotkam go oko w oko, pomyślał, będę wiedział w pól sekundy.

– Moim zdaniem mamy do wyboru dwie dzielnice – oznajmił Bausen. – Rikken

i Wassingen. Sądząc po standardzie, nie jest to barak dla robotników.

– Raczej nie – przyznał Van Veeteren. – Nie zastanawiałeś się nad pozycją fotografującego? Według mnie mogłaby nam sporo powiedzieć.

Bausen skinął głową z aprobatą.

– Oczywiście. Wygląda na to, że mógł pstrykać całkiem swobodnie gdzieś od tyłu. Co znaczy, że dom graniczy od tamtej strony z lasem albo z innym ogólnie dostępnym zarośniętym miejscem. Na zdjęciach ukazujących dom od frontu nawet jakby widać coś takiego. No dobrze, sprawdzimy. Miej oczy otwarte, zaczynamy od Wassingen.

Dzielnica willowa Wassingen była położona na południowo-wschodnich obrzeżach Kaalbringen – rozległy teren zabudowany solidnymi jednorodzinnymi domami głównie z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. W sumie około stu willi otoczonych sporymi działkami; wiele z nich graniczyło z podłużnym pasmem lasu, który otaczał teren niemal na dwóch trzecich długości.

Oost Honingerweg przecinała cały kwartał w kierunku od wschodu na zachód, od niej zaś odchodziły na północ i na południe lekko wygięte w łuk ulice boczne. Przedarcie się przez cały ich labirynt zajęło Van Veeterenowi i Bausenowi dobre pół godziny. Zatrzymywali się raz po raz, żeby porównać widok ze zdjęciem Verlangena, dwukrotnie zostali zaatakowani przez biegającego bezpańsko boksera, który szukał odpowiedniego miejsca, żeby zadrzeć łapę (prawe tylne koło, lewe przednie koło; ustalili przynajmniej, że cały czas mają do czynienia z tym samym czworonogiem, choć na dwóch różnych ulicach), ale kiedy skończyli, mogli – z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością – powiedzieć, że to nie w dzielnicy Wassingen nieżyjący prywatny detektyw Maarten Verlangen leżał (stał? siedział?) pięć miesięcy wcześniej i naciskał guzik swojego aparatu fotograficznego.

– Jest dopiero piętnaście po siódmej – rzucił Bausen, zerkając na zegarek. – Zanim zrobi się ciemno, zdążymy jeszcze sprawdzić w Rikken.

– A jeśli i tam nie znajdziemy? – spytał Van Veeteren, opuszczając szybę w bocznym oknie i zapalając papierosa. – Co wtedy?

– W Rikken na pewno znajdziemy – powiedział zdecydowanie Bausen. – Czuję to.

Dwadzieścia minut później Van Veeteren mógł stwierdzić, że optymizm Bausena nie był bezpodstawny.

A także, że on sam nie jest jeszcze za stary na przyspieszone bicie serca. Bausen wyłączył silnik i odchrząknął.

– No to mamy go. Chyba nie masz wątpliwości, co?

Rzeczywiście nie mogło być wątpliwości. Front solidnego domu z brązowej cegły był identyczny jak ten na zdjęciu. Niskie kamienne ogrodzenie od ulicy także. Zgadzały się też garaż, ledwie widoczny na fotografii, oraz daszek wysunięty nad drzwiami wejściowymi. Dwa poprzycinane drzewa owocowe za węglem miały już co prawda liście – w kwietniu rozwijały się dopiero pąki – ale to na pewno były te same drzewa.

To był ten dom. Bez dwóch zdań. Van Veeteren zauważył, że przyspieszonemu biciu jego serca towarzyszy suchość w ustach. Żałował, że nie ma przy sobie okularów przeciwsłonecznych i kapelusza z szerokim rondem, który mógłby naciągnąć głęboko na czoło. Na wszelki wypadek.

– Co to za adres? – spytał.

Bausen pokręcił głową.

– Musimy sprawdzić, jak nazywa się ta ulica, bo nie pamiętam. Numer czternaście, jak widzę... Zdaje się, że nikogo nie ma w środku, choć nigdy nie wiadomo.

– Przejeżdż dalej – zaproponował Van Veeteren. – Nie powinniśmy tak tu stać.

– W porządku. Na rogu jest tablica z nazwą ulicy.

Uruchomił silnik i ruszył.

– Wackerstraat – przeczytał Van Veeteren, kiedy zbliżyli się do skrzyżowania. Wackerstraat 14. Czyli już wiemy.

Bausen wskazał ręką.

– Lasek leży tuż za działką. To stamtąd Verlangen pstrykał swoje zdjęcia. Co robimy?

Van Veeteren zastanowił się.

– Dzwonimy na komendę. Muszą ustalić, kto tu mieszka. A może będą chcieli zaplanować razem z nami kolejne kroki?

– Tak myślisz? – rzucił Bausen. – Chyba rzeczywiście jesteśmy zmuszeni się z nimi skontaktować.

– Zmuszeni? – powtórzył za nim Van Veeteren. – Co chcesz przez to powiedzieć? Lecz Bausen nie udzielił mu odpowiedzi.

– Proszę, Stiller – odezwał się deKlerk. – Ponieważ to ty zebrałeś informacje, to teraz nam je przedstaw. Wybaczcie tę ciasnotę, ale zwykle nie ma nas aż tylu, a to jest, jak wiecie, największa sala, jaką dysponujemy.

Uwaga komendanta była uzasadniona. Chociaż minęła już dziesiąta wieczór, wszystkie osoby zaangażowane stawily się na wezwanie. Miejscowi: Moerk i Stiller. Przyjezdni z kryminalnej z Maardam: Münster i Rooth. Oraz dwaj byli komisarze: Bausen i Van Veeteren.

I sam deKlerk. W sumie siedem osób. Tak więc – jak zauważył ktoś w ciągu dnia – w tej sprawie nie można było przynajmniej narzekać na braki kadrowe.

Komendantowi przemknęło poza tym przez myśl, że jeśli ten nieszczęsny prywatny detektyw patrzy teraz na nich z góry – albo spogląda z innego miejsca od dołu – to pewnie unosi ze zdziwienia brwi na widok zamieszania, jakie wywołał swoim odejściem.

DeKlerk precyzyjnie przeszedł na swoje miejsce i dał Stillerowi znak głową.

– A więc tak – zaczął aspirant. – Właściwie to nie mam nic szczególnego. Oni mieszkają tam od dziesięciu lat i wszystkie dane znalazłem w dokumentach urzędu skarbowego. Nazywają się Christopher i Elisabeth Nolan. Są właścicielami galerii i salonu sztuki Winderhuus przy Hannesplanaden... Przeprowadzili się do Kaalbringen w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim i rok później otworzyli ten biznes. Można powiedzieć, że zapuścili już tutaj korzenie. Pochodzą z Anglii, z Bristolu, on ma sześćdziesiąt trzy lata, ona pięćdziesiąt jeden. Wydaje się, że pani Nolan angażuje się bardziej niż on w ten Winderhuus; przyjechali ze sporymi pieniędzmi i nadal mają niemały majątek, mimo że przez ostatnie lata ich firma odnotowywała same straty...

– Tak przynajmniej uważa urząd skarbowy – wtrąciła Beate Moerk.

– To prawda, opierałem się głównie na informacjach urzędu – potwierdził Stiller.

– Nolanowie nie mają dzieci, dom przy Wackerstraat kupili w tysiąc dziewięćset

dziewięćdziesiątym piątym, przez pierwsze lata mieszkali w mieszkaniu przy parku Romnera. Nie odnotowano żadnych nieprawidłowości dotyczących ich finansów. Od czasu kiedy tu przyjechali, oboje co roku deklarują posiadanie określonego majątku.

– Handel sztuką? – bąknął Rooth. – To musi być niezła branża do ukrycia pieniędzy.

– Możliwe – powiedział Münster. – A ten Christopher Nolan? Naprawdę nie wiem, co mam o tym sądzić...

– Ehe – wtrącił Bausen, wiodąc wzrokiem po kolei po wszystkich zgromadzonych. – Wybaczcie, ale chciałbym zwrócić uwagę, że w tym momencie niewiele nam to pomoże, co ktoś sądzi. Albo ten mężczyzna jest identyczny z Jaanem G. Hennanem, albo jest identyczny tylko z Christopherem Nolanem. Dopóki nie ustalimy, jak się sprawy mają, możemy odłożyć na bok wszelkie teorie. Spekulacje nic nam teraz nie dadzą. Nie uważacie?

– Być może – potaknął deKlerk z lekko wymuszonym uśmiechem. – A w jaki sposób ustalić ten drobny szczegół? Proszę, kto się wypowie?

Przez kilka sekund wszyscy milczeli. Potem zabrał głos inspektor Münster.

– Jedną z możliwości to po prostu tam pojechać i ich przesłuchać. Albo przynajmniej z nimi porozmawiać. Nie jestem jednak pewny, czy to właściwa metoda w tej sytuacji.

– Uważam, że to cholernie głupia metoda – rzekł Rooth. – Przecież nie powinniśmy być naiwni i grać w otwarte karty z takim przebiegłym draniem jak Hennan.

– Nie wiemy, czy to jest Hennan – zwrócił uwagę Stiller.

– Tym bardziej nie należy wyklądać kart. A przynajmniej nie na samym początku. Moja biblia mówi mi wyraźnie, że musimy zacząć od blefu. Wielkiego, sprytnego blefu.

– Jestem tego samego zdania – powiedziała inspektor Moerk. – Nie możemy z nim poważnie rozmawiać, dopóki się nie dowiemy, czy mamy do czynienia z G, czy nie. To byłby potworny błąd, gdybyśmy się zdradzili, że coś podejrzewamy.

– Zgadza się – rzekł Münster. – Poprzednim razem nie dał się zastraszyć. Musimy postępować ostrożnie.

– Czy ktoś jest przeciwnego zdania w tym punkcie? – spytał deKlerk i rozejrzał się wokół siebie.

Nikt nie zgłosił żadnych zastrzeżeń. Van Veeteren wymienił spojrzenie z Münsterem; chyba miał coś na końcu języka, postanowił jednak powstrzymać się od komentarzy i zamiast je wygłaszać, wyjął swoją maszynkę do zwijania papierosów.

– Czyli pozostaje nam tylko ustalić, co mamy teraz zrobić – kontynuował deKlerk. – Kto z was nadaje się najlepiej do tego, żeby zidentyfikować Jaana G. Hennana?

Pytanie było tak retoryczne, że Van Veeteren o mało nie upuścił maszynki na podłogę. Bausen roześmiał się sucho.

– Do jasnej cholery – powiedział. – Mam wrażenie, że chcecie, aby tę robotę wykonywali jacyś śmieszni amatorzy. Dla mnie jest jasne jak słońce, że to Van Veeteren powinien zrobić pierwszy ruch... Przecież ty rozpoznasz go bez trudu, prawda? Przynajmniej tak twierdziłeś godzinę temu.

Van Veeteren schował maszynkę z powrotem do kieszeni marynarki i splótł przed sobą dłonie na stole.

– Prawdopodobnie tak – przyznał. – Tak mi się przynajmniej wydaje. Ale nietrudno jest mi też sobie wyobrazić, że on jest w stanie rozpoznać mnie. I musimy zdecydować, czy to dla nas źle, czy dobrze.

– Czyli zakładasz, że będziecie musieli stanąć twarzą w twarz? – spytała Beate Moerk.

Van Veeteren zmarszczył czoło.

– Być może to nie będzie konieczne – przyznał. – Ale jestem przygotowany, że wcześniej czy później mogę się znaleźć w takiej sytuacji. O ile to jest on.

Beate Moerk uśmiechnęła się nieznacznie.

– Rozumiem – powiedziała. – *A man's gotta do what a man's gotta do?*

– Hm – bąknął komisarz. – Coś w tym rodzaju. Tylko jak to sobie wyobrażacie? Nie mam specjalnej ochoty deptać temu facetowi po piętach i czekać, aż odwróci głowę.

Bausen podrapał się po karku.

– To nie musi wcale przebiegać tak melodramatycznie – stwierdził. – Możemy

zrobić tak. Dam ci parę swoich starych obrazów, pójdziesz z nimi do Winderhuus wtedy, kiedy pan Nolan będzie na miejscu, i spróbujesz je opchnąć. Ze sztuczną brodą albo bez.

– Tak po prostu? – spytał Van Veeteren.

– Tak po prostu – potwierdził Bausen.

Może z powodu późnej godziny, a może czego innego, jednak czterdzieści pięć minut później nadal nikt nie zgłosił lepszego pomysłu.

Jakoś tak około wpół do drugiej, tuż przedtem, gdy wreszcie zdołał zasnąć, pojawiła mu się w głowie pewna nowa myśl. Która wcale mu się nie podobała.

Jeżeli, uświadomił sobie, jeżeli Christopher Nolan to rzeczywiście Jaan G. Hennis, oznaczałoby to – zgodnie z informacjami zasięgniętymi przez aspiranta Stillera i zaprezentowanymi przez niego w tak wzorcowy sposób – że znajdował się w Kaalbringen dziewięć lat temu, gdy doszło do zabójstwa siekierą.

Była to wyjątkowo nieprzyjemna myśl.

Ciekawe, jak bym zareagował, gdybym wiedział to wtedy, zadał sobie pytanie Van Veeteren. Czy to mogłoby wpłynąć na dochodzenie?

A kiedy potem zasnął, śniło mu się, jak przemyka po jakimś ogromnym muzeum sztuki ukryty pod wielką białą brodą Świętego Mikołaja i z rozmachem wycina z ram kilka najcenniejszych i najsłynniejszych płócien świata. Rozpoznał *Guernicę*, *Straż nocną* i *Słoneczniki* Van Gogha.

Już samo to było nieprzyjemne, ale po chwili zrobiło się jeszcze gorzej. I obrazy, i wielka biała broda zniknęły jak zdmuchnięte, on natomiast szedł długą i wymarłą plażą. Prawdopodobnie ku własnej śmierci; wskazywał na to szereg żółto-czarnych zardzewiałych tablic wbitych w piasek w równych odstępach. Podana na nich odległość szybko się zmniejszała, a on, choć gorączkowo rozglądał się dookoła, nigdzie nie mógł dostrzec ani jednego człowieka, który pomógłby mu zawrócić... ani jednego.

Kiedy obudził się rano, nie mógł pojąć, że spał siedem godzin.

Chyba raczej siedem minut.

W ciągu ranka nieco zmodyfikowano plan.

Inspektor Moerk dowiedziała się od swojego męża (będącego w branży i uważającego Winderhuus za dosyć marne miejsce), że akurat teraz w galerii odbywa się dość licznie odwiedzana wystawa (prezentująca dzieła dwóch miejscowych artystów, według tego samego źródła także dosyć marnych).

Po kilku rozmowach telefonicznych uzgodniono, że równie dobrze sam Bausen może wziąć na siebie sprzedaż obrazów, podczas gdy Van Veeteren przyjmie dyskretniejszą rolę gościa oglądającego wystawę. Jeśli identyfikacja okaże się rzeczywiście tak prosta, jak *komisarz* przewidywał, dzięki takiemu rozwiązaniu będzie miał świetną okazję, by przyjrzeć się bliżej Christopherowi Nolanowi. I także usłyszeć jego głos. Münster i Rooth obejrżeli lokal i stwierdzili, że nie ma w nim wyraźnego podziału – a nawet drzwi – między samą galerią a częścią bardziej komercyjną, w której sprzedawano ramy, reprodukcje, widokówki i różnego rodzaju ozdóbki.

Aspirant Stiller stawił się jako pierwszy na miejscu. Zająwszy strategiczną pozycję w samochodzie stojącym na parkingu portowym tuż obok Winderhuus, obserwował, jak kilka minut po dziesiątej przyjechała pani Nolan i otworzyła galerię. Stiller miał za zadanie zadzwonić i zameldować, gdy tylko zjawi się także pan Nolan. Rooth uważał, że właściciel pokaże się gdzieś około południa, i rzeczywiście tym razem inspektor trafił w dziesiątkę. Punktualnie o wpół do pierwszej Christopher Nolan zajechał swoim bordowym roverem, zaparkował dziesięć metrów od znacznie mniej okazałego fiata Stillera, przeciął Esplanade i wszedł do Winderhuus. Najwyraźniej po to, aby zmienić żonę, która mogła zrobić sobie przerwę i pójść na lunch.

I rzeczywiście, po paru minutach pani Nolan wyszła – szczupła kobieta około pięćdziesiątki w czólenkach, czerwonej sukience i o ciemnych włosach; zdecydowanie bardziej zadbana niż na zdjęciach, jak zauważył aspirant, ale niewątpliwie ta sama. Zapaliła papierosa i skierowała swe kroki w stronę Targu

Rybnego. Stiller zadzwonił na komendę, gdzie Bausen i Van Veeteren czekali z szachownicą i czterema malowidłami olejnymi o tematyce morskiej.

Rozmowa trwała cztery sekundy. Nadleciała mewa i przysiadła na masce fiata. Świeciło słońce.

Operacja G została rozpoczęta, pomyślał Stiller. Zauważył, że siedzi za kierownicą napięty jak struna.

– Dzień dobry – powiedział Bausen. – Nie wiem, czy my już się gdzieś nie spotkaliśmy. Nazywam się Bausen.

– Nolan. Nie, nie sędzę.

Bausen postawił na podłodze swoją nieporęczną paczkę i zabrał się do uwalniania malowideł od płótna, w które je owinął.

– Latem zmarła moja stara ciotka i zostawiła mi w spadku swoje skarby – wyjaśnił. – W domu nie mam dla nich miejsca. Pomyślałem sobie, że może mógłby je pan wycenić i ewentualnie któryś z nich kupić.

– Proszę je pokazać – powiedział Nolan, pomagając mu przy odpakowywaniu. – Kto wie, zobaczymy.

Bausen ustawił starannie obrazy pod ścianą naprzeciwko biurka Nolana. Choć nagle zrozumiał, dlaczego trzymał je przez cały czas w ciemnym pomieszczeniu, wyprężył jednak pierś i starał się wyglądać na zadowolonego.

– I co pan powie?

– No cóż – odparł Nolan, przesunąwszy dłonią po swojej wypielęgnowanej brodzie. Sięgnął po okulary z biurka i włożył je na nos. W tym momencie otworzyły się drzwi i do środka wszedł Van Veeteren.

– Na wystawę? – spytał

Nolan spojrzał na niego przelotnie sponad okularów.

– Po tamtej stronie. Proszę wejść. Na stoliku leży katalog.

Van Veeteren skinął głową.

– O której państwo zamykają?

– O szóstej.

– Dziękuję.

Bausen chrząknął i zwrócił się ponownie do Nolana:

– Chyba nie są takie złe, prawda? I ramy porządne.

Van Veeteren przystanął na chwilę i spojrział na obrazy Bausena.

– Co za bohomazy – rzucił.

– Co pan opowiada? – obruszył się Bausen.

Wokół ust Nolana pojawił się cień ubawienia.

– Muszę przyznać, że zgadzam się z panem – rzekł. – Sądzę, że z wystawy więcej pan wyniesie.

– Mam taką nadzieję – odpowiedział Van Veeteren i ruszył w głąb lokalu.

– Co za bezczelność – rzucił Bausen.

– Jeśli zależy panu na profesjonalnej ocenie, najlepiej będzie, jeśli poczeka pan na moją żonę – oznajmił Nolan. – Wyszła zjeść lunch, ale za trzy kwadranse powinna być z powrotem.

– A tam – zirytował się Bausen. – Mam to w nosie. Po prostu spalę je w ogrodzie.

Zawinął obrazy w płótno i opuścił galerię sztuki Winderhuus z udawaną wściekłością.

– No i? – spytał Münster.

Van Veeteren wykonał nieokreślony ruch głową. Zdjął parę włosków z rękawa marynarki. Minęły ze trzy sekundy.

– Tak – powiedział. – To on.

Śmiertelna cisza zaległa w salce przez kolejną chwilę, po czym deKlerk wypuścił powietrze z przeciągłym, świszczącym odgłosem.

– No dobrze – rzucił. – Mamy drania!

– To cytat – rzekł Van Veeteren.

– Słucham?

– „Mamy drania”... tak samo napisał Verlangen, zanim wyjechał w kwietniu.

– Oj tam – odpowiedział komendant i wydawał się trochę zmieszany. – Może to zły omen?

– Omen nie omen, nieważne – odezwał się Rooth. – Mamy zatem do czynienia z Jaanem G. Hennanem.

– Na to wygląda – potwierdził Van Veeteren.

Zapalił papierosa. Gdy zdmuchnął zapalną, stwierdził, że wszyscy siedzą

i czekają.

– Na to wygląda – powtórzył powoli. – Uważam, że dalsze kroki w tej sprawie wymagają pewnych przygotowań. Czy macie... czy macie coś przeciwko temu, abyśmy razem z Bausenem dalej przyglądali się temu z boku?

DeKlerk pospiesznie rozejrzał się po kolegach w oczekiwaniu akceptacji i uzyskał ją.

– Oczywiście, że chcemy, abyście dalej z nami współpracowali – oświadczył. – Naturalnie. No więc... już wiemy, że Verlangen przyjechał tu rzeczywiście z powodu Hennana, którego właśnie znaleźliśmy. Ale co poza tym się stało...

– ...nie jest takie łatwe do wyjaśnienia – dokończyła Beate Moerk. – Czy on na pewno cię nie rozpoznał?

Van Veeteren siedział w milczeniu przez chwilę. Następnie pokręcił głową.

– Raczej trudno mi to sobie wyobrazić. Nie zauważyłem choćby najmniejszego znaku w jego twarzy, który by o tym świadczył. Okulary i wąsy dużo robią, zwłaszcza jeśli nie przeciąga się rozmowy. Moim zdaniem możemy przyjąć, że mnie nie rozpoznał.

– Mnie natomiast raczej dosyć długo nie zapomni – stwierdził Bausen.

– Nie tylko on – rzuciła Beate Moerk, lekko wykrzywając twarz. – W każdym razie zakładamy, że Hennis na razie niczego nie przeczuwa. Tak?

Van Veeteren skinął głową potwierdzająco.

– Miejmy taką nadzieję – powiedział deKlerk. – Jeżeli zabójstwo Verlangena to jego sprawa, a przecież taką przyjęliśmy hipotezę, należy się spodziewać, że na pewno stał się bardziej czujny od chwili, kiedy znaleźliśmy ciało... a przynajmniej od momentu, kiedy napisano o tym w gazecie. My tymczasem... no cóż, my tymczasem nie posunęliśmy się wiele dalej z dowodami w tej sprawie. Co o tym sądzicie? Chociaż wiemy, że to on, nie jesteśmy w stanie powiązać go z tą zbrodnią.

– Nie jesteśmy, to prawda – zgodził się Rooth. – Czyli co robimy? Bo ja, mówiąc szczerze, mam już trochę dość, że przez cały czas tak się pilnujemy i jesteśmy tacy cholernie dyskretni. A może by tak wyrzucić temu draniowi dom do góry nogami i poświecić mu w areszcie stuwatową żarówką prosto w oczy... wiem, wiem, że to nic nie dało poprzednim razem, ale może trochę zmięknął z upływem lat?

– Wierzysz w to? – spytał Münster.

– Nie – odpowiedział Rooth. – To są tylko takie marzenia na jawie, akurat ty powinieneś to zrozumieć.

– No cóż – odezwał się znowu deKlerk, zwracając się tym razem do Bausena i Van Veeterena siedzących przy końcu stołu. – A może nasi bardziej doświadczeni koledzy mają jakieś pomysły?

– Owszem – zabrał głos Bausen. – Jest tak, jak mówi

Rooth: ja też uważam, że wcześniej czy później będziemy musieli się ujawnić... to znaczy powiedzieć mu, że wiemy, kim on jest, i że go podejrzewamy. Ale na razie powinniśmy raczej się przyzacić i poustalać pewne rzeczy po cichu. Jak myślicie?

– Bardzo słuszne podejście – oceniła Beate Moerk.

– Ale co poustalać? – spytał Stiller.

– I to jest zasadnicze pytanie – odpowiedział Bausen, drapiąc się po karku. – Może warto byłoby wykorzystać żonę; to tylko taka przelotna myśl, która przyszła mi do głowy, natomiast... sam nie wiem...

Urwał, ale Münster szybko podjął ten sam wątek.

– Ja też się nad nią zastanawiałem – powiedział. – Czy nie dobrze by było ściągnąć trochę informacji z Anglii. Skoro mieszkali tam przez dziesięć lat, to znaczy, że Hennan znalazł ją niedługo po tym, jak zniknął z Maardam... w ciągu trzech, czterech lat. Ciekawe, jaka byłaby reakcja pani Nolan, gdybyśmy opowiedzieli jej trochę o jego przeszłości. Biorąc pod uwagę to, jaki los spotkał jego dwie poprzednie żony, można by jej pogratulować, że przynajmniej pozostała przy życiu.

– Brzmi sensownie – powiedział deKlerk. – Mam na myśli ściągnięcie informacji z Anglii. Pomysł z żoną nie do końca do mnie przemawia.

– Jeśli nie jesteśmy w stanie przestraszyć jego, to może uda nam się przynajmniej z nią? – sprzeciwił się Rooth.

– Przepraszam – wtrącił Stiller. – Czy to znaczy, że zakładamy, że pani Nolan nic nie wie o sprawie z Verlangenem?

Rooth machnął ręką. Ponieważ jednak właśnie wepchnął sobie do ust dwa ciastka, zamiast niego odezwał się Münster:

– Tak mi się wydaje – powiedział. – A jeśli tak nie jest, to mamy tylko kolejny

powód, aby z nią porozmawiać... żeby po prostu się zorientować, na ile ona jest zorientowana. Zgadzam się z Bausenem. Powinniśmy pogadać z nią w cztery oczy. Co z tego wyniknie, Bóg jeden wie.

– Zastanawiam się jeszcze nad jedną rzeczą – ponownie włączył się Stiller. – O ile pamiętam, zamierzano sprawdzić mieszkanie Verlangena w Maardam. Czy dostaliśmy już raport?

DeKlerk skinął głową i wyjął jakąś kartkę.

– Przepraszam was. Zapomniałem o nim w tym całym zamieszaniu. Dziś rano przyszedł faks. Niestety nic z niego dla nas nie wynika. Podpisany przez inspektora Moreno. Domyślam się, że jest wam znany?

– Znana – skorygował go Rooth. – To kobieta. Ale rzeczywiście jest nam znana.

– Rozumiem. W każdym razie w mieszkaniu nic nie znaleziono. A Moreno zapewnia, że przeszukano je gruntownie.

– To było do przewidzenia – odezwał się Münster. – W końcu Verlangen nie prowadził dziennika. Co raczej nie powinno dziwić.

– Dziękuję – powiedział Stiller. – Przypomniało mi się po prostu i chciałem spytać.

– Ależ oczywiście – odrzekł komendant, spoglądając jednocześnie na zegar. – Proponuję, żebyśmy na tym na razie skończyli. Jest nas siedmioro zaangażowanych w tę sprawę, myślę więc, że nie zaszkodzi, jeśli teraz każdy z nas zastanowi się nad nią w skupieniu. Stiller i ja skontaktujemy się z Anglią i zobaczymy, czy coś z tego wyniknie... Widzimy się znowu o czwartej. Co wy na to?

– W porządku – odpowiedział Rooth.

– A jeśli chodzi o Bausena i Van Veeterena...

– ...mogą robić, co chcą – dokończył za niego Bausen i podniósł się z krzesła.

– Nie byłeś specjalnie rozmowny – stwierdził, gdy już we dwóch znaleźli się w samochodzie.

– Po prostu myślałem – odparł Van Veeteren. – Jestem też trochę zmęczony, nie spałem dzisiaj najlepiej... Poza tym, jak słyszałeś, nie brakuje tam głów.

– Co nie zawsze jest dobre.

– To prawda – przyznał Van Veeteren. – Nie musi być.

– Nadal się nad czymś zastanawiasz?

– W pewnym sensie.

– A nad czym?

– Chodzi mi po głowie ta stuwatowa żarówka. Ciekawe, czy on rzeczywiście wytrzymałby teraz coś takiego?

– Hennan?

– Tak.

– Uważasz, że powinniśmy go ostro potraktować?

Van Veeteren wyjął z kieszonki na piersi wykałaczkę i przyjrzał się jej z wyrazem zdziwienia.

– Skąd, u diabła, ona się tu wzięła? Przecież skończyłem z tym jakieś pięć lat temu.

– Najwyraźniej to taki czas, że na powierzchnię wyłazą różne stare rzeczy – powiedział Bausen. – To co z tym ostrym traktowaniem? – wrócił do swojego pytania.

Van Veeteren złamał wykałaczkę i wyrzucił kawałki przez okno.

– Nie wiem – rzekł. – Po prostu nie wiem.

– Tak mówisz? Jeśli o mnie chodzi, nie mogę zrozumieć czego innego.

– Czego nie rozumiesz? – wymamrotał Van Veeteren.

– Po co właściwie musiałem wlec tam te przeklęte obrazy. Przecież i bez tego mogłeś zidentyfikować Nolana-Hennana.

Van Veeteren popatrzył na niego z boku przez kilka sekund.

– To przecież był twój pomysł. Swoją drogą odegrałeś powierzoną ci rolę brawurowo. Nie chciałeś przypadkiem zostać kiedyś aktorem? Chyba nigdy mi o tym nie wspominałeś...

– Zamknij się – powiedział Bausen i wybuchnął gromkim śmiechem.

Nad wytycznymi do rozmowy z Elizabeth Nolan pracowali Münster, deKlerk i Rooth. Można było oczywiście potem dyskutować, czy nie dało się tego zrobić lepiej. Siedzieli nad tym przez całe piątkowe przedpołudnie, a Münster dosyć szybko odniósł wrażenie, że coś jest nie tak. Musiało jednak minąć trochę czasu, zanim zrozumiał, do jakiego stopnia.

Zbyt dużo czasu.

Inspektor Münster był także jednym z dwóch funkcjonariuszy, którzy około wpół do szóstej weszli do galerii Winderhuus, aby porozmawiać z panią Nolan.

Drugą osobą była inspektor Moerk. Wszyscy zgodnie uznali, że to rozsądne, aby w spotkaniu uczestniczyła również kobieta. Z takiego czy innego niewypowiedzianego na głos powodu. Sama Beate Moerk uważała to za uzasadnione dlatego, że jest dobrą policjantką, a nie ze względu na swoją płęć. Ale również ten powód nie został wymieniony.

– Pani Nolan – zaczął Münster. – Jesteśmy inspektorami policji i przychodzimy w bardzo delikatnej sprawie. Ja nazywam się Münster, a to jest inspektor Moerk.

Elizabeth Nolan podniosła wzrok znad grubego albumu, który właśnie przeglądała.

– Przepraszam, chyba nie zrozumiałam?

Spojrzała na nich po kolei, lekko zezując. Odgarnęła sobie z twarzy kosmyk ciemnych włosów.

– Jesteśmy z policji – powtórzyła Beate Moerk. – Chcielibyśmy z panią porozmawiać.

– Nadal nie rozumiem... dlaczego?

Miała słaby, niemal niezauważalny angielski akcent. Beate Moerk szybko sobie przypomniała, że Bausen i Van Veeteren nie zauważyli nic takiego u jej męża.

– Inspektor Moerk – przedstawiła się i wyciągnęła rękę do kobiety. Elizabeth Nolan ujęła ją z wahaniem. Włożyła zakładkę do albumu i go zamknęła.

– Czy moglibyśmy gdzieś z panią spokojnie porozmawiać? – spytała Beate

Moerk, rozejrzawszy się dookoła. Wyglądało na to, że w salach wystawowych nie było żadnych zwiedzających; siedząc wcześniej z dziesięć minut w samochodzie na parkingu, też nie zauważyli, aby ktoś wychodził z budynku albo do niego wchodził. Można było odnieść wrażenie, że siła przyciągania miernej sztuki lokalnych artystów znacznie osłabła w ciągu tygodnia, jaki minął od wernisażu.

Pani Nolan podniosła się z krzesła.

– Obawiam się, że nie do końca państwa rozumiem. Czego państwo sobie życzą?

Wydawała się szczerze zaskoczona. Münster wskazał na drzwi wejściowe.

– Czy nie mogłaby pani zamknąć już na dzisiaj, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

Zawahała się. Następnie zrobiła kilka kroków w stronę drzwi, ale zaraz przystanęła.

– Czy macie... czy mogłabym zobaczyć wasze legitymacje?

Wyjęli je oboje, ona zaś przyjrzała się im uważnie przez kilka sekund.

– Normalnie mamy otwarte do szóstej.

– Wiemy – powiedział Münster. – Może jednak nic się nie stanie, jeśli wyjątkowo zamknie pani pół godziny wcześniej. O tej porze chyba raczej już nie należy spodziewać się gości.

Elizabeth Nolan wzruszyła ramionami, wykonując jednocześnie dłońmi coś w rodzaju przepaszającego gestu.

– To prawda, coraz mniej jest zwiedzających. Ale naprawdę nie rozumiem, dlaczego chcecie ze mną rozmawiać. Czy coś się stało?

– Jeśli zamknie pani drzwi, wyjaśnimy spokojnie wszystko po kolei – obiecała Beate Moerk, lekko dotykając przedramienia Elizabeth Nolan. – Proszę się nie denerwować.

Kobieta wciąż nie mogła podjąć decyzji. W końcu jednak skinęła głową i zamknęła drzwi na klucz. Münster i Moerk usiedli na krzesłach dla gości obitych musztardową sztuczną skórą, stojących przed biurkiem.

– Pani Nolan – zaczęła Beate Moerk, kiedy właścicielka galerii zajęła już miejsce naprzeciwko nich. – Bardzo nam przykro, że nachodzimy tu panią i się naprzykrzamy, ale w powstałej sytuacji nie mamy wyboru.

– Proszę mi wreszcie powiedzieć, co się stało.

Münster domyślił się, że kobieta spodziewa się chyba informacji o czyjejś śmierci albo czegoś równie poważnego, czemu może nie należało się dziwić.

– No dobrze – rzekł. – Powód, dla którego chcemy z panią rozmawiać, jest niewątpliwie trochę specyficzny, ale jeśli tylko będzie pani szczerze i otwarcie odpowiadać na nasze pytania, nie musi się pani niczego obawiać.

– Obawiać? – wybuchła Elizabeth Nolan. – Dlaczego miałabym się czegoś obawiać? Co pan ma na myśli?

– Pozwoli pani, że pokrótce przedstawię sytuację – przejęła pałeczkę Beate Moerk. – Potrzebujemy mianowicie kilku informacji o pani mężu. Nie możemy niestety dokładnie wyjaśnić, po co są nam one niezbędne, więc powiem tylko tyle: szukamy pewnej osoby, która dosyć dawno temu popełniła kilka poważnych przestępstw... bardzo ciężkich przestępstw. Pani mąż wraz z siedmioma innymi mężczyznami należy do grupy, w której ze stuprocentową pewnością znajduje się winny tych zbrodni. I jego właśnie szukamy. Pozostałych siedmiu jest zupełnie niewinnych i nie ma nic wspólnego ze sprawą.

– A co takiego się...?

– ...zdarzyło? Tego nie możemy powiedzieć. Z pewnością rozumie to pani. Poza tym, jak wspomniałam, to historia sprzed wielu lat. Nasze zadanie polega na tym, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o każdym z tych ośmiu mężczyzn – maksymalnie dyskretnie – tak aby żaden z nich niczego się nie domyślił. W konsekwencji będziemy mogli wykluczyć siedmiu z nich, w tym także, miejmy nadzieję, pani męża. To jest niestety jedyna metoda, jaką mamy do dyspozycji. Gdyby znała pani więcej szczegółów, z pewnością zrozumiałaby pani nasze położenie, lecz jak mówiłam, nie możemy zdradzić nic więcej. Bywają sytuacje, że musimy pracować z ogromną ostrożnością i wyjątkowo dyskretnie... Czy jest to dla pani mniej więcej jasne?

Elizabeth Nolan wpatrywała się w nich przez chwilę z niedowierzaniem. Potem pokręciła głową i z torebki, która leżała na stole, wyjęła paczkę papierosów.

– Muszę zapalić.

– Oczywiście – skinął Münster.

– Mój mąż? Chodzi o mojego męża?

– Tak.

– Chcecie wykluczyć go jako... podejrzanego?

– Tak.

– To jakiś absurd. On by nigdy... Nie, to niemożliwe. Jeśli odpowiem na wasze pytania, wtedy go wykluczycie? I to wszystko?

– To wszystko – potwierdziła Beate Moerk. – Z pewnością odbiera to pani jako mieszanie się do prywatnego życia, ale obiecuję pani, że nic, co pani nam powie, nie wyjdzie poza ściany tego pomieszczenia... pod warunkiem naturalnie, że pani mąż nie jest człowiekiem, którego szukamy.

– Sugerowałbym też pani, aby nie wspominała pani mężowi o naszej rozmowie – dodał Münster. – Ale do tego jeszcze wrócimy.

Elizabeth Nolan zapaliła papierosa, zaciągnęła się i nieco się wyprostowała.

– Czuję się po prostu zszokowana tym wszystkim – odezwała się już bardziej opanowanym głosem. – Musicie to zrozumieć, to jest jak... nie potrafię nawet powiedzieć. Ale chyba muszę wam zaufać, prawda?

– Oczywiście – zapewnił Münster.

– Ile to nam zajmie? Jestem umówiona z mężem w restauracji o wpół do siódmej. Beate Moerk spojrzała na zegarek.

– Zdążymy – powiedziała. – Jest dopiero za dwadzieścia szósta.

– To zaczynajcie – poprosiła pani Nolan. – Chcę to już mieć za sobą.

Münster otworzył swój notes. Beate Moerk nabrała głęboko powietrza i splotła dłonie pod stołem.

– Jak długo jest pani żoną Christophera Nolana?

– Trzyście lat. Od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego.

– Urodziła się pani w Anglii?

– Tak.

– Gdzie?

– W Thorpe. To niewielkie miasteczko w Kornwalii.

– Ale poznaliście się w Bristolu?

– Tak.

– Macie dzieci?

– Nie.

– Czy była pani wcześniej zamężna?

– Tak... Dlaczego pani pyta o takie rzeczy? Myślałam, że chodzi o Christophera, a nie o mnie.

– Niech pani będzie tak miła i po prostu odpowie – poprosiła Beate Moerk. – Tak będzie prościej. Ponieważ nie możemy niestety odsłonić przed panią wszystkiego, trudno jest pani zrozumieć znaczenie niektórych naszych pytań.

– Nie rozumiem znaczenia ani jednego z nich – przyznała Elizabeth Nolan i zaciągnęła się papierosem. – Ale okej, niech będzie... byłam wcześniej zamężna. Raz. Przez trzy lata. Byłam wtedy młoda, bardzo młoda.

– Skąd pochodzi pani mąż? – spytała Beate Moerk.

– Urodził się w Londynie. Dokładnie rzecz biorąc, w Luton.

– Czym się zajmuje?

– Prowadzimy wspólnie tę galerię i salon sztuki, przecież wiecie.

– I prowadzicie ją od początku, kiedy sprowadziliście się do Kaalbringen?

– W gruncie rzeczy tak.

– Gdzie pani pracowała w Bristolu?

– Wykładałam historię sztuki na jednym z college'ów. A mąż pracował jako dyrektor muzeum.

– Jakie jest pani panińskie nazwisko? – spytał Münster po krótkiej przerwie.

– Prentice. Ale po rozwodzie zachowałam nazwisko pierwszego męża – Bowden.

– Czyli kiedy poznała pani swojego obecnego męża, nazywała się pani Elizabeth Bowden?

– Tak.

– Jak do tego doszło?

– To znaczy?

– Że się poznaliśmy.

Elizabeth Nolan westchnęła i zmierzyła ich oboje wzrokiem, zanim zdecydowała się odpowiedzieć. Beate Moerk stwierdziła, że jest jej trochę żal tej kobiety.

– To było na jakimś przyjęciu... nic szczególnego. Potem zaczęliśmy się spotykać, no i tak...

– Kiedy to było... dokładnie?

Zastanowiła się.

– W grudniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego.

– Mieszkaliście wtedy oboje w Bristolu?

– Tak.

– Długo?

– Kogo pani ma na myśli?

– Głównie pani męża.

– On mieszkał tam co najmniej cztery, pięć lat... tak, od początku lat osiemdziesiątych. Nie pamiętam dokładnie. Był szefem jednego z oddziałów w muzeum.

– Czy znała go pani, zanim spotkaliście się na tamtym przyjęciu?

Pokręciła głową.

– Nie. Wtedy zobaczyłam go po raz pierwszy... To było bożonarodzeniowe przyjęcie u którychś z naszych wspólnych znajomych.

– Czy pani mąż był wcześniej żonaty? – spytał Münster.

Zgasiła papierosa i strzepnęła z sukienki kilka płatków popiołu.

– Tak. Dzisiaj tak to już jest, prawda? Musimy spróbować dwa razy, żeby się nauczyć...

Próbowała wymusić na ustach uśmiech, ale nie bardzo jej się udało.

– ...był rozwiedziony co najmniej od roku, kiedy się poznaliśmy.

– Tylko od roku?

– Może od półtora.

– Czy mąż ma dzieci z dawnego związku?

– Nie.

– Czy spotkała pani kiedykolwiek jego byłą żonę?

– Czy spotkałam...? Co to ma do rzeczy, czy poznałam jego dawną żonę? Do czego wy właściwie zmierzacie?

– Pani będzie uprzejma odpowiedzieć na nasze pytanie – zwróciła się do niej Beate Moerk.

W oczach Elizabeth Nolan pojawiły się łzy.

– Nie, nigdy jej nie poznałam... jedynie raz widziałam ją krótko. Po rozwodzie

przeniosła się do Szkocji. Z nowym mężczyzną. Naprawdę nie rozumiem, czemu mają służyć te wasze pytania.

Münster odchylił się do tyłu i wymienił spojrzenie z Beate Moerk. Skinęła ku niemu na znak, że teraz jego kolej.

– Próbujemy ustalić – wyjaśnił Münster – czy pani mąż może być kimś innym niż tą osobą, za którą się podaje.

Elizabeth Nolan otworzyła szeroko usta.

– Kimś innym niż...?

– Tak – potwierdziła Beate Moerk. – To może wydawać się pani szokujące, ale my musimy być nieugięci. Czy jest pani całkowicie pewna, że pani mąż rzeczywiście nazywa się Christopher Nolan, że urodził się w Londynie i że pracował w tamtym muzeum od początku lat osiemdziesiątych?

Elizabeth Nolan wpatrywała się w nią tak, jakby nie dowierzała własnym uszom. Albo nie wierzyła w poczytalność inspektor Moerk. Na przemian otwierała i zamykała usta, nie mogąc wydobyć słowa. W końcu nabrała głęboko powietrza i gwałtownie pokręciła głową.

– Co wy, u diabła, chcecie przez to powiedzieć? – rzuciła. – Że Christopher to nie Christopher? Mam już dość tej nedorzecznej rozmowy.

– Tylko spokojnie – rzekł Münster. – Proszę nie zapominać, o co w tym chodzi, pani Nolan! Chcemy jedynie wyeliminować pani męża z naszej listy, nic więcej.

Zamrugła kilkakrotnie powiekami i opanowała się trochę. Wyjęła kolejnego papierosa z paczki, po czym zapaliła go trzęsącymi się dłońmi.

– Przepraszam. To jest tak absurdalne, tak kompletnie absurdalne...

– Jak dobrze zna pani przeszłość męża? – kontynuowała Beate Moerk. – Co robił, zanim poznaliście się w osiemdziesiątym ósmym i tak dalej?

– Wiem bardzo dużo o jego przeszłości – oznajmiła Elizabeth Nolan. – Opowiadaliśmy sobie nawzajem o swoim życiu.

– Oczywiście – wtrącił Münster. – I z pewnością spotkała pani ludzi, którzy mogli – że się tak wyrażę – poświadczyć jego informacje? Na przykład jego krewnych?

Elizabeth Nolan zapanowała nad swoim oburzeniem i zastanowiła się przez chwilę.

– Poznałam jego matkę – powiedziała. – Ojciec umarł w połowie lat siedemdziesiątych, ale matkę odwiedziliśmy kilka razy. W szpitalu w Islington... To było wiosną, zaraz po tym, jak się poznaliśmy. W czerwcu umarła. Mąż nie ma rodzeństwa.

Ależ ma, ma, pomyślał Münster z przekorą. Ma siostrę, którą molestował przez pięć lat.

– I spotkała też pani jego przyjaciół, którzy znali go z czasów, zanim oboje się poznaliście?

– Oczywiście.

– Nadal się z nimi kontaktujecie?

– Tak, ale dosyć rzadko. Jak być może zauważyliście, nie mieszkamy już w Bristolu.

– Dlaczego opuściliście Anglię? – spytała Beate Moerk.

Elizabeth Nolan zaciągnęła się papierosem i nagle wydała się spokojniejsza.

– A dlaczego robi się różne rzeczy w życiu? – spytała. – Oboje byliśmy zmęczeni naszą pracą. Dostałam niewielki spadek i postanowiliśmy przenieść się gdzie indziej. Po prostu. Właściwie żadne z nas nie czuło się dobrze w Bristolu... w ogóle w Anglii, więc skorzystaliśmy z okazji. Bardzo interesujemy się sztuką i chcieliśmy się jej poświęcić. Przepłynęliśmy zatem kanał i znaleźliśmy się w Kaalbringen.

– Dlaczego akurat w Kaalbringen?

– Jeden z moich dobrych znajomych był tutaj latem i bardzo się nim zachwycił. Tak, właściwie to zdecydowało. Najpierw zamieszkaliśmy tu przez kilka miesięcy na próbę i stwierdziliśmy, że nam odpowiada. Z czasem znaleźliśmy też ładny dom... no i to miejsce.

Zrobiła nieokreślony gest i uśmiechnęła się nieznacznie.

– Rozumiem – powiedział Münster. – Czy mówi coś pani nazwisko Jaan G. Hennan?

Zanim zadał to pytanie, dał znak ręką inspektor Moerk; wiedział, że ona teraz obserwuje reakcję pani Nolan równie uważnie jak on.

– Hennan? – powtórzyła. – Nie, nie sądzę... Kto to jest?

Münster przełknął gorączkowo. Nic, stwierdził. Absolutnie nic nie wskazywało na

to, że kobieta kłamie albo że pytanie ją poruszyło. Rzucił szybkie spojrzenie w kierunku Beate Moerk i wymienił drugie nazwisko.

– A Verlangen? Maarten Verlangen?

Pokręciła przecząco głową.

– Nie. Znam Veramtena, ale nie Verlangena.

– Jest pani pewna?

Zastanowiła się.

– Tak. Czy mogę o coś spytać?

– Proszę – powiedział Münster.

– O jakiego rodzaju przestępstwo podejrzewacie tego człowieka? Czy nie mogłabym dowiedzieć się chociaż tego?

– Dlaczego pani o to pyta?

Elizabeth Nolan wyglądała przez moment na niezdecydowaną.

– Sama nie wiem... Po prostu chciałabym to usłyszeć.

– Przykro mi – odparł Münster. – To musi pozostać tajemnicą. Przynajmniej na razie.

– Rozumiem – odrzekła kobieta.

– Czy pani mąż mieszkał w tym kraju już wcześniej? – spytała Beate Moerk.

– Tak. W dzieciństwie przez kilka lat w okolicach Saaren. Zaraz po wojnie. Ale nigdy nie był tak daleko na wschód. Dużo jeszcze macie pytań? Jest już po szóstej, a jak mówiłam...

– Myślę, że to na razie wystarczy – powiedział Münster.

– Może tylko jeden szczegół, zanim się rozejdziemy – wtrąciła Beate Moerk. – Być może będziemy musieli przyjść do pani jeszcze raz, jeżeli konieczne okaże się uzupełnienie informacji, ale to się okaże. Bylibyśmy jednak bardzo wdzięczni, gdyby nie wspominała pani mężowi o naszej rozmowie.

– Nie możemy oczywiście zakleić pani ust – dodał Münster. – Zamierzamy zamknąć nasze dochodzenie w ciągu dwunastu do czternastu dni, potem będzie pani mogła mu wszystko opowiedzieć. Bylibyśmy jednak zobowiązani...

– Rozumiem – odpowiedziała Elizabeth Nolan zdławionym głosem. – To wszystko jest naturalnie bardzo nieprzyjemne i niekomfortowe dla mnie, ale mam

nadzieję, że służy dobremu celowi. Nic nie powiem Christopherowi.

– Dziękujemy – rzekł Münster. – Wobec tego nie będziemy już pani dłużej zatrzymywać.

Zamknął notes, w którym nie zapisał więcej niż kilka linijek, i włożył go do zewnętrznej kieszeni marynarki. Następnie wstał i podał rękę pani Nolan.

Beate Moerk uczyniła to samo, a gdy będąc już w drzwiach, odwróciła się szybko, zobaczyła, że właścicielka galerii siedzi nadal przy stole z brodą opartą na dłoniach. Było już dwadzieścia po szóstej, lecz Elizabeth Nolan zdawała się specjalnie nie spieszyć na spotkanie ze swoim mężem.

Portowa kawiarnia była jeszcze otwarta. Münster spytał inspektor Moerk, czy nie miałyby ochoty napić się piwa. Okazało się, że miała.

– Tylko nie pytaj mnie, co o tym sądzę – poprosił, kiedy wrócił od baru i postawił dwie szklanki na stole. – Wszystko, tylko nie to.

Beate Moerk spojrzała na niego z lekkim zdumieniem i pociągnęła łyk piwa.

– Mogę powiedzieć, co ja myślę – zaproponowała.

– Bardzo proszę.

Odczekała chwilę.

– Zdziwiłabym się, gdyby ona kłamała.

Münster milczał.

– Natomiast nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że Christopher Nolan to tylko Christopher Nolan i nikt więcej.

Münster odchylił się na krześle do tyłu i spojrzał w sufit.

– Czy sugerujesz, że *komisarz* się pomylił?

Zawahała się z odpowiedzią.

– Mówię tylko o swojej spontanicznej reakcji. A ty co myślisz?

– Właśnie tego pytania chciałem uniknąć – odpowiedział i uniósł szklankę do ust.

– No dobrze – odparła inspektor Moerk. – Wobec tego na zdrowie, miło cię znowu widzieć.

– No? – odezwał się Van Veeteren. – I co powiedzieli?

Bausen stał jeszcze chwilę z ręką na telefonie. Był odwrócony w stronę okna, więc Van Veeteren nie widział wyrazu jego twarzy.

– Nie mają pewności.

– Nie mają pewności?

– Tak, najwyraźniej. Albo mówiąc inaczej: pani Nolan chyba nie wie nic ciekawego. I Moerk, i Münster twierdzą, że wydawała się bardzo wiarygodna. Podąa trochę informacji... Oboje zwrócili się do Anglii o potwierdzenie.

Van Veeteren siedział wpatrzony w szachownicę. Rozpoczęli partię na dworze, ale około wpół do dziewiątej wrócili do salonu, kiedy z północnego zachodu nadciągnęły deszczowe chmury. Bausen ugotował zwykłe ratatouille z ryżem basmati, a do tego wypili co do kropli nieodwołalnie ostatnią butelkę St. Emillion '82 z domowej piwniczki.

Na deser był ser gruyère i kawałki gruszki.

– Rola nie do pozazdroszczenia – stwierdził Van Veeteren, kiedy Bausen znowu usiadł przy stole. – Mam na myśli panią Nolan. Można powiedzieć, że w pewnym sensie paradoksalna.

– To znaczy? – spytał Bausen.

Van Veeteren wykrzywił twarz.

– Nawet jeśli go nie zamkniemy, możemy się chociaż postarać, żeby rozpadło się jego małżeństwo. Przecież on ją oszukał. Właściwie robi to przez cały czas od trzynastu lat... niewiele jest kobiet, które zaakceptowałyby takie postępowanie. Przynajmniej moim zdaniem.

Bausen nie odpowiedział. Siedział w milczeniu i bębnił palcami o oparcie fotela. Van Veeteren skręcał sobie papierosa, zerkając na niego pytająco.

– Co jest z tobą? – spytał wreszcie. – Wyglądasz na zmartwionego.

Bausen pochylił się nad stołem, jakby zamierzał wykonać swój ruch.

– Komendant prosił, żebym spytał cię o jedną rzecz – powiedział.

– O jaką?

– Dotyczącą Nolana.

– Tak?

– I jego tożsamości. Na ile jesteś przekonany, że to istotnie jest Hennan?

Van Veeteren znieruchomiał. Nie od razu, tylko jakby w zwolnionym tempie, wyraźnie to czuł.

Podobnie jak grudniowy lód ścina taflę jeziora, pomyślał. Albo kiedy krzepnie krew. Co, u licha, się dzieje? – zadał sam sobie pytanie, siedząc z niezapalonym papierosem w ustach i patrząc na Bausena sponad szachownicy. Nie potrafił rozstrzygnąć, który z nich czuje się bardziej zakłopotany. Minęło kilka sekund. Bausen wciąż wpatrywał się w pionki na szachownicy, nie wykonał jednak żadnego ruchu. Unikał też jego wzroku.

– A więc to stąd ta ich niepewność? – odezwał się Van Veeteren.

Bausen wykonał nieokreślony gest rękami, nic jednak nie powiedział.

– Wątpię, czy dobrze widziałem?

– Niestety.

– Ty też nie wierzysz w moją ocenę?

Bausen próbował się uśmiechnąć.

– Przecież nie trzeba...

Urwał.

– A niech to szlag – powiedział Van Veeteren i opróżnił swój kieliszek.

Nie powinno się w takiej sytuacji dopijać ostatnich kropli St. Emillion'82, uznał w duchu. To świętokradztwo.

– W każdym razie poprosił mnie, żebym cię spytał – rzekł Bausen. – Nic dziwnego, że chcą mieć pewność. Całkowitą pewność... Nie bierz tego do siebie. To głupota.

– To głupota – zawtórował mu Van Veeteren.

Bausen również dopił wino do końca.

– Ta pani Nolan podała im podobno dosyć sporo informacji. O własnej przeszłości i przeszłości swojego męża w Anglii. Można by pomyśleć, że nie byłoby to możliwe, gdyby nie...

– Wiem, co chcesz powiedzieć... – wtrącił Van Veeteren. – Nie musisz mi wyjaśniać. Kiedy dostaną odpowiedź z Anglii?

– Najwcześniej za dwadzieścia cztery godziny. To wymaga trochę czasu... pewnie trwałoby krócej, gdyby to był Londyn, a chodzi o Bristol.

– Bristol?

– Tak.

– To oni tam mieszkali?

Bausen potaknął.

– Najwcześniej za dobę, mówisz?

– Tak. Pewnie jutro wieczorem.

Van Veeteren zapalił wreszcie papierosa i zaciągnął się głęboko dwa razy.

– Czyli oni uważają, że się pomyliłem? – powiedział. – Myślą, że nie jestem w stanie go rozpoznać.

– Nie wiem, co oni myślą – odparł Bausen z ponurą miną.

Van Veeteren wziął do ręki czarnego skoczka z szachownicy i utkwiał w nim wzrok. Minęła dobra chwila.

– A co mówi Münster? Przecież on, na brodę proroka, powinien pamiętać, jak wygląda G? Dlaczego tam nie pojedzie i nie przyjrzy mu się porządnie? Skoro nie mogą się zdecydować.

Bausen nie odpowiedział. Wciąż siedział z ponurą twarzą.

– Zastanawiam się nad jednym – odezwał się w końcu. – Jak, u diabła, cała ta historia miałaby się trzymać kupy, jeśliby Nolan nie był Hennanen? Nie rozumiem tego.

Van Veeteren postawił skoczka z powrotem na c6.

– W ogóle by się nie trzymała – rzekł. – Ale może oni myślą, że ja tak czy inaczej wiedziałem, czego chcę, kiedy go identyfikowałem. Że już wcześniej się zdecydowałem.

– Może – powiedział Bausen. – Niezależnie od wszystkiego teraz musimy uzbroić się w cierpliwość. Jak to dobrze, że nie jesteśmy już tacy młodzi i w gorącej wodzie kąpani.

Van Veeteren westchnął.

– Czyj ruch? – spytał. – Coś mi się wydaje, że chyba twój.

– Zgadza się – potwierdził Bausen i przesunął pionek.

Obudził się za piętnaście szósta. Przez kolejne pół godziny próbował znowu zasnąć, lecz na próżno.

Wstał i po omacku poszedł do kuchni. Za oknem wisiał szary świt; szyba była mokra, ale deszcz już nie padał. Nie ulegało jednak wątpliwości, że niedługo znowu zacznie.

Znalazł kawę i włączył czajnik. Czekając, wypił szklankę soku. Zastanowił się, czy nie wyjść przed dom i nie przynieść porannej gazety, tylko nie wiadomo, czy już jest, więc dał sobie spokój.

Cztery godziny, podsumował, zalewając kawę wodą. Cztery godziny snu w kościach. To, u licha, zdecydowanie za mało; w moim wieku wystarczyłoby być cztery godziny dziennie na chodzie, a resztę czasu spać.

Kiedy wyszedł na dwór, zauważył, że jednak zaczyna się przejaśniać, wobec tego zrezygnował z samochodu. Senne nadmorskie miasto zdawało się jeszcze pogrążone w głębokim śnie w sobotni poranek. Nic dziwnego, pomyślał, było dopiero dwadzieścia po siódmej.

Ruszył Hoistraat, a potem zszedł schodami w kierunku Targu Rybnego i portu, nie do końca się orientując, dokąd idzie, lecz kiedy zobaczył falochrony i marinę, już wiedział. Oczywiście.

Znalazłszy się na Esplanade, sprawdził godziny otwarcia Winderhuus. „Sobota–niedziela godz. 10–15” – widniało na tabliczce na drzwiach. Skinął głową i ruszył dalej do miejskiego lasku.

Wijąca się ścieżka spacerowa i rowerowa wyglądała dokładnie tak, jak ją pamiętał. Uzmysłował sobie, że właściwie bardzo dużo rzeczy wygląda nadal tak jak dawniej. Złożył dłonie w muszlę i zapalił pierwszego tego dnia papierosa. Może to ma coś wspólnego z wiekiem, że niekiedy przeszłość wydaje się wyraźniejsza i bardziej obecna niż terażniejszość?

Nonsens, uznał. Jestem w pełni świadom tego, co się dzieje. Tu i teraz. Ale odrobina historycznego spojrzenia nie zaszkodzi.

Po dwudziestu minutach znalazł się na Wackerstraat. Mijając dom Nolanów,

odnotował, że na podjeździe stoi nieduży samochód w srebrnym kolorze. Chyba azjatycki... hyundai albo jak one się tam nazywają?

Założył, że jest to auto żony; z całą pewnością mają dwa i z całą pewnością to Christopher Nolan używa zdecydowanie bardziej prestiżowego rovera.

Van Veeteren zwolnił kroku, niemal przystanął. Za ogrodzeniem nie dawało się zauważyć niemal żadnych oznak życia, prawdopodobnie podejrzana para handlarzy sztuką nie była jeszcze na nogach. Dochodziła dopiero ósma, galerię otwierano o dziesiątej, zatem pozostało sporo czasu.

Dlaczego nazywam go Nolanem, skoro wiem, że nazywa się Hennan? – pomyślał z irytacją i zatrzymał się na najbliższym skrzyżowaniu ulic.

I dlaczego oni nie polegają na moim zdaniu? Nagle poczuł, jak wzbiera w nim wściekłość.

Odpowiedź z Anglii przyjdzie najwcześniej dziś wieczorem! A prawdopodobnie dopiero jutro.

A jaka mogła być ta odpowiedź? Raczej nietrudno było to przewidzieć. Jeżeli Hennan postarał się o nowe nazwisko, niewątpliwie wykazał się dużą starannością. To był w stanie pojąć nawet stary księgarz odbywający poranny spacer. Należało się spodziewać, że w Bristolu istnieje – bądź istniał – niejaki Nolan odpowiadający opisowi, jaki zaserwowano Münsterowi i Moerk. Przecież Hennan nie jest w końcu głupi. A niech to szlag.

Czym wobec tego zamierzał zajmować się dzisiaj zespół dochodzeniowy? Leżeć w łóżku i spędzić całą sobotę na spekulacjach?

Stał wciąż na rogu ulicy i skręcał sobie dwa nowe papierosy. Nagle w jego wyobraźni zaczęły zarysowywać się kontury planu działania. W chwili gdy minęli go ubrani na czerwono dwaj biegacze zmierzający ku laskowi, wiedział już, co ma zrobić.

Wbrew pozorom nie było to wcale skomplikowane. Spojrzawszy na zegarek, ruszył z powrotem spacerem do dżungli Bausena.

Jego gospodarz już wstał i przystąpił do ćwiczeń jogi. Van Veeteren oświadczył, że ma pewną sprawę do załatwienia przed południem, ale zdąży wrócić na obiad. Następnie, ignorując pytania Bausena, zabrał to, co mu było potrzebne, wypił jeszcze

jedną kawę, wsiadł do samochodu i pojechał.

Dwadzieścia minut po dziewiątej był znowu w dzielnicy Rikken. Zaparkował po drugiej stronie Wackerstraat, po przekątnej do numeru czternaście. Srebrny japończyk stał wciąż przed domem, w kuchni paliło się światło; poza tym wszystko wyglądało bez zmian. Van Veeteren włożył czapkę z daszkiem na głowę, a na nos przeciwsłoneczne okulary. Wyjął „de Journaal”, opuścił oparcie fotela, tak by mógł wygodnie na wznak leżeć, i nastawił się na czekanie.

Minęło dobre pół godziny. W tym czasie jego dosyć zapuszczonego opla minęło parę osób, ale, jak się zdawało, nikt nie zwracał na niego specjalnej uwagi. Ani się nie zastanawiał, dlaczego tutaj stoi. Van Veeteren właśnie skończył słuchać drugą część drugiej symfonii Mahlera, kiedy Elizabeth Nolan wyszła z domu i ruszyła pospiesznym krokiem w stronę samochodu na podjeździe.

Włączyła silnik, wyjechała tyłem na ulicę i po niecałej minucie zniknęła.

Nic dziwnego, pomyślał Van Veeteren. Galeria powinna być otwarta już za pięć minut. A jeśli nawet przed drzwiami nie stoją tłumy zniecierpliwionych czekających, nie można jednak wykluczyć, że ten i ów zainteresowany kulturą mieszkaniec Kaalbringen ma wolną sobotę i zechce zobaczyć wystawę, nie można go więc zlekceważyć.

Odczekał chwilę. Następnie poprawił sobie nakrycie głowy i okulary, po czym wysiadł z samochodu.

Christopher Nolan otworzył dopiero po trzecim dzwonku. Był owinięty w ręcznik kąpielowy, a na nogach miał kapcie. Kapała z niego woda.

– Właśnie brałem prysznic – rzucił. – O co chodzi?

– Przepraszam – powiedział Van Veeteren i podał mu kartkę. – Szukam tego adresu, ale chyba się zgubiłem. Czy mógłby mi pan pomóc?

Nolan wytarł dłonie o ręcznik, wziął kartkę do ręki i próbował przeczytać. Na komódce tuż obok znalazł okulary i spróbował jeszcze raz.

– Signerstraat? To ma być tu, w Rikken?

– Tak mi powiedziano.

Nolan zdjął okulary z nosa i zmarszczył czoło.

– Nigdy nie słyszałem o takiej ulicy. Niestety, obawiam się, że musi pan spytać

kogo innego. Ale wątpię, czy to w ogóle jest w tej okolicy.

Van Veeteren pokiwał głową zmartwiony i sięgnął po kartkę.

– Przykro mi, że wyciągnąłem pana spod prysznic.

– Nie szkodzi – zapewnił Nolan.

Popatrzył przez sekundę na Van Veeterena, po czym zamknął drzwi.

Kiedy wszedł do komendy, na miejscu byli deKlerk i Stiller.

– Słyszałem o waszych wątpliwościach – zaczął.

– Wątpliwościach? – powtórzył deKlerk. – Nie wiem, czy to właściwe określenie...

– Jak zwał, tak zwał. Tak czy inaczej, odnoszę wrażenie, że wątpicie w moje zdolności duchowe. A ja nie.

– Nie sądzę... – wtrącił Stiller.

– Czekamy na odpowiedź z Anglii – wyjaśnił deKlerk. – Musimy mieć pewność, zanim poweźmiemy następne kroki.

Zrobił niewyraźny gest, który miał prawdopodobnie oznaczać, że Van Veeteren może usiąść, jeśli ma ochotę.

Ale nie miał.

– Wiem – powiedział. – Myślę jednak, że lepiej rozstrzygnąć tę kwestię trochę szybciej. Proszę, tu są jego odciski palców.

Wyjął z kieszeni małą foliową torebkę z kartką w środku.

– Odciski pal... naprawdę? – spytał deKlerk.

– Jego odciski palców są w bazie w Maardam – kontynuował Van Veeteren. – Pomyślałem sobie, że zostawię je wam, żebyście się nimi zajęli. Przy dzisiejszej technice nie powinno to zająć więcej niż parę godzin. Chyba macie tu komputer?

Mógłby przysiąc, że deKlerk się zaczerwienił.

A dobrze mu tak, pomyślał.

– Naturalnie – odpowiedział aspirant Stiller. – Oczywiście, zaraz się tym zajmiemy. Ale jak się panu...?

– Nieważne – przerwał mu Van Veeteren. – Tylko nie wyrzucajcie tej kartki. Proponuję, żebyście odezwali się do Bausena, jak już dostaniecie potwierdzenie.

– Tak... tak jest – wyjąkał deKlerk. – Nie zechciałby się pan na...?

– Nie, dziękuję.

W drzwiach przyszło mu coś jeszcze do głowy. Odwrócił się i wbił wzrok w komendanta.

– Jeśli to się potwierdzi – powiedział – jeśli odciski palców Nolana i Hennana będą zgodne, sugerowałbym wdrożenie nadzoru. Byłoby irytujące, gdyby ptaszek wyfrunął akurat teraz, kiedy mamy taką silną obsadę.

DeKlerk potaknął. Stiller potaknął.

Van Veeteren odwrócił się na pięcie i opuścił komisariat.

Pora na małą drzemkę, pomyślał, przecinając rynek. Najwyższa pora.

A jeżeli się myłę, przemknęło mu przez głowę, moja noga już nigdy nie postanie w tej dziurze.

Kiedy jednak znalazł się znowu za kierownicą i ruszył w stronę domu Bausena, nie to niepokoiło go najbardziej. Tylko coś zupełnie innego.

Ostatni kontakt wzrokowy z Christopherem Nolanem.

Ta sekunda, kiedy spojrzeli na siebie nawzajem.

To trwało za długo.

Gdy zadzwonił inspektor Mulder z laboratorium kryminalistycznego w Maardam, wszyscy pięcioro siedzieli w salce konferencyjnej.

DeKlerk i Stiller znajdowali się na miejscu od rana, Münster i Rooth od jedenastej, a inspektor Moerk pojawiła się kilka minut przed południem. Teraz było dziesięć po dwunastej. Rooth podniósł słuchawkę i podał ją komendantowi, który w uderzająco szybkim tempie powiedział pięć razy „tak”, dwa razy „rozumiem” i raz „wobec tego dziękuję”.

Potem rozłączył się i kilkakrotnie zwilżył sobie wargi końcem języka.

– Zgodność w jedenastu punktach – oświadczył. – Sprawa jest całkowicie jasna. Nolan to Jaan G. Hennan.

– Jasny gwint – powiedział inspektor Rooth. – Czyli nie jedziemy dziś do domu.

Na kilka sekund zaległa cisza. Münster próbował wymienić spojrzenie z Beate Moerk, ale nie udało mu się. Stiller ścisnął zębami końcówkę długopisu, a komendant wyglądał na nieobecnego – pocierał sobie na zmianę raz prawe, raz lewe ucho.

– Co robimy? – spytał, kiedy skończył.

– To, co on powiedział – odezwała się Beate Moerk.

– Kto?

– No Van Veeteren, oczywiście. Pilnujemy Nolana. To jest minimum, które możemy zrobić.

Münster wstał z krzesła.

– Pojadę i porozmawiam z nimi dwoma – zaproponował. – Mam wrażenie, że bez nich sobie nie poradzimy. Jak uważacie?

– W porządku – rzekł deKlerk. – Chyba masz rację. Moim zdaniem przydałyby się też małe przeprosiny.

– Jakoś to załatwię – obiecał Münster. – Ale muszę powiedzieć, że mam wątpliwości co do tego ryzyka ucieczki.

– To znaczy? – zainteresował się Rooth.

– Hennan na razie nie ma pojęcia, że wiemy, kim jest... ale gdy tylko cokolwiek

wyczuje, wtedy rzeczywiście może wziąć nogi za pas.

– Ale dlaczego? – spytała Beate Moerk. – Dlaczego miałby uciec? Przecież nie mamy nic, o co moglibyśmy go oskarżyć... no, może poza występowaniem pod fałszywym nazwiskiem.

– To prawda, zero – zgodził się Rooth. – Nie mamy nic na niego. Oprócz tego, że wyobrażamy sobie, że zamordował troje ludzi. A jeżeli będziemy sterczeć samochodem przed jego domem, wcześniej czy później coś się wydarzy. Mówiąc szczerze, mam już dość tej martwoty.

– Chcesz powiedzieć, że powinniśmy go sprowokować, żeby zrobił jakiś ruch? – spytał deKlerk.

– Może nie od razu sprowokować – burknął Rooth ze złością. – Nie wiem, do cholery. Ale skoro już Van Veeteren podaje nam potrójnego mordercę jak na tacy, to byłoby trochę kiepsko, gdybyśmy pozwolili mu się wymknąć. Takie przynajmniej jest moje zdanie. Zgłaszam się na ochotnika na pierwszą zmianę.

Powiódł wzrokiem po pozostałych.

– Okej – powiedziała Beate Moerk. – Idę z tobą. A jak duże jest waszym zdaniem ryzyko, że użyje siły, kiedy odkryje, że tam siedzimy i go śledzimy?

– To bardzo pokojowo nastawiony gość – rzekł Rooth. – Pomijając drobną skłonność do zabijania od czasu do czasu ludzi. Radzę ci wziąć broń. Może przy okazji ją sobie wyczyścisz, przynajmniej nie będziesz się nudzić... Ja zamierzam rozwiązywać krzyżówki i opilać paznokcie.

Rooth przymierzał się już do wyjścia, lecz deKlerk poprosił go, aby na chwilę został.

– Jeszcze tylko jedno pytanie – powiedział. – Czy nikt z was nie wpadł na nic w sprawie naszej zagwozдки?

– Jakiej zagwozдки? – zdziwiła się Beate Moerk.

– No, co to mogło być, co odkrył Verlangen... Dowód w tamtej dawnej sprawie? Nikomu nie przyszedł żaden pomysł do głowy?

Nikomu. Również tego dnia.

Kiedy zjawił się Münster, Bausen i Van Veeteren siedzieli na tarasie i jedli zupę cebulową z grzankami.

– Witamy w dżungli, inspektorze – powiedział Bausen. – Zjesz z nami?

Münster chętnie się zgodził, na co Bausen ruszył do kuchni i po chwili wrócił z dodatkowym talerzem, kieliszkiem i łyżką. Nalał mu porcję z garnka, który stał na stole, po czym skinął na gościa.

– Pijemy białe wytrawne – poinformował. – Może kieliszek?

Nalał mu, nie czekając na odpowiedź.

– Dziękuję – rzekł Münster. – No więc tak. Dostaliśmy wiadomość od Muldera.

– Hm? – bąknął Bausen.

– Zgadza się. Nolan to Hennan.

Van Veeteren był do tej pory intensywnie pochłonięty jedzeniem zupy, lecz w tym momencie odłożył łyżkę i starannie wytarł sobie usta serwetką.

– My to wiemy – rzekł. – Myślałem, że przychodzisz z jakąś nowiną.

Bausen uśmiechnął się i powiódł spojrzeniem od jednego do drugiego.

– Bardzo przepraszam – powiedział Münster. – W każdym razie teraz mamy stuprocentową pewność. Rooth i inspektor Moerk siedzą przed jego domem. Pytanie tylko, co my, do licha, mamy teraz zrobić?

– To jeszcze tego nie ustaliliście? – zdziwił się Van Veeteren i wypił łyk wina.

– Nie – przyznał Münster. – Chociaż ja osobiście zaczynam skłaniać się ku temu, żeby go aresztować. Czekanie na to, żeby w jakiś sposób się zdradził... albo że coś zyskamy, trzymając się z boku... szczerze mówiąc, wątpię.

Bausen odchrząknął.

– Ale jak zaczniecie go pilnować, to przecież się zorientuje, że depczecie mu po piętach, tak czy nie? – spytał. – Czy też Moerk i Rooth zamierzają być dyskretni?

Münster zawahał się.

– Tak naprawdę nie wiem – powiedział. – Nie przedyskutowaliśmy tego tak gruntownie. Choć nie sądzę, żeby Rooth miał ochotę zbyt długo zachowywać się dyskretnie... w żadnym wypadku, to nie w jego stylu.

Van Veeteren obracał w zamyśleniu swój kieliszek.

– No dobrze – odezwał się w końcu. – Sytuacja nie jest prosta. Chcecie dobrej rady?

Münster potaknął posłusznie.

– Śledźcie go tak, żeby to zauważył – powiedział Van Veeteren. – Rozdrażnijcie go. Capnijcie go albo dziś późnym wieczorem, albo jutro rano. A jeśli nadal będziecie zainteresowani moimi usługami, jestem gotowy przesłuchiwać go ciurkiem przez czterdzieści osiem godzin.

Bausen uniósł jedną brew.

Münster dwie.

– Dobrze – potaknął. – Przekażę to deKlerkowi.

Chciał się już podnieść, lecz Bausen zatrzymał go na krześle.

– Najpierw zjedz – rzucił. – A to, co trzymasz w ręku, to jest wykwintne chardonnay. Takiego wina nie pije się na stojąco.

– Przepraszam – powtórzył inspektor Münster.

Beate Moerk pierwszy raz była sama z inspektorem Roothem i nawet gdyby nie zdarzyło się to, co się zdarzyło pod koniec czterech wspólnie spędzonych godzin, to i tak zachowałyby go w pamięci na długo.

Przynajmniej tak sądziła, kiedy tam razem siedzieli.

– Jesteś mężatką, tak? – spytał Rooth, zanim zdążyli wsiąść do samochodu. – Münster coś wspominał.

– Zgadza się – potwierdziła Beate Noerk. – A ty? Masz żonę?

– Singiel – powiedział Rooth. – Jak jabłoń w tajdze. Pewnie masz też dzieci?

– Dwoje.

– I nie zamierzasz się rozwieść?

– Nie.

– No cóż – westchnął Rooth. – Niełatwo jest być samemu.

Beate Moerk zastanowiła się.

– Chyba mówiłeś, że będziesz rozwiązywać krzyżówki i obcinać sobie paznokcie. Kiedy zamierzasz zacząć?

– Piłować, nie obcinać – poprawił ją Rooth. – Pomyślałem sobie jednak, że może zamiast tego moglibyśmy trochę pofilozofować i poplanować. Przynajmniej na początku. Co ty na to?

– Może być – zgodziła się Beate Moerk. – Ale teraz może wreszcie ruszysz, bo Hennan nam zwieje, zanim dotrzemy na miejsce.

Rooth spojrział na nią ze smutną miną i przekręcił kluczyk.

– Może przegadalibyśmy trochę sprawę? – zaproponowała, kiedy zaparkowali już naprzeciwko domu Nolanów przy Wackerstraat. – Swoją drogą, czy rzeczywiście jest sens, żebyśmy tu stali?

Rooth wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem. A ty jak uważasz?

– Jeżeli chcemy, żeby nas zauważył, to jest to idealne miejsce – stwierdziła Moerk, spoglądając na dom. – Jeśli dwoje ludzi spędza całe popołudnie, siedząc w samochodzie w takiej willowej dzielnicy jak ta, to...

– ...albo są glinami, albo parą zakochanych – dokończył Rooth. – Może byłoby najlepiej, żebyśmy grali zakochanych, wtedy się nie zdemaskujemy?

– O tak, pocałuj mnie – powiedziała.

– Właśnie to miałem na myśli – odparł.

Popatrzyła na niego, zastanawiając się, czy nie powinna go spoliczkować, zapanowała jednak nad nagłym impulsem.

– Daj już spokój z tymi seksistowskimi bredniami – rzuciła. – Tylko się ośmieszasz.

– Stokrotnie cię przepraszam – rzekł. – To moje dawne życie kurtyzany płata mi takie figle. Zawsze się tak dzieje, kiedy jestem w pobliżu ładnej kobiety. Wobec tego może jednak powinniśmy usunąć się z linii strzału i stanąć kawałek dalej?

Przekręcił kluczyk i cofnął samochód o dziesięć metrów. Z nowego miejsca oni nadal mieli dobry widok na dom, Nolan natomiast nie mógł ich zauważyć, dopóki nie wyjdzie na zewnątrz. Rooth wyłączył silnik. Moerk spojrzała na zegarek. Było dwadzieścia po drugiej.

– Zagwozdka – powiedział Rooth. – To jest po prostu zupełnie niepojęte. Ale jeśli razem wysilimy nasze mądre głowy, może rozwiążemy ten problem?

Beate Moerk zastanowiła się szybko, czy w określeniu „wysilimy razem nasze mądre głowy” kryje się jakaś aluzja do płci, kiedy jednak zobaczyła jego szczerze niebieskie oczy, uznała, że tym razem się powstrzymał.

– No dobrze – przystała. – Ty zaczynaj!

– Verlangen pił – stwierdził Rooth.

– Zgadza się.
– Podobno nie był zbyt bystry.
– Podobno.
– Mimo to twierdzi, że znalazł coś istotnego dla sprawy dawnego morderstwa w Linden.

– Tak.

– Jak to, u diabła, możliwe? Co on mógł mieć na myśli?

Beate Moerk popadła w zadumę.

– Musiał natknąć się na G i go rozpoznać – powiedziała. – A przynajmniej od tego musiało się zacząć.

– Niewykluczone – zgodził się Rooth.

– Gdzie? Gdzie się na niego natknął?

– Dobre pytanie. Najprawdopodobniej w Maardam. Widocznie G przyjechał tam w jakiejś sprawie.

– W kwietniu tego roku?

– Albo trochę wcześniej.

– Hm. I Verlangen widzi go przypadkiem... to jeszcze nie wystarcza.

– Co nie wystarcza? – spytał Rooth, ustawiając lusterko wsteczne tak, żeby mogli mieć ze sobą kontakt wzrokowy, nie musząc wykręcać szyi.

– Musiało być jeszcze coś więcej. W końcu Verlangen nie miał powodu, żeby zacząć śledzić Hennana tylko dlatego, że zobaczył go po piętnastu latach. Chyba że był kompletnym psycholem...

– To prawda – przyznał Rooth. – Chociaż z drugiej strony to, co najważniejsze, odkrył chyba dopiero tutaj, w Kaalbringen. Tak?

– Nie wiem. Myślisz, że z nim rozmawiał?

– Gdzie? W Maardam?

– I tam, i tutaj... Tutaj w każdym razie raczej musiał?

– Wyobrażam sobie, że gadał z nim też w Maardam – dodał Rooth. – I Hennan mógł powiedzieć coś, co... no tak, co go zdradziło. Albo co przynajmniej Verlangena zdziwiło.

Beate Moerk siedziała w milczeniu i myślała.

– Co to mogło być? – spytała. – Może nazwisko współsprawcy? Bo w tamtym zabójstwie Hennan miał przecież pomocnika?

– O ile dobrze zrozumiałem, tak – westchnął Rooth. – Ale wciąż wracamy do tego samego starego pytania: dlaczego, do stu piorunów, Hennan miałby być taki głupi i wygadać się przed kimś takim jak Verlangen? Nie, moim zdaniem w tym rozumowaniu jest jakiś błąd, cały czas tak uważałem.

– No to wymyśl coś, co bardziej trzyma się kupy – poprosiła Moerk.

– Nie potrafię – przyznał Rooth. – Właśnie przyszło mi coś innego do głowy. Skąd wiadomo, że on jest w domu?

– Kto?

– Nolan-Hennan. Może my tu siedzimy i pilnujemy pustego domu.

Beate Moerk znowu się zamyśliła.

– To byłoby idiotyczne – powiedziała. – Co robimy?

– Wiem – odparł Rooth, wyjmując telefon komórkowy. – Zadzwonimy i sprawdzimy, czy odbierze.

– Genialne.

– Geniusz był od zawsze moją gwiazdą przewodnią – zdradził inspektor Rooth i wybrał numer.

Po trzech sygnałach odezwał się głos Christophera Nolana. Rooth od razu się rozłączył.

– Okej. Jest w domu – stwierdził. – Teraz przynajmniej wiemy.

– Mógłby nam czmychnąć od tyłu – zwróciła uwagę Moerk. – Prosto do lasu.

Rooth zastanowił się przez chwilę.

– Nie zrobi tego – uznał. – Przecież nie wie, że mamy go na oku. Ale jeśli chcesz przemknąć niepostrzeżenie na tył działki i zacząć się tam w zaroślach – proszę bardzo, nie krępuj się. Tyle że stracisz wtedy moje towarzystwo.

Beate Moerk nie zdążyła ocenić wad i zalet takiego rozwiązania, ponieważ w tym samym momencie minął ich srebrny hyundai i wjechał na podjazd przed willą. Z samochodu wysiadła pani Nolan, wzięła czarną teczkę z tylnego siedzenia i weszła do domu. Rooth spojrzał na zegarek.

– Piętnasta jedenaście – stwierdził. – Elizabeth Nolan wraca do domu po dniu

pracy w galerii. Musisz jednak przyznać, że bycie policjantką to niezwykle ekscytujące zajęcie, prawda, pani inspektor?

– Bez wątpienia – zgodziła się Beate Moerk.

Minęła dokładnie jedna godzina i dwie minuty, gdy nastąpiło kolejne zdarzenie mające związek z domem Nolanów przy Wackerstraat – i to o co najmniej równym ładunku dramatycznym jak poprzednie.

Pani Nolan wyszła z drzwi. Pomachała na pożegnanie mężowi stojącemu widocznie w przedpokoju, podeszła do samochodu, wsiadła i odjechała w kierunku centrum Kaalbringen.

– Aha? – odezwał się Rooth, który z braku stymulacji w ciągu ostatniej półgodziny był już bliski zaśnięcia.

– Hm – powiedziała Moerk.

Zauważyła, że nie jest już w stanie szukać w głowie odpowiednich słów.

– Czyli pojechała znowu – rozwinął swoją myśl Rooth i ziewnął. – Wiesz, co mi się właśnie przypomniało?

– Nie – odrzekła Moerk. – Co ci się właśnie przypomniało?

– Czy jak jechaliśmy tutaj, nie mijaliśmy po drodze kiosku? Przy samych torach kolejowych... Chyba zrobię sobie mały spacer i pójde kupić gazetę i coś na ząb. A ty zadzwoń może w tym czasie do sztabu i poproś o dalsze instrukcje?

Moerk poprawiła się na fotelu i skinęła głową.

– I spytaj też, czy mają coś na odleżyny.

Wyszedł z samochodu i zaczął iść w dół Wackerstraat. Beate Moerk odczekała, aż zniknął jej z pola widzenia, a następnie wybrała numer komendy.

Odebrał aspirant Stiller.

– Jak wam idzie? – spytał.

– Jak nam idzie? – powtórzyła Beate Moerk. – Nic się nie dzieje. Przepraszam, pani Nolan ponownie opuściła willę. Mamy niepotwierdzoną jeszcze hipotezę, że udała się na zakupy.

– Interesujące – rzekł Stiller. – Nudzicie się?

– Już na pogrzebie jest więcej atrakcji. Mówiliście może o tym, kiedy nas ktoś zmieni?

– Chwileczkę – rzucił Stiller i zasłonił słuchawkę ręką.

Próbowała cokolwiek dosłyszeć, lecz nie zdołała zrozumieć, co mówili.

– Halo – Stiller wrócił po piętnastu sekundach. – Musicie jeszcze wytrzymać niecałe dwie godziny. Ja i Münster przyjedziemy o szóstej.

– Macie kontakt z Van Veeterenem i Bausenem? – spytała.

– Tak. Oni też uważają, że powinniśmy poczekać do wieczora.

Beate Moerk westchnęła.

– No to wszystko ustalone.

Rozłączyła się i spojrzała na wille.

Nic się w niej nie zmieniło.

Kiedy Beate Moerk później – dużo później – myślała o tym, co stało się między za dziesięć minut szósta a za pięć minut szósta, zawsze najpierw przychodził jej do głowy – z niewiadomego powodu – incydent z siatką na zakupy.

Elizabeth Nolan właśnie zaparkowała na swoim miejscu na podjeździe; Rooth, patrząc na nią, stwierdził, że również Kaalbringen zostało uszczęśliwione supermarketem sieci Merckx – rozpoznał znajome logo na foliowych torbach wypakowywanych właśnie z tylnego siedzenia samochodu i ustawianych na skraju wypielęgnowanego trawnika – Beate Moerk natomiast spojrzała na swój zegarek i odnotowała, że jest za dziesięć szósta.

Elizabeth Nolan zatrzasnęła drzwi auta, chwyciła w każdą rękę po jednej wyładowanej po brzegi torbie, a kiedy je uniosła, w jednej z nich urwała się rączka.

Góra artykułów spożywczych wysypała się na trawę; Moerk i Rooth mogli się domyślić – bo nie usłyszeć – jak kobieta przeklina cholerną siatkę. Przez chwilę się zawahała, a potem zaniósła drugą, nieuszkodzoną torbę do domu i po pół minucie wróciła z brązowym kartonem.

Podczas gdy ona zbierała do kartonu rozsypane rzeczy, Moerk zdziwiła się lekko zirytowana, dlaczego, do jasnej anielenki, jej mąż nie wyszedł jej pomóc.

Typowy męski szowinista, pomyślała jeszcze. Pewnie siedzi przed telewizorem i gapi się na mecz!

Było to całkowicie niesłuszne przypuszczenie, o czym wkrótce miała się przekonać.

Pani Nolan zniknęła ponownie w domu z wyładowanym kartonem w rękach. Nie bez trudu zamknęła za sobą drzwi.

Rooth spojrzął na Moerk. Moerk spojrzała na Rootha, który ziewnął i zerknął na zegarek.

– Sześć minut do zmiany – poinformował. – Naprawdę nie masz ochoty wybrać się coś przekąsić po robocie?

Beate Moerk podziękowała po raz piąty. W tym momencie znowu otworzyły się drzwi willi Nolanów. Wypadła z nich Elizabeth Nolan.

Prosto na trawnik, z dłońmi przyciśniętymi do skroni i odstawionymi na bok łokciami. Po kilku krokach nagle się zatrzymała. Przez chwilę stała, chwiejąc się. Następnie osunęła się na prawą stronę i przeturlała na brzuch.

Moerk i Rooth dopadli do niej jednocześnie. Odwrócili ją na plecy; kobieta pojękiwała cicho, oczy i usta miała na wpół otwarte, wydawała się bliska utraty przytomności.

Rooth chwycił ją za brodę i lekko potrząsnął.

– Co się dzieje? – spytała Beate Moerk. – Co się stało?

Elizabeth Nolan ocknęła się. Popatrzyła na nich zdziwiona, a następnie wskazała ręką na willę, nieznacznie poruszając ustami.

– Co pani mówi? – spytał Rooth.

Przymknęła powieki i zaczerpnęła głęboko powietrza. Po chwili otworzyła je znowu.

– Łazienka – szepnęła niemal niesłyszalnie. – On leży w wannie.

Rooth wbił w nią wzrok, a potem spojrzął na Beatę Moerk.

Oboje bez słowa puścili się pędem do wejścia.

Znaleźli łazienkę od razu. Znajdowała się na końcu korytarza w kształcie litery L, drzwi do niej były otwarte.

W wannie, wypełnionej po brzegi wodą, leżał Christopher Nolan. Jego głowa spoczywała na jej brzegu, a woda była tak czerwona, że Beate Moerk przez ułamek sekundy równy błyskawicy pomyślała, że jest nawet ładna.

– A niech to szlag! – wykrzyknął inspektor Rooth. – Niech to jasny szlag!

– Co tu się dzieje? – od drzwi wejściowych dobiegł czyjś głos.

To Münster. Beate Moerk szybko wycofała się tyłem z łazienki, odwróciła się i spotkała go w załamaniu korytarza.

– Co się stało? – powtórzył Münster. – Właśnie przyjechaliśmy was zmienić. – Pani Nolan chyba jest w szoku, a...

– Żadna zmiana nie jest już potrzebna – oznajmiła Beate Moerk. – Hennis odebrał sobie życie. Jest w łazience.

Przecisnęła się obok Münstera. Wyszła przed dom, gdzie aspirant Stiller przykucnął obok Elizabeth Nolan, która leżała wyciągnięta na trawniku.

Gdy nagle w oczy inspektor Moerk zaświeciły promienie zachodzącego słońca, poczuła, że tęskni za swoimi dziećmi. Niemal do bólu.

Po otrzymaniu informacji o śmierci Jaana G. Hennana w ciągu trzech kolejnych godzin Van Veeteren wypowiedział co najwyżej dwadzieścia słów i w szczytowym momencie tego załamania Bausen zastanawiał się już, czy nie wezwać lekarza.

Ograniczył się jednak do tego, że zszedł do piwnicy i przyniósł butelkę Château Peripolignac '79, jednak nawet tak znamienite lekarstwo niewiele pomogło.

Dopiero gdy dosyć późno, bo po dziesiątej wieczorem, wszyscy zebrali się w bladożółtej salce komendy, można było odnieść wrażenie, że *komisarz* jest już jako tako gotowy powrócić do rzeczywistości. Usiadł u szczytu stołu, zapalił papierosa i wbił wzrok w komendanta.

– Mów! – rozkazał. – Chcę znać każdy najmniejszy szczegół!

DeKlerk popatrzył na niego i na Bausena trochę niepewnie, zdjął marynarkę i najpierw sprawdził, czy filiżanki do kawy i kanapki zostały właściwie rozstawione. Następnie chrząknął i usiadł.

– Nie mogliśmy tego przewidzieć – zaczął. – Ale stało się. Christopher Nolan, alias Jaan G. Hennan, odebrał sobie życie dziś po południu, podcinając sobie żyły w wannie. Na obu rękach. Na wszelki wypadek zrobił sobie także kilka nacięć na szyi...

– W wannie było więcej krwi niż w ciele – uzupełnił Rooth, wbijając zęby w kanapkę. – Krótko mówiąc: Morze Czerwone.

– Właśnie rozmawialiśmy z obducentem z Oostwerdingen – kontynuował deKlerk niewzruszenie. – Twierdzi, że Hennan połknął też sporo tabletek nasennych... Na brzegu wanny stał pojemnik po nich.

– Czym się podciął? – spytał Bausen.

– Brzytwą. Też leżała na brzegu wanny.

– Czyli sprawnie i porządnie?

– Bardzo.

– Rozmawialiście z żoną?

DeKlerk pokręcił przecząco głową.

– Jeszcze nie – powiedział. – Nie jest w najlepszej formie.

– Nie? – rzucił Bausen.

– Jest w szoku – uzupełniła Beate Moerk. – Próbowaliśmy z nią rozmawiać, bo przecież razem z Roothem byliśmy na miejscu, ale nie dało się wyciągnąć z niej nic sensownego.

– Czas? – spytał Van Veeteren.

Rooth wytarł sobie usta i zerknął do kartki.

– Elizabeth Nolan wyjechała z domu o 16.13 – powiedział. – Żeby coś załatwić. Między innymi zrobiła zakupy w Merckx i wróciła o 17.50. Weszła do domu i go znalazła.

– Z grubsza biorąc, dwie godziny – obliczył deKlerk. – Czyli on miał dość czasu... Według ekspertyzy, mógł nie żyć mniej więcej od kwadransa.

– Po co wziął tabletki nasenne? – zdziwił się Stiller.

– Żeby ułatwić cały proces. Tak należy przypuszczać – wyjaśnił deKlerk. – Albo żeby nie mieć świadomości tego wszystkiego. Środek, którego użył, nazywa się Softal, to jeden z tych nowszych, po których się nie umiera, niezależnie od tego, ile się łyknie... ale jeżeli wziął z pięć, to prawdopodobnie był już bardzo daleko, kiedy przekroczył granicę. Podręcznikowe podłużne nacięcia. Gorąca woda sprawia, że krew łatwiej wypływa...

– Seneka – bąknął Van Veeteren. – Stara, wypróbowana metoda. – Jakaś wiadomość? Coś zostawił?

– Nic – powiedział Rooth.

– Nic?

– Ani jednego słowa.

Rooth uniósł do góry ręce, usiłując jednocześnie nadać swojej twarzy wyraz żalu.

– A więc – podjął znowu deKlerk. – To spadło jak grom z jasnego nieba... Pani Nolan jest w szpitalu i śpi, ale jutro z samego rana musimy oczywiście z nią porozmawiać.

– Zupełnie nic nie udało wam się z niej wydobyć? – spytał Bausen z lekkim wyrzutem w głosie.

– Prawie nic – przyznała Beate Moerk. – Jechałam z nią samochodem do szpitala,

przez całą drogę była całkiem nieobecna. A on rzeczywiście nie zostawił ani jednego słowa, tak jak mówi Rooth... Pani Nolan zaś nie zauważyła nic niezwykłego, kiedy między trzecią a czwartą była w domu. Przynajmniej pokręciła przecząco głową, gdy ją o to spytałam. Zdaje się, że początkowo nie wiązała tego samobójstwa z naszą wcześniejszą rozmową w galerii... Dopiero gdy ją zostawiałam, spojrzała na mnie i spytała...

– O co? – zainteresował się Rooth. – O co cię spytała?

– Powiedziała: „Czyli to był on?”. Tak mi się przynajmniej wydaje. Mówiła bardzo słabym głosem.

– „Czyli to był on?” – powtórzył Münster. – Myślę, że mogłaś potwierdzić, że to... był on.

Beate Moerk pokiwała głową.

– Nic nie powiedziałam. Ale jutro musimy jej chyba sporo wyjaśnić.

– Owszem, trochę się tego nazbierało – rzekł Van Veeteren. – Niech to szlag!

Zgasił papierosa, nie wyjawiając jednak swojego toku myślenia.

– Mimo wszystko da się wyciągnąć z tego pewne wnioski – podsumował komendant. – Jak uważacie? Nolan... Hennan... musiał chyba zauważyć, że mamy go na muszce. Albo powiedziała mu coś żona, choć nie mamy na to dowodu, albo... sam nie wiem.

– Mogła wystarczyć jakaś drobna aluzja – zwróciła uwagę Beate Moerk. – Coś, co się jej całkiem niechcący wymknęło.

– Bardzo możliwe – uznał deKlerk. – Poza tym on sam mógł zauważyć was oboje w samochodzie przed domem. Tak czy inaczej, zdał sobie sprawę, że gra się skończyła, i postanowił się poddać.

Popatrzył po zebranych, szukając w ich twarzach potwierdzenia dla swojej hipotezy, lecz jedynie aspirant Stiller zdobył się na nieznaczne kiwnięcie głową.

– Oczywiście masz rację w tym, co mówisz – stwierdził po chwili milczenia Münster. – Tyle tylko że to jest takie zupełnie niepodobne do G. Poddanie się w takiej sytuacji. Kiedy nie mamy choćby grama dowodu przeciwko niemu i nie zdążyliśmy mu zadać ani jednego pytania. Trudno powstrzymać się od...

Bausen przerwał mu nagle.

– A może w grę wchodziło coś innego – rzucił. – Załóżmy, że od tamtej dawnej historii prowadził uczciwe życie, a tu nagle zostaje zakwestionowana jego nowa tożsamość, rozsypuje się cała nowa egzystencja... może jednak to było nawet dla niego za dużo? W końcu piętnaście lat to szmat czasu.

– W końcu to nic wesołego, kiedy trzeba przyznać się żonie, że jest się kimś innym – rzekł Rooth. – I że siedziało się za kratkami i jest się podejrzanym o popełnienie trzech morderstw.

– To właśnie miałem na myśli – przyznał Bausen. – Sytuacja nie do pozazdroszczenia. Ani razu nie dopięliśmy swego i nie wsadziliśmy go za kratki, za to udało się nam zniszczyć jego małżeństwo.

– Czyli innymi słowy bał się kajdanków – stwierdził Rooth w zamyśleniu. – Tyle przynajmniej możemy powiedzieć. Słabeusz.

Komendant przewracał swoje notatki.

– Jeśli chodzi o to... w jaki sposób nas odkrył – rzekł z ociąganiem – istnieją oczywiście różne teorie. Mimo wszystko dwukrotnie stał oko w oko z Van Veeterenem... Nie odniosłeś wrażenia, że on się domyślał, kim jesteś?

Van Veeteren splótł dłonie na karku i na kilka sekund przymknął oczy.

– Nie potrafię tego ocenić – rzekł w końcu. – Ale wiem jedno: ani razu w ciągu tylu lat przepracowanych w tym fachu nie widziałem tak żalostnego zejścia ze sceny. Naprawdę nigdy dotąd.

– A czego można się spodziewać po takim łachudrze jak G? – spytał Rooth. – W gruncie rzeczy to może nawet dla niego typowe?

Wyglądało na to, że już nikt nie ma nic więcej do powiedzenia, a ponieważ zbliżała się jedenasta, deKlerk zaproponował, aby w takim samym składzie zebrali się w celu dalszego omówienia sytuacji w niedzielę po południu.

– A co z Elizabeth Nolan? – spytała inspektor Moerk.

– Zajmę się nią – oznajmił deKlerk. – Jutro dostaniemy trochę więcej informacji po sekcji zwłok. I odpowiedź z Anglii. Mam nadzieję... choć to nie odgrywa już tak dużej roli. Musimy doprowadzić sprawę do końca jak się należy. Powiązać ze sobą luźne tropy. Zgadza się?

– Oczywiście – potwierdził Rooth. – Tyle że w poniedziałek my wracamy do

domu. Stęskniłem się za swoimi zwierzakami.

– Ty masz jakieś zwierzaki? – zdziwił się Münster. – Myślałem, że pozbyłeś się akwarium.

– Roztocza i koty na podłodze – wyjaśnił uprzejmie inspektor Rooth.

Gdy wyszli na rynek, niebo było usiane gwiazdami. Oświadczył Bausenowi, że musi się przejść. Bausen przez moment sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, w końcu jednak wzruszył ramionami i wsiadł do samochodu.

– Zobaczymy się przy śniadaniu – rzucił jeszcze, zanim zatrzaskał drzwiczki. – Albo obudź mnie, jeśli będziesz potrzebował dobrej rady.

– Dzięki – odparł Van Veeteren. – Tak czy inaczej, jutro jadę do domu.

– Możesz zostać, jak długo zechcesz.

– Wiem. Wygląda na to, że ta historia zmierza do końca. A teraz wracaj do siebie i śpij dobrze.

Bausen skinął głową i odjechał. Van Veeteren, stojąc w miejscu, patrzył przez chwilę za oddalającymi się tylnymi światłami samochodu, póki nie zniknęły przy mleczarni na Doomstraat. Nie mógł się zdecydować. Wreszcie ruszył w kierunku parku Leisnera i Niebieskiej Barki.

Jedno piwo dobrze mi zrobi, uznał.

Albo nawet dwa.

To paskudne, że nie mogę porozmawiać nawet z Bausenem.

W Niebieskiej Barce było sporo ludzi – przypomniał sobie, że to w końcu sobotni wieczór – mimo to udało mu się znaleźć wolny stolik w niewielkim przejściu między barem a restauracją.

Zamówił ciemne piwo i zapalił papierosa, zastanawiając się jednocześnie, ile zdążył wypalić od chwili, gdy dostali wiadomość o śmierci G. Chyba ponad dziesięć, obliczył w duchu. Niech to diabli. Jutro przestaję definitywnie.

Wciąż nie potrafił zapanować nad emocjami i myślami, które go opanowały.

Fakt trudny do zaakceptowania.

G nie żyje.

Położył się w wannie, podciął sobie żyły i zszedł z areny. Nie żyje!

To było jak... Nie wiedział, z czym to porównać.

Rywal, którego zabrakło?

Szachista, który nie podchodzi do szachownicy, mimo że partia trwa nadal? Tylko dlatego, że przestał mieć ochotę.

Kiepskie metafory, dobrze o tym wiedział, nie potrafił jednak znaleźć żadnej innej, żeby opisać to osobliwe wzburzenie, jakie odczuwał.

Ostatni rozdział w sprawie G? Taką ma mieć wersję?! Wszystkiego by się spodziewał, tylko nie tego.

Już lepiej by było, gdybym przynajmniej sam mógł go zabić, pomyślał gorzko i wypił łyk piwa. Wtedy chociaż miałbym w tym swój udział.

Ta myśl była oczywiście przerażająca; sporo mówiła o jego prawdziwych pobudkach, ale może mimo wszystko lepiej spojrzeć prawdzie w oczy.

Przyznanie się przed samym sobą do własnych motywów jest bolesne, lecz jeżeli chcesz pójść dalej, to jedyna droga! – powiedział, albo napisał, kiedyś Mahler. I miał rację. Oszukiwanie siebie jest prostsze, a za nierobienie tego nie ma nagrody.

Oprócz takiej, że nie poznaje się samego siebie.

Popił znowu piwa i głęboko zaciągnął się papierosem. Przez kilka sekund przyglądał się mężczyźnie, który siedział sam przy stoliku po przekątnej, pogrążony w głębokim śnie, z brodą opuszczoną na piersi.

Łaska, o którą należy błagać? – pomyślał gorzko Van Veeteren.

I ta pustka! Jaan G. Hennan pozostawił po sobie pustkę. To też było niesamowite. Oczywiście można kogoś nienawidzić nawet po jego śmierci, ale to dość bezsensowne.

G uchylił się od kary. No bo czy tak nie jest? Tak, właśnie w tym leży problem. W ostatnim momencie – choć przegrał grę – sam zdecydował o swoim losie. Zamiast pozwolić na zemstę temu, komu ona się prawnie należała.

Mianowicie komisarzowi Van Veeterenowi.

A niech to szlag, pomyślał. Gdybym był wierzący, mógłbym przynajmniej próbować sobie wmówić, że zemsta należy do Pana Boga.

Wypił piwo do końca i zamówił jeszcze jedno. Nie wiem nawet, jak została zamordowana Barbara Hennan, przemknęło mu przez myśl. Zastanowił się nad tym przez chwilę. Może to właśnie jest najgorsze? Najtrudniejsze do zaakceptowania. Ten

beźmiar szyderstwa. Bo G w pewnym sensie się przyznał, tylko nie powiedział, jak tego dokonał. Zaśmiał się szatańsko i umarł.

Zaśmiał się szatańsko i umarł? To brzmi prawie jak tytuł książki.

Jak wynikało z faktów, wiedzę o tym miały tylko dwie osoby: Hennan i Verlangen. Obaj nie żyją. Gra się skończyła, a oni zabrali tę wiedzę ze sobą do grobu. Nikt nigdy się nie dowie, co tak naprawdę się stało tej ładnej Amerykance tamtego wieczoru w Linden piętnaście lat temu. Było, minęło.

A może jednak nie? Może jest ktoś jeszcze? Prawdziwy sprawca? Pomocnik?

Diabli wiedzą, pomyślał Van Veeteren i zaczął się zastanawiać, co, do cholery, mają powiedzieć Elizabeth Nolan, kiedy obudzi się na szpitalnym łóżku.

Prawdę?

Istniało kilka uzasadnionych powodów, by ją przed nią ukryć. A przynajmniej jej część. Lepiej trochę poszachrować; z prawdą bywa tak, że nie zawsze jest równoznaczna z humanitaryzmem.

No cóż, podsumował, w każdym razie to już nie jest mój problem. Przynajmniej tyle.

Wypił do końca także drugie piwo i zapalił jeszcze jednego papierosa. Kiedy popatrzył przez chwilę na śpiącego mężczyznę, poczuł, że on sam też zaczyna się robić tak otepiały, że prawdopodobnie uda mu się mimo wszystko przespać kilka godzin.

I z tą pobożną nadzieją z tyłu głowy opuścił Niebieską Barkę.

Gdy dotarł do domu Bausena, była za kwadrans pierwsza. Bausen położył się już spać. Van Veeteren z poczuciem wstydu i z wyrzutami sumienia wobec swojego gospodarza też powlókł się do łóżka.

Zanim pojedę jutro do domu, muszę mu to jakoś wynagrodzić, postanowił. W końcu to żadna przyjemność mordować się dzień w dzień z kimś takim jak ja.

Żadna przyjemność.

Inspektor Moerk miała nadzieję, że będzie mogła spędzić niedzielę z mężem i dziećmi, ale już o godzinie ósmej rano zadzwonił komendant i poprosił, aby towarzyszyła mu w rozmowie z Elisabeth Nolan w szpitalu.

Beate Moerk domyśliła się, że chodzi o kobiecą wrażliwość, która oto znowu jest pożądana, i przez moment miała ochotę mu powiedzieć, żeby wynosił się do diabła. Zdołała jednak pohamować emocje i po krótkich pertraktacjach zgodziła się na dwie godziny w zamian za obietnicę całego wolnego dnia w ciągu najbliższego tygodnia.

Franek, który podczas tych negocjacji stał przy kuchni i pilnował porannej kaszy, wyglądał na zaszępionego. Nie ze względu na siebie, lecz ze względu na nią. Kiedy odłożyła słuchawkę, zadała sobie w duchu pytanie, czy jest na świecie więcej mężczyzn takich jak on, czy też spotkało ją niezwykle szczęście, że trafiła na kogoś takiego, jak twierdziła jej matka.

Chociaż może rozsądniej jest stosować się po prostu do powtarzanej przez niego maksymy: Nie łam sobie głowy nad tym, co dobre. Ciesz się z tego. Tylko to jest ważne.

– Wróć przed dwunastą – obiecała. – Zrobimy sobie wycieczkę.

– Możesz pozdrowić ode mnie tę panią i powiedzieć jej, że jeśli dobrze zapłaci, jestem gotów wystawić u niej dwanaście obrazów. Choć może to akurat nie jest najważniejszy moment?

– Raczej nie – rzuciła Beate Moerk i pocałowała go w przelocie.

Uścisnęła jeszcze dzieci, po czym oddaliła się znowu do pracy w służbie ludzkości.

– Co to jest? – spytał Bausen ze zmarszczonym czołem.

– Drobną dowód mojej wdzięczności – oświadczył Van Veeteren. – Zaproszenie na święta Bożego Narodzenia do Maardam, dla ciebie i dla Mathilde. Mówiłeś przecież, że siedzicie tu sami i popijacie burgunda... a butelka to koniak, który możesz sobie pociągać przez całą jesień. Bache Gabrielsen, norweska odmiana, każda kropla to czyste złoto. Nie wiem, czy go znasz?

Bausen wsunął z powrotem kartkę do koperty i przyjrzał się butelce.

– Nigdy nie słyszałem o takim trunku – przyznał. – Ale naprawdę nie musiałeś...

– Daj spokój, nie ma o czym mówić. Teraz poproszę jeszcze o kawałek chleba z masłem, a później wreszcie zostawię cię i tę przekłętą sprawę.

Bausen uśmiechnął się krzywo.

– Bardzo ci dziękuję. Zobaczymy, czy dożyjemy do świąt; mogę ci jednak obiecać, że tego gabrielsena na pewno jeszcze zdążę wypić, nim wybije godzina... poza wszystkim innym, co wlewam w siebie.

– W to nie wątpię – powiedział Van Veeteren. – Ile butelek jeszcze ci zostało?

– Coś między tysiąc sto a tysiąc dwieście – westchnął Bausen. – Jak już ci mówiłem, okres więzienia spowodował, że straciłem tempo. Ale jeśli tylko zdrowie pozwoli – wszystko nadrobię.

Van Veeteren zerknął na zegarek. Było pięć po dwunastej.

– Mogę skorzystać z twojego telefonu i zadzwonić krótko do Ulrike? Moja komórka chyba złapała jakiegoś wirusa.

– Tylko nie gadaj za długo – powiedział Bausen.

Ulrike nie było w domu, więc zostawił na sekretarce wiadomość, że będzie na miejscu około piątej. Wyraził też nadzieję, że myśl o jego powrocie ją nie załamie.

Odłożywszy słuchawkę, zawahał się chwilę, po czym wybrał numer komendy.

Ponieważ nikt nie odebrał, spróbował dodzwonić się na komórkę Münstera.

– Tak? – usłyszał jego głos.

– Tu Van Veeteren. Zaraz stąd znikam. Słyszałeś coś o Elizabeth Nolan?

– Co nieco – odpowiedział Münster. – Dziś rano była podobno już jako tako pozbierana. Wybrali się do niej deKlerk razem z Moerk. Widzieli się z nią chwilę, ale dłuższą rozmowę postanowili odbyć jutro.

– Co im powiedziała?

– Zdaje się, że głównie zadawała pytania... W końcu nic dziwnego. Odpowiadali dosyć wymijająco, chyba jednak już się zorientowała, że jej mąż miał trochę inną przeszłość, niż sądziła. Mimo że nie wdawali się w szczegóły.

– Nadal jest w szpitalu?

– Nie, przed południem wróciła do domu. Czy to znaczy, że nie będzie cię na

odprawie?

– Nie – oznajmił Van Veeteren. – Już mi wystarczy. Ale zadzwoń do mnie, jak połączycie wszystkie nitki.

– Jasne – obiecał Münster. – Paskudnie, że nie udało się nam zrobić z tym należytego porządku. I sprawa Barbary Hennan, i sprawa Verlangena muszą zostać odłożone ad acta. Choć cała reszta...

– Wiem – przerwał mu Van Veeteren. – Masz rację, paskudnie się stało. Ale pamiętaj: odezwij się.

Münster obiecał jeszcze raz, że to zrobi, po czym się rozłączył.

No tak, pomyślał Van Veeteren. To by było na tyle.

Następnie poszedł do kuchni i na pożegnanie przekąsił coś razem z Bausenem.

Przed wyjazdem na autostradę zatrzymał się, żeby zatankować. Kiedy stał i patrzył na przeskakujące cyfry w dystrybutorze, zdecydował się zmienić plany.

Jak to Münster powiedział? „Była podobno już jako tako pozbierana”? A to mogło oznaczać, że jest raczej wystarczająco silna, by odbyć niedługą rozmowę.

Jeśli nie, oczywiście zostawi ją w spokoju, pomyślał. Ma jednak do niej jedno albo dwa pytania, na które chętnie usłyszałby odpowiedź.

Parę drobiazgów, które przyszyły mu do głowy po telefonie do Münstera. Będzie to go kosztować nie więcej niż pół godziny albo trzy kwadranse, a przecież nic go nie goni.

Ma czasu co niemiara.

Zapłacił w kasie, wszedł do samochodu i ruszył z powrotem w stronę miasta.

Liczba uczestników popołudniowej niedzielnej odprawy w sprawie Hennan–Verlangen, odbywającej się na komendzie policji w Kaalbringen, zmniejszyła się do kwartetu. Obaj byli komisarze odtrąbili swój odwrót, inspektor Moerk natomiast – z tytułu swojego zaangażowania przed południem – dostała od komendanta wolne.

On jednak był na miejscu. Podobnie jak aspirant Stiller – nawiasem mówiąc, świeżo ostrzyżony (kiedy on, u diabła, z tym zdążył? – zdziwił się inspektor Rooth, wyciągając szybko wstępny wniosek, że aspirant musi być zaręczony z jakąś młodą i dobrze zbudowaną fryzjerką) – i dwie tak zwane dodatkowe siły z kryminalnej z Maardam.

Zanim deKlerk zdążył zabrać głos, uprzedził go Rooth.

– Gwoli informacji: to jest nasze ostatnie wspólne spotkanie. Jutro Münster i ja wracamy do cywilizacji.

Po wyrazie twarzy komendanta dało się zauważyć, że miał pewne trudności ze sprowadzeniem obu czynników – Rootha i cywilizacji – do wspólnego mianownika, jednak nie powiedział nic w tej kwestii.

– Spróbujmy podsumować całą tę sprawę – zaproponował. – W każdym razie na ile to możliwe. Oczywiście pozostało jeszcze sporo niejasności i trochę pracy, mam jednak nadzieję, że w przyszłym tygodniu sami się z tym uporamy. Zaczniemy może od informacji z Anglii. Stiller?

Aspirant Stiller podniósł głowę znad swoich papierów.

– Nadeszły dopiero pół godziny temu – wyjaśnił. – Czyli zajęło im to trochę więcej czasu, niż obiecywali. Informacje są dosyć skąpe... najwyraźniej na Wyspach nie mają całościowego systemu. Może będziemy prosić ich sukcesywnie o bardziej precyzyjne dane... o ile uznamy, że są one nam niezbędne.

– To nasze rutynowe działanie w każdej sytuacji – potwierdził deKlerk. – Ale co zawierają informacje, które już do nas dotarły?

– Hm – bąknął Stiller. – Przyznam, że są trochę zaskakujące. W każdym razie w Bristolu jest rzeczywiście małżeństwo Nolanów odpowiadające obrazowi przedstawionemu przez panią Nolan. Christopher i Elizabeth Nolanowie, pobrali się w czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego. Bezdzielni. On pracował w Museum of Modern Art, ona w jakimś college'u... w School of Advanced Creative Processing – nie wiem, co to znaczy. Wyjechali z Bristolu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim, czyli dokładnie tak, jak ona twierdziła... To mniej więcej wszystko. Naprawdę nie wiem, co o tym sądzić.

Głos zabrał Münster.

– Przecież wiadomo, że Hennan nie wziął się z powietrza. A tak naprawdę dla nas ważny jest czas przed tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym... Na pewno istniał jakiś prawdziwy Christopher Nolan. Jeśli komuś zależy na nowej tożsamości, najbezpieczniej jest posłużyć się osobą istniejącą, przecież to wiadomo od dawna. Prawdziwy Nolan może już nie żyć albo wyjechał do Australii czy gdziekolwiek

indziej...

– Słusznie – przytaknął Stiller. – Teraz już rozumiem. Być może to wiele nam nie da, ale mimo wszystko musimy udowodnić... chociaż właściwie już to chyba zrobiliśmy?... wobec tego potwierdzić, że mężczyzna, który zmarł w wannie, wcale nie nazywał się Nolan.

Rozejrzał się w oczekiwaniu aprobaty. W końcu przynajmniej deKlerk skinął nieznacznie głową.

– Na wszelki wypadek musimy rzecz jasna to sprawdzić – powiedział. – Choć odciski palców to odciski palców. No dobrze, zajmiemy się tym w najbliższym tygodniu. Jeszcze jakieś komentarze?

Rooth i Münster pokręcili głowami. DeKlerk wziął do ręki kolejny papier.

– Z medycyny sądowej przyszedł wstępny raport – oznajmił. – Muszę przyznać, że nie ma w nim żadnych sensacji. Jedynie potwierdzenie tego, co wiemy już od wczoraj... albo nam się wydawało, że wiemy. Nolan zmarł wskutek gwałtownej utraty krwi mniej więcej między piętnaście minut po godzinie czwartej a godziną piątą. Nacięcia na obu nadgarstkach i na szyi. Wcześniej ofiara zażyła pięć dwudziestomiligramowych tabletek softalu, które lekarz przepisywał mu od dwóch lat. Przeciwno bezsenności oczywiście... Zawartość żołądka: piwo, niewielka ilość whisky, tarta z brokułami i jeszcze jakieś inne rzeczy... Nie, nie sądzę, żebyśmy znaleźli tu coś istotnego.

– Ja też nie – rzekł Rooth. – Zakładam, że możemy bez skrupułów uznać go za winnego zabójstwa Verlangena. To znaczy bez dowodów rzeczowych. Czy zamierzacie wybrać się tam i poszukać broni?

– Zobaczymy – stwierdził deKlerk. – Prokurator na pewno będzie miał coś do powiedzenia, ale nie sądzę, żeby był z tym jakiś problem.

– Uważam, że to dziwne, że on nic nie napisał – odezwał się aspirant Stiller. – Chociażby do żony.

Münster potaknął ruchem głowy.

– To prawda – przyznał. – Trochę dziwne, ale w końcu co miałby napisać?

– Cokolwiek poza prawdą – rzucił Rooth. – Według mnie sprawa jest jasna. A jak poszło w szpitalu? Czy ona już wie, że była żoną trzykrotnego mordercy?

DeKlerk zawahał się, zanim udzielił odpowiedzi.

– Nie – powiedział. – Inspektor Moerk i ja postanowiliśmy na razie nie mówić jej wszystkiego. Ale pani Nolan już wie, że istniały pewne niezgodności.

– Niezgodności! – wybuchnął Rooth. – Co to za idiotyczny eufemizm? No i co ona sobie teraz myśli? W końcu jej facet odebrał sobie życie bez najmniejszego wyjaśnienia. Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie robi czegoś takiego z powodu paru niezgodności!

– Pewnie nie – przyznał deKlerk. – Jednak moim zdaniem ona tak naprawdę wcale się jeszcze nad tym wiele nie zastanawiała. Musimy zdecydować, co mamy jutro zrobić... Uważam, że tak czy inaczej powinniśmy wyłożyć jej kawę na ławę. Wcześniej czy później. Biedna kobieta.

– W tym wszystkim coś się nie zgadza – wymamrotał Rooth. – Ale pał sześc, najważniejsze, że Jaan G. Hennan zniknął z tego świata... Choć to cholernie wkurzające, że wyniósł się z niego w ten sposób, tylnymi drzwiami.

– Pełna zgoda – powiedział deKlerk. – Tyle że nic już na to nie poradzimy.

Inspektor Münster siedział przez chwilę w milczeniu, jakby nieobecny, przekładając ołówek między palcami.

– Nie rozumiem, dlaczego nagle ogarnęła go taka panika – odezwał się wreszcie. – I jak nas wyniuchał? Wygląda na to, że żona nic mu nie powiedziała, a Rooth i Moerk mogli przecież siedzieć w samochodzie przed ich willą w jakiejś zupełnie innej sprawie... Tak, zgadzam się z Roothem, że coś tu się nie zgadza.

– Może Hennan rozpoznał Van Veeterena – zaproponował Rooth. – To byłoby jakieś rozwiązanie.

– Możliwe – przyznał Münster.

– I może *komisarz* też to zauważył – kontynuował Rooth. – Przecież oni dwaj wtedy, piętnaście lat temu, siedzieli godzinami naprzeciw siebie i gapili się sobie w oczy... Van Veeterenowi wystarczyło teraz jedno spojrzenie, żeby się upewnić, tak? A w drugą stronę to nie było możliwe? Tyle że w tej chwili to już nie ma raczej żadnego znaczenia. Jest do omówienia coś jeszcze?

Komendant deKlerk pogrzebał chwilę w swoich papierach, po czym oznajmił, że to właściwie wszystko.

Rooth i Münster wrócili do hotelu See Warf, w którym mieszkali przez cały swój pobyt w Kaalbringen, w niedzielny wieczór dwadzieścia po siódmej i właśnie się zastanawiali, czy mają od razu iść do pokojów, czy wstąpić do baru na piwo, gdy zadzwonił telefon Münstera.

Rooth poszedł do toalety, a gdy wrócił, Münster już skończył rozmowę.

– Kto to był? – spytał.

Münster stał nadal z telefonem w dłoni i wyglądał na nieco oszołomionego.

– Ulrike – powiedział. – Ulrike Fremdli, partnerka Van Veeterena. Spytała mnie, czy nie wiem, dlaczego on nie wrócił do domu.

– Aha. A dlaczego...?

– Powiedział jej, że będzie w Maardam około piątej... Dochodzi wpół do ósmej, a jego komórka nie odpowiada.

– No proszę – rzucił Rooth. – Znasz tę Ulrike Fremdli? Ja tylko o niej słyszałem.

– Tak, poznałem ją.

– Miła kobieta?

– Bardzo miła – odparł Münster. – Zastanawiam się... Zdaje się, że to ma całkiem logiczne wyjaśnienie.

– Na pewno – zgodził się Rooth. – To co? Idziemy na piwo?

Kiedy Van Veeteren zatrzymał samochód na Wackerstraat i wyłączył silnik, nagle ogarnęły go wątpliwości.

Został w środku i bębniąc palcami o kierownicę, próbował zrozumieć, skąd się nagle wzięły. Czy to rodzaj mrocznego przeczucia, czy tylko oznaka zupełnie normalnej ambiwalencji?

Uznał, że chodzi o to ostatnie, i wysiadł z samochodu. Odnotował, że srebrny japończyk pani Nolan stoi na podjeździe i wszystko dookoła wygląda całkiem spokojnie. Słońce zaczęło się przebijać przez szarobiałą zasłonę chmur zalegających od przedpołudnia, a na sąsiedniej działce otyły sześćdziesięciolatek kosił trawę. Ostry dźwięk kosiarki unosił się nad tą willową dzielnicą niczym uparty wirus.

Pani Nolan otworzyła po niecałej minucie. Była ubrana w czarne dżinsy i czarną tunikę i obrzuciła go spojrzeniem, które wydawało się dosyć nieobecne.

– Tak?

– Przepraszam. Nazywam się Van Veeteren. Przyjechałem z Maardam, znałem pani męża z dawnych lat. Czy zgodziłaby się pani na krótką rozmowę?

Zmierzyła go wzrokiem od góry do dołu. Przeciągnęła ręką po swoich ciemnych włosach; są wyjątkowo bujne i gęste jak na kobietę, która przekroczyła pięćdziesiątkę, pomyślał Van Veeteren.

– To pan wie, co się stało?

– Tak. Wyraży współczucia.

Skinęła głową i wpuściła go do środka. Przypuszczał, że w szpitalu musiała dostać jakieś środki uspokajające. Świadczył o tym jej sposób mówienia i poruszania się, nacechowany mechaniczną powściągliwością.

– Proszę.

Wskazała mu drzwi do salonu. Van Veeteren usiadł na bordowym fotelu z żółtymi pokrowcami na podłokietnikach.

– Jak się pan nazywa? Bo zapomniałam.

– Van Veeteren.

Spoczęła naprzeciwko niego na kanapie. Założyła nogę na nogę i zacisnęła usta w ciekłą kreskę.

– I czego pan sobie życzy? Nie mam...

Nie dokończyła zdania. Van Veeteren poczuł kolejny przelotny przypływ zwątpienia, ale uzbroił się w cierpliwość i przeczekał, aż minie.

– Pani mąż... zakładam, że wie pani od policji, kim on właściwie był?

Zrobiła nieokreślony ruch głową; nie potrafił odczytać, czy to był gest twierdzący, czy przeczący.

– Że w rzeczywistości nazywał się Jaan G. Hennan i miał przeszłość, której pani nie znała.

– Czego pan chce? – spytała. – Pan też jest policjantem? Nie sądzę, abym...

– Byłem – przerwał jej Van Veeteren. – I jako policjant miałem z pani mężem sporo do czynienia.

Kobieta zmarszczyła czoło.

– Nie bardzo rozumiem.

– Nie tak dawno rozmawiało z panią dwoje policjantów, prawda? W galerii.

– Zgadza się. Ale co to ma...?

– Jakie pani wyciągnęła z tego wnioski?

– Wnioski? Dlaczego miałabym wyciągać jakieś wnioski?

– Chyba musiała się pani nad tym jakoś zastanawiać?

– Owszem, zastanawiałam się...

Czekał na dalszy ciąg, ale nie nastąpił. Kobieta oparła się na kanapie i zapaliła papierosa.

Na ile tak naprawdę jest otępiała? – zadał sobie pytanie. Postanowił użyć cięższej amunicji.

– To nie było dla pani żadnym zaskoczeniem, prawda?

– Co takiego?

– Że pani mąż odebrał sobie życie.

– Co pan chce przez...?

– Ani że ma przestępczą przeszłość?

Zaciągnęła się papierosem, a sposób, w jaki to zrobiła, zbulwersował go. Albo

raczej to, jak siedziała rozparta na kanapie i obojętnie patrzyła na niego. Jakby jego słowa do niej nie docierały. Powtórzył pytanie:

– Wiedziała pani, że mąż miał inną tożsamość, prawda? Zanim powiedzieli to pani policjanci.

Westchnęła głęboko.

– Oczywiście, że nie. Kim pan właściwie jest? Czy mógłby pan zostawić mnie w spokoju?

Trzy zdania na jednym oddechu. Van Veeteren siedział w milczeniu przez kilka sekund. Pani Nolan znowu zaciągnęła się papierosem, ale nic nie wskazywało na to, że zamierza wstać albo wskazać mu drzwi.

– Czy pani mąż nie wspominał, że go odwiedziłem?

– Że pan...? A dlaczego miałby pan go odwiedzać?

– Bo mieliśmy sobie to i owo do powiedzenia.

Kolejna pauza. Van Veeteren pozwolił mijać sekundom.

– Przepraszam jeszcze raz, jak pan się nazywa?

– Van Veeteren. Jest pani pewna, że mąż w ostatnich dniach ani razu nie wymienił mojego nazwiska?

Wydawała się zastanawiać.

– Na sto procent. W ogóle nie wspominał o żadnych nowych znajomościach.

– Ja jestem bardzo starym znajomym, pani Nolan. Myślałem, że już o tym wspominałem.

Nie odpowiedziała. Ale w kąciku jej ust coś lekko drgnęło.

– A dziś rano w szpitalu pewnie poinformowano panią, że piętnaście lat temu pani mąż nazywał się zupełnie inaczej?

Nadal żadnej reakcji.

– Że przybrał tożsamość Christophera Nolana, aby uwolnić się od własnej przeszłości. To nie wygląda wiarygodnie, jeśli będzie pani dłużej w to wątpić, pani Hennan.

Wypowiedział to nazwisko tak ostrożnie, jakby... jakby nieszkodliwego skoczka uwolnił z pozycji, w której tkwił zapomniany przez piętnaście lat; ona zaś zareagowała za późno.

Dwie sekundy, które nie dały się wytłumaczyć żadnymi lekarstwami świata.

Ale to był też ruch, którego konsekwencji nie zdołał przewidzieć. Niech to szlag, pomyślał.

– Hennan? Jak pan powiedział...?

Wyjął swoją maszynkę do papierosów. Postawił ją przed sobą na stole i zaczął nabijać wyciśniętą gilzę tytoniem. Miał gonitwę myśli w głowie i koniecznie musiał czymś zająć ręce. Elizabeth Nolan siedziała nieruchomo, obserwując go uważnie.

– Okłamała ich pani, prawda?

Żadnej odpowiedzi.

– Pani znała jego przeszłość?

Przeniosła spojrzenie za okno i paliła dalej. On też zapalił swojego papierosa, próbując szybko postanowić, jaką dalej przyjąć taktykę. Uzmysłowił sobie, że jest bardzo blisko decyzji.

Decyzji? – pomyślał. Czy to możliwe, żeby...?

– Stanowczo pana proszę, aby dał mi pan już spokój – powtórzyła. – Nie wiem, o czym pan mówi.

Zlekceważył jej słowa. Odgłos kosiarki na działce sąsiada nagle umilkł i cisza stała się namacalna jak chwyt za gardło.

– I wie pani bardzo dobrze, co stało się z Maartenem Verlangeniem, prawda?

Pytania nasuwały się niemal automatycznie. Czuł, że złamał jej opór. Widział to po niej. Opuściła ramiona i popatrzyła mu prosto w oczy. Minęło kilka sekund, po czym pokręciła przecząco głową i ciężko westchnęła.

– No dobrze, nie daję mi pan wyboru, komisarzu Van Veeteren. Sam pan jest sobie winien.

Musiała trzymać pistolet wciśnięty między poduszki na kanapie, bo zauważył go dopiero wtedy, gdy miała go już w ręce i mierzyła w niego z odległości jednego metra.

– To było idiotyczne posunięcie z pana strony, że pan tu przyszedł – dodała.

Bausen czuł się bardzo wzruszony. Początkowo nie bardzo rozumiał z jakiego powodu, ale potem zdał sobie sprawę, że to zaproszenie Van Veeterena, aby przyjechał na święta do Maardam, tak poruszyło w nim czułe struny.

On i Mathilde. Razem z Van Veeterenem i Ulrike. Może także będą inni, nie wiadomo. Nie do końca wiedział, co w tym było takiego wyjątkowego, ale to sentymentalne doznanie, które kołatało się po jego czaszce, było faktem.

Albo w piersi czy jeszcze gdzie indziej? Boże drogi, pomyślał, przecież zaraz skończę siedemdziesiąt cztery lata, jestem za stary na takie roztkliwianie się. Ale widocznie z wiekiem człowiek staje się bardziej uczuciowy.

Po południu zrobił swoje czterdziestopięciominutowe ćwiczenia. Potem zadzwonił do Mathilde i spytał, czy nie wpadłaby do niego i nie zjadła z nim czegoś małego pod wieczór. Nie widzieli się w ciągu tygodnia, toteż zgodziła się bez wahania. Bausen słyszał po jej głosie, że się ucieszyła.

Pojechał samochodem na Targ Rybny, kupił kilogram żabnicy, małże i świeże warzywa. Potem wstąpił do Wassingena po Mathilde. Złożył jak zawsze jej wózek, schował go do bagażnika, a ją zaniósł na rękach do auta.

Uświadomił sobie, że nie wspomniał Van Veeterenowi o tym, że Mathilde jeździ na wózku, i zastanowił się właściwie dlaczego. Czy to oznaczało, że specjalnie to ukrył, a jeśli tak – to z jakiego powodu?

Do Bożego Narodzenia zostało trzy i pół miesiąca. Jeżeli rzeczywiście dojdzie do tej wyprawy do Maardam, jest jeszcze mnóstwo czasu, aby wspomnieć o tym szczególnie przez telefon.

Zaczęli przyrządzać rybę. Kiedy się poznali, dokonał pewnych zmian w kuchni, aby Mathilde mogła swobodnie poruszać się po niej na wózku i łatwiej wszystko robić. Gdy tak wspólnie przygotowywali kolację, popijając alzackie wino, nagle przyłapał się na myśli, że ją kocha.

W jesieni życia, w którą już dawno wkroczył, nie znajdował żadnych innych słów. Ale w końcu słowo „miłość” jest chyba równie dobre, jak każde inne?

Powiedział jej o swoich myślach, gdy usiedli do stołu, na co ona oznajmiła mu, że spotkała już gorszych facetów niż on. Co najmniej kilku. Bausen roześmiał się i podszedł do niej, żeby ją pocałować.

Właśnie otworzyli butelkę numer dwa, kiedy zadzwoniła Ulrike Fremdli. Była za kwadrans dziewiąta.

– Bausen?

– Tak.

Rozmawiali ze sobą wcześniej ze dwa albo trzy razy, ale dotychczas wymienili co najwyżej kilka słów.

Teraz padło ich trochę więcej. Nie bez powodu.

Ulrike oznajmiła, że Van Veeteren nie zjawił się jeszcze w Maardam. Mimo że obiecał być około piątej. I nie odbiera komórki. Musiało się coś wydarzyć.

– Mówił, że ma z nią jakiś kłopot – przypomniał sobie Bausen.

– Z komórką?

– Tak.

– O której wyjechał z Kaalbringen?

Bausen zastanowił się krótko.

– Około wpół do pierwszej. Powinien już dawno być na miejscu.

– Nie rozumiem, dlaczego się nie odzywa.

Bausen też tego nie rozumiał. Słyszał po głosie Ulrike, że była bardziej zaniepokojona, niż chciała się przyznać, próbował więc ją uspokoić, mówiąc, że Van Veeteren pewnie ma jakiś kłopot z samochodem.

I że oczywiście natychmiast ją zawiadomi, jeśli czegoś się dowie. Ale na pewno nie stało się nic poważnego.

Nie wspomniał nic o świętach. W końcu był dopiero ósmy września.

Co się mogło wydarzyć? – przemknęło mu przez głowę, kiedy odłożył słuchawkę. Zjechał z drogi i może leży gdzieś pozbawiony pomocy w rowie?

Nie, nie, pomyślał szybko i wrócił do Mathilde. Lepiej nie wywoływać wilka z lasu.

– Bardzo idiotyczne – powtórzyła, on zaś znowu zauważył, jak delikatne mięśnie w kącikach jej ust lekko drgnęły. To były ledwo zauważalne poruszenia, jakby wywołane muśnięciem motyla.

Poza tym niewiele do niego docierało. Co najwyżej czuł, że ona ma rację w swojej ocenie – bo rzeczywiście wydał się sobie idiotą – i ogarniało go też coraz silniejsze doznanie przypominające widzenie tunelowe. Całe otoczenie: meble, jaskrawe, zawieszane obrazami ściany, panoramiczne okno wychodzące na ogród i las, wszystko zredukowało się stopniowo do bezsensu i błahostki. Jedyne, co wydawało mu się naprawdę obecne i rzeczywiste, jedyne, co miało prawo być uważane za istotne, to fakt, że oto siedzi w tym bordowym fotelu naprzeciwko ubranej na czarno kobiety, która trzyma w ręku pistolet wycelowany prosto w niego.

Jeśli się nie mylił, był to pinchmann, kaliber 7,6 milimetra. Nic nie przemawiało przeciwko temu, że również Verlangen miał okazję się z nim zmierzyć. Absolutnie nic.

– Rozumiem – powiedział.

Co było ewidentnym kłamstwem. Kobieta uniosła jedną brew, dając mu do zrozumienia, że także ona w to wątpi.

– Wyjaśnijmy sobie od razu – zaczęła. – Potrafię posługiwać się tym pistoletem i nie zawaham się go użyć. Jeśli pan sobie życzy, mogę od razu strzelić panu w nogę, żeby rozwiązać wszelkie wątpliwości.

– Nie ma takiej potrzeby – zapewnił Van Veeteren. – Wierzę pani.

W jednym kąciku ust dało się zauważyć mocniejsze drgnięcie, mimo to na jej ustach nie pojawił się uśmiech.

– No dobrze. Ma pan już za sobą prawie całe swoje życie i wydaje się pan rozsądnym człowiekiem. A przynajmniej był pan nim do tej pory.

Van Veeteren nie odpowiedział. Zdawała się nad czymś myśleć, a jednocześnie wyjęła kolejnego papierosa i bez najmniejszego kłopotu zapaliła go sobie jedną ręką.

Muszę z nią mówić, pomyślał Van Veeteren. Koniecznie. Cisza nie jest tym razem

moim sprzymierzeńcem.

– Verlangen? – rzucił.

– Tak?

– Ten prywatny detektyw. Jak to się właściwie odbyło?

Zwilżyła sobie wargi końcem języka i zawahała się chwilę.

– Zobaczył nas – powiedziała.

– W Maardam?

– Tak. Czysty przypadek, ale widocznie wcześniej czy później musiało się to stać.

– Kiedy to było?

– W marcu. Jakoś tak w połowie miesiąca. Pojechaliśmy, żeby obejrzyć parę obrazów, które ktoś dostał w spadku.

– Ale wy go nie rozpoznaliście? To przecież...

– Oczywiście, że nie – przerwała mu jakby z lekką irytacją. – Czy pan nie ma przypadkiem komórki w kieszeni marynarki?

Van Veeteren wyjął ją i położył na stole.

– I tak nie działa.

Wzięła ją do ręki i przyjrzała jej się przez chwilę. Znalazła odpowiedni przycisk i wyłączyła aparat.

– Na wszelki wypadek – powiedziała. – Verlangen był ulepiony z takiej samej gliny jak pan. Taki, co to nie daje za wygraną.

– Ludzi, którzy mają taki mankament, jest trochę więcej – zauważył Van Veeteren.

– Nie będzie pani miała nic przeciwko temu, żebym też zapalił?

– Jasne, że nie. Proszę, może pan wziąć ode mnie, żeby nie musiał pan używać tej prymitywnej maszynki.

Sięgnął zatem po jej paczkę. Kiedy zapalał papierosa, zauważył, że nie do końca panuje nad swoimi rękami. Nic dziwnego, pomyślał.

– I potem przyjechał tu za wami? Mam na myśli Verlangena.

Potaknęła ruchem głowy.

– Tak. Co za dureń. Widocznie odezwała się w nim stara detektywistyczna żyłka. Oczywiście to żadna filozofia znaleźć nas tutaj, skoro już zwęszył trop. Nawet dla kogoś takiego jak on. Pojawił się któregoś wieczora w kwietniu, twierdził, że jest

ankieterem z jakiegoś urzędu do spraw badania rynku... ale po paru minutach już wiedzieliśmy kto to.

– To pani go zastrzeliła?

Zaciągnęła się papierosem, zwlekając z odpowiedzią.

– Mąż się tym zajął. Idiotyczne, że tak kiepsko ukrył ciało.

Van Veeteren zwrócił uwagę na ostatnie zdanie. Ton, w jaki je powiedziała, rozwiewał wątpliwości co do podziału ról w jej małżeństwie.

Wszelkie wątpliwości.

I mówił mu niestety także, z jakim rodzajem przeciwnika ma do czynienia. Domyślił się, że ona z pewnością nie popełniłaby z ciałem takiego błędu.

Wszystko, pomyślał. Absolutnie wszystko źle rozumiałem. Przez piętnaście lat.

I teraz muszę ponieść za to karę.

Kobieta zgasiła papierosa i podniosła się z kanapy.

– Czy byłby pan tak uprzejmy i wstał – powiedziała.

Dźwignął się z fotela.

– Proszę zdjąć z siebie wszystko oprócz bielizny.

– Nie noszę przy sobie broni od pięciu lat.

– Proszę zrobić, co mówię.

Gdy wykonywał jej polecenie, ona stała dwa metry dalej i przyglądała mu się z obojętną twarzą. On zaś rzucał rzecz za rzeczą na oparcie fotela, ale nawet kiedy już w swojej marności stanął przed nią w samych slipkach, nie zrobiła żadnej miny.

– W porządku – rzekła. – Może się pan ubrać z powrotem.

Wykonał tę samą procedurę w odwrotnej kolejności z niejaką powolnością i drobiazgowością, po czym usiadł znowu na fotelu. Ona zaś, nie spuszczając go z oka ani z linii strzału, wygrzebała z torebki, która stała na kanapie, niewielkie pudełko. Z niskiego bocznego stolika wzięła karafkę i szklanekę. Nalała do niej na wysokość kilku centymetrów czegoś z karafki – zakładał, że była to whisky – i wrzuciła do środka z pudełeczka cztery, pięć tabletek, które od razu zaczęły się rozpuszczać w brązowym płynie. Zamieszała wszystko długopisem, też wyjętym z torebki. Robiła to sprawnie i mechanicznie. Jakby coś podobnego wykonywała już tysiące razy.

Mój ostatni posiłek, przemknęło mu przez głowę.

– Niech pan to wypije – powiedziała, przesunawszy szklanke po blacie stołu w jego stronę.

Wpatrzył się w lufę pistoletu. Przypomniał sobie, że kiedyś widział dziurę po kuli w karku mężczyzny, który został zastrzelony z pinchmanna. Była dosyć spora, o ile dobrze pamiętał.

Gdybym miał trzydzieści lat, pewnie teraz spróbowałbym się na nią rzucić.

I nigdy bym się nie zestarzał.

Nabrał powietrza, zamknął oczy i opróżnił szklanke. Odnotował, że nie pomylił się w ocenie gatunku alkoholu.

Całkiem przyzwoita whisky. Tabletek w ogóle się nie wyczuwało.

– Dobra – powiedział. – Może trochę za silna nuta dymu.

Kobieta wzruszyła ramionami. Siedzieli na swoich miejscach przez kilka minut, nic nie mówiąc, a ostatnią rzeczą, jaką usłyszał, było to, że sąsiad znowu uruchomił swoją kosiarkę.

– Mam wrażenie, że coś przegapiliśmy – powiedział Rooth.

– Wypiłeś trzy piwa i duży koniak – odrzekł Münster, dając znak kelnerowi, że chcą rachunek. – To dlatego masz takie poczucie.

– Głupie gadanie – obruszył się Rooth. – Od wczoraj męczy mnie, że jest coś, o czym powinienem pomyśleć... Już wcześniej mi się zdarzało, że czułem coś takiego, i nigdy się nie myliłem.

– A nie mógłbyś wyrazić się trochę jaśniej? – spytał Münster.

– Jaśniej? Przecież ci mówię, że nie wiem, co to dokładnie jest... Czasami człowiek ma po prostu takie przecucie, które wciska ci się pod czaszkę i ląduje w podświadomości. Tobie nigdy nic podobnego się nie zdarza?

– Owszem, co rusz – odparł Münster. – I zazwyczaj tam zostaje.

– Otóż to – powiedział Rooth. – I to jest właśnie niebezpieczne. Ale tym razem nie chciałbym, żeby się tak stało. Wiem, że pomyślałem sobie: „To jest dziwne” albo jakoś tak podobnie... ale potem nie miałem czasu, żeby się nad tym zastanowić.

– Nie miałeś czasu? – spytał Münster. – Czas to chyba jedyna rzecz, jaką mieliśmy w całej tej piekielnej sprawie.

Rooth pokiwał głową, a potem spróbował wylizać do czysta od środka swój

kieliszek po koniaku.

– Wiem – odezwał się po chwili, rezygnując z czyszczenia. – Tak czy inaczej, dobrze by było, gdybym przypomniał sobie ten szczegół. Mimo wszystko zostało jeszcze parę znaków zapytania.

Münster siedział przez chwilę w milczeniu. Rozejrzał się w zadumie po oszczędnie urządzonej hotelowej restauracji i stwierdził, że oni dwaj są ostatnimi gośćmi. Zbliżało się wpół do dwunastej. Poczuł, że pora wsiąść do windy, pojechać cztery piętra wyżej i położyć się spać.

Ostatnia noc w hotelowym łóżku. Jak to dobrze. Przez ostatnie dni bardzo już tęsknił za Synn i dziećmi; cały tydzień bez nich to po prostu za długo.

Stanowczo za długo. Do zaakceptowania jest co najwyżej kilka godzin rozstania.

Musiał jednak przyznać, że jest coś w tym, o czym bełkotał Rooth. Nie da się zaprzeczyć. Coś przegapili. Albo czegoś zostali pozbawieni – pomyślał. Może to było bardziej odpowiednie określenie. G przez piętnaście lat znajdował się w swego rodzaju ukrytej agendzie – nie tyle jego własnej, co oczywiście *komisarza* – a kiedy wreszcie znowu zwietrzyli jego trop, a potem stanęli bezradni wobec jego samobójstwa, to poczuli się tak, jakby... no właśnie, jakby co?

Jakby ktoś zwinął im czekoladki sprzed nosa? – przemknęło Münsterowi przez głowę. Tak jakby zostało im coś odebrane.

A mianowicie satysfakcja płynąca z tego, że udało się im go przyskrzynić i pociągnąć do odpowiedzialności. Że Jaan G. Hennan dostał karę, na którą zasłużył.

Reakcja całkowicie zrozumiała i uprawniona, czyż nie?

Jednocześnie faktem pozostaje, że nie rozwiązali zagadki tamtego dawnego morderstwa. Jak właściwie się stało, że Barbara Hennan wylądowała na dnie basenu w Linden – tę tajemnicę G zabrał ze sobą do grobu. To, że właśnie on zastrzelił biednego Verlangena, nie ulegało raczej wątpliwości, lecz jakkolwiek by patrzeć, zabójstwo z Linden jest nadal nierozwiązane. I pewnie już takie pozostanie. Po wieczne czasy.

Choć tak naprawdę to nie jest żadna zagadka, deliberował dalej Münster, podczas gdy Rooth siedział obok niego z na wpół zamkniętymi oczami, prawie nieobecny. Hennan wynajął mordercę, którego oni nie znaleźli, a który teraz, po zejściu z tego

świata swojego zleceniodawcy, mógł się czuć bezpieczny i żyć spokojnie w przekonaniu, że nigdy nie zostanie odkryty.

W tej branży tak już po prostu jest, podsumował Münster. Niektórych przestępców nigdy nie udaje się złapać, a na niektóre pytania nigdy nie znajduje się odpowiedzi. Jest to irytujące, ale trzeba nauczyć się z tym żyć.

– A może to tylko ten kretyn G tak piekielnie mnie wkurza – Rooth nawiązał nagle do swoich poprzednich refleksji. – Wiesz, co najchętniej bym teraz z nim zrobił?

– Nie – odpowiedział Münster.

– To samo, co stało się z Jezusem.

– Z Jezusem?

– Tak. Kazałbym mu na parę dni zmartwychwstać. Przesłuchałbym go bez jakiegokolwiek miłosierdzia, a potem zabiłbym go znowu. Tylko po to, żeby podreżać tego drania. Żeby miał za swoje.

Interesująca interpretacja Biblii, pomyślał Münster, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

– Piękny pomysł – powiedział głośno. – Ale przynajmniej przyznajesz się do swoich niskich pobudek, to dobrze.

– Jestem dosyć obmierzłym typem – westchnął Rooth. – W gruncie rzeczy. Wiem, że moje rycerskie zachowania mogą zmylić ludzi, lecz jeśli mam być szczery, to...

Nadszedł kelner z rachunkiem i Rooth przerwał swoją spowiedź. Zapłacili i opuścili restaurację. W windzie na górę inspektor znowu podjął wątek podświadomości.

– Wiesz co, to coś, czego nie mogę sobie przypomnieć... – zwrócił się do Münstera. – ...to chyba musi mieć związek z tym, jak go znaleźliśmy... jak wpadliśmy do willi Nolanów.

– Dlaczego? – spytał Münster. – Dlaczego musi?

– Przecież sam powiedziałeś. To był jeden jedyny raz w całym tygodniu, kiedy się nam spieszyło.

Münster zastanowił się, ale nie zdobył się na żaden komentarz.

Ziewnął natomiast i otworzył swoje drzwi, życząc inspektorowi Roothowi

pięknych snów.

Odzyskał świadomość.

Ale nie ocknął się do końca. Świat zewnętrzny wpełznął do jego mózgu jedynie cienką smugą. Więcej nie widział.

A może to nie był wcale świat zewnętrzny. Może to tylko refleksy jego własnego ciała; szorstkie, ordynarne sygnały w ciemności i inercji. Bolała go głowa. Język przykleił się do podniebienia. Ociężałość w nogach i ramionach była obezwładniająca.

Leżał na jakiejś kanapie w potwornie niewygodnej pozycji.

Na lewym boku. Ręce miał ciasno związane na plecach. Nogi też spętane. Kostki ocierały się o siebie. Szorstki materiał zalatywał kurzem. Do gardła podeszła mu fala mdłości.

Ciemno. Otworzył oczy na ułamek sekundy i przekonał się, że dookoła niego jest równie ciemno jak w nim.

Zapadł się z powrotem.

Jakiś czas później obudził się naprawdę. Zmęczenie wciąż przygniatało go ołowianym ciężarem, ale w jasnych drzwiach stała ona i coś do niego mówiła.

Coś mówiła, dawała mu instrukcje.

Podeszła bliżej i postawiła coś na stole, tuż przed jego twarzą.

– Kawa.

To pierwsze słowo, które zdołał zrozumieć.

– Usiądź. Napij się kawy.

Na zmianę unosił i opuszczał powieki. To sprawiało ból. Wciągnął w nozdrza zapach kawy.

– Usiądź.

Podniesienie się wydawało się wprost komicznie niemożliwe, ale ból w plecach podczas wykonywania tego manewru sprawił, że w końcu się obudził.

– Nie mogę...

Głos odmówił mu posłuszeństwa, więc zaczął jeszcze raz.

– Nie mogę pić z zawiązanymi z tyłu rękami.

– W kubku jest słomka.

Pochylił się do przodu i pociągnął.

Wciąż żyję, pomyślał.

Wyciągnął obie ręce w lewo i zdołał spojrzeć na zegarek.

Kwadrans po piątej. Prawdopodobnie rano. Minęło więc sporo czasu. Pomieszczenie, w którym spędził ostatnie szesnaście godzin, było czymś w rodzaju składziku na rupiecie. Magazyn starych, wysłużonych mebli, stanowiący jednocześnie łącznik między domem a garażem.

Zarejestrował to z pewną niechętną automatyką, jako coś, co go nie dotyczyło.

Gdy wypił, kazała mu przejść właśnie do garażu. Ruszył, podskakując nieporadnie na związanych nogach, z trudem usiłując zachować równowagę. Musiał podierać się o meble i ściany. Czuł ból w całym ciele. Mam nadzieję, że chociaż pozwoli mi umrzeć w miarę godnie, pomyślał. Przez cały czas odnosił wrażenie, że przed jego oczami zaraz opadnie czarna zasłona. W stanie przytomności utrzymywało go to, że wciąż go mdliło.

Zobaczył własnego niebieskiego opla. Musiała przestawić samochody, pomyślał. Widocznie rovera i japończyka wyprowadziła na zewnątrz, a jego oplem wjechała do garażu.

Pewnie wyjęła mu kluczyki z kieszeni, kiedy spał.

Usiłował to sprawdzić, nie zdołał jednak sięgnąć tak daleko do przodu rękami. Tak czy inaczej, zrozumiał, że kobieta nie zamierza niczego pozostawić przypadkowi.

To nie w jej stylu. Zdążył to zauważyć. Teraz.

Można by powiedzieć: w ostatniej sekundzie.

Od intensywnego myślenia jeszcze bardziej rozboleła go głowa. Wciągnął głęboko powietrze w płuca i spojrzał na swój samochód, który miał otwarty bagażnik.

– Proszę.

Popatrzył na nią. Popatrzył na pistolet.

– Mam wejść?

Potaknęła.

– Nie pojedziemy daleko.

– A jeśli odmówię?

– To zabiję cię od razu.

Zastanowił się przez kilka sekund.

Następnie schylił się pod klapę bagażnika i wgramolił się do środka.

Kanapa była o wiele wygodniejsza.

Wszystko jest względne, pomyślał.

Czy śmierć też może być względna? Kto wie.

Na kilka minut pochłonęła go myśl, czy nie mógłby spróbować jakoś się wydostać. Szybko jednak zrozumiał, że to daremne. Czuł się tak, jakby już był pogrzebany, zatrzaśnięty w tej ciasnej przestrzeni. Odór brudu. Benzyny i płynu do odmrażania szyb... przypomniało mu się, że niechcący rozlał chyba z pół litra któregoś razu poprzedniej zimy. Do tej pory zapach nie wywietrzał.

Ciemno jak w piekle i ciężko oddychać, czuł ciężar na piersi... nie mógł się ruszyć, ręce miał nadal związane na plecach. Żadnej możliwości ich uwolnienia. A gdyby nawet, to przecież nie da się chyba otworzyć bagażnika od środka?

Wyjechała tyłem na jezdnię i przystanęła. Silnik nadal pracował. Słyszał, jak otworzyła drzwi kierowcy i wysiadła. Pomyślał, czy nie zacząć krzyczeć, ale zrezygnował z tego pomysłu. O tej porze nie ma nikogo na ulicach; próżna nadzieja, by ktoś akurat teraz przechodził tuż obok i usłyszał jego stłumiony głos... Nie miał ochoty robić z siebie dumnia. Leżeć tutaj i wołać o pomoc to ostatnia rzecz, na jaką by się zdobył.

Usłyszał silnik innego samochodu. Domyślił się, że kobieta robi porządek z autami. Pewnie wprowadza rovera do garażu, a swojego japończyka ustawia na podjeździe. Obcy opel musiał zniknąć z oczu sąsiadom.

Nic nie mogło być pozostawione przypadkowi.

Spróbował zmienić pozycję, znaleźć taką, która byłaby choć trochę bardziej do zniesienia, ale było to bezcelowe. Zamiast tego zadrapał się w policzek o coś ostrego i wystającego; wreszcie poddał się i zaczął myśleć o Erichu.

To osobliwe. Z jakiegoś niewiadomego powodu wyobraził sobie, że jego syn widzi go właśnie w tym momencie.

Nie Ulrike, nie Jess.

Tylko Erich i nikt inny.

Trudno było powiedzieć, jak długo trwała jazda. Ciemność – i ta wewnętrzna, i ta zewnętrzna – otepiła go. Ból w plecach nasilał się z każdą chwilą, obawiał się, że chyba już nigdy nie stanie prosto. Barki i ramiona miał całkiem odrętwiałe, a głowa była bliska eksplozji.

Może kwadrans? Przypuszczał, że nie dłużej. Czyli wyjechali niedaleko poza miasto. Dziesięć do piętnastu kilometrów; ostatni odcinek był nierówny i wyboisty, pewnie jakaś wąska droga przez las albo przez pole.

Zatrzymała się. Znowu usłyszał, jak otwierają się przednie drzwi i zatrząskują z powrotem. Potem minęła chwila i klapa bagażnika uniosła się do góry.

Przekręcił głowę i spojrzał pod światło. Znów zadrapał się w policzek, prawie w tym samym miejscu. Jego wzrok wędrował od lufy pistoletu ku jej twarzy, kilka razy tam i z powrotem.

Mówić, pomyślał. Im dłużej uda mi się z nią mówić, tym dłużej pozostanę przy życiu.

– Wysiadaj.

Machnęła bronią. Wygramolenie się z bagażnika i stanięcie na nogach zajęło mu chwilę. Kolejną – wyprostowanie pleców. Rozejrzał się dookoła w słabym świetle świtu. Wszędzie las, tak jak przypuszczał; przyjechali drogą, którą tworzyły dwie koleiny z wysokim wałem trawy pomiędzy nimi.

Głównie buki, ale tu i ówdzie także inne drzewa. Osiki i iglaki. Teren dosyć pagórkowaty; chyba musiała pojechać na wschód. Gdy ostrożnie wciągnął powietrze, odniósł wrażenie, że poczuł powiew morza.

Ale może to tylko złudzenie. Pewnie po prostu chciał poczuć morze w takiej chwili.

– To się pani nie uda – powiedział.

– Proponuję, żebyśmy mówili sobie na ty.

– W porządku. Nie wywiniesz się.

– Nonsens. To ty się nie wywiniesz.

Wyglądało na to, że ona wierzy w to, co mówi. Miał wrażenie, że to już tylko

kwestia sekund, ale w tym momencie zobaczył w jej rękach szpadel i domyślił się, że kobieta ma inne plany.

– Połóż się na brzuchu.

Z trudem uklęknął i padł do przodu.

– Twarzą do ziemi.

Zrobił posłusznie, co mu kazała. Jego plecy krzyczały z bólu. Dwoma szybkimi ruchami noża przecięła linkę. I na rękach, i na nogach.

Teraz, pomyślał. Teraz miałbym szansę. Gdybym miał trzydzieści lat.

Rozwiązanie więzów i uwolnienie się od nich zajęło mu trochę czasu, a kiedy znowu znalazł się na nogach, ona stała dwa metry dalej i miała pełną kontrolę nad sytuacją.

– Ruszaj.

Wskazała mu kierunek ruchem głowy i pistoletu. Ostrożnie rozprostował plecy, żeby rozluźnić blokadę, i zaczął wchodzić na niewielkie wzniesienie.

Bujniejsza roślinność. Gęściejsze poszycie.

Zaczął rozumieć, co ona zamierza.

Zaczął rozumieć, kim ona jest.

– Tu będzie dobrze.

Zatrzymał się w małej niecce i rozejrzał się dookoła. Widoczność nie większa niż dziesięć metrów we wszystkich kierunkach. Świt wciąż jeszcze nie zwyciężył nocy. Od czasu do czasu słyhać było ptaki, lecz jedynie jako pojedyncze strzępy dźwięku przesywające ciszę. Żadnego wiatru. Resztki nocnego chłodu i delikatne smugi mgły, która powoli się unosiła. Przypuszczał, że nie ma jeszcze szóstej, ale nie zamierzał tego sprawdzać. Czuł, że znowu ogarnia go zmęczenie.

Ciągle jestem pod wpływem narkotyków, przypomniał sobie. Ocknął się, gdy rzuciła mu pod nogi szpadel.

– Kop.

Spojrzał na nią.

– A jeśli odmówię?

Już to mówiłem, pomyślał. Nie mam lepszych pytań?

– Wtedy cię zastrzelę i sama wykopię dół.

– I tak się nie wywiniesz.

– Nie wywinę się, jak zostawię cię przy życiu.

Zastanowił się. Jej argumenty były łatwe do zrozumienia. To oczywiste, że musiała go zabić.

– Linden? – rzucił. – Jesteś mi przynajmniej winna wyjaśnienie.

Spojrzała na niego spod przymrużonych powiek i uniosła broń tak, że celowała nią prosto między jego oczy. Stała przez kilka sekund zupełnie bez ruchu, po czym opuściła pistolet o kilkadziesiąt centymetrów.

– Kop.

Odebrał to jako swego rodzaju układ i sięgnął po szpadel. Rozejrzył się za odpowiednim miejscem.

Odpowiednim? – zastanowił się. Gdzie chcę leżeć?

– Gdzie jest wschód? – spytał.

– Po co ci to wiedzieć?

– Chcę leżeć głową na wschód.

Roześmiała się.

– Tam.

Skinął głową. Poszukał miejsca, gdzie ziemia wydawała mu się najmniejsza. Skoro już mam wykopać sobie własny grób, pomyślał, to nie chcę męczyć się z masą kamieni i korzeni. To byłoby... niegodne.

– Linden – przypomniał jej, wbijając łopatę w podłoże.

Usiadła dwa metry od niego na przewróconym pniu i zapaliła papierosa – podobnie jak wcześniej, tylko jedną ręką, ani na sekundę nie spuszczając go z oka ani nie odkładając broni.

– Co chcesz wiedzieć? – spytała.

Rootha obudziły kościelne dzwony.

A przynajmniej tak sądził – przez kilka pięknych i pełnych nadziei sekund. Śnił mu się jego własny ślub z delikatną kobietą o oliwkowej skórze o imieniu Beatrice – mającej wiele rysów wspólnych z jego dawną szkolną koleżanką Belindą Freyer, w której kochał się tak długo, jak tylko sięgał pamięcią – i w samym środku ceremonii, gdy miał jeszcze przed oczami pękający w szwach kościół, radosne anielskie chóry i narzeczoną w bieli, zadzwonił telefon.

Sięgnął po omacku w stronę szafki nocnej, zapalił lampkę i stwierdził, że jest dopiero 6.15.

Kto, do jasnej cholery, dzwoni po szóstej nad ranem? – pomyślał.

I co to, u diabła, może znaczyć, że o takiej porze śnią się człowiekowi kościelne dzwony?

Zobaczył, że telefon stoi dalej, na wąskim biurku. Odrzucił kołdrę i dźwignął się z łóżka. Dokładnie w momencie, gdy usłyszał w słuchawce głos Münstera, a w lustrze nad biurkiem ujrzał swoją kredowobiałą twarz, właśnie w tej krótkiej sekundzie przypomniał mu się brakujący element, który od kilku dni nie dawał mu spokoju.

Ten detal.

Pociemniało mu w oczach.

– Poczekaj chwilę – powiedział do Münstera.

Pochylił się do przodu i za moment odzyskał równowagę.

– Co się z tobą dzieje?

– Przepraszam – rzucił Rooth. – Zakręciło mi się w głowie. Chyba zerwałem się za szybko z łóżka...

– Rozumiem – odparł Münster. – Wiem, że jest strasznie wcześnie, ale mamy problem...

– Co? Problem?

– Van Veeteren nie wrócił do domu do Maardam. Wygląda na to... wygląda na to, że coś mu się stało.

Rooth wpatrzył się znowu w swoje odbicie w lustrze. Nie był to ładny widok, ale w tym momencie miał to w nosie.

– Komisarz? – spytał. – Nie wrócił do domu? Co ty wygadujesz?

– Przed kwadransem zadzwonił Bausen – wyjaśniał dalej Münster. – Rozmawiał z Ulrike Fremdli... musiało się coś stać. Przecież wyjechał wczoraj zaraz po obiedzie; wszystkie szpitale są już sprawdzone. On zniknął... po prostu zniknął.

Rooth czuł, jak komórki nerwowe w jego mózgu szukają się nawzajem. To było gorączkowe szukanie związku. Zniknięcie Van Veeterena... i ten nagły przebłysk dotyczący tego, co zobaczył, a czego znaczenie nie od razu pojał...

Czy to możliwe, żeby...?

Dlaczego...?

– Kurza twarz, daj mi chwilę pomyśleć – powiedział. – Chyba na coś wpadłem.

– Ty na coś wpadłeś? – Münster nie krył sceptycyzmu.

– Tak.

– No to wyduś wreszcie z siebie! To wszystko zaczyna przypominać... Już sam nie wiem, co to przypomina.

– Przyjdź do mnie za dwie minuty, to ci wyjaśnię – rzucił Rooth. – Co za cholerne gówno!

Po czym odłożył słuchawkę i jeszcze raz spojrzął na swoją twarz w lustrze.

Potem zrobił wyjątkowo krótką toaletę i zaczął się ubierać.

– Niedobrze mi – powiedział Münster. – To przecież niemożliwe. Już sam nie wiem, czy to wszystko mi się tylko śni, czy nie.

– W każdym razie jesteś ubrany – stwierdził Rooth. – Czyli możemy raczej założyć, że obaj nie śpimy i nic się nam nie śni.

– Okej. No to na co wpadłeś?

Rooth starannie zapiął koszulę, po czym włożył buty. Münster przyglądał mu się zniecierpliwiony. Przez ułamek sekundy miał ochotę mu pomóc, ale zrezygnował.

– Pani Nolan – zaczął Rooth. – Coś mi się nie zgadza z panią Nolan.

– Dlaczego?

– Mówiłem ci wcześniej, że cały czas mam z tyłu głowy coś, co mi nie daje spokoju, i kiedy zadzwoniłeś, wpadłem na to.

– Kiedy zadzwoniłem?

– Tak. Zerwałem się z łóżka, żeby odebrać, i pociemniało mi w oczach. Ale jeszcze zdążyłem zobaczyć swoją twarz w lustrze. Była biała... albo prawie szara.

– Tak? – spytał Münster dosyć obojętnie. – No i co?

– I wtedy przypomniała mi się pani Nolan. Kiedy wypadła z domu... jak znalazła swojego męża nieżywego w wannie. Przecież ja i Moerk byliśmy tam wtedy i...

– No wiem – przerwał mu Münster. – Ale co było nie tak?

Rooth odchrząknął.

– Kolor – powiedział.

– Kolor?

– Tak, kolor. Osunęła się na ziemię i leżała bez życia na trawie... Zanim wpadłem do domu, szybko sprawdziłem, co z nią. Ona miała całkiem czerwoną twarz.

– No i?

– No i? Tylko tyle masz do powiedzenia? Muszę przyznać, że mnie rozczarowujesz. Jak można mieć czerwoną twarz, kiedy się mdleje? Jeśli krew odpływa z głowy, to człowiek powinien być, do cholery, blady!

Münster wlepił w niego oczy.

– Czyli ty uważasz...?

– Uważam, że ona grała. I nawet przez chwilę nie była bliska omdlenia. Ta Elizabeth Nolan coś kombinuje, a skoro Van Veeteren nie wrócił do Maardam, to może oznaczać...

– Boże drogi! – przerwał mu Münster z krzykiem, natychmiast wyciągając telefon komórkowy z kieszeni. – To może oznaczać, że...

Nie dokończył myśli. Urwał i wybrał numer Bausena, który odebrał już po jednym sygnale. Münster zdążył jeszcze zadać sobie pytanie, dlaczego właściwie zadzwonił do niego, a nie do deKlerka.

Może tylko dlatego, że jego numer był ostatni wśród zapamiętanych po rozmowie sprzed dwudziestu minut?

A może z zupełnie innego powodu.

Przekazanie informacji Bausenowi zajęło im tylko chwilę. Münster dodał też, że on i Rooth jadą zaraz na Waackerstraat, i poprosił, aby Bausen zawiadomił deKlerka

i inspektor Moerk.

Były komisarz był równie zaskoczony, jak on sam.

Czy należy zatem przypuszczać, że Van Veeteren, zamiast pojechać prosto do Maardam, udał się w odwiedziny do Elizabeth Nolan? – spytał. Czy oni dwaj tak uważają?

Münster odpowiedział, że nie mają pojęcia, czy tak rzeczywiście się stało ani co w ogóle mogło się wydarzyć, a gdy wypowiadał te słowa, poczuł, jak oblewa go fala lodowatego zimna, tak przenikliwego, że przez chwilę obawiał się nawet, że dostał zawału.

Ale szybko zdał sobie sprawę, że to tylko złudzenie – w końcu nie skończył jeszcze pięćdziesięciu lat. Pożegnał się z Bausenem i się rozłączył.

Rooth ubrał się już do końca i był gotowy do wyjścia.

– Wyjaśnij mi, co to właściwie może znaczyć – zwrócił się do niego Münster. – Jeśli rzeczywiście masz rację. Czy to ma znaczyć, że Jaan G. Hennis nie popełnił samobójstwa, czy też co, do cholery, chcesz przez to powiedzieć?

– Nie chcę przez to powiedzieć zupełnie nic – odparł Rooth. – Chcę tylko wreszcie wyjść, żeby sprawdzić, co się teraz dzieje u Nolanów. Kapujesz? Zamierzasz iść ze mną czy wracasz do łóżka?

– W porządku – rzucił Münster. – No to na co czekamy?

– Powoli zaczynam rozumieć, że krył się za tym określony plan.

Palila, zdając się nadal zastanawiać, czy ma z nim rozmawiać, czy nie. Van Veeteren czekał.

– Częściowo – powiedziała w końcu.

– W większym stopniu niż w przypadku Philomeny McNaught?

Zdobyła się na nieznacznym uśmiech, i nagle, przez tę mimowolną szczelinę, ujrzał ją. Kompletną, od zewnątrz i od środka... Jakby aż do tej pory udawało się jej zachować maskę. To było osobliwe.

Lady Makbet, pomyślał. Miło panią poznać.

– Kop – upomniała go. – Jeśli chcesz, żebym wyjaśniła ci to i owo, musisz pracować.

– Jasne.

Zaczął zaznaczać granice. Czubkiem szpadla narysował na ziemi prostokąt, dwa metry na sześćdziesiąt centymetrów, mniej więcej. Wiedział, że zajmie mu to trochę czasu. Dwadzieścia minut, a może pół godziny.

Odmierzony czas.

Jeśli ona nie straci cierpliwości i nie zastrzeli go wcześniej.

– Przykro mi, że musiałam go zabić – powiedziała. – To była wasza wina... wasza i tego przekłętą detektywa. Ale on zrobił się jakiś miękki.

No proszę, pomyślał Van Veeteren, czyli ma jednak potrzebę wytłumaczenia się.

– Miękki? Hennan?

– Tak. W miarę upływu lat.

Zastanowił się.

– Mężczyźni zawsze trochę z czasem łagodnieją – stwierdził. – Niektóre kobiety także. Zdaje się, że jedyną ofiarą, której nie musisz żałować, jest twój mąż.

Spojrzała na niego z wyrazem twarzy, którego nie potrafił określić.

Obojętność? Ogólna pogarda dla ludzi?

Czy też zastanawiała się, czy nie zwiększyć nacisku palca wskazującego na spust.

Uznał, że na to wygląda. Teraz, pomyślał. A więc jednak nadeszła ta chwila.

Ale nic się nie stało.

– Tylko nie kombinuj – odezwała się. – Nic nie kombinuj. Bo jak zaczniesz coś szachrować, zastrzelę cię od razu.

Przez ułamek sekundy spróbował sobie wyobrazić, jakie to może być uczucie, kiedy kula wdziera się w człowieka.

Ból. Krótki, palący ból. Tylko gdzie? Gdzie najpierw uderzy, jak będzie się rozchodził i czy on zdąży stracić przytomność, zanim na dobre umrze?

Czy będzie po wszystkim w ciągu sekundy, czy w ciągu pięciu?

Odegnął te myśli. Nie ma najmniejszego powodu, żeby przechodzić przez coś takiego dwa razy.

– Linden? – powtórzył uparcie. – Jak to się odbyło?

Rzuciła niedopałek pod nogi i wdeptała go w miękką ziemię. Zmieniła pozycję na pniu. Gdybym znalazł się odpowiednio blisko niej, mógłbym zaatakować ją szpadlem.

Z szansą powodzenia jeden na sto, ale na lepszą prognozę nie mam już co liczyć.

– To była dziwka – powiedziała. – Nazywała się Betty Fremdel, sprowadziliśmy ją z Hamburga.

– Z Hamburga?

– Tak. Musieliśmy znaleźć kogoś z zagranicy, inaczej ryzyko, że ktoś potem dojdzie po nitce do kłębka, byłoby zbyt duże. Spędziliśmy tam kilka tygodni, zanim ją znaleźliśmy. W okolicach hamburskiego Dworca Głównego nie brakuje towaru... można nawet natrafić na takich, co nie ćpają, przynajmniej wtedy tak było. A kiedy już ją wybraliśmy, reszta była prosta.

– Na co ją zwabiliście?

– Na zdjęcia do filmu. Pornograficznego, rzecz jasna. Nie podaliśmy żadnych szczegółów, ale powiedzieliśmy, że dobrze płatny... bardzo dobrze płatny. No i oczywiście zażądaliśmy pełnej dyskrecji, nie wolno jej było nikomu pisać, o co chodzi i dokąd się wybiera... zresztą ona sama też tego nie wiedziała. Mogła jedynie wspomnieć, że wyjeżdża na kilka dni na zdjęcia.

Przerwała na chwilę i jakby się zamyśliła.

– Odebrałam ją z Oostwerdingen i przywiozłam do Linden. Miałam blond perukę, nigdy się nie zorientowała, jak bardzo jesteśmy do siebie podobne... postarałam się ufarbować sobie włosy w takim samym idiotycznym rudym odcieniu, jaki ona miała... zrobiłam sobie nawet identyczny tatuaż na ramieniu. Nie, nie było z tym żadnych większych kłopotów. Zresztą czekaliśmy cały miesiąc, zanim przystąpiliśmy do działania.

Znowu zamilkła. Van Veeteren zastanowił się nad tym, co do tej pory usłyszał, ale nie przyszło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć.

– Pozwoliliśmy jej przez parę godzin pokręcić się po domu, żeby wszędzie zostawiła swoje odciski palców. Potem w końcu weszliśmy na wieżę, gdzie mieliśmy nakręcić parę ujęć... Na samej górze zamontowaliśmy kamerę. Ona się rozebrała i włożyła kostium kąpielowy. Ja stanęłam za kamerą i udawałam, że filmuję, a kiedy ona wyginała się tam i rozkładała nogi, pchnęłam ją i już. Później zeszłam na dół, sprawdziłam, czy nie żyje, i odjechałam stamtąd, i nigdy więcej już się tam nie pokazałam. Nigdy nikt nie wątpił, że to ja wylądowałam na dnie basenu. Zgadza się?

Van Veeteren wyprostował plecy.

A niech to szlag, pomyślał. Jakie to piekielnie proste. Wyrafinowanie proste. Czy to rzeczywiście możliwe?

– Tak czy nie? – powtórzyła pytanie.

Musiał przyznać, że mimo wszystko było to możliwe. Przypomniawszy sobie, że starali się dostać ze Stanów zdjęcie rentgenowskie uzębienia ofiary, ale nigdy im go nie przysłano. O ile przynajmniej pamiętał. Tak, ona ma rację, nikt nie wątpił, że to Barbara Hennan leżała na dnie tego przeklętego basenu. Nikt a nikt.

I dlatego on teraz ma umrzeć?

Po piętnastu latach medytowania zna w końcu rozwiązanie sprawy G. Uzyskał je od samego mordercy, a ceną jest jego życie.

Mogłoby się wydawać, że kryje się w tym pewna sprawiedliwość.

A przynajmniej logika.

– A identyfikacja zwłok? – spytał mimo to, głównie żeby podtrzymać rozmowę.

Swoją ostatnią rozmowę.

– Przecież sam pewnie pamiętasz – odpowiedziała. – Co prawda mnie tam nie

było, ale według tego, co usłyszałam potem od męża, wszystko odbyło się zgodnie z planem. Ponieważ on od razu ściągnął na siebie wszelkie podejrzenia, kwestia ustalenia tożsamości zwłok nigdy nie wypłynęła. Verlangen ułatwił nam sytuację... Myśleliśmy jeszcze, że może przyda się też przy identyfikacji, ale nie było to konieczne. Wystarczył Jaan i ta wstrętna sąsiadka.

– Tak, pamiętam ją – przyznał Van Veeteren. – Pani Trotta. Ale on, mam na myśli Verlangena, zidentyfikował cię za to po piętnastu latach.

Dała mu znak, żeby kopał dalej, na co on znowu chwycił za szpadel. Choć usunął już górną warstwę ziemi na głębokość kilkunastu centymetrów, nie natrafił ani na korzenie, ani na większe kamienie. Będzie widać, że w tym miejscu jest grób, pomyślał. Może ktoś pewnego pięknego dnia mnie tu znajdzie i zostaną przeniesiony gdzie indziej?

– Owszem – potwierdziła. – Faktycznie to zrobił, ten idiota. Zapłacił za to życiem, on i jeszcze dwóch... a ona, ta dziwka, i tak od tego nie zmartwychwstała. Czy on naprawdę musiał zacząć w tym znowu grzebać? Może ty mi powiesz, jaki on widział w tym sens?

Van Veeterenowi przemknęło przez głowę wspomnienie fragmentu rozmowy z Bausenem. Podczas dochodzenia w sprawie morderstwa z siekierą. Dziewięć lat temu.

O równaniach, których nie powinno się rozwiązywać.

O partiach szachów, których nie powinno rozgrywać się do końca.

Bausen stwierdził, że jest mnóstwo takich fenomenów i że należy to po prostu zaakceptować. Ale jeśli chodzi o to, co dotyczyło jego samego, nie był taki pewny.

I teraz on ma w ręku rozwiązanie sprawy (równania? partii szachów?) G, a w odpowiedzi mieści się jego śmierć. I śmierć Verlangena oraz samego G.

Tak, nie ulega wątpliwości, że jest w tym pewna logika. Nieuchronność diabolicznego wzoru.

A może to jest całkiem zwyczajny wzór? I całkiem banalne zło. Dlaczego przeceniać i jedno, i drugie?

– Nienawidziłem go – powiedział. – Twojego męża. Pewnie wiesz, że przez pięć lat gwałcił swoją młodszą siostrę? Poza tym ma na sumieniu śmierć naszego

szkolnego kolegi.

Z jakiegoś powodu również to wydawało się nieuchronne. Musiał o tym powiedzieć.

Nie zareagowała w żaden sposób. W każdym razie on nie potrafił nic wyczytać z jej twarzy. Przypomniawszy sobie, że przecież stoi i konwersuje z Lady Makbet. Może wiedziała o tej siostrze, a może nie.

– Mój mąż ciebie nie nienawdził – odezwała się po chwili milczenia. – Tylko tobą gardził, ja zresztą też. Nie licz na to, że tym cholernym gadaniem coś zyskasz.

– Philomenę McNaught też ty zabiłaś? Czy to on?

Nagle spojrzała na niego z wyraźnym szyderstwem. Jak kiepska aktorka po nieudanym przesłuchaniu.

– Wspólnie – oznajmiła. – Zrobiliśmy to wspólnie. To była straszna kobieta. No, pospiesz się, bo jestem już zmęczona tym czekaniem.

Zastanowił się chwilę, po czym wykonał polecenie.

Münster zahamował, wyłączył silnik i pomodlił się w duchu. Rzucił spojrzenie na Rootha, który podczas trwającej sześć minut jazdy od See Warf do Wackerstraat cały czas go ponaglał, ogryzając paznokcie.

Teraz Rooth wyjął palce z ust i otworzył drzwi samochodu.

– No, pospiesz się – rzucił. – Ruszaj się!

Szli obok siebie po kamiennych płytach prowadzących do drzwi wejściowych. Münster nie dostrzegał nigdzie żadnych oznak życia, z wyjątkiem lekkich mdłości, które w nim pulsowały. Ale na zewnątrz – żadnych. Był wczesny jesienny poranek, szary, rześki, bezwietrzny.

Ranek jak wiele innych w życiu. Przypuszczał, że mieszkańcy tej zamożnej dzielnicy właśnie powoli wstają. Dochodziła siódma; z pewnością niejeden właściciel willi brał teraz prysznic, podczas gdy niejedna właścicielka willi siedziała w kuchni przy śniadaniu z rozłożoną na stole gazetą, próbując nabrać energii na nadchodzący dzień. Kolejny dzień.

Jak sytuacja wyglądała w domu Nolanów, trudno to było ocenić. Rooth położył palec wskazujący na dzwonku przy drzwiach i nie odrywał go od niego przez pięć

sekund, co powinno było raczej wywołać jakiś rodzaj reakcji.

Jednak nie wywołało. Münster i Rooth patrzyli to na siebie, to na pociągnięte brązową bejcą drzwi i czekali. Ale nic się nie wydarzyło.

Rooth spróbował jeszcze raz.

Przestępując nerwowo z nogi na nogę, odczekał jeszcze chwilę.

– Pudło – odezwał się Münster. – Albo nie ma jej w domu, albo nie chce się z nami widzieć. Co robimy?

Rooth już sięgał ponownie do dzwonka, jednak się zawahał.

– Nie wiem – powiedział. – A ty jak myślisz?

Münster chciał wzruszyć ramionami, lecz miał tak spięte mięśnie, że mu się nie udało.

– Może spytalibyśmy sąsiadów – zaproponował. – Czy czegoś nie widzieli?

– A co mieliby widzieć?

– *Komisarza* oczywiście... albo przynajmniej jego samochód. Przecież chyba po to tu przyjechaliśmy?

Rooth wyglądał nagle na zrezygnowanego.

– No tak, masz rację. Ale nie będziemy teraz chodzić od drzwi do drzwi. Może po prostu wejdziemy.

– Wejdziemy? – powtórzył Münster, naciskając ostrożnie klamkę. – Jest zamknięte.

– Niekoniecznie przez drzwi – rzekł Rooth.

– Jak to? – rzucił Münster i zastanowił się krótko. Następnie wyjął swoją komórkę.

– Co ty robisz?

– Dzwonię do deKlerka. Uważam, że mimo wszystko on ma tu coś do powiedzenia.

Rooth podrapał się po głowie, podczas gdy Münster wybierał numer.

– Poinformuj go tylko – powiedział w momencie, gdy w słuchawce odezwał się deKlerk. – Powiedz, że wchodzimy. Nie każ mu podejmować decyzji, to niepotrzebna strata czasu.

Münster skinął głową, Rooth zaś ruszył za dom, żeby znaleźć alternatywne

sposoby wejścia.

Przez kilka chwil pracował w milczeniu. Przy każdym ruchu odczuwał ból w plecach, ale wobec tego, co go czekało, nie przejmował się nim. Dopóki mnie coś boli, dopóty żyję, pomyślał. Zaczął się też pocić, mimo to nie zdjął marynarki. Prawdopodobnie powstrzymało go przed tym mgliste wyobrażenie, że pod ziemią jest zimno.

– Nie musieliście wciągać w to Verlangena – powiedział. – I bez tego by się wam udało.

– Bzdura. Jaan miał powód, żeby go ukarać... poza tym on był rzeczywiście potrzebny.

Wyczuwał, że mimowolnie zależało jej na przekonaniu go. Jakby mimo wszystko miała potrzebę usprawiedliwienia swoich działań.

– Po co?

– Żeby odwrócić waszą uwagę. Jaan G. Hennan zamordował swoją żonę, żona miała wcześniej jakieś podejrzenia i dlatego zwróciła się do prywatnego detektywa, który jednak nie zdołał uratować jej życia. Tak mieliście na to patrzeć i rzeczywiście tak patrzyliście. Czy choć raz przeszła wam przez głowę myśl, że ofiarą był ktoś zupełnie inny?

Nie odpowiedział, ale nie potrafił się obronić przed poczuciem wstydu. Ona ma rację, przyznał w duchu. Nigdy tak nie pomyśleliśmy. Ani ja, ani nikt inny. Jedynie zapijaczony prywatny detektyw piętnaście lat później. Takie są fakty.

Niezbyt dla nich pochlebne.

Dobrze mi tak, doszedł do wniosku. Ten finał jest godnym zakończeniem całego tego gówna. Brakuje jeszcze tylko, żeby zaczęło padać.

Ale w ten wrześniowy poranek raczej nie zanosilo się na deszcz. A przynajmniej nie w tak krótkiej perspektywie, jaka mu została. Zrobiło się już prawie całkiem widno. Na razie nie było słońca, zresztą jego promienie z całą pewnością nie dotrą do tej niecki wcześniej niż w południe.

Tak więc wisiało nad nim jedynie blade, niczego nieprzeczuwające niebo.

Żadnego wiatru, żadnych znaków. Kopał dalej w milczeniu. Przemknęło mu przez głowę, że jednak lubi zapach ziemi.

– Kto to jest Liston? – spytała nagle.

– Liston?

– Tak. Verlangen bredził coś o jakimś gościu, który nazywa się Liston. Podobno wziął pieniądze od mojego męża.

Van Veeteren wyprostował się i oparł łokcie na trzonku szpadla.

– Nie mam pojęcia.

– Na pewno?

– Słowo honoru. A gdzie się właściwie poznaliście?

– Kto?

– Ty i Hennan.

Odczekała kilka sekund. W końcu postanowiła oświecić go także pod tym względem.

– W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym. Kilka lat przed jego ślubem z Philomeną.

– Rozumiem. Czyli to od samego początku było fikcyjne małżeństwo?

– Fikcyjne małżeństwo? – Roześmiała się głośno. – Owszem, można tak powiedzieć. To była potworna gęś, w gruncie rzeczy powinna być wdzięczna, że w ogóle mogła odegrać rolę narzeczonej.

– Nie mieliście żadnych moralnych skrupułów?

Roześmiała się jeszcze głośniejsze.

– Moralność, panie komisarzu! Używa pan wielkich słów! Może mi pan wierzyć, że po Philomenie McNaught nikt nie płakał. Skróciliśmy jej cierpienie na ziemi o czterdzieści, pięćdziesiąt lat... a jak pan myśli, ile osób przyjdzie na pogrzeb Verlangena?

Zauważył, że zmieniła sposób zwracania się do niego. Wrócił do kopania i po chwili przypomniał sobie coś jeszcze.

– Ta kobieta, którą zabiłaś, miała dziecko – powiedział. – Wiedziałaś o tym?

Jej uśmiech wykrzywił się w grymas.

– Nieuważnym dziwkom czasami się to zdarza.

Nagle poczuł, że wyczerpały mu się słowa. Ona nie jest tego warta, pomyślał. Nie jest warta podtrzymywania tej makabrycznej rozmowy. W żadnym razie nie powinna uważać, że mam wobec niej swego rodzaju respekt – jak wobec przeciwnika, przed którym zginam kark.

A jeżeli ona z tego wszystkiego się wywinie? – przebiegło mu przez głowę. Mając życie pięciu osób na sumieniu. Moje także.

Być może są też inne ofiary, na przykład w Anglii. Przecież spędzili tam kilka lat. Wolał jednak o to nie pytać. W ogóle nie chciał już nic mówić. Ani wiedzieć.

Kopiąc dalej, usiłował mimo wszystko ocenić, na ile jest to prawdopodobne. To, że ona się wywinie. Zdawał sobie sprawę, że w istniejących okolicznościach jego umiejętności analityczne pozostawiają sporo do życzenia, wyglądało jednak na to, że ma całkiem spore szanse. Czy też nie?

Niech to szlag, pomyślał. Gdyby to były moje pamiętniki – co za rozczarowujący koniec. Wielki komisarz stawia kropkę w swojej jedynej niewyjaśnionej sprawie, dając się zabić przez Lady Makbet. Jakie to szczęście, że zrezygnowałem z tego pisania. I że odszedłem z policji.

Ale tu nie chodziło o pamiętniki ani o zawód, jedynie o samo życie. Tylko i wyłącznie o nie.

Erich? – odezwał się jakiś głos w jego wnętrzu. Czy dalej na mnie patrzysz, mój synu?

Nie usłyszał odpowiedzi, zdecydował się jednak, jak powinna wyglądać scena końcowa. Nie ma powodu dłużej zwlekać. Czuł, jak koszula klei mu się do pleców.

A zatem jedna szansa na sto.

Maksymalnie.

– Co trzeba zrobić, pytasz? – rzucił Bausen. – Zaraz ci powiem. Musisz zacząć szukać Van Veeterena i jego samochodu przez każdą stację radiową i telewizyjną, jakie tylko istnieją. I to natychmiast! To nie jest żaden przypadek, że on zniknął. A jeżeli Rooth się nie myli w tym, co zauważył, to trzeba naprawdę się spieszyć... i to bardzo!

A i tak może już być za późno, dopowiedział w myślach.

– W porządku – odparł deKlerk. – Właśnie zamierzałem to zrobić. Ale oprócz

tego?

– Oprócz tego – burknął Bausen – musimy wesprzeć Münstera i Rootha. Popytań wśród sąsiadów, czy ktoś nie widział wczoraj na Wackerstraat niebieskiego opla... a potem musimy trzymać kciuki. Chcesz, żebym przyjechał na komendę?

DeKlerk zawahał się przez ułamek sekundy.

– Tak, proszę – powiedział. – Chyba byłoby dobrze.

Münster i Rooth dostali się do willi Nolanów przez okienko wentylacyjne na tyłach domu.

Następne pięć, sześć minut spędzili na chaotycznym kręceniu się po pokojach z próżną nadzieją, że natrafią na jakiś ślad, który podpowie im, co się stało.

O ile w ogóle coś się stało.

– Czego szukamy? – spytał Münster.

– Diabli wiedzą – odparł Rooth. – Ale jak to znajdziesz, to ci powiem.

– Okej. Ty to masz jednak talent do stawiania spraw jasno. Zawsze cię za to podziwiałem.

Rooth nic nie powiedział. Münster zaś westchnął i rozejrzał się po obszernym salonie. Nie było w nim nawet najmniejszego śladu po Elizabeth Nolan. Tyle przynajmniej byli w stanie stwierdzić.

A mówiąc dokładnie, niczego, co wskazywałoby, gdzie ona się podziała. Oczywiście istniała cała masa ewentualnych zwyczajnych powodów, dla których mogło jej nie być w domu. Stwierdzili, że oba samochody, i rover, i japończyk, stoją na swoich miejscach w garażu i na podjeździe, ale fakt ten niewiele im pomógł. Przecież istnieją autobusy i pociągi. I samoloty, jeśli ktoś życzył sobie udać się gdzieś dalej. Kiedy Münster po raz trzeci z rzędu upewnił się, że pani Nolan ani nie leży w swoim łóżku, ani nie wisi w garderobie przy sypialni, poczuł, że zaczyna ogarniać go bezsilność.

– To nic nie da – powiedział do Rootha, który właśnie po raz drugi wyszedł z łazienki. – Drepczemy w kółko jak para głupków. Trzeba zacząć szukać bardziej racjonalnie.

Rooth wzruszył bezradnie ramionami i przypadkiem spojrzął przez okno na ulicę, gdzie Beate Moerk i aspirant Stiller właśnie wysiadali z samochodu.

– Mamy wsparcie – stwierdził. – Teraz będzie nas czwórka. Może niech każdy pójdzie do innego sąsiada... Oby tylko nie pojechali jeszcze do pracy.

Münster spojrział na zegarek. Było dwadzieścia po siódmej. Wciąż męczyły go mdłości, i to chyba jeszcze większe.

– No dobrze – powiedział. – W każdym razie nie zaszkodzi popytać.

– Kawy? – spytał deKlerk.

Bausen pokręcił głową i usiadł po drugiej stronie biurka, naprzeciwko swojego o trzydzieści lat młodszego następcy.

– Komunikat do mediów został wysłany – oznajmił deKlerk. – Będzie w wiadomościach w telewizji i nadawany jest co pół godziny w radiu, począwszy od...

– Wiem – przerwał mu Bausen. – Słyszałem w samochodzie po drodze tutaj. A co na Wackerstraat?

– Przepytują sąsiadów. Pani Nolan nie ma w domu. To nie musi nic znaczyć, ale na razie nie mamy żadnego innego tropu, za którym moglibyśmy pójść.

Bausen skinął głową przybity.

– Obawiam się, że to wszystko, co możemy zrobić – powiedział. – Jeśli potraktować poważnie ten detal zauważony przez Rootha... jeśli pani Nolan rzeczywiście tylko symulowała omdlenie... to znaczy, że nie ma z nią żartów.

– To bardzo drobny detal – zauważył deKlerk.

– Owszem. Mamy sytuację typu albo-albo, jak się to mówi.

– Albo-albo?

– Tak. Jeśli Rooth się nie pomylił, nie możemy tego bagatelizować. Udawała, że jest w szoku, a w istocie wcale nie była. Wy tłumaczenie może być tylko jedno. Śmierć męża nie była dla niej żadnym zaskoczeniem... a kolejny wniosek nie jest już chyba trudny do wyciągnięcia.

– Myślisz, że to ona go zabiła? – spytał deKlerk.

– Chyba możemy postawić taką hipotezę. Przynajmniej na razie. I przyjmując też, że miała ku temu powody... i tak dalej. Tak czy inaczej, jakkolwiek byśmy kombinowali, wszystko ma swój początek w tamtej starej historii sprzed piętnastu lat. Tylko nie pytaj mnie w jaki sposób. Cholera jasna! Przez tyle lat zdążyłem dosyć

dobrze poznać Van Veeterena i mogę przysiąc, że nie należy do osób, które rozplývają się w powietrzu bez powodu.

– Co ty tak naprawdę uwa...? – odezwał się deKlerk, lecz nie dokończył, ponieważ przerwał mu dzwonek telefonu.

Podniósł słuchawkę i zaczął słuchać. Zakrywszy mikrofon dłonią, szepnął do Bausena:

– Jakaś kobieta z informacjami. W związku z naszym ogłoszeniem.

Słuchał dalej, od czasu do czasu zadawał pytania i coś notował. Bausen oparł się wygodnie na krześle i obserwował go uważnie. A kiedy z każdą chwilą stawało się coraz bardziej jasne, czego dotyczy rozmowa, poczuł, jak stopniowo się rozluźnia. Jakby do tej pory przez cały ranek wstrzymywał powietrze.

Albo miał ciasno zawiązany węzeł na wysokości splotu słonecznego.

Nareszcie, pomyślał. Nareszcie coś się wyjaśnia w tej cholernej historii.

Tylko, dobry Boże, nie pozwól...

Nie dopowiedział tej myśli do końca. To nie było konieczne.

– Skończyłem.

Podniosła się z pnia.

– Skąd wiesz?

Wyszedł z dołu, ostrożnie rozciągnął mięśnie pleców i chwycił obiema dłońmi trzonek szpadla. Trzymał go tak, aby sama łopata nie zapadła się w ziemię, tylko oparła się na kępie trawy.

– Chyba nie chcę leżeć głębiej.

Przyjrzała się przez chwilę wykopowi i zdawała się nad czymś myśleć. Van Veeteren spojrział na zegarek. Była za pięć minut siódma. Las już się obudził. Słyszał to na wpół świadomie; za pośrednictwem wrażeń zmysłowych tak subtelnych, że nie potrafił ich zarejestrować. Albo nie zadawał sobie trudu, żeby je zarejestrować. Delikatne odgłosy, subtelne zapachy, drobne ruchy.

– Blżej nieba – dodał. – Chyba wolę leżeć wyżej. Gdyby to miał być twój grób, oczywiście wykopałbym głębszy.

Nic na to nie powiedziała. Zaciśnęła mocno usta i uniosła wyżej broń.

– Mogę mieć ostatnie życzenie?

– Ostatnie życzenie? Słucham.

Roześmiała się. Ale trochę nerwowo. On odchrząknął i mocniej ujął trzonek. Napiął mięśnie nóg i ramion.

– Ptak. Chciałbym widzieć ptaka, kiedy będę umierał. Mogłabyś poczekać, aż jakiś nadleci?

Uniósł wzrok ku niebieskiemu niebu ponad drzewami. Usłyszał, jak wydała z siebie coś między prychnięciem a krótkim rechotem.

Potem zobaczył, że ona też spojrzała do góry.

Teraz, pomyślał.

Zrobił niewielki krok do przodu i zamachnął się łopatą.

Usłyszał strzał i w tej samej chwili poczuł ból.

Ból tak silny, że wprost nie do wyobrażenia.

Potem nastąpiła oślepiająca biel.

A potem ciemność.

Wdowa Laine była bardzo stara i pomarszczona jak kora na drzewach owocowych rosnących wokoło jej domu na skraju lasu. Kiedy wyszła naprzeciw nim na schodki przed kuchnię, wyglądała równie krucho i delikatnie, jak przekwitły dmuchawiec – z białymi, rozświetlonymi słońcem włosami niczym aureola ponad jej twarzą poprzecinaną bruzdami stulecia. Z pewnością brakowało do niego zaledwie paru lat.

Przytomne oczy dawały świadectwo temu, że również w jej wnętrzu nie brakuje rys, pomyślał Münster, który jako pierwszy uścisnął jej dłoń.

– No coś takiego – zachichotała, odpędzając pręgowanego kota, ocierającego się o jej nogi. – Tylu ludzi tutaj to nie widziałam od swoich dziewięćdziesiątych urodzin. Jeśli chcecie kawy, to zróbcie sobie sami, bo ja muszę się zdrzemnąć. W końcu od szóstej jestem na nogach.

Münster skinął głową i powiedział, że dziękują za kawę. Przyznał też, że rzeczywiście jest ich sporo. Trzy samochody przyjechały niemal jednocześnie. Bausen i deKlerk prosto z komendy. On, Rooth, Stiller i Moerk z Wackerstraat, gdzie natychmiast zrezygnowali z przepytывania sąsiadów, gdy tylko dowiedzieli się o informacji podanej przez panią Laine.

Było ich zatem sześcioro. A więc komentarz staruszki był jak najbardziej uzasadniony.

– Czyli widziała pani ten samochód? – spytał deKlerk. – A gdzie? To ze mną rozmawiała pani przez telefon.

– Tam dalej.

Wskazała krzywym palcem ponad łąką w stronę lasu. Pięć par policyjnych oczu wraz z jedną parą byłego policjanta zwróciło się w tym samym kierunku. Droga, która prowadziła od domu pani Laine do szosy, ciągnęła się w okrojonej postaci – właściwie tylko jako dwie koleiny – przez całą łąkę, a potem niknęła między wysokimi bukami i osikami.

– Rano zawsze robię małą rundkę z Ginger Rogers – poinformowała donośnym głosem, aby wszyscy ją słyszeli. – Dzień w dzień. Nad morze i z powrotem. Obie

musimy się ruszać. Czy wiatr, czy niepogoda – idziemy.

– Ginger Rogers to pani pies, tak? – spytał Bausen.

– Tak, pies jak pies. Ma czternaście lat i tyle samo ras... czasami muszę nieść ją z powrotem na rękach... jest bardziej leniwa niż sam pastor... potem cały dzień leży przy kuchni i śpi.

– Usłyszała pani ogłoszenie w radiu? – chciała wiedzieć inspektor Moerk.

Pani Laine skinęła głową i poprawiła sobie językiem sztuczną szczękę.

– Zawsze słucham wiadomości o wpół do ósmej. Ale teraz to już dacie sobie radę sami, wystarczy iść, jak droga prowadzi... Samochód stoi jakieś dwieście metrów w głębi lasu. Niebieski, jak mówiliście.

Münster znowu potrząsnął jej rękę i podziękował. Pani Laine odwróciła się na pięcie, weszła do ciepłej kuchni i zamknęła za sobą drzwi.

Stiller i Moerk byli już dwadzieścia metrów z przodu.

I to oni właśnie doszli jako pierwsi do auta. Zatrzymali się i poczekali na resztę.

– To ten? – spytał Stiller.

– Chyba tak – odpowiedziała Moerk. Niebieski opel o numerach...

– To ten – potwierdził Münster ponad jej ramieniem. – A niech to diabli!

Rooth otworzył drzwi kierowcy i zajrzał do środka.

– Kluczyki są w stacyjce – stwierdził. – Co to może znaczyć?

– Otwórz maskę – poprosił Bausen. – Warto sprawdzić, czy silnik jest jeszcze ciepły.

Rooth włożył kluczyki do kieszeni, znalazł odpowiedni uchwyt pod deską rozdzielczą i pociągnął go. Bausen uniósł klapę i wsunął rękę do środka. Münster zrobił to samo.

– Jeszcze nie całkiem zimny – stwierdził Bausen. – W każdym razie raczej nie stoi tu całą noc. Jak myślisz?

– Co najwyżej kilka godzin – ocenił Münster. – Choć jakie mogą z tego wynikać wnioski – tego nie wiem.

Rooth zatrzasnął drzwiczki.

– Pal sześć wnioski – powiedział. – Zastanówmy się lepiej, co robimy.

Münster spojrział na mały zastęp. Widział w oczach każdego ten sam pełen napięcia niepokój, tę samą tłumioną bezradność, która opanowała również i jego.

Nigdy tego nie zapomnę, pomyślał nieoczekiwanie. Ten piekielny ranek w tym piekielnym lesie będzie prześladował mnie nocami niczym koszmar przez całą resztę życia. Gdyby to był film, wstałbym i wyszedłbym z sali; nie mam ochoty w tym uczestniczyć...

DeKlerk chrząknął, przerywając jego zadumę.

– Rzecz jasna, musimy szukać – oznajmił, wykonując gest ręką. – Zaczniemy może po tej stronie drogi... rozstawimy się co piętnaście metrów... i będziemy szli prosto przed siebie przez dziesięć, piętnaście minut. A potem tak samo po drugiej stronie, jeśli nie znajdziemy... niczego.

Przesunął wzrokiem po wszystkich, szukając aprobaty. Uzyskał ją wreszcie od Bausena w formie energicznego skinięcia głową i głośnego przekleństwa.

– W porządku – powiedział Rooth. – Dlaczego nie? A jak z bronią? Nie można przecież wykluczyć...

Reszta zdania zawisała w chłodnym powietrzu poranka, podczas gdy każdy wyjął swoją służbową broń.

– Ja nic nie mam – stwierdził Bausen. – Ale mam to głęboko gdzieś.

– Wobec tego zrobisz, jak uważasz – powiedział obojętnie deKlerk.

– Ruszamy wreszcie czy zamierzacie tu dalej stać i konwersować? – wtrąciła się Beate Moerk.

Rozstawili się wzdłuż wąskiej ścieżki na długości mniej więcej stu metrów. Na jednoczesny sygnał deKlerka i Münstera na końcach tyraliery ruszyli powoli między drzewa.

– Starajcie się nie tracić z pola widzenia swoich sąsiadów – upomniął ich komendant. – I natychmiast meldujcie, jeśli na coś natraficie.

Münster zerknął na zegarek i ominął przewrócony na ziemię pień.

Kwadrans po ósmej. Czuł, jak po skroni spływa mu kropla zimnego potu.

Nie minęło nawet pięć minut, gdy Bausen natrafił na to miejsce.

Za pasem gęstych zarośli i krzaków z pojedynczymi brzoźami i osikami dotarł do prześwitu polanki porośniętej trawą i ziołami, a widok, który mu się ukazał, zatrzymał

go w pół kroku.

Na wprost niego, w odległości zaledwie kilku metrów, znajdował się świeżo wykopany grób. Co do tego nie mogło być wątpliwości. Dół miał około dwóch metrów długości i pół metra szerokości i ział czernią niczym otwarta rana w ziemi. Nie był zbyt głęboki; wykopana ziemia została starannie usypana wzdłuż jednego boku, a szpadel leżał ciśnieńty w trawę kawałek dalej... Lecz to nie ten widok sprawił, że Bausen odwrócił się nagle i zwymiotował skromne śniadanie, które zdążył zjeść rano.

Zaledwie pół metra od miejsca, w którym stał, leżała głowa.

Głowa kobiety o ciemnych włosach i szeroko otwartych ustach – oraz o równie szeroko otwartych oczach, które zdawały się patrzeć na niego z wyrazem zastygłego w lód zdziwienia.

I z jakby swego rodzaju groteskowym uśmiechem. Krew i zakrwawione wnętrzności wypływające z szyi tworzyły ciemną kałużę, która za sprawą jakiegoś makabrycznego skojarzenia przypominała mu deser, jaki kilka tygodni temu jadł razem z Mathilde w Fisherman's Friend.

Sorbet czekoladowy na malinowej pierzynie.

Może dlatego zwymiotował.

Ciało znajdowało się dwa metry dalej, tuż przy szpadlu; minęło zaledwie parę sekund, gdy Bausen zrozumiał, jak to wszystko przebiegło.

Jak Elizabeth Nolan ścięto głowę.

Potem ujrzał Van Veeterena.

Leżał na przeciwległym krańcu polanki. Na lewym boku, z lekko zgiętymi nogami i rękami mocno przyciśniętymi do piersi. Niemal w pozycji embrionalnej; musiał o własnych siłach przejść kawałek... co najmniej dwa albo trzy kroki... jeśli wszystko odbyło się tak, jak przypuszczał Bausen. W trawie, tuż przy wyciągniętej prawej ręce Elizabeth Nolan, leżał pistolet. Tak, scenariusz wydawał się dosyć oczywisty.

Akurat gdy znalazł się przy Van Veeterenie, z drugiej strony wyłonił się Münster.

– Boże drogi – jęknął, widząc Bausena, który właśnie klękał przy *komisarzu*. – Co tu się...?

Bausen uniósł do góry palec, dając mu znak, żeby był cicho. Pochylił się jeszcze bardziej nad nieruchomym ciałem i ostrożnie badał dłońmi szyję i głowę. Münster zamknął oczy i czekał. Przez moment miał poczucie, że ziemia drży pod jego nogami, i wcale się temu nie dziwił.

W najmniejszym stopniu.

Dobry Boże, pomyślał. Spraw, żeby...

– On żyje! – wykrzyknął Bausen. – Jasna cholera, on żyje!

Münster opadł na kolana obok niego. Nie zauważył, że tuż za nim pojawili się Beate Moerk i Rooth, ale zarejestrował, że Van Veeteren otworzył oczy i poruszył ustami.

– On chce coś powiedzieć.

Bausen zdjął swoją kurtkę i niemal z czułością nakrył nią *komisarza*. Następnie nachylił się tuż nad jego twarzą i słuchał. Po kilku sekundach wyprostował plecy i spojrzał na Münstera.

– Co on mówi?

Bausen zmarszczył czoło.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, powiedział, że w drodze powrotnej spotkał piętnaście osób.

– Że...?

– Tak, nie pytaj mnie, co to znaczy. Mówi, że szedł plażą i spotkał tych ludzi. Piętnaście osób. Nieważne, dzwoń szybko po karetkę, bo chyba jest ranny w klatkę piersiową. No i trochę już tu leży. Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze, bo wiele życia to w nim na razie nie ma.

Münster stanął na nogi, lecz zanim zdążył sięgnąć po swoją komórkę, inspektor Moerk już miała na linii pogotowie.

Spojrzał w górę i odniósł wrażenie, że niemal białe niebo jest nieopisanie blisko.

Zadzwonił w jej dwudzieste urodziny i spotkali się tydzień później. Był deszczowy październikowy dzień pełen smogu i żółtych liści na chodnikach; rozmawiali przez godzinę w restauracji przy Ku'dammie, a kiedy się rozstali, ona nie mogła uwierzyć, że to zdarzyło się naprawdę.

Że nie był tylko postacią ze smutnej baśni albo z dziwnego snu, zjawą, w którą w świetle dnia nigdy by nie uwierzyła.

Chcę porozmawiać z tobą o twojej mamie, powiedział.

O mojej mamie? O Mamusi?

Nazywałaś ją Mamusią?

Tak, Mamusią. Która zniknęła. Której nie było, od kiedy...

Wiem, powiedział. Ale chyba nie wiesz, co się stało, kiedy zniknęła, prawda?

Pili czerwone wino. Drogie, włoskie. Zamówili też coś do jedzenia, ale ona nie była w stanie wiele przełknąć. Zaledwie parę kęsów. On podobnie. Nie wiedziała, że odłożył sztucce tylko przez solidarność z nią, choć to nie miało znaczenia.

Kim jesteś? – spytała. Dlaczego...?

On jednak tylko zaprzeczył ruchem głowy.

I zaczął opowiadać. Powoli i dokładnie, robiąc długie pauzy i w zamyśleniu kiwając głową. Jakby musiał wszystko dopiero sobie przypominać, kiedy opowiadał. Jakby wszystko zostało już dawno zapomniane.

I tamtego wieczoru umarła, powiedział wreszcie. Czująś, że ona nie żyje?

Skinęła niepewnie. On splótł dłonie i oparł na nich brodę.

Umarła podczas nagrywania tego filmu. Twoja Mamusia.

Tak to było.

Filmu? – pomyślała. Mamusia była gwiazdą filmową?

Piętnaście lat temu, potwierdził. Była wielką aktorką, ale zdarzyło się nieszczęście. Szereg dziwnych okoliczności sprawił, że sprawa została zatuszowana.

Zatuszowana? Dlaczego?

Jakich okoliczności?

Po prostu okoliczności, powtórzył w zadumie i wyjął coś w rodzaju zabytkowej maszynki do robienia papierosów. Włożył do środka tytoń i papier, po czym w milczeniu skręcił dwa papierosy. Poczęstował ją. Zwykle nie paliła, ale tym razem

nie odmówiła.

To była trudna rola, kontynuował. A ona była utalentowaną artystką, stała u progu kariery, kiedy zdarzyło się to nieszczęście.

Gdy to powiedział, coś zrobiło się z jego oczami. Nie zrozumiała tego od razu, tylko dopiero później. A może po prostu nie chciała dostrzec tego od razu.

Nie mówię ci całej prawdy, zdradzały oczy, tylko daję ci taką prawdę, z którą będziesz mogła żyć. Mam nadzieję, że to rozumiesz? Nie trzeba zawsze wszystkiego kwestionować. Życie jest opowiadaniem.

Nie odpowiedziała.

Baśnie i opowiadania to nasz sposób na zrozumienie świata, wyjaśnił. By stał się on znośny. Jeśli nie tworzymy opowiadań z naszego życia, może się zdarzyć, że po drodze się rujnujemy. Rozumiesz?

Zrobił dziwny ruch prawą ręką i łokciem. Jakby go coś zabolalo albo jakby chciał rozciągnąć jakiś mięsień.

Powiedziała, że rozumie, na co on przyjrzał jej się długo i z powagą. Potem spytał, jak wygląda jej życie. Wyjaśniła, że studiuje. Że została adoptowana przez nowych rodziców, kiedy skończyła sześć lat, i że miała dobry start w życiu. Że miała szczęście. Mimo wszystko.

Widziała, że to go ucieszyło, i nagle jakiś słaby głos w jej wnętrzu szepnął, że...

...że może wcale nie byłoby jej tak dobrze, gdyby Mamusia nie umarła. Gdyby nie znalazła się w tym domu, do którego mogli przyjechać Vera i Helmut i wybrać właśnie ją. To była dziwna i bolesna myśl, więc szybko ją odpędziła.

Kim ty jesteś? – spytała. Skąd to wszystko wiesz?

Dobrym przyjacielem, wyjaśnił. Byłem dobrym przyjacielem twojej mamy.

Gdzie jest jej grób?

Nie ma grobu. Jej prochy rozsypano w morzu, tak sobie życzyła.

I znowu to coś w jego oczach. Już o nic nie pytała.

Kiedy odszedł, siedziała jeszcze przez chwilę przy stoliku. Przez mokrą od deszczu szybę widziała, jak wsiada do samochodu stojącego na ulicy.

Czerwonego. Zupełnie nowego, o ile potrafiła ocenić. Za kierownicą siedziała kobieta. Pocałowała go w policzek, a on na moment położył dłoń na jej karku.

Kiedy odjechali, uszczypnęła się dwa razy w rękę.